This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

A 473833 DUPL

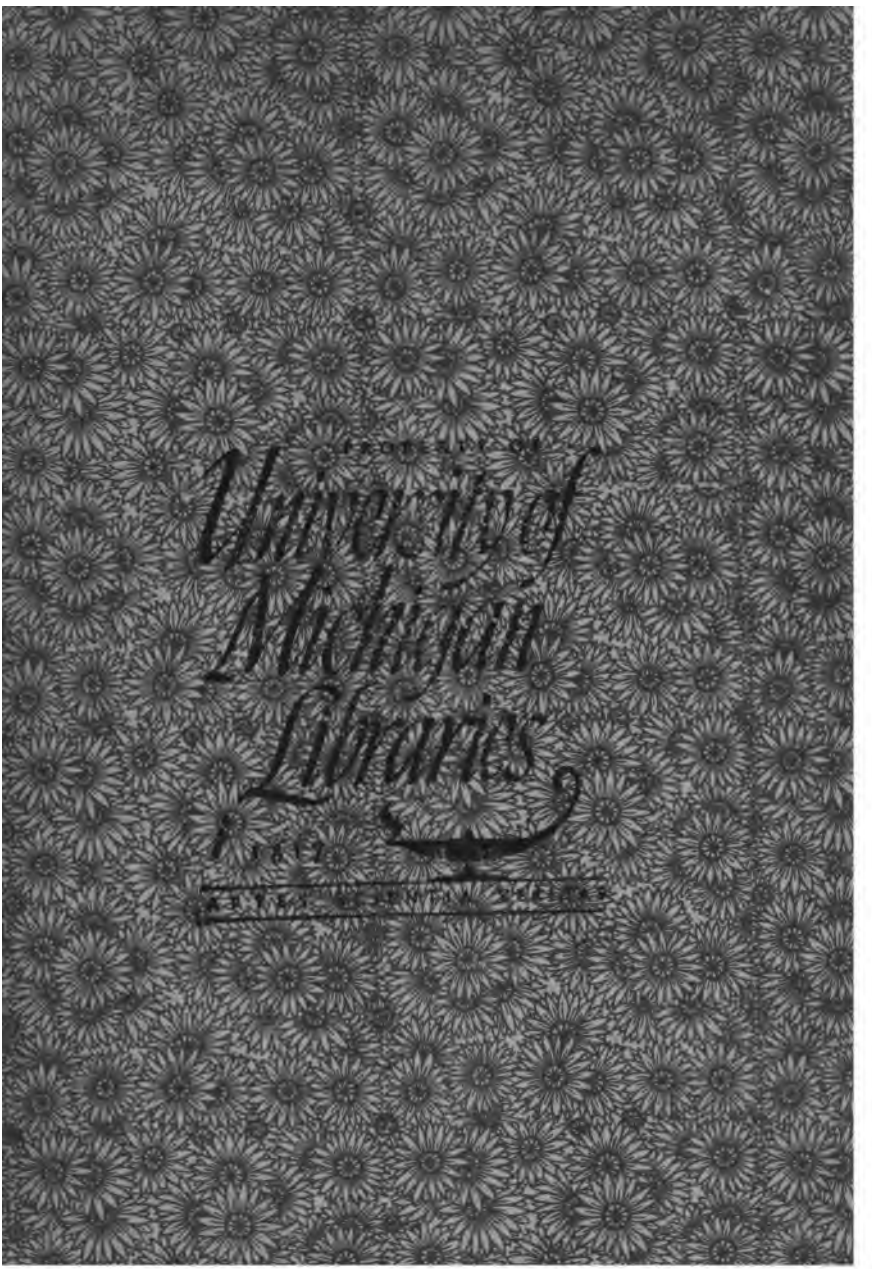
PRESENTED BY
University of Michigan
Library

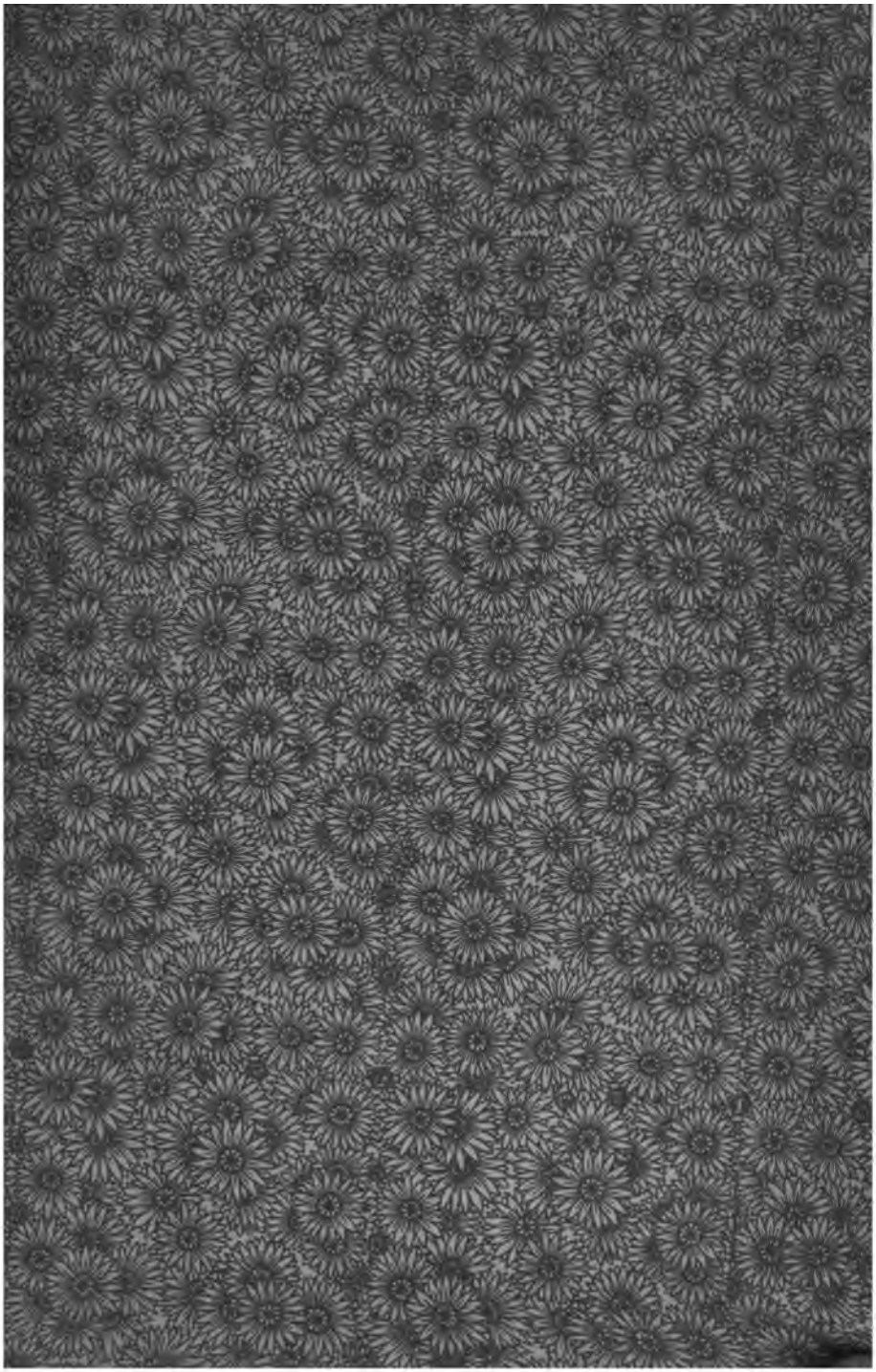

List 30/143

STANISŁAW TARNOWSKI

FERDYNAND HOESICK

STANISŁAW TARNOWSKI

RYS ŻYCIA I PRAC

TOM PIERWSZY

WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKOW — G. GEBETHNER I SPOŁKA
1906

PRZEDMOWA.

Kiedy w roku 1897 upływało dwadzieściapięć lat pracy literackiej Sienkiewicza, Tarnowski wydał swoją o nim książkę; gdy zaś w trzy lata później obchodzono jubileusz twórcy *Trylogii*, ukazało się kilka obszerniejszych monografii literackich — w tej liczbie książka Chmielowskiego — poświęconych znakomitemu powieściopisarzowi, a roztrząsających jego życie i dzieła. Podobnie miała się rzecz w roku 1879, w okresie jubileuszu Kraszewskiego, o którym również pojawiło się kilka prac monograficznych, oraz jego wyczerpujący życiorys, skreślony w *Książce jubileuszowej* przez Pługa. W analogiczny sposób uczczono niedawno Deotymę.

W lipcu 1906 roku upłynęło czterdzieści lat od chwili, gdy się ukazał pierwszy zeszyt *Przeglądu polskiego*, zawierający pierwszy artykuł z podpisem Stanisława Tarnowskiego. Z myślą o tej rocznicy wydali b. uczniowie profesora Tarnowskiego *Księgę pamiątkową*, zawierającą szereg rozpraw i studyów z zakresu historyi literatury polskiej, o której wykłady są od roku 1869 chlubą krakowskiej wszechnicy. Wykłady te, pod względem retorycznej świetności zgoła nie ustępujące najznakomitszym na uniwersytetach zagranicznych, zawsze wywierały bardzo silny wpływ na słuchaczy, a że profesor Tarnowski, rozbudzając w swych uczniach zamiłowanie do literatury ojczystej, jeszcze sobie prócz tego potrafił zaskarbić ich przywiązanie i wdzięczność, o tem niechaj zaświadczy chociażby książka niniejsza, napisana głównie ku uczczeniu 40-letniej pracy literackiej zasłużonego autora *Pisarzy politycznych*, pracy, która, ogarniając wielorakie dziedziny, zawsze i nadewszystko była obywatelską, patryotyczną.

Jeżeli chodzi o wpływ — zwłaszcza o wpływ moralny — jaki wywierają wykłady i pisma prof. Tarnowskiego, to doświadczyłem go w bardzo wysokim stopniu na sobie, i to od pierwszej chwili,

gdy w roku 1888 zostałem studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Porywające wykłady tak znakomitego mówcy, jakim jest autor *Naszych dziejów*, jego konwersacyjny, a przytem prawie koleżeński sposób, w jaki prowadzi seminaryum literackie, jego świetnie pisane a tak liczne rozprawy i sprawozdania w *Przeglądzie polskim*, a w znacznej mierze także i jego przewodnia rola w istniejącem podówczas wśród pewnej grupy uczniów wydziału filozoficznego *Kółku literackiem*, wszystko to nie mogło nie oddziaływać na umysł młodego studenta, z zapałem rwącego się do literatury. Jakoż, wpływ ten, podsycany przez niektórych kolegów i przyjaciół uniwersyteckich, niebawem zaczął się przejawiać coraz wyraźniej. Za dowód mogło posłużyć moje pierwsze młodociane studyum literackie o Słowackim, jako autorze *W Szwajcaryi*, studyum, które, czytane w seminaryum prof. Tarnowskiego, choć nie w całej osnowie zyskało jego aprobatę (albowiem wcale go nie przekonało w tych ustępach, gdzie była mowa o wpływie Shelleya), gdy się ukazało w krakowskim *Świecie*, zdołało zwrócić na siebie uwagę prasy, przyczem — szczegół charakterystyczny — w warszawskim *Bluszczu* spotkałem się z zarzutem, że w stylu i sposobie pisania, jak w ogóle w całem ujęciu tematu, znać ogromny wpływ Tarnowskiego. Bądź co bądź, nie ulegało wątpliwości, że istotnie pozostawałem pod silnym wpływem pism i wykładów znakomitego profesora. Gdy naprzykład w zimowym semestrze roku szkolnego 1888—1889 profesor Tarnowski wykładał o Słowackim, tak się zapaliłem do poezyi i indywidualności twórcy *Balladyny*, że już wtedy powziąłem śmiały zamiar napisania monografii o Słowackim, zamiar, który zrazu począł się urzeczywistniać w formie pojedynczych rozpraw i przyczynków do dziejów życia i twórczości autora *Anhellego*, aż w końcu przyoblekł się w konkretne kształty obszernej — aż zbyt obszernej — biografii Juliusza.

Podobną jest psychologiczna geneza mojej książki o *Miłości w życiu Zygmunta Krasińskiego*, dla którego kult również nie komu innemu, tylko prof. Tarnowskiemu mam do zawdzięczenia, mianowicie jego świetnym wykładom o Krasińskim, których słuchałem w ciągu roku 1889—1890. Nadto ukazał się podówczas w *Przeglądzie polskim* artykuł Tarnowskiego p. t. *Miłość w poezyi Zygmunta Krasińskiego*, artykuł, który, czytany na ławie uniwersyteckiej, szczególnie wraził mi się w pamięć. W bezpośrednim związku z tym artykułem pozostawał cykl nader zajmujących wykładów o *Miłości w poezyi polskiej*, wygłoszonych przez prof. Tarnowskiego w semestrze letnim roku 1888. Wtedy też, z prywatnych rozmów,

dowiedziałem się, że ową tajemniczą »panią B.,« w której się kochali Krasiński i Słowacki, była pani Bobrowa, i w ten sposób zrodził się pomysł skreślenia romantycznych dziejów tej rzekomo *Pierwszej miłości Zygmunta Krasińskiego*, pomysł, który się zamienił w studyum historyczno-literackie, drukowane w *Ateneum* za redakcyi Chmielowskiego, aż wreszcie w r. 1892 wyjście monografii Tarnowskiego o *Zygmuncie Krasińskim* pobudziło mię do napisania jeszcze i dalszych dziejów serca »bezimiennego poety«.

Kult mój dla Klaczki, o którym napisałem książkę, którego *Pisma polskie* starałem się uprzystępnić dla czytelników w Królestwie, i którego francuskie *Szkice i Rozprawy literackie* zebrałem i wydałem w polskim przekładzie — poprzedzonym piękną przedmową St. Tarnowskiego — kult ten datuje się u mnie również z czasów uniwersyteckich, kiedy to prof. Tarnowski, bądź w czasie wykładów, bądź podczas seminaryum, gorąco nam zalecał rozczytywanie się w artykułach Klaczki z *Wiadomości polskich*, sławiąc je, jako wzór pisarskiego kunsztu.

. Jeżeli od lat kilku pracuję nad monografią o Chopinie, to pierwszy w tym kierunku impuls dała mi mistrzowska praca o twórcy *Mazurków*, napisana przez Tarnowskiego i wygłoszona przezeń w r. 1871 w formie odczytu. Pracy tej aż po dziś dzień w całej jaka jest literaturze chopinowskiej należy się palma pierwszeństwa, dla mnie zaś, gdym ją po raz pierwszy jeszcze w uniwersytecie w *Przeglądzie polskim* przeczytał, stała się ona prawdziwą rewelacyą geniuszu Chopina. Mając od dziecka szczególne dla muzyki Chopina uwielbienie, stąd niezgorzej z jego kompozycyami i literaturą o nim — polską i obcą — obeznany, dopiero po przeczytaniu szkicu Tarnowskiego nabrałem przeświadczenia i utwierdziłem się w niem stanowczo, że monografia o Chopinie jeszcze jest do napisania, i że napisaną być musi w duchu tego szkicu Tarnowskiego, którego poprostu winna być rozwinięciem. W ten sposób powstała moja książka o życiu i twórczości Fryderyka Chopina, której tom pierwszy wyszedł w r. 1904, a której tom drugi, mam nadzieję, w niedługim czasie uda mi się oddać do druku.

Z tego samego źródła mógłbym wyprowadzić powstanie i niektórych innych moich prac, np. paru szkiców o niezapomnianym twórcy *Kazania Skargi*,[1]) dla których niewątpliwie główną podstawą było dzieło Tarnowskiego o *Matejce*. Podobnie miała się rzecz ze szkicem o *Janie Kochanowskim*.[2]) Szkic pomieniony oparłem wpraw-

[1]) *Szkice i opowiadania historyczno-literackie*. Warszawa, 1898.
[2]) Drukowanym w *Ateneum* z r. 1898.

Pisarzy politycznych nie należy do zwolenników takiej »przedmiotowej« metody, to jednak w danym wypadku, sądzę, że ją zaaprobuje. Albowiem przez możliwy objektywizm chciałem się uchronić od jednej rzeczy: żeby przypadkiem nie wpaść w ton panegiryczny o co w takich razach nietrudno; chodziło mi o to, żeby praca ma stanowiła charakterystykę, a nie trąciła panegirykiem. Tarnowski nie potrzebuje kadzideł. Wystarcza, by o nim napisano prawdę, szczerą objektywną prawdę. Są ludzie — jak słusznie twierdzi prof. Antoniewicz w swej ocenie działalności pisarskiej Tarnowskiego — którym panegiryk ubliża raczej, a przynajmniej krzywdzi ich, bo pozwala się domyślać, że są gorsi, aniżeli ich pochlebiony wizerunek. Do takich właśnie należy Tarnowski: jego portret literacki, byle był wiernie utrafiony — a o to starałem się przedewszystkiem — sam mówi za siebie, ma swoją niezaprzeczoną wymowę.

To by już było wszystko, co się nadaje do zaznaczenia w przedmowie, co autor od siebie może powiedzieć o książce. Czy książka ma dane po temu, by spełnić swoje zadanie, czy osiągnie cel, dla którego była napisaną? To się okaże niebawem. Tymczasem, puszczając ją w świat, niech mi tu wolno będzie sparafrazować życzenie, z jakiem Tarnowski wyprawiał swą książkę o Sienkiewiczu: niech idzie między ludzi, a przedewszystkiem niechaj powie czcigodnemu autorowi *Historyi literatury polskiej:* »Bóg zapłać« za już i »Szczęść Boże« na jeszcze!

Kraków d. 16 czerwca 1906.

CZĘŚC I

MŁODOŚĆ

(1837—1866)

ROZDZIAŁ I.

DZIECIŃSTWO.

(1837—1850).

Zamek w Dzikowie. Jan Bogdan Tarnowski. Gabryela z Małachowskich Tarnowska. Kasztelan Jan Feliks Tarnowski. Pierwsze lata dzieciństwa. Wpływ najbliższego otoczenia. Kościół w Dzikowie. Kaplica zamkowa. Biblioteka i galerya obrazów. Sandomierz i Kraków. Rok 1846. Znajomi i krewni. Pierwsze nauki. Ksiądz Gargaszyński. Pierwsze czytane książki. Pisarze w rodzinach Tarnowskich i Małachowskich. Rok 1848. Czytanie *Czasu*. Kazania ks. Kaysiewicza. Sejm w Wiedniu i w Kromieryżu. Śmierć babki. Śmierć ojca. Matka na czele rodziny.

Wśród malowniczej okolicy, »w powabnem nad brzegiem Wisły położeniu«, w bliskości i prawie naprzeciw Sandomierza, a w najbliższem sąsiedztwie galicyjskiego miasteczka powiatowego Tarnobrzega, na niezbyt wyniosłem wzgórzu, okolonem bardzo jeszcze wyraźnemi śladami obronnych wałów i fos, świadczących o dawnej warowni, w otoczeniu wspaniałego i na całe województwo sławnego parku, słynącego mianowicie »bogatym zbiorem krzewów i roślin z pod obcego nieba szczęśliwie nadobnej ustroni przyswojonych«, »obdarzony od natury uroczemi widokami«, wznosi się starożytny zamek z wieżą zegarową, gniazdo rodzinne Tarnowskich [1]).

W tym to zamku Dzikowskim, dnia 7 listopada 1837 roku, z ojca, hrabiego Jana Bogdana, i matki, Gabryeli z hrabiów Mała-

[1]) Nazwę wsi Dzików — czytamy w *Słowniku Geograficznym* — spotyka się w dokumentach nieprędzej, aż w samym początku XVI wieku; wieś ta, albo wówczas oddawna była osadzoną, albo może rodzina Tarnowskich obrała tam sobie dopiero wtedy mieszkanie; cała okolica bowiem już przeszło od dwóch wieków do tej familii należała. Dobra Dzików zostały w roku 1522 nabyte od rodziny Ossolińskich przez Jana Spytka Tarnowskiego. On też pierwszy pisze

chowskich, przyszedł na świat, jako ich czwarte dziecko a drugi syn, Stanisław Tarnowski, który z czasem, jako godny potomek cnego rodu Leliwitów, tak chlubnie miał się zapisać na kartach literatury polskiej.

A ledwo ujrzał światło dzienne, zaraz, od pierwszej chwili, »dostał nieocenione w życiu dobro: szlachetne otoczenie, nieustanne działanie najlepszych wpływów: przyszedł na świat w domu, którego zasady katolickie, uczucia polskie i stopień cywilizacyjny, były tak wysokie, jak się nie często zdarza« [1]).

Ojciec jego, pan na Dzikowie i innych włościach w Galicyi i w Królestwie, w r. 1845 członek Stanów Galicyjskich, w roku zaś 1848 poseł na sejm ustawodawczy rakuski w Wiedniu, a następnie w Kromieryżu, był człowiekiem wyjątkowej szlachetności, a ci, co go pamiętają, świadczą zgodnie, że gdyby żył w innych czasach, t. j. gdyby miał odpowiednie pole do działania na niwie społecznej i politycznej, niewątpliwie byłby się odznaczył, jako mąż czynu, i wybił się na jakieś pierwszorzędne stanowisko w kraju. Ale trafił na czasy, w których Polak nic nie mógł zdziałać na szerszej arenie w państwie Habsburgów. Pod tym względem miał on wiele wspólnego z owym Janem Amorem Tarnowskim, kasztelanem konarskim, którego Franciszek Bohomolec, przypisując mu wydany przez siebie żywot hetmana Tarnowskiego, tak charakteryzuje: »Nie wątpię, iż nie ustąpiłbyś i na krok z jego toru, gdybyś miał tę samą, co i on, służenia ojczyźnie sposobność. Natrafiłeś na takie w niej czasy, kiedy i największe przymioty, nie mając placu dla siebie, muszą próżnować. Najsławniejsi u świata bohatyrowie winni są wielkość swoją szczęśliwym przypadkom: fortuna je nastręcza, a cnota z nich pożytkuje. Gdyby oni nie miewali trafunkowych do okazania swej cnoty przygód, nikt by o nich dziś nie wiedział, że kiedyś żyli na świecie. Są mi znajome lepiej, niż wielu innym zacne serca i umysłu twojego przymioty: mogę to śmiele mówić, iż gdybyś w tym stanie znalazł ojczyznę, w jakim była za czasów Jana Wielkiego, podobno byś go doszedł czynami twojemi... Wszakże i w tym rzeczypospolitej naszej iż tak rzekę letargu potrafiłeś sobie zjednać i dobre u wszystkich

się między innemi dziedzicem Dzikowa. Tenże Spytek był prawdopodobnie założycielem zamku dzikowskiego, którego pierwsze wspomnienie spotyka się dopiero w r. 1619 w działach familijnych prawnuków Spytka. Środkowa część zamku i lewe skrzydło są najdawniejsze; skrzydło prawe pochodzi prawdopodobnie z XVIII wieku.

[1]) Słowa te wyjęte ze wspomnienia o Konstantym Górskim, doskonale w tym razie dadzą się zastosować i do pierwszych wpływów, którym ulegał sam Tarnowski. Zob. *Przegląd Polski*, 1901, maj, str. 186.

imię, i powszechną miłość. Znać i teraz po tobie, żeś Tarnowski, nieodrodny potomek owych sławnych Tarnowskich, którym wielką część szczęścia i obszerności swojej winna jest ojczyzna« [1]). Słowo w słowo to samo da się powiedzieć i o Janie Bogdanie Tarnowskim. Urodzony w Horochowie na Wołyniu d. 20 sierpnia 1805 roku, z ojca hrabiego Jana Feliksa, późniejszego kasztelana Królestwa Polskiego, członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, znanego pisarza, i matki hr. Waleryi Stroynowskiej, ciotki Hieronima Stroynowskiego, a synowicy uczonego i zasłużonego krajowi biskupa-nominata wileńskiego, pierwsze nauki otrzymał w domu, pod okiem matki. Następnie kończył słynne lyceum krzemienieckie, gdzie »pilnością w naukach zasługiwał na medale, a wzorowem postępowaniem na listy pochwalne«... Jednocześnie »dusza jego nabierała niepospolitego hartu pod wpływem z jednej strony bogobojnego i uczonego ojca, z drugiej równie wiekopomnego męża, Tadeusza Czackiego, podówczas kuratora lyceum krzemienieckiego, a wujecznego dziada swego«. Wyższe studya odbywał w Paryżu, gdzie razem z matką przebywał przez przeciąg lat dwóch [2]). Wcześnie, bo już w 24-ym roku życia ożeniony, gdy po

[1]) We wspomnieniu o Janie Tarnowskim (starszym bracie Stanisława) pisze Ludwik Dębicki, iż ojciec jego był to mąż, o którym świadczą ci, co go znali, że brakło tylko warunków w kraju, aby wystąpiła w pełni jego zdolność i niezmierna zacność na wzór dla społeczeństwa«. *Z teki dziennikarskiej*, II, 232. W roku 1870, w równych dwadzieścia lat po śmierci ojca, pisał St. Tarnowski o wybitnych ludziach tego pokolenia: »W tych smutkach, które są tłem i treścią naszego życia, są może rzeczy gorsze, ale mało jest równie bolesnych, jak widok znakomitych sił i zdolności, skrępowanych, niemogących rozwinąć się w działaniu, schodzących wreszcie z pola bez takich śladów, jakie byłyby zostawiły w każdym innym kraju, bez takiej karty, jakąby sobie były zapisały w dziejach innego, szczęśliwszego narodu. Skarżymy się nieraz na brak ludzi prawdziwie wyższych, i słusznie może, jeżeli o dzisiejszem myślimy pokoleniu; ale spojrzyjmy cokolwiek poza siebie w niedawną jeszcze przeszłość, a ile tam znajdziemy organizacyi potężnych, ile umysłów wyższych, które w innych warunkach byłyby mogły przynieść narodowi swemu chlubę i pomyślność, a nam były tylko ozdobą i zostawiły żal głęboki, że niczem więcej stać się nie mogły«. *Przegląd polski*, 1870, maj, str. 199-200. Leon Rzewuski.

[2]) O jego edukacyi tak pisze autor *Wspomnienia pośmiertnego dwóch matron polskich* (Lucyan Siemieński): »Żona (Walerya Tarnowska) wtedy zastępowała go (Jana Feliksa Tarnowskiego, bawiącego w Warszawie), czuwając (w Dzikowie) i kształcąc zarazem dorastających synów; jej gorliwe starania szczególniej zwrócone były na najstarszego Jana Bogdana, w którym upatrując wyższe usposobienie, pragnęła go widzieć, równie jak męża, użytecznym krajowi. Po skończonych z chlubą w Krzemieńcu szkołach, zawiozła 18-letniego młodzieńca na dwa lata do Paryża, gdzie władając nim potęgą religii, serca i rozsądku, potrafiła przeprowadzić niezachwianego w cnocie syna wśród zepsucia dla tylu innych zgubnego; pierwiastkom tej świętej pracy dopomagał szanowny i uczony ksiądz Julian Antonowicz, niegdyś Bazylianin, rektor szkół w Włodzimierzu«.

roku 1831 osiadł w Dzikowie, szybko tu sobie zdobył dzięki swemu »wyższemu usposobieniu« powagę i poważanie wśród obywatelstwa, a miłość wśród ludu i podwładnych. Wykształcony i cywilizowany, wzrosły w atmosferze tej francusko-polskiej kultury, jaką się odznaczały wyższe warstwy społeczeństwa naszego w epoce Królestwa Kongresowego, a która w jednakim stopniu cechowała obie rodziny, Tarnowskich i Małachowskich, posiadał wszystkie przymioły *Pana Podstolego,* czy to jako wzorowy ziemianin i obywatel kraju, czy jako przykładny mąż i ojciec rodziny. Oto, co o nim w tej mierze pisze jego bezimienny biograf [1]): »Samem tylko ścisłem pełnieniem cnót domowych i obywatelskich tak mimo szlachetnego umiłowania równości wzniósł się nad innych w całej okolicy, tak dzierżył opinię, że wielu ode złego wstrzymywała sama myśl, »co na to powie Tarnowski«. Miał z tem wszystkiem wielką skromność, prostotę charakteru i prawdziwą serdeczność duszy; to wszystko czyniło mu słodkiem i drogiem życie domowe. Głęboko religijny, »syn kochający i pełen uszanowania dla rodziców, małżonek przykładny, wzór dobrych ojców, przyjaciel szczery i wylany, dla sąsiadów uprzejmy, otwarty i serdeczny, dla podwładnych łagodny i sprawiedliwy; dla cierpiących, potrzebujących i ubogich czuły, dobry i miłosierny, doznawał w okolicy od wszystkich wszelkiego stanu mieszkańców rzetelnego szacunku i przywiązania« [2]). Kochając i będąc kochanym, »miał wzniosłe przywiązanie do swoich, w nim wszelki egoizm natury ludzkiej łagodził się, miękczył, roztapiał i oczyszczał, tak, iż żył całkiem wylany duszą dla rodziny«. »Przy wrodzonej wesołości charakteru, która w obcowaniu ze swojemi objawiała się miłym dowcipem, dziecinną prawie żartobliwością, uczucie, jakie powszechnie wzbudzał, było uszanowanie i ufność taka, iż każdy w jakiejbądź wątpliwości, czy wieśniak, czy sąsiad, czy duchowny, czy izraelita, odwoływał się do zdania Jana Bogdana Tarnowskiego; publicznem zaufaniem zaszczycony, był, nie ubiegając się sam o to, sędzią we wszystkich sprawach, opiekunem często nieznanych sierot, opatrznością każdego dotkniętego jakąkolwiek klęską: czy zatopiony wodami, czy pożarem mienia pozbawiony, czy w marzeniach politycznych zabłąkany, każdy do

---

[1]) *Wspomnienie pośmiertne o Janie Bogdanie hrabi Tarnowskim.* (Przedruk z *Pamiętnika gospodarskiego)* Lwów, 1850, w drukarni Zakładu narodowego Ossolińskich. Str. 16.

[2]) Jeszcze po dziś dzień — jak świadczy prof. Matusiak — śpiewają włościanie dzikowscy:

Niema ci to niema, jak ci to w Dzikowie,
Tam są polskie panie i polscy panowie.

niego trafił o pomoc, o radę; każdy wiedział, że znajdzie rękę, która go wesprze, serce, które go pojmie, głowę, która go przekona i uspokoi«. Ubóstwiany przez żonę, dla której był »nieporównanym mężem«, wcieleniem wszystkich cnót, doskonałością zupełną, ideałem absolutnym, i przez innych był uważany za wzór do naśladowania. »Ci, co go od kolebki znali, przechodząc wszystkie jego życia koleje, twierdzili, że w dzieciństwie nie był dzieckiem, w młodości był mężem dojrzałym, w dojrzałości doskonałym. Ktokolwiek mu był bliskim, czerpał w słodkiem jego wejrzeniu spokojność, w jego sercu bezpieczeństwo, w jego pobożności nadzieję. Przy wrodzonej pięknej powierzchowności zdobił go jeszcze blask nieskazitelnego sumienia. Wszystkie cnoty i czystość ducha odbijały się na jego szlachetnem czole: słońce prawdy zawsze przyświecało budującym jego czynom, a noc nigdy nie potrzebowała ukrywać żadnej nieprawości« [1]). Podobne, choć bardziej przedmiotowe świadectwo wystawia mu Lucyan Siemieński: »Miał on szczęście być kochanym od ludzi, jeżeli szczęściem nazwać można wartość osobistą, owe przymioty charakteru, na których ślepo polegasz, owo złote serce, wylane dla drugich, ową wreszcie woń dobrego wychowania, dającą się pogodzić z najwyższą prostotą. Wielka zacność, i ta ujmująca prostota, była u niego talizmanem, oczarowującym ludzi, że go musieli kochać. Najwspanialsza to spuścizna, jaką zostawił dzieciom po sobie« [2]).

A taką samą była ich matka. Urodzona w roku 1800 z ojca Stanisława hr. Małachowskiego, generała brygady wojsk Księstwa Warszawskiego, senatora-kasztelana Królestwa Polskiego, i matki Maryi Anny z hr. Stadnickich, starościanki ostrzeszowskiej, była to ze wszech miar kobieta niepospolita, piękny typ niewiasty i damy polskiej. Kajetan Kożmian podziwiał »tkliwość« jej charakteru, a wszyscy, co ją znali, jak np. Lucyan Siemieński, sławili jej wielkie serce, jej umysł niezwykły, jej wdzięk i prostotę w obejściu, jej wrodzoną wesołość i swobodę, a także i jej prawdziwie męską energię, gdy tego wymagały okoliczności. »Trzeba ją było widzieć — pisze Siemieński — taką, jaką była w zamku dzikowskim, otoczoną dziećmi [3]),

---

[1]) *Rys życia Jana Bogdana Tarnowskiego*, Kraków, 1850, w zakładzie wydawnictwa dzieł katolickich przy ulicy Floryańskiej L. 503, str. 16. Z przedmową Walerego Wielogłowskiego. Autorką tego życiorysu jest Gabryela z Małachowskich Tarnowska, żona Jana Bogdana.

[2]) *Dwaj Juliusze*, str. 113.

[3]) Dzieci tych było pięcioro: trzech synów, Jan, Stanisław i Juliusz, i dwie córki, Walerya i Karolina. Najstarsza z rodzeństwa, Walerya, wyszła w r. 1855 za Franciszka hr. Mycielskiego (syn jej, Dr. Jerzy Mycielski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest od r. 1885 redaktorem *Przeglądu polskiego*); Karolina

oddychającą niemi, szczęśliwą ich szczęściem, smutną ich smutkiem, ożywiającą się ich wesołością i żartami, dzielącą z niemi ich zabawy, poważną głębokością uczucia, mądrą światłem wiary, prostą, przystępną; dobroczynność posuwającą dalej, niż idzie jałmużna, bo niedość, że ręka jej zawsze była otwartą na głos nędzy lub cierpienia, ale w swych modlitwach, gorących wiarą, nie przepomniała nikogo, o kim dowiedziała się, że chory, lub upadły na duchu, lub zgnębiony jakiem nieszczęściem. Zapewne Bogu tylko wiadomo, ile razy prośba tej czystej wierzącej duszy odwróciła jaką klęskę prywatną lub publiczną... Ci przynajmniej, co ją bliżej znali, polecali się nieraz jej modlitwom, pełni ufności, że z tego czystego serca tem przyjemniejsza woń modlitwy wzbija się do nieba. Była to natura zupełnie niepodobna do tych pretensyonalnych doskonałości, co chcą za takie uchodzić przed światem. Jej doskonałość mieściła się w dziwnie harmonijnem połączeniu serca z umysłem bystrym, wykształconym, przyjemnym i łatwym w stosunkach towarzyskich. Surowa dla siebie, a wyrozumiała dla drugich, nie skutkiem obojętności, lecz prawdziwej miłości bliźniego, podbijała dobrocią; panowała też w jej obecności najzupełniejsza swoboda. Młodzi bawili się, pustowali, dowcipkowali; gdy ona nieraz trafnem rzuconem słówkiem podniecała werwę, jak znowu, gdy ta przekraczała granicę właściwą, jednem słowem lub wymownem spojrzeniem umiała powściągnąć. Dziwnie łączyła się w niej godność poważnej matrony z dobrocią i łatwością młodych lat rówieniczki«...[1]). »Tym z żyjących, pisze dobrze ją znający Jan Stadnicki, którzy ją widzieli, nie zejdzie z pamięci postać tej pani wątłego zdrowia, anielskiej słodyczy, zakonnego niemal poświęcenia«[2]), tak, jak dotąd nie zapomniał o niej lud wiejski, który ją po dziś dzień nazywa »świętą niewiastą«, i śpiewa o niej, patrząc na zamek lub klasztor dzikowski:

Noświetso Panienko, cudowno, dzikowsko,
Przym do swoi chwoły hrabinę Tornowską
Bo ona, co mogła, ubogim dajała,
Głodnych nakarmiła, sieroty odziola[3]).

Tarnowska poślubiła w r. 1853 Jana Tarnowskiego z Chorzelowa, posła do Rady Państwa. O niej to, pisząc życiorys jej męża, wyraził się Jan Stadnicki, że »ci co ją bliżej znali, mogą zeznać, że jeżeli ludzka istota zbliżyć się może wdziękiem do anioła na ziemi, to Karolina Tarnowska była anielską postacią i wcieloną doskonałością. *Przegląd polski*, 1898, IV, 425.

[1]) *Dwaj Juliusze*, str. 134—136.

[2]) Jan Stadnicki, *Wspom. pośm. o Janie Tarnowskim z Dzikowa* (w księdze Zdzisława Tarnowskiego).

[3]) Prof. Szymon Matusiak, *Wsp. o Janie Tarnowskim z Dzikowa* (Krakus) przedruk w księdze Zdzisława Tarnowskiego.

Chowając się pod okiem tak zacnych i światłych rodziców, wzrastał mały Staś w »zdrowem duchowem powietrzu, w takich, jak być powinny, warunkach rodzinnego ogniska, w dobrych przykładach, w dobrem i czerstwem pojęciu życia« [1]). Lata dziecięce i pacholęce upłynęły mu częścią w Dzikowie, częścią w Krakowie, a do piątego roku czuwało nad nim, oprócz rodzicielskiego, jeszcze i troskliwe oko dziadka-kasztelana. Ten bowiem — opowiada o nim Kajetan Koźmian — »wróciwszy do ulubionego gniazda, już się więcej z niego nie oddalił; ale otoczony dorosłą i dorastającą rodziną, oraz drobnymi wnukami, poił się wśród dobrych dzieci rozkoszą dobrego ojca, używał z niemi umysłowych zapasów, i tem używaniem słabnące siły krzepił. Zatrudniał się szczególniej zamierzonem uporządkowaniem i godnem umieszczeniem drogich nabytków naukowych, które przez całe życie swoje zbierał«. Głęboko pobożny, on to w swoim czasie odnowił i »ozdobami opatrzył« kaplicę zamkową dzikowską, a pobożność jego, »oświecona, czysta, jawna i szczera«, nie pozostawała bez wpływu na dom cały. »Nigdy on dnia nie zaczął, nigdy spoczynku nie użył, aby z ugiętemi kolanami z całą swoją rodziną nie niósł tam, w kaplicy zamkowej, gorących modlitw i wdzięcznych dzięków«. Albowiem »nie zapierał się religii, lecz wobec zepsutego świata wszystkie jej przykazy, wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne znamionujące ją oznaki wiernie i ściśle wypełniał. Rodzinę swoją do wypełniania ich przykładem, jak sam był od najmłodszych lat uczony, skłaniał; nad zachowaniem ich przez sługi i domowników pilnie czuwał« [2]). W roku 1841 tknięty paraliżem, utracił mowę i przytomność, co sprawiło, iż syn jego, Jan Bogdan, »nieodstępny przez miesięcy jedenaście od łoża chorego, przebył nieznacznie i bez wewnętrznej chluby nieporównaną cnotę cierpliwości, bawiąc godziny na odgadywaniu w ojcu przytępionych chorobą myśli«. Przy śmierci kasztelana w dniu 3 maja 1842 roku, obecną była cała rodzina, tak, iż umierający — jak pisze Kajetan Koźmian — »słyszał rzewną żałość cnotliwej małżonki, płacze dzieci i wnuków, tkliwą o błogosławieństwo troskliwość, czuł usta ich na swojej ziębnącej ręce, czuł łzy na nią ciekące«. Małżonka jego przeżyła go o lat kilka. Jan Popiel, który ją znał w tej epoce już po śmierci męża, tak pisze o niej, z powodu jej wpływu na wnuków, nad których wychowaniem czuwała: »Pani ta była typem polskiej szlachetnej matrony w najlepszem tego słowa znaczeniu. Prostoty największej, a powagi wiel-

[1]) Stanisław Koźmian, *Pisma polityczne.* Życiorysy dwóch marszałków. *Jan hrabia Tarnowski z Dzikowa.*

[2]) Kajetan Koźmian, *Rys życia Jana Feliksa hrabiego Tarnowskiego.*

kiej rozumu, wesoła, dziwnie odważna, a kraj miłująca tak instynktowo, jak matka dziecko swoje. W czasie, gdy wiele pań naszych niezbyt poprawnie po polsku mówiło, nie słyszałem jej nigdy inaczej, jak po polsku mówiącą, i to językiem tak jędrnym, że mnie to, choć ledwo 12-letniego, uderzyło«. Te jej ostatnie lata, które — ze śmiercią dziadka włącznie — należą do najwcześniejszych wspomnień dziecięcych Tarnowskiego, tak opisuje Siemieński: »Długa słabość, potem strata męża, resztę zdrowia nadwyrężywszy, przerwały wszelkie czynności majątkowe. Zastąpił ją wszędzie, jak i ojca, syn, wybrany na urzeczywistnienie świetnych rodzicielskich nadziei, przykładów, starań i błogosławieństw. Przy nim w Dzikowie matka odetchnęła po trudach i ciosach. Tam snuć zaczęła nowe pasmo zasług, któremi uwieńczyła srebrne włosy, jakgdyby złotogłowiem z gwiazd niebieskich: tam przez lat sześć żyła życiem drugich. Otoczona dziećmi, wnukami, przyjaciółmi, sierotami, dogadzała bez przerwy wrodzonej potrzebie kochania«. [1]). Stąd i ów kraj lat dziecinnych, o którym powiada Mickiewicz, iż on zawsze zostanie

> Święty i czysty, jak pierwsze kochanie:
> Niezaburzony błędów przypomnieniem,
> Niepodkopany nadziei złudzeniem,
> Ani zmieniony wypadków strumieniem,

zapisał się w pamięci przyszłego profesora literatury polskiej nader pogodnie, jak o tem świadczy chociażby tylko opowiadanie *O Czasie i jego redaktorach*, w którem ustępy, poświęcone wspomnieniom z lat dziecięcych, tak są zaprawne jakimś rzewnym wdziękiem...

We wspomnieniach tych, na tle nadwiślańskiego krajobrazu Dzikowa i Wielowsi, niewątpliwie poczesne miejsce zajmuje miejscowy kościół i klasztor OO. Dominikanów, fundowany w r. 1676 przez Jana Stanisława Tarnowskiego, i jego małżonkę, Barbarę Firlejównę. W kościele tym, nader poważnym strukturą, znajduje się w wielkim ołtarzu cudowny obraz Najświętszej Panny, zwanej Dzikowską. Obraz ten, przywieziony w XVII wieku przez nieznanego towarzysza pancernego, zrazu zawieszony w kaplicy zamkowej, gdzie w r. 1675 cudownie się objawił, został stąd 20 maja 1678 r. uroczyście przeniesionym do świeżo zbudowanego kościoła [2]), gdzie od owej chwili co

---

[1]) *Wspomnienie pośmiertne dwóch matron polskich*, (Anny hr. Małachowskiej i Waleryi hr. Tarnowskiej). Kraków, 1852, str. 17—19.

[2]) Kościół w Dzikowie należy do rzędu najokazalszych w kraju świątyń, tak pod względem swych rozmiarów, jak wewnętrznego urządzenia. Szczególniej pięknym jest wielki ołtarz, ponad którym u góry unoszą się połączone herby fundatorów: Leliwa i Lewart. W ołtarzu mieści się obraz cudowny Matki Boskiej

roku po kilka razy odbywają się słynne odpusty, gromadzące tysiączne rzesze ludu z okolicy, zarówno z Galicyi, jak z Królestwa. Zwłaszcza flisacy i sternicy, płynący z tratwami i z t. zw. berlinkami, czczą Matkę Boską Dzikowską, jako swą szczególną opiekunkę, zanosząc modły o szczęśliwą podróż [1]).

Poważny zamek dzikowski niemniej silnie musiał przemawiać do wyobraźni przyszłego autora *Pisarsów politycznych*. Z temi starożytnemi murami zamkowemi, oprócz tradycyi rodzinnych, wiązało się wiele wspomnień dziejowych, wspomnień doniosłych nieraz, z których ostatniem było wspomnienie Konfederacyi Dzikowskiej [2]), zawiązanej w listopadzie 1734 roku po śmierci Augusta II przez stronnictwo Stanisława Leszczyńskiego w zamiarze utrzymania go przy tronie polskim. Wielka sala, w tych rozmiarach powstała po rekonstrukcyi zamku przez Lanciego, a więc po r. 1830, zajmuje środek zamku, a z okien jej rozciąga się wspaniały widok na odległą o pół mili Wisłę i niedaleki na przeciwnym brzegu Sandomierz. Wewnątrz zamku, w jego rozległych komnatach i salach, mieszczą się wspaniałe zbiory pamiątek, a wśród nich nie brak i takich, któreby i w »narodowym pamiątek kościele« nie należały do ostatnich. Taką pamiątką, narodową i rodzinną, jest buława hetmańska Jana Tarnowskiego, wielkiego hetmana koronnego, najdrogocenniejszy klejnot rodziny Tarnowskich; taką pamiątką jest laska marszałkowska Stanisława Małachowskiego, marszałka Sejmu Czteroletniego, najdrogocenniejszy klejnot rodziny Małachowskich. Jak ta buława widziała zwycięskie hufce polskie pod Obertynem, tak przy tej lasce zaprzysiężono Konstytucyę 3 maja!... Biblioteka dzikowska, zwłaszcza obfitująca w »białe kruki«, słynie na kraj cały, jako jeden z najbogatszych księgozbiorów w Polsce. Założycielem jej, właściwym twórcą, choć już i dawniej

---

w srebrną i złotą przybranej sukienkę. Cyboryum ze szczerego srebra, bardzo wytwornej roboty, również dar fundatorów. Było i srebrne antepedium, płaskorzeźba (massif), dar konfederacyi dzikowskiej z r. 1734, ale go za Józefa II Austryacy zabrali i na pieniądze przetopili.

W tym to kościele dzikowskim pochowani są: Jan Feliks Tarnowski, Walerya z Stroynowskich Tarnowska, Jan Bogdan Tarnowski, Gabryela z Małachowskich Tarnowska, Juliusz Tarnowski i Michał Tarnowski (syn Jana Jacka i Rozalii z Czackich).

[1]) Dnia 8 września 1904 r. odbyła się w Dzikowie uroczysta Koronacya tego obrazu Matki Boskiej. Zob. w *Czasie* korespondencyę z Dzikowa, poświęconą opisowi tej uroczystości.

[2]) Podpisali ją, jako marszałkowie, Adam Tarło, starosta jasielski, i Maryan Ogiński, wojewoda witebski, Jan Wojakowski, jako sekretarz związku, kilkunastu senatorów, dygnitarzy, tudzież znaczna liczba posłów i urzędników ziemskich.

Dzików posiadał cenny księgozbiór, był dziad Stanisława Tarnowskiego, Jan Feliks, który, jako urodzony z Czackiej, już we krwi miał namiętne upodobanie do gromadzenia książek. Jakoż odziedziczywszy po ojcu, Janie Jacku Tarnowskim, staroście bychowskim i kahorlickim, znaczną ilość dzieł polskich, zwłaszcza z XVI wieku, zaczął je kolekcyonować w dalszym ciągu, w czem mu wuj jego, Tadeusz Czacki, gorliwie dopomagał. Tym sposobem stopniowo zaczęła się tworzyć znaczna biblioteka. Nabywszy cały księgozbiór klasztoru Cystersów w Oliwie, oraz bibliotekę pojezuicką z Sandomierza, i także całą ocalałą część biblioteki po Stefanie Batorym, zakupił w r. 1822 wspaniały księgozbiór opata kieleckiego, ks. Hieronima Juszyńskiego, ale i w późniejszych latach, po roku 1830, nie ostygał w zapale, aż do końca życia, skupując wciąż nowe bibliograficzne rzadkości, które nieraz płacił poprostu na wagę złota. Tak utworzony księgozbiór dzikowski obejmuje kilkanaście tysięcy dzieł w starożytnych i nowożytnych językach, i posiada same najcelniejsze wydania, najrzadsze druki i edycye, tem cenniejsze, iż znakomicie dochowane; nie mówiąc już o stukilkudziesięciu woluminach rękopisów, między któremi prym trzymają manuskrypty i autografy, dotyczące historyi i literatury polskiej. Wogóle *Polonica*, szczególniej dotyczące XVI wieku, zajmują tu pierwsze miejsce. Z pomiędzy rzadkich druków, wśród których nie brak i unikatów, jak herbarz Jana Gorczyna, wyróżniają się najrzadsze wydania Reja, Paprockiego, Modrzewskiego [1]), Orzechowskiego, poezye łacińskie Joachima Bielskiego »z drukarni Łazarzowej«, niezmiernie rzadkie druki Garwolczyka, komplet dzieł Heveliusza, i wiele podobnych. Wśród manuskryptów, pomiędzy którymi znajduje się i własnoręczny list Jana Tarnowskiego, hetmana koronnego, do Jana Dantyszka, biskupa warmińskiego, są i takie skarby, jak rękopis *Kroniki* Kadłubka, *Statut* Łaskiego, cały spisany na pergaminie, *Statut Wiślicki* w rękopisie Stanisława Łubieńskiego, biskupa płockiego, i wiele innych rzeczy, nietylko cennych, ale jedynych. Oprócz biblioteki, będącej prawdziwą chlubą tej wielkopańskiej rezydencyi, posiada ona, po tymże Janie Feliksie Tarnowskim, niemniej bogatą galeryę obrazów, o której powiada Kajetan Koźmian, że »jest może najrzadszym i najcenniejszym z pośród znanych na polskiej ziemi, gdyż zaczyna się arcydziełami rozmaitych szkół, najsławniejszych mistrzów«. Najcen-

[1]) Na str. 228 tomu I swych *Pisarzy politycznych*, mówiąc o dziele Modrzewskiego *de emendanda Republica* powołuje się St. Tarnowski specyalnie na »egzemplarz biblioteki dzikowskiej«.

ZAMEK W DZIKOWIE.

niejszym obrazem, będącym wielką ozdobą galeryi, jest tak zwany *Lisowczyk* Rembrandta, pochodzący z galeryi Stanisława Augusta. Wielką wartość przedstawia portret Van Dycka, przedstawiający Maryę Villiers księżniczkę Buckingham, żonę Jakóba Stuarta, księcia Richmond [1]), portret, który jeszcze do niedawna uchodził za portret Henrietty Maryi, królowej angielskiej, żony Karola I. Na tej samej wysokości stoi portret Izabelli Austryaczki, siostry cesarza Karola V, a żony Chrystyana, króla duńskiego, pędzla Jana Gossaerta, zw. Mabuse, portret, który do ostatnich czasów uchodził za dzieło Łukasza van Leyden, mylnie uważany za wizerunek królowej angielskiej Anny Boleyn, żony Henryka VIII. Obok *Madonny* pędzla Guido Reni, obok pięknej *Mater Dolorosa* ze szkoły Tycyana, obok *Portretu kobiecego* Jakóba Cuypa, wyróżnia się obraz, zatytułowany *Santa Conversatione*, nabyty jako dzieło Palma Vecchio, obecnie przypisywany przez znawców Bonifacemu Veronese. Bardzo pięknym obrazem jest *Małżeństwo mistyczne św. Katarzyny* przez Gonzaleza Coques (dawniej uważane za dzieło Van Dycka). Z obrazów rodzajowych, obok płócien Albana, Cornelisa, Dusarta, Helmonta, nie brak i dzieł »polskiego« Norblina. Wśród portretów trzymają prym portrety Caraccich. Z pomiędzy krajobrazów należy wymienić cenne pejzaże Józefa Verneta, Buckhauysena i innych [2]). Niemniej drogocenną jest kolekcya oryginalnych rysunków i szkiców, zarówno obcych, jak i polskich artystów, wśród których znajdują się i przepyszne rysunki i akwarelle wsławionego przez Telimenę »naszego malarza Orłowskiego«. Nadto nie należy przepomnieć nader cennego zbioru miniatur, przeważnie polskich z końca XVIII wieku. O kolekcyi tej, nie potrzebującej lękać się współzawodnictwa, jak i o innych skarbach artystycznych, nagromadzonych przez Jana Feliksa i Waleryę Tarnowskich, tak pisze Kajetan Koźmian: »Dodam zbiór wizerunków *en miniature* wszystkich powszechnie znanych lub sławniejszych płci obojej osób, żyjących w wieku Stanisława Augusta, pędzla głośnego wówczas miniaturzysty Wincentego de Lesseur-Lesserowicza; nakoniec zbiór, najzupełniejszy może w kraju polskim, najkosztowniejszych dzieł do sztuk pięknych, rysunki, ryciny i mu-

[1]) O portrecie tym zob. prof. Jerzego Mycielskiego *Antoni Van Dyck* (Kraków. 1900) str. 154—160. Portret ten został nabyty w Rzymie przez hr. Waleryę Tarnowską za pośrednictwem Angeliki Kaufmann.

[2]) Dokładne, naukowo stwierdzone wiadomości o tych obrazach galeryi dzikowskiej mam do zawdzięczenia prof. Jerzemu Mycielskiemu, który je pierwszy sprowadził do właściwego mianownika, prostując niejedną błędną opinię Siemieńskiego.

zea różne. Ani opuścić mogę szeregu pomników dłuta w marmurze, w wyciskach i odlewach, przypominających arcydzieła najsławniejszych mistrzów. Dla tych nieocenionych, zaszczyt smakowi i usilności jego przynoszących zabytków, przetworzył porządkiem gotyckim [1]) dawne i obszerne przodków swoich mieszkanie; i w niem każdemu rodzajowi tych zbiorów, świetny i z całą wytwornością smaku urządzony i ozdobiony przybytek oznaczył. Celuje mianowicie miejsce, księgozbiór polski obejmujące. Poświęcił także obszerną i oddzielną salę obrazom pędzla włoskiego, wysławującym czyny i walki wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego [2]). Ten tak rzadki naukowy zakład, pod straż, zarządzenie i opiekę najstarszego syna obecnych i następnych rodzin oddał«. Wszystko to, oczywiście, musiało wywierać swój wpływ na usposobienie młodego, z natury zdolnego i wrażliwego chłopca, zaostrzać jego zmysł artystyczny, rozwijać poczucie piękna.

Nie bez wpływu także pozostawały — choć nie częste — odwiedziny pobliskiego Sandomierza, na który wypadała droga do Królestwa. Ze swoim zamkiem królewskim, założonym przez Kazimierza Wielkiego, ze swoim średniowiecznym ratuszem, przypominającym krakowskie Sukiennice, ze swemi pozostałościami dawnych murów i baszt, ze swą Bramą Opatowską, tak podobną do Floryańskiej, ze swemi średniowiecznemi domami, śladami dawnej wielkości, ze swemi licznemi kościołami, strukturą pokrewnemi krakowskim, z domem Długosza, z celą św. Jacka, z grobowcem Ostroroga, starożytny ten gród, nieraz odwiedzany w dzieciństwie i później, głęboko się wyżłobił w pamięci Tarnowskiego, a więc nie pozostał i bez »wpływu psychologicznego« na jego młodociany umysł. O wrażeniach, jakich doznawał, bądź to patrząc — z okien dzikowskiego zamku — na pobliski Sandomierz, bądź też, gdy przejeżdżał tamtędy, pisze on sam (nie o sobie wprawdzie, ale z pewnością i w odniesieniu do siebie) w następujących słowach, pozwalając się domyślać, iż i dla jego, »różnych instynktów i upodobań« podsandomierska ta okolica posiadała szczególny powab: »Ze wsi... patrzał na Wisłę i na Sandomierz, a ten swojemi staremi murami mówił mu o starych dziejach, których był świadkiem. Tatarzy i Szwedzi, królowa Jadwiga i św. Jacek, wszystko to stawało mu w oczach, kiedy patrzał na biedne dziś opustoszałe miasteczko; czterdziestu Dominikanów poniosło śmierć męczeńską w tym kościółku z czerwonej

[1]) Przebudowy pałacu w stylu neo-gotyckim dokonał znany architekt Lanci. Ob. Anneksy pod literą C.

[2]) O malowidłach tych, pędzla malarza del Frate. Ob. Anneksy pod literą C.

cegły, który widać na uboczu za miastem, pod jego sklepieniem nagrobek księżnej Adelajdy, siostry Leszka i Konrada, sama budowa przypomina ukochany wiek XIII, *magnum saeculum sanctorum;* w katedralnym skarbcu niemało także pięknych zabytków i pamiątek, a bliżej, na prawym brzegu Wisły typowy polski krajobraz z kępami nad rzeką i pasem sosnowych lasów z daleka, duża wieś — Wielowieś — kościółek ubogi, drewniany, ale stary i wspominany w najdawniejszych aktach i osłoniony lipami, do tego i plebania o krok od niego, a wieś duża, dość zamożna, z ludnością, która w ubraniu i obejściu zachowała coś pierwotnego i poważnego, i wygląda, jak mógł wyglądać Piast, wszystko to razem trafiało mu do upodobania i do wyobraźni, mówiło o przeszłości, o staropolszczyźnie, a działało przyjemnie na zmysł artystyczny, niezmiernie czuły, trafny i wykształcony« [1]). Że wszystko to budziło podobne wrażenia i w Tarnowskim, zarówno w dzieciństwie, jak w latach młodzieńczych, o tem, znając go, niesposób powątpiewać.

Jakiż dopiero pod tym względem musiał być wpływ Krakowa, gdzie Tarnowski, z braćmi i siostrami, przez dwa lata, w roku 1847 i 1848, mieszkał, jako dziewięcioletni chłopiec, w domu babki [2]). W swojej monografii o *Matejce*, analizujac różne wpływy, jakim od dziecka ulegała dusza twórcy *Hołdu pruskiego*, podkreśla Tarnowski między innemi nader doniosły psychologiczny wpływ Krakowa, który silniej niż każde inne miejsce na świecie — słowa są autora pomienionej książki — »nęci polską duszę w kraj pamięci«. »Jest w miejscach wpływ tajemniczy, który działa na każdego, byle on miał trochę duszy, ale nie na każdego równo. Czuje go szczerze, poczciwie, szlachetnie, człowiek zwykły; wyjątkowy wciąga go w siebie z gorzką jakąś lubieżnością żałości i przetwarza go w sobie po-

---

[1]) *Czas* z 26 sierpnia 1882, *Ksiądz Juliusz Leszczyński*. W pismach Tarnowskiego, zwłaszcza w tych, w których dominuje nuta osobista, jak n. p. w zapiskach *Z Wakacyi*, dość często spotykamy się ze wzmiankami o Sandomierzu. Tak n. p. opisując ornaty i aparaty kościelne w Ławrze kijowskiej (I. 90), gdzie je przechowują w osobnych wspaniałych szafach, pisze St. Tarnowski, co następuje: »Rzecz prosta, że w takiem schowaniu aparata się nie niszczą, nie tak jak u nas, w Sandomierzu naprzykład, gdzie widziałem w katedrze bardzo piękne ornaty, wiszące nawet bez przykrycia na poręczy od schodów, prowadzących do jakiegoś kapitularza, w kurzu i wilgoci«...

[2]) Zob. Jana Popiela *Wspomnienie o Janie Tarnowskim* (w książce Zdzisława Tarnowskiego), poświęconej pamięci ojca. We wspomnieniu tem pisze Jan Popiel: »W roku 1847 i 1848 mieszkała w Krakowie na Mikołajskiej ulicy wdowa po Janie Feliksie Tarnowskim, Stroynowska z domu, i przy niej chowały się wnuki«. Ten dom na Mikołajskiej ulicy, to ten sam, na rogu plantacyj, gdzie dziś urząd policyi. Prócz tego mieszkano w Rynku, w pałacu Wodzickich.

tężnie. Matejko — a tak samo niewątpliwie i Tarnowski — ulegał temu wpływowi, już jako dziecko, bezwiednie; jako chłopiec już wiedział i rozmyślał, że w tym rodzinnym kącie otaczają go na każdem miejscu i kroku ślady Polski całej, jak była, od Krakusa do Kościuszki; że gdzie spojrzał, to do koła widział w pomnikach »wszystkie od chwały do niewoli stopnie«. Od murów świątyń i grobowych sklepień aż do bruku na ulicach niema nic, gdzieby »z tego kamienia gorzka łza nie ciekła«, gdzieby duch jaki z tamtego świata drogi nie zastąpił i nie pytał: »Co z wami, ach, z wami się stało!« [1]). A w tem drogiem mieście jest «kościół, gdzie przez wieki zbierały się wszystkie modły, łkały wszystkie łzy, brzmiały wszystkie kolędy i pieśni; kościół cały żyjący prośbami tych, co się w nim modlili, potrzebny temu miastu, jak jego serce prawie, a murami swemi, wieżami swemi, heynałami swemi, i tą summą modłów, która przed wieki zeń się podnosiła, wołający: »Pospiesz się Panno ze swoją obroną!« [2]). Jeśli ten zaznaczony tu »wpływ psychologiczny Krakowa« tak był silny na Matejkę, urodzonego z ojca-Czecha i matki-protestantki, to jakże on silnie musiał działać na duszę chłopca, w którego żyłach płynęła krew polska z dziada pradziada, piastowska krew Leliwitów. Jakoż zaprzeczyć się nie da, że już sam liryzm, jakim się odznaczają ustępy w książce o Matejce na temat »wpływu psychologicznego Krakowa«, dowodzi, iż autor, rozwodząc się o tym »tajemniczym wpływie«, wnioskował trochę i na podstawie własnego doświadczenia, sądził po sobie!... A jak ten »Kraków Wandy i Kazimierza, Jadwigi i Batorego, Zygmunta i Sobieskiego, Kościuszki i Księcia Józefa« ze starym zamkiem na Wawelu, z grobami Królów polskich, musiał podniecać uczucie patryotyczne polskie, podobnie i Kraków Św. Stanisława i Jana Kantego, ze swemi starożytnemi kościołami i klasztorami, z podniosłemi nabożeństwami i kazaniami w tych świątyniach, nie mógł nie użyźniać uczuć religijnych, katolickich [3]).

Nie od rzeczy tu może będzie napomknąć, iż z Krakowa do Dzikowa jeździ się przez Tarnów, od którego przecież pochodzi nazwisko Tarnowskich; w latach zaś, kiedy tę drogę Stanisław Tarnowski odbywał najczęściej, jechało się, jeżeli nie własnym powozem, to dyliżansem pocztowym, tak, jak jechał Lucyan Siemieński, który

---

[1]) *Matejko*, str. 15.

[2]) Z mowy na pogrzebie Matejki.

[3]) O przywiązaniu Tarnowskich do religii katolickiej pisze już Orzechowski: »Nie wierz temu, aby to był Tarnowski, któryby kiedy od starożytnej wiary miał ustąpić; to Tarnowski, co i katolik dobry«.

STANISŁAW TARNOWSKI
w 4-ym roku życia
(r. 1841).

w swych *Zapiskach z wycieczek po kraju* podróż z Krakowa do Dzikowa tak rodzajowo opisał [1]). Otóż podobnie, jak Siemieński, i Tarnowski, ile razy w dzieciństwie i latach młodocianych odbywał tę podróż, z konieczności musiał się zatrzymywać dla popasu w Tarnowie, a zatrzymując się tam, z pewnością niejeden raz wstępował do katedry, by się przypatrzyć grobowcowi hetmana Tarnowskiego, który po wsze czasy zostanie wzorem dla wszystkich Tarnowskich. Pomnik ten tak opisuje Siemieński: »Dwa wspaniałe monumenta, Tarnowskiego hetmana i Ostrogskich, zajmujące swym ogromem całe dwie ściany obok wielkiego ołtarza, śmiało mogłyby stać nietylko na Wawelu obok pomników monarchów naszych, ale i w najpiękniejszych katedrach Niemiec i Francyi... Tarnowskiego pomnik z różowego marmuru okryty pysznemi rzeźbami włoskiego dłuta... Ogromny ten monument uderza prostotą, harmonią linii, smakowitością ozdób, a stylem swoim zupełnie przypomina pomniki dwóch Zygmuntów w Jagiellońskiej kaplicy na Zamku. Dzieli się on, jak i tamte, na dwa piętra: wyższe przeznaczone dla W. Hetmana, niższe dla syna jego, Jana Krzysztofa, kasztelana wojnickiego. Posągi marmurowe tych mężów w leżącej postawie, w pełnych zbrojach, spoczywają na sarkofagach... Po obu bokach pomnika widać wyobrażenie walnych bitew hetmańskich, wydanych płaskorzeźbą na alabastrze«... Jeżeli by chodziło o psychologiczny wpływ tego grobowca zwycięzcy z pod Obertyna na młodego chłopca, wzrosłego i wychowanego w kulcie dla tej posągowej postaci, to musiał on być znacznym w pewnym kierunku, bo jeśli już samo szlachectwo obowiązuje, to cóż dopiero świadomość, że się przynależy do rodu, co wydał takiego męża, taki wzór cnót obywatelskich!

Z wrażeń, doznanych w dzieciństwie, w czasie pobytu w Dzikowie, niewątpliwie jednem z najsilniejszych, a wstrząsającem dla

---

[1]) *Czas* z 20 lipca 1853. W czasie, gdy Siemieński przejeżdżał przez Tarnów, pomnik wielkiego hetmana był pociągnięty... wapnem, która to »wapienna szata nowości, rzucona na pomnik jednego z największych bohatyrów, jakich wydała nasza przeszłość«, na wykwintnym znawcy sztuki, jakim był tłómacz *Królodworskiego rękopisu*, smutne musiała czynić wrażenie, »smutne tak samo, jak osoba tego hetmana w zimnej i wymanierowanej tragedyi Felińskiego, w której napróżno byś upatrywał rysów znamionujących ostatni typ rycerza średnich wieków, co to odbierał za swoją rycerskość ostre przymówki od Kniazia Ostrogskiego na Orszańskiem polu, co szukał przygód i sławy u grobu Zbawiciela, w krainie piramid i Sfinksów, a z Luzytańskim Emanuelem walczył przeciw Maurom, patrzył na odkrycia Vasco de Gamy i Alvareza Cabral, i kto wie, czy w jakiem nieodkrytem dotąd *Romancero* nie żyje w pieśni, jak drugi Ruy Diaz, lub Roland«.

całego otoczenia, była złowroga wieść o rzezi galicyjskiej w r. 1846, rzeź, która się srożyła w Tarnowskiem, Bocheńskiem i Jasielskiem, a więc prawie o miedzę od Dzikowa. Rozwścieklone, wódką opojone gromady chodziły od wsi do wsi, napadały na dwory, mordowały, często nie przepuszczając ani starcom, ani dzieciom, ani niewiastom. Do Dzikowa rzeź nie doszła, ale że tego były obawy, dowodzi epizod, opowiedziany przez Tarnowskiego w *Naszych Dziejach*, a niewątpliwie będący jego wspomnieniem z lat dziecinnych. »W obwodzie rzeszowskim, w lasach, leżą wielkie dobra Mokrzyszowskie. Właściciel, Niemiec, mieszkał na Morawach. Rzeź tu nie doszła. Ale gdy doszła o niej wiadomość, trzy wsie: Mokrzyszów, Stałe i Cygany, jednej nocy nasadziły kosy, narządziły cepy i siekiery, i już wybierały się w podróż, żeby »bić rabusiów i rozbójników«. Wstrzymała ich rada z sąsiednich dworów (z Dzikowa), żeby nie szli, bo złemu nie poradzą, a sami na siebie mogą ściągnąć nieszczęście. W tej samej okolicy (w Dzikowie), kiedy w popłochu i trwodze nikt nie wiedział, co się dzieje, czy rzeź jest naprawdę, czy się w te strony zbliża, dowiedzieć się trzeba było koniecznie, żeby w złym razie bronić się i ratować, przyszło do dworu dwóch gospodarzy i ofiarowali się, że pójdą na zwiady. »Panowie nie chodźcie, mówili, ani dworskich ludzi nie posyłajcie, bo może być źle. Ale nam nic nie zrobią«. Poszli i nie wrócili. Oba byli zamordowani o dwie mile od swojej wsi« [1]) Tymczasem zamek dzikowski napełnił się rodzinami szlachty okolicznej, szukającej tu ratunku. Oto, jak tę chwilę opisano w życiorysie ojca Tarnowskiego: »W roku 1846 dom jego stał się przez tygodni kilka schronieniem dla strwożonych po chwilach smutnych w owej epoce wypadków; i słusznie szukano tam przytułku, bo mężobójcze zamiary wstrzymała sama gotowość Tarnowskiego do mężnego odporu. Wtenczas to, jakby za patryarchalnych czasów, zasiadali wszyscy nieszczęśliwi do jednego stołu, przebywali pod dobroczynnym dachem nawet ci nieznajomi, dla których jedynem prawem do gościnności był ich stan niedoli. Kiedy wszyscy o własność swoją niespokojni, szukali, gdzieby ją od grabieży zabezpieczyć, zamek Dzikowski stanął każdemu na myśli, jakby nienaruszona świątynia. I w istocie Tarnowski, zasypany narzuconemi mu pieniędzmi (na które pokwitowania nie brano), troskliwy tylko o świętość depozytu, wywiązał się z tego obywatelskiego zaufania z tą rzetelnością, która nigdy nikogo nie zawiodła« [2]). O wrażeniu, jakie te wypadki wy-

[1]) *Nasze dzieje w XIX wieku*, Wyd. 3-cie, str. 77.
[2]) *Rys życia Jana Bogdana Tarnowskiego.*

warły na 9-letniego wtedy Stanisława Tarnowskiego, informuje następujący urywek z jego szkicu o *Kornelu Ujejskim:* »Nieszczęście roku 1846, smutna odpowiedź na poetyczne złudzenia wielu naszych poetów i polityków, między poetami Słowackiego, Goszczyńskiego, smutne stwierdzenie tych proroctw Kassandry, które Krasiński zamknął w *Psalmie miłości*, spadło wreszcie. Okropne dla tych, dla których było niespodziewanem, może okropniejsze dla tych, którzy je przewidywali; bo tacy, biorąc rzeczy głębiej, wiedzieli, że to nie jest takie nieszczęście, jak przegrana wojna, której skutki zacierają się przez lat kilkanaście, ale rozdarcie, które będzie potrzebowało kilku pokoleń, zanim się wyrówna. Stan osłupienia, jaki potem w kraju nastał, a osobliwie w Galicyi, najciężej, bezpośrednio dotkniętej, pamiętny bardzo wielu — a wśród tych wielu niewątpliwie i Stanisławowi Tarnowskiemu — opisać się nie da. Był w nim przestrach, była rozpacz, było zniechęcenie i zwątpienie; ale nad wszystkiem górował żal, nie do wykonawców nieszczęścia, tylko do jego sprawców. Było zdumienie, iż taki fakt zajść może, a nikt się o niego nie upomni: ludzie ani pisną, Bóg nie karze, jak żeby nie widział ani słyszał. Prostoduszna polska wiara, że wszystko na świecie jest, jak być powinno, dostała wtedy ciężką naukę — tę, że ludzie nie pisną nigdy na nic, a Bóg nie odrazu karze. To uczucie, jakie ma zwykle jeden człowiek po wielkiem nieszczęściu, kiedy mimowolnie pojąć nie może, że świat stoi, jak stał, że się w nim nic nie zmieniło, kiedy w jego świecie wewnętrznym wszystko się zmieniło i zwaliło, to uczucie panowało wtedy w Galicyi, było ze wszystkich może najwyraźniejsze. Trwało dwa lata... A wśród tego stanu osłupienia, który się składał z tysiąca uczuć, żalu, zdziwienia, zemsty, przebaczenia, zwątpienia, i prośby do Boga, rozszedł się nie wiedzieć skąd po kraju wiersz, który dziwnie ten stan w siebie wcielił, dziwnie tym wszystkim uczuciom odpowiadał:

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie, Panie, bije ten głos...

Wrażenie było nie do opisania. Było to zupełnie, doskonale to, co czuł każdy w głębi serca, i było wszystko, co było w sercach. To nie była poetyczna figura, to była prawda, iż ten głos szedł do góry »z dymem pożarów«, i »z kurzem krwi bratniej«, i to prawda, iż od takich widoków, »od takich modłów bieleje włos«, i to prawda, że »my już bez skargi nie znamy śpiewu«. Mało kiedy chwila historyczna, mało kiedy uczucie całego narodu, było tak schwytane na uczynku« [1]).

[1]) *Przegląd polski*, 1898, wrzesień, 465—6.

Wspominając dawno ubiegłe lata, tak raz pisał Tarnowski, we wspomnieniu o Alfredzie Potockim: »W pamięci stoją jeszcze żywo znani w dzieciństwie, choć nieliczni, świadkowie Czteroletniego Sejmu i Kościuszkowscy żołnierze, Napoleonistów wielu i całe pokolenie roku 1830 i emigracyi; zdaje się, że to wszystko jeszcze niedawne i bliskie«. Jedną z takich dostojnych postaci, młodością swą sięgających czasów jeszcze niepodległej Rzeczypospolitej, a które Tarnowski widywał dzieckiem będąc, był przedewszystkiem jego dziad po kądzieli, kasztelan Stanisław Małachowski. Zmarły dopiero w r. 1849 — a więc gdy Tanowski miał już lat 12 — sędziwy bohater z pod Możajska osiadł na starość w rodzinnym swym majątku, Końskie w Królestwie, i tu, w ciszy wiejskiego dworu, otoczonego »nadobnemi i obszernemi ogrodami«, w dali od światowego zgiełku, oddany zajęciom umysłowym, odpoczywał po trudach długiego i »tęsknego« życia. Tutaj też, w Końskich, odwiedzała go raz po raz jego najukochańsza córka, Gabryela, matka Stanisława Tarnowskiego. Opisując ostatnie lata sędziwego kasztelana, powiada w skreślonym przez siebie *Żywocie* jego Kajetan Koźmian: »Pozostałą córkę, wydaną za Jana Bogdana hrabiego Tarnowskiego, dziedzica Dzikowa..., za drugą towarzyszkę uważał, »częstemi jej odwiedzinami i obecnością licznych wnuków radował się, jej najmilej się powierzał, listo-

[1]) *Przegląd polski*, 1889, lipiec. We wspomnieniu o Edwardzie Jędrzejowiczu pisze St. Tarnowski: »Jak wszyscy jego pokolenia, (Jędrzejowicz) rósł i chował się we wspomnieniach roku 1831, a dawniejszych pełna była atmosfera domowa, którą, jako syn Napoleońskiego żołnierza, oddychał«. Tych napoleońskich i dawniejszych wspomnień pełna była i atmosfera w domu Tarnowskich.

[2]) Stanisław Nałęcz Małachowski (ur. 1770 na Szląsku w Lignicy) generał wojsk polskich i senator-kasztelan Królestwa Polskiego, był młodszym z dwóch synów Mikołaja Małachowskiego, wojewody sieradzkiego, wychowańca na dworze króla Stanisława Leszczyńskiego w Lunewillu, urodzonym z Ewy Męcińskiej, wnukiem Jana, kanclerza wielkiego koronnego, prawnukiem Stanisława Małachowskiego, wojewody poznańskiego, posła nadzwyczajnego i pełnomocnego od Rzeczypospolitej Polskiej do Porty Ottomańskiej, który z nią traktat Karłowicki zawarł i podpisał; synowiec rodzony Stanisława, referendarza i marszałka Sejmu Czteroletniego, a któremu powszechność przydomek Aristidesa Polskiego nadała, był bratem młodszym Jana Nepomucena, marszałka trybunału głównego, a później nadwornego króla saskiego, księcia Warszawskiego, nakoniec wojewody Królestwa Polskiego. Ob. Kajetana Koźmiana *Pisma prozą*, Żywot Stanisława Nałęcz Małachowskiego, Generała wojsk polskich, Senatora Królestwa Polskiego.

Życiorys ten, skreślony wkrótce po śmierci Stan. Małachowskiego, pod świeżem wrażeniem zgonu przyjaciela, poświęcił twórca *Ziemiaństwa polskiego*, »nie kartom pism publicznych, nie powszechności narodowej, lecz jedynie całej wielbionej przezeń rodzinie Małachowskich, lecz sędziwej, cnotami słynącej i bolejącej małżonce utraconego przyjaciela, lecz zacnej, tkliwej i umiłowanej przez niego córce« (matce Stan. Tarnowskiego).

wnemi rozmowami krzepił się i nasycał«. Ciekawa to i nader dostojna była postać, ten stary kasztelan Małachowski. Prawdziwa kopalnia domowych tradycyi [1]), wiele mógł opowiadać interesujących historyi, których sam *pars magna fuit*, bo był i świadkiem Czteroletniego Sejmu, i uczestnikiem powstania Kościuszki, i jenerałem wojsk Napoleona, i organizatorem siły zbrojnej w roku 1831, niemało mając do powiedzenia o starym księciu jenerale ziem podolskich, Czartoryskim, o Ignacym i Stanisławie Potockich, o Kołłątaju i Tadeuszu Czackim, jak i o »Aristidesie polskim«, stryju swoim, któremu stale towarzyszył do izby obrad w czasie Wielkiego Sejmu. A niemniej mógł opowiadać o księciu Józefie Poniatowskim, pod którym w r. 1812 służył w oddziale jenerała Kniaziewicza, albo o bitwie pod Możajskiem, która mu przyniosła krzyż legii honorowej. Starzec ten, otoczony aureolą bohaterstwa, jako obywatel-żołnierz, również musiał wywierać pewien wpływ na wyobraźnię chłopięcia, jeśli się zważy, że był to mąż — jak o nim świadczy Kajetan Koźmian — »szlachetną, czystą i bez skazy miłością Ojczyzny pałający, żołnierz-chrześcianin, który wyrokom Opatrzności z religijną poddawał się pokorą«, »chrześcianin, pełen zasługi«, który w przeczuciu śmierci prowadząc częste z kapłanem rozmowy, czekał zgonu z odwagą prawego człowieka. To też, jeżeli chodzi o wpływy, które się przyczyniły do rozwoju uczuć religijnych i patryotycznych w przyszłym czcicielu Leona XIII i autorze *Naszych Dziejów*, zaprzeczyć się nie da, że jego częste pobyty u dziadków w Końskich, a potem, po śmierci kasztelana, u babki, niepoślednią pod tym względem musiały odegrać rolę [2]).

---

[1]) W szkicu o *Kardynale Czackim* Tarnowski tak pisze o nim: Że był wnukiem Tadeusza, niema co przypominać, raczej z domowych tradycyi jedną nieznaną przytoczyć«. *Przegląd polski*, 1888, kwiec. 161.

[2]) W swem wspomnieniu o Janie Tarnowskim (bracie Stanisława) pisze w tej kwestyi Jan Stadnicki, co następuje: »Do Jana Tarnowskiego, jak do wielu innych dadzą się zastosować słowa: Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały«. Dłutem, którem on został wyrzeźbiony, była rodzinna tradycya. Związek małżeński jego rodziców odświeżył dawną wspaniałość rodu Tarnowskich świetnością, jaką zabłyśli Małachowscy w końcu XVIII i z początkiem XIX wieku; świetność polityczna i świetność wojenna zeszły się na to, by przez przeciąg stu lat blisko postawić Małachowskich w rzędzie najpierwszych rodzin polskich. Po Małachowskim ze Sejmu Czteroletniego odznaczył się dziad Tarnowskiego, Stanisław Małachowski, jako świetny oficer z epoki Księstwa Warszawskiego. On to wskoczył pierwszy do reduty rosyjskiej pod Borodinem, prowadząc do ataku 7-my pułk kirasyerów polskich. Córka jego, a matka Tarnowskiego, Gabryela, była siostrą błyszczącego Gustawa i pięknego a bohaterskiego Juliusza, poległego pod Kazimierzem w r. 1831, w chwili, gdy chwyciwszy za karabin, prowadził do szturmu oddział wolnych strzelców województwa sandomierskiego. Nie trudno zrozumieć, jak owe wspomnienia wpływały na duszę i serce synów Gabryeli Tarnowskiej«.

A taką samą atmosferą, katolicką i patryotyczną, oddychał i w innych zaprzyjaźnionych domach, czy to w Krakowie [1]), u licznych znajomych i krewnych, czy to w Chorzelowie naprzykład, u swych krewnych Tarnowskich, z których domem łączył go nadzwyczaj bliski stosunek »od najwcześniejszego dzieciństwa, jak daleko pamięć sięgnąć może«. Już to w ogóle w całej sferze, w której Tarnowski obracał się od najwcześniejszego dzieciństwa, wszędzie, wśród młodych zarówno, jak i wśród starszych, wśród kobiet jak i pomiędzy mężczyznami, nie spotykało się innych ludzi, jak tylko takich, dla których głównym celem życia były »służba Boża i dobro Ojczyzny«.

W tym samym duchu, odkąd się zaczął uczyć czytać i pisać, odbywało się i jego domowe wychowanie. Wychowanie to — jak zapisuje Stanisław Koźmian — było »znamienitem, wysnutem z podwójnej tradycyi rodowej, rzec można historycznej«, a to »wychowanie i wykształcenie polskie dopełnione zostało francuskiem, dlatego niezawodnie, że tego pokolenia nadzieje zwracały się jeszcze w stronę Francyi« [2]). Tradycyą było w rodzinie Tarnowskich, że nad wychowaniem młodej generacyi, już od wczesnego dzieciństwa, czuwał zawsze ksiądz. Tak się chował Jan Feliks Tarnowski, którego domowa edukacya odbywała się pod kierunkiem oświeconego ex-bazylianina, księdza Antonowicza, tak się chował Jan Bogdan Tarnowski, którego

---

[1]) Do tych pewno czasów da się odnieść wspomnienie Tarnowskiego o księciu Władysławie Sanguszce, zapisane w subtelnym pastelu literackim o Księżnie Izie z Lubomirskich Sanguszkowej: »Wkrótce (po powrocie księstwa z Włoch) wybuchła wojna (r. 1831) i książę Władysław poszedł się bić. Nie wątpimy bynajmniej o tem, co niektórzy opowiadają, że księżna odwiedzała go w obozie, ale nie mając tych szczegółów z pierwszej ręki, opowiedzieć nie możemy. Ale oto jeden, któryśmy słyszeli z własnych ust księcia: W ciągu kampanii, kiedy zaczęło iść gorzej, księżna, jak bardzo wielu, usunęła się do Krakowa. Mieszkała w tym dworku z ogrodem, który dziś oddany jest przez pannę Bystrzonowską dla nieuleczalnie chorych. Po ósmym września, kiedy wojsko przechodziło granicę (a od Barana droga szła na Mogilską rogatkę) księżna stawała nad drogą w bramie ogrodu i rozdawała żołnierzom bieliznę, ubranie, wsparcie. Pewnego razu, kiedy była zajęta tą czynnością, żołnierz jeden, do którego wyciągnęła rękę z datkiem, porwał ją w ramiona i zaczął ściskać... »Byłem taki obdarty, taki zbiedzony, taki zczerniały, że mnie zrazu poznać nie mogła«. To swoje spotkanie z żoną opowiadał książę gromadce dzieci, którą prowadził na spacer, i zalecał, żeby nie zapomniały«. Z pośród wybitnych osobistości, które wtedy Tarnowski miał sposobność widywać w swem otoczeniu, jedno z poczesnych miejsc zajmował książę Henryk Lubomirski, »który w naszych własnych dziecinnych wspomnieniach — słowa są Tarnowskiego — zostawił obraz pięknego starca o białych włosach, usposobieniu pogodnem i wesołem, tak, że się nawet dzieciom podobał«. Wspomnienie o *ks. Izie z Lubomirskich Sanguszkowej*.

[2]) *Pisma polityczne* St. Koźmiana, str. 452, w życiorysie Jana Tarnowskiego z Dzikowa.

domowa edukacya odbywała się pod kierunkiem tegoż księdza Antonowicza, tak również odbywała się edukacya trzech synów Jana Bogdana Tanowskiego, których »bezpośrednim zwierzchnikiem« był ksiądz Gargaszyński. Pod jego zwierzchnictwem i nadzorem odbywali początkowe nauki. Jakkolwiek światły, był to Mentor, który jednak nie umiał zjednać sobie sympatyi swych młodych Telemaków, do tego stopnia, iż nawet jeden z nich, Stanisław mianowicie, wcale się z tem nie taił, że ks. Gargaszyńskiego »szanował średnio, a nie lubił już wcale [1]). Mimo to, wychowanie i nauka pod kierunkiem ks. Gargaszyńskiego, a pod okiem babki i rodziców, odbywały się pomyślnie, ku zadowoleniu i uczniów i przełożonych. Wszyscy trzej bracia, obowiązkowi z natury, uczyli się dobrze, a już jeżeli któremu z nich nie można było zarzucić lenistwa, to z pewnością Stanisławowi. Że na naukę religii położony był szczególny nacisk, rozumie się samo przez się. Świadczy o tem sam Tarnowski, gdy pisząc o swych młodocianych pojęciach religijnych, stwierdza, że »polegały one u niego jak i u innych, na uczuciach i odebranych w domu naukach« [2]). Ponieważ młodzi Tarnowscy, choć początkowe nauki pobierali w domu, byli przecież »kandydatami do stanu studenckiego« t. j. mieli z czasem, dla otrzymania matury, wstąpić do której ze szkół rządowych, przeto uczyli się wszystkiego, co stanowi program czterech niższych klas gimnazyalnych. A więc łaciny i greki, matematyki i nauk przyrodniczych, geografii i historyi, oraz języka niemieckiego, który w ówczesnej Austryi, przy centralistycznej tendencyi rządów Bacha, był nieodzownym dla każdego poddanego Habsburgów. Ale prym trzymała nauka języka polskiego, historyi i literatury polskiej. Pierwszą książką, z której młodzi Tarnowscy zapoznawali się z dziejami ojczystemi, były *Wieczory pod lipą* Siemieńskiego; po nich przyszła kolej na *Dzieje Polski* Lelewela, opowiadane dla synowców, a posługiwano się i różnemi »domowemi skryptami«; książką zaś, z której przyszły autor *Historyi literatury polskiej* po raz pierwszy, jako młody chłopiec, poznał celniejsze wyjątki z arcytworów piśmiennictwa narodowego, były *Wypisy Cegielskiego*. O nauce historyi polskiej, dzięki temu właśnie, że go uczono jej z książki Siemieńskiego, opowiada dziś Tarnowski, iż była to dlań »jedyna lekcya przyjemna, nietylko dla przedmiotu, ale dla sposobu, jakim był wystawiony«. O tych lekcyach, które w nim budziły takie zainteresowanie, tak w jednym ze swych artykułów pisze Tarnowski: »Od dziecka, od

[1]) O *Czasie* i jego redaktorach, str. 10.

[2]) We wspomnieniu o Józefie Kasznicy, *Przegl. polski*, 1887, listopad, str. 421.

pierwszych lekcyi historyi polskiej czuliśmy jakimś instynktem, a wszystkie dzieci zapewne doznają tego wrażenia, że z Kazimierzem (Wielkim) wchodzi się w jakieś czasy jaśniejsze, pogodniejsze, weselsze, jakżeby słońce wychyliło się z za chmur i ozłociło polską ziemię. Same lekcye historyi były dla dziecka od tej chwili milsze, szło się na nie chętnie, choć były lekcyami« [1]). Co się tyczy literatury polskiej, to przynajmniej rozczytywanie się w *Wypisach Cegielskiego* również miało swoje przyjemne strony, a kiedy się w nich czytało n. p. wiersz Siemieńskiego:

Wody Renu zielone,
Czemuż, czemu nie w stronę
Mej ojczyzny płyniecie?

rozumiało się już i podzielało tęsknotę tułacza; a kiedy on żałował, że »poeta młody a Włochy tak blisko«, i chciałby był do nich się dostać, budziły się jakieś pierwsze marzenia o Włoszech, jakieś chętki, żeby kiedyś zobaczyć także i te zaalpejskie cuda [2]). Te poezye autora *Mimozy*, a zwłaszcza jego *Wieczory pod lipą*, sprawiły, że przyszły autor szkicu o *Lucyanie Siemieńskim* już w tych latach, jako młody chłopiec, liczył się do jego wielbicieli. Poetą jednak, dla którego od wczesnego dzieciństwa żywił prawdziwy kult, był Mickiewicz. W jego poetyckich utworach, a zwłaszcza w *Panu Tadeuszu*, już w tych czasach rozczytywał się z zapałem, umiał je na pamięć [3]). Jemu też zawdzięczał bardzo wiele, a przedewszystkiem to, że coraz większą przyjemność znajdował w czytaniu utworów poetyckich.

---

[1]) *Przegląd polski*, 1901, luty, str. 83. Historya Uniwersytetu Jagiellońskiego, sprawozdanie z dzieła K. Morawskiego.

[2]) *O Czasie i jego redaktorach*, str. 11—12. W artykule o obrazach *Artystów polskich na Wystawie wiedeńskiej* opowiada Tarnowski, że kiedy jako dziecko uczył się na pamięć wiersza jenerała Morawskiego:

Ptaszek ma swoje gniazdo, dziki zwierz łożysko,
Każdy ma swą ojczyznę, Izrael — nazwisko!

zdawało mu się rzeczą straszną i krzywdą nie do pojęcia, iż Izrael ma tylko »nazwisko«; dopiero z czasem, po wielu latach przekonał się niejednokrotnie, że to, co wtedy miał za okropność, w porównaniu z tem, co jest, byłoby nieledwie dobrem, iż w narzekaniach starego poety-żołnierza jeszcze było wiele złudzeń.

[3]) Jan Stadnicki w swem wspomnieniu o Janie Tarnowskim z Dzikowa (w księdze Zdzisława Tarnowskiego) pisze o nim między innemi, że »jak i n n i był wykołysany głosem naszych wielkich wieszczów; *Grażynę*, *Wallenroda*, *Pana Tadeusza* umiał na pamięć«. Że do tych i n n y c h i Stan. Tarnowskiego zaliczyć można, wątpliwości zdaje się nie ulegać. W swych uwagach o *Panu Tadeuszu* napomyka Tarnowski mimochodem o wrażeniu, jakie to arcydzieło poezyi polskiej robi na umyśle dziecinnym. Można być pewnym, iż mamy tu do czynienia z osobistem wspomnieniem autora: »Kiedy człowiek (czytamy tam) d o s z e d ł

A przytem rozwijał się umysłowo, poważniej zapatrywał się na wiele spraw życiowych, zaczynał rozumieć wiele rzeczy, z których jeszcze do niedawna sprawy sobie nie zdawał. »Gdyby tak każdy z nas przyszedł do osobistego obrachunku, co zawdzięcza Mickiewiczowi, co mu jest winien od lat młodości i dzieciństwa, i choć garstką zasług mu się wypłacił«, to kto wie, czy wiele marzeń i pragnień twórcy *Dziadów* nie ziściło by się wcześniej. Niestety, ksiądz Gargaszyński niezupełnie jasno zdawał sobie sprawę z tego uszlachetniającego wpływu poezyi Mickiewicza, a przynajmniej, gdy chodziło o młodych Tarnowskich, większą wagę, niż do arcydzieł romantyzmu polskiego, przywiązywał do zadanych lekcyi, które przedewszystkiem musiały być odrobione sumiennie. A te lekcye niezawsze równały się rozkoszy! Dość powiedzieć, że »jedyną lekcyą przyjemną« były lekcye historyi polskiej z *Wieczorów pod lipą,* a inne, jak n. p. lekcye matematyki, albo nauka »nieznośnej gramatyki«, wcale nie były źródłem przyjemności. Wyjątku w tym razie nie stanowiła z wszelką pewnością także i gramatyka francuska, której Tarnowski może nawet musiał uczyć się więcej, niż jakiejkolwiek innej, nacisk bowiem, jaki jego rodzice kładli na gruntowną znajomość języka francuskiego, bardzo był silny. Wszystkie dzieci Jana Bogdana Tarnowskiego, nietylko, iż od wczesnego dzieciństwa biegle mówiły po francusku, równie dobrze i swobodnie, jak po polsku, ale w ich całem wychowaniu i kształceniu było »wiele pierwiastków francuskich«. Na inne cudzoziemskie języki, również był położony nacisk niemały; bo do znajomości języków europejskich, których znajomość łączy nas z cywilizacyą Zachodu, przywiązywano w rodzinie Tarnowskich — słusznie całkiem — ogromną wagę.

Poza lekcyami, w chwilach wolnych od obowiązkowej nauki, czytało się, co wpadło w ręce, choćby się nie wszystko rozumiało należycie. Tak przynajmniej miała się rzecz ze Stanisławem Tarnowskim, który od dziecka rwał się do książek, a zawsze ich miał poddostatkiem, zarówno w Dzikowie, jak w Krakowie. Myliłby się

---

do tego wieku, że już umie sam czytać, i rozumie co czyta, wtedy poznaje się pierwszy raz z temi figurami, i to są częstokroć pierwsze przyjaźni, które zawiązujemy w życiu. Wyobraźnia dziecinna, zabawiona Telimeną, albo uderzona wdziękiem Zosi, nie zapomina już tych postaci; zrazu tylko się niemi bawi, zarazem zaczyna się na nich poznawać, i przyjaźń, zawarta w dzieciństwie, z latami wzrasta, wzmaga się tak, że się o nich myśli, jak o żywych znajomych, po dłuższem niewidzeniu tęskni się za niemi, a każde otworzenie książki ma wdzięk przywitania z bardzo miłym, bardzo sympatycznym i serdecznie lubionym przyjacielem«. Ob. *Pan Tadeusz*, Uwagi. Brody 1905, (Arcydzieła polskich i obcych pisarzy), str. 57.

wszakże, ktoby sądził, że ten paniczyk, który w r. 1848 liczył sobie zaledwie jedynasty rok życia, zadawalniał się jedynie czytaniem poetów, lub t. zw. książek dla młodzieży. Rzecz miała się całkiem przeciwnie: wszystko, co wychodziło, wszystkie nowości literackie, które widywać miał sposobność, wszystko to wertował, studyował. A jakie to były owe »świeże nowości«, o tem znajdujemy jego własną relacyę we *Wspomnieniu półwiekowego czytelnika Czasu:* »Leżała na stołach, czytywała się wieczorami *Przedburza* Trentowskiego, w której domyślano się inicyatywy Krasińskiego, a gdzieniegdzie jego pióra; Wielogłowskiego *Polska wobec Boga*, przedtem z powodu cenzury nieznana, a w ślad za nią *Emigracya wobec Boga i Narodu*, nie tak znacząca, jak tamta. Był i *Dzień dzisiejszy*, świeża nowość; młodzi rozumieli z niego tylko to, że będzie Polska w Imię Pana, ale starsi rozumieli oczywiście uderzające podobieństwo do tego, co widzieli dokoła siebie, i rozumieli surowe napomnienia, błagalne zaklęcia«.

Ten pociąg do literatury, ta żyłka literacka, która tak wcześnie przejawiać się zaczęła w przyszłym uczonym i publicyście, ta literacka ciekawość, z jaką czytał wszystko, co mu wpadło do ręki, a która już teraz zwiastowała wykłuwanie się pisarskiego talentu i temperamentu, to był rys, odziedziczony po przodkach, zarówno po mieczu, jak i po kądzieli, w pierwszym rzędzie po Czackich. Że młody chłopiec, w którego żyłach płynęła krew Tarnowskich i Małachowskich, przejawiał usposobienie literackie, pociąg do pióra i książek, niema w tem nic dziwnego, jeśli się zważy, że w obu rodzinach, i Tarnowskich i Małachowskich, nierzadko trafiały się usposobienia literackie. Sam wielki hetman Jan Tarnowski, pomimo tylu zajęć, jakiemi przez całe życie był obarczony, »chętnie poświęcał chwile wolne naukom i piśmiennictwu i lubił otaczać się mężami uczonymi«. Posiadając znaczny księgozbiór, pełen najrzadszych dzieł i rękopisów, zmarł, jako autor paru wartościowych dzieł z zakresu prawa i sztuki wojennej. Pisał po polsku i po łacinie, a jego traktat *O gotowości wojennej*, obok *Ustaw prawa ziemskiego polskiego* zalecają się wzorowym stylem i polszczyzną, słowem, są doskonale napisane. Niemniejszemi zaletami odznacza się jego łaciński traktat: *Consilium rationis bellicae.* O literackiem usposobieniu Jana Feliksa Tarnowskiego, który był utalentowanym pisarzem w całem znaczeniu wyrazu, rozwodzić się zbyteczna. Jest to jedna z najczcigodniejszych postaci z pomiędzy członków warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, postać, która, obok Koźmiana, Niemcewicza, Osińskiego, Dmochowskiego, i innych literatów z »obozu klasyków« ma swoją zaszczytną kartę w historyi literatury. Rozmiłowany w piśmiennictwie ojczystem i zagranicznem, a przytem

»wsparty rzadką pamięcią« (odziedziczył ją po nim wnuk jego), »chwil swobodnych nigdy nie pozwolił zabierać leniwemu próżnowaniu, ciągle dzieła i dzienne zagraniczne pisma sprowadzając, umysł niemi odświeżał; w przerwach wolnych od obowiązków publicznych, ciągle nie wypuszczał ani ksiąg ani pióra z ręki; wiele rozpraw pisał, niektóre na publicznych posiedzeniach Tow. Przyj. Nauk czytał; jedne z dzienników naukowych są znane, inne w zbiorze pism jego spoczywają«. Gdy Towarzystwo Przyjaciół Nauk powzięło szlachetny zamiar dopełnienia *Historyi polskiej* Naruszewicza, i historya ta, podzielona na epoki i panowania, miała być opracowaną przez różnych członków czcigodnej Akademii, kasztelanowi Tarnowskiemu powierzono opracowanie renesansowej epoki Henryka Walezego i Stefana Batorego [1]). Gdy po roku 1830, po zamknięciu Towarzystwa, osiadł na stałe w Dzikowie, wśród swoich ulubionych książek i dzieł sztuki, zaczął tłómaczyć wierszem *Messyadę* Klopstocka, z której dwie pieśni przełożył wiernie, a następne pięć parafrazował stosownie do okoliczności. Przekład ten, jak świadczy Kajetan Koźmian, »jaśnieje wielką znajomością i bogactwem języka, siłą i wzniosłością poezyi, gładkością stylu, jednością rymów i dźwięczną harmonią brzmienia« [2]). W ogóle wszystko, co pisał, czy prozą czy wierszem, odznaczało się nieposzlakowaną czystością języka, a świadczyło zarówno o wysokiej kulturze literackiej, jak i o wrodzonym i niezwykle wyrobionym smaku. To też, gdy chodziło o rozbiór przedmiotów sztuki pisania i smaku, stale wybierano, obok Ludwika Osińskiego, i Jana Feliksa Tarnowskiego; albowiem »wiadomości jego w literaturze, tak starożytnej, jak nowo-

---

[1]) Ze wszystkich członków Tow. Przyj. Nauk, dotrzymali zobowiązania tylko czterej: Niemcewicz, Kwiatkowski, Krajewski i Jan Feliks Tarnowski. Prof. St. Tarnowski w IV t. swej *Historyi literatury polskiej* pisze z tego powodu: »Niech się wnukowi godzi zapisać, iż dużo później, już po zamknięciu Towarzystwa, dotrzymał swego zobowiązania i kasztelan Tarnowski: skończył swego Henryka i Stefana, ale zaledwo ukończony rękopis zginął bez śladu jeszcze za życia autora«. O olbrzymich materyałach historycznych, które Jan Feliks Tarnowski w ciągu lat zebrał do pomienionego dzieła pisze w jego życiorysie Kaj. Koźmian.

Talent pisarski i zamiłowanie literackie odziedziczył Jan Feliks Tarnowski po matce swej, Rozalii z Czackich, siostrze Tadeusza Czackiego.

[2]) O tym przekładzie *Messyady* tak pisze w *Czasie* z d. 21 lipca 1858 r. Jan Tarnowski: »Tłómaczenie... było ukończone na lat kilka przed śmiercią J. F. Tarnowskiego i drukowi nie powierzone. Jakie były własne jego zamiary w tym względzie? Nie wiem. To pewna, iż tłómaczenie pomienione jest tak dowolne, ma tyle zwrotów, tyczących się rodziny, i relacyi wyłącznie rodzinnych, że, zdaje mi się, powinno raczej pozostać tem, czem było dotąd: rodzinną pamiątką i prywatną własnością«. *O rękopisach po ś. p. hrabi Janie Tarnowskim.*

żytnej, a szczególniej w dziejach narodu naszego, były obszerne i ciągłem czytaniem podsycane, znajomość mowy ojczystej i bogactw języka rzadka, sąd i smak pewny«. A tak samo, jak na literaturze i poezyi, znał się na malarstwie i rzeźbie, a jego zmysł estetyczny, rozwinięty niepospolitem wykształceniem, nie zawodził go nigdy. Niemniej utalentowaną i zdolną była jego żona, Walerya z hr. Stroynowskich, która od dziecka odznaczała się taką »tkliwością serca i niepospolitą do nauk zdolnością, że troskliwy o przyszłość ulubionego siostrzeńca swego, Jana Feliksa, Tadeusz Czacki, wcześnie ją wybrał dlań za przyszłą oblubienicę«. »Zmysł estetyczny hr. Waleryi okazał się i rozwinął w całym blasku w czasie jej pobytu z mężem i chorym ojcem we Włoszech. Posiadając talent malarstwa, pozostawiła po sobie w Dzikowie wiele miniatur swego pędzla; w Paryżu zaś będąc, umyślnie nauczyła się złocić i malować na pergaminie, aby dogodzić mężowi restaurowaniem rękopisów starożytnych... Ozdabiała własną ręką kościoły, kaplicę i pałac w Dzikowie, pisała wreszcie — mając wrodzony dar wypisania się — dziennik całego życia, którego kilka tomów wraz z cennemi opisami podróży po Włoszech i Francyi do dziś dnia zostaje utajone w zaciszu domowem, a mogłyby rzucić wielkie światło na różne epoki i ludzi« [1]). To usposobienie literackie i artystyczne, tak wybitnie charakteryzujące Jana Feliksa Tarnowskiego i jego towarzyszkę życia, odziedziczył po nich w trzeciej generacyi wnuk ich, Władysław Tarnowski, syn Waleryana, a brat stryjeczny prof. Stanisława Tarnowskiego. Temperament to był artystyczny w każdym calu, z niepoślednim talentem muzycznym i literackim. Doskonały fortepianista, uczeń Liszta i Moschelesa, zdobył sobie uznanie poważnej krytyki zagranicznej, zwłaszcza niemieckiej, jako twórca licznych rapsodyi, symfonii, pieśni, i wreszcie opery *Achmed*. Poza tem zapalony podróżnik, nietylko — pod pseudonimem Ernesta Buławy — barwnie i nie bez

---

[1]) Wspomnienie pośmiertne dwóch matron polskich: Anny hr. Małachowskiej i Waleryi hr. Tarnowskiej. Kraków, 1852.

Rękopis dziennika podróży po Włoszech w roku 1803—1804, w oryginale pisanego po francusku, znajduje się dziś w posiadaniu wnuczki kasztelanowej Tarnowskiej, hr. Waleryi z Tarnowskich Mycielskiej. Wyciąg z tego dziennika p. t. *Podróż Polki do Włoch* w opracowaniu N. wyszedł w styczniowym zeszycie *Przeglądu polskiego* z r. 1897. O kasztelanowej Tarnowskiej, jako malarce, zob. Jerzego Mycielskiego *Sto lat dziejów malarstwa w Polsce*, str. 64—66, oraz w *Słowniku malarzy polskich* Rastawieckiego. W roku 1821 ukazała się w Warszawie, nakładem N. Glücksberga, dwutomowa *Nauka chrześcijańska w rozmowach do przygotowania młodzieży do pierwszej Komunii*, przetłómaczona z francuskiego przez Waleryę ze Stroynowskich Tarnowską.

polotu opisywał swe wrażenia z podróży po Grecyi, Włoszech, Szwajcaryi i Hiszpanii (które następnie J. I. Kraszewski drukował w wydawanym przez siebie w Dreźnie *Tygodniu)*, ale porywał się nawet na dramaty, jak *Karlińscy*, *Joanna Grey*. Wymieniając Władysława Tarnowskiego, autora *Karlińskich,* niepodobna nie wspomnieć i o drugim Władysławie Tarnowskim, który dziwnym zbiegiem okoliczności wsławił się, jako autor niemiecki, jako wzięty powieściopisarz. Jego romanse na tle hiszpańskiem, jak *Kreuz und Halbmond*, *Der Musicant von Callao*, *Menschen und Zeiten etc.* miały w swoim czasie, mianowicie około roku 1840, swoich wielbicieli w Europie [1]). Ten pociąg do pióra, tak często spotykany w rodzinie Tarnowskich, cechował również i wielu Małachowskich. Sam »Aristides polski«, jak o tem zaszczytnie świadczą jego liczne mowy, odezwy, uniwersały i uchwały, ogłoszone w *Zbiorze mów sejmowych* i w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych*, władał piorem, jak przystało na referendarza stanu, w sposób znakomity, a styl jego jakby ze spiżu wykuty, śmiało może uchodzić za wzór polszczyzny. Nie można tego powiedzieć o *Mowach i pismach publicznych* kanclerza Jacka Małachowskiego, które są raczej »owocem próżności«, niż pisarskiego talentu, ale i one bądź co bądź dowodzą, że brat marszałka, jakkolwiek sobie nie rościł pretensyi do tytułu »Aristidesa polskiego«, do tytułu literata i publicysty przywiązywał niemałą wagę; w przeciwnym razie nie ogłaszałby na starość »chcąc pamiątkę po sobie potomności przekazać«, zbiorowego wydania swych prac. Doskonałym stylistą, a zwłaszcza mówcą znakomitym, był senator wojewoda Jan Nepomucen Małachowski, współredaktor *Korespondencyi w materyach obraz kraju i narodu polskiego rozjaśniających*, które to wydawnictwo zasilał swemi pracami. Mowy jego, z których kilka zostało ogłoszonych drukiem, cechowała prawdziwie cycerońska swada. Brat jego, a Stanisława Tarnowskiego dziad po kądzieli, Stanisław Małachowski w wolnych chwilach również lubił zabawiać się piórem, a nawet pisywał poezye. Kiedy na starość osiadł w Końskich, dla rozrywki pisywał prawdziwie literackie listy do córki swej, hrabiny Tarnowskiej, »powierzając jej jedynie i zaufałym przyjaciołom swoje rymy [2]), któremi stan swego udręczonego

---

[1]) Skoro mowa o Tarnowskich, którzy ujawniali zamiłowania literackie, nie sposób nie wspomnieć o Tadeuszu Tarnowskim, stryju Stanisława, który w roku 1840 wydał w Lipsku przełożone przez siebie z francuskiego *Rozmyślania i modlitwy*, tudzież o Władysławie Tarnowskim, autorze *Kilku słów o wizycie 8-ej Parafiańszczyzny*, wydanych w r. 1843, a wymierzonych przeciwko Leszkowi Borkowskiemu.

[2]) Lucyan Siemieński w *Dwóch Juliuszach* na str. 104—105 przytacza jeden

serca, smutku i dolegliwości rozrywał. Obcy prawie światu — pisze zaprzyjaźniony z nim szczerze Kajetan Koźmian — umysłem z niego nie wychodził, czytał wiele dzieł nowych, lub wśród rodzinnego grona przysłuchiwał się czytanym i tak tęskne życie coś do 80-go roku sędziwego wieku przeciągnął«. *Pamiętniki* jego, w których dla rodziny opisał swój niezwykły żywot, odznaczają się wcale niepośledniemi zaletami literackiemi, a wartość, jako przyczynek do naszych dziejów z końca XVIII i początków XIX wieku, posiadają pierwszorzędną [1]). Żona kasztelana Małachowskiego, a Stanisława Tarnowskiego babka po kądzieli, również odznaczała się upodobaniami literackiemi, a słynęła z błyskotliwości umysłu. »Łatwa w pożyciu — charakteryzuje ją Siemieński — wesoła w rozmowie, lubiła się apologami tłómaczyć, a w niepospolitym stylu odbijało się coś oryentalnego. Zamiłowana w naukowych wiadomościach, do końca je nabywać starała się«. Obdarzona niezwykłym zmysłem artystycznym, a »zamiłowana w sztukach pięknych, naznaczała każde swe dzieło piętnem dobrego gustu, który przebijał się w ogrodzie, w domu, nawet w polach. Co tylko mogła od obowiązków i dobrych uczynków oszczędzić, obracała na ozdobienie pomieszkania przodków swoich. Sprowadziła z Włoch architekta, malarza, rzeźbiarza, których połączone talenta ozdobiły ogród greckiemi, gotyckiemi, egipskiemi pomnikami, przenoszącemi zdumionego wędrowca w krainy, z których zdaje się, że czarodziejską ręką wydarte zostały. Dowiedziawszy

---

z takich rymów sędziwego St. Małachowskiego, wzorowany na *Trenach* Kochanowskiego, a poświęcony rozpamiętywaniom po stracie najmłodszego syna:

Strętwiały przez nieszczęścia, nie znam, co pociecha:
Bez nadziei! Los dla mnie już się nie uśmiecha.
Natura dla mnie martwa; nic mnie nie poruszy,
Tylko się obraz Jego maluje w mej duszy
i. t. d. i. t. d.

[1]) Lucyan Siemieński ogłosił w feljetonach *Czasu* w r. 1853 (od 17 lutego począwszy) cały szereg najbardziej interesujących wyjątków z tych pamiętników. Cytuje też z nich w *Dwóch Juliuszach* parę ustępów. W roku 1885 ogłosił pamiętniki te drukiem Wincenty hr. Łoś, a że to uczynił bez wiedzy i upoważnienia rodziny, więc go za to w *Przeglądzie polskim* bardzo surowo skarcił prof. St. Tarnowski. »Wiemy — czytamy między innemi w tej złośliwej i dowcipnej recenzyi — że autograf, z wyraźnym dopiskiem, że przeznaczony jest dla córki i dla niej tylko, w ręku wydawcy nie był nigdy. Czy jakaś jego kopia, przypadkowo znaleziona lub otrzymana, upoważnia obcych do ogłoszenia rękopisu? Zdaje nam się, iż nie, bo cokolwiek pod tym względem stanowiłoby prawo, to rzeczą jest oczywistą, że dzieci lub wnuki powinny być zapytane o zdanie i wolę, jeżeli idzie o wydanie rękopisu, którego ich ojciec, lub dziadek, do druku nie przeznaczał, ale go za własność rodziny tylko uważał. *Przegląd polski*, 1885, marzec, str. 598.

się, iż po królu Stanisławie były do nabycia marmurowe posągi, sprowadziła ich cztery do swego salonu, z Włoch zaś nowoczesnych obrazów, marmurowych popiersi, wazonów, by oddaniem hołdu talentowi, dogodzić zawsze wrodzonej potrzebie wzniosłego usposobienia« [1]). Że córka jej, a matka Stanisława Tarnowskiego, odziedziczyła i po niej, i po ojcu, dar wypisania się po literacku, o tem świadczy zarówno skreślony przez nią, a przez Wielogłowskiego w roku 1850 w Krakowie drukiem ogłoszony *Rys życia Jana Bogdana Tarnowskiego,* jak i te wyjątki z jej listów, które Siemieński zamieścił w *Dwóch Juliuszach.* Listy te, choć pełne prawdziwie kobiecej tkliwości macierzyńskiej, odznaczają się lapidarnością stylu, godną męskiego pióra; a czytając je, łatwo się dochodzi do wniosku — do którego też dochodzi Siemieński — że Gabryela Tarnowska nietylko miała serce pełne miłości, ale była i umysłem nie na powszednią miarę [2]). A podobnie miała się rzecz i z jej mężem, który, jako umysł wyższy, ogładzony kulturą, również odznaczał się niemałem poczuciem piękna. Biegły w architekturze, do której miał wiele pociągu i zdolności, a domator z usposobienia, choć sam nie imał się pióra, miał żywe upodobanie we wszystkiem, co było literaturą lub sztuką, w których atmosferze wzrastał od dziecka. Stąd i upodobanie w rzeczach piśmiennictwa. Nie od rzeczy też będzie może nadmienić, że rodzina Stadnickich, z której pochodziła kasztelanowa Małachowska, również odznaczała się — i odznacza aż po dziś dzień — aspiracyami naukowemi i literackiemi [4]). A jak rodzina Stadnickich, tak i rodzina Czackich,

---

[1]) *Wspomnienie pośmiertne dwóch matron polskich.*

[2]) *Dwaj Juliusze,* str. 118—132.

[3]) Autor sylwetki St. Tarnowskiego w *Tygodniku ilustrowanym* (1876), zdaje się dobrze poinformowany, pisze, że Tarnowski »po ojcu odziedziczył zamiłowanie w literaturze«. Bądź co bądź, w żadnym życiorysie Jana Bogdana Tarnowskiego o jego usposobieniu literackiem niema wzmianki...

[4]) Począwszy od Michała Stadnickiego, filologa i historyka, który na zlecenie Stanisława Augusta pisał po łacinie dalszy ciąg *Dziejów Polski* Kremera, nie brakło Stadnickich-pisarzów: zmarły w r. 1836 Antoni Stadnicki, historyk, autor *Postrzeżeń nad wiekiem XIV,* przez całe życie nader gorliwie zajmował się historyą powszechną i ojczystą, a jego *Rys historyi ludu żydowskiego w Europie jako wstęp do dziejów ludu tego na ziemi polskiej* należy do celniejszych kart naszej historyografii. Dwaj jego synowie, Aleksander i Kazimierz, obaj odznaczyli się na niwie piśmienniczej: Aleksander w zakresie studyów prawno-historycznych, Kazimierz jako historyk *Piastów* i *Synów Giedymina, Braci Władysława Jagiełły* i *Olgierda i Kiejstuta.* Kazimierzowi Stadnickiemu poświęcił St. Tarnowski w *Przeglądzie polskim* w r. 1886 osobne wspomnienie pośmiertne, w którem między innemi tak pisze: »Pracowitość jego i umiłowanie w dochodzeniu i szukaniu, uspasabiały go doskonale do badań genealogicznych, ale tym poświęcał tylko czas zbywający od ważniejszych; dlatego zapewne tylko genealogię swego

z której przecież pochodziła rodzona matka kasztelana Jana Feliksa Tarnowskiego, wydała niejednego uczonego i literata, nie mówiąc już o Tadeuszu Czackim [1]).

Że chłopiec, w którego żyłach płynęła krew dwóch takich literackich rodzin, już bardzo wcześnie zaczął ujawniać szczególny pociąg do drukowanego słowa, to nikomu nie może wydać się dziwnem. Że nadto już w dziesiątym roku życia interesował się wieloma sprawami, które zwykle nie zaciekawiają chłopców dziesięcioletnich, na to dowodów dostarczają jego własne pisma Gdy n. p. w r. 1848 rozgrywały się wypadki pierwszorzędnej doniosłości politycznej, Stanisław Tarnowski, który wtedy liczył sobie lat dziesięć, nietylko przysłuchiwał się uważnie, co o tem wszystkiem mówili starsi [2]), ale już miał swój własny pogląd na te sprawy, zwłaszcza na ówczesne ruchy rewolucyjne, których — jak cały ogół zresztą — wielkim był zwolennikiem. Oto, co sam w tej kwestyi pisze w swych wspomnieniach *O Czasie i jego redaktorach*: »Wiosna r. 1848, wczesna, pogodna, ciepła, była prawdziwie rozkoszna, jakżeby sama natura chciała wtórować radosnym usposobieniom ludzi... Nie dzieciom tylko, ale wszystkim zdawało się w początkach, że ta wiosna, obfita w zdarzenia, nadzieją brzemienna, inaczej jak sławna wiosna z *Pana Tadeusza* przejdzie w jesień od wiosny piękniejszą. W Krakowie wprawdzie było bombardowanie, ale zresztą w całym kraju nie zostawiło śladów, ani wpływu. We Lwo-

---

własnego domu wykończył. I te roboty jeszcze nie wyczerpywały zupełnie czynności jego umysłu, a wysokie wykształcenie i upodobanie w literaturze kazały mu szukać innego zajęcia i niemal rozrywki w studyach nad Szekspirem; z tych niektóre i w naszem piśmie ogłaszał. Jeden to z gorętszych u nas miłośników i poważniejszych znawców Szekspira«.

[1]) Pierwszą »autorką« w rodzinie Czackich była żona Jana Szczęsnego Czackiego, podczaszego koronnego, Katarzyna z Małachowskich, siostra Stanisława Małachowskiego, marszałka, matka Tadeusza Czackiego, który też po niej odziedziczył pociąg do pióra. Brat jego, Michał, »obszernej nauki, biegły w prawie i dziejach ojczystych«, zwrócił na siebie uwagę podczas Sejmu Czteroletniego, na który posłował, broszurą polityczną, zatytułowaną: *Rozmowy nad Styksem*. Niemniej doniosłym był jego *List do Szczęsnego Potockiego*, ogłoszony pod przybranem imieniem Odrowąża. Żona jego, Beata z Potockich, słynęła z talentu do malarstwa. Syn jej, Feliks Czacki, skreślił z pism, po ojcu pozostałych, pamiętnik okresu Wielkiego Sejmu p. t. *Wspomnienia z 1788—1792 r.* Nadto napisał po francusku *Etudes historiques sur la revolution française de 1789*, o którem to dziele pisał obszerną krytykę w *Wiadomościach polskich* Julian Klaczko.

[2]) W roku 1848, jak świadczy biograf Jana Bogdana Tarnowskiego, »tułactwo« t. j. wielu z pośród emigracyi, znalazło schronienie w Dzikowie; »wtedy to nadzieje, hodowane w zaciszu polskich serc, zaczęły nabywać jakiegoś rodzaju rzeczywistości. Ogień młodocianych lat rozpromieniał czoła zorane troskami lub wiekiem«.

wie gwardya narodowa miała mundury zupełnie takie, jak niegdyś ułani; a musztrowała się, choć bez mundurów, po wszystkich małych miasteczkach, (może i w Tarnobrzegu). Ci mieszczanie w kapotach, z kijami na ramionach, zamiast karabinów, uczeni obrotów przez jakiegoś starego żołnierza z 1831 roku — a tacy byli wtedy jeszcze wszędzie — to oczywiście początki przyszłego wojska polskiego. Sam Kraków, przed bombardowaniem, miał parę tygodni prawdziwie upajających. Wypuszczenie więźniów, przyjazd innych ze Spielbergu i Kufsteinu, okrzyki radości i iluminacye po całem mieście, chorągwie z orłami w oknach Krzysztoforów, gdzie zasiadał jakiś komitet, kokardy białe i czerwone na wszystkich czapkach, przejazd deputacyi krajowej do Wiednia — wśród której to deputacyi nie brakło i Jana Bogdana Tarnowskiego — wszystko to zdawało się zapowiadać jakieś szczęście wielkie, prawdziwe i trwałe [1]). Przypominając sobie dziś to, co myślało się wtedy, można wyobrazić sobie przez podobieństwo to, co myślą dziś i zawsze ludzie dorośli a niedoświadczeni, naiwni, albo nie oświeceni, albo nie myślący. Tak, jak w głowie dziesięcioletniej wydawały się wypadki ówczesne, tak w tych umysłach wydają się zapewne wszystkie rewolucyjne porywy i ruchy. Metternich i jego poprzednicy byli źli: źli na Węgrzech, i we Włoszech, i wszędzie, a najgorsi w Galicyi, gdzie jeszcze nie oschła krew, przelana w roku 1846. A więc ci, którzy nie chcą i obalają Metternicha i podobnych, muszą być dobrzy, i pewno musi być dobrem to, co oni chcą zrobić. Król francuski, Ludwik Filip, był małoduszny, nie miał dość rozumu czy dość odwagi na to, żeby się oświadczyć przy sprawiedliwości, i być Francuzem i królem takim, jak być po-

[1]) W artykule politycznym o *Siedmiu projektach konstytucyi w Austryi (Przegląd polski*, 1867, marzec, str. 448) St. Tarnowski poświęca tej wiośnie r. 1848 taki liryczny ustęp: »Pierwszą w tym szeregu stoi konstytucya cesarza Ferdynanda z 25 kwienia 1848. Pamiętamy wszyscy te wypadki marcowe, w których starsi z pomiędzy nas brali udział sądem i działaniem, a młodsi, widząc otwarte więzienia, słysząc słowa, na które i w dziecku serce bije, choć nie wie, dlaczego, czuli instynktem jakąś zmianę szczęśliwą, jakąś zapowiedź swobody. Były to piękne dni, do porównania z pierwszym powiewem ciepłego wiosennego powietrza, z pierwszym promieniem wiosennego słońca. Do tej chwili wolność znano z tej strony Renu z powieści tylko, z tęsknoty, z pragnienia; a na zachód, ku Francyi i Anglii, zwracano oczy żałośnie, jak patrzeć zwykli upośledzeni na szczęśliwych. Naraz zwolnił mróz, który te ziemie ściskał, lody puściły, życie zakrzepłe i obumarłe zaczęło się budzić, a po milionach przeszedł jakiś rozkoszny dreszcz odrodzenia. Nie przewidywano, że chwila swobody miała być krótką, nie wiedziano, że miała być nadużytą, oddychano — w początkach roku 1848 — niezmąconą swobodą i radością. W tych to pierwszych dniach pogodnych ukazała się pierwsza w Austryi konstytucya«.

winien. Ale Ludwik Filip poszedł na wygnanie, a Rzeczpospolita to przecie naród sam u steru rządu. Rzeczpospolita to przecie wolność i braterstwo wszystkich ludów, a lud przecie lepszy od króla, i żaden tego długo nie zniesie, żeby jego brat, lud drugi, był zawojowany przez silniejszego nieprzyjaciela i trzymany w niewoli. Zatem tylko trochę cierpliwości, a te krzyki na cześć Polski, które się rozlegały po ulicach Paryża, powtórzą się nad Wisłą, tylko z hukiem armat. Trochę cierpliwości, a ten student z piórami na kapeluszu, który dziś peroruje w swojej Auli, wygra ostatecznie sprawę w Wiedniu, i zaraz potem, wiedziony swoim zapałem dla wolności i swojem uczuciem sprawiedliwości, rozwiąże gordyjskie węzły spraw uciśnionych: węgierskiej, włoskiej i polskiej. Były wprawdzie doświadczenia i nauki wielkiej Rewolucyi francuskiej: powinno było być wiadomem, starszym oczywiście, nie dzieciom, co ona zrobiła z wolnością i sprawiedliwością w swoim kraju, i co w tych niemieckich i włoskich, które wojskami swojemi zajęła. Ale te wspomnienia były już dalekie, przygasłe, a magiczne imię *Rewolucyi*, podstawione za szlachetne imię *Insurrekcyi* (tak nazywało się powstanie Kościuszki) osłaniało swoim urokiem gwałty i nieszczęścia. Były doświadczenia i nauki bliższe, współczesne, które mogły i powinny były lać zimną wodę na rozgrzane głowy i wskazać, że ludy nie są lepsze od rządów, ani Republiki od Monarchii. Był Lamartine, który deputacyi polskiej oświadczył wręcz, »że nie wskrzesza się umarłych«, był Sejm Frankfurcki, który uchwalił, że »rozbiór Polski był aktem prawowitym i zupełnie usprawiedliwionym«. Ale umysł dziecinny, albo umysł niedojrzały człowieka dorosłego, radził sobie na takie argumenta tem rozumowaniem, że to tylko pewien człowiek chwilowo u steru rządu, albo pewna mniejszość przypadkiem źle złożona, tak myśli, mówi i działa, ale gdy ci ustąpią a przyjdą na ich miejsce inni, zaraz będzie lepiej, będzie tak jak być powinno. Tak myślały dzieci, młode czy stare, pięćdziesiąt lat temu«. Tak myślał podówczas 11-letni zaledwie Stanisław Tarnowski. Każdy przyzna, iż jak na dziecko 10-letnie, to horyzont myślenia i obejmowania spraw, i to spraw politycznych, niezwykle był szeroki i rozświetlony. Co prawda, dziecko wzrastało w otoczeniu, w którem o polityce mówiło się bardzo wiele, w którem ojciec grał czynną polityczną rolę, ale mimo to wątpliwości nie ulega, iż dziecko musiało być bardzo rozwinięte umysłowo, skoro się oryentowało w tych sprawach, a nawet miało o nich swe własne zdanie i przekonanie.

Przekonanie to, bardzo liberalne i sprzyjające rewolucyi, urabiały w nim głównie czasopisma, które, już jako 10-letni chłopiec,

jak na przyszłego publicystę przystało, pochłaniał z dziecinnym zapałem, oczywiście bezkrytycznie. »Byle dziennik mówił zawsze i jak najwięcej o ojczyźnie i o nadziei, to już był dobry; wierzyło mu się chętnie i szczerze, bo dlaczegóżby zmyślał? a przecie rozumnym i dobrym być musi, skoro jest tak patryotycznym!« Jak publiczność, łatwowierna z natury, tak i 10-letni Stanisław Tarnowski wierzył w szczerość dziennikarzy, a brał na seryo wszystkie dzienniki, które mu wpadały do ręki.

Ale tymczasem z nadejściem jesieni horyzont, tak pogodny i słoneczny z wiosną, zaczął się zachmurzać. Bombardowanie Krakowa mogło się zdawać małą przelotną chmurką bez znaczenia i skutku; ale rzezie czerwcowe w Paryżu to była już burza złowroga, groźna dla całego świata. W Rzymie zaczęły się dziać rzeczy straszliwe i bezbożne, a za przykładem wiecznego miasta poszedł i Wiedeń. Wspaniały wiersz Krasińskiego — opowiada St. Tarnowski — nie był znany, ale i nie znając go, czuło się i wiedziało, że »nad miastem chmury apokaliptyczne«, w mieście zaś »waśń, ogień, gwałt, mordy uliczne«, a »Sobieskiego niema!« Nie było rozeznania między *rewolucyą* a *insurrekcyą*, ale zaczynało się nieokreślone, jednak wyraźne uczucie, że w rewolucyi nie wszystko jest dobre i nie wszyscy dobrzy, że jest w innych kształtach duch Metternicha, który na to wszystko patrzy, czyha i cieszy się, iż niedaleka już chwila, w której znajdzie sposobność i pozór do zgniecenia wolności w całem państwie, sprawiedliwości i polskości w Galicyi. Jakoż atmosfera, wisząca jesieni tej nad Krakowem i nad krajem całym, była niezmiernie duszna i ciężka. Dlaczego taką była, z tego zdawali sobie sprawę niektórzy tylko, ale czuli ją wszyscy, nawet dzieci. Ludzie wytrawni i rozumni, jak Jan Bogdan Tarnowski, lub zaprzyjaźniony z nim Paweł Popiel, do głębi byli zafrasowani biegiem wypadków i przyszłością [1]). Ogół czuł tylko przykre przygnębiające wrażenie, udzielające się wszystkim. To też miasto, od którego w marcu i kwietniu, rzec można, biła łuna wesołości i życia, sposępniało. Rozmowy starszych bywały smutne. Mały Tarnowski, przysłuchujący się tym rozmowom, również zaczął odczuwać pewien niesmak, a że to rozcza-

[1]) W swoim pięknym szkicu o Pawle Popielu *(Przegląd polski,* 1892 kwiecień, str. 12) pisze St. Tarnowski między innemi: »Rok 1848 przekonał niektórych, że rewolucya nie jest ani powstaniem, ani wolnością, tylko anarchią, a liberalizm (dowiódł tego wiedeński i kromieryski Reichstag), nie jest ani wolnością, ani sprawiedliwością«. Można być pewnym, że do tych »niektórych« należał w pierwszym rzędzie Jan Bogdan Tarnowski, o czem jego syn, Stanisław, niezawodnie w domu słyszał nie raz jeden...

rowanie, podzielane przez całą rozumną część społeczeństwa, było gorzkie nad wyraz, tego pozwala się domyślać następujący ustęp ze szkicu o księdzu Kaysiewiczu, równający się osobistemu wspomnieniu: »U nas w Polsce rok 1848 mało stosunkowo przyniósł nieszczęść: ruchawka poznańska, bombardowanie Lwowa i Krakowa, dobre to rzeczy w porównaniu z tem, co było dwa lata przedtem... Ale i dla nas była to epoka zła i smutna: zła, bo wszystkie męty emigracyjne rozlały się szeroko po kraju i zostawiły w nim swój namuł, smutna, bo nasz nierozum i niedołęstwo zajaśniały wtedy po raz pierwszy w całym blasku swojej strasznej, tragicznej śmieszności. Te krzyki, te szumne frazesy, te tryumfalne powroty, te rady i narady, te przygotowania niby do jakiegoś działania, a bez żadnej myśli, bez żadnej wiedzy o tem, co i jak robić się miało, ten stek krzykaczów, którzy obiecywali odbudować Polskę, a umieli zrobić jedynie małą uliczną burdę, którą tylko niezręczny rząd austryacki uratował od ostatniej śmieszności, tłumiąc ją bagnetami i działami, wszystko to było smutne, jak śmierć, wstydliwe, jak znieważenie wielkiej sprawy«. Nie dziw więc, że byli zbolali i przygnębieni ci wszyscy, co tak niedawno jeszcze widzieli przedświt wielkiego dnia zwycięstwa i chwały, którzy tak niedawno jeszcze przeczuwali i wróżyli zmartwychwstanie!

W takiej to chwili, dnia 3 października 1848 roku, ukazał się pierwszy numer *Czasu*. Stanisław Tarnowski, który w tych dniach właśnie kończył lat jedenaście, był zbyt dziecinnym jeszcze, by już zdawać sobie należycie sprawę, jaki ten dziennik był, co był wart, jak był pisany, jakie miał dążności i cele. Wiedział tylko, że starsi mówili o tym małym arkuszu z uszanowaniem i życzliwie, jak o rzeczy poważnej i dobrej. Sam z siebie z upodobaniem czytywał *Czas*, choćby dlatego tylko, że dziennik ten podpisywał, jako redaktor odpowiedzialny, autor *Wieczorów pod lipą*. Już to samo usposabiało dobrze dla pisma. Powtóre »w domu babki i rodziców« założyciele *Czasu*, a w ich liczbie Adam Potocki i Paweł Popiel, jako przyjaciele Jana Bogdana Tarnowskiego, bywali dość często, co również potęgowało zainteresowanie się pomienionym dziennikiem. O ile jednak chodzi o Pawła Popiela, to przyszły autor dwóch o nim szkiców literackich nie był w tych czasach szczególnym jego wielbicielem; Popiel bowiem »uraził raz bardzo jego najgłębsze jedenastoletnie liberalne przekonania, kiedy w ciągu rozmowy rzekł, że lubi i szanuje władzę«. Jak można szanować władzę, a dopiero ją lubić? To tak zupełnie, jakby jemu n. p. kazano szanować i lubić księdza Gargaszyńskiego za »władzę«, jaką, niestety, miał nad nim! »A cóż za porównanie — rezonował 11-letni kandydat do stanu studenckiego —

pomiędzy moim księdzem a temi wszystkiemi władzami, które zrobiły rozbiór Polski, które potem mordowały, więziły i wysyłały na Sybir, które dwa lata temu sprawiły rzeź galicyjską, a świeżo zbombardowały Kraków i Lwów, rozstrzelały Edwarda Jełowickiego, i tak dalej bez końca! To musi być jakiś okropny człowiek, ten Popiel!« [1]). A przytem figura trochę komiczna! Bo nawet powierzchowność pana Pawła, wszystko to, co stanowiło zawsze niezaprzeczoną oryginalność postaci Popiela, jego ruchów, sposobu mówienia, słowem, cały ten właściwy mu a jedyny w swoim rodzaju *habitus*, raziły czasem i powodowały żarty między młodzieżą [2]). »Ale choć Popiel się nie podobał, to *Czas* znajdował przecie łaskę nawet w oczach małych chłopców. Wrodzonym instynktem czuli oni — a i Stanisław Tarnowski wraz z nimi — że temu pismu chodzi o sprawę Polski, a czasem i rozumieli już po trochu, że ono ma racyę, kiedy to lub owo wystawia, jako dla tej sprawy pożądane, albo szkodliwe. Wiadomości też byli ciekawi: co się dzieje w Wiedniu albo w Kromieryżu (gdzie przecież w obradach Reichstagu brał udział ich ojciec), co na Węgrzech, albo we Włoszech? czy Chrzanowski już pobił Austryaków? Tego wszystkiego szukało się w *Czasie;* a choć *Czas* na podobne pytania częściej dawał odpowiedź smutną, niż przyjemną, znajdował przecież wziętość i wiarę« [3]).

Na tę samą chwilę, co wyjście pierwszego numeru *Czasu,* przypada pamiętny kilkomiesięczny pobyt księdza Kaysiewicza w Krakowie, jego słynne kazania w kościołach podwawelskiego grodu. Dla 11-letniego Tarnowskiego osobistość księdza Kaysiewicza nie była obcą: znał jego *Kazania i mowy przygodne*, jeżeli nie z gruntownego czytania, to ze słyszenia, a zwłaszcza z obserwacyi wrażeń, jakie czyniły na starszych. Oto, co on sam pisze w tej kwestyi: »Wielu z nas pamięta jeszcze te lata, kiedy po raz pierwszy rozchodziły się po Polsce kazania ks. Kaysiewicza i jego przedtem nieznane, po raz

---

[1]) *O Czasie i jego redaktorach* str. 10—11.

[2]) St. Tarnowski, *Paweł Popiel, Przegląd polski*, 1892, kwiecień.

[3]) *O Czasie i jego redaktorach*, str. 11. Do tego czasu również odnosi się pierwsze wspomnienie St. Tarnowskiego o słynnym redaktorze *Czasu*, Maurycym Mannie, który wtedy, jako delegat i reprezentant powiatu Kościańskiego, należał w Wielkopolsce do t. z. *Ligi*, zawiązanej tam w celu bronienia narodowości wobec pruskich bezprawi. Parę broszur politycznych, a szczególniej jedna p. t. *Liga i Narodowość*, napisanych wówczas przez Manna, zwróciły na niego uwagę sfer zbliżonych do domu Tarnowskich, »Aniśmy ich wtedy czytać — pisze Stan. Tarnowski — ani rozumieć mogli; a l e p a m i ę t a m y d o b r z e, jak je czytali starsi, i jak byli zadziwieni rozumem i talentem autora«. W roku 1850 należał już Maurycy Mann do stałych współpracowników redakcyi *Czasu*.

pierwszy zasłyszane imię. Zakazane, jak wszystko, co przychodziło z emigracyi, przekradane przez granicę, w domu starannie i głęboko chowane, kazania te przechodziły cichaczem z rąk do rąk, tak mniej więcej, jak emigracyjne poezye, jak współczesny im *Przedświt*, i były przyjmowane, czytane, przepisywane, z podobnym zapałem. Widzieliśmy i pamiętamy twarze blednące ze wzruszenia, oczy błyszczące łzami, żalu zapewne, ale i szczęścia, że ktoś tak o Polsce mówić może, że o niej myśli tak wzniośle, że sądząc ją tak surowo, przecież o niej nie wątpi. Urok, jaki te słowa podówczas wywierały, (w kraju, bo zapewne nie w emigracyi), był bardzo potężny«. Niemniejszy, a raczej jeszcze potężniejszy urok wywierały kazania tego nowoczesnego Skargi, które wygłosił jesienią roku 1848 w Krakowie, a które w skupieniu słuchane przez całą ludność miasta, wywoływały nieskończone dyskusye wśród miejscowej inteligencyi. Tarnowski bywał bodaj że na wszystkich, a wspomnienie tych kazań, tej wymowy porywającej, zostało mu na całe życie. Oto, jak z tego sam zdaje sprawę: »W kazaniach swoich miał X. Kaysiewicz cel pewien przed oczyma, nasunięty mu właśnie ówczesnemi wypadkami we Włoszech: przekonać kraj, że niema katolicyzmu bez Papieża i Kościoła, bez jedności z nimi. Szkoda, że w zbiorze pism swoich nie pomieścił ksiądz Kaysiewicz tych ówczesnych kazań krakowskich. Jest tylko jedno, a przecież, jeżeli dobrze pamiętamy, było wiele takich, które warto i dobrze było ogłosić. W naszej, dziecinnej podówczas wyobraźni, został z nich tylko obraz kościołów zapełnionych ludem, kaznodziei z wielką przez twarz szramą na ambonie, dźwięk jego pięknego, męskiego, silnego głosu, a wreszcie czegoś niezwykłego, przedtem niesłyszanego. Starsi z ówczesnych jego słuchaczów możeby w pamięci swojej zdołali jeszcze odszukać i treść tych kazań, z których wychodzili do żywego przejęci i wzruszeni. Największe, jeżeli się nie mylimy, wrażenie zostawiły po sobie cztery kazania w niedziele adwentowe na zamku, kazanie o Męce Pańskiej, w wielkim tygodniu w kościele Marków, a zwłaszcza jedno, które miał u Dominikanów, w dzień nowego roku 1849, późnym wieczorem, w ciemnym prawie kościele. Została nam z niego pamięć ledwie słów kilku i wiele westchnień i płaczów między ludźmi, ale co w niem było, tego dziś zgoła powiedzieć nie możemy [1])«. Bawiąc w Krakowie, ks. Kaysiewicz wraz z kilkoma miejscowymi duchownymi wydawał *Tygodnik katolicki*, przeznaczony do ostrzeżenia niektórych księży, a oświecenia ogółu, broniący władzy świeckiej, dowodzący jej po-

[1]) *Rozprawy i Sprawozdania*, III, 105—106. Ks. Hier. Kaysiewicz.

trzeby ze stanowiska duchownego, a niebezpieczeństwa jedności i rewolucyi włoskiej ze stanowiska polskiego. To wypowiedzenie wojny duchowi rewolucyjnemu, to zdemaskowanie go, jako podszywającego się pod ducha narodowego, wywołało zaciekłą reakcyę przeciw ks. Kaysiewiczowi, bo nie należy zapominać, że ówczesny Kraków był prawdziwem eldorado polskich rewolucyonistów. Stąd akcya przeciw ks. Kaysiewiczowi, a jak nie brakło takich, co go odsądzali od patryotyzmu, tak »nie obeszło się bez oszczerstw i gróźb na złego Polaka, który ostatni grosz z biednego kraju wyciąga, ostatnią kroplę krwi z biednego ludu ssie, jak pijawka, byle wzbogacić Papieża«... Ale Tarnowski, jak i rodzina cała, i jego cała sfera wogóle, stał po stronie ks. Kaysiewicza, który go »pociągał i porywał, nie wiedzieć, czy więcej wymową w kościele, czy prostą rozmową w pokoju, czy powagą i urokiem osoby«.

Równocześnie w Wiedniu, a następnie w Kromieryżu, toczyły się obrady pamiętnego Sejmu, w którym i Jan Bogdan Tarnowski, jako »reprezentant jednej części narodu« brał udział. »Lubo języka niemieckiego nie posiadał — pisze jego biograf — jednak postępowaniem niezachwianem, zdaniem zawsze trafnem, umiał sobie zjednać szacunek i zaufanie wszystkich stronnictw, do tego stopnia, że gdy pytano chłopów ruskich: dlaczego głosują za samowolnością Kościoła? odpowiedzieli, że idą za głosem Tarnowskiego«. Jakie na tym sejmie było stanowisko polityczne Jana Bogdana Tarnowskiego, pozwala się domyślać następujący urywek ze wspomnienia Stanisława Tarnowskiego o Alfredzie Potockim: »Zasłyszano o nim coś więcej po raz pierwszy, kiedy w roku 1848 zasiadał w Kromieryżu, jako poseł; ale wtedy, jak Adam Potocki, jak Zdzisław Zamoyski, jak Helcel, należał do skrajnej prawicy ówczesnego Koła Polskiego, więc znowu nie mógł się wkupić w łaski opinii, naiwnie liberalnej, z do-

[1]) Do tego też czasu odnoszą się pierwsze wiadomości Tarnowskiego o X. Juliuszu Leszczyńskim, który wraz z Janem Bogdanem Tarnowskim posłował na sejm w Kromieryżu. »Dnia 5 sierpnia (1882) umierał w Orzechówce w Sanockiem człowiek, o którego życiu mało kto wiedział. Ci co zasiadali w sejmie kromieryskim 1849 roku, przypomną sobie, że mieli kolegę tego nazwiska, ale prócz tych każdy zapyta, kto on był: a najbliższym tylko, krewnym i przyjaciołom, niektórym duchownym, lub takim wreszcie, którym okoliczności pomogły, wiadomo, że nazwisko to nosił człowiek jeden z najrozumniejszych, najuczeńszych, a zwłaszcza najświątobliwszych, jakimi duchowieństwo polskie w naszych czasach poszczycić się może«. We wspomnieniu, skreślonem po śmierci X. Leszczyńskiego, drukowanem w *Czasie* z d. 26 sierpnia 1883 r. opowiada Tarnowski, że w nadwiślańskie równiny, do Wielowsi pod Dzikowem, ściągnęły go »stosunki z kolatorem« (Janem Bogdanem Tarnowskim), z którym się zaprzyjaźnił w Kromieryżu, a choć ten umarł, została pamięć wzajemnych przyrzeczeń«.

broduszności niedoświadczenia«. Że i Jan Bogdan Tarnowski szedł ręka w rękę z Adamem Potockim i Helclem, a więc należał do »skrajnej prawicy«, za to można ręczyć. Do wniosku tego upoważnia między innemi i to, co Stan. Tarnowski napisał w swem wspomnieniu o Franciszku Smolce: »Starsi od nas, a nie bezwzględni jego wielbiciele, ani nawet przyjaciele polityczni, wracali z Wiednia i z Kromieryża pod wrażeniem rzeczywistego, szczerego poważania i sympatyi dla Smolki«. Że tu autor przez tych starszych ma w pierwszym rzędzie ojca swojego na myśli, zdaje się nie ulegać wątpliwości. O samym Smolce, który w r. 1848, był nietylko posłem do Reichstagu, ale niebawem został jego prezydentem, tyle się zapisało w pamięci Tarnowskiego, jako wspomnienie z lat dziecinnych: »Jakim on był w tym roku 1848, który go wywiódł na szerszą arenę, tego podpisany wiedzieć nie może, był za mały. Widział i Smolkę samego, i jego litografie w mundurze gwardyi narodowej, ale choć na osobę i na wizerunki patrzał z największą ciekawością i uszanowaniem, to wiedział sam przez się to jedno, że Smolka miał wielkie wąsy ładnego rudawego koloru. Ale pamięć przypomina to, co o nim wtedy mówili starsi«.

Z nadejściem roku 1849 reakcya i centralizacya, głównie za sprawą Bacha, coraz bardziej brały górę nad tendencyami liberalnemi, aż w końcu, pod osłoną żołnierzy, stojących u drzwi burzliwej demokratycznej Izby, rozwiązano sejm w Kromieryżu, wszystko zaś, co nastąpiło potem, nie pozwalało, na razie przynajmniej, wróżyć nic dobrego. Jan Bogdan Tarnowski wrócił do Dzikowa. W lecie roku 1849 przeciągały przez Galicyę, dla stłumienia rewolucyi na Węgrzech, wojska rosyjskie, wojska Mikołaja! Już to samo dowodziło, że choć Metternicha wypędzono, to jednak jego zły duch wciąż jeszcze unosił się nad Austryą, a tem samem i nad Galicyą. Między innemi dawało się to uczuć w szkołach, w których, choć w nich już od dawien dawna wszystko było po niemiecku, germanizacya czyniła coraz gwałtowniejsze postępy. W Dzikowie, gdzie właśnie przemyśliwano nad tem, by synowie zaczęli chodzić do szkoły, była to kwestya pierwszorzędnej wagi.

Tymczasem wypadło opłakać zgon babki, która w dniu 29 października 1849 roku, rozstała się z tym światem. Dla 12-letniego Tarnowskiego było to już nader bolesne przejście. Oto, jak tę śmierć opisuje Siemieński: »W ostatniej chorobie, która trwała dni 17, a była równie jak męża, jak i później syna, uderzeniem apoplektycznem, serce jej wśród sparaliżowanego ciała ani na chwilę nie straciło czucia, jakgdyby dla przekonania bolejących nad nią, że jeszcze żyje

żywiołem sobie właściwym. Lubo z trudnością, jednak płynnie, głośno wydobywała najsłodsze wyrazy na pożegnanie dzieci i przyjaciół, którzy z różnych stron się zbiegli, dla oddania ostatniego hołdu wdzięczności umierającej matce, a najstarszego, najdroższego syna, klęczącego przy jej śmiertelnem łożu, chowającego w pościeli twarz męzką łzami oblaną, zdawała się nie widzieć, nie rozróżniać od innych, mało pieściła, nie żegnała, co go w rodzaj rozpaczy wprawiało: nie wiedział, że ona, konając, musiała mieć objawienie prędkiego z nim połączenia u źródła nieskończonego szczęścia«.

Albowiem któż mógł przeczuć, że nie upłyną trzy miesiące, a i Jan Bogdan Tarnowski podąży za cieniem matki, że już w dniu 28 stycznia 1850 roku, bez pożegnania z żoną i dziećmi, wyzionie ducha [1]). Zmarł w sile wieku, »z niezmiernym a szczerym żalem, tak całego obywatelstwa, jak domowników i poddanych«, nie mając nawet 45-ciu lat skończonych! Dla Stanisława Tarnowskiego, który miał wtedy 13 lat zaledwie, ta przedwczesna śmierć ojca, bardzo ukochanego, a tak mało znanego, stała się źródłem żałosnej tęsknoty na całe życie... Pozwala się tego domyślać wstęp z sylwetki Pawła Popiela, który zaprzyjaźniony z Janem Bogdanem Tarnowskim, cenił go, jak na to zasługiwał. Ustęp ten, pełen rzewnego liryzmu, choć pisany przez syna w 42 lata po stracie drogiego rodzica, zdaje się drgać uczuciem żalu, uczuciem niewygasłej miłości synowskiej, choć i synowi już posiwiały włosy. »On znał mojego ojca, on pamięta, jakim był, jak wyglądał, kiedy ja mam tylko ogólne z drugiej ręki wyobrażenie, mówi osierocony w dzieciństwie syn o starym przyjacielu rodziny i lgnie do tego przyjaciela; przez jego rozmowę i wspomnienia czuje się bliższym tego dawno straconego, prawie nieznanego ojca«. Że tu autor dał wyraz osobistemu uczuciu, prawie niepodobna wątpić.

Ponieważ zmarły był — według słów wyrytych na jego grobowcu dzikowskim — istnym »posłannikiem z nieba«, bo i »synem wzorowym«, i »małżonkiem nieporównanym«, i »ojcem na wzór Opatrzności«, i »z podwładnymi przyjacielem a z przyjaciółmi bratem«, przeto żal, jaki wzbudziła jego śmierć nagła, równie był szczerym, jak powszechnym, zarówno wśród najbliższej rodziny, jak i wśród całej ludności okolicznej, wśród mieszkańców Dzikowa i Tarnobrzega. Oto, co w tej kwestyi zapisuje autor *Wspomnienia pośmiertnego o Janie Bogdanie Tarnowskim*: »Oficyaliści, włościanie i mieszczanie, tak

[1]) Jan Bogdan Tarnowski zmarł nagle w Królestwie Polskiem, we wsi Sulejowie, w czasie objazdu swych majątków.

katolicy, jak i wyznania mojżeszowego, z własnego popędu prosili hrabiny-wdowy, aby pozwoliła im zrobić składkę na nagrobek dla zmarłego, aby mogli choć tem dowieść, jak go kochali, jak go żałują. Tę ofiarę mile przyjęła dostojna wdowa, z tem jednakże zastrzeżeniem, aby to był dowód, nie datek, t. j. nie kazała przyjmować więcej, niż po krajcarze« [1]). Szczegół charakterystyczny, że lud, choć był na pogrzebie swego umiłowanego pana, nie chciał uwierzyć w jego śmierć, sądząc, że go Moskale uwieźli na Sybir, skąd gdy wróci kiedyś, nastaną lepsze czasy [2])... Bądź co bądź, po pogrzebie mówili włościanie, że niema po co chodzić do kościoła, gdzie już nikt tak się nie modli, jak ich pan kochany [3]).

A jeśli po jego śmierci taki był żal między ludem, to jakaż dopiero musiała być boleść w osieroconej rodzinie, której nie mógł dotknąć cios okrutniejszy! Na szczęście dla dzieci, z których wszystkie jeszcze potrzebowały rodzicielskiej opieki, nietylko ich ubóstwiany ojciec, którego świeżo straciły, ale i pozostała matka była prawdziwą »matką na wzór Opatrzności«. »Niewieścia wysoka cnota — słowa są jej syna — i niewieścia dobra głowa, jest nietylko podstawą rodziny i jej koroną, ale jest i ogniskiem światła, ogniskiem chrześciańskiego i umysłowego życia, rzetelnej powagi w obyczaju, i rzetelnej ogłady w stosunkach towarzyskich« [4]). Pani Gabryela Tarnowska była tem przez całe życie. Oto, co o niej i jej zmienionem położeniu po śmierci męża pisze dobrze ją znający Lucyan Siemieński: »Wdowa ujrzała się na czele majątku z całem brzemieniem odpowiedzialności za dalsze wychowanie i poprowadzenie trzech synów i dwóch córek, których była najgłówniejszą opiekunką. W podobnem położeniu znajdowało się i znajduje wiele matek, ale nie wszystkim bywa dane wywiązać się tak z obowiązku i odpowiedzialności moralnej, jak z niej wywiązała się pani Gabryela Tarnowska. Dzikowski zamek pod jej

---

[1]) Napis na grobowcu Jana Bogdana Tarnowskiego brzmi, jak następuje: »Jan Bogdan hrabia || *Tarnowski* || syn wzorowy || Małżonek nieporównany || Ojciec na wzór Opatrzności || Obywatel prawy || z podwładnymi przyjaciel || z przyjaciółmi brat. || Żona, dzieci || wdzięczni mieszkańcy Dzikowa i okolic || kładą ten kamień || ku wiecznej jego pamięci. || Urodzony 20 sierpnia 1805 r. || posłannik z nieba || nagle wrócił do niego || w dniu 28 stycznia roku 1850-go. || Nad wszystko i wszystkich miłował Boga. || »Tylko bogobojny jest doskonały«. || »Był człowiek || posłany od Boga, || któremu było imię Jan«. || »Czego szukacie żywego między umarłymi«. || »Czuwaj Panie nad osieroconymi zgonem sprawiedliwego!«

[2]) Matusiak, *Wsp. pośm. o Janie Tarnowskim*, w księdze Zdzisława Tarnowskiego.

[3]) *Wsp. pośm. o Janie Bogdanie hr. Tarnowskim.*

[4]) *Czas* z d. 29 maja 1905, *Marya z Kośmianów hr. Romanowa Michałowska.*

macierzyńską władzą, tak słodką, tak wyrozumiałą dla młodych, coraz więcej ożywiał się dorastającem pokoleniem, patrzącem tylko w słoneczną stronę życia. Zewnętrzne oznaki żałoby powoli usuwały się z przed oczów, żeby wewnętrzny ból tem silniej zbierał się w jej sercu, które do końca życia nie umiało przeboleć poniesionej straty. Smutki zazdrośnie zatrzymawszy dla siebie, pragnęła oddalać je od dzieci; dla zachowania jednak równowagi, obok wielkiej swobody i wesołości właściwej krwi młodej, panowała tam pewna karność, nieprzekraczająca nigdy winnej czci matce, uszanowania dla starszych i delikatności we wzajemnych stosunkach. Było w tej atmosferze domowej tyle ciepła, tyle serdeczności, tyle harmonii, że i obcy człowiek czuł się lepiej, kiedy nią oddychał; a raz poznawszy się z mieszkańcami dzikowskiego zamku, zaciągał dług wdzięczności, podobny do strudzonego drogą wędrowca, co do końca życia słodko wspomina drzewo, pod którem wypoczął, i źródło, które mu było ochłodą« [1]). Podobne świadectwo wystawia wdowie po Janie Bogdanie Tarnowskim, jako dzielnej kobiecie i wychowawczyni dzieci, Ludwik Dębicki: »Wdowa... stanęła na czele rodziny. Wdowy w Polsce miewają osobne łaski u Pana Boga do spełnienia zdwojonych obowiązków smutnego swego losu. Nieraz widzieliśmy fortuny zachwiane, które rząd kobiecy na nowo dźwignął; a nigdy prawie wychowanie wdowy nie zawiodło, bo synowie wcześnie uczuwają obowiązek wynagrodzenia trosk tej, co sama pozostała, aby wziąć odpowiedzialność za ich przyszłość. Tu trosk materyalnych nie było; lecz wysoką musiała być dusza, podniosłem serce, niezwykłym umysł tej wdowy, co taki nadała kierunek synom. Trzeba się zbliżyć do tej rodziny, aby poznać ślad tej matki w niezwykłej miłości między rodzeństwem, w czemś hierarchicznem i patryarchalnem, co tę rodzinę trzyma tak zawsze wysoko i w tych celach wspólnych i wzniosłych, które jej przewodniczą w życiu. Najstarszy z synów, Jan, był jeszcze młodzieńcem, kiedy stał się już głową rodziny i wywierał ojcowską opiekę na młodszych braci« [2]).

---

[1]) Lucyan Siemieński, *Dwaj Juliusze*.

[2]) We wspomnieniu o Janie Tarnowskim z Dzikowa (w księdze Zdzisława Tarnowskiego) pisze Jan Stadnicki: »Jan Tarnowski od 1855 objął kierownictwo rodzinnego majątku, a sprawować je musiał w trudnych ówczesnych warunkach i za siebie w Galicyi, i za małoletnich braci, w Królestwie Polskiem majątki posiadających. Że z tego zdania wywiązał się należycie, świadczyło to, że z pozostałej spuścizny nic nie uroni! ibraciom dorastającym majątki oddał nietknięte«.

ROZDZIAŁ II.

LATA SZKOLNE.

(1850—1854).

Kraków po pożarze 1850 roku. Gimnazyum Św. Anny. Nauka w języku niemieckim. Dyrektor i profesorowie. Zygmunt Sawczyński. Koledzy szkolni. Tadeusz Piliński. Józef Szujski. Rozmowy o literaturze. Co czytali ówcześni gimnaziści? Pierwsze próby literackie. Gazeta szkolna. Tarnowski »krytykiem szkolnym«. Krytyka utworów Szujskiego. Znajomości ze sławnymi literatami. Wpływ Siemieńskiego. Wojna wschodnia. Pierwszy objaw nerwu politycznego. Trzej Tarnowscy. Przechadzki za miasto. Pamiętna rozmowa. *Birbante-Rocca*. Salon pani Wąsowiczowej. Teatr krakowski i wystawy obrazów. Wakacye w Dzikowie. Odwiedziny Siemieńskiego. Egzamin dojrzałości. Pożegnanie ze szkołą.

Smutnym nad wszelki wyraz był widok Krakowa pod jesień roku 1850, w trzy niespełna miesiące po strasznym pożarze, który 18 lipca i trzech dni następnych pół miasta obrócił w pogorzelisko. »Nieszczęśliwy grodzie — pisał w swej pełnej goryczy książce o *Galicyi i Krakowie pod panowaniem austryjackiem* rozżalony Kalinka — grało w twych murach niegdyś wielkie życie! Pod swobodą praw Rzeczypospolitej Polskiej mieszkańcy twoi wzrośli w zamożność europejską. Ich okręty uwijały się po oceanach, ich głos ceniony był w radzie Hansy! Najprzedniejszy polski grodzie, w twoich murach zdarzały się fakta, które na losy cywilizacyi wpłynęły. W twojej katedrze odbywał się ślub dwóch narodów; z łona twojego światło akademii rozjaśniło północ. Tyś witał Tarnowskiego, kiedy Polskę od Wołoszy, Sobieskiego, kiedy Europę od Turków ocalił. Na rynku twoim, pod tronem Królów polskich, przyklękali wazale Rzeczypospolitej. Tyś trzem bohatyrom usypał od wieków potężniejsze mogiły, i tym wieńcem czci przeszłości zam-

knąłeś się, jako relikwiarz narodowości naszej . . . Dzisiaj na głośne ongi miasto osiadła cisza. O wieże twych świątyń ocierają się w przebiegu swym wieki, patrząc z nich, niegdy na wielkość, dziś na ruinę twoją. Jako serce narodu, związany jesteś z jego życiem: kwitnąłeś, kiedy on kwitnął, upadłeś, kiedy on upadł. Jak dawniej świeciła w tobie jego potęga, tak dzisiaj nędza jego odbija się na tobie«[1])

Do takiego to Krakowa, pełnego ruin i zgliszcz, zubożałego i pogrążonego w jakiejś smutnej i ponurej prostracyi[2]) przybył jesienią 1850 roku 13-letni Stanisław Tarnowski, by tu po zdaniu wymaganych egzaminów, wstąpić do 5-ej klasy gimnazyum Św. Anny.

Szkoła ta, świeżo przemieniona z dawnego liceum na nowy austryjacki system ośmioklasowy, mieściła się w tym samym gmachu, co do ostatnich czasów, choć budynek t. zw. Nowodworski — dziś przyłączony do Biblioteki Jagiellońskiej — nie był taki, jak teraz: miał tylko korpus nawprost kościoła Św. Anny i tak zwany po krakowsku *widermach;* część boczna, wystająca na plantacye, jest nowym dodatkiem, na który dopiero w r. 1853 zaczęto wozić cegły . . . W dawnym budynku nie było miejsca na wszystkie klasy, tak, że ósma uczyła się w lokalu najętym, w domu proboszcza Św. Anny »pod Wachlarzykiem«, na dole.[3]) To pomieszczenie ósmej klasy w przyległym budynku uważane było przez jej uczniów za błogosławiony przywilej, za zaszczyt, który się im należał z wieku i z urzędu. Przywilej ten — opowiada autor *Młodości Szujskiego* — polegał na tem, że nic nie było pod kluczem. »Na pauzę nie chodziło się w kółko po dziedzińcu jak zwierzęta w klatce, ale się wychodziło na ulicę, na plantacye, czasem nawet bardzo daleko aż do Wiślnej ulicy albo do Szczepańskiej; ze śniadaniem nie było się ograniczonym na lichy prowiant, jaki tercyanka utrzymywała pod schodami, ale się miało wybór i sposobność porównania, która przekupka lepsza (a ubiegały się bardzo o nasze łaski). Czasem można było i ze świata kogo spotkać: a zawsze Negra i poczęstować go kawałkiem śniadania (ogromny i znany kudłaty pies, należący nie wiedzieć do kogo, podobno do Biblioteki Jagiellońskiej, znany w całem mieście i wielki przyjaciel studentów.) Jeżeli zaś nie umiało się

---

[1]) Ludwik Dębicki, *Z teki dziennikarskiej*, II. 232.

[2]) We wspomnieniu pośmiertnem o Stefanie Ludwiku Kuczyńskim (*Przegląd Polski*, 1887, listopad str. 426) pisze St. Tarnowski o ówczesnym Krakowie, co następuje: »Po roku 1848 zaciężyła nad miastem jakaś prostracya smutna; pożar roku 1850 uczynił ją jeszcze bardziej ponurą, a to jakieś opuszczenie się i zobojętnienie obejmowało pomału różne działy i kierunki życia.«

[3]) St. Tarnowski, *Szujskiego młodość*, str. 59.

lekcyi i czuło w niebezpieczeństwie, albo jeżeli jaka wielka pokusa ciągnęła, można było śmiało i łatwo uciekać: nie było drzwi zamkniętych, a przy nich Jana albo Bartłomieja! Klasa piąta nie miała tych przywilejów, przez cały jednak rok szkolny 1850—1851, gdy Tarnowski należał do jej uczniów, dzieliła wraz z innemi klasami inny błogosławiony przywilej, mianowicie, że jeszcze w niej nauka odbywała się po polsku. W Galicyi od lat 70-ciu przeszło, a w Krakowie od roku 1849 w szkołach wszystko było po niemiecku, dążność zaś, żeby je zniemczyć zupełnie, z każdym dniem stawała się wyraźniejszą i energiczniejszą. W jednem tylko gimnazium Św. Anny, pomimo przyłączenia Wolnego Miasta do Austryi, jeszcze przez lat kilka język polski został nietkniętym. Ale niebawem położono temu koniec. »Byliśmy w szóstej klasie — opowiada Tarnowski — kiedy pewnego dnia przyszedł dyrektor z jakimś reskryptem czy *Erlassem* i z niego nam zapowiedział, że od jutra mamy się po niemiecku uczyć wszystkiego, z wyjątkiem religii, języka polskiego i matematyki, tej ostatniej przez wzgląd szczególny podobno dla profesora Gralewskiego, który, sam wychowaniec szkół krakowskich, nie władał dość pewnie językiem niemieckim. W skutku czego czy mineralogia i botanika także podciągnięte zostały pod ten szczęśliwy wyjątek, nie pomnę. Jaka nastała po tem rozporządzeniu desperacya i jaka dla uczniów i nauczycieli trudność, nie można sobie wyobrazić. Po niemiecku umieliśmy wszyscy, czytaliśmy, tłómaczyli, pisali zadania, mogli się trochę rozmówić, ale w tym języku się uczyć, myśleć, odpowiadać, nie potrafił żaden, i poprostu uczyliśmy się z książek całej lekcyi na pamięć, żeby módz jako tako odpowiedzieć. O tem, co w tej lekcyi było, o tem, żeby ją rozumieć i umieć naprawdę, nie było prawie mowy; nie było na to czasu, bo cały trzeba było na to poświęcić, żeby tę nieszczęśliwą lekcyę wybębnić po niemiecku. W siódmej klasie było nam zawsze równie przykro, niechęć do narzuconego języka nie ustawała, tylko rosła, ale było już cokolwiek lżej; nabrało się tyle przynajmniej wprawy, że tylko niektóre frazesy z książki zatrzymywało się dosłownie w pamięci, a między te wstawiało się już własne, jakie Pan Bóg dał, a chwilowa inspiracya podsunęła. Profesorowie rozumieli oczywiście nasze położenie prawdziwie rozpaczliwe i byli względni, ale profesor języka niemieckiego nigdy nas przebłagać i ująć nie potrafił.«

Profesorami tymi, nawet owego profesora języka niemieckiego nie wyłączając, byli sami Polacy.

Polakiem również, choć z Niemką — Wiedenką — ożeniony, był dyrektor gimnazyum, Ludwik Klemensiewicz. Jako dyrektor,

które to stanowisko objął po Kuczyńskim i Małeckim,[1]) nie bardzo był popularnym między młodzieżą, a choć jako profesor mineralogii, botaniki i matematyki, był doskonały, bo miał wykład niezmiernie jasny i zajmujący, to jednak studentom wydawał się zbyt rządowym i uległym. A przytem mówił zepsutym językiem polskim, pełnym niemieckich zwrotów. Co gorsza, że ścisły z natury, przestrzegający porządku i przepisów, a więc pedant i rygorzysta w oczach uczniów, krótko trzymał wszystkich, młodzież zarówno jak nauczycieli. Mimo to nie był zbyt surowym, a tem mniej niesprawiedliwym, ale umiał być zwierzchnikiem, który budził respekt powszechny. »Tyrania — opowiada Tarnowski — była sroga i ciężka obraza naszej godności, kiedy raz dyrektor przeczytał nam nieludzki, niezgodny z duchem wieku ukaz, z którego dowiedzieliśmy się, że nie musimy chodzić z laskami, palić cygar, chodzić do cukierni i kawiarni, ani do teatru, bez pozwolenia i dozoru. Czytaliśmy wiele Schillera i porównywaliśmy siebie do nieszczęśliwych Szwajcarów, dyrektora do Gesslera. Czyśmy go zupełnie słuchali? Oczywiście nie; bo nie mógł kontrolować, czy który był w cukierni albo nawet w teatrze; a co do cygar, tych naprzód jeszcześmy palić nie zaczynali, a potem na złość paliliśmy, nie w odległych kątach i zaułkach, gdzie byliśmy pewni, że nikt nie zobaczy, ale zawsze na ulicy; najśmielsi chodzili czasem z cygarami, i z heroicznem postanowieniem, że jak się gdzie jaki belfer pokaże, to cygara z ust nie wyjmą, jeżeli to będzie belfer z niższego tylko gimnazyum.«

Co innego, gdyby to był inspektor, »straszny pan Czerkawski,« którego się bano, jak ognia, który wszystkim studentom, zwłaszcza na krótko przed egzaminami, śnił się po nocach, jako uosobienie srogości i bezwzględności. Albowiem straszny ten człowiek, nietylko że miał ustaloną reputacyę egzaminatora nieubłaganego, ale co

---

[1]) We wspomnieniu pośmiertnem o Stefanie Ludwiku Kuczyńskim pisze St. Tarnowski o chwili swego wstąpienia do gimnazyum Św. Anny, co następuje: »W naszych wspomnieniach pewnie jeszcze dziecinnych zjawia się Kuczyński po raz pierwszy w gimnazyum Św. Anny. Przerobiło się ono właśnie z dawnego liceum na nowy austryjacki system (zniesienie dawnych dwóch lat tak zwanej filozofii i reorganizacya na gimnazium ośmioklasowe, zmiana egzaminów na dzisiejszy egzamin dojrzałości): ustępował stary i ciężki prorektor Tyrchowski, jego zastępcą (a jakeśmy wtedy sądzili następcą) był Kuczyński. Nowy dyrektor cieszył się (może o tem nie wiedząc) wziętością i powagą w klasach, ale trwało to bardzo krótko; objął katedrę w uniwersytecie, a jego miejsce w gimnazyum zajął (znowu na krótko niestety) pan Małecki. Kuczyński tylko nam mignął, można powiedzieć, ale zostawił wspomnienie stałe.« *Przegląd Polski* 1887, listopad, str. 426.

gorsza, odznaczał się dziwną wszechwiedzą: prócz matematyki umiał wszystko, tak, że go zbyć i ścmić lada czem nikt nie potrafił. To też jego »wizyty« w gimnazyum, powtarzające się raz po raz, a nieodłączne przy egzaminach, były zmorą gimnazistów.

Zwłaszcza, iż nie wszyscy egzaminujący profesorowie tak stali po stronie uczniów, jak ksiądz Jan Staroniewicz, który, lubo surowy i wymagający w ciągu roku, przy egzaminie ochraniał uczniów, jak mógł, przed srogością strasznego inspektora: mrugał, szeptał, podpowiadał, a tak zgrabnie, jak żeby sam był studentem. »Przy maturze naprzykład — bo nawet przy samej maturze nie cofał się przed tą sympatyczną metodą — pytał ostro o datę jakiego soboru lub czego innego, a kiedy inspektor wlepił oczy w studenta, jak ryś w koźlątko, ksiądz za jego plecami pokazywał na palcach datę, którą się czytało gładko jak z książki. Trzeba było widzieć minę, jaką wtedy robił, sprytną, drwiącą, i oczy, które razem śmiały się do studenta z inspektora i mówiły mu niecierpliwie: spiesz że się, ośle, żeby się nie spostrzegł!« Swoją drogą jako katecheta i nauczyciel religii i historyi kościoła, ksiądz Staroniewicz, dość młody i wesół, z figlarnemi śmiejącemi się oczyma, bardzo często niecierpliwił uczniów, najprzód dlatego, iż starał się uchodzić za gorszego, niż był w istocie, a powtóre, że zbyt wielką wagę przywiązywał do niektórych drobiazgów. I tak naprzykład przywidziało mu się, iż ósma klasa chodzi do kościoła najczęściej bez książek do nabożeństwa, i poskarżył się na to dyrektorowi. Gdy dyrektor nakazał chodzić z książkami, oskarżeni, notabene nie poczuwający się do winy, urządzili wielką demonstracyę. »Na następną niedzielę — czytamy w *Młodości Szujskiego* — zmówiliśmy się przyjść z książkami, ale nakaz i księdza obrócić w śmieszność. Dane było hasło, żeby przynieść książki jak największe; kto nie miał bardzo wielkiej, przynosił kilka, całą bibliotekę mniejszych (tak zrobił Szujski) i sztukował się koronkami i różańcami. Tak uzbrojeni poszliśmy do kościoła parami, dając tem uczuć, że się z nami obchodzą, jak z żakami niższego gimnazym; każdy niósł przed sobą w dwóch rękach swoje quarto czy folio (były tam biblie, żywoty świętych, były i słowniki), rozkładało się to na ławkach i z wielkiem nabożeństwem całowało się kartki, obrazki albo medaliki. Demonstracya skutkowała, bo po tygodniu chodziliśmy, jak nam się podobało, z książkami lub bez nich, a ksiądz patrzał przez szpary.« Ale mimo te drobne przywary, ksiądz Staroniewicz, choć często sierdził się i srożył, ratował w biedzie, co mu ostatecznie jednało sympatyę uczniów.

Inaczej miała się rzecz z nauczycielem języka niemieckiego, księdzem Eugeniuszem Janotą. Była to postać znienawidzona przez młodzież. Szlązak urodzeniem, a Polak uczuciem, był księdzem bez powołania i wiary, a pedagogiem najgorszym, absolutnie do czego innego stworzonym, niż do uczenia młodzieży. Zdolny i wykształcony, zaprzątnięty filozofią, lingwistyką, naukami przyrodniczemi, szukający zapewne w tych wszystkich kwestyach istoty rzeczy i samej rdzeni prawdy, niezdolny w niczem i z niczem, ani z sobą zwłaszcza dojść do zgody i jedności, był to umysł chaotyczny, niejasny, mętny. A że przytem usposobienie miał ponure, a nierzadko bywał niegrzecznym, grubiańskim, używając wyrazów, które wielce obrażały godność młodzieży, więc — z wyjątkiem może jednego Szujskiego — cieszył się »głęboką nienawiścią« całej klasy. Wykład miał również niejasny, tak, że uczniowie często nie wiedzieli, czego chciał. Jego typowe *Einige Bemerkungen über das All*, mające prowadzić do estetyki, a pełne jakichś niezrozumiałych dyssertacyi *über das Waare, Schöne und Gute*, zbyt były metafizyczne, a obszerne opowiadania wszystkich średniowiecznych poematów: *Nibelungen, Gudrun, der kleine Rosengarten, der grosse Rosengarten*, etc. etc., mające służyć za naukę średniowiecznej literatury niemieckiej, choć były łatwiejsze do spamiętania i nauczenia się, do przekonania nie trafiały. Dopiero przy ostatecznych egzaminach okazało się, iż ten nielubiany ksiądz szlązki, tak niepodobny do naszych polskich księży, bo bez obojczyka, bez tonzury, z długimi włosami i w spodniach, nie był takim czarnym charakterem, za jakiego aż dotąd uchodził: bo zawsze ostry i wymagający, teraz pokazał się łagodnym i względnym. Była to jego rehabilitacya w oczach młodzieży, ale, niestety, przychodziła za późno!...

Innym był stosunek do profesora łaciny i greki, Andrzeja Oskarda. Był to i dobry człowiek, i znakomity pedagog. Tylko powierzchowność pozostawiała wiele do życzenia. »Niezgrabny w ruchach, twarz jak gruszka, wązka od góry, szeroka u dołu, wielkie obwisłe wąsy, głos jakiś twardy i trochę bełkoczący; z tego wszystkiego — opowiada Tarnowski — śmialiśmy się trochę, bo jakże nie śmiać się z profesora! Aleśmy go lubili, bo ponury na pozór, naprawdę był grzeczny i łagodny; i mieliśmy dla niego respekt, bośmy czuli, że i sam umie, i uczy doskonale. Nie puścił człowieka, dopóki mu w najciaśniejszy kąt głowy nie zapchał wszystkich aoristów regularnych i nieregularnych, wszystkich wyjątków, wszystkich reguł, tak, że musiały utkwić na długo. W rzeczach stylu i estetyki mieliśmy się za mądrzejszych od niego; drwiliśmy naprzykład, kiedy czytając z nami

Horacyusza [1]) i robiąc analizę, pytał nieodmiennie: *wo liegt hier das poëtische*? a rozumiał przez to jakąkolwiek figurę, kiedy my, romantycy, wiedzieliśmy, że *das poetische* to jest coś, co się określić i wskazać nie da, natchnienie, święty ogień, iskra geniuszu, i tak dalej. Śmialiśmy się, kiedy swoim tubalnym głosem deklamował zakończenie jakiejś strofy Sofoklesowego chóru«... Ale co który z jego uczniów, Tarnowskiego nie wyłączając, na całe życie umiał po łacinie i grecku, Oskardowi miał do zawdzięczenia. Jemu zawdzięczał Szujski, że mógł tłomaczyć Arystofanesa i Eschyla. [2])

Temi samemi przymiotami, i osobistego charakteru, i metody wykładu, odznaczał się profesor matematyki i fizyki, Ignacy Gralewski, uosobienie dobroci i cierpliwości. To też, choć wielu było w klasie takich, co niecierpieli matematyki — Tarnowski zaliczał się do nich stanowczo [3]) — to jednak przebaczano jej dla miłości poczciwego »Gralona«, a przy maturze każdy prawie, żegnając się rozkosznie z kredą i tablicą na resztę życia, żałował ich przecie, bo

---

[1]) Gdy w roku 1869 wyszły w Krakowie *Ody Horacego* w mistrzowskim przekładzie L. Siemieńskiego, Tarnowski, zdając z nich sprawę w *Przeglądzie Polskim*, powołał się na swoje wspomnienia z czasów szkolnych, gdy sam musiał mozolić się nad Horacym. »Na nieszczęście, pisał, nie mamy prawa sądzić o tym przekładzie gruntownie i wszechstronnie, chcąc wyrokować o jego wierności i ścisłości, trzeba by być filologiem, a nam na tyle tylko zostało jeszcze łaciny w pamięci że od czasu do czasu powtarzać sobie możemy: *ne sutor ultra crepidam*... Otóż wyrzuciwszy z pamięci wszystkie szkolne reminiscencye i wyobrażając sobie, że pierwszy raz w życiu mamy w ręku *Ody Horacyusza*, tak mniej więcej opisalibyśmy to wrażenie. Przekład p. Siemieńskiego nie jest może przekładem filologicznym, o tem sądzić nie możemy: nie wiemy, czy ślęczącemu nad odami uczniowi rozwiąże jaką trudność lingwistyczną, bardzo być może, że nie... Musi to być zadanie trudne nad wszelki wyraz, tłomaczyć Horacyusza. Odjąć mu wdzięk, swobodę, lekkość, odjąć artystyczną doskonałość formy, a pozostanie suchy szkielet, niezdolny podobać się nikomu, zostanie coś takiego, jak Horacyusz tłomaczony na lekcyi w gimnazyum, odarty z piękności, zeszpecony nie do poznania. Publiczność w takim razie takby się na nim poznać i tyle go sobie upodobać mogła, ile uczniowie, którzy go sami z mozołem i ze słownikiem tłomaczą.«

[2]) W szóstej klasie nauczał greckiego prof. Radziszewski, niecierpiany przez uczniów.

[3]) *W przemówieniu JW. prof. Dra Stanisława hr. Tarnowskiego, przewodniczącego Komisyi Egzaminacyjnej z okoliczności rozdania abituryentom świadectw dojrzałości* (Kraków, 1890, osobna odbitka ze sprawozdania III gimnazyum) czytamy między innemi, co następuje: »Nieraz w późniejszem życiu... wspomnienie z utęsknieniem te dobre czasy szkolne, w których narzekało się na gramatykę lub matematykę, ale w których myśl była najswobodniejsza, a sumienie najspokojniejsze.« W szkicach *Z Wakacyi*, na widok jakiegoś obrazu (w Gdańsku) apoteozującego gramatykę, pisze Tarnowski: »Czwarta

tem samem i z nim się rozstawał. Oto, jak go charakteryzuje Tarnowski: »Tyle tęgi i zamiłowany w swoim przedmiocie, ile w obejściu cichy i nieśmiały, tłomaczył jasno, doskonale, kładł swój przedmiot, jak łopatą, w nasze głowy, a było ich twardych i opornych wiele. Jak on się biedny bał, jak drżał, żeby któremu z nas nie zadać pytania, którego by ten nie umiał! jak ostrożnie macał i badał, nim je zadał, jak pomagał i naprowadzał na dobrą drogę, kiedy kto z niej zboczył w dowodzeniu! jak zręcznie zasłaniał nasze pomyłki przed inspektorem!«

Nauczycielem języka polskiego — w piątej i szóstej klasie — był Antoni Kamiński, najpoczciwszy człowiek na świecie, ale sentymentalny, jak stara panna, płaczliwy, jak Filon, i nie bardzo mądry. To też respektu nie budził.

Profesorem jednak, który ze wszystkich największy wpływ wywierał na uczniów, a zarazem cieszył się ich największą sympatyą, szczególniej Tarnowskiego i Szujskiego, był Zygmunt Sawczyński, nauczyciel historyi powszechnej, oraz — w siódmej i ósmej klasie — języka polskiego. »Byliśmy w piątej klasie, opowiada Tarnowski (który niebawem stał się ulubionym Sawczyńskiego uczniem) kiedy przyjechał z Tarnowa, jako suplent, do naszego gimnazyum. Pewnego dnia po południu, zamiast starego profesora Kulawskiego, długiego, chudego, kaszlącego, w długim surducie i wysokim halsztuku, przyszedł na lekcyę historyi dyrektor, podówczas Antoni Małecki, prowadząc za sobą młodego człowieka w paltocie cynamonowego koloru (bardzo wtedy modnym), z czarnemi oczyma i czarną brodą, szlachetnych regularnych rysów i pięknej postawy, i przedstawił go, jako następcę pana Kulawskiego. Sam widok zadziwił nas niemało. Przywykli do najszanowniejszych, ale z pozoru trochę śmiesznych zabytków dawnego liceum, ubranych, jak się ubierano w pierwszych latach Wolnego Miasta Krakowa, zaniedbanych, nie bez tabaki, czasem rubasznych, nie mogliśmy pojąć, że profesor może być podobnym do ludzi, ba, wyglądać ładniej od najświetniejszych elegantów z ósmej klasy, na których patrzaliśmy z taką czcią i zazdrością. Zamiast czytać katalog albo nam dać jaką reprymendę *a conto*, młody profesor zaczął mówić. Mówił o Grecyi, o Maratonie i Milcyadesie, o Periklesie i Platonie, o rzeźbiarzach

(z pomiędzy alegorycznych postaci niewieścich na obrazie), wcale nie stara i wcale niebrzydka pani w staroniemieckim stroju, która także coś żakom wykłada, to *Gramatica*! Jakiej trzeba bujnej fantazyi — konkluduje Tarnowski jeszcze w r. 1881 — albo jakiej rajskiej naiwności, żeby wyobrazić sobie nieznośną gramatykę, jako młodą, ładną, elegancko ubraną kobietę!«

i o poetach, o bajecznych i prawdziwych bohaterach; a my słuchali, wpatrzeni jak w tęczę, wstrzymując dech, żeby nie przerwać; oczarowani tak, żeśmy nie wiedzieli, co to jest, skąd taki człowiek, dlaczego cały świat o nim nie wie i nie mówi. Pierwszy raz w życiu słyszeliśmy człowieka pięknie mówiącego: sam głos brzmiał jak muzyka, a słowa i okresy płynęły tak szybko, tak się składały w jakieś obrazy malownicze, tak co chwila zdumiewały nas myślami i wiadomościami dla nas nowemi, że kiedy się skończył ten wstęp do historyi greckiej, a z nim godzina, byliśmy nie w zapale, lecz prawie w deliryum. I to nas głaskało po sercu, podnosiło we własnej opinii, że mówił do nas nie jak do żaków, ale jak do młodzieży dorosłej; ale nie miłość własna, tylko urok jego słów i urok treści, Maraton, Termopile, Temistokles i Aristides, to sprawiło, żeśmy byli podbici, i na tego nowego profesora patrzali, jak żeby sam był jakim herosem albo półbogiem«. Takim, jak na tej pierwszej lekcyi, był Sawczyński stale, zawsze. Poeta sercem i wyobraźnią, był to piękny, szlachetny typ tego pokolenia, które po roku 1831 rosło, a karmiło się ukradkiem, w tajemnicy, natchnieniami wielkich poetów. To się czuło w jego lekcyach, to z jego duszy przechodziło w głowy i serca uczniów. Zdolności niezwykłych, w przedmiocie rozmiłowany, wymowy świetnej, nieraz porywającej, często poprostu magnetyzował swe młodzieńcze audytorium. Ale bo też w jego słowie była moc, w rozumie jasność, a w duszy ogień, od którego zajmował się uczeń; a co się w jego młodocianej głowie rozjaśniło, co się zapaliło w sercu, to już nie gasło nigdy. Jeżeli co można było zarzucić jego wykładowi, to chyba to jedynie, iż był to raczej wykład uniwersytecki, może nieco za wysoki dla gimnazistów. Ale wykłady te, dzięki talentowi profesora, tak były zajmujące, taką budziły ciekawość do historyi i literatury, tak rozniecały cześć dla tego, co w jednej czy w drugiej jest piękne, a duch, które je ożywiał, tak był podniosły i zapładniający, iż w wielu bardzo słuchaczach, a w ich liczbie w Tarnowskim i w Szujskim, wtedy poraz pierwszy, pod wpływem lekcyi Sawczyńskiego, a także rozmów z nim, »ogień zarzegł się miłości do tej wielkiej i świętej przeszłości«. Szczególniej do przeszłości narodowej polskiej. Bo wykłady Sawczyńskiego, choć tego nie mówiły wyraźnie, bardzo były nacechowane duchem patryotycznym, który to duch doskonale był wyczuwany przez uczniów. Za młodu historyk, Sawczyński — jak o nim powiedziano pięknie — przez przeszłość pośrednio uczył teraźniejszości, a służył przyszłości. Przy każdej lekcyi historyi — a na lekcye te wyczekiwano z upragnieniem — czuło się doskonale, kto miał dobrą a kto złą sprawę, jaka

n. p. była różnica między Henrykiem IV a Ludwikiem XIV; nie brakło nigdy wyraźnej wskazówki, kogo można zupełnie szanować, a kogo nie. To też niema słowa przesady w twierdzeniu, że Sawczyński przez historyą, i to powszechną tylko, bo polskiej nie było wcale,[1]) podnosił młodzież w szlachetności, utwierdzał w prawości, treść duszy, cel życia, trzymał wysoko, pragnąc, żeby i uczniowie wysoko je widzieli nad sobą, i tym sposobem, duchem swoim, rozumem swoim, sądem, przyzwyczajał ją, wkładał, zmuszał do męzkiej rzetelności i prawdy uczucia.[2]) Obdarzony zmysłem estetycznym, bardzo czułym i pewnym, posiadając, obok wrodzonego zamiłowania do sztuk, zwłaszcza do muzyki, bardzo wysokie wykształcenie estetyczne, i pod tym względem wywierał olbrzymi wpływ na niektóre wrażliwsze umysły, w pierwszym rzędzie na Tarnowskiego, w którym zdawał się przeczuwać przyszłego pisarza i estetyka. Z wzrokiem bardzo bystrym na piękności, jak na błędy, tym swoim smakiem, tem swojem usposobieniem estetycznem i artystycznem, jakie miał, ogromnie swych uczniów podnosił w kulturze, czynił przystępnymi, wrażliwymi i zapalonymi dla wszelkiego piękna w dziele sztuki czy literatury, tak dalece, że nietylko pierwsze wyobrażenia o sztukach w ogólności, ale i swoje późniejsze pojęcia i wiadomości, uczniowie przejmowali od niego, z jego lekcyi, a zwłaszcza rozmów. Tak n. p. miało się ze Stanisławem Tarnowskim, na którego Sawczyński i pod innymi względami wywierał wpływ ogromny. Tak n. p. rozwijał w nim bardzo, bez osobnego zamiaru, samym wpływem swego słowa i sposobem przedstawienia rzeczy, zmysł krytyczny. Odznaczając się

---

[1]) Jako wychowaniec szkół austryackich, a więc kształcony na literaturze historycznej niemieckiej, Sawczyński dziwnie mało przesiąkł jej duchem. Jakich książek trzymał się najwięcej? Miał ich bardzo wiele — opowiada o nim Tarnowski — wszystko, co najsławniejsze i najnowsze w starożytnej czy nowszej historyi; w jego ręku wszakże najczęściej może widziało się Rankego i Leo, a co do rozmiarów swego wykładu, choć z przepisanym Pützem na katedrze, trzymał się najwięcej Webera. Historyi polskiej nie było wcale; podług Pütza ani nauczyciel uczyć, ani uczniowie uczyć się nie byliby chcieli; inaczej uczyć nie było wolno. Trzymano się w gimnazyach sławnych podówczas słów Mausa, profesora uniwersytetu lwowskiego, który doszedłszy w wykładach do historyi polskiej, powiedział słuchaczom: »*Jetzt sollte ich polnische Geschichte vortragen, aber wie ich wollte, darf ich nicht, wie ich müsste, will ich nicht, so will ich lieber nichts sagen.*« W literaturze polskiej opierało się wszystko na ustnym wykładzie. Dla przypomnienia mieli niektórzy uczniowie Majorkiewicza, i tym sobie w przygotowaniu pomagali, ale profesor nie trzymał się go wcale. Ob. *Szujskiego młodość* str. 47—48.

[2]) Zob. mowę Tarnowskiego, wypowiedzaną nad trumną Z. Sawczyńskiego d. 14 maja 1893 r. *Przegląd Polski*, 1893, czerwiec, str. 643—8.

zupełnie wyjątkowem poczuciem piękna, posiadał wielki dar wykazywania i określania zalet i wad w utworach literackich; a że miał wiele humoru i soli attyckiej, więc biada złej książce, albo głupiemu pisarzowi, o którym mówić mu przyszło. Niektórzy z uczniów, Tarnowski między innymi, zachwyceni tą stroną wykładu Sawczyńskiego, starali się go naśladować pod tym względem, ale nie było to łatwo, jeśli się zważy, ile subtelnych odcieni było w tym humorze i sarkazmie Sawczyńskiego. Ten bowiem, nawet gdy mówił poważnie, czy w rozmowie, czy na lekcyi, często używał tonu świątobliwego, mówiąc rzeczy bardzo poważne, nawet smutne, przez taką *oratio obliqua*, pod taką maską humoru i lekkiej ironii, że pod nią łatwo dało się rozpoznać głębokie, szczere, czasem aż rzewne uczucie, które tem wiecej robiło wrażenie, że było cokolwiek przysłonięte. Ale ten humor, często występujący w postaci żarcików pod adresem niektórych uczniów, trochę szkodził Sawczyńskiemu, sprawiał bowiem, że na fanatyków wielu, do których należał i Tarnowski razem z Szujskim, miał i nieprzyjaciół w klasie. Bo nie brakło i takich, co się obrażali z powodu jego dowcipów i żarcików, dowodząc, że profesor proteguje jednych, a prześladuje drugich. Tak nie było. Co jednak nie ulegało wątpliwości, to, że przez władze Sawczyński był źle widziany, gdyż miał opinię gorącego patryoty. Opinia ta była słuszna!...

Patryotyzmem również odznaczali się wszyscy koledzy szkolni Tarnowskiego, czego wielokrotnie dawali dowody: czy to w czasie uroczystości zawieszenia w amfiteatrze gimnazyum portretu Franciszka Józefa, kiedy — oprócz jednego jakiegoś dziecinnego głosiku z pierwszej czy drugiej klasy — nikt za inspektorem nie powtórzył okrzyku: *Hoch!* czy to w dniu nabożeństwa w kościele Św. Anny za »fundatorów« uniwersytetu jagiellońskiego, t. j. za królów polskich, kiedy, wbrew zakazowi władz szkolnych, wszyscy t. j. cała ósma klasa, gremialnie uczestniczyli w tem nabożeństwie, za co później zostali ukarani srodze... Co prawda, w klasie, z wyjątkiem jednego niemca, Ferdynanda Ettmayera, i jednego żyda, Hirscha Steuermarcka, byli sami Polacy, a z bardzo nielicznymi wyjątkami sami katolicy. A że wszyscy byli dobre chłopcy, o tem dziś jeszcze śmiało zaświadcza długoletni towarzysz *Młodości Szujskiego*, temi słowy charakteryzując swoich kolegów ze szkolnej ławy: »Nigdy się dzięki Bogu nic złego między nami nie zdarzyło; uczyliśmy się niezgorzej, stosunek koleżeński w klasie był bardzo dobry i miły. Zdarzało się naturalnie, że się jeden z drugim czasem pokłócił; nie zdarzyło się nigdy, żeby który drugiemu dokuczał; bo tego za do-

kuczanie uważać nie można, że temu urządziło się *séra*, a drugiemu dało *rybę*, albo czapkę zarzuciło na belkę w suficie. Gorszego nie zrobiliśmy sobie nigdy nic; a na wiele faktów, dowodzących szlachetnych i delikatnych uczuć, nie przypominam sobie ani jednego, któryby pozwalał domyślać się u którego złego serca. Każdy naturalnie miał swojego serdecznego przyjaciela i paru bliższych przyjaciół, ale pomimo przemijających gniewów i kłótni, nie pamiętam u żadnego prawdziwej do drugiego niechęci lub złości. Jeżeli który był bogatszy lub lepiej ubrany, nikt dlatego krzywo na niego nie patrzał; takie różnice, choć były, nie zwracały niczyjej uwagi, nie wywoływały niechęci, wydawały się rzeczą naturalną, i do poufałości, nieraz do stałej przyjaźni, nie przeszkadzały. Być może, że i czasy były inne; że, wzorem starszych, między dziećmi więcej było harmonii i równowagi, mniej kwasu i podejrzenia. Mieliśmy naturalnie swoje polityczne opinie: byliśmy liberalni, jak sam Rotteck; byliśmy w uczuciach patryotycznych wszyscy jednakowi; ale o reakcyi i postępie, o demokracyi i arystokracyi, wiedzieliśmy mało, a myśleli jeszcze mniej. Lubiliśmy jednych więcej, drugich mniej, ale ogółem lubiliśmy się wszyscy naprawdę. Takiego jednego, któryby klasą dowodził i trząsł, który by ją podbił swoim urokiem albo dominował silniejszą wolą, nie mieliśmy między sobą«. Za to nie brakło chłopców o jasno skrystalizowanych indywidualizmach, bardzo oryginalnych niejednokrotnie. Takim był n. p. biedny, pracowity, niezbyt zdolny chłopczyna, Jan Kłysiński, nazywany przez kolegów »dyktatorem«, albowiem istotnie miał pretensyę do pewnej dyktatury w stosunku do kolegów, którzy naturalnie żartowali sobie z jego urojonego legitymizmu. Nie bez pewnej oryginalności był także Franciszek Jagielski, majętny sierota, właściciel kamienicy przy ulicy Grodzkiej. Nieśmiały, wysławiający się trudno, nie umiejący wcale ć m i ć t. j. nadrabiać miną i udawać, że umie to, czego nie umiał, miał różne dziwne pasye, n. p. układania tablic genealogicznych wszystkich bogów i półbogów starożytnej mitologii. Przysadkowaty i krępy Mateusz Rączkiewicz był filozofem i niedowiarkiem, który przez długi czas gorszył swemi bluźnierstwami na temat religijny, aż któregoś dnia, wstąpiwszy do Karmelitów, pogrążył się w kontemplacyach i medytacyach, żył życiem wyższem, duchownem, co mu zresztą nie przeszkadzało chodzić do szkoły, w świeckiem ubraniu nawet, a w końcu podziękować za gościnę Karmelitom i..... zniknąć bez śladu. Niezrównanym typem studenta był Antoni Gross, sprytny i pełen konceptów, *spiritus movens* wszelkich nadarzających się awantur, figlarz nad figlarze, a tak zdolny, że choć się

stale ścinał i ryl ze wszystkich przedmiotów, z końcem półrocza brał się w kupę, umiał wszytko doskonale i z tryumfem przechodził do następnej klasy. Władysław Florkiewicz, przezywany w klasie *Fiť Fiť* ponieważ mówił niezmiernie prędko a trochę nie wyraźnie, tak, że mowa jego przypominała świst ptasi, był nietylko dobrym uczniem, ale i idealnym kolegą, to też był lubiany powszechnie. Adolf Otremba, syn pastora ewangielickiego i profesora języka niemieckiego w niższych klasach gimnazyum, był trochę hajdamak, ale chłopiec dobrego serca i wcale sprytny. Nic w sobie hajdamackiego nie miał Hirsch Steuermarck, jedyny swego wyznania chłopiec w całej klasie, i może dlatego właśnie ofiara figlów i żartów ze strony kolegów, których w nim drażniło to zwłaszcza, że za pilny, zawsze umiejący wszystkie zadane lekcye, zawsze przygotowany skrupulatnie i pedantycznie. Swoją drogą, choć mu często dawano *séra*, był dobrym kolegą, we wszystkich ważnych wypadkach honorowo i wiernie solidaryzującym się z całą klasą. Bardzo miłymi chłopcami byli Bolesław Placer, krakowskie dziecko, i Marcin Lipka, który już w szkołach myślał o zostaniu księdzem... Jak trzej anabaptyści w *Proroku*, tak trójką zawsze chodzili i trzymali się Eugeniusz Dobrzyński, Przemysław Wielowiejski i Ferdynand Ettmayer. Pierwszy z nich, z wielkimi faworytami, spokojny i łagodny, inteligentny i dowcipny, a bardzo zrównoważony umysłowo, cieszył się ogromną powagą w klasie; drugi, ze starego kalwińskiego rodu, przywiązany do swego wyznania, był bardzo, jak na swój wiek, wykształconym i oczytanym, co mu nie przeszkadzało opuszczać się w szkole, zaniedbywać się systematycznie; trzeci wreszcie, choć Niemiec, odznaczał się nietylko wielką delikatnością uczuć, ale rozporządzał takiemi nieprzebranemi skarbami humoru, że mu pod tym względem nikt dorównać nie mógł. »Od pustych błazeństw — opowiada o nim Tarnowski — aż do prawdziwie dowcipnych konceptów i żartów, miał wszystko zawsze na pogotowiu, nigdy nie wyczerpany, codzień wydawał się nam zabawniejszym. Żaden nie umiał tylu śpiewek najrozmaitszych, żaden tak nie udawał, żaden nas tylu figlów nie wyuczył. On był wesołością naszej klasy, duszą naszych wypraw na bilard, rozkoszą naszych pań, na które zawsze musiał coś nowego wymyśleć, a przynajmniej stare figle nowemi dodatkami ożywić«. Ogromny z nim kontrast stanowił Tadeusz Wojciechowski, w pierwszych latach szczególniej rozmiłowany w muzyce, a już w wyższych klasach ujawniający szczególne zamiłowanie do historyi, i to do najdawniejszej, początkowej: jakieś pierwotne cywilizacye, pierwotne pojęcia religijne, i pierwotne formy życia społecznego, oto,

co w ósmej klasie obchodziło go najbardziej. Stanisław Żeleński, obok największych zalet charakteru i umysłu, miał jedną wadę: był zanadto doskonałym uczniem. Żeby raz się dał zbałamucić, żeby choć jedną lekcyę zdał kiedy na los szczęścia, żeby choć w jednym przedmiocie nie był kuty i pewien swego! Stąd koledzy, przed którymi ta jego wzorowość stała jak żywy wyrzut, mszcząc się za nią, nazywali go przyszłym Panem Podstolim. Bardzo dobrymi kolegami byli Maciej Jakubowski i Teofil Stępiński: pierwszy trzpiotowaty i wesoły aż do pustoty, drugi spokojny i cichy, uczynny i uprzejmy dla wszystkich.

Prócz kolegów, z którymi razem przez cztery lata przechodził z klasy do klasy, pozostawał Tarnowski w ciągłych stosunkach jeszcze i ze studentami z innych klas gimnazyum, bądź z niższych, bądź z wyższych. I tak n. p. z niższych klas miał wiele sympatyi dla Jana Stadnickiego, z którym go łączyły węzły pokrewieństwa, i dla Władysława Żeleńskiego, który już wtedy z powołania i najgorętszego pragnienia, a nawet i z wykształcenia, był zapalonym muzykiem. Z wyższych klas, a zwłaszcza z siódmej, która, gdy Tarnowski był w 5-ej, uchodziła za najświetniejszą w całej szkole, przyjaźnił się z Ludwikiem Wodzickim, bardzo sławnym z polskich i niemieckich wypracowań,[1]) z Augustem Gorayskim, który dla młodszych był prawdziwym *arbiter elegantiarum*, z Janem Kornickim, który całej szkole niezmiernie imponował swemi wierszami, z Fryderykiem Zollem, który się cieszył opinią szczególnie zdolnego i sympatycznego młodzieńca, i wreszcie z Józefem Kasznicą, który już wtedy uważany był przez równych wiekiem i młodszych za charakter najbardziej jednolity i wyrobiony, najstateczniejszy, za personifikacyę prawego sumienia i poczucia obowiązku. Nadto przyjaźnił się ze Stanisławem Kożmianem, uczącym się prywatnie,[2])

[1]) O Ludwiku Wodzickim z tych czasów szkolnych tak pisze Tarnowski: »Twarz miał ściągłą, bladawą, wyraz zamyślony i łagodny w bardzo pięknych oczach, a postawa naprzód pochylona, ruchy powolne, całe zachowanie poważne, dawały mu pozór starszego, niż był. Chłopcy z klas niższych (Tarnowski w ich liczbie), przypatrując mu się ciekawie, mścili się za jego wyższość siódmoklasisty, konceptem, że wygląda jak swój własny dziadek. Ale niebawem musieli nabrać dla niego respektu, bo rozeszła się po szkole jego sława, jako jednego z najlepszych uczniów klasy, uważanej za najświetniejszą w całem gimnazyum. Mówiono, że Wodzicki dlatego tylko nie ma pierwszego numeru (przed Kasznicą i Zollem), bo skutkiem jakiejś dyspensy (która chyba w zamieszkach r. 1848 udać się mogła), był uwolniony od nauki języka greckiego.«

[2]) W swem sprawozdaniu z *Listów* A. E. Kożmiana pisze Tarnowski: »We wrześniu 1851 r. Kożmian stracił żonę i długo nie może pisać o niczem, tylko

i z dwoma Tarnowskimi, swymi stryjecznymi braćmi, z których starszy, Władysław, już wtedy pisywał wiersze i z zapałem uczył się muzyki.

Ale choć byli to wszystko chłopcy o wybitnych indywidualnościach, a nieraz i zdolnościach wyjątkowych, to jednak żaden z nich, pod względem wpływu moralnego, jaki wywierał na Tarnowskiego, nie mógł się mierzyć ani z Tadeuszem Pilińskim, ani z Józefem Szujskim. Ci dwaj, odkąd się z nimi zapoznał, byli jego najserdeczniejszymi przyjaciółmi, z którymi żył najbliżej i najściślej, do których był najbardziej przywiązany. Ich towarzystwo, rozmowy z nimi, wspólność upodobań, wszystko to oddziaływało na Tarnowskiego, zarówno na jego charakter, jak i na rozwój umysłowy, nadzwyczaj silnie, silniej, niż jakiekolwiek inne towarzystwo. Coprawda, byli to młodzieńcy niepospolici, całkiem wyjątkowi.

Przenikliwy i bystry, jak rzadko, o inteligencyi wprost fenomenalnej, Piliński był indywidualnością nieuchwytną w wysokim stopniu, miał w sobie coś z Hamleta. Nerwowy i wrażliwy, może nadmiernie, choć miał świadomość swej wyższości nad innymi, jednocześnie odznaczał się zbytnią nieśmiałością, nieufnością do siebie samego, a o doskonałości posiadał tak wysokie pojęcie, iż się sądził niezdolnym do zrobienia czegokolwiek dobrego. To też wielu myślało o nim — jak się zwykło myśleć o Hamlecie — że nigdy nic nie zrobi; zwłaszcza, że był nadzwyczaj niezaradny w rzeczach

---

o swojem nieszczęściu. Rokiem później przywozi syna do Krakowa na nauki. Nie oddaje go do szkół, tylko zapisuje na niektóre wykłady uniwersyteckie, jako nadzwyczajnego ucznia, a zresztą lekcye w domu; zwłaszcza dużo matematyki, z myślą o wojskowej karyerze, o której syn marzy. Ta installacya studenta, te lekcye i profesorowie, ten cały zbiór znajomych, młodych i starych, to dla wielu z nas takie żywe przypomnienie własnej przeszłości, że zdaje się, jak żeby miało się lat szesnaście i z pewnym strachem patrzało się na Koźmiana-ojca, z ciekawością, a zwłaszcza niedowierzaniem na Koźmiana-syna, który śmie mówić głośno, że jest klasykiem, i krytykować *Pana Tadeusza! (Przegląd polski*, 1894, kwiecień, str. 128).

W listach A. E. Koźmiana, pisanych z Krakowa w listopadzie r. 1852, znajdują się wzmianki o młodych Tarnowskich. Oto, co o nich pisał d. 5. listopada: »U nich (Wojewodzianek Małachowskich) spotkaliśmy p. Annę Tarnowską i ks. Scypiona i młodych Tarnowskich, synów p. Gabryeli, z którymi Staś zaraz się dobrze zapoznał.« Już następnego dnia, 6 listopada, pisze Koźmian: »Po obiedzie (z Chłopickim) wyprawiłem Stacha do Tarnowskich, a sam poszedłem do Helcla...« Dnia 8 listopada: »Staś przyjmował Tarnowskich...« Dnia 9 listopada: »Wyprawiłem Stacha z Maisonneuvem (jego przełożonym) do Tarnowskich . . .« Dnia 12 listopada: »Grałem (u kasztelana Wężyka) trzy robry wista, po których poszedłem ze Stasiem i z Maisonneuvem do panien Małachowskich, gdzie byli młodzi Tarnowscy.« *Listy A. E. Koźmiana*, II, str. 100—109.

praktycznych, o których ani lubił ani umiał myśleć. Dlatego nie brakło takich, co go z góry sądzili jako istotę rozumną niezmiernie, ale niezupełną, niedołężną. Ale było to mniemanie błędne. W czasach spokojnych, w społeczeństwie żyjącem w warunkach normalnych, Piliński, zdaniem Tarnowskiego, byłby się rozwinął na znakomitość pierwszego rzędu, na znakomitość literacką. Bo pisał prześlicznie: jasno i klasycznie, prawie jak Kalinka, a z większym zasobem poetycznej wyobraźni; w tem zaś, co pisał, ujawniał źdźbło daru przedstawienia i dowcipu Macaulaya, ładu, przejrzystości i elegancyi Rankego. A z jednakiem mistrzowstwem i wdziękiem pisał wierszem, jak prozą, obdarzony fenomenalną pamięcią. Kiedy na żart naśladował jakikolwiek styl poetyczny, można było przysiądz, że się czyta nieznany jaki ustęp, czy Krasińskiego, czy Słowackiego, czy którego innego. Miał tak delikatne uczucie formy, że choć wcale nie muzykalny, po dźwięku wiersza (nieznanego oczywiście) poznawał autora, tak, jak znawcy po fakturze obrazu poznają malarza. Jego listy, które pisywał do przyjaciół, do Tarnowskiego między innemi, były wzorem stylu, werwy i humoru, tak dalece, że pani Sévigné z pewnością przez całe swoje życie ani jednego lepszego nie napisała. Jego humor i dowcip, w listach n. p. nie miał sobie równego. Było w nim coś z dowcipu i humoru Lama, gdyby do humoru Lama — często niewybrednego — dodać inteligencyę nierównie wyższą, naukę bardziej wszechstronną, wychowanie wykwintne, delikatność uczuć najszlachetniejszą, i wytworną elegancyę formy. Gdyby Piliński — powiada Tarnowski — dożył był czasu *Teki Stańczyka*, stałaby się ona arcydziełem. Przy niesłychanej pojętności i zdolności do pracy, obok napadów zniechęcenia i melancholii, w których mu robota nie szła, był to młodzieniec, nietylko żądny jak najszerszego wykształcenia, ale nadto obdarzony zmysłem artystycznym, który Tarnowski nazywa bez wahania «najwykwintniejszym, jaki mu się w życiu spotkać zdarzyło». Dowcip jego, świetny i obfity, był równie wesołym i pogodnym, jak subtelnym; a uśmiechając się, jak Horacy, Piliński, gdy kogoś zacinał swym dowcipem, jak szpicrutą, tak go przenikał na wskróś, tak odgadywał, tak charakteryzował kilkoma rysami, że jego żart, powiedziany o jednym człowieku, stwarzał typ. A przytem był to dowcip niejadowity, bo serce Pilińskiego, coprawda nie dla każdego otwarte, prawie aż do zbytku było kochające i czułe. To też, skłonny do żartów w rozmowie, nigdy w swych żartach nie kąsał do żywego, nie ranił boleśnie. A miał taki wdzięk w rozmowie, że o tym wdzięku nie może mieć wyobrażenia, kto Pilińskiego nie znał. Mimo to w klasie nie należał do bardzo lubionych.

W obejściu grzeczny, ale chłodny, nerwowy i niecierpiący hałasu, zatem unikający głośnych zabaw, a stroniący od bójek, uchodził za papinka, nazywano go czasem »panią Telimeną«. Żartobliwy i lubiący figle, byle niekrzykliwe, nieraz puścił w kurs jakąś mistyfikacyę, na którą wielu się łapało, a potem miało urazy do niego. Wogóle miał usposobienie tego rodzaju, które mu utrudniało zbliżanie się do ludzi, a tem bardziej podobanie się im: był zbyt wybredny. Taki miał wstręt do wszystkiego, co źle wychowane i rubaszne, co pedantyczne i «filistyńskie», co oklepane i konwencyonalne, co fałszywo poetyczne lub sentymentalne; a zrażony czemkolwiek, tak się chował w siebie, jak ślimak w skorupę, że bardzo nieliczni tylko mogli go poznać i poznać się na nim, jak również nieliczni jedynie mogli się jemu podobać. Bo wymagającym był nadzwyczaj. Miał także i swoje dziwactwa, które bawiły jednych, a gorszyły drugich: tak n. p. pół żartem pół seryo podawał się za legitymistę, za wielbiciela króla Henryka V. A gdy mu dokuczano za to, tak się odgryzał, tak parował wszelkie sztychy, że mu nikt równie dobrze odpowiedzieć nie umiał. Do wszystkich opozycyi i rewolucyi szkolnych należał z taką samą pasyą, jak do wielkich spacerów i ekskursyi, podczas których dawał dowody tak żywego odczucia piękności natury, że znowu budził podziw. Wśród kolegów miał powagę; jego wyjątkowy rozum i zdolności nakazywały respekt. A że nieraz klasę zabawiał swym dowcipem, że zawsze był bardzo dobrym i pewnym kolegą, więc ostatecznie wybaczano mu, że był tak zupełnie innym jak wszyscy, a niektórzy, jak Tarnowski, kochali go serdecznie, jak na to ze wszech miar zasługiwał.[1])

---

[1]) W swem rzewnem wspomnienia o Tadeuszu Pilińskim (przedmowa do Bezkrólewia po Zygmuncie Auguście, etc. *Przegląd polski*, 1868, czerwiec, strona 424—5), tak go charakteryzuje Tarnowski, jako swego kolegę ze szkolnej ławy: «W wieku, w którym dzieci nie znają zazwyczaj i nie rozumieją cierpienia, on, choć szczęśliwy zresztą zupełnie, zastanawiał się nad tą rzeczą nieznaną i szukał jej przyczyn, o które ludzkość dopytuje się rozpaczliwie i bezskutecznie od czasów Joba. Myśl cierpienia, myśl śmierci, zajmowały to dziecko i ciągnęły go do zaciekań, które z natury rzeczy nie mają dna. Dziwnym objawem tego stanu duszy było upodobanie jego w leciech dwunastu w jednym wierszu Schillera, pełnym żalu i tęsknoty za pięknym, pogodnym światem klasycznym: *Die Götter Griechenlands*. A kiedy towarzysze admirowali na słowo, udając, że pojmują, kiedy co najwięcej działała na nich sama tylko muzyka wiersza, jemu poezya ta nasuwała szereg uwag i wniosków, których dziś powtórzyć nie umiemy, ale które nam każą mniemać, że przez tę duszę dziecięcą przesuwać się musiały różne jakieś dziwne porównania świata starożytnego z dzisiejszym». Wogóle w Schillerze, którego większą część drobnych poezyi umiał na pamięć, znajdował Piliński — już w 11-tym roku życia — szczególne upodobanie, przyczem miał tę

Mniej błyskotliwy, ale głębszy i bardziej namiętny był Józef Szujski. Szczupły, blady na twarzy, z włosami długiemi, za długiemi, wstąpiwszy w roku 1852 do 7-ej klasy, jako »pierwszy z Tarnowa«, po niedługim czasie, gdy już się zbliżył do kolegów, a zaprzyjaźnił z niektórymi, dał się poznać wszystkim, jako niezmiernie chciwy czytania. Gdy do którego przyszedł w odwiedziny, przedewszystkiem odbywał rewizyę książek, jakie były w pokoju, te zaś, które nęciły jego ciekawość, bez ceremonii zabierał do przeczytania. Stąd opinia o nim, że czytał za wiele, że czytał wszystko, co mu wpadło do ręki, i że stanowczo zajmował się zbyt wieloma rzeczami naraz, skoro pochłaniając książki historyczne, filozoficzne, estetyczne, jednocześnie uczył się języków, zatapiał w poezyi. Bo — choć z tego robił sekret przed kolegami — pisywał poezye, uważał się za poetę. Ale na równi z poezyą uprawiał i prozę, gdyż w takim samym stopniu, jak Kaliopa, pociągała go i Klio. Do historyi, prawdopodobnie pod wpływem Sawczyńskiego, czuł pociąg nieprzeparty, a szczególniej nęciły go dzieje Polski. To też, gdy jego rówieśnicy czerpali swą znajomość dziejów ojczystych z popularnych podręczników, on już wtedy rozczytywał się w starych współczesnych książkach, studyował dzieła Reja i Skargi, znał kronikarzy i poetów. »Bez ładu i systemu chwytał i czytał, co mu wpadło pod rękę, ale zaczynał już przypatrywać się przeszłości własnemi oczyma, jej samej pytać, jaką była. I już z tym zamiarem, z tem żądaniem, żeby się od niej dowiedzieć, dlaczego tak źle się skończyła, jakim sposobem naprawioną być może?... Albowiem ta miłość ojczyzny i prawdy zarazem, która jednej w drugiej szuka, jedną w drugiej kocha, do jednej przez drugą dąży, ona, niewidzialna i niezrozumiała dla jego kolegów, już w nim była, i to nie instynktowa, ale świadoma siebie. Z natury i z popędu, ale także z zamiaru i z woli, on już wtedy we wszystkiem szukał prawdy i jej praktycznego przystósowania. Kiedy marzył o przeszłości, co prawda jeszcze nie dla historyi, ale

---

własność szczególną, że pomiędzy wielką liczbą wierszy niemieckich, sobie nieznanych, i różnych autorów, umiał zawsze po dźwięku rozpoznać każdy wiersz Schillera. »Wogóle umysł jego — opowiada Tarnowski — rozwijał się nader wcześnie i szybko. Ludzkość w różnych formach swego życia, w różnych przeobrażeniach swego ducha, na różnych polach swego działania, oto, czego się chciał nauczyć, o czem pragnął wiedzieć jaknajwięcej, czego szukał zarówno w swoim Schillerze, jak w Monteskiuszu, do którego porwał się z przedwczesną zapewne, lecz wielce charakterystyczną skwapliwością, jak wreszcie w studyach klasycznych, w których nawet na ławce gimnazyalnej widział coś więcej, niż gramatykę i tłomaczenie, niż potrzebny przymus i niczem niewytłomaczoną stratę czasu«.

dla poezyi, już wtedy wytężał wszystkie siły myśli na to, by w samej głębi duszy narodu dojrzeć powodów upadku. Gdy drugich łajał, że na wszystko patrzą ze stanowiska, wszystko sądzą pod warunkiem piękności, on już wtedy czuł, choć jeszcze wyrazić tego nie umiał, albo środki mylnie wybierał, że znajomość siebie, że prawda, że wypływająca z jednej i drugiej nauka potrzebniejsza jest narodowi, aniżeli wszystkie piękności. A jak nie cierpiał hasła sztuka dla sztuki, tak wiedział już wtedy, że i nauka nie dla nauki, prawda nie dla marnego odkrycia, ale dla przystósowania, dla żywego pożytku, dla podniesienia na duchu. Z tego jasno zupełnie zdawał sobie sprawę. Świadczyły o tem chociażby jego wypracowania szkolne, które, choć niemało pozostawiały do życzenia pod względem przejrzystości i prostoty stylu, to jednak obfitowały w myśli i spostrzeżenia głębsze i nie zdawkowe. W zadaniach tych, niemieckich jak polskich, wytykano mu często zawiłość, napuszystość. Istotnie — świadczy Tarnowski — ten nadmiar myśli i zarazem niepokój w myśli, z dodatkiem jeszcze nerwowej chęci wypowiedzenia wszystkiego, co w tej myśli było, sprawiały, że wypowiedzenie przychodziło mu trudno, a wtedy, jako młody, niewprawny i ze smakiem jeszcze niewyrobionym, budował szumne frazesy i okresy, używał wyrażeń sztucznych, w złudzeniu, ze myśl jego łatwiej się w takich zmieści, przez takie da zrozumieć. Sawczyński łajał w takich razach, a nawet w świadectwie raz wytknął »*Haschen nach Grandiosität*«, a jednak, gdy miał wymienić lub przeczytać w klasie — co było honorem nielada — najlepsze z wypracowań, czytał zawsze wypracowania Szujskiego. Zdarzało się często, że koledzy trochę się śmieli z górnolotnych okresów lub wyrażeń, cechujących te wypracowania, ale mimo to czuli instynktem, że w tych okresach są jakieś myśli, na które w ich głowie nie świta. Tak n. p. na wiosnę było wypracowanie o świeżo przeczytanej w półroczu zimowem *Antygonie* Sofoklesa, po którem znacznie wzrosła reputacya Szujskiego. »A kto dotąd — opowiada Tarnowski nie bez myśli o sobie i Pilińskim — w skrytości serca nie wątpił o swojej nad nim wyżności, zaczął wtedy może po raz pierwszy pytać sam siebie, czy tamten nie jest mu równym? czy przypadkiem nie mądrzejszym?« Że jako indywidualność, pełna jakiegoś orlego polotu, Szujski górował nad swymi rówieśnikami, że był naturą bujniejsza i płomienniejszą, niż inni, że w jego piersiach gorzał święty ogień, że w nim było coś prometejskiego, to nie ulegało wątpliwości, to ujawniało się nawet w postaci tego szczególnego upodobania, jakie Szujski już wtedy żywił dla legendy o Prometeuszu. Jego kult dla Prometeja, jego zapał dla

Danta, którego już czytał w oryginale, a którego wpływ na ustalenie jego duszy i pojęć — jak świadczy Wojciechowski — był bardzo silny, wszystko to dowodzi, że Szujski już w szkole czuł pociąg do postaci wielkich, samotnych, prześladowanych, a już wtedy mniemał się przeznaczonym do czegoś trudnego i bolesnego: że go tragiczność nęciła«.

Pierwsze zbliżenie się jego z Tarnowskim było dla obu niezmiernie charakterystycznem, albowiem zbliżyły ich wspólne upodobania i aspiracye literackie. Gdy się po klasie rozeszła wieść, że Szujski pisze wiersze, ogarnęła Tarnowskiego, który także wiersze pisywał, ciekawość niepohamowana i nieskończone przemyśliwania nad pytaniem, coby zrobić, żeby te wiersze od niego dostać. Sposób najprostszy był poprosić go, ale ten wydawał mu się za prostym. W końcu wpadł na lepszy, subtelniejszy, bardziej wyszukany, o którym sam w *Młodości Szujskiego* tak opowiada: »Wstyd się przyznać, nawet po tylu latach, do głupstw dziecinnych: nie dlatego, że były głupie, ale dlatego, że niełądne, podstępne, i w złym zamiarze podejścia i wyśmiania robione. Miałem się, w siódmej klasie, później już nie, za bardzo przebiegłego dyplomatę — *as boy I thought myself a clever fellow* — i z tryumfem wpadłem na pomysł, żeby Szujskiego złapać na fałszywe zwierzenie, wywieść go w pole, a jego wiersze dostać do czytania. Czytając właśnie na lekcyach angielskich *Manfreda*, napisałem dramat fantastyczny, wierszem, w którym nie było ani rymu ani miary, ale było pełno widm, duchów, nimf wodnych i lądowych, rycerzy, zamków, cmentarzów i dyabłów, i wiedząc doskonale, że to wszystko za grosz sensu nie ma, śmiejąc się naprzód z mojej ofiary, niaśmiało, ze spuszczonemi oczyma, wyjąkałem Szujskiemu konfidencyę, że piszę wiersze i chciałbym mu je pokazać, ale w zamian proszę, żeby mi pokazał swoje. On ze swoją gołębią prostotą ani się domyślał zdrady (której ja do końca podobno wyznać mu nie miałem odwagi); przeczytał, nie pochwalił, i zaraz bez najmniejszej trudności przyniósł swoje. Były, trzeba powiedzieć, bardzo złe: dramat wierszem, fantastyczny także, tylko historyozoficzny«. Inne wiersze i utwory, choć znacznie lepsze od tego dramatu, gdy je Szujski dał do przeczytania Tarnowskiemu, utwierdziły go w przekonaniu, że młody poeta był opanowany, ba, wprost opętany dramatem fantastycznym i filozoficznym, przejęty nawskroś *Faustem*, *Manfredem*, *Irydionem*. Zdanie to podzielał i Piliński, który, podobnie zresztą, jak i Tarnowski, nie wierzył w przyszłość Szujskiego, jako poety. To też, po pewnym czasie, gdy już z całą otwartością rozmawiali z Szujskim o jego utworach poetyckich, i gdy im Szujski mó-

wił cokolwiek szumnie, że poezya była tym aniołem stróżem, który go przed dwoma laty uchronił od racyonalizmu, oni ruszali ramionami, pytając, co to może być za straszny racyonalizm w 5-ej klasie? a dodawali złośliwie, że w każdym razie nie musiał być bardzo niebezpiecznym »jeżeli t w o j e wiersze mogły go zwyciężyć«. Bądź co bądź, rozmowy te o poezyi i literaturze wogóle ogromnie zacieśniły węzły koleżeńskie Tarnowskiego z Szujskim, bo choć Szujski bardziej był posunięty w wykształceniu ogólnem, to przecież i Tarnowski i Piliński nie bardzo za nim pozostawali w tyle, przynajmniej w zakresie poezyi, oczywiście romantycznej głównie, i beletrystyki współczesnej. »Czytać ciekawie w domu — opowiada Tarnowski o sobie i swych najbliższych przyjaciołach — co wpadnie pod rękę, a głównie naturalnie poezye, czytać ukradkiem romanse, dyskutować bez końca a zawzięcie, kto lepszy, czy Schiller czy Goethe, wreszcie pożerać Rottecka chciwie i z nadzieją, że dowiemy się z niego raz na zawsze, co mamy myśleć o wszystkich rzeczach i niektórych innych, oto zakres, którego nie przekraczały najtęższe głowy siódmej klasy. Ten lub ów, śmielszej natury — Tarnowski w ich liczbie — uczył się trochę po angielsku, rwał się do Szekspira, i wmawiał w siebie i w drugich, że mu się bardzo podoba to, czego nie rozumiał wcale; rwał się do Byrona, nad którym, jako łatwiejszym, szczerze się czasem unosił i rozczulał; naprawdę i gorąco podziwiało się Schillera z obcych, ze swoich Mickiewicza.[1]) O Krasińskim nie każdy wiedział;

---

[1]) Może nie od rzeczy będzie przytoczyć na tem miejscu początkowy ustęp rozprawy Tarnowskiego o *Wacławie* Stefana Garczyńskiego, ustęp o charakterze autobiograficznym, a odnoszący się do pierwszych lat szkolnych Tarnowskiego. »Kto lat temu dwadzieścia kilka, dwadzieścia, m o ż e n a w e t m n i e j — pisał Tarnowski w roku 1870 — poznawał po raz pierwszy naszą poezyę i czytywał ją z zapałem umysłu świeżego, a wyobraźnią zaledwie przebudzoną, ten może zapamiętał stan ciekawości i niepokoju, w jaki wprawiało go imię poety, którego nie znał wcale, a o którym głos jeden niezrównanej powagi, głos, któremu nie wierzyć było niepodobieństwem, mówił, że to poeta ze współczesnych polskich największy. Tym poetą nieznanym był Stefan Garczyński; tym, który o nim dawał świadectwo, był Mickiewicz. On mówił w tych lekcyach *Literatury Słowiańskiej*, słuchanych jak najwyższe słowo mądrości i natchnienia, że piękną rzeczą jest Malczewskiego *Marya*, że genialny pomysł miał młody autor *Nieboskiej Komedyi*, ale żaden, dodawał, nie był tak natchnionym, ani tak głębokim, żaden tak polskim, jak autor *Wacława*. Czy to być może? czy doprawdy mamy poetę nad tamtych wszystkich większego? i jakiż on być może ten poeta? chyba Mickiewiczowi samemu równy? Wierzyć się nie chciało, ale jakżeż było nie wierzyć, kiedy Mickiewicz zaręczał! On mówi, więc tak być musi! Rośliśmy więc w wierze, że jest poeta większy, niż Krasiński, niż Słowacki, niż autor *Mayri*. Wychowaliśmy się w czci nieznanego bóstwa poetycznego, w którego

kto wiedział — jak Tarnowski — ten wierzył, że w *Przedświcie* i w *Psalmach* jest nieledwie objawienie woli bożej i przyszłości świata, ale czując, iż nie rozumie, czcił to więcej, jak czytał, a do *Irydiona* i *Nieboskiej* jeżeli zajrzał, jeśli się rozciekawił, znęcony malowniczą okazałością stylu i obrazów, to niebawem zniechęcony odkładał na bok książkę, której nie mógł rozumieć. O Słowackim nie wiedzieliśmy nic zgoła, ledwo znaliśmy nazwisko. Pierwsze o nim pojęcie dała nam *Balladyna*, którą Szujski właśnie do szkoły przyniósł i pożyczał. Zachwalał z całego poematu tylko komiczną figurę grubego prozaicznego Grabca; reszty nie lubił«. Tarnowski czytał w tych czasach po raz pierwszy *Ryssarda III*, pierwszy raz *Egmonta* i *Goetza*, pierwszy raz *Antygonę*. W ósmej klasie, po za szkołą, trochę dla wprawy w łacinę i greki, trochę przez ciekawość, rozczytywał się w Sofoklesie i Platonie, w *Satyrach* Horacego i w *Rocznikach* Tacyta. Szujski studyował Dantego, zarówno jego utwory, jak i literaturę o nim, rozmiłowany zarówno w poezyi, jak i w żywocie wielkiego florenckiego wieszcza i obywatela. Literatura bieżąca również nastręczała niemało tematu do dyskusyi. Były to pierwsze lata tej epoki epigonów, która nastała, kiedy wielcy poeci umilkli. Kraszewski i Korzeniowski doszli właśnie szczytu swojej sławy, Pol mieszkał w Krakowie, a zapowiadanych jego poematów czekało się z wytężoną ciekawością; z Warszawy dochodziły echa pierwszych improwizacyi Deotymy; wiersze Syrokomli ukazywały się często. Pamiętam — pisze Tarnowski — że te powieści bardziej nam trafiały do przekona-

świątyni miały być złożone nieopisane skarby piękności, wyobraźnia wysilała się, żeby te skarby odgadnąć, wystawić sobie: a do tej świątyni wejście było zamknięte, bóstwo niewidzialne i zakryte, jak tajemniczy posąg w Sais. *Wacław* Garczyńskiego był na liście książek zakazanych. Wydanie, w niewielkiej zapewne liczbie egzemplarzy, wyczerpane, do nabycia niepodobne; i kiedy zakazanego *Wallenroda* i zakazany *Przedświt* miał każdy, to można było, długo żyjąc, przez całe życie nie spotkać ani jednego szczęśliwego, w którego ręku byłby tajemniczy *Wacław*. Wyszedł więc i poeta i jego bohater na jakąś postać fantastyczną, legendową, którą wszyscy poznać pragnęli, nikt nie spotykał. Czasem to niecierpliwe pragnienie mięszało się z niepokojem, ciekawość z obawą; bo jeżeli raz odsłoni się ten wielki nieznajomy, jeżeli istotnie ujrzy się go takim, jak go opisują, czy on nie przewróci i nie zburzy wszystkiego, co było dotąd naszą poetyczną wiarą i miłością? czy poznanie nowego boga nie będzie okupionem odstąpieniem dawnych? Może przeczytawszy *Wacława* nie będzie już można, jak dotąd, z fanatyzmem wyznawać i czcić *Marię*, *Iridiona lub Tadeusza*? Może tamten doprawdy wszystko zakasuje, przewyższy, zwycięży? Niejeden, choć z gorączkową ciekawością wyglądał chwili, w której tego *Wacława* zobaczy, lękał się jej przecież, bo przykro mu było myśleć, że sprzeniewierzy się Krasińskiemu lub Słowackiemu, żałował ich z góry, że będą musieli miejsc swoich ustąpić lepszemu od siebie, jak skoro ten się objawi«.

nia, niżeli te poezye. *Interesa familijne* Kraszewskiego czytaliśmy z wielkiem zajęciem; Korzeniowskiego *Tadeusz Bezimienny* trochę nas gorszył, a zakończeniem swojem raził, ale podobał nam się ogromnie. Dużo już mniej Kaczkowskiego powieści. Zachwyceni małemi powiastkami, jak *Bitwa o Chorążankę*, rzucaliśmy się chciwie na *Murdeliona*, ale kończyli go z pewnem rozczarowaniem.[1]) Względem Deotymy byliśmy obojętni; ciekawi tylko widzieć ją, kiedy z rodzicami bawiła kilka dni w Krakowie; o słyszeniu jej, o zaproszeniu na te wieczory, na których tu improwizowała, oczywiście nie mogło być mowy. Na poematy Pola czekaliśmy prawie, jak Żydzi na Messyasza; przepadaliśmy za *Pieśniami Janusza* i myśleliśmy naturalnie, że kiedy małe rzeczy pisał tak pięknie, cóż dopiero będzie, jak napisze większe. Zdziwienie i zmartwienie było wielkie, kiedyśmy sobie po cichu wyznać musieli, że *Senatorska zgoda* jakoś nam się nie podobała, a *Mohort* tego przykrego wrażenia nie naprawił. Na te nasze ówczesne literackie sądy musiał bez naszej wiedzy wpływać silnie Lucyan Siemieński, jak na polityczne *Czas*, jedyny dziennik, jaki czytać mieliśmy sposobność. Czytywaliśmy go pilnie, ciekawie, ale szukaliśmy w nim głównie wiadomości z Warszawy, jakichkolwiek, choćby brukowych i światowych, i wiadomości z Paryża, gdzie był nowy cesarz, nam przywykłym podziwiać dawnego, niezmiernie sympatyczny, gdzie była cesarzowa urocza i poetyczna, gdzie były wszystkie znakomitości roku 1830 i emigracyi, gdzie w teatrach grywano sztuki na wyśmianie Moskali... i gdzie właśnie Moskalom wydano wojnę«. Ale nad wszystkiem, co było literaturą, a stało w bliskim związku z poezyą, górował kult *Pana Tadeusza*. »Nie tak dawno — słowa są Tarnowskiego — kiedyśmy byli dziećmi i młodymi, każdy *Tadeusza* znał, umiał na pamięć; to był świat

[1]) Z powieści, które, czytane w tych czasach, bardzo wielkie uczyniły wrażenie na Tarnowskim i jego przyjaciołach, należy wymienić jeszcze i *Stefana Czarnieckiego* Czajkowskiego. Oto, co sam Tarnowski o tem pisze w swym szkicu o *Michale Czajkowskim*: »*Stefan Czarniecki* to jedna z najbardziej rozpowszechnionych, każdemu znanych powieści polskich. Sądzona zwykle zbyt łaskawie przez młodych, bo jest jednym z pierwszych romansów, jakie czytają, zbyt surowo przez starszych, którzy ją karcą za to, że choć bardzo niedoskonała, za młodu ich złudziła i podobała się bardzo. Przeszedłszy lat dwadzieścia, zaczynamy się śmiać z Tetery i z jego skarogniadego, który szczupakiem chlusta, żeby nie dać poznać, jak w szesnastu lub ośmnastu zazdrościliśmy Teterze skarogniadego i panny Joanny. Ale to wstyd fałszywy. Z wiekiem, prawda, niknie niejedno złudzenie i Tetera na czele swoich Semenów nie wydaje się już tak czarującym bohaterem, jak niegdyś, ale czemuż znowu odmawiać mu wszelkiego wdzięku, czemu nie przyznać, że powieść jest ładna i ma się czem podobać». *Przegląd polski*, 1886, czerwiec, str. 433.

żyjący, to była rzeczywistość, to było nasze życie; nie było, prawda, wojny moskiewskiej, ale i pod tym względem różnica była mała, bo było zawsze od roku 1830, jak wtedy na Litwie, jakieś oczekiwanie tęskne, a był i czas, że każdy myślał, każdy wierzył: »Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!«[1]) Niemniejszy zachwyt, niż dzieła poetów i powieściopisarzy, wywoływały w koleżeńskiem kółku Tarnowskiego, prace historyczne Szajnochy, w których rozczytywano się z entuzyazmem. Kto pamięta — opowiada Tarnowski — z jakim zapałem, z jaką rozkoszą chwytało się w tych latach *Jadwigę*, *Szkice* albo *Mściciela*, jak po ich przeczytaniu dawna Polska stawała jasno przed oczyma, jak żywa; jak jasno zwłaszcza stawała w myśli i dawała zrozumieć swoją naturę, ocenić swoje postępowanie, wielbić swoje cnoty, sądzić swoje błędy,[2]) ten łatwo zrozumie, że uwielbienie, które Szajnocha, jako pisarz i historyk-poeta, wzbudzał w młodym Tarnowskim i jego przyjaciołach, wcale nie było mniejsze od kultu, jaki żywili dla takich potentatów pióra, jak Pol lub Siemieński.

Że nadto, jako młodzi aspiranci do literatury i poezyi, nietylko czytywali utwory cudze, ale i płodzili własne, które sobie odczytywali wzajemnie, krytykowali, dyskutowali na ich temat, niektóre obmyślali wspólnie, to rozumie się samo przez się. Najpłodniejszym i najbardziej twórczym był Szujski. Tarnowski i Piliński, choć i ich pióra nie rdzewiały, więcej hołdowali krytyce, a Tarnowski miał nawet wśród kolegów opinię »szkolnego krytyka«. Wogóle, choć nie gardził mową wiązaną, którą nawet posługiwał się dość łatwo, czuł większy pociąg do prozy. Gdy w klasie pisano wypracowania, jego należały do najlepszych. Sawczyński, który był świadomy tych aspiracyi Tarnowskiego i jego najbliższych przyjaciół, Szujskiego, Pilińskiego i paru innych, wpadł raz na myśl — a było to już w ósmej klasie — żeby ich wezwać, na ochotnika, do pisania zadań, nie zwykłych szkolnych, ale większych, których tematy mieli sobie wybierać sami, a które następnie miały być czytane i sądzone na lekcyi. Obudziło to wielki zapał, ale i wielki strach: odezwały się wysokie ambicye, nieśmiałość, głębokie eruducye, etc. Miotani temi uczuciami, sadzili się, jeden nad drugiego, na wybór jaknajpiękniejszych tematów, a byli przyzwyczajeni do takich, które dla ich pojęcia i wykształcenia stanowczo były za wysokie. Gdy im pozwolono

[1]) *Przegląd polski*, 1885, styczeń, str. 173. Sprawozdanie z książki H. Biegeleisena o *Panu Tadeuszu*.

[2]) *Przegląd polski*, 1885, wrzesień, str. 550. *Bernard Kalicki*.

wybierać, wybrali co największego i najtrudniejszego. Piliński miał czytać o *Feudalizmie*, ale mu zabrakło odwagi; Wojciechowski napisał rozprawę o *Wspólnym początku wszystkich mytologii i tych samych w nich pierwiastkach;* Żeleński wystąpił z rzeczą o Polityce kardynała Richelieu; Szujski opracował rodzaj charakterystyki psychologicznej Dantego; Tarnowski zaś, właśnie czytający z wielkim zapałem *Historyę Republik włoskich* Sismondiego, myślał o napisaniu *Historyi Medyceuszów*, do której, obok wielkiej sympatyi dla Savanaroli, miał »parę pięknych frazesów o obrazach i malarstwie« oraz parę grubiaństw dla Katarzyny Medycejskiej; pomiarkowawszy jednak, że to może nie dosyć, poprzestał na sparafrazowaniu rozdziału o *Romeu i Julii* z dzieła Gerwinusa o Szekspirze.

W tym samym czasie mniej więcej, w każdym razie w ostatnim roku, w jakieś parę tygodni po owem słynnem nabożeństwie za fundatorów uniwersytetu, Szujski, Piliński i Tarnowski umyślili wydawać dziennik dla swych kolegów, dziennik, naturalnie humorystyczny, ukazujący się raz na tydzień, a przeznaczony do głośnego czytania w klasie podczas pauzy. Stósowną symboliczną winietę podjął się narysować Szujski, co zaraz na wstępie dało powód do nieporuzumienia w redakcyi: winieta bowiem, skomponowana przez Szujskiego, a wyobrażająca starą babę z otwartą paszczą i wielkiemi zębami, gotową do połknięcia młodych maturzystów, przyozdabiała tytuł dziennika... niemiecki: *Maturitätsblatt*. Na perswazye kolegów-redaktorów, że po niemiecku nie można, że gazeta powinna się nazywać *Matura*, co nawet do rysunku baby daleko lepiej przystaje, odpowiadał Szujski, że »matura« to wyraz trywialny, nie dość dla pisma tego rodzaju poważny, że wszystkie dzienniki kończą się na *blatt*, n. p. *Fremdenblatt*, że wreszcie nie chce mu się drugi raz rysować. Ostatni argument okazał się rozstrzygającym. Dziennik zapowiadał się świetnie. W pierwszym numerze wielki artykuł wstępny pióra Pilińskiego, napisany w sposób, którego on jeden miał sekret, bo poważnym uroczystym stylem, z pod którego figlarnie uśmiechał się żart, opisywał historyczny fakt nabożeństwa i wynikłych zeń prześladowań. A nie było to napisane sucho, po kronikarsku, albo po dziennikarsku. Na nabożeństwie n. p. nad katafalkiem unosiły się duchy fundatorów, wszystkie ciekawie patrzące na gromadkę ośmioklasistów. Zygmunt Stary z senatorami aprobował poważnie ten ich patryotyczny krok; Bona szeptała coś z Gamratem, ale i ona raczyła pochwalić odwagę i poświęcenie młodych patryotów. Jadwiga obiecywała się modlić za nich, żeby żaden nie znalazł się nigdy w przykrej kolizyi pomiędzy sercem a obowiązkiem... W tym stylu

był cały artykuł. Zaraz po nim następowały różne wiadomości bieżące, iliby depesze telegraficzne, i kronika miejscowa, po części wierszem pisane. Szujski, właśnie zaczytany bardzo w Goethem, zapalił się do *Xenii* i na ich wzór zaczął sypać epigramy na różne szkolne figury albo wypadki. Fejleton zastępowały *Przepowiednie Tercyanki*, w formie dłuższych wierszy, pisanych naprzemian przez Tarnowskiego i Szujskiego. Treść ich była następująca: żona tercyana zapadła w sen magnetyczny i w jasnowidzeniu wróżyła wszystkim po kolei ośmioklasistom czekającą ich przyszłość... Pierwszy numer miał wielkie powodzenie. Drugi zalecał się jeszcze większym doborem treści. Były w nim Pilińskiego *Najnowsze Rewelacye z Hadesu*, rzecz niesłychanie dowcipna i znakomicie napisana. Treść była taka. Przed wychodzącym ze szkoły Pilińskim stanęła Sybilla i zaproponowała mu, że go jak Eneasza zaprowadzi do piekieł. Bał się trochę, ale ciekawość przemogła. Gdzie był otwór piekielny, którędy i z jaką przykrością ten nowy Dante spuszczał się *tra la perduta gente*, niech się domyślą uczniowie gimnazyum Św. Anny, którzy znają mały dziedzińczyk za widermachem. Spuścili się tą sztolnią, przepłynęli Styx, Cerber dostał wczorajszego precla, żeby nie szczekał, i dostali się między cienie elizejskie. Kogo tam nie widzieli! Była Antygona, Emilia Galotti, Horacy, była Lottchen, z płaczem narzekająca na męża i... na Wertera, że był głupi i całkiem niepotrzebnie w łeb sobie strzelił... Doprawdy, nie było to bez humoru i bez talentu! A cóż dopiero miało być dalej! Plan był wspaniały: w niższych kręgach piekieł miały być różne kary profesorów, i zmarłych, i żywych, za różne studenckie krzywdy... Niestety, już po drugim numerze, niewdzięczni abonenci, choć otrzymywali dziennik za darmo, zaczęli szemrać, burzyć się, wreszcie grozić. Szczególniej dotknięci uczuli się trzej najstarsi w klasie, Dobrzyński, Wielowiejski i Ettmayer, którzy całkiem na seryo obrazili się z powodu *Xenii* Szujskiego. O tem, że dziennik żartował ze wszystkich, a z nikogo dotkliwie, a szczególniej redaktorów nie oszczędzał, owszem, jeżeli komu, to im mówił rzeczy nieprzyjemne, o tem nie chcieli pamiętać, a uważali, że był to zamach na ich powagę, jaką się cieszyli wśród kolegów. Mimo to, redaktorzy, niezrażeni temi chwilowemi kwasami, wypuścili trzeci numer, niemniej dowcipny od poprzednich. Tu już miara się przebrała, obrażone miłości własne zbuntowały się, co na zewnątrz ujawniło się w ten sposób, że wszyscy trzej redaktorowie zostali napadnięci znienacka, rozciągnięci, i... dostali w skórę! Nigdy jeszcze, pisze żartobliwie z tego powodu Tarnowski, wolność prasy nie była tak po barbarzyńsku pogwałconą, a liberalny duch wieku

doznał strasznej zniewagi w osobach wydawców *Maturitätsblattu*. Ci jednak, wyżsi ponad takie zatargi, zamiast protestować przeciwko *lynchom* tego rodzaju, pogodzili się z prześladowcami, pomimo, że ich w tym razie uważali za wstecznych siepaczy despotyzmu i reakcyi. Do zgody przyszło bardzo łatwo, ale dziennik raz na zawsze przestał wychodzić... Bądź co bądź była to nauka na przyszłość, że lepiej nie zadzierać z pewnemi powagami, że roztropniej nie żartować z nich, ani ich ukazywać przez pryzmat satyry. O nauce tej, tak praktycznej, zapomną z czasem Tarnowski i Szujski przy pisaniu *Teki Stańczyka*, która też dla nich pod niejednym względem skończyła się podobnie, jak historya z *Maturitätsblattem!*...

Ale chwilowo nauka poszła w las, Tarnowski zaś, który wraz z Pilińskim miał już w klasie ustaloną reputacyę »krytyka«, specyalnie sobie ostrzył swój zmysł krytyczny, ile razy na widownię wypłynął jakiś utwór poetyczny, spłodzony przez którego z kolegów. Takim utworem był n. p. wiersz Józefa Kasznicy, napisany przezeń dla Ludwika Wodzickiego na wychodnem z gimnazyum, bezpośrednio przed tym wielkim rozjazdem, po którym dawni koledzy mogą się wcale już w dalszem życiu nie spotkać. Wiersz ten, dlatego właśnie, że poważny Kasznica nigdy się nie bawił w pisanie wierszy, obudził wielkie zainteresowanie wśród »szkolnych krytyków«, a w ich liczbie Tarnowskiego i Pilińskiego, zwłaszcza, że w nim »młody Rzymianin«, za jakiego Kasznica uchodził w oczach kolegów, nakreślił przyjacielowi rodzaj programu, którego winien się trzymać każdy prawy człowiek wogóle, szczególniej każdy prawy Polak. Okoliczności życia — opiewał pomieniony wiersz — są nieprzewidziane i od woli naszej niezależne, ale kierunek jego i wartość jedynie od naszej woli, a nie od okoliczności ma zależeć. Z kolei następowało wytłomaczenie zależności siły woli od w i a r y, poparte twierdzeniem, że źródłem wszelkiej energii jest rzecz jedna, mianowicie n a d z i e j a; w chaosie zaś ludzkich stosunków, interesów i namiętności, zaprowadzić i utrzymać ład pewien może tylko m i ł o ś ć. Wynikała z tego nauka, że nietylko zbawienie duszy, ale i powodzenie we wszelkim celu ziemskim, świeckim, w tym razie w służbie ojczyzny, musi się zasadzać na trzech cnotach kardynalnych, na wierze, nadziei i miłości. Wiersz ten Kasznicy, ciężki od myśli, pomimo, że jako wzniosły program życiowy, trafił do przekonania, stał się dla szkolnych krytyków, a dla Tarnowskiego i Pilińskiego w pierwszym rzędzie, »łatwem polem popisu«, gdy go zaczęli analizować z literackiego punktu widzenia, jako dzieło poezyi i sztuki pisania wierszem. Tu zaczynało się pole dla krytyki, bo wiersz był i ciężki, i wymuszony pod

względem formy, słowem, o ile zawierał szereg pięknych myśli, o tyle je wypowiadał w sposób, nie mogący zadowolnić wymagań subtelniejszych.

Takich i temu podobnych wyroków ferował w tych czasach Tarnowski, jako młody krytyk, niemało, w czem mu gorliwie dopomagał Piliński, a na czem niejednokrotnie cierpiała miłość własna Szujskiego, jako poety i dramaturga.[1]) Szujski bowiem, który już wtedy układał w głowie *Tajemnicę śmierci hetmańskiej*, który oprócz swego fantastyczno-historyozoficznego *Cezara* miał w tece jeszcze i drugi dramat w tym rodzaju pod tytułem *Mysław*, i jakiegoś *Nerona*, marzył o dramatach, które wszystkie miały być z historyi polskiej, a Tarnowski i Piliński, których wtajemniczał w swe pomysły, w nieskończonych i sto razy powtórzonych rozmowach kłócili się z nim zawzięcie o formę tych przyszłych dramatów. Bo zapatrywania w tej materyi mieli różne, a czasem biegunowo przeciwne. »My z Pilińskim — opowiada Tarnowski — dowodziliśmy, że proste ludzkie scenicznie są i daleko piękniejsze, i dla naszej literatury potrzebniejsze od fantastycznych i filozoficznych. On twierdził, że nie o formę chodzi, tylko o myśl, nie o piękność, tylko o prawdę, i że tej myśli, tej prawdy, tej moralnej nauki, więcej dać można w swobodnym, niezależnym dramacie fantastycznym, aniżeli w regularnym i przeznaczonym dla sceny. Jednak te uwagi musiały mu trafić do przekonania, bo coraz więcej mówił o dramatach historycznych. Szukaliśmy razem i odkrywali niemało tragicznych sytuacyi w historyi polskiej. Nie chodziło nam o sytuacye i kollizye romansowe, o Barbarę naprzykład; ale tragedya w wielkich wypadkach i wielkich błędach, tragedya w polityce i historyi, to były przedmioty prawdziwe a nietknięte. Układaliśmy tak cały cykl, całą historyę polską obejmowaliśmy szerokim planem. Jan Kazimierz miał być trylogią, której część pierwsza miała się kończyć tryumfalnie, cudowną obroną Częstochowy; druga smutno, wypuszczeniem Prus z lennictwa; trzecia, obejmująca rokosz Lubomirskiego, zamykać się miała tragicznie mową abdykacyjną króla, przepowiednią upadku. Król Michał, spisek przeciw niemu, utrata Kamieńca, wydawało się to Szujskiemu wdzięcznym przedmiotem tragedyi... Autor *Starań księcia de St. Paul o Koronę polską* uśmiechnąłby się na swoje ówczesne poj-

[1]) Odpłacał się za to Szujski Tarnowskiemu w swym poufnym dzienniku, który stale temi czasy pisywał, a w którym nie brakło ustępów i o Tarnowskim »niezbyt pochlebnych, wcale nie...«, jak o tem świadczy sam Tarnowski, któremu Szujski nieraz czytał wyjątki z tego dziennika, jego dotyczące. Ob. *Szujskiego młodość* str. 81.

mowanie Wiśniowieckiego, którego wyobrażał sobie naturą słabą, ale bardzo szlachetną i wzniosłą, a poznawał może więcej z *Ryszarda II* Szekspira, aniżeli z rzeczywistości. Michał ten znał swoją słabość i od przyjęcia Korony bronił się jak mógł; ale kiedy mu powiedziano, że jako Król będzie mógł ożenić się z arcyksiężniczką Eleonorą, którą w skrytości serca ubóstwiał, zemdlał i... obrać się pozwolił. Sobieski, po Wiedniu otoczony spiskami i przeciwnościami, sam podupadający i zniedołężniały w ich skutku, dręczony swarami w rodzinie, a umierający z tem smutnem uczuciem, że nic robić nie warto i niema dla kogo, Sobieski miał być bohaterem dalszej tragedyi; a ostatnia znowu trylogia miała być o Stanisławie Auguście. Każda część miała się kończyć jednym rozbiorem; żeby zaś wrażenie nie było zbyt rozpaczliwem, całość miała się zamykać przepowiednią księdza Marka. Jak do tych lat przyczepioną? To zostawiało się późniejszej rozwadze i inspiracyi«.

Tymczasem, przy wyobraźni pełnej rozmaitych *schwankende Gestalten*, z czem w parze szły marzenia o sławie literackiej, jedno nie ulegało wątpliwości, że możność przestawania z literatami, bądź znanymi zaszczytnie, jak Mann, bądź sławnymi, jak Siemieński, przedstawiała dla młodych ex-redaktorów *Maturitätsblattu* niemały urok.

Z Maurycym Mannem, którego poznał w r. 1850, spotykał się Tarnowski raz po raz, ale naturalnie publicysta tej wiary, co Mann, nie wiele mógł sobie mieć do powiedzenia z młodym uczniem gimnazyum. Jakoż stosunek ograniczał się do tego głównie, że Tarnowski z wielkiem uszanowaniem kłaniał się zawsze Mannowi na ulicy, w domu zaś z wielkiem zajęciem czytał jego drukującą się w fejletonie *Czasu* powieść p. t. *Szara godzina*. Było to bardzo długie i nieco jednostajne opowiadanie jakiegoś starego księcia, który za młodu kochał się w jakiejś biednej dziewczynie, przebierał się za węglarza, żeby o »szarej godzinie« spotykać się z ukochaną i czułe prowadzić rozmowy, a na starość, choć wiele lat upłynęło, zawsze mawiał, że ten epizod z »szarą godziną« to była najpiękniejsza chwila w jego życiu. Rozumiało się samo przez się, że i dziewczyna i książę oboje byli bardzo cnotliwi, a ich miłość w niczem się nie sprzeciwiała zasadom Platona. W jesieni 1852 r. wyjechał Mann z Adamem Potockim i jego żoną, z Kazimierzem Potulickim i młodym malarzem Tepą do Egiptu i Ziemi Świętej. W ten sposób powstały jego *Listy z podróży*, które drukowane w feljetonie *Czasu*, budziły wielkie zainteresowanie. Między innemi i Tarnowski czytał je z ogromnem zajęciem, bo mówiły o krajach dalekich i mało znanych, a pisane były świetnie.

Sam autor ich, o ile go młodzi studenci widywać mieli sposobność, o tyle w nich budził ciekawość, o ile go uważali za jeden z filarów *Czasu;* pozatem bowiem, jako trochę wyniosły w obejściu, przystępnym i łatwym nie był, przynajmniej dla młodzieży. Ale wiedziano o nim, że znał Mickiewicza, którego raz na Rodanie widział nawet z chorym Garczyńskim; że w Paryżu spotykał się w wielkim świecie z Chopinem, o którego miłości dla Delfiny Potockiej opowiadał nielicujące wcale z nastrojem *Szarej godziny* szczegóły; że w Neapolu widywał Krasińskiego, który tam w r. 1841 bawił przy boku tejże Delfiny Potockiej: wszystko to mogło Manna tylko podnosić w oczach romantycznie usposobionej młodzieży, zwłaszcza, że i jego pełna rezygnacyi miłość dla panny Konstancyi Stadnickiej była publiczną tajemnicą...

Nie takim abnegatem w miłości odwzajemnianej, jak Mann, był młody współpracownik *Czasu*, Konstanty Sobolewski, o którym wiedziano powszechnie, że się kochał szalenie w pannie Gołaszewskiej i o nią starał, i że tylko jej rodzice byli przeciwni temu związkowi. Czy dlatego, że był dziennikarzem? W każdym razie Sobolewski w końcu dopiął swego... Dla młodych gimnazistów był to może najsympatyczniejszy z *Czasowników*, raz dlatego, że wogóle wszyscy przyznawali mu rozum, talent, wysokie wykształcenie, a nadewszystko charakter, równie prawy, jak sympatyczny i miły, a powtóre — czem najbardziej imponował gimnazistom — zawsze był bardzo ładnie ubrany, ze szkiełkiem w oku, co wtedy uchodziło za najwyższy szyk, słowem, mógł służyć za wzór elegancyi.

I Waleryan Kalinka, którego, jako współpracownika *Czasu*, Tarnowski i jego koledzy znali tylko z widzenia, uchodził w ich oczach za eleganta. Szczupły, zgrabny, ładnie ubrany, z bródką, której trzymanie i kręcenie było jego ruchem charakterystycznym, przyszły autor *Sejmu Czteroletniego* niczem wtedy — w mniemaniu młodych czytelników *Czasu* — nie zapowiadał wielkiego pisarza, a tem mniej zakonnika: jego *Listy z wystawy londyńskiej*, ukazujące się od kwietnia do połowy czerwca 1851 r. w feljetonie *Czasu*, nie budziły zachwytu w Tarnowskim: czytał je z ciekawością, ale zawsze z rozczarowaniem, bo spodziewał się opisów i anegdot, a znajdował co innego, co go nie interesowało zbytnio. Tyle też i wiedział o Kalince. Że niedawny sekretarz Tyssowskiego, autor jego tryumfalnych manifestów do narodu, a wkrótce potem, jako Pęcławski, autor nieprzyjemnej książeczki o Krakowie i Krakowianach, miał w sobie już po wstąpieniu do *Czasu* bardzo wiele jeszcze z dawnego redaktora ultra-liberalnej *Jutrzenki*, i że z tego powodu przychodziło po-

między nim a Pawłem Popielem do częstych starć w redakcyi, o tem ani Tarnowski, ani jego koledzy nie wiedzieli nic zgoła.

O czem za to wiedzieli doskonale wszyscy, to, że *Czas* stał głównie Lucyanem Siemieńskim, który go nietylko podpisywał, jako redaktor odpowiedzialny, ale był jego filarem i ozdobą: on go czynił poczytnym. Mały, szczupły, smagławy, nie okazały z pozoru, ani piękny z rysów, choć miał twarz pełną wyrazu i charakteru, bardzo żywą i z ogniem w oczach, Siemieński bywał dość częstym gościem w Dzikowie, to też Stanisław Tarnowski, który go uwielbiał od dziecka, jako autora *Wieczorów pod lipą*, znał się z nim dobrze, niemało przestawał osobiście. Był to stosunek blizki, na serdeczności oparty, nie zwykła znajomość, stosunek młodego chłopca, rwącego się do literatury, ze sławnym literatem, szczerze zaprzyjaźnionym z jego rodziną i domem Wszystko, co Siemieński pisywał w feljetonie *Czasu*, Tarnowski czytywał z wielkiem zajęciem. Tak n. p. bardzo mu się podobały *Zapiski z podróży po kraju*, w których Siemieński, powodowany passyą poznawania wszystkiego, co polskie, i z ciekawości do poznawania starych zabytków, zdawał sprawę z swych letnich wycieczek w różne strony Galicyi, a czynił to z takim wdziękiem, tak dowcipnie często, z taką werwą, że przyszły autor wrażeń *Z Wakacyi* zachwycał się temi feljetonami. Że ta lektura rzeczy literackich Siemieńskiego nie pozostawała bez silnego wpływu na przyszłego autora *Rozpraw i sprawozdań*, na jego zapatrywania literackie i artystyczne, na jego sposób pisania, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Oto, co on sam pisze w tej kwestyi: »W wyższych klasach gimnazyum już i myśli i czyta się inaczej, niezupełnie po dziecinnemu; i wtedy zaczęło się też inaczej czytać *Czas*, a w *Czasie* Siemieńskiego. Ale kiedy w owych latach widziało się tylko, że on coś ładnie i rozumnie powiedział, to dziś, ogarniając pamięcią i ówczesny stan literatury polskiej, i całość jego dokonanej pracy, widzi się dopiero, że to był pisarz wielkiego znaczenia i wpływu. On podniósł w nas miarę wymagania i sądzenia, on nietylko rozszerzył, ale i podwyższył estetyczne i wogóle literackie pojęcia i smak. On wreszcie rozpowszechnił, uczynił przystępnemi, jakie takie wyobrażenia o sztuce i jej historyi... Siemieński swojemi krytykami i recenzyami bronił literaturę polską od obniżenia i ogłupienia, a służył polskiej cywilizacyi przez to, że do rzeczy przez siebie sądzonych przykładał miarę rozumu, rzetelnej i głębokiej nauki, bardzo bystrego artystycznego zmysłu, i doskonałego smaku. Te zaś pojęcia, te konieczne warunki zdrowego i oświeconego sądu, przez niego, z jego rozpraw lub recenzyi, udzie-

lały się czytelnikom choć trochę, wsiąkały w nich choć nieznacznie, i jak kropla wody w kamieniu, tak one przez ciągłe działanie zostawiały przecież swój ślad w umysłach. Miał po temu przymioty nieocenione, i miał doskonałą, choć zapewnę bezwiednie przyjętą metodę postępowania. Te Siemieńskiego przymioty, to naprzód jego rozum, wykształcenie i zamiłowanie rzeczy szlachetnych, a potem jego sposób pisania. Prostota, jasność, przejrzystość języka i stylu, była jego szczególnym darem. W równej mierze posiadał go rzadko który z naszych pisarzy; bez żadnej przesady można szukać porównania w Górnickim i w Krasickim. Z tem łączyła się czystość i doskonałość języka, którą znowu Siemieński tamtych dochodził. W naszym wieku zaś, kiedy nieszczęśliwy język skazany jest na systematyczne psucie przez ciągły wpływ języków obcych, w ówczesnej Galicyi, gdzie on był doszedł do zepsucia tyle opłakanego ile śmiesznego, z którego dotąd jeszcze się wyleczyć nie zdołał, polszczyzna piękna była nietylko upomnieniem i wzorem dla innych, ale była środkiem ratunku i zabezpieczenia samej istoty i natury języka. Do tego jeszcze wdzięk, jaki Siemieński miał w pisaniu! Nie mówiąc o jego dowcipie, który był świetny, czy kiedy złośliwie wyśmiewał, czy kiedy dobrodusznie żartował, sama lekkość zwrotów i tonu, dla polskiego pisarza zapewne niezmiernie trudna, bo niezmiernie u nas rzadka, była wielką Siemieńskiego siłą. On był zawsze do czytania miły, zawsze powabny; a pod tym pozorem powabnym, nieraz żartobliwym i lekkim, był zawsze rozumny, nigdy bez myśli i treści«.[1]) To też Tarnowski, który do tego sposobu pisania lgnął na podstawie duchowego powinowactwa, z rosnącem upodobaniem wczytywał się we wszystko, co w *Czasie* wychodziło z pod pióra Siemieńskiego, a z samym Siemieńskim, o ile tylko miał sposobność po temu, przestawał z rzetelną przyjemnością i pożytkiem dla swego umysłowego rozwoju.

Z kim również przestawanie równało się dlań przyjemności, to z bawiącym wtedy w Krakowie a przygodnie pisującym do *Czasu* Leonem Kaplińskim, malarzem i pisarzem w jednej osobie. Uczuciowy, nerwowy, popędem młodości skarany na emigracyę w r. 1848, popędem wyobraźni pchnięty w zawód malarski, kiedy pisarski był może dla niego właściwszym, był to niezmiernie sympatyczny epigon romantyzmu z właściwym całemu rodzajowi brakiem równowagi, ale z taką wrodzoną wykwintnością w całej naturze, z umysłem tak wrażliwym i subtelnym, że wpływ jego na Tarnowskiego, jako dla

[1]) O *Czasie* i jego redaktorach, str. 36—39.

przyszłego krytyka literackiego, mógł być tylko wysoce korzystnym. Że z nim Tarnowski wiele rozmawiał o literaturze, pozwala się domyślać jedna jego rozmowa z Kaplińskim, którą prowadzili »jakoś niedługo po roku 1850«, a której treść powtórzył Tarnowski w swej dowcipnej krytyce *Błękitnych* Rodziewiczówny. »Człowiek bardzo rozumny — czytamy tam — a nie arystokrata wcale, Leon Kapliński, mawiał, że nasi pisarze powieści, kiedy wprowadzają i opisują tak zwanych arystokratów, robią to tak, jak żeby ich czasem przez dziurkę od klucza podglądali, ale nigdy ich nie widzieli i nie obserwowali; jak dzieci myślą, że król chodzi zawsze w koronie i gronostajowym płaszczu, tak oni wyobrażają sobie, że ten nieszczęśliwy wielki świat wszystko robi inaczej, jak zwykli ludzie, i skutkiem tego tworzą dziwolągi, które potomnym lub cudzoziemcom, gdyby te powieści czytali, dałyby najdziwniejsze i najfałszywsze wyobrażenie o naszem społeczeństwie, jego obyczaju i jego cywilizacyi«.[1])

Jeżeli w wyższych klasach gimnazyum już się i myśli i czyta inaczej, niezupełnie po dziecinnemu, feljetony literackie, to podobnie ma się rzecz i z artykułami politycznemi. Jakoż i Tarnowski, czytując pilnie *Czas*, coraz pilniej zaczął studyować jego dział polityczny. Aż dotąd, jak sam przyznaje, interesowały go w *Czasie* głównie bieżące wiadomości z kroniki miejscowej, lub jakieś ustępy patryotyczne; teraz, w miarę jak dojrzewał umysłowo, z coraz większem zajęciem czytał artykuły polityczne, z których szczególniej świetnemi były artykuły wstępne Manna. Gdy w roku 1854 wybuchła wojna Krymska, która tyle obudziła nadziei, Tarnowski i jego niektórzy koledzy i przyjaciele skwapliwie rzucali się na *Czas*, by z jego szpalt zaczerpnąć wiadomości o sytuacyi na placu boju. Ozdobą *Czasu* w ciągu trwania tej pamiętnej wojny były artykuły Manna. Wojna ta bowiem dała mu sposobność do świetnego okazania tego politycznego zmysłu, i tego szczęśliwego subtelnego taktu, którym się odznaczał. »Przypuszczał on, jak cała Europa podówczas, że to nie będzie wojna marna i bezskuteczna; wierzył, jak wszyscy, że Napoleon III ma myśl głębszą i wolę stateczną. Ale nadzieje, jakie w sobie nosił, trzymał na wodzy, żeby złudzień nie tworzyć i nie krzewić. Czekał przezornie z wypowiedzeniem całej swojej myśli, aż ta myśl przybierze kształty widzialne i dotykalne. Jego zaś szczególny takt i dar dawał się poznać i ocenić w tem, że nie chcąc krzewić nadziei niepewnych, nie mogąc pod cenzurą wyrażać swobodnie swego uczucia, musiał przecie zawsze tak pisać, że uczucie polskie znaj-

[1]) *Przegląd polski*, 1890, wrzesień.

dowało swój wyraz w jego słowach, nie było urażonem nigdy, było pokrzepionem i wzmocnionem zawsze, nawet kiedy pocieszonem być nie mogło«.[1]) Doświadczał tego na sobie Tarnowski, który już przez to samo, że się w 7-ej klasie za nader przenikliwego »dyplomatę« uważał, zdradzał się ze swym wrodzonym temperamentem politycznym. Czego zrozumieć nie mógł, to, że Szujski tak mało interesował się tą wojną? czy dlatego, że jej nie dowierzał? czy może dlatego — co prawdopodobniejsza — że w nim jeszcze nie rozbudził się polityk, a poeta zbyt miał głowę zaprzątniętą dramatami z przeszłości polskiej, by z równym interesem śledzić bieg teraźniejszości. Bądź co bądź, rówieśnicy jego, a Tarnowski w ich liczbie, inaczej reagowali na wypadki, rozgrywające się na Krymie: oni widzieli już Rosyę zdeptaną, a w dalekiej perspektywie »orły złote obok srebrnych« nad Wisłą... Artykuły Manna w *Czasie* podtrzymywały w nich te błogie złudzenia.[2])

Wspominając swoje i *Szujskiego lata szkolne*, opowiada Tarnowski między innemi o pewnym »nielitościwym zakazie domowym« księdza Chełmeckiego, który go raz, wbrew jego chęci pójścia do teatru, zatrzymał przez cały wieczór w domu... Przez ten dom należy rozumieć dom matki, ta bowiem, dla dozoru nad wychowaniem dzieci, raz poraz przemieszkiwała w Krakowie, gdzie wogóle, od śmierci męża, »często przesiadywała«.[3]) O domu pani Gabryeli Tarnowskiej, słynącym z gościnności, powiada St. Koźmian, że w nim młodzież »spotykała się ze wspomnieniami czteroletniego sejmu i powstania

---

[1]) O *Czasie* i jego redaktorach, str. 40.

[2]) *Szujskiego młodość*, str. 81.

[3]) Kreśląc ryciorys Juliusza Tarnowskiego, Siemieński tak pisze o jego latach szkolnych: »Korespondencya ta (z matką) nie odnosi się do młodych lat Juliusza, kiedy był na naukach w Krakowie i miał nad sobą dozór a przytem sposobność częstego znoszenia się z matką...« A jak Juliusz, tak i Stanisław Tarnowski, »wychowywał się nie już pod okiem, ale przy sercu matki, do lat, w których można go było oddać do szkół publicznych. Rozłączenie krótsze i dłuższe, oddalenie czy to bliższe czy dalsze, nie przerywało ciągu tej tkliwej czujności macierzyńskiej, jaka wszędzie za nim w ślad biegła. Bliskość Krakowa, gdzie kończył gimnazyum, gdzie matka często przesiadywała, otaczali bracia, nie miała cechy prawdziwego rozłączenia; towarzystwo nawet, w którem żył (Juliusz, jak i Stanisław) składało się najwięcej z krewnych lub przyjaciół rodziny«. *Dwaj Juliusze*, str. 119, 136. W swem wspomnieniu o Janie Tarnowskim (drukow. w księdze Zdzisława Tarnowskiego) tak pisze Jan Popiel: »Mieszkał on w owych latach (do r. 1853) w Krakowie, wraz z dwoma młodszymi braćmi pod dozorem X. Chełmeckiego, późniejszego Katechety gimnazyum Św. Anny...«

listopadowego«, ci zaś, którzy te wspomnienia i tradycye reprezentowali, to byli przeważnie blizcy krewni lub dobrzy znajomi i przyjaciele rodziny, jak to niezawodnie ma na myśli Tarnowski, gdy pisze w swem wspomnieniu o jenerale Chłapowskim: »Do nas, którzyśmy jeszcze znali wszystkich jenerałów z r. 1831, a niektórych dawniejszych, przemawiało nie czterdzieści wieków, jak ze szczytu piramid, ale czterdzieści lat, i to nie szczęśliwych, ale przed Bogiem i ludźmi zasłużonych, i pięknych lat historyi narodu, od 1792 do 1832, kiedyśmy słuchali, co mówił n. p. Paszkowski, przyjaciel Kościuszki, kiedy Skrzynecki raczył zapuścić się z nami w rozmowę i dawać nauki; a kiedy Chłopicki przeszył którego swoim orlim wzrokiem, zdawało się, że sama Polska chce z twarzy malca wyczytać, na co by on się przydał w Saragossie albo pod Grochowem. Czuł się człowiek częścią czegoś wielkiego, kiedy patrzał na żywe pomniki wielkości a przynajmniej sławy, czuł się związanym z jakąś rycerską przeszłością i do honorowej, jeżeli nie rycerskiej, przyszłości obowiązanym, a mała drzewina, która rosła w tym samym lesie, co dęby, żyła w ich cieniu, dostawała choć trochę tych soków, co je żywiły, i widziała, że można rosnąć wysoko... Znany jest i pamiętny ten męski hart i ta zdolność rozkazywania, którą od Napoleona może przejmowali oficerowie jego armii: Chłopicki miał je w wysokim stopniu, a czując je w sobie, żądał posłuchu, oporu nie znosił... a tak przesiąkł wojskowym duchem i tradycyą, że każdy jego ruch, każde słowo, sposób mówienia, wydawały starego wojskowego od stóp do głów, na wskróś i na wylot; w każdym calu był starym wojskowym i jenerałem, na którego widok mimowolnie stawało się we front i opuszczało ręce po sobie. Skrzynecki, miększy z natury, bardzo stanowczy w swoich przekonaniach, mniej w postanowieniach, nie był tak marcyalny, jak Chłopicki, a choć ze swoją przepyszną głową i postawą wyglądał jak hetman, to nie robił takiego jak tamten wrażenia żołnierza. Przy nim owszem można było czasem zapomnieć, że to wojskowy; z wykształceniem pełnem i ogólniejszem, z większą nauką, Skrzynecki zajmował się kwestyami polityki, nauki, filozofii, religii, tak żywo, w ostatnich latach może żywiej, niż wojskowemi, w teraźniejszości żył więcej, niż w swoich wspomnieniach, a w obejściu z ludźmi, w układzie swoim, w przyzwyczajeniach swoich, był nierównie więcej uprzejmy i gładki. A przytem zawsze dążył całą siłą swojej woli i wszystkiemi instynktami swojej natury do tego,

[1]) *Jenerał Chłapowski*, Wspomnienie pośmiertne, *Przegląd polski*, 1879, Kwiecień, str. 173—4.

żeby swoją istotę moralną, swoje życie, swoją rodzinę, cały świat swoich uczuć, obowiązków i działań, oprzeć na stałym gruncie zasad niewzruszonych, jednoczących i obejmujących wszystkie działania uczucia i obowiązki, i był jednym z pierwszych ludzi w Polsce, którzy doszli do gruntownych rozumowych przekonań katolickich, na nich stanęli jak wryci, nie ustąpili ani kroku, i przekonania te koło siebie skupiali i szerzyli«. Nasiąkał też niemi — mimowoli — i młody Tarnowski, który, jak i inni z pomiędzy jego rówieśników, z konieczności pozostawał pod urokiem tej niepospolitej indywidualności. Cóż dziwnego, że chłopcy, wzrastający w tak górnem otoczeniu, sami rozwijali się w ten sposób, że mogli służyć za wzór dla innych.

Że Tarnowski i jego dwaj bracia zawsze się sprawowali wzorowo, zarówno w domu, jak i poza domem, o tem wymownie świadczy nieco młodszy kolega ich, Ludwik Dębicki, który tak pisze w swem wspomnieniu o Janie Tarnowskim: »Od czasów szkolnych i uniwersyteckich otaczała trzech Tarnowskich sława dobrych nauk, wzorowych obyczajów, szlachetności celów. Kraj patrzał na nich, jako na swoją nadzieję. Każdy ojciec wskazywał ich na wzór synom, a my wszyscy, nieco młodzi, szliśmy za nimi. Imię tak mile brzmiące w uchu polskiem, świetność stanowiska, osobiste dary i talenta, wszystko ten wpływ przykładu, te nadzieje społeczeństwa powiększało. Trzydzieści lat upłynęło, a jak za młodu na studentów, ten przykład braci Tarnowskich nie przestał na nas oddziaływać. W każdej sprawie i na każdem polu miło i bezpiecznie iść tam, gdzie idą Tarnowscy«.[1])

Rzeczywiście nie byli to chłopcy, którzy by kogo mogli poprowadzić na manowce, choć byli i do tańca i do różańca. Stanisław n. p. choć go czasem ksiądz Chełmecki ledwo mógł oderwać od książki, był bardzo wesołego usposobienia, a w domu niezawsze lubił siedzieć. Owszem, po skończonych lekcyach, które brał i w domu prywatnie, jak n. p. lekcye języka angielskiego, czuł się szczęśliwym niewymownie, gdy mu pozwolono pójść do którego z kolegów, na spacer lub do teatru.

Ze spacerów najpiękniejszym i najmilszym był na Błonia. Przy dopisującej pogodzie Tarnowski odbywał go dość często, najczęściej z Pilińskim i Szujskim, bo z nimi dwoma miał sobie najwięcej do powiedzenia. Oto, co on sam pisze o tych studenckich przechadzkach: »Te spacery w pogodny zachód słońca, albo w południowych godzi-

[1]) *Z teki dziennikarskiej*, II, 232—233.

nach, we mgle takiej, jak w szóstej księdze *Pana Tadeusza*, przez Błonia na Zwierzyniec, skąd z pod okrągłej kapliczki koło św. Salwatora patrzało się na Wisłę i góry... ile się w nich głupich rzeczy mówiło, a ile się dobrych znalazło lub obudziło, ile na zawsze zostało! Raz wybraliśmy się na taki spacer z wyraźnym umówionym zamiarem, żeby sobie powiedzieć wszystko, co jedni o drugich myślimy. Czuliśmy jedni i drudzy, że nam nawzajem niejedno nie dogadza lub się nie podoba, a chcieliśmy się zbliżyć; czuliśmy, żeśmy powinni. Wystąpiły tedy różne zdania, sądy, krytyki, czy rady. Jedna strona, Piliński i ja, mówiła Szujskiemu, że nie może zupełnie do niego przylgnąć, bo go widzi na fałszywej drodze i źle siebie samego sądzącym: Jesteś cały zajęty wierszami i tylko o poezyi marzysz, a tymczasem twoje wiersze są złe. Koniec będzie taki, że się zmarnujesz w mniemanej poezyi i wyjdziesz na Antoniego Kamieńskiego!... Po takim początku nastąpiła cała litania uwag i zarzutów, o zarozumiałości i rwania się do rzeczy przechodzących nasze pojęcie, o rosprószeniu się na wiele rzeczy i trzymaniu wielu srok naraz za ogon, z czego wyniknie, że wszystkie sroki polecą, wreszcie o pretensyi w mówieniu i pisaniu, o górnolotności i nadętości. On nam znowu zarzucał zbyteczny spokój, przechodzący w chłód, brak uczucia i zapału, zbyteczną wyłączność w przyjaźni, a lekceważenie tych, których mamy za głupszych od siebie, wreszcie sposób obejścia się z drugimi: Wasz nieznośny takt: jesteście grzeczni, zimni i ślizcy, jak starzy dyplomaci!... Dyskusya ciągnęła się długo, każdy się bronił jak mógł, chwilami była i gorąca, choć w szczerze dobrych uczuciach i w dobrej wierze; zeszła w końcu naturalnie na politykę i na przyszłość naszą i Polski. Szujski się dziwił, że my o niej nie mówimy. Czemu wy nigdy nie mówicie o Polsce? Kto was wie, czy o niej tyle i tak myślicie jak ja?! Tego pytania nie spodziewał się żaden; nie przypuszczał, żeby jemu, żeby komukolwiek bez słusznego powodu zrobionem być mogło. Była chwila przykra i mały przedsmak wielu przyjemności późniejszego życia. Ale Piliński odpowiedział odrazu i doskonale: A ty czemu każdej chwili nie mówisz: ja oddycham! doprawdy ja oddycham! Patrzcie ludzie, jak ja oddycham, pomacajcie, jak mi pulsa biją! Jeżeli nie mówisz o swoim oddechu i krążeniu krwi, nie dziw się, że nie mówimy o tamtem. Jedno jest takie przyrodzone i konieczne jak drugie; mówić o tem potrzebują chyba tacy, dla których to jest albo nowe, albo nie ciągłe, tylko przemijające jak paroksyzm!... Teraz Szujski się zmieszał i nie wiedział, co odpowiedzieć. Skończyło się wszystko dobrze i ten spacer zbliżył nas do siebie naprawdę. Różniliśmy się i później nieraz i nie

w jednem, ale przestaliśmy wtedy sądzić się lekko, a zaczęli sobie wierzyć«.[1]) Spacerów takich, w dni pogodne i ciepłe, odbywali sporo, a na wszystkich, jak i na tym pierwszym, dyskutowali z młodzieńczym zapałem *de omnibus rebus:* o polityce i filozofii, o religii i o najlepszym sposobie uszczęśliwienia ludzkości, ale rozprawiając o wszystkiem potrosze, najczęściej w końcu schodzili na poezyę, Szekspira i Greków, Mickiewicza i Niemców, a wreszcie i na poezye Szujskiego, albo tę przyszłą, wielką, która przyjść powinna. Szujski stale utrzymywał, że sztuka nie jest dla sztuki jedynie, że poezya, jak wszystko, ma prawo służyć wyższym celom i prawom, i powinna być »kapłanką idei«; na co oni, Tarnowski i Piliński, godzili się chętnie, z tem zastrzeżeniem jednak, że poezya, choć nie dla sztuki samej, to przecież sztuką być musi, a Szekspira i Greków tragedye silniej działają na uczucia i wyobraźnie, niż jego »ideowe« dramaty...[2]) To zbliżenie wzajemne, które się rozpoczęło na wspólnych przechadzkach za miasto, wkrótce przeobraziło się w serdeczną przyjaźń: różnice się zacierały stopniowo, w miarę jak je sobie uświadamiali, a natomiast rósł jakiś młodociany, instynktowy szacunek wzajemny, który ich łączył i sprzęgał coraz bardziej: to, co jego raziło w nich, jako zbytek rozsądku, chłód, przedwczesna dojrzałość i miara, i to, co znów ich raziło w nim, jako zarozumiałość i pretensya, jako marzenia o chwale, które oni bez litości oblewali zimną wodą, wszystko to znikało powoli, jakby topniało, i stosunek stawał się coraz milszy, bo coraz serdeczniejszy.

Wracając z tych spacerów, po odprowadzeniu Szujskiego, który nie miał takiej swobody, jak Tarnowski i Piliński, często wstępowali jeszcze do któregokolwiek z kolegów, bądź do Jagielskiego, bądź do Suchodolskiego, gdzie znowu w dalszym ciągu toczyły się ożywione rozmowy, najwięcej o literaturze. Jagielski mieszkał we własnej kamienicy przy ulicy Grodzkiej, a że nie miał ani ojca ani matki, więc mieszkał zawsze z którymś z przyjaciół, najprzód z Rączkiewiczem, owym niedowiarkiem-karmelitą, a następnie z Grossem, owym »cichym Hajdamakiem«. Te koleżeńskie zebrania u Jagielskiego, zwłaszcza, odkąd z nim mieszkał wesoły Gross, bardzo mile zapisały się w pamięci swych uczestników. Równie przyjemnie czas im upływał na podobnych zebraniach u Zdzisława Suchodolskiego, »chłopca wielkiej intelligencyi a zwłaszcza rzadkiego uroku«. U niego też spotkał się po raz pierwszy Tarnowski —

[1]) *Szujskiego młodość*, str. 53—54.
[2]) *Szujski jako poeta*, str. 7.

i spotykał się stale przez czas jakiś — z Grottgerem. Suchodolski, jako syn znanego i cenionego malarza, również czuł powołanie do malarstwa, a w mieszkaniu swem, które nazywał *Birbante-Rocca*, miał, oprócz swoich, jeszcze i dwie pary sztalug dla swych przyjaciół, Grottgera i Grabowskiego. W tem mieszkaniu-pracowni, w którem trzej młodzi malarze nietylko rysowali i malowali razem, poprawiając i ucząc jeden drugiego, ale i z zapałem prawili o sztuce, o swoich przyszłych obrazach, Tarnowski i Piliński spędzali chwile rozkoszne i pouczające dla nich, bo zaprzeczyć się nie da, że literaci zawsze korzystają bardzo wiele, gdy mają możność częstego przestawania z malarzami. Szujski uczestniczył w tych artystyczno-literackich biesiadach w *Birbante-Rocca* niezmiernie rzadko, bo mieszkając z matką, która mu nie dawała zbytniej swobody, najwięcej przesiadywał w domu. Stąd poszło, że o ile on mało bywał u kolegów, o tyle oni, zwłaszcza Tarnowski i Piliński, często bywali u niego, a te ich odwiedziny »wnosiły trochę wesołości« do mieszkania, w którem wogóle panował nastrój wdowi, posępny. Pani Szujska, znękana i przybita kłopotami, choć o swoich smutkach nie mówiła nigdy, to jednak jej osoba i dom zawsze robiły takie wrażenie, jak inne świeżo po wielkiem nieszczęściu. Bądź co bądź, wieczory, spędzane u Szujskiego, nie były pozbawione uroku, zwłaszcza, gdy rozmowa obracała się około poezyi i literatury, t. j. gdy odwiedzający postępowali wbrew życzeniu pani Szujskiej, która, niezadowolona z aspiracyi poetyckich swego jedynaka, raz po raz prosiła jego kolegów, »żeby *Józia* zwracali do rzeczy praktycznych«. Całkiem odmienna atmosfera panowała w domu pani Żeleńskiej, gdzie Tarnowskiemu, jako koledze i przyjacielowi Stanisława Żeleńskiego, często upływały wieczory. Ponieważ pani Żeleńska, odkąd dla edukacyi dzieci zamieszkała w Krakowie, z łaskawą dobrocią lubiła garnąć do siebie przyjaciół syna, otaczać się młodym studenckim światem, więc i atmosfera, panująca w jej gościnnym domu, niczem nie przypominała »grobowej« atmosfery u pani Szujskiej. Podobnie było w arystokratycznym domu pani Wąsowiczowej, u której aż do roku 1853 t. j. aż do jej śmierci, odbywały się częste przyjęcia, dostępne i dla młodzieży szkolnej. Rodzona siostrzenica księcia Józefa Poniatowskiego, pani Aleksandrowa z Tyszkiewiczów Potocka, otrzymawszy rozwód — rozwody były wtedy w modzie — oddała rękę jenerałowi Wąsowiczowi. Wychowana w pałacu *Pod Blachą*, następnie rezydująca w Wilanowie i Jabłonnej, wszedłszy w ten drugi związek, przeniosła swą siedzibę do Galicyi, do Zatora, skąd na zimę stale zajeżdżała do Krakowa, zajmując tu dom w Rynku. Był to typ

przejściowy między wielką panią XVIII i XIX stulecia. Niezmierna żywość umysłu, wielki ton ze swobodą i naturalnością, cięty dowcip nie bez złośliwości, wyjątkowy dar rozmowy, żywy interes dla każdej nowej książki, dla dzieła sztuki, często zapał dla sprawy publicznej, obojętność w rzeczach religijnych, kultura zagraniczna: oto główne rysy charakteryzujące tę wielką damę, która co do prowadzenia salonu była wzorem w swoim czasie i na długo zostawiła szkołę.[1]) Trzymając się zasady, że salon zawisł nie od wielkich przyjęć, ale od stałego, codziennie gromadzącego się grona ludzi doborowych, umiała stworzyć u siebie salon jedyny w swoim rodzaju. Wszystko, co Kraków posiadał wytwornego, spotykało się u pani Wąsowiczowej. Tarnowski, który jako uczeń gimnazyum, dość często bywał w jej domu, tak o niej pisze: »Młodzi nie wiedzą już wcale, kto była ta pani Wąsowiczowa, a dla starszych imię to oznaczało tyle dobroci, tyle wdzięku, tyle powagi wieku i charakteru, tyle szlachetnego i wykwintnego obejścia«. Swoją drogą dom jej, na skutek ciężkich niepowodzeń majątkowych, przez które przechodziła, był bardzo skromny, choć w nim gromadził się sam kwiat społeczeństwa. Od jej mieszkania, równie skromnego, jak cały tryb życia, »odbijały ułożenie i rozmowa sędziwej pani domu, które były takie, że przy najdoskonalszej prostocie byłyby jaśniały w największym świecie i na każdym dworze«.[2]) Przy niej mieszkała pani Mannowa, matka Maurycego Manna; stąd dom ten — na rogu Rynku i Siennej — był prawie jego rodzinnym domem. Tutaj też poznał się z nim Tarnowski.

Wnosząc z kultu, jaki i Tarnowski i dwaj jego najserdeczniejsi przyjaciele żywili dla dramatów Schillera i Szekspira, możnaby myśleć, że wieczory spędzane w teatrze, zaliczali do najprzyjemniejszych. Tymczasem rzecz miała się całkiem przeciwnie: teatr obchodził ich mało. Czas, pieniądze,[3]) przepisy szkolne, wszystko to były ważne przeszkody, ale najważniejszą była bezwarunkowo ta, że ówczesny teatr polski w Krakowie, pod dyrekcyą Chełchowskiego, bardzo wiele

---

[1]) Ludwik Dębicki, *Trzy pokolenia w Krakowie*, str. 53—54.

[2]) O *Czasie* i jego redaktorach, str. 17—18.

[3]) Finanse Stanisława Tarnowskiego, jak i jego młodszego brata, wcale się nie przedstawiały świetnie. »Mądrość matki — opowiada Siemieński — czuwała nad tem, żeby jej syn nie błyszczał blichtrem próżności majętnego panicza, Utrzymanie jego w mieście, gdzie był na naukach, było skromne i wyrachowane. tak, żeby nie mogło przeszkadzać w pilnem przykładaniu się do nauk. »Baw się umiarkowanie, a ucz zapamiętale«, pisała raz pani Tarnowska do J. Tarnowskiego.

pod każdym względem pozostawiał do życzenia. W zimie r. 1854 nie było nawet polskiego teatru wcale; otworzył go dopiero z wiosną Pfeiffer *Ślubami panieńskiemi*, w których Miłaszewski, jako Gustaw, zachwycił całe gimnazyum. Była tylko opera niemiecka, z kolosalnie grubą, ale za to źle śpiewającą panią Gaudelius, jako primadonną. Ten teatr niemiecki, a brak polskiego, bolał całą młodzież, to też nie bywali w nim prawie wcale.

Co innego wystawa obrazów, o której towarzysz *Młodości Szujskiego* tak pisze: »Właśnie, kiedyśmy byli w ósmej klasie, zdarzyła się niesłychana w Krakowie nowość: wystawa obrazów, pierwsza zapewne od stworzenia świata, a przynajmniej od Krakusa i Smoka. Urządzono ją w budynku, który po spaleniu się szkoły technicznej służył jej za przytułek, a dziś nazywa się Collegium minus... Przed tą wystawą, kto chciał w Krakowie widzieć obraz, ten szedł parę razy w życiu do pracowni Stattlera na Wesołej, albo do domu Piotra Moszyńskiego, i tam miał obowiązek z religijną czcią podziwiać *Morskie Oko* Głowackiego i Suchodolskiego *Śmierć Stefana Czarnieckiego*. Chodziły wprawdzie głuche wieści, że Pod Baranami są jakieś piękne obrazy, ale ósma klasa nie wiedziała, że za prostem pozwoleniem mogła by je była łatwo widzieć. Na tę wystawę, która się pod szczęśliwą gwiazdą poczęła, bo z niej wyszło Towarzystwo Sztuk Pięknych i wszystkie wystawy późniejsze, chodziliśmy, jak tylko czas i kieszeń pozwalały najczęściej. Perłą jej był Rodakowskiego *Portret matki*, na który nie my tylko z uniesieniem, ale wszyscy patrzeli ze zdziwieniem rozkosznem: nigdy jeszcze Polak nie był dotąd nic tak prawdziwie pięknego wymalował«.

Jeżeli chodziło o obrazy, to Tarnowski, gdy jeździł do Dzikowa, miał tam do oglądania całą ich galeryę, od której piękniejszej nie było drugiej w kraju. Na książkach, zwłaszcza na starych pisarzach polskich, do których pod wpływem Szujskiego nabierał ciekawości, również mu nie zbywało, skoro mógł dowoli korzystać z wspaniałej biblioteki dzikowskiej. Podnietą w tym kierunku było dlań niewątpliwie towarzystwo Lucyana Siemieńskiego, który od wakacyi roku 1852 co lato przyjeżdżał na dłuższy pobyt do Dzikowa. Tarnowski, na którego rozwój umysłowy i upodobania literackie ten niemal rodzinny, a w każdym razie bardzo bliski i serdeczny stosunek z autorem *Obozu klasyków* wpływał niezmiernie korzystnie i zapładniająco, tak opowiada o tych dzikowskich wczasach Siemieńskiego: »Namówił go i przywiózł Jan Tarnowski z Chorzelowa, dawny znajomy podobno jeszcze z Paryża... Za pierwszym razem bawił tylko dni kilka, ale niebawem wrócił, i na dłużej. Dopiero z jadącymi po

wakacyach do szkoły studentami — młodymi Tarnowskimi — wybrał się i on do miasta. Zajmowały go książki, ryciny, obrazy, a lubił wieś i towarzystwo młodych. Zaczęły się więc w roku 1852 te jego regularne przyjazdy, zawsze w lecie, czasami nawet i w zimie podczas świąt Bożego Narodzenia, i powtarzały się każdego podobno roku, aż do czasu, kiedy i Dzików posmutniał, i Siemieński posmutniał, i wszystko posmutniało dla nas na świecie.[1]) Szperał w książkach, robił wyciągi, pisał, przerzucał sztychy, determinował obrazy, zapisane czasem w starym katalogu z fantastyczną bujnością wyobraźni lub rajską prawdziwie naiwnością, i krytyk i pisarz nie tracił czasu i nie zaniedbywał swoich zawodowych zajęć. Ale przytem używał wsi, a nikt lepiej od niego nie umiał się nią cieszyć i nikt nie był milszym od niego gościem na wsi. Miał tę szczęśliwą naturę i szczęśliwy humor, że się wszystkiem bawił i do wszystkiego zawsze był gotów. Może przez dobre wychowanie, przez uprzejmość dla drugich? Nie; bawił się na swój własny rachunek, z młodymi jak młody, ze starszymi jak starszy, a zawsze szczerze, i zawsze on ze wszystkich najlepiej, najweselej umiał bawić drugich. Do każdego spaceru, do każdego polowania, do każdej ekspedycyi, do każdego figla, zawsze pierwszy należał, a zwykle brał inicyatywę, wymyślał, poddawał koncepta. Zdziwił się bardzo, kiedy w początkach zapytano go nieśmiało, czyby nie chciał jeździć na koniu. Jakto czyby nie chciał? Naturalnie, że chce! Nic tak nie lubi jak konia i długie galopy bez końca. Znawcy jednak nie bardzo dowierzali jego sportsmańskiej biegłości i zdolności, i wyszukali mu pewną szpakowatą kobyłkę, niezbyt okazałej postaci, ale za to dobrodusznej natury. Pokazało się, że mieli racyę, bo pan Lucyan okazywał na koniu więcej zapału, niż umiejętności; Dorohostajskiego *Hippikę* znał doskonale, ale ze swoją kobyłką nie zawsze dawał sobie radę. Jeździł na niej przecież każdego dnia, i galopował tak zapamiętale, że biedna musiała tęsknie wzdychać za końcem wakacyi. Jeszcze bardziej był zapalony do myśliwstwa. Zdaje się, że tę żyłkę musiał mieć naprawdę przez całe życie, skoro zagranicą napisał książeczkę o układaniu wyżłów. Pisał ją, żeby oszukać swoją tęsknotę za polowaniem, tak jak stangret kręci bicze, kiedy nie może powozić. Ale też czy na kuropatwy, czy na kaczki, czy na krzyki, po najgorszych błotach, czy w głębokie pyszne lasy Mokryszowskie, zawsze Siemieński jeździł, i czasem nawet coś zabijał. Figle trzymały się go na polowaniu, tak jak w domu. Naprzykład staremu myśliwemu

[1]) To znaczy: do roku 1863.

który łowy i siebie jako łowca brał tak poważnie, jak Wojski z *Pana Tadeusza*, ukradkiem, podczas śniadania, spoił psa. Pies był głodny; zmęczony, rad schwycić co mu dadzą; zdrajca Siemieński częstował go hojnie chlebem, zmaczanym w wódce. Dalszy ciąg polowania: pies się zatacza jak pijany człowiek, nie może utrzymać się na nogach, i odchodzi zupełnie od swojej psiej przytomności umysłu. Jego pan wpadł w wielki gniew. »Kto mi spoił Ebra?« zawołał grzmiącym głosem. »To nikt, tylko Siemieński. Żaden z młodszych nie śmiałby mi tego zrobić«. »Siemieński? czy ty udajesz, czyś naprawdę głupi?« Pierwszy gniew przeszedł, ale żal biednego starego został, i pomimo swego najlepszego serca, Siemieńskiemu nie mógł długo zapomnieć tej krzywdy! Inny figiel był taki poetyczny, że mógł się podobać samej Malwinie, gdyby wzniosła Malwina była raczyła zniżać się do figlów. Był śliczny wieczór, śliczny księżyc, Siemieński namówił panie, żeby pojechały na spacer. Było kilka młodych pań, między niemi panny Skrzyneckie. Na pierwszym wózku, na koźle, siedział Siemieński. Kazał jechać do lasku, bo księżyc będzie się pięknie wydawał między drzewami. W lesie napadają rozbójnicy! Strzały, krzyki, wszystko czego potrzeba. Siemieński strzela także, wreszcie wali się z kozła w tył, wołając: »broniłem was, ale ginę!« Naturalnie on wszystko wymyślił i urządził, ale panny przestraszyły się w pierwszej chwili naprawdę. Wieczorami rozmawiał, czasem rysował karykatury, a przez rozmowę sam o tem nie wiedząc, ani o tem myśląc, kształcił. Nigdy zamiaru ani postanowienia, nigdy uczenia i wykładania, w całej jego naturze nie było nic pretensyonalnego ani pedantycznego. Ale wiedział mnóstwo rzeczy, a lada przedmiot, lada zwrot rozmowy, wydobywał na wierzch od niechcenia wiadomości i uwagi, które rozjaśniały drugim w głowie. Sam był pełen wspomnień roku 1830, i emigracyi; przez starszych znał czasy Stanisławowskie, można powiedzieć, poufale. A ta ciekawość i pasya do rzeczy polskich i do rzeczy pięknych, jaką miał, sprawiała, że dawne wieki Rzeczypospolitej były mu tak dobrze znane, jak dzieje europejskiej literatury i sztuki. A więc wypadki, ludzie, anegdoty, sypały się od niechcenia jak z rogu obfitości, przeplatane bystremi, głębokiemi spostrzeżeniami. Wszystko dostarczało powodu i wątku, ze wszystkiego zostawała w głowach jakaś lepsza znajomość dzisiejszego lub dawnego świata. Stara książka, wydobyta z biblioteki, naprowadzała go na rozmowę i uwagi o czasach, w których powstała; rycina albo miniatura wywoływała charakterystykę osoby, którą wyobrażała, szczegóły o jej życiu, rodzinie, znaczeniu w towarzyskiem lub politycznem życiu. Raz, pamiętam,

z miniaturą Księżnej Wirtemberskiej w ręku opowiadał o Puławach; w końcu, z tym figlarnym kierunkiem umysłu, jaki miał, zaszedł na *Malwinę* i zaczął rozwijać plan dalszego ciągu, drugiej części tej tkliwej powieści. »Ja to muszę kiedy napisać. Będzie *Malwina po ślubie!* Straci domyślność serca i będzie się myliła pomiędzy dwoma Ludomirami...« Obrazy, ryciny, dostarczały znowu materyału do rozmów o sztuce, które młodym słuchaczom Siemieńskiego dawały pierwsze wyraźniejsze nocye i pojęcia. Rozmowy te były zawsze zaprawne albo przerywane humorem, konceptami, figlami, i przez to naturalnie tem powabniejsze. Zwłaszcza kiedy Siemieński spotkał się na tych letnich wakacyach z Leonem Kaplińskim, co się parę razy zdarzało: jeden z drugiego jakżeby wykrzesywał coraz nowe i coraz świetniejsze iskry dowcipu albo artyzmu.[1])

W roku 1854 wakacyi tak dobrze jak wcale nie było: egzamin *maturitatis* miał się odbywać w końcu września, lub w początku października; i Tarnowski więc, podobnie jak Piliński i inni, wpadł tylko na króciutko do Dzikowa, a potem wrócił do Krakowa, żeby »kuć«. Było to poświęcenie, ale dlatego właśnie spotkała je nagroda, bo czas ten — od powrotu ze wsi aż do pierwszych egzaminów — zeszedł i Tarnowskiemu, i jego towarzyszom tej przedegzaminowej niedoli, dziwnie miło i dobrze. »Rano uczył się każdy sam — opowiada Tarnowski — a popołudniu schodziliśmy się w kilku na przerabianie, to matematyki, to historyi, to religii; przerabianie czasem kończyło się na spaniu, częściej na pogawędce, zawsze ku wieczorowi na spacerze, na który zbierało się nas im więcej, tem lepiej. Szliśmy gdzie Pan Bóg dał, około miasta, za miasto, czasem na Rybaki i łódkami jeździliśmy po Wiśle, raz nawet do Mogiły na odpust, a czasem do pobliskiego Kurdwanowa w odwiedziny do Szujskiego... Kiedy czas był brzydszy, szło się na bilard do jakiejś od Boga i ludzi opuszczonej kawiarni naprzeciw kolei, bo tam nikt

[1]) *O Czasie i jego redaktorach*, str. 33—36. W swym szkicu literackim o *Lucyanie Siemieńskim* tak go, jako częstego gościa w Dzikowie, charakteryzuje Tarnowski: »A jak żadnym przedmiotem nie gardził, jako za małym dla swej uwagi i pióra, tak i w życiu żadna rozrywka nie była mu za małą; czuł sam i umiał dać uczuć, a przez to podnieść, wdzięk każdej. Ze wszystkich sam najwyżej może cenił polowanie, i trafny strzał do krzyka tak go nęcił i cieszył, jak szczęśliwie pokonana trudność przetłomaczenia *Ody* Horacyusza lub *Sonetu* Michała Anioła. Może ta dziwna łatwość w pożyciu, ta zdolność zabawienia się wszystkiem, była powodem, że choć przez »uskrzydlone duchy z pędzlem dlutem piórem« wciąż odrywany od ziemi, na ziemi najmilszym był towarzyszem zawsze i wszędzie, ale nigdzie tak miłym, tak w całej pełni swego wdzięku, jak na wsi i między młodymi«.

wytropić nas nie mógł. Wracając, zmrokiem albo i wieczorem, mieliśmy passyę śpiewać chórem, a równy passyi strach, żeby nas policyant nie zaczepił. I tak codzień to samo, i każdego dnia z większą przyjemnością«.[1]) W końcu nadszedł czas egzaminów. Zarówno Tarnowski, jak Piliński i Szujski, zdali je bardzo szczęśliwie, bardzo dobrze, choć były i bardzo trudne, jak n. p. z greckiego lub matematyki, i choć się odbywały przy asystencyi »strasznego, a co gorsza, wszystko — prócz matematyki — umiejącego pana Czerkawskiego«. Jak zwykle w takich razach, i piśmienne, i ustne egzaminy, nie obeszły się bez konceptów, które, sprawiając emocyę, podnosiły dramatyczność chwili.[2])

Ale ostatecznie, po wielu perypetyach, wszystko skończyło się pomyślnie. Pierwszych dni października, po otrzymaniu matury, Tarnowski przestał być uczniem gimnazyum; skończyły się jego lata szkolne. Z jakiem uczuciem opuszczał mury gimnazyalne, z tego

---

[1]) *Szujskiego młodość*, str. 86.

[2]) O tych konceptach i przebiegach, do jakich wraz z kolegami uciekał się w czasie egzaminów, zwłaszcza piśmiennych, opowiada Tarnowski, w *Młodości Szujskiego*, z humorem i wdziękiem, a zarazem nie bez pewnego rozrzewnienia na myśl o tych »dramatycznych« chwilach. Nie od rzeczy może będzie przytoczyć odnośny ustęp, chociaż w przypisku. »Naturalnie (do piśmiennych egzaminów) nie wolno było brać z sobą książek, a jakże dać sobie radę naprzykład z zadaniem greckiem bez słownika? Trzeba mieć słowniki, gramatyki, i wogóle jaknajwięcej książek. Ale jak zrobić, żeby nas nie złapano? Dnie były prześliczne i ciepłe, jak w lipcu; żeby profesorowie nie pomiarkowali, że niesiemy książki, wpadliśmy na szczęśliwy pomysł poubierania się w płaszcze i bundy jaknajwiększe, i pod ich osłoną przekradaliśmy kontrabandę. Ale jest opatrzność nad waryatami i dziećmi! Nikt nas nie złapał i książki szczęśliwie dostały się do klasy. W zadaniach szachrowaliśmy trochę, ale mało: tylko tyle, ile koniecznie wymagał koleżeński honor i obowiązek. Ten obyczaj, żeby pytania wysyłać na świat zamówionym przyjaciołom, a potem zręcznie wymyślonemi sztukami odbierać gotowe zadania i te odpisywać, wcale znany nie był. Poprostu robiło się tak, że kto był mocny w matematyce, ten pod ławką podsuwał drugim robotę, a trochę odmienną od swojej, »żeby *belfry* nie poznały«, Za to miał obietnicę i wszelką pewność, że ktoś drugi zrobi mu zadanie greckie lub łacińskie. Kto nie był pewien, że zrobił dobrze, podsuwał tęższemu od siebie do przejrzenia i poprawy. Z niemieckiem i polskiem robiło się tak, że kto zaraz po przeczytaniu pytania czuł, że potrafi odpowiedzieć, i wiedział dobrze, co odpowiedzieć trzeba lub można, ten pisał czemprędzej jak mógł najwięcej treści, szkiców, i te puszczał w kurs; a jeżeli swoje prędko skończył, to udawał, że jeszcze nad niem siedzi, a pisał dla takich, którym obiecał, albo o których przypuszczał, że mogą być w kłopocie«. Można być prawie pewnym, że przy tem pisaniu ćwiczeń polskich i niemieckich, St. Tarnowski oddał kolegom swoim znakomite usługi...

sam bardzo wymownie wyspowiadał się z czasem, opisując tę chwilę w życiu Szujskiego. »Z dziwnem uczuciem — czytamy tam — wychodzi student z gimnazyum. Już po egzaminie, już wolny, już będzie miał na całe życie spokój od tego, co go nudziło albo korciło; już nigdy dzwonka, nigdy tablicy, kredy, matematyki ani fizyki, nigdy gotyckiego *E!* a żelazne drzwi nowodworskiego gmachu otwierają się na świat przestronny i jasny, po którym wolno chodzić z laską i cygarem, na którym nie trzeba kuć codzień aoristów lub logarytmów, ale można myśleć o czem się podoba, czytać co się zechce, uczyć się tego, do czego się ma skłonność. Uczucie rozkoszne, upajające! Ale przeszedłszy za te wrota, świeży *abiturient* obraca się za siebie i rzuca na nie spojrzenie smutne. Jakoś mu tęskno! Te drzwi zamknęły się na cały okres jego życia skończony i niepowrotny; pierwszy raz czuje, że się coś dla niego kończy, że co się skończyło, to nie może wrócić. Doświadczył już tego samego, kiedy z domu wychodząc do szkoły, rozstawał się ze swojem dzieciństwem, ale wtedy był za mały i płakał tylko i tęsknił, zastanawiać się nie umiał. Co go w tym nieznanym świecie czeka? Złote sny młodości, w których łączy się frak i mundur, bal i wojna, zabawa i sława, poezya, miłość, oswobodzenie Ojczyzny, a gdzieś daleko w najpiękniejszym końcowym obrazie śmierć jakaś bohaterska i wzniosła, ale nierychła, te sny zasłaniają przed nim przyszłość, która go czeka, rzeczywistość jego życia; ale choć się rwie do tego, co będzie, zaczyna już żałować tego, co było. W tem swobodnem, złotem, uniwersyteckiem życiu, to już nie to samo. Ten, z którym przez kilka lat było się razem po pięć godzin dziennie, zostanie medykiem albo teologiem; spotykać się będziemy czasem, przypadkiem, odstaniemy od siebie; potworzą się jakieś nowe związki, stosunki, przyjaźni; w miejscu wielkiego wspólnego interesu klasy, będzie jakiś interes nieznany, a kto wie, co tam i złego może nas czekać? Ukończony gimnazyalista, choć rad i dumny ze swojej dojrzałości, stoi niepewny, i jak Hamlet pyta, czy nie lepiej

bear those ills we have
Than fly to others that we know not of.

To, co wczoraj było nieznośnem, dziś, kiedy już stało się wspomnieniem, przybiera jakiś kolor smętny; z przyjemnością spotyka się profesora, kiedy niedawno widok *belfra* był niemiły, a o Janie i Bartłomieju myśli się z rozczuleniem, jak o starych przyjaciołach. Wszystko to przeszło. Może gdzieindziej rozwinie się człowiek na kwiat, może dojrzeje na owoc, ale pączkiem być przestał. Ten kwiat wyjęty z grządki, wsadzony osobno albo umiejętnie z innemi w bu-

kiet włożony, może będzie wyglądał świetniej, będzie osobnym indywidualnym kwiatem, którego kształt i kolor łatwiej przez to zwróci na siebie oczy: na grządce rosną wszystkie razem, żaden z osobna rozpoznać się nie daje, ale ta mięszanina różnych, a razem i równo rozwijających się na słońcu, ma swój wdzięk. Teraz wykopali człowieka z grządki, w którą wrósł; będzie musiał przyjąć się gdzieś na innym gruncie, rozrastać się i rozkwitać, albo czasem i uschnąć...«

W życiu Tarnowskiego, podobnie, jak i w życiu Szujskiego, te lata gimnazyalne, spędzone w Krakowie, pod żadnym względem stracone nie były; owszem, wyszły mu na dobre, bardzo go posunęły w rozwoju. Miał profesorów zdolnych, którzy wielce się przyczynili do jego wyrobienia umysłowego; u kolegów znalazł głowy otwarte, żywe, ciekawe, gotowe i pochopne do myślenia, łatwo przystępne wrażeniom, a nawet wyjątkowo uposażone od natury, prawie genialne, jak Szujski i Piliński. Wzajemne działanie jednych na drugich, o ile było silne, o tyle mogło wywierać tylko wpływ dodatni bardzo, zbawienny. A jeśli codzienne przestawanie z tak niepospolitemi indywidualnościami, jak Szujski i Piliński, musiało oddziaływać pobudzająco pod względem umysłowym i psychicznym, to i cała klasa, złożona z samych miłych, wesołych i dobrych chłopców, z pewnością i dla Tarnowskiego, jak dla Szujskiego, była promieniem słońca, prądem świeżego powietrza, a poniekąd i jedyną rozrywką, prawie jedynym pierwiastkiem wesołości. Tutaj zawiązał stosunki i przyjaźni, które w dalszem życiu znaczyły wiele, a wytrwały przez lata; i tutaj też po raz pierwszy na seryo zaczął sobie uświadamiać swoje powołanie literackie, powołanie publicysty i krytyka.

ROZDZIAŁ III.

LATA UNIWERSYTECKIE.

(1854—1860).

Na wydziale prawniczym. Ówczesny stan Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wybitniejsi profesorowie. Wykłady ks. Tomasza Bratranka. Życie koleżeńskie. »Coś z Klaczki«. Próby dramatyczne. Dalszy ciąg przyjaźni z Szujskim. Krytyka jego twórczości. Młody »recenzent«. Bywanie w świecie krakowskim. Ówczesne salony arystokratyczne i ich atmosfera. Rok w Wiedniu. Przyjaźń z Kasznicą. Teatry wiedeńskie. Stosunki towarzyskie. Śmierć Mickiewicza. Pokój paryski z r. 1856. *Staatsprüfung.* Powrót do Krakowa. Na wydziale filozoficznym. Wizyty w Zaczerniu. Księżna Marcellina Czartoryska. Podróż na Wschód i do Ziemi Świętej. Grono tyczyńskie. Jesień roku 1858. Księżna Marcellina Czartoryska w Krakowie. Jej wpływ. Wojna włoska. Nastrój po wojnie. Koniec studyów.

Zapisując fakt, że Szujski w letniem półroczu 1855 r. wstąpił na wydział prawniczy, przypomina Tarnowski, iż na postanowienie to wpłynęły »prawdopodobnie jakieś niby praktyczne uwagi i rady starszych, krewnych lub przyjaciół, że prawo otwiera drogę do wszelkich zawodów, przyda się nawet wiejskiemu gospodarzowi, który, jeżeli sam ma znajomość prawa, obejdzie się bez adwokata w razie procesu, i t. p.«. Te same względy praktycznej natury, te same »niby praktyczne uwagi i rady starszych«, a w pierwszym rzędzie zaufanych doradzców pani Gabryeli Tarnowskiej, skłoniły i przyszłego autora *Królowej Opinii*, że gdy w październiku 1854 r. zapisał się, razem z Józefem Szujskim i Tadeuszem Pilińskim, na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, zapisał się nie na wydział filozoficzny, który go bezwarunkowo nęcił najwięcej, ale na wydział prawniczy, który go nie nęcił wcale. Wprawdzie, jako student *Almae Matris*, miał nieograniczoną swobodę w zapisywaniu się na wykłady profesorów i z innych wydziałów, ale okoliczność ta w bardzo małym

stopniu zaradzała złemu, jeśli się zważy, że wogóle zdolnych profesorów, zarówno na prawniczym, jak i na filozoficznym wydziale, było nie wielu, a wszyscy — z paroma zaledwie wyjątkami — musieli wykładać po niemiecku.

Albowiem smutno przedstawiał się ówczesny stan wszechnicy krakowskiej. »Są to właśnie te lata najgorszego zaślepienia, namiętności zaciekłej a krótkowidzącej, która w policyjnych weksacyach widzi bezpieczeństwo państwa, w niemieckiej unifikacyi jego cel, a w prześladowaniu Polaków i polskości swoją przyjemność. Wielki liberał r. 1848, baron Bach, doszedłszy do władzy, okazał się drugą edycyą księcia Metternicha, bez zdolności tamtego, za to z pedantycznym uporem przy doktrynie, którą wbił sobie w głowę, z wielką i złośliwą namiętnością w małym zakresie ciasnego umysłu. Kraj polski, a w nim zwłaszcza Kraków, zaszczycał on szczególną swoją niełaską. Biedny uniwersytet, pozbawiony profesorów, tak zdolnych, a tak przytem r e w o l u c y j n i e usposobionych, jak Helcel i Małecki, pozbawiony prawa wyboru rektorów i dziekanów, poddany pod władzę mianowanego kuratora, nazywa to do dziś dnia swoim stanem oblężenia. Profesorowie polscy i tędzy, musieli naprzód wykładać po niemiecku, a potem strzedz się pilnie, bo byli wszyscy *poliseilich verdächtig*. Nadsyłani Niemcy byli wybiorkami z większych i łaskawiej traktowanych uniwersytetów. Bardzo zdolnym i cywilizowanym był młody Esmarch, ale ten nie został tu dłużej nad lat parę; zdolnym, rozumnym, wysoko wykształconym był Bratranek. Ale ten, choć miał rzetelny wstręt do takich sposobów rządzenia i postępowania, zaszczycony zaufaniem władz, uważany przez rząd, przez kolegów, przez uczniów i przez ogół, za posłuszne narzędzie germanizacyi, sądzony był gorzej, niż na to zasługiwał. Uczniowie, bardzo nieliczni — w roku 1855 było ich tylko 179 — czuli to upośledzenie uniwersytetu, a niechęć swoją do profesorów Niemców lubili okazywać tem, że bez obowiązku i konieczności zapisywali się na lekcye Polaków: naprzykład bez żadnego potrzebnego przygotowania, i nie we właściwym czasie, na Dunajewskiego lekcye *Ekonomii*, ale i ten niebawem stąd zabrany, przeniesiony był do Presburga. Na Rzesińskiego *Prawo polskie* uczęszczało się dlatego, że było polskie; ale zacząwszy od przedchrześcijańskich czasów, profesor w letniem półroczu doszedł ledwo do jakichś Dako-Getów, kiedy się rozchorował i umarł. Chodzili na *Antropologię* Majera, choć, jako nauka, wielu — Tarnowskiego naprzykład — nie obchodziła wcale; chodzili zrazu dlatego tylko, że profesor umiał ich zająć swojemi wykładami. Walewski odstręczał od lekcyi *Historyi powszechnej* tą monarchiczną i austryacką doktryną,

którą pod wszystkie fakta podsuwał i do niej fakta jak ich tłómaczenie naciągał. Bratranek był przyjemny do słuchania, zajmujący, i raczej lubiony, ale był sceptyczny, skwaszony, lekceważył nie naukę i swój przedmiot, ale swoje lekcye i naukę swoich uczniów. Względem *Literatury polskiej* — wykładanej przez Karola Mecherzyńskiego — mieliśmy pewne grzechy na sumieniu. Zdarzały się takie półrocza, że zapisywało się i chodziło na nią trzech, i to już z obowiązku, dla honoru uniwersytetu, żeby katedra nie była zupełnie opuszczoną, a w złym razie, broń Boże, zniesioną« [1]). Cóż, kiedy wykłady, choć o tak umiłowanym i zajmującym przedmiocie, były suche i nudne, co sprawiało, iż ci, co jak Tarnowski, jeszcze na nie uczęszczali pilniej od innych, czynili to z patryotyzmu jedynie, a godziny spędzane na lekcyach Mecherzyńskiego, trochę uważali za poświęcenie. Tarnowski miał wykładom tym — niezależnie od ich mało powabnej formy i treści nieinteresującej — jedno jeszcze do zarzucenia: że prawie wcale nie uwzględniały literatury politycznej. »Studentem jeszcze — czytamy w przedmowie do *Pisarzy politycznych* — zapytywałem siebie i drugich, dlaczego na lekcyach literatury polskiej nie mówią nam nic, prócz nazwisk, o tych autorach, w których pismach mieścić się musi pojęcie narodu o swojem w każdej epoce położeniu i stanie? Przecież z tych pism najlepiej zdaje się moglibyśmy poznać, cośmy w minionych wiekach o sobie myśleli, jakeśmy się sądzili: pomogło by to zapewne i do poznania, jacyśmy byli«.

---

[1]) *Szujskiego młodość.* Lata młodzieńcze, str. 101—103. O Walewskim, jako profesorze historyi powszechnej, tak pisze obszerniej Tarnowski w VI tomie swej *Historyi literatury polskiej:* »Walewski, za młodu emigrant i przyjaciel serdeczny Maurycego Mochnackiego, miał teoryę i tendencyę monarchiczną, legitymistyczną. Jakim procesem myśli przyjaciel Mochnackiego przeszedł na takie stanowisko, rzecz niewiadoma: sam tego nigdy nie wyjaśnił, a nie miał nigdy bliskich świadków swego życia i powierników swojej myśli, którzyby to wyjaśnienie dać mogli. Dość, iż kiedy przyszedł do Krakowa na profesora historyi powszechnej w uniwersytecie, wykłady jego były systematycznem dowodzeniem dwóch zasadniczych idei. Jedną był antagonizm wrodzony i prawdopodobnie nieskończony między Wschodem a Zachodem. Objawił się po raz pierwszy za Daryuszów i Xerxesów, Milciadesów i Leonidasów. Zwycięstwa Aleksandra Wielkiego położyły mu tamę na przeciąg wieków, a uniwersalne panowanie Rzymu nie dawało mu występować czynnie. Odnowił się w wiekach chrześcijańskich przez Islamizm, przez Maurów i Saracenów, przez Wojny Krzyżowe, przez Turków i Tatarów. Polska powołana była do tej roli, jaką w Świecie starożytnym odegrał Aleksander, ale spełnić jej nie mogła, bo nadała sobie formę rządu, która uniemożliwiała stałą konsekwentną politykę, paraliżowała działanie. Dziś siły i popędy Wschodu wcieliły się w Rosyę; dawna rola Macedonii jest przeznaczeniem i misyą Austryi. To jedna idea Walewskiego. Drugą jest monarchizm i legitymizm. Prawdopodobnie smutny koniec polskiego republikanizmu doprowadził go do przekonania, że

Jedyne wykłady, które na przyszłego autora książki *O dramatach Schillera* nie pozostały bez dodatniego wpływu, których słuchał z przyjemnością równą korzyści, które go istotnie kształciły i rozwijały w kierunku krytyki literackiej, to wykłady profesora literatury niemieckiej, X. Tomasza Bratranka. Wprawdzie młodzież nie ufała mu, jako człowiekowi, bo niepodobało się jej, i słusznie, iż w czasach, kiedy wprowadzono wykłady niemieckie, a oddalono znakomitych profesorów Polaków, ten nowy przybysz, Niemiec, nietylko niczem nie naraził się ówczesnemu rządowi, ale, co gorsza, cieszył się jego zaufaniem, był dobrze widzianym u władz, co upoważniało do podejrzenia, że był nieprzyjaźnie usposobiony i względem uniwersytetu, i względem kraju; lecz mimo to wszystko, jako profesor, jako uczony, dla uczniów był bardzo pożytecznym. »Ich uczuć narodowych — jak o nim świadczy Tarnowski — nie obrażał nigdy, ich językowi i literaturze okazywał szacunek, a lekcyami swojemi kształcił ich niezaprzeczenie, wyrabiał pojęcia i smak, budził ciekawość i zamiłowanie do książek, wprawiał do myślenia, sądzenia i czytania. Jako profesor był świetny. Umysł bardzo bystry i bardzo wykształcony, dowcip ostry i ironiczny, a jednak nie bez odcienia melancholicznego jakiegoś zadumania, miał i głęboką znajomość i wielką miłość swojej literatury, cześć i zapał dla Schillera i Goethego (zwłaszcza dla ostatniego, którego w dziecinnych swoich latach widywał, lubił wspominać, a z którego rodziną był w przyjaznych stosunkach, zwłaszcza z niepospolitą panią Otilią Goethe, wielką kapłanką pamięci teścia). Jego wykłady

---

władza dziedziczna, i władza monarchiczna (co nie znaczy absolutna) jest warunkiem trwałości i potęgi państwa. Jeżeli zaś przytem władza jest katolicką, czuje się pod prawem Bożem i w Kościele, to w takim razie może mieć i materyalną i duchową siłę do zapewnienia Zachodowi tryumfu nad Wschodem. Oba te warunki znajduje Walewski w Austryi (przedkonstytucyjnej ma się rozumieć, przed zniesieniem konkordatu). Naturalnie był Walewski okrzyczany za służalca i zdrajcę, którym nigdy nie był. Był doktrynerem, prawie dziwakiem, który sobie zbudował system filozofii historyi, i historyę do tego systemu naciągał: ale system swój wyznawał w dobrej wierze. Odstępstwa ani służalstwa nie było w nim wcale: ani pochlebstwa, ani ubiegania się o jakiekolwiek fawory i honory. Żył bardzo skromnie, prawie ascetycznie. Jedyną pasyą, oprócz historyi, było polowanie; a na strzelbę i na wyżywienie wyżła jego pensya wystarczała zupełnie... Walewski był bardzo rozumnym człowiekiem i bardzo poważnym historykiem. Znajomość dziejów była ogromna, a umiejętność i krytycyzm w badaniu, choć własnym przemysłem bez szkoły nabyte, były oczywiste, rzetelne, niezwykłe. Dar konstrukcyi był także duży: mniejszy talent pisarski: pisał ciężko i sucho«. Nie tak pobłażliwie o Walewskim piszą inni. Ciekawe rzeczy w tej materyi, na podstawie relacyi Małeckiego, podaje prof. Józef Kallenbach, w swej książce: *Czasy i ludzie.*

należały w owym czasie do najbardziej ponętnych i najbardziej nauczających. Urodził się i chował pod świeżem jeszcze działaniem i wielkiej poezyi niemieckiej i uczuciowego popędu wojen z Napoleonem; dojrzewał, kiedy to wszystko było już skończone, a Niemcy żyły innemi uczuciami i ideami. Stąd może coś nierównego, sprzecznego, jakiś brak harmonii i jedności w jego naturze. Czasem zdawał się należeć do pokolenia romantycznych marzycieli, *Schwärmerów*, czasem do tego, które we wszystko zwątpiło, wszystko lekceważyło, jak Heine. *Schöngeist* i sceptyk w skórze jednego człowieka razem zamknięci, nic dziwnego, że nie zawsze pogodzić się mogli, a kto wie, czy ta ich niezgoda była powodem, że ten człowiek niezwykłej zdolności i nauki nie miał więcej w pracy swojej i w życiu stałego przedmiotu, zakresu i ciągu, że nie więcej w swojem społeczeństwie i w jego literaturze był znany i znaczył« [1]).

Swoją drogą i Bratranek, i inni z pośród wykładających profesorów, czy to byli Polacy, jak Majer, czy Niemcy, jak Esmarch, ani w połowie nie oddziaływali tak ożywczo na 19-letniego Tarnowskiego, jak grono kolegów, z którymi teraz, jako student uniwersytetu, żył najbliżej. Grono to, nieliczne, ale bardzo wyborowe, tworzyło rodzaj zamkniętego kółka, mało udzielającego się innym kolegom — z czego mu nawet robiono zarzut — a składało się z samych młodzieńców zdolnych, którzy »i myśleć i czuć umieli, którzy w uniwersyteckiej

---

[1]) *Przegląd polski*, 1884, wrzesień. 677—9. *X. Tomasz Bratranek.* Wspomnienie pośmiertne przez St. Tarnowskiego. Powoli młodzież coraz bardziej przekonywała się do Bratranka. Okazało się, że nie był to germanizator, jak go o to posądzano z początku, ale tylko charakter dorywczy, sporadyczny, z usposobieniem nerwowem, które wyrabiało się i wzmagało pod wpływem różnych okoliczności życia. Dla polskiego społeczeństwa — jak się okazało niebawem — nietylko nie żywił cienia niechęci, ale przeciwnie, miał głęboką sympatyę i szacunek. »Na polskiej ziemi — powiada o nim Tarnowski — a na niemieckiej katedrze, pojmował się pięknie, i to oddawna, w złych jeszcze czasach, jako pokojowy łącznik, jako organ poznajomienia się między temi dwiema literaturami. Po polsku wykładać nie byłby potrafił, a mówić nawet nigdy dobrze nie umiał, ale języka nauczył się jednak tak gruntownie, iż po kilku latach pobytu już mógł rzeczy polskie na niemieckie tłómaczyć, a tłómaczył je bardzo pięknie, z wielkiem staraniem, iżby im ujmy nie zrobić, iżby się dobrze wydały«.

W Trzech pokoleniach w Krakowie (str. 105) Ludwik Dębicki tak pisze o prof. Bratranku: »Natomiast przybywają z Wiednia (na miejsce wydalonych profesorów Polaków) profesorowie Niemcy, z zaciętym germanizatorem, Wachholzem, na czele. Z tych przybyszów jeden tylko profesor literatury niemieckiej, komentator Goethego, Bratranek, wolny od niechęci do polskości, zajmuje się Mickiewiczem i stosunkiem polskich do niemieckich romantyków. Eks-zakonnik Augustyanin, o długich włosach i podwójnych okularach, Bratranek jest typem wprawdzie zagranicznym, ale który przypadł do ram krakowskich«.

wolności widzieli przedewszystkiem rozkoszną wolność myślenia i czytania, co zechcą, podług popędu, skłonności, ciekawości, i bez ładu zapewne, bez żadnego związku ze swoją nauką oficyalną, kształcili się naprawdę i mieli głowy otwarte dla nowych myśli i wiadomości, zwłaszcza serca otwarte na wrażenia i uczucia«. Takich wrażeń, takich tęskot za przeszłością, a marzeń o przyszłości, do których miejsce samo pobudza jak żadne, były niewyczerpane pokłady w tych młodych przyjaciołach Tarnowskiego: każda przechadzka, każda książka, każda rozmowa, pomnażały ten żelazny kapitał, który istotnie został i dochody przez całe życie przynosił... Na czele tego kółka, jako jego *spiritus movens*, stał Ludwik Wodzicki, świeżo przybyły z Paryża, gdzie blisko rok bawił na studyach, August Gorayski, Wodzickiego »wybrany i nad innych ukochany przyjaciel«, i Tadeusz Piliński: oto najbliżsi towarzysze Tarnowskiego, z którymi w tych czasach przestawał najwięcej, czy to kształcąc się wspólnie, czy to bawiąc się razem. Do kółka tego należał jeszcze: starszy brat Stanisława Tarnowskiego, Jan, który również wrócił dopiero co z Paryża, gdzie razem z Wodzickim cały rok 1854 dla uzupełnienia nauk spędził. Wodzicki z Gorayskim mieszkali wtedy przy ulicy Gołębiej: stąd ich mieszkanie nazywało się »gołębnikiem«, ci zaś, co byli rycerzami tego Okrągłego Stołu, którego Wodzicki był królem Arturem, zwali się »gołębiami«, a nawet nosili pierścionki z wyrytym na kamieniu gołębiem, z których to pierścionków niezmiernie byli dumni[1]). Wodzicki, który po swym pobycie w Paryżu, upojony i rozmarzony wszystkiem, co poznał i czego doznał, wrócił już ujęty bardzo silnie w karby swojej świadomości polskiej, świadomości obowiązku i celu swego życia, był przez całe kółko młodzieży z »gołębnika«, jakiemś zgodnem, nigdy niewypowiedzianem porozumieniem, uważany za jej moralnego przewodnika, a w nieskończonych rozmowach o wszystkiem, o literaturze jak i o polityce, na których spędzano wszystkie wolne chwile, bądź w »gołębniku«, bądź na wspólnych przechadzkach, wszyscy się oglądali na jego zdanie, szukając stwierdzenia lub objaśnienia swych poglądów. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że Wodzicki, cieszący się taką powagą w tem gronie, był wytrawniejszym od innych. Miało się raczej przeciwnie. Z usposobieniem, w znacznej części odziedziczonem po ojcu, żądnem wrażeń i przygód, pełen ja-

[1]) Opowiada St. Tarnowski, że wszyscy należący do »gołębnika«, tak sobie cenili te pierścionki, iż wszystkie odznaczenia, jakie którego mogły później spotkać w życiu, nie pochlebiały tak jego miłości własnej. Z czasem zdjęli je naturalnie; nie chcąc jednak, żeby się poniewierały, oddali wszystkie razem do kościoła na ofiarę.

kiegoś niepokoju wyobraźni, który go mógł zawikłać w jakie przykre zajścia — czego się lękali jego przyjaciele — popełniał cały szereg »głupstw młodości«, na których później sam najgorzej wychodził. Tak n. p. strzeliło mu raz do głowy, żeby z jednym z przyjaciół, uchodzącym za doskonałego fechmistrza, rąbać się na ostre pałasze, i to bez cienia urazy, owszem z najserdeczniejszej przyjaźni. I rąbali się, a Wodzicki tak był dobrze płatnięty po ręku, że mu szrama pozostała na zawsze. W oczach towarzyszów »z gołębnika« ten przyjacielski pojedynek Wodzickiego uchodził za bohaterstwo, o którem wyrażali się z zapałem, a gdy przyszło pielęgnować rannego, siadywać przy nim po nocach, luzowali się z niewypowiedzianą rozkoszą, z poświęceniem godnem lepszej sprawy. Bądź co bądź, dowodziło to przyjaźni, która płynąc ze szczerego serca, rzeczywiście opromieniała wzajemne stosunki młodych uczestników »gołębnika«. Jak wszystko jednak, tak i ta przyjaźń, miała i złe strony. »Oto — powiada Tarnowski — było nam tak dobrze między sobą w kilku, że nie staraliśmy się i nie umieli rozszerzać naszego kółka przyjaźni. Mieliśmy znajomych i kolegów, bardzo szczerze lubionych, nawet kochanych, ale zażyłość zupełną i najmilszą mieliśmy tylko między sobą. Stąd poszło, że nas o wyłączność oskarżano, o dumę niesłusznie posądzano« [1]).

Nie przypuszczano natomiast, że w tem gronie »ufryzowanych« młodzieńców, uprawiających fechtunek i inne sporty, kwitnęły bardzo poważne aspiracye literackie, ba, poetyckie; że ci, arystokratyczni panicze, choć w uniwersytecie byli zapisani na prawo, poza uniwersytetem marzyli o poezyi, pisali wiersze, układali dramaty i powieści, słowem, mieli się za poetów, a w każdym razie palili się do literatury, do zajęcia stanowiska w literaturze. Pod tym względem bodaj że ani jeden nie stanowił wyjątku: wszyscy mieli wrodzony pociąg do pióra, wszyscy odznaczali się talentem pisarskim, wszyscy doskonale pisali prozą, a wcale nienajgorzej władali wierszem. Jakoż na rozmowach o literaturze, o poezyi, o Szekspirze i Schillerze, upływały nieraz w »gołębniku« całe wieczory, o ile ich naturalnie nie spędzano na wizytach. Rozmowy to były miłe niezmiernie, a i pouczające dla swych uczestników. Mówiło się o nowych książkach, o nowych obrazach, a niemało i o Paryżu, o którym świeżo przybyli stamtąd Wodzicki i Jan Tarnowski z pewnością dużo mieli do opowiedzenia, o emigracyi, o Hotelu Lambert, o wytwornych zebraniach w domu księżnej Marcelliny Czartoryskiej, o Władysławie Zamoyskim,

[1]) *Przegląd polski*, 1894, listopad, *Ludwik Wodzicki*. Wspomnienie pośmiertne przez St. Tarnowskiego.

o Henryku Rodakowskim i Julianie Klaczce. Ten ostatni, już wtedy zajmujący wybitne stanowisko w emigracyi, jako pisarz niezwykłych zdolności, potrafił wzbudzić dla siebie entuzyastyczny zapał, zarówno w Ludwiku Wodzickim, jak i w Janie Tarnowskim, a dając im prywatne lekcye literatury polskiej, przyczem szczególniej objaśniał utwory Zygmunta Krasińskiego, tak silnie oddziałał na ich umysły, na ich zapatrywania i poglądy, na ich przekonania polityczne i literackie, że w Paryżu zarówno, jak i po powrocie do Krakowa, wciąż pozostawali jakby pod urokiem genialnej indywidualności Klaczki, tak, iż jak powiada Koźmian, »coś z Klaczki pozostało im na całe życie«. To »coś z Klaczki« nieznacznie oddziaływało i na młodzieńczy umysł Stanisława Tarnowskiego [1]). Jeszcze nie miał sposobności osobistego zetknięcia się z Klaczką, a już płomienny duch przyszłego autora *Wieczorów florenckich* rozpoczynał nad nim swe panowanie! Tymczasem, zarówno Tarnowski, jak i jego towarzysze z »gołębnika« byli opętani chętką poetycką, z którą w parze szła instynktowo odgadnięta niezdolność napisania czegoś niepospolitego w dziedzinie poezyi. Że z tej niezdolności zdawano sobie sprawę w »gołębniku«, można poznać z tego, że młodzi aspiranci do poezyi, a byli nimi i Tarnowski, i Piliński, i Wodzicki, postanowili któregoś dnia, w przystępie dobrego humoru, w dość oryginalny sposób dogodzić owej chętce poetyckiej, a zarazem uspokoić ów instynkt krytyczny. Oto urządzili konkurs pomiędzy sobą, rodzaj zakładu. »Każdy z trzech — opowiada Tarnowski — miał napisać dramat, dramat głupi, ale głupi w ten sposób, żeby się głupi ludzie nie poznali na jego głupstwie. Wodzicki nie wygrał konkursu [2]), ale naprawdę jemu należała się nagroda. Za przedmiot tragedyi wziął Filipa III, króla hiszpańskiego,

[1]) Oto, co o tym pobycie Lud. Wodzickiego i Jana Tarnowskiego w r. 1854 w Paryżu pisze St. Koźmian: »Ze Stawskim przybył tam Ludwik Wodzicki w towarzystwie Jana Tarnowskiego z Dzikowa. Dwóch przyszłych polskich marszałków szukało światła wsławionej od wieków z powabów Lutecyi. Znaleźli się w gronie polskiej młodzieży, wśród której Al. Fredro (syn) i Poniński budzili zazdrość, że się już bili na Węgrzech. Leon Kapliński, Henryk Rodakowski, Franciszek Mycielski, Bujno, Potworowski, Kastory i kilku innych, dopełniało to pełne przyszłości, a przejęte potrzebą działania, zdziałania i odznaczenia się grono. Był tam już znany i odznaczający się Julian Klaczko; świetność jego rozumu i wiedza, równe im szlachetność i wzniosłość uczuć, oddziaływały na ten zastęp młodzieży; ktokolwiek do niego się zbliżył, uległ wpływowi, urokowi jego umysłu i serca, i coś z Klaczki, czasem bardzo wiele, zostało mu się na całe życie. Tam się zaczęła piękna, czuła między Wodzickim a Klaczką przyjaźń, która przetrwała wszelkie publiczne i inne zawody lub powodzenia, i którą wzajemnie wspierali się w życiu«. Zob. Stanisław Koźmian, *Pisma polityczne*, str. 464—5.

[2]) O ile się domyślać wolno, wygrał go St. Tarnowski.

i wypędzenie Maurów; treść wyciągnął z jakiegoś francuskiego romansu pod tytułem: *Piquillo Alliaga*. Król dobry, niedołężny, zawojowany przez dworaków, bardzo zakochany w swojej żonie. Żona kochała się w młodym Maurze i starała się odwrócić wypędzenie Maurów. Inkwizycya uwięziła ojca i siostrę bohatera, ale przyrzekła darować im życie, jeżeli on zostanie katolikiem i księdzem. Został Dominikaninem. Nieprzyjaciele królowej zrobili go jej spowiednikiem; co za scena tragiczna, kiedy cnotliwa królowa musiała się spowiadać z miłości, choć nie grzesznej, do tego, który spowiedzi jej słuchał! Na końcu wszyscy umierali. Było to tak zręcznie napisane, że niejedna dyrekcya teatru zwiodłaby się i wystawiłaby z radością, jak w owym czasie dał się zwieść i Szujski, który tego *Filipa III* czytał« [1]). Wspominając »te piękne lata, kiedy człowiek zaczyna myśleć, kiedy czuje wyraźnie, jak z każdym dniem rozszerza mu się serce a w głowie rozjaśnia«, te lata, w których podówczas przyspieszony bieg wypadków — z powodu przygotowań i początków wojny krymskiej — otwierał nowe i nieskończone perspektywy marzeń i nadziei, opowiada Tarnowski, że pod tym wpływem rozwijały się umysły, uczucia nabierały mocy, a wyobraźnie pracowały bez ustanku tą pracą błahą i luźną, ale która ma jedną stronę rzeczywistą: rozkosz, którą daje człowiekowi w 18-tym roku życia, i zapas uczucia, który mu zostawia na dojrzalsze lata. »Kto sobie przypomina Pilińskiego w owych czasach, kto miał sposobność zbliżyć się do niego, ten pewnie nie zapomniał, jak przy nim i z jego pomocą rozjaśniało się w głowach, jak jego delikatne uczucie natury umiało odkryć i wytłómaczyć jej piękności takim, którzy sami byliby je później i trudniej zrozumieli, jak jego zmysł artystyczny umiał ocenić i przystępnemi uczynić wszystkie piękności sztuki we wszystkich jej rodzajach i odcieniach, jak jego ustne komentarze, wypowiadane gdzieś nad Wisłą przy zachodzie słońca lub przy jednej świecy studenckiego apartamentu, tym sposobem urywkowym, nerwowym, ale niezmiernie dosadnym i trafnym, jak one pomagały do rozumienia czy to wielkich poetów, czy jakiegoś wielkiego zwrotu w historyi, czy też tych czynników i powodów, których stan nasz dzisiejszy jest rezultatem. Była tam myśl niesłuchanie czynna, która nader rzadkim przykładem łączyła dwie własności, które się wykluczać zwykły: żywość i świetność, którąbyśmy prawie poetyczną nazwali, z ciągłem i usilnem dążeniem do jak największej ścisłości i gruntowności« [2]).

[1]) *Przegląd polski*, 1894, wrzesień, str. 655.

[2]) *Przegląd polski*, 1868, czerwiec, str. 427—428. Przedmowa do *Bezkrólewia po Zygmuncie Auguście i Elekcyi króla Henryka.*

Z Szujskim, pomimo niezmienionych wzajemnie uczuć, przestawał Tarnowski, w ciągu pierwszego roku studyów uniwersyteckich, nieco mniej, niż w gimnazyum. »Zajęcie myśli było inne, przyzwyczajenia życia były inne, stąd konieczne oddalenie, mimo pobytu na jednem miejscu«. Tarnowski rwał się i lgnął do towarzystwa i przyjaźni młodzieńców starszych od siebie, Szujski został w otoczeniu swoich książek i kolegów gimnazyalnych, najwięcej przestając z Tadeuszem Wojciechowskim. Nieco później zaprzyjaźnił się nadzwyczaj z Władysławem Tarnowskim, który już wtedy, jako student uniwersytetu, celował w pisaniu wierszy i dramatów à la Słowacki, a czarował swym muzycznym talentem. Stanisław Tarnowski, choć nie tak często, jak dawniej, jednak dość często widywał się z Szujskim, a wtedy, jak lat poprzednich, z zapałem prowadzili rozmowy o literaturze, o poezyi, w której Szujski całkowicie był pogrążony. Egzamin — opowiada o nim Tarnowski — zawód, praktyczne kwestye i cele przyszłe i obecne, obchodziły go mało; myślał o nich, jak się myśli o śmierci: wie się, że ona przyjdzie, ale widzi się ją gdzieś bardzo oddaloną i zamgloną. Za to chciał się uczyć jak najwięcej, jak najprędzej: nie tego, co wykładano na lekcyach, ale wszystkiego, co mogło kształcić, co mu mogło służyć w jego zawodzie poetycznym, co zwłaszcza mogło mu pomódz do poznania i zrozumienia Polski. Starzy pisarze, zwłaszcza starzy historycy polscy, mieli go oświecić, jak to naprawdę w Polsce było, odkryć mu tajemnicę każdej myśli, każdej duszy, każdego stosunku i wypadku; ojcowie Kościoła, czy niemieccy i francuzcy filozofowie, mieli go nauczyć rozumieć świat, a wielcy poeci, Eschyl i Szekspir, dostarczyć mu wzorów, jak się pisze tragedye a postaciom daje wielkie rozmiary i dusze. Języka greckiego nietylko nie zarzucił, jak zwykle robi wypuszczony z gimnazyum student, lecz teraz dopiero zaczął się łamać naprawdę z jego trudnościami, przekraczając zakres szkolnej nauki. Wziął się do Eschyla, rozmiłował się z zapałem w *Prometeuszu*, a tak się oswoił i spoufalił z trudnym autorem, że już w tych czasach rozmyślać zaczął o tłómaczeniu *Agamemnona*. Ponieważ Szekspira znał do tej pory z przekładów jedynie, co go korciło, a nawet upokarzało, więc sam, bez pomocy, zaczął się uczyć po angielsku. Niejaką pomocą w tem, ułatwieniem, był mu w tej nauce Tarnowski, który niejeden raz uciekał z nudnych dlań lekcyi *Prawa rzymskiego* lub innych, niemniej nudnych, zasiadał gdzie z Szujskim na ławeczce pod drzewami na Plantach i odbywał z nim te nadobowiązkowe dla siebie lekcye... Nie upłynęło kilka miesięcy, a Szujski już się brał do tłómaczenia Szekspira, palił się do przekładania *Snu nocy letniej* i *Kupca weneckiego*,

przyczem oczywiście najwięcej marzył o własnych dramatach. A że te marzenia stopniowo przyoblekał w konkretne kształty, dowodził fakt, że jesienią 1855 roku powierzył Tarnowskiemu dwa świeżo napisane utwory dramatyczne: pierwszy nosił tytuł *Rycerze ducha*, a był dramatem czy komedyą satyryczną, w której występowały różne opinie polityczne, różne typy usposobień moralnych; drugi zaś, zatytułowany *Ostatni Piastowie Mazowieccy*, a napisany wierszem kalderońskim nierymowanym, był dramatem historycznym. Oba te utwory, zdaniem Tarnowskiego, były bardzo słabe.

Zaprzyjaźniony w tych czasach najściślej z Tadeuszem Wojciechowskim, oraz z Władysławem Tarnowskim, do kółka młodzieży z »gołębnika« Wodzickiego pozostawał Szujski w stosunku koleżeńskim raczej, niż przyjacielskim: znał się z nimi, widywał się raz po raz, ale ostatecznie trzymał się trochę zdaleka od nich. Oto, jak ten stosunek określa Tarnowski, który był jakby łącznikiem między tem światowem gronem a Szujskim: »W większej, dość licznej grupie młodych ludzi, którzy mieli usposobienia i zdolności różne, ale uczucia i pragnienia zbliżone, stał Szujski połączony ścisłą przyjaźnią z dwoma lub trzema, ale z sercem otwartem dla wszystkich. Jedni pisali lub marzyli o pisaniu, inni malowali lub grali, jeszcze inni nie robili naprawdę nic (ci uważani za ludzi praktycznych przyszłości), ale pierwszych słuchali z nabożeństwem, sami gadali dużo, i bili się na rapiery, wszyscy pełni patryotycznych aspiracyi i nadziei, pewni, że prędzej czy później, ale za ich młodości jeszcze, przyjdzie na nich czas bohaterstwa, poświęcenia, może śmierci dla niektórych, ale zwycięstwa i chwały dla wszystkich [1]). Szujski ze swoimi bliższymi przyjaciółmi stanowił między nimi kółko osobne i ściśle zamknięte [2]). Wszystkich lubił, ze wszystkimi się wdawał, ze wszystkimi mówił o wspólnej przyszłości i o powołaniu każdego z osobna, ale co myślał w skrytości serca o sobie, o Polsce, o świecie, o Bogu, jakie dręczyły go smutki, albo unosiły zachwyty, z tem zwierzał się tylko dwóm ze swych przyjaciół: Tadeuszowi Wojciechowskiemu i Władysławowi Tarnowskiemu. Ze Stanisławem Tarnowskim najwięcej rozmawiał o literaturze, o poezyi, zwłaszcza o swojej.

---

[1]) Ma tu Tarnowski na myśli grono młodzieży, grupującej się koło Ludwika Wodzickiego, kółko z »gołębnika«.

[2]) Do kółka tego należał między innymi i Matejko. »Z cichym i marzącym Janem Matejką — pisze Ludwik Dębicki w *Trzech pokoleniach w Krakowie* — przepędzał Szujski długie godziny na Wawelu, gdzie snuły się przed wzrokiem duszy: Matejce wspaniałe postacie przeszłości, Szujskiemu dziejowej idei i przeznaczeń pasmo«. (str. 124).

Tarnowski bowiem, który również, jak Szujski, »marzył o pisaniu« i palił się do literatury, ujawniał szczególne zamiłowanie do krytyki literackiej, w której, jako obdarzony smakiem i poczuciem estetycznem, celował. Wszak już w gimnazyum uchodził w oczach kolegów za »krytyka«! Za takiego krytyka uchodził i teraz, a do sądu jego, jeżeli chodziło o utwór literacki, przywiązywał wagę nawet Szujski. Najlepszy dowód, że wszystko, co pisał, jemu dawał do oceny. Tarnowski czytał sumiennie, chwalił albo ganił, szczerze i bez ogródki wypowiadając swe zdanie, a przedewszystkiem wstrzymywał od drukowania tych rzeczy, albowiem uważał je za pierwociny. Gdy mu Szujski w r. 1856 »zaprezentował swoją tekę z dwóch lat«, w której znalazła się *Śmierć proroka* i *Król Michał*, przekład szekspirowskiego *Snu nocy letniej* i dramat o *Samuelu Zborowskim*, on pochwalił tylko tłómaczenie z Szekspira: *Król Michał* wcale mu się nie podobał, *Śmiercią proroka* również nie był zachwycony, i jeden tylko *Zborowski* kazał mu myśleć, że w Szujskim jest prawdziwy talent. Mimo to drukować nie radził, i to jeszcze parę lat. Im później, tem lepiej! Gdy w roku 1857 Szujski wydrukował w lwowskim *Dzienniku literackim* kilka swych młodocianych utworów, Tarnowski poczytał mu to za błąd nie do darowania. »Pamiętam — pisze w *Młodości Szujskiego* — i dbam o to, by nie zataić, że używałem całego wpływu, jaki mieć mogłem, by go od drukowania powstrzymać. Miałem, i mam zawsze, przekonanie, że ludzie młodzi spieszyć się z tem nie powinni, a poeci powinni wystąpić po raz pierwszy z czemś takiem, coby światem zatrzęsło, albo siedzieć cicho. Oprócz tego przekonania, dyktował mi owe uwagi wzgląd drugi. Słusznie czy nie, *Dziennik literacki* wydawał mi się typem, organem, kanałem literatury płytkiej i tuzinkowej, w sam raz dla sentymentalnych starych panien, lub młodych podlotków z małego miasteczka. Widok Szujskiego, przyjaciela, i człowieka, w którego poezyę nie bardzo, ale w zdolność i piękną przyszłość wierzyłem szczerze, figurującego w tem piśmie, był mi niezmiernie przykry«. Ale, jak w wielu innych, tak i w tym razie, uwagi choć słuszne, nie zdały się na nic i właściwy wszystkim młodym poetom *Druckfieber* opętał i Szujskiego. Tylko nad Tarnowskim nie miał żadnej mocy; ten bowiem, choć także pisał wiersze, jednocześnie umiał je sądzić krytycznie; to zaś, co pisał prozą, sądził równie surowo, jak swoje poezye. Choć marzył o pisaniu, a nawet, już w tych czasach, przemyśliwał o »objęciu steru jakiego dziennika literackiego«, i lubo — jak się o nim wyrażał Szujski — »na recen-

zenta aplikował« [1]), był zdania, na którem zresztą wyszedł najlepiej, że przedewszystkiem, chcąc pisać kiedyś, należy pracować nad sobą, dużo czytać znakomitych pisarzy, na nich się wzorować, słowem, uczyć się, gromadzić jak największy zasób wiedzy i wykształcenia. Podobne zapatrywanie, tak rzadkie w młodzieńcu, było tradycyą w rodzinie Tarnowskich, a Stanisław Tarnowski mógł je odziedziczyć po dziadku swoim, Janie Feliksie Tarnowskim, który napisawszy w młodym wieku poemat o Dzikowie, o jego historycznych pamiątkach, o swojem domowem szczęściu w tem nadobnem ustroniu, »przecież tego pierwszego doświadczenia rozwijającego się w sobie talentu nikomu prócz własnej rodziny i kilku zaufanych przyjaciół nie pokazał. Nie ufny w sobie — pisze o nim Kajetan Koźmian — bo wiele czytał, nie zarozumiały, owszem nieśmiały, bo już znał doskonałych mistrzów niezrównane wzory i porównywać umiał; trzymał ten płód młodzieńczego wieku w ukryciu, poprawiał, gładził, doskonalił...; bo nie było wtedy jeszcze w zwyczaju, im mniej przygotowane, tem skwapliwsze pióro puszczać na wiatr za lotem rozbujałej wyobraźni«. Tej samej metody, co i dziad jego, trzymał się teraz Tarnowski: pisał różne rzeczy, wierszem i prozą, ale nie drukował żadnej: na to był za bardzo »krytykiem« i »recenzentem« z usposobienia. Rozumiał, że na to, by drukować, trzeba pisać, jeżeli już nie tak, jak Siemieński lub Mann, albo jak Francuzi, Sainte-Beuve lub Alfred de Musset, pod którego urokiem zostawał, to przynajmniej tak, jak niektórzy z »Czasowników«, jak n. p. Szukiewicz lub Kłobukowski, z którymi widywał się raz po raz, a których artykuły w *Czasie* czytywał sumiennie. Bo ze szpalt *Czasu* wciąż czerpał swą mądrość polityczną i literacką: pierwszą z artykułów Manna, drugą z feljetonów Siemieńskiego [2]),

---

[1]) Oto n. p. co pisał Szujski do Tarnowskiego w czerwcu r. 1856: »Zabieram się do napisania ogromnego listu, aby cię indemnizować (widzisz, jak ten list Galicyą trąci) za moje długie milczenie; a to tembardziej, że mi zagroziłeś ostrem kontrabandowaniem na komorach literackich, kiedy ty obejmiesz ster jakiego dziennika literackiego, a ja przez rogatki wasze wjadę z mojemi jukami do starożytnego grodu naszej literatury. Chociaż albowiem dotąd nie próbowałem tego śliskiego gościńca, przez przeczucie samo mam cudowny respekt przed trzema potężnemi słowy: recenzent, cenzor i nakładca. Szczególniej przed pierwszym, a więc i przed tobą, który się na recenzenta aplikujesz, do czego, ile sobie życzę i ile mi się zdaje, nigdy nie przyjdzie«. *Szujskiego Mało dość*, str. 112.

[2]) W swoich melancholijnych *Wspomnieniach półwiekowego czytelnika Czasu* tak pisze St. Tarnowski, wspominając lata wojny Krymskiej i włoskiej (1854—1859): »Później kiedy już przyszedł czas czytania, a postępował czas myślenia, odbywał się lub poczynał się w głowie proces tworzenia wyobrażeń, rozwijania

Jak z jednym, tak z drugim, spotykał się Tarnowski, bywając w świecie, bardzo często; gdyż obaj oni, jako zaprzyjaźnieni z wieloma domami Krakowa, nietylko nie stronili od życia towarzyskiego, ale w niem, owszem, chętnie brali udział. To »bywanie w świecie« miało i w Tarnowskim, jak w jego przyjaciołach z »gołębnika« z Wodzickim na czele, ogromnego zwolennika, w owym czasie bowiem »może jeszcze powszechniejszym niż dziś obyczajem student zaczynał być światowym kawalerem«. Wyzwolony ze szkoły, imponując sam sobie frakiem, rękawiczkami, kartami wizytowemi, kawaler taki cieszył się i pysznił swojem bywaniem w świecie, co naturalnie równało się w nader wielu wypadkach »rozprózniaczeniu na krakowskim bruku, a zwłaszcza na krakowskich wieczorach«. Stary to i zły zwyczaj krakowski, skoro jeszcze pisarze XVI wieku narzekają na takie »uczenie się po krakowskim bruku«, zwyczaj, który podówczas, w latach między rokiem 1850 a 1860, bodaj że święcił swój zenit [1]). Ale bo też coprawda było i gdzie bywać i z kim rozmawiać!

Kraków w tych czasach — opowiada Ludwik Dębicki — tworzył jakby jedną patryarchalną rodzinę. »Że nie było tu waśni i sporów, że bardzo nieznaczne odcienie i koterye, więc mawiano, iż jest martwota. Zapewne wielkiego ruchu i silnych z dołu bijących prądów nie było czuć. Jak przewodnictwo, tak i inicyatywa szły raczej z góry. Było to małe jeszcze miasto, w którem gnieździł się wielki świat, z przyzwyczajeniami, wymaganiami, ze stopniem kultury wielkich stolic. Nieraz cudzoziemiec, który tu przybywał, wyrażał podziwienie, że na partykularzu o zewnętrznych znamionach trzeciorzędnego miasta poznawał społeczeństwo tak wykwintne i świetne. Ten wyższy nastrój towarzystwa krakowskiego, jego tradycye, zgodne z ramami

---

uczuć: a stary *Czas* przypomina ów proces tak żywo, jakżeby go chciał drugi raz w głowie człowieka powtórzyć. Ach! to ten artykuł Manna, który mię przed wielu laty tak przekonał albo oświecił, ten, który trafił do mego uczucia polskiego, i tak bez mojej wiedzy podówczas działał na uczucie obowiązku! To ten artykuł Siemieńskiego, który mię tak zachwycał, tak sformułował i skrystalizował własne niejasne instynkta, i nauczył a przynajmniej pomógł rozeznawać, co piękne, a co brzydkie, co dobre, szlachetne i rozumne naprawdę, a co tylko pozorem rozum i szlachetność udaje! Lata szły, zbliżała się wreszcie i przyszła młodość, a wypadały na nią zdarzenia takie, jak wojna krymska i włoska. O, jak wtedy pożądanym był *Czas!* jak się go chwytało drżącą ręką i z sercem bijącem, jak się w nim szukało wiadomości; a jaka była radość, jaka dla niego wdzięczność, kiedy rozumnem dowodzeniem, potwierdzał to, czego się w sercu nosiło nadzieję, że to nie błahe, nie marne, nie bezskuteczne sprawy i wyprawy!«. (str. 3—4).

[1]) *Szujskiego młodość*, str. 103.

starych murów historycznej przeszłości, stanowiły magnes pociągający dla rodzin zakordonowych. To też pozostawał Kraków w ciągłej styczności ze wszystkiemi dzielnicami Polski... Nie dymiły w koło Krakowa kominy fabryczne, natomiast był ruch umysłowy silny i wysoki. Fabrykacya książkowa nie zawsze daje miarę życia umysłowego i duchowego, owszem, jej obfitość bywa często wynikiem merkantylizmu księgarskiego, a jak we wszystkiem, tak i tu jakość z ilością nie chodzą w parze. Więcej zapewne drukowało się książek polskich w Warszawie, w Żytomierzu, w Wilnie i Petersburgu w owych czasach. Zasługa to wydawców ruchliwych i pewnego — jak mowił Siemieński — książkoróbstwa. Wincenty Pol zaś mawiał, że w Poznańskiem filozofują na miarę niemiecką, w Żytomierzu piszą na łokieć francuski, w Warszawie drukują jak w Lipsku, ale dopiero Kraków daje ostatecznie pieczęć rzeczy, które zostają w nauce czy literaturze. Inny zaś obserwator czynił uwagę, że ilekroć przybędzie do Krakowa, zawsze go tu zastanawia mnogość rzeczy pierwszorzędnych, które mijają bez szerszego rozgłosu. Opowiadania starych wojskowych z epopei napoleońskiej i naszych rycerskich rapsodów powstańczych, dyskusye filozoficzne i polityczne niezwykłego nastroju, na kazalnicy Antoniewicz, Golian lub Kajsiewicz, to znów prelekcye znakomitych profesorów, artykuł dziennnikarski Manna lub feljeton Siemieńskiego, to wszystko stanowiłoby w każdem innem mieście bogaty materyał, któryby silne i trwałe wywierał wrażenie. W Krakowie te rzeczy mijały bez echa. Jedną z przyczyn tego braku, był dziwny skład miasta, w którem wszyscy, jak ktoś zauważył, są na scenie, a niema widzów i publiczności. Każdy coś dorzucał i dawał od siebie, lecz mało było w tem udziału społeczeństwa; a uwagę tę zastosować można zarówno do tych, co mieli co dawać z kapitału umysłowego, jak do tych, co dawali z kieszeni na różne cele i dobroczynność publiczną« [1]). Bądź co bądź, atmosfera duchowa, którą w Krakowie w latach 1854—1860 oddychał Tarnowski, obracając się w tutejszym świecie, oddziaływała na niego, jak i na jego towarzyszy młodości, nadzwyczaj kształcąco pod każdym względem. Może nie wszyscy z niej korzystali w równym stopniu, on korzystał bardzo wiele. Na jego kulturę umysłową, na jego ogładę towarzyską, salonową, choć tę już z domu wynosił niepowszednią, był to wpływ nader dodatni. Poznawał życie i ludzi, poznawał sam kwiat społeczeństwa, jego przedstawicieli najdostojniejszych, najwykwintniejszych, najbardziej cywilizowanych i europejskich. Ówczesny świat krakowski, jak na to

[1]) *Trzy pokolenia w Krakowie*, str. 144—146.

słusznie zwraca uwagę Stan. Koźmian, był niepospolitem dopełnieniem wychowania pewnej części młodzieży: w salonach spotykała się z Adamem Potockim, z Leonem Rzewuskim, z Jerzym Lubomirskim, z Władysławem Sanguszką, z Henrykiem i Kazimierzem Wodzickimi, z Franciszkiem Wężykiem, z Piotrem Michałowskim, z Franciszkiem Paszkowskim, z Pawłem Popielem, z Romanem Załuskim, z Zygmuntem Helclem, z Leonem Chrzanowskim, z Wincentym Polem, z Maurycym Mannem, z Lucyanem Siemieńskim, z Badenim i Sobolewskim; a więc z ludźmi pierwszorzędnymi, znakomitymi w różnych zawodach i kierunkach. W niektórych salonach spotykało się jeszcze Chłopickiego, a nieco później Skrzyneckiego; widywało się biskupa Łętowskiego, równie światłego jak pełnego dziwactw; rozmawiało z rektorem Jakubowskim, lub z Waleryanem Wielogłowskim, który, »przez cały dzień siedząc w swojej księgarni, przemienił ją w salon, w *rendez-vous* inteligencyi, dawał przykład, że szlachta winna się zaprządz do wszelkiej godziwej pracy«. W salonach tych, oczywiście przystępnych tylko dla pewnej sfery, a właśnie dla tej, do której należał Tarnowski, spotykało się z wesołym dowcipem braci Skorupków, »Paryżan na bruku krakowskim«, podziwiało się wzór poświęceń i ofiarności patryotycznej w Piotrze Moszyńskim, a od czasu do czasu widywało się margrabiego Wielopolskiego, rzucającego »od niechcenia w kształt niezwykły ujęte myśli głębokie, które na zawsze pozostawały w pamięci« [1]). Wśród wielkoświatowych salonów dominował pałac Potockich *Pod Baranami*, gdzie królowała »wszelkiemi cnotami i przymiotami od dobroci do uprzejmości bogata« pani Arturowa Potocka. Równie świetnym był pełen polsko-francuskiej tradycyi dom księżnej Henrykowej Lubomirskiej, sędziwej matrony, która w sędziwości zachowała piękność rysów, niezwykle regularnych i szlachetnych, a której syn, Jerzy, tyle zasłużony dla nauki polskiej, polskością stroju, mowy i obyczaju, stanowił jakby kontrast z zagranicznem wychowaniem matki. W domu jej córki, księżnej Izabelli Sanguszkowej,

[1]) W swym szkicu o margrabi Wielopolskim, napisanym w formie sprawozdania z dzieła Henryka Lisickiego, St. Tarnowski zapisuje następujące wspomnienie osobiste: »Pojmujemy doskonale, że kto wiele margrabię znał, albo wiele dziełami jego się zajmował, ten mógł dojść nie już do podziwienia ale do gorącego przywiązania, do fanatyzmu dla jego osoby. Sami zaledwo mieliśmy kiedyś zaszczyt tej znajomości, jeżeli nawet znajomością nazwać można przypadkowe spotkania młodego studencika ze znakomitością, na którą patrzał ciekawie, a która na niego uwagi zwracać nie mogła, a przecież obojętnie, bez wzruszenia, nie możemy myśleć o potędze, o walkach, i o cierpieniach tego człowieka: jakże dopiero musi być tym, którzy go znali naprawdę?« *Przegląd polski*, 1879, listopad, str. 149.

której iście królewska postawa, szlachetność i dystynkcya, budziły podziw ogólny, również odbywały się bardzo świetne wieczory. Prawdziwem bóstwem, królującem na tych zebraniach, była czarująco piękna księżniczka Helena Sanguszkówna, w której po kolei kochali się wszyscy panicze z arystokracyi, Ludwik Wodzicki w ich liczbie. »To powszechne uwielbienie dla uroczej księżniczki, było czemś więcej, jak cnotą, miało siłę przekonania, czasem zagorzałości; tak dalece, że niektórzy upatrywali wdzięk nadzwyczajny... właśnie w beznadziei. Rozmarzenie było ogólne, przybierało rozmiary epidemii«. Cokolwiekbądź, księżniczka Helena zaznaczyła się, jako niedoścignięty ideał piękności i kobiecości w życiu, przeznaczeniu i wspomnieniach ówczesnej młodzieży [1]). Jej niewysłowiony wdzięk, jej wytworne wzięcie, jej niegłośny, lecz niemniej istotny i subtelny dowcip kobiecy, jej kobiecość, jej wreszcie powab fizyczny, zaliczający ją do najpiękniejszych kobiet swego czasu, wszystko to sprawiało, że wieczory u księstwa Sanguszków, nietylko odznaczały się prawdziwie »europejskim zakrojem«, ale rozpłomieniały serca wielu rówieśników Tarnowskiego. Inaczej bawiono się na Szlaku, w domu Leona Rzewuskiego, którego żona, hrabina Taida, wyjątkowo dowcipna, z dowcipem niewolnym od złośliwości, bardzo bywała niebezpieczną w szermierce salonowej, co również, obok europejskiej światowości, cechowało hrabinę Julię Rzewuską. Wyjątkowo świetne towarzystwo gromadziło się w salonie Piotrostwa Michałowskich, gdzie na wieczorach grywano tragedye Racine'a, a gdzie na ścianach wisiały mistrzowskie obrazy, pędzla pana domu. Obcowanie z Piotrem Michałowskim, który obok pierwszorzędnego talentu malarskiego odznaczał się całkiem wyjątkową inteligencyą, należało do prawdziwych rozkoszy duchowych. Gościnny dom Michałostwa Badenich, następnie zacnej wdowy i synów ożenionych, miał szczególną powagę i wziętość, miał swój odrębny regulamin, zgodny z tradycyami Krakowa, a pełen staropolskiego obyczaju. Bardzo liczne przyjęcia odbywały się w domu wojewodzianek Małachowskich, reprezentujących wielki świat z czasów Królestwa Kongresowego i księżnej Łowickiej. Dom ten, powiada Ludwik Dębicki, miał w sobie coś emigracyjnego; wojewodzianki bowiem, po powstaniu r. 1831, schroniły się tu z Warszawy, a świeżo po wojnie krymskiej powrócił z wychodźtwa brat ich, Stanisław Małachowski, krewny i serdeczny przyjaciel i powiernik Zygmunta Krasińskiego [2]). »Ulubione to było miejsce codziennych

[1]) St. Koźmian, *Pisma polityczne*, str. 470.

[2]) Tom IV *Listów Zygm. Krasińskiego* zawiera jego długoletnią korespondencyę ze Stan. Małachowskim.

wieczornych zebrań dla ludzi poważnych. Bywał tu niekiedy spokrewniony z Małachowskimi kanonik Scipio i biskup Łętowski, gromadzili się siostrzeńcy Tarnowscy, Małachowscy, Mycielscy, Platerowie. Znużony całodzienną pracą w redakcyi, przychodził na odpoczynek Maurycy Mann, a zawiązywała się żywa dyskusya o ostatnich telegramach, ważniejszym artykule, nowej książce lub obrazie Matejki, z Henrykiem Wodzickim i Franciszkiem Paszkowskim. Przychodził stary emigrant Kołosowski; X. Golian, choć stronił od świata, nie odmawiał zaproszeniom panien wojewodzianek. Zacne gospodynie, dwie siostry, zawsze zgodne w zdaniu i zgodne na to, aby każdą suskrybcyę w kronice *Czasu* rozpocząć od wspólnego datku, czy to na odnowienie kościoła, na jaki pomnik lub poparcie wydawnictwa, czy to na pogorzałe miasto, czy na cel dobroczynny. Uzupełniał to grono brat, pan Stanisław, który, jako typ emigracyjny, łączył gorący polski patryotyzm z miłością Francyi nie bez szowinizmu. Zbierały się i poważne damy, a niekiedy młode, piękne kuzynki. Tak tam było swojsko, ciepło i domasznie u tych zacnych pań« [1]). Równie przyjemnie spędzało się wieczory u jenerałowej Skrzyneckiej, której dom, przy placu Szczepańskim, był jednym z najbardziej uczęszczanych, najbardziej światowych z zakrojem zagranicznym, zachodnim, świeżo przesadzonym z Brukselli. Rezydował tu codziennie Lucyan Siemieński, często wspominając te młodzieńcze lata, kiedy to, jako redaktor *Pszonki* pisał uszczypliwe wiersze o pani Skrzyneckiej: »Nasza pani Janowa, to polska królowa!« Teraz, szczerze zaprzyjaźniony z wdową po jenerale, pełen najwyższego uznania dla jej serdeczności i prostoty, może nigdzie nie czuł się tak zadomowionym, jak u niej: był to jego dom wybrany i uprzywilejowany [2]). Dla Maurycego Manna był takim domem, gdzie najczęściej i najpoufalej spędzał wieczory, dom państwa Henryków Wodzickich, niemniej gościnny i światowy, jak inne arystokratyczne domy krakowskie [3]). W salonie Wodzickich, obok pani domu, dziwnie miłej i dobrej, królowały dwie wyjątkowo od natury uposażone damy, Eugenia Januszkiewiczowa i Anna Mycielska, roztaczające tyle inteligencyi, tyle żywego interesu dla wszystkich objawów umysłowych i kulturalnych epoki, że nawet ludzie tej miary, jak Mann i serdecznie z nim zaprzyjaźniony gospodarz domu, z rozkoszą przysłuchiwali się tym rozmowom... Z innych podobnych domów, których podwoje stały otworem dla młodzieży tej samej sfery, należy jeszcze wymienić dom księstwa

[1]) *Trzy pokolenia w Krakowie*, str. 117—118.
[2]) *O Czasie i jego redaktorach*, str. 50. *Trzy pokolenia w Krakowie*, str. 117.
[3]) Ludwik Dębicki, *Trzy pokolenia w Krakowie*, str. 118—119.

Jabłonowskich, od którego czasami odstraszała gwałtowność księcia, a do którego znów przyciągała uprzejmość księżnej; dom księstwa Augustów Sułkowskich, którzy zjeżdżali z Rydzyny, aby dać kilka pięknych balów; i wreszcie gościnny dom pani Gabryeli Tarnowskiej, którego okna wieczorami również często bywały oświetlone, co znaczyło, że w salonie są goście, a kto ma ochotę powiększyć ich grono, będzie mile powitanym przez dostojną panią domu. Albowiem »istniał wówczas zwyczaj w Krakowie, że zapraszano tylko na bale, obiady i wielkie uroczystości; na codzienne zebrania wystarczało zaświecić lampy. Gdy widać było z okien światło, schodzili się przyjaciele i zapełniał się salon. Więc wieczorem szło się na Rynek, a jeśli jeszcze przypadkiem zdarzyło się spotkać Edwarda Rembowskiego, natychmiast miało się pewne objaśnienie: dziś u wojewodzianek, jutro *Pod Baranami* lub u państwa Henryków, u jenerałowej lub na Odrobinie. Było w tym obyczaju coś poufnego, co zamieniało towarzystwo krakowskie w jedną rodzinę. Oficyalna inwitacya, frak i biały krawat, suknia z trenem i raut, to wszystko ma swoją racyę bytu, ale nie stworzy ciągłości stosunków, bo stawia granicę etykiety, a często wprowadza banalność«.

Na czele grona młodzieży, która, jako bywająca w świecie i do świata tego z urodzenia i stosunków należąca, bardzo często korzystała z gościnności tych wszystkich salonów, stał Ludwik Wodzicki, przez przyjaciół swych Lulem poufnie nazywany, a jako światowy kawaler, jak znakomity i bardzo wykształcony *causeur*, górujący nad swymi rówieśnikami [1]). On też był jakby mentorem Stan. Tarnowskiego, który, jako niezbyt śmiały z natury, najchętniej trzymał się razem z Wodzickim, z nim składał wizyty, z nim chodził na wieczory. Tam spotykał się z świetnem gronem młodzieży, która przecierała się w tych salonach, a do której, prócz jego starszego brata, Jana, a nieco później i młodszego, Juliusza, należeli młodzi Badeniowie z Branic, Gorayscy z Moderówki, Michałowscy z Krakowa i Witkowic, Popiele z Kurozwęk, Sanguszkowie z Gumnisk, Stanisław Koźmian z Dobrzechowa, Rodryg Potocki z Chrząstowa, Władysław Tarnowski z Hołobutowa, Włodzimierz Cielecki z Podola, Stanisław Tarnowski z Chorzelowa (zwany białym, dla odróżnienia od Stanisława Tarnowskiego z Dzikowa, zwanego czarnym), Stanisław Ostrowski, Alfred Miliewski, Jan Stadnicki, Suchodolski, Ka-

[1]) »Wodzicki, pisze o nim Tarnowski, jako światowy kawaler, był nad wiek i stanowisko usposobiony do tego przez rozumną i przyjemną rozmowę, żywość umysłu i wyobraźni, i niezwykłe wykształcenie. Dojrzałym oczywiście nie był, ale był tak rozwinięty, że robił wrażenie dorosłego«.

sznica, Piliński i jeszcze kilku innych [1]). Pomiędzy młodzieżą tą, obiecującą zdolnościami i inteligencyą, panowały bardzo serdeczne stosunki, które z czasem, pomimo częstych różnic w zapatrywaniach i poglądach, dla większości przemieniły się w stałe związki przyjaźni, nieraz dozgonnej. Przyszły autor *Doświadczeń i rozmyślań* bardzo wiele korzystał w tej szkole życia, nauka zaś, którą z niej czerpał, nie szła w las... Bo już wtedy, choć młody, z zapałem oddany życiu wielkoświatowemu, poważnie zapatrywał się na różne sprawy, a wrodzone mu »uczucie obowiązku« było tą busolą, która jego postępowaniu nadawała właściwy kierunek. Bawiło go i sprawiało mu przyjemność »bywanie w świecie«, ale jednocześnie uczył się pilnie i pracował nad sobą, nad swojem wykształceniem literackiem.

Po upływie roku, korzystając z okoliczności, że Wodzicki na ostatni rok uniwersytetu jechał do Wiednia, Tarnowski i Piliński wyprosili u swych matek, by im pozwoliły udać się na uniwersytet wiedeński. W Wiedniu i wykłady są lepsze, niż w Krakowie, i więcej wprawy w języku niemieckim, co się może przydać w dalszem życiu. Były to argumenty słabe, ale dość silne, by przekonać, kogo należało. Jakoż przekonały istotnie, skutkiem czego z nadejściem jesieni 1855 roku, znalazł się Tarnowski, wraz z bratem swym, Juliuszem [2]), tudzież z Wodzickim i Pilińskim, na wiedeńskim bruku. Zdążając tu, głównie cieszyli się na zupełną wolność, którą sobie obiecywali. Pod tym względem istotnie nie doznali rozczarowania. Zamieszkawszy razem, zapisali się na uniwersytet, na wykłady uczęszczali sumiennie, nie opuszczając żadnego, choć pierwszy był o ósmej rano, ale wielkiego pożytku nie odnosili z tej nauki, pomimo, iż dwaj z nich, mianowicie Tarnowski i Piliński, z biedą zdali nawet tak zwany *Staatsprüfung* z prawa. Dwie na to składały się przyczyny: pierwsza była ta, że wogóle do prawa nie mieli pociągu, a powtóre, że profesorowie, których wykładów słuchali, nie byli tacy, żeby módz wzbudzić zapał w słuchaczach. Jedyny wyjątek stanowiły wykłady Aschbacha, profesora historyi powszechnej, który potrafił wzbudzić większe zainteresowanie dla swego przedmiotu, zresztą zajmującego i bez tego [3]).

---

[1]) Stanisław Koźmian, *Pisma polityczne* (w życiorysie Ludwika Wodzickiego) str. 463—4, i Ludwik Dębicki. *Trzy pokolenia w Krakowie*, str. 124.

[2]) Siemieński w *Dwóch Juliuszach* tak pisze o Juliuszu Tarnowskim: »Po skończonem gimnazyum w Krakowie nie miał już przy sobie Mentora; był tylko starszy brat, z którym pojechał do Wiednia na studya uniwersyteckie, gdzie oprócz tego brał lekcye prywatne, a w chwilach wolnych od pracy oddawał się z zamiłowaniem muzyce. Głos miał śliczny«...

[3]) *Szujskiego młodość*, str. 149.

Znajomości i stosunków bardzo mało, prawie żadnych. Do najmilszych należał stosunek z Kasznicą, który również, po dwóch latach przebytych na uniwersytecie krakowskim, zdawszy pisemny egzamin rządowy, udał się w r. 1855 na kontynuacyę wydziału prawniczego do Wiednia. Jako kolega i przyjaciel Wodzickiego, Kasznica zbliżył się i do jego towarzyszy, i w ten sposób zawiązała się serdeczna przyjaźń pomiędzy nim a Tarnowskim, przyjaźń, która na tego ostatniego nie pozostała bez pewnego moralnego wpływu. Lubo znali się jeszcze z gimnazyum, to jednak dopiero teraz zbliżyli się do siebie, zaprzyjaźnili szczerze. Jak w szkole, tak i teraz był Kasznica, jak o nim mówili jego koledzy, »cały z jednej sztuki, czy z jednego odlewu«, już zrównoważony zupełnie, z doskonałą świadomością swoich przekonań i zasad, z charakterem wyrobionym, już skrystalizowanym całkowicie. W myśleniu trzeźwy, w słowach oszczędny i ścisły, w obyczajach surowy, w życiu prosty i karny, ale zwłaszcza sam siebie trzymający w wielkiej karności, robił wrażenie Rzymianina; ale jak miał więcej od swoich rówieników rzymskiego, tak miał też i więcej od nich wszystkich chrześciańskiego charakteru. Nie uczuć może, ale charakteru: katolikami z tradycyi i uczucia byli wszyscy, ale żaden nie rozumiał katolicyzmu tak gruntownie, jak Kasznica. A jak w rzeczach wiary i zbawienia, tak i w rzeczach świeckich, miał Kasznica systematyczną jedność i całość przekonań. Młody człowiek — powiada Tarnowski — dopieroż młody Polak, skłonny jest z win lub zbrodni rządów wyciągać wniosek, że rząd jest tylko koniecznem na świecie złem; Kasznica jeden między nami już wtedy rozumiał, że rząd i społeczeństwo są znowu tylko nierozdzielnemi częściami tego samego jestestwa, że nawet rząd zły jest jeszcze lepszy jak żaden, i że kto własnemu społeczeństwu i ojczyźnie dobrze życzy, ten może mieć nienawiść do rządu złego, ale do zasady władzy powinien być tak przywiązanym, jak do bytu samego, który bez niej nie jest możliwym. Ta systematyczność wszystkich pojęć, tak rzadka i dziwna w jego wieku, była zapewne wrodzonym poniekąd przymiotem jego umysłu, ale niewątpliwie także skutkiem jego woli i starania. On kiedy się uczył, a uczył się bardzo wiele, nie poprzestawał na samej dokładności i gruntowności, ale chciał, żeby każda nauka odkryła mu tajemnicę swojego stosunku do nauk innych i do zewnętrznego, praktycznego świata i życia. Uszykowanie, logiczny układ i związek tego, co jest na świecie i co sam wiedział, to był ten rdzeń, ta istota rzeczy, którą chciał uchwycić, posiąść, jasno w umyśle swoim ujrzeć. Tą dążnością, tem wrodzonem prawem jego umysłu, tłómaczy się jego pociąg do nauk prawnych,

które znowu na ten wrodzony kierunek umysłu musiały działać i rozwijać go. Ale się w swoich zawodowych naukach nie zamykał... To też z wielkiem uszanowaniem, i jak sam mówił, z wielką dla siebie korzyścią, uczył się filozofii, nie na to, żeby sobie przyswoić pewien system, ale żeby sobie przyswoić i wyrobić systematyczność i umiejętność systemizowania. Dla nas, jego rówieników i towarzyszy młodości, było wielkiem szczęściem, które może dziś dopiero należycie ocenić umiemy, mieć pośród siebie takiego, który bez wiedzy i zamiaru, tylko skutkiem swojej natury i wartości był nad nami takim, w najlepszem znaczeniu słowa, *censorem morum*, hamulcem i postrachem od złego. Zdawało nam się czasem, że swoją powagą cięży na naszej lekkości; ciężył on może, ale ten ciężar nie przygniatał do ziemi, tylko owszem wyżej podnosił, przypominał wyższe cele życia, dodawał do nich bodźca i skrzydeł« [1]).

Kasznica mieszkał w Wiedniu przez czas jakiś razem z Zygmuntem Sawczyńskim, który, jako suplent gimnazyalny, wraz z Franciszkiem Kluczyckim i Marcelim Studzińskim, przygotowywał się do egzaminu. Jeśli się zważy, jakim wielbicielem osoby i talentu Sawczyńskiego był Tarnowski, do którego znów Sawczyński miał szczególną sympatyę, z łatwością można sobie wyobrazić, jak miłe chwile przyszły autor *Nasszych dziejów* spędzał teraz na rozmowach ze swym dawnym nauczycielem gimnazyalnym, jak te rozmowy — głównie o literaturze i sztuce — kształciły go i podnosiły duchowo.

Niemało tematu do rozmów, a nieraz do żywych dyskusyi, dostarczały ówczesne teatry wiedeńskie, koncerta, świetna opera włoska podczas lata, muzea i galerye. W teatrze, a zwłaszcza w dworskim *Burgtheater* bywał Tarnowski, z Wodzickim i Pilińskim, nader częstym gościem, bodaj czy nie zawsze, ile razy grano — a grano doskonale — utwory Szekspira, Goethego, Schillera lub Lessinga. Że to bywanie w teatrze, podówczas bodaj czy nie najlepszym w Europie, bardzo silnie wpływało na literackie pojęcia Tarnowskiego i jego przyjaciół, to potwierdza St. Kożmian, który o tym wiedeńskim okresie życia Wodzickiego tak pisze: »Z zewnętrznych wrażeń największe wywołał dla nich teatr Burgu. Stał on wtedy u szczytu swej wartości i sławy. Pani Rettich, panowie Anschütz, Fichtner, Löwe, La Roche, panie Seebach, Neumann, i wielu innych, przedstawiali Schillera, Lessinga, Goethego, zwłaszcza Szekspira, z głębszą myślą, i głębsze

[1]) *Przegląd polski*, 1887, listopad, *Józef Kasznica*, Wspomnienie pośmiertne przez Fryd. Zolla i St. Tarnowskiego. We wspomnieniu tem pisze Fryd. Zoll: »W Wiedniu spotkał Kasznica kilku kolegów z Krakowa... zawiązał także bliższe stosunki przyjacielskie z Stanisławem Tarnowskim«... (str. 408).

STANISŁAW TARNOWSKI
w r. 1860 (w Wiedniu).

budząc myśli. Wszystkie rozmyślania i rozprawy pierwszej młodości stanęły żywo przed oczyma polskich paniczów. Te świetne przedstawienia wryły się w ich pamięć i one także wywarły wpływ na ich umysłowe usposobienie, na artystyczne upodobania, na rozwój ich rozumu, na ich w wielu przedmiotach zapatrywania. Zawsze można było ślady tego wpływu odnaleźć nawet w ich uprzedzeniach« [1]). Te upodobania i uprzedzenia już teraz manifestowały się przy lada okazyi, a zwłaszcza w chwilach, gdy młodzi nierozłączni przyjaciele dawali folgę swej żyłce literackiej, która ich nie opuściła i na wiedeńskim bruku. Do pisania — opowiada Tarnowski — mieli wszyscy pociąg, a na prozę patrząc z pogardą, jako na rzecz niższego rzędu, byliby chcieli pisać wiersze. Ale czuli instynktem, że ich na dobre nie stać, a mieli za wiele rozumu na to, żeby złe wziąć za dobre. Więc żeby i chęci dogodzić, i może nabrać wprawy, próbowali tłómaczyć: Wodzicki borykał się z *Królem Learem*, a Tarnowski zabierał się po kolei: to do tegoż *Króla Leara*, lub *Ryszarda III*, to do *Burzy* lub *Juliusza Cezara* [2]). Ale tłómaczenia zaraz uznane za smutne,

[1]) W pierwszym tomie swych wrażeń *Z Wakacyi* wraca St. Tarnowski myślą do jednego z tych przedstawień w wiedeńskim Burgu, tak o niem pisząc: »Mam ją (komedyę niby oryginalną Aleksandrowa, widzianą w Moskwie), znam, widziałem ją w Burgu i pamiętam doskonale, bo to pierwsza sztuka, jaką tam widziałem przed laty?... Nie chcę rachować lat, ale była to dla mnie prawdziwa rewelacya teatru, pierwsza dobrze grana sztuka, jaką w życiu widziałem. Nazywa się ona *Krisen*, a jest, jeżeli się nie mylę, Benedixa; grał ją Beckmann, Laroche, Fichtner, pani Haitzinger, a nadewszystko niezrównana, niezapomniana panna Neumann, która, niestety, wolała być księżną, niż jedną z najlepszych aktorek w Europie.

[2]) W swem studyum o *Szekspirze w Polsce* dzieli się St. Tarnowski z czytelnikami i następującem wspomnieniem: »Były to właśnie lata wielkiego u nas dla Szekspira zapału. Młody uczeń uniwersytetu, jeżeli miał przed innymi uchodzić za bodaj cokolwiek wykształconego, musiał koniecznie znać Szekspira całego i już conajmniej książkę Gervinusa o Szekspirze i musiał koniecznie o jednem i drugiem umieć rozprawiać. Jeżeli zaś miał naprawdę pociąg i zmysł do poezyi, (z pewnością ma tu St. Tarnowski siebie na myśli), to większą część wolnego czasu Szekspirowi poświęcał. A ten, co miał chętkę do pisania wierszy, na własną zaś rękę pisać ich nie śmiał, bo czuł, że nie umiał, folgował tej skłonności, próbując tłómaczyć tę lub ową sztukę Szekspira, łudząc się, że może stać go będzie przynajmniej na dobre tłómaczenie wielkiej poezyi. W naszych szkolnych wspomnieniach przesuwa się to jakaś gimnazyalna rozprawa o *Romeu i Julii* naprzykład, pisana z odwagą równą niewiadomości, pełna szumnych uniesień, szczęśliwie złożona mozajka ze zdań oklepanych lub kradzionych; to jaka noc (już za uniwersyteckich czasów) spędzona na zaciętej dyspucie o wyższości Julii nad Desdemoną i odwrotnie, o Ofelii lub Kordelii, i wreszcie pamięć niejednego popełnionego przekładu *Ryszarda* czy *Leara*, *Burzy* czy *Juliusza Cezara*, trzymanego w sekrecie, ostrożnie jak zbrodnia, ale głęboko, jak skarb«. Ob. *Rozprawy i sprawozdania*, tom IV, 150—151.

nie były doprowadzone do końca, lub jeżeli, to zaraz zniszczone. Dla oszukania zaś tego pisarskiego apetytu, pisali na żart wiersze, nowelle, nawet jedną długą powieść we trzech; gdzie jeden urwał, tam drugi pisał dalej. Wiersze — listy do przyjaciół — nie miały ani rymów, ani miary, powieści nie miały sensu, komedye — bo i te miały być — skończyły się na dobrze wymyślonych tytułach [1]).

Ale choć tym sposobem czas upływał nienajgorzej, to jednak, pomimo świetnych teatrów i wolności zupełnej, pozwalającej latać o własnych skrzydłach, i Tarnowski, i jego towarzysze, zaczęli rozczarowywać się Wiedniem, a nawet powoli dochodzili do wniosku, że czas, jaki tu spędzają, choć czytaniem i rozmową nawzajem rozwijali się i kształcili, należy uważać za stracony, za zmarnowany. Jednem słowem zaczynali mieć dosyć Wiednia.

Bardzo być może, iż główną przyczyną, dla której się zniechęcili do stolicy Habsburgów, był brak znajomości i stosunków w tutejszym świecie, na tle którego to braku tem silniej występowała tęsknota za podobnemi znajomościami i stosunkami w Krakowie. Wśród arystokratycznej kolonii polskiej, osiadłej w Wiedniu, prym trzymał dom księcia Konstantego Czartoryskiego, brata księcia Adama, a ojca Aleksandra, męża księżnej Marcelliny. W domu tym, na Wollzeile, bywał w swoim czasie Zygmunt Krasiński, nazywając go »pustym i smutnym«, a o jego dostojnym gospodarzu mówiąc, że »poważny jest, szlachetny, dobry, choć ospały nieco«. Zdaniem Tarnowskiego, który w czasie swego pobytu w Wiedniu, bywał — z Wodzickim — w domu Konstantego Czartoryskiego, miało się przeciwnie pod każdym względem, bo ani ten dom smutnym i pustym nie był, ani książę nie zasługiwał na miano ospałego. Owszem, nawet w ostatnich latach życia, kiedy go poznał Tarnowski, jeszcze imponował, jako postać niezwykła i zajmująca nadzwyczaj. Tyle tylko, że odkąd osiadł w Wiedniu, prowadził życie bezczynne. »Świetny niegdyś oficer napoleoński i wielki serc niewieścich zdobywca — powiada o nim Tarnowski — zachował w starości coś w układzie i rozmowie światowego i dworskiego, i nam wydał się, jak połączenie, w naszych czasach już niewidziane, grzeczności najwykwintniejszej z najdoskonalszą prostotą form i najzupełniejszą wrodzoną pewnością swojej godności i powagi. Myślało się, że sławny książę de Ligne, albo Talleyrand, mógł podobnie kłaniać się, witać, żegnać i rozmawiać. Czy lubił mówić i opowiadać? Nie znaliśmy go dość, by to wiedzieć.

---

[1]) *Przegląd polski*, 1894, wrzesień, str. 654—5. *Ludwik Wodzicki*, wspomnienie pośmiertne.

Ale przypominamy sobie wieczór jeden, cały długi wieczór, który ten starzec przepędził sam na sam z dwoma studentami [1]), prowadził z nimi rozmowę, jak z równymi sobie, opowiadał o dworze Katarzyny szczegóły bardzo ciekawe, i opowiadał z humorem, ze złośliwością, a z pamięcią tak żywą i wierną, jak żeby to działo się wczoraj«. A dom jego, choć niełatwo przystępny, należał do najbardziej uczęszczanych w wiedeńskim świecie. Jego wielką atrakcyą były sławne w swoim czasie teatralne przedstawienia amatorskie. Wszystkie dzieci księcia Konstantego miały niezwykłe artystyczne usposobienie i zdolności. W rzeczach malarstwa było to tylko teoretyczne zamiłowanie i znawstwo, ale w muzyce szedł w parze z umiejętnem wykształceniem i praktyczny talent wykonania; a nadewszystko wyróżniali się zadziwiającym talentem aktorskim. To też przedstawienia teatralne na Wollzeille należały do świetnych ozdób owczesnego wielkoświatowego życia w Wiedniu [2]). W r. 1855—1856 było już inaczej. Sam książę bardzo się posunął w latach, synowie się pożenili, córka wyszła za mąż, więc i skończyły się wspaniałe przyjęcia. Odczuwali to Tarnowski i Wodzicki, ile razy odwiedzali pałac na Wollzeile. O ileż lepiej czas im upływał na tle salonów krakowskich, wśród tamtejszego towarzystwa!...

Tymczasem w listopadzie r. 1855 przyszła wiadomość o śmierci Mickiewicza, wiadomość, która zelektryzowała całe młode pokolenie, do którego należał Tarnowski i jego przyjaciele. Jak Szujski, który pod wpływem tego zgonu wieszcza *Dziadów* napisał swego *Mojżesza*, tak i Tarnowski, który od dziecka należał do żarliwych czcicieli geniusza Mickiewicza, odczuł śmierć tę głęboko. I on bowiem, jak Szujski i inni, należał do generacyi, która się na Mickiewiczu i Krasińskim chowała i kształciła, która z ich myśli snuła dalszy swój wątek, odmienny trochę, lecz w gruncie rzeczy do tamtego bardzo podobny. Nie brakło w nim nawet lekkiej przymieszki messyanizmu. »Że całe oczekiwanie naszej epoki dla świata, i dla Polski, a dla świata przez Polskę, z Mickiewicza i Krasińskiego przechodziło do każdej wówczas młodej głowy, która nie była zupełnie pusta lub zakuta, to rzecz wiadoma. Była to — powiada Tarnowski — sama essencya, sam szpik tego umysłowego pokarmu, którym żyliśmy i wzrastali. Tylko sposób karmienia się był różny. Zwykle wszyscy przyjmowaliśmy ten pokarm *cum grano salis;* ziarnka soli dodawaliśmy sobie w różnych proporcyach, i różnie je z pokarmem mięszali« [3]). Jedni, jak Szujski,

[1]) St. Tarnowskim i Ludw. Wodzickim.

[2]) *Księżna Marcellina Czartoryska, Przegląd polski*, 1895, maj, str. 257—8.

[3]) *Szujskiego młodość*, str. 120. Jan Stadnicki, który również należał do

dodawali tej soli dużo do Krasińskiego; inni, jak Tarnowski i jego najbliżsi, prawie nic do Mickiewicza, którego *Kursy* były dla nich istnem objawieniem. Stąd cały szereg złudzeń i nadziei, stąd to oczekiwanie nowej i lepszej epoki w dziejach świata, epoki — jak mniemali — bliskiej, mającej przyjść przez naród polski, a zdanej niejako na odpowiedzialność pokolenia, do którego oni należeli. Wobec podobnych złudzeń, które im tak wiele dostarczały tematów do rozmów i dyskusyi politycznych, nie trudno sobie wyobrazić, jak wielkiem i bolesnem musiało być ich rozczarowanie, gdy w r. 1856, po tylu nadziejach, jakie obudziła wojna wschodnia, stanął pokój paryski, na którym Rosya nie chciała słyszeć o przyznaniu jakichkolwiek praw Polakom, a Francya przestała nalegać, poprzestając na ustnej obietnicy, iż Aleksander II pomyśli o losie Polski. »Dwadzieścia pięć lat emigracyjnych starań i zabiegów, żeby sprawę polską przyłączyć do wielkiej wojny z Rosyą i w ten sposób ją rozwiązać, skończyło się na niczem![1]) Nikt już dziś nie wie, prócz tych, co pamiętają, bo doznali, jakie wrażenie ówczesny pokój zrobił na umysły i na serca polskie... W nadzieję najbliższą, najpewniejszą, uderzył grom! Rosya zwyciężona, i zdawało się tak już bliska wymiaru boskiej i ludzkiej sprawiedliwości, wstawała znowu, obłudnie cicha, ale pewna siebie i urągająca, a Francya przed Polakami spuszczała oczy ze wstydu, ale do tamtych wyciągała rękę. A więc i to zawiodło! a więc nigdy nie będzie końca i nigdy zwycięstwa, które tym razem było tak bliskie!« [2]).

Po roku nauki w Wiedniu, gdy Wodzicki już swe studya uniwersyteckie uważał za skończone, a Tarnowski i Piliński zdali swój *Staats prüfung*, nastąpił powrót do kraju, do Krakowa. Po wakacyach, spędzonych, jak zwykle w Dzikowie, w październiku r. 1856 wypadło zdecydować się i na wybór uniwersytetu, i na wybór dalszych studyów. Tarnowski, niewątpliwie po uprzednich pertraktacyach z matką, zapisał się tym razem na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiel-

---

tego kółka, tak pisze w swem wspomnieniu o Janie Tarnowskim: »Tarnowski ś n i ł, jak całe pokolenie o Ojczyźnie, o Polsce, która według s n ó w ówczesnych powstać musiała wielka, niepodległa, z królem i wojskiem polskiem, dla której każdy był gotów oddać siebie i wszystko, co mu było drogiem, byle za nią walczyć i choćby ją zdaleka oglądać, jak ziemię obiecaną. Powstać ona musiała z martwych, wierzono w to, jak w artykuł wiary; jak? przez kogo? jakiemi środkami? na to w s n a c h polskich roiły się kombinacyje najróżnorodniejsze; każdy kombinował jak chciał i mógł, a kwestya wschodnia, wojna krymska, później wojna włoska, dostarczały materyału do tych kombinacyi«.

[1]) *Nasze dzieje*, str. 84.

[2]) *Ksiądz Walerya Kalinka*, str. 53.

lońskiego, co poniekąd rozstrzygało o jego przyszłości. Widocznie, że wrodzone upodobania i aspiracye literackie, rozbudzając się coraz bardziej, coraz mniej ponętnemi czyniły studya prawne, aż w końcu potrafiły przejednać wszelką opozycyę ze strony starszych... Że to przeniesienie się na wydział filozoficzny, na który w tym roku zapisał się także Szujski, musiało spotęgować zapał Tarnowskiego, z jakim się garnął do nauki, domyślać się łatwo. Pożegnawszy się — raz na zawsze — z pandektami i prawem rzymskiem, z ekonomią i statystyką, które go nudziły śmiertelnie, z tem większem zainteresowaniem słuchał wykładów, mających związek z historyą i literaturą, z filozofią i estetyką.

Znalazłszy się z powrotem na krakowskim bruku, Tarnowski, poza godzinami spędzanemi na wykładach w uniwersytecie, wrócił też i do dawnego trybu życia, które, jak w pierwszym roku, dzieliło się na koleżeńskie i światowe. Zszedłszy się ponownie z Szujskim, który już całkowicie miał głowę zaprzątniętą poezyą, niemało czasu spędzał z nim razem, na rozmowach o literaturze, o jego dramatach i poematach, o jego przekładach Szekspira. Wogóle przez to zimowe półrocze r. 1856 na 1857 bardzo wiele przebywali z sobą. Częste, bardzo przyjazne i poufne schadzki i rozmowy przerwała nagle śmierć pani Szujskiej. Było to w marcu 1857. Półrocze się kończyło, ale Szujski, straciwszy matkę, już nie czekał na koniec semestru: zaraz po pogrzebie wyjechał do stryja, do Zbyszyc, a na letnie półrocze nie zapisał się wcale. Tymczasem Tarnowski, który równie miłe chwile, jak z Szujskim, spędzał i w gronie innych swoich przyjaciół, a przedewszystkiem z Wodzickim i Pilińskim, znowu niemało oddawał się życiu towarzyskiemu i salonowemu, bywając w świecie, w czem ciągle znajdował niekłamaną przyjemność. Stąd i dość częste wyjazdy z Krakowa, n. p. z Wodzickim do Zaczernia, gdzie był dom Lula, zarządzany przez jego wuja, pana Jana Jędrzejowicza; bądź do innych, mniej lub więcej oddalonych rezydencyi wiejskich, nie mówiąc już o Dzikowie, dokąd jeździł na różne święta. Podczas jesieni r. 1856 otrzymał, wraz z Ludwikiem Wodzickim, zaproszenie do Podhajec, do Aleksandrostwa Czartoryskich. Wtedy to po raz pierwszy miał sposobność poznać księżnę Marcellinę Czartoryską, wtedy też pierwszy raz zetknął się z bawiącym w jej otoczeniu Horacym Delarochem, synem wielkiego malarza. Oto, jak w życiorysie księżnej Tarnowski opisuje tę swoją pierwszą wizytę w jej domu: »Syn księżnej miał już lat kilkanaście. Dręczyła ją myśl, że chowa się za granicą (w Paryżu), a ludzi i stosunków w kraju znać nie będzie. Pobyt w Austryi był wzbroniony; próbowała radzić na ten zakaz, ale uda-

wało się jej ledwo dostać pozwolenie na tymczasowy krótki przyjazd. Stąd w r. 1856 pobyt w Podhajcach. Księstwo mieszkali opodal od miasteczka, w małym dworku, a właściwie folwarcznym domu, na *Holendrach*. Wieczór zeszedł na muzyce, na której Tarnowski coprawda poznać się nie umiał — jak się sam do tego otwarcie przyznaje — może w części dlatego, że były to prawie same fugi Bacha, dla profana mniej przystępne. Następny ranek zeszedł na polowaniu z chartami, za któremi księżna tak jechała, że nadążyć jej było trudno. W latach podówczas blisko czterdziestu, nie była już młodą, a ładną zapewne nie była nigdy. Płeć miała szarą, figurę niezbyt dobrze utoczoną, oczy nie duże, inne rysy ani ładne ani brzydkie; a prócz tego ona, która we wszystkiem miała smak najdoskonalszy na świecie, ubierała się źle. W powierzchowności uroku nie było; znajdował się w wyrazie, kiedy się księżna ożywiła rozmową, kiedy jej siwe oczy uśmiechały się dowcipnie, albo roziskrzały zapałem, albo zachodziły łzami od współczucia. Kiedy grała, a grając, zapominała, że gra i że jej kto słucha, kiedy to, co grała, było zupełnie bliskiem jej uczucia, wtedy wyraz zmieniał się tak, że aż twarz od niego robiła się piękną [1]). Ponieważ księżna, jako najlepsza uczennica Chopina, była skończoną artystką-fortepianistką, więc oczywiście i teraz w Podhajcach bardzo wiele muzykowano i rozmawiano o muzyce. Gdy raz Wodzicki, który sam był nadzwyczaj muzykalnym, zapytał księżnę, co uważa za główny warunek pięknej gry, odpowiedziała po chwili namysłu: Inteligencyę. Oburzyliśmy się wszyscy, opowiada Tarnowski. Inteligencya? ta władza zimna, prozaiczna, niższa? A uczucie, natchnienie, poezya? Księżna z uśmiechem pobłażliwym, bez świętej ironii, uczyła młokosów, że inteligencya prawdziwa obejmuje uczucie, niekiedy i natchnienie, i jest w niem, jak ono w niej. A co do wykonania muzyki, to inteligencya dlatego w niej najpotrzebniejsza, że nie chodzi tu o to, żeby dobrze wydał się wykonawca ze swojem uczuciem czy natchnieniem, ale żeby dobrze wydał się kompozytor, a jego utwór żeby odegrany był tak, jak on chciał, jak go pomyślał i rozumiał. Wykonawca obowiązany jest grać wiernie; na to musi przeniknąć myśl, zamiar, uczucie kompozytora, przejąć się niem, wniknąć w nie, a na to potrzebną mu jest inteligencya. Powinien o sobie nie myśleć wcale, nie wiedzieć, zapomnieć, a swoją grę do myśli, uczucia i stylu kompozytora stosując, wygrać i dać uczuć każdy odcień myśli, fantazyi, uczucia, tego Haydna czy Mozarta, którego właśnie gra« [2]).

[1]) *Księżna Marcellina Czartoryska, Przegląd polski*, 1895, czerw., str. 272—3.
[2]) *Księżna Marcellina Czartoryska*, str. 291.

W parę miesięcy po tej wizycie w Podhajcach, z wiosną r. 1857 dwaj przyjaciele rozstali się na czas dłuższy: Wodzicki, po ukończeniu swych *Lehrjahre*, a żądny rozpoczęcia swych *Wanderjahre*, udał się w towarzystwie Jana Tarnowskiego w podróż do Włoch, o której marzył oddawna, a Stanisław Tarnowski, wraz ze swym młodszym bratem Juliuszem, który już także chodził na uniwersytet, został w Krakowie. W lecie 1857 r. Wodzicki był już z powrotem w domu, w Zaczerniu. Tarnowski odwiedzał go tam, wraz z innymi przyjaciółmi, dość często, najczęściej w niedzielę. »Pojechać do Zaczernia — opowiada Tarnowski — to była jedna z wielkich radości naszych lat młodych, i tam ciągnęliśmy teraz — latem 1857 roku — jeden za drugim, ażeby się przypatrzeć wracającemu z dalekiej podróży Lulowi i z nim się nagadać«. Na tematach nie zbywało, zwłaszcza, że Wodzicki tak zasmakował w wojażowaniu, że zwiedziwszy Włochy, które go wprawiły w zachwyt, nabrał ochoty do zwiedzenia Hiszpanii i Wschodu. Wuj Jędrzejowicz, który go chciał już osadzić na gospodarstwie w Tyczynie, niekoniecznie był za natychmiastowem urzeczywistnieniem tych romantycznych projektów, ale młody siostrzeniec tak się zapalił do tej nowej podróży, że w końcu wyprosił się jeszcze na rok. Tarnowski, który mu już zazdrościł jego wędrówki po Włoszech, kiedy się dowiedział, iż Lulo już na jesień wybiera się w kilkumiesięczną pielgrzymkę à la Childe Harold, tak tę rzecz potrafił wytłómaczyć matce, że mu pozwoliła wybrać się razem z Wodzickim, pod warunkiem jednak, że po powrocie będzie się uczył dalej. Nazywało się niby, że należy korzystać z okazyi, bo nim się taka druga sposobność nadarzy, mogą lata upłynąć; ale w gruncie rzeczy, nie dało się zaprzeczyć, że podróże, nie wyłączając podróży do Ziemi Świętej, były tradycyą w rodzinie Tarnowskich, o czem pani Tarnowska wiedziała z pewnością [1]). Dlatego przychyliła się do prośby

[1]) Że podróż wywiera wpływ kształcący, że rozszerza widnokręgi myśli, że kto chce służyć ojczyźnie, winien znać i obce kraje, o tem wiedział już stary hetman Tarnowski, o którym jego biograf, Stanisław Orzechowski, tak pisze: »Homerus, poeta, wychwalając mądrego Ulissesa, chwałę jemu tę daje, że on rozliczne miasta i obyczaje ludzkie widział, jakoby chciał rzec: chceszli ty Ulises dzielny być, po morzu pływaj, po ziemi pielgrzymuj, abyś doma u swych dzielnym człowiekiem a prawie Ulisem drugim był. Jan tedy Tarnowski, widząc wielkie przykłady domowe, a chcąc nietylko równym przodkom swym być, ale chcąc też przodki swoje celować, szukał pomocy ku tak wielkiemu celowi. Przeto... chrześciańskie i pogańskie kraje przechodził, przez bystre dunaje i burzliwe morza pływał, w morzu i w ziemi szukając godności wielkiemu człowiekowi przyzwoitej, i jeżdżąc, chodząc, pływając, nie oparł się, aż na Synaj górze, w Jerozolimie, oblanej Krwią Pańską, Aleksandryę, Altanty i wszystek Egipt, miej-

swego najstarszego syna, gdy szło o podróż do Włoch, dlatego nie sprzeciwiła się Stanisławowi, by zwiedził Hiszpanię i Wschód, zwłaszcza, że, wyprawiając go z Wodzickim, była pewną młodego Mentora, a więc nie potrzebowała lękać się o powierzonego mu Telemaka.

Drogę wybrano na Paryż, którego Tarnowski z pewnością był ciekawy niezmiernie, a który Wodzickiemu już był znany doskonale. W Paryżu zatrzymano się czas jakiś, co Tarnowskiemu dało możność pozawierania znajomości w tamtejszym świecie emigracyjnym, zwłaszcza w kole ludzi, grupujących się koło Hotelu Lambert, a o których już w swoim czasie, zarówno od Wodzickiego i swego starszego brata, jak i od Leona Kaplińskiego, słyszał bardzo wiele. Jeśli się zważy, że był to koniec roku 1857, kiedy w Paryżu już od roku blisko wychodziły redagowane przez Kalinkę i Klaczkę *Wiadomości polskie*, że już były się ukazały słynne artykuły Klaczki o *Krewnych* Korzeniowskiego i o *Sztuce polskiej*, nie mówiąc o drobniejszych, że Kalinka już był ogłosił w tem piśmie swe *Listy o Królestwie*, że w salonie księżnej Marcelliny Czartoryskiej, która po krótkim pobycie zeszłorocznym w Podhajcach, znów rezydowała na Sekwaną, gromadziła się cała redakcya *Wiadomości polskich* obok najznakomitszych artystów i literatów francuskich, zważywszy to wszystko, nie wyda się dziwnem, że Tarnowski, choć tym razem tylko w przelocie bawił w Paryżu, musiał być zachwycony wszystkiem: i miastem, które tak wiele posiada rzeczy ciekawych, i ludźmi, których tu poznać miał sposobność.

Z Paryża udano się wprost do Hiszpanii, w której pobyt przeciągnął się aż do trzech miesięcy. Że Tarnowskiemu podobała się Hiszpania, że tu sumiennie zwiedził wszystko, co jest godnego widzenia, tego pozwalają się domyślać choćby jego szkice *Z Wakacyi*, gdzie nie brak interesujących wzmianek i o katedrze w Sewilli, i o maurytańskiej architekturze Alhambry w Grenadzie [1]). Z Hiszpanii, przez Gibraltar, dwaj młodzi wędrowcy puścili się morzem do Aleksandryi. Tu wylądowawszy, udali się do Kairu, który zwiedzili dokładnie, wraz z jego bliższą okolicą aż do Fayum. Tarnowskiego zajęła szcze-

sca pamiątkami staroświeckiemi nadobne przechodził; Ateny uczone widział, w Rzymie apostolskiej się stolicy ukłonił, a stamtąd do Hiszpanii a potem do Portugalii jechał... przez francuską ziemię, a potem przez niemiecką i przez angielską do polskiej się był wrócił«... Inni Tarnowscy również odbywali dalekie podróże. Tak n. p. już w XVI w. Stanisław Tarnowski, dziedzic Dzikowa, przyjaciel kanclerza Zamoyskiego, zaszczycony osobistą przyjaźnią Stefana Batorego, »z młodych zaraz lat Niemce, Włochy, Hiszpanię, Francyę i Węgry zwiedził«. Dziad St. Tarnowskiego, Jan Feliks, także podróżował niemało...

[1]) *Z Wakacyi*, t. I, str. 48 i 403. (Wyd. drugie, Kraków 1894).

gólnie architektura maurytańskich meczetów w Kairze [1]), nie mówiąc oczywiście o piramidach. Wogóle jednak, choć im się Egipt niezmiernie podobał, bawili tu krótko: zaczynała się wiosna, Nil opadał, pod wodę już jechać było trudno. Z Egiptu przez pustynię podążyli w stronę Jaffy, ażeby stąd puścić się do Jerozolimy, gdzie sobie obiecywali spędzić święta wielkanocne. Wyjeżdżając z Jaffy, ledwo się znaleźli za miastem, Wodzicki wystąpił z propozycyą, bardzo znamienną dla niego: oto zwrócił uwagę, iż jechać do Jerozolimy to jakoś nie całkiem dobrze: właściwie należy iść piechotą, jak robią ubodzy pielgrzymi, jak u nas chłopi chodzą na odpusty. Ponieważ Tarnowski w zupełności podzielał to zapatrywanie swego towarzysza, a nawet był zachwycony tym delikatnym rysem pobożności — o co go prawie nie posądzał — więc poszli piechotą. I tak, »jak ubodzy pielgrzymi«, doszli do Jerozolimy, gdzie też, stosownie do powziętego planu, spędzili Wielkanoc. Zarówno Jerozolimę, jak wogóle całą Ziemię Świętą, zwiedzili nadzwyczaj dokładnie, objechawszy wszystkie święte miejsca aż do Morza Martwego [2]). Po drodze zawarli sporo zajmujących znajomości, z których zwłaszcza jedna, z księdzem Alfonsem Ratisbonne, bardzo łaskawym dla młodych podróżnych, szczególniej mile zapisała się im w pamięci. Z Jerozolimy, konno, przez Nazaret i Tyberyadę, powędrowali do Damaszku, stamtąd zaś, przez Baalbek, do Bayrutu, którego »pomarańczowe ogrody między morzem a Libanem« szczególniej zachwyciły Tarnowskiego [3]). Z Bayrutu pojechano do Konstantynopola, gdzie oczywiście ze szczególnem zajęciem zwiedzono meczet Świętej Zofii, którego wnętrze, jak i bizantyńskie kopuły, wiele nastręczały uwag o stylu i kaprysach sztuki [4]). Ze Stambułu puszczono się w podróż do Tryestu, skąd już koleją, przez Wiedeń, szczęśliwie zajechano do Krakowa. W Wiedniu, gdzie zatrzymano się bardzo krótko, Tarnowski odwiedził Szujskiego, który tu przyjechał na drugi semestr 1858 roku [5]). Ale wi-

---

[1]) *Z Wakacyj*, I, 27.

[2]) W tomie I *Z Wakacyj* przy opisie ławry kijowskiej notuje St. Tarnowski następujący szczegół: »Gdzieniegdzie pokazują małe otwory z żelaznemi drzwiczkami, a za temi wyryte w ziemi jamy, w których niektórzy pustelnicy zamykali się na całe życie: przez ten otwór podawano im jeść. I to być może. Sam widziałem na własne oczy w Ziemi Świętej u św. Saby takiego zamurowanego, któremu przez takie okienko wstawiano pokarm«.

[3]) *Z Wakacyi*, II, 32.

[4]) *Z Wakacyi*, I, 60.

[5]) O tym pobycie przyjaciela swego w Wiedniu tak pisze Tarnowski w *Szujskiego młodości:* »Było mu tam bardzo nieprzyjemnie. Miasto antypatyczne,

dzieli się z sobą »ledwo przez parę godzin«, bo komu w drogę, temu czas, a Tarnowskiemu było pilno do domu, do matki. Nie widzieli się od jesieni roku zeszłego, a był już maj, czyli szereg miesięcy rozłąki z najbliższymi, najbardziej kochanymi!

Wracali z tej podróży, zarówno Tarnowski, jak i Wodzicki, nad wyraz zadowoleni, szczęśliwi, że ją odbyli. Że z niej odnieśli niemałą korzyść, nie ulega wątpliwości. Zaprzyjaźniony z nimi Stan. Koźmian, któremu po powrocie nie omieszkali zwierzać się z doznanych wrażeń, tak pisze o tej ich romantycznej podróży: »Odrysowały się podczas podróży od Alhambry i Piramid do Bosforu różnice usposobień, skłonności, powołań, upodobań. Tarnowski jeszcze się uczył, Wodzicki już żyć rozpoczynał: w jednym tkwił myśliciel, pisarz, erudyt, prezes Akademii; w drugim człowiek czynu, polityk, marszałek Sejmu. Obaj skorzystali znacznie, rozwinęli w sobie zdolności myślenia, sądu, porównywania, a Wodzicki zwłaszcza zadość uczynił w pełnej mierze wrodzonej i rosnącej skłonności do życia światowego, towarzyskiego« [1]).

Wróciwszy z podróży, należało dotrzymać, co się przyrzekło matce: uczyć się dalej. To też, gdy minęło lato, a zaczęła się jesień, Tarnowski w dalszym ciągu zapisał się na uniwersytet w Krakowie, znowu na wydział filozoficzny. Miał to być jego ostatni rok studyów uniwersyteckich.

Tymczasem Wodzicki zamieszkał w Tyczynie, w świeżo wznie-

---

koledzy Polacy (z małemi wyjątkami) tylko przyszłą karyerą zajęci, z Niemcami stosunków żadnych. Wykłady, z wyjątkiem Aschbacha (historyi powszechnej) obojętne. Nawet okolice, choć ładne, budzą tylko tęsknotę za sandeckiemi i krakowskiemi, które o wiele, wiele piękniejsze. Dość, że jeden tylko teatr w Burgu i włoska opera znajdują łaskę w jego oczach«. Ta samotność jednak miała tę dobrą stronę, że Szujski daleko więcej uczył się i pracował, niż w Krakowie. Pisał względnie mało: skończywszy słaby dramat o *Dzierżanowskim*, pracował nad *Radziejowskim*, obmyślał *Jana III*, a nosił się z zamiarem napisania po niemiecku dramatu o Neronie.

Na tym pobycie w Wiedniu zakończyły się właściwe studya uniwersyteckie Szujskiego. Wróciwszy w lecie 1858 r. do kraju, na zimowe półrocze z r. 1858 na 1859 nie zapisał się wcale, a zapisawszy się na letnie, wpadając tylko raz po raz do Krakowa, na wykłady wcale nie chodził. Mieszkał na wsi, w Buchcicach (jako nauczyciel domowy młodego Dębickiego), a gdy wpadał do Krakowa, z Tarnowskim widywał się nie zawsze. Wogóle w tych czasach mało komunikowali się ze sobą...

Drugi przyjaciel Tarnowskiego, Tadeusz Piliński, bawił od jesieni r. 1857 na studyach w Niemczech, w Bonn, na wydziale historyczno-filozoficznym. Doktoryzował się w Heidelbergu, poczem na dalsze studya udał się do Gettyngi.

[1]) O tej podróży w r. 1857—1858 Tarnowskiego i Wodzickiego zob. St. Koźmian, *Pisma polityczne*, str. 466 (w życiorysie L. Wodzickiego) i St. Tarnowskiego wspomnienie pośmiertne o L. Wodzickim, *Przegląd polski*, 1894, wrzesień, str. 657.

sionym, niewielkim drewnianym dworku, którego ozdobą był wielki ganek. Nie brakło i biblioteki z mnóstwem książek w różnych językach, z dziedziny literatury, sztuki, poezyi, historyi i t. d. W tym to tyczyńskim dworku zaczęły się odbywać teraz, jak dawniej w Zaczerniu, częste i dość liczne zebrania przyjaciół gospodarza, zebrania, o których wyraża się jeden z ich uczestników, St. Koźmian, że prowadzone na nich rozmowy »niezawodnie nie zbliżały się do rozmów w willi Careggi, miały przecież, z uwzględnieniem stosunków, czasów, miejsca i ludzi, pewne dążenie i zakrój odrodzenia«. W tych renesansowych sjestach na ganku tyczyńskim, najczęściej odbywających się wieczorem, po dniu spędzonym na polowaniu, konnej jeździe i fechtunku, uczestniczyli prawie wszyscy dawni koledzy uniwersyteccy Lula z »gołębnika«, a więc i Stanisław Tarnowski w ich liczbie, oraz kilku innych młodzieńców, pełnych nadziei, mianowicie, Stanisław Koźmian, świeżo po skończonych naukach osiadły w Dobrzechowie, Władysław Jabłonowski, najmilszy towarzysz i przyjaciel gorący, a inteligencya i uczucie wyjątkowe, Ireneusz Załuski, bardzo dzielny, ładny i niezwykły młodzian, Juliusz Tarnowski, rokujący najświetniejszą przyszłość, Roman Michałowski, Jan Stadnicki, i paru innych, wśród których od czasu do czasu nie brakło i Tadeusza Pilińskiego. Byli to wszystko młodzieńcy niepospolici, rwący się do życia, żądni odznaczenia się, bardzo oczytani i kulturalni. Zdaniem Koźmiana, możnaby niemałą bibliotekę utworzyć z tego, co to grono źle lub dobrze przeczytało podówczas. Tarnowski na tych zebraniach czuł się w swoim żywiole. »Ile dni pogodnych, złotych, w tym domu! Ile na tym ganku wieczorów, spędzonych na rozmowach bez końca, w których ścierały się zdania, przekonania wyrabiały, a marzenia bujały!« Jak przystało na młodych zapaleńców, o sobie myśleli najmniej, prawie wcale; najwięcej o przyszłości kraju. Bo że ona przyjdzie, i świetna, o tem żaden nie wątpił. Jak do niej przyjdzie? żaden nie wiedział naturalnie, ani się zastanawiał nad tem. Ale że to była już przyszłość niedaleka, o tem również nie wątpił żaden... Nie były to jeszcze dysputy polityczne; lecz tylko patryotyczne, ale bądź co bądź przewodniczył im już »duch nieobecnego Klaczki«, duch *Wiadomości polskich*, których artykuły, zwłaszcza świetne rozprawy krytyka *Krewnych*, budziły entuzyazm w tem gronie. Szczególniej Tarnowski wczytywał się w nie z zapałem, uważając je za szczyt pisarskiego kunsztu! Tak pisać, jak Klaczko, to było jego marzenie![1]).

[1]) *Wiadomości polskie*, zakazane przez ówczesny rząd austryjacki, mimo to przedostawały się do Galicyi, a St. Tarnowski w swym szkicu o Wielopolskim

Z nadejściem jesieni 1858 roku »duch nieobecnego Klaczki i *Wiadomości polskich*« zaczął na grono przyjaciół Wodzickiego, a na Tarnowskiego w szczególności, oddziaływać ze zdwojoną siłą, gdy do Krakowa w tym czasie zjechała na dłużej księżna Marcellina Czartoryska. Przyjazdowi jej, z powodu przyjęć u Landes-präsidenta, hr. Clam-Martinitza, na których bywał wielki świat krakowski, a wraz z nim i pewna część młodzieży arystokratycznej, przypisywano polityczne zamiary i znaczenie, tak dalece, iż nawet starsi przestrzegali młodszych, żeby się nie dali wciągnąć w co niebezpiecznego; tymczasem naprawdę księżna przyjechała dlatego tylko, żeby syn jej, Marceli, mógł słuchać wykładów w uniwersytecie krakowskim, zwłaszcza wykładów polskich, o ile te istniały. To był jej rzeczywisty zamiar. Wszystko zaś, co sobie opowiadano o jej posłannictwie, nawpół politycznem, nawpół towarzyskiem, w stosunku do domu Clamów, było urojeniem, które swoją drogą nie pozostało bez następstw. Z temi Clamami rzecz miała się tak. Hrabia Henryk Clam-Martinitz, gubernator krakowski, człowiek światły, prawy, wykształcony, bardzo zachowawczy i katolicki, choć w gruncie rzeczy sprzyjał autonomicznej formie rządu, jednak w owym czasie był wiernym i ścisłym wykonawcą systemu Bacha, co dlań oczywiście, jako dla sługi centralistycznych rządów, nie mogło usposabiać dobrze. Że jednak pan *Landespräsident* był człowiekiem z najlepszego towarzystwa, a nadto miał bardzo ładną żonę, z domu Salm, rozumną, uprzejmą, światową, pełną przymiotów i wdzięku, i pragnącą utrzymywać stosunki z arystokratycznemi domami polskiemi, więc niebawem dom gubernatorstwa, dzięki osobistym przymiotom swych nader gościnnych i uprzejmych gospodarzy, zaczął pociągać wyższe towarzystwo polskie. Była to, na owe czasy, ze stanowiska dogmatyki patryotycznej, rzecz niesłychana, kacerstwo, odstępstwo, objaw upadku ducha narodowego! Stąd opozycya przeciw bywaniu u Clamów, uważano bowiem, że za-

---

zaświadcza wyraźnie, że *Wiadomości polskie* w Galicyi »znane były tylko osobistym znajomym redaktorów, wszyscy inni słuchali o nich, jak o żelaznym wilku«. Do tych osobistych znajomych redaktorów *Wiadomości polskich*, głównie Kalinki i Klaczki, w Krakowie należeli: Ludwik Wodzicki, Jan Tarnowski, Stanisław Koźmian. Wszyscy oni znali Kalinkę i Klaczkę jeszcze przed rozpoczęciem wydawnictwa *Wiadomości polskich*. W swej książce o *Księdzu Waleryanie Kalince* pisze St. Tarnowski: »Że *Wiadomości polskie* wszędzie, prócz w Wielkopolsce, były zakazane, to prawda, to też, gdy i tam zakazał je rząd pruski, musiały przestać wychodzić. Ale że, choć zakazane w Królestwie i w Galicyi, miały zawsze abonentów zamało, to pewna, pomimo wszystkich zakazów zamało; i w Wielkopolsce, gdzie miały wstęp wolny, i u nas, gdzie przecież zakazane rzeczy przekradać umiano«.

sadniczo a skutecznie oporna postawa, jaką Włosi i Węgrzy zajęli względem władz austryackich, była najwłaściwszą, najbardziej odpowiadającą godności narodowej, a więc dobrą do naśladowania. Tarnowski należał do tych nieprzejednanych, co u Clamów bywać nie chcieli... Gdy przyjechała księżna Marcellina Czartoryska, sprawa zaczęła się zaostrzać coraz bardziej: księżna bowiem, choć nie miała tej misyi, jak ją posądzali niektórzy, a zwłaszcza sami Clamowie, to jednak, o ile pochwalała tych, co oponowali przeciwko bywaniu u gubernatorstwa, utwierdzając — zwłaszcza młodzież — w tym oporze, uważając go za godny i potrzebny, o tyle tym, co bywali u Clamów, delikatnie a dotkliwie, z subtelną ironią dawała uczuć, że jej się to nie podoba. To dało powód do cichej, a następnie głośnej walki między gubernatorstwem a księżną, walki, która się skończyła zwycięstwem księżnej i jej przymusowym wyjazdem z Krakowa! Ale, jak powiada Koźmian, »księżna zwyciężyła, zwyciężył ówczesny duch Klaczki i Kalinki, duch *Wiadomości polskich*. Odtąd wpływ księżnej Marcelliny Czartoryskiej, na Wodzickim i gronie młodzieży z nim żyjącej — a więc i na Tarnowskim — był widoczny, i jak Klaczko, tak i ona zaważyła w ich wyobrażeniach i zapatrywaniach«. Na wpływ ten, istotnie wielki, składało się bardzo wiele, ale przedewszystkiem działała tu niepospolita indywidualność księżnej. Wielka pani, wielka artystka, wielki umysł, a nadewszystko wielka dusza, bogato uposażona rozumem i sercem, do nikogo niepodobna, mistrzyni w rozmowie, jak na fortepianie, wszystko rozumiejąca, choć nie wszystko rozgrzeszająca, pełna osobistego uroku, zdolna do poświęceń, a w razie potrzeby umiejąca podnieść rękawicę, wielkoświatowa w obejściu i w »każdym calu« dama, księżna Marcellina — choć nie miała urody hrabiny Clam-Martinitz — tak sobie w krótkim czasie umiała podbić serca młodzieży, że, jak świadczy w imieniu swych przyjaciół Tarnowski, wszyscy byliby się dali porąbać za księżnę: tak ich natchnęła przywiązaniem do siebie, tak ich olśniła rozumem i wdziękiem zachodniej kultury. »Czuliśmy wtedy, że ona otwierała nam głowy, rozszerzała horyzont myśli, albo rozjaśniała te, które w naszych głowach tkwiły, a ustalić i określić się jeszcze nie umiały. W czemkolwiek miało się trochę wiadomości, albo trochę instynktu, czy to w rzeczach sztuki i literatury, czy w tych zagranicznych stosunkach politycznych, religijnych, towarzyskich, o których mieliśmy wyobrażenie dalekie i niejasne, wszystko to nabierało kształtu, precyzyi, pewnych i stałych linii. Księżna nigdy nie uczyła, nie prelegowała, i nie miała z góry powziętego zamiaru rozumnej rozmowy, ani jej upatrzonego z góry przedmiotu. Pedantyzmu nie było w niej

nic; a rozum i estetyczność musiały owszem dawać jej wstręt do wszystkiego, co zakrawa na literackie zebranie, co każe mieć rozum na termin i komendę, w pewien oznaczony dzień i o pewnej godzinie. U niej rozmowa szła, jak chciała, o czembądź, o wszystkiem, choćby o najzwyklejszym deszczu i pogodzie. Tylko, jeżeli sama, swobodnie, niechcący, bez przygotowania, zeszła na ostatni obraz, lub najnowszą książkę, jeżeli dotknęła jednej z zasadniczych kwestyi czy kontrowersyi, które toczą się zawsze, nie kończą nigdy, a za przedmiot mają istotę i warunki piękności: to księżna jednem spostrzeżeniem, jedną uwagą, naprowadzała na dobrą drogę i pomagała zrozumieć, dlaczego człowiek, dajmy na to, zachwyca się Szekspirem, a otrząsa się na Wiktora Hugo, kilkoma frazesami objaśniła różnicę w naturze i geniuszu Beethovena a Mozarta, albo wytłómaczyła, dlaczego nie można ślepo wierzyć w Napoleona III. Kwestyi podobnych było bez liku. Księżna w swojej rozmowie robiła to, co dobry egzaminator ze studentem, któremu nie podpowiada, nie wskazuje, ale nieznacznie zmusza, żeby się zastanowił i własną myślą znalazł odpowiedź... Żądała wiele; wskazywała każdem słowem, że człowiek powinien żyć na świecie dla czegoś, nie dla siebie, i wydobyć z siebie wszystko, co w sobie mieć może; tą tendencyą przesiąkłe były wszystkie jej rozmowy, to była atmosfera, którą się oddychało w jej domu... A właśnie dlatego, iż tę tendencyę miała, nie pobłażała, owszem, bardzo stanowczo, choć bardzo delikatnie, prostowała różne krzywizny młodych natur. Czy zarozumiałość, czy obmowa i tania złośliwość dowcipu, czy zły smak w żarcie, czy śmiałe sądzenie o rzeczach i ludziach, wszystko to, kiedy się zdarzyło, dostawało od księżnej naukę, która, choć obwinięta w bawełnę, była nieraz upokarzającą dla miłości własnej. Szczególniej zaś umiała się obchodzić z ludźmi wrażliwymi, cokolwiek chorobliwymi, o inteligencyi świetnej, ale wyobraźni zbyt bujnej i nerwach zbyt czułych, którzy w skutku tego mogli nigdy nie dojrzeć, zostać na całe życie młodzieńcami pełnymi nadziei. Trzeźwy umysł i silna wola księżnej ujmowała takie natury w karby, starała się nadać im środek ciężkości, równowagę, samoistność, i na niejedną działała szczęśliwie, z jakimś, choć nie z całkowitym skutkiem. Księżna miała ten talent i tę potrzebę, żeby w jej mieszkaniu było ładnie. Mieszkanie w domu, wtedy państwa Wysockich, na pierwszem piętrze, nie było ani kosztowne, ani paradne. Jeden pokój oklejony czerwonym papierem, to cała zbytkowa innowacya, jaką wprowadzono w najęte mieszkanie. Ryciny Falcka, niektóre Callota, to ozdoby, także nie uderzające. A więcej nie było na ścianach nic, prócz nieszczególnego zresztą portretu te-

ścia, księcia Konstantego, przez Stattlera. Tylko to wszystko było tak ułożone i ustawione, że skromny pokój zdawał się ładniejszym, estetyczniejszym od wielu świetniejszych. Wieczory w tym pokoju były swobodne, wesołe; nieraz dowcip strzelał i skrzył się, jak race. Księżna nie popisywała się nim, ale miała w nim upodobanie, lubiła w sobie ten dar i ten powab. Posiadała w najwyższej możliwej mierze sztukę rozumnej rozmowy, i sztukę trzymania jej w karbach. Uprzejma zawsze, łaskawa często, serdeczna dla wybranych lub dla nieszczęśliwych, nie dała nikomu przekroczyć granicy, jaką dla siebie i dla drugich zakreśliła i nie dopuściła rozmowie zejść na przedmiot, którego nie pragnęła, a swobodę słowa i żartu trzymała na nieznacznej, niewidzialnej, ale tęgiej i raczej krótkiej nici. O sobie nie mówiła nigdy; zwierzać się nie potrzebowała; pytań — nie przypuszczała nawet, iżby jej kto śmiał stawiać. Dobroci miała niewyczerpane zasoby i skarby; poufałości żadnej, chyba z tymi, co mieli najbliższe prawo do jej serca. Dowcipu używała zawsze z miarą i szlachetnie. Nie obmawiała, nie wyśmiewała, nie mówiła źle o ludziach nigdy; przyjemność w złośliwości, właściwa naturom pospolitym, jej była obca. Ale jeżeli kto zrobił albo powiedział coś, co ją oburzyło, to przywoływała go do porządku cicho, słodko, ale nielitościwie. Z oczami spuszczonemi, z miną niewinną, rzuciła wtedy słowo takie, że choćby kto miał skórę jak rhinoceros, choćby skorupę jak żółw, musiał być przeszytym ostrzem tej ironii« [1]). Tak upłynęło trzy miesiące, podczas których, na przekór pięknej gubernatorowej, wpływ »księżnej Marcelliny« i powodzenie jej salonu na Kleparzu wzrastały z dniem każdym. Tymczasem około Clamów poczęła stopniowo wytwarzać się próżnia: młodzież z początku próbowała, nie opuszczając ich domu, przebywać w salonie księżnej, lecz było to niełatwem do tego stopnia, że w końcu tylko najgorętsi wielbiciele pani Clam odwiedzali ją ukradkiem, w tajemnicy przed księżną [2]). Wskutek takiego obrotu rzeczy księżna zaczęła być coraz gorzej notowaną u władz, aż ostatecznie, niedługo po koncercie, który w połowie stycznia 1859 dała na cel dobroczynny, kazano jej opuścić granice państwa austryackiego. Jakoż, rozstawszy się z synem, którego zostawiła w Krakowie, by w dalszym ciągu uczęszczał na uniwersytet, sama udała się z powrotem do Paryża. Tak się skończył ten jej krótki pobyt w Krakowie, który — jak stwierdza Tarnowski — został »pięknem wspomnieniem naszej młodości, a na głowach,

[1]) *Księżna Marcellina Czartoryska, Przegląd polski,* 1895, czerw., str. 274—8.
[2]) St. Koźmian, *Pisma polityczne,* str. 472.

sercach i na cywilizacyi pewnego kółka młodych przyjaciół, zostawił trwałe i może niezłe ślady«.

Wkrótce po tem wybuchła wojna włoska, wypowiedziana przez Napoleona III Austryi w imię »zasady narodowości«, za czem poszło, że ją pojmowano u nas, jako zapowiedź niepodległości narodów. Kto w to nie wierzył, albo przewidywał następstwa innej natury, a złe, ten był uważany za uprzedzonego, niesprawiedliwego, albo za chorobliwego pesymistę. Tarnowski, jak i całe kółko tyczyńskie, podzielał ten ogólny optymizm, wierzył, że po sprawie włoskiej musi przyjść kolej i na polską, bo skoro raz postawioną została zasada narodowości, to Polska nie mogła być wyjętą z tej zasady. Dużo o tem debatowano na ganku w Tyczynie, z poglądami zaś, które w tym razie dzieliło grono przyjaciół Wodzickiego, Tarnowski solidaryzował się zupełnie. Bo jeżeli Włochy — rozumowano — mogły dojść do niepodległości, to nam należy się ona tembardziej, bo oni, prócz małej części, obcych panów nie mieli, a krzywd i nieprawości znieśli nierównie mniej. Sprawiedliwość być musi, więc prędzej czy później będzie jakaś wojna. Licząc na Napoleona, na Francyę, Tarnowski, jak i jego przyjaciele, liczyli i na siebie, pewni będąc, iż w tej ewentualnej wojnie nie będą uciekali z placu, a co się stanie po niej, z każdym z nich, to wskażą okoliczności. Oto, jakie mniej więcej było stanowisko polityczne tyczyńskiego grona młodzieży: oglądając się na Francyę, niemniej oglądali się i na Warszawę i Królestwo, a tam na Towarzystwo Rolnicze, które w nich budziło najgłębsze uszanowanie, obok niejakiej zazdrości i chęci stworzenia czegoś podobnego w Galicyi. Bliższych informacyi o Towarzystwie Rolniczem, o działalności społecznej i politycznej, jaką rozwijało w tych czasach, udzielał Wodzicki, który raz po raz jeździł na jego posiedzenia [1]). Przez cały czas trwania wojny włoskiej, zarówno Tarnowski,

[1]) Że jednak w tem gronie młodzieży palono się i do polityki czynnej, tego dowodzą chociażby dwa fakty z życia L. Wodzickiego. Podczas wojny włoskiej, kiedy Napoleon III nosił się przez chwilę z myślą zachęcenia Rosyi do zajęcia Galicyi, Wodzicki wzywany był w wielkiej tajemnicy do Prus, ażeby udzielił objaśnień Horacemu Delaroche, jak taka okupacya rosyjska byłaby widziana w Galicyi. Okazał się w tym wypadku nad wiek, a co ważniejsza nad ówczesne usposobienie ogółu, rozumnym i przewidującym, kiedy stanowczo odradzał i starał się odwieść od tej myśli. Za to mniej dojrzałym okazał się, gdy krótko przedtem z Koźmianem razem wpadł na myśl wskrzeszenia dawnej Rzeczypospolitej krakowskiej. Widzieli w tem niby początek kwestyi polskiej. Mieli przecież tyle zastanowienia, że nie polegali na własnem zdaniu i poddali swój pomysł pod sąd Maurycego Manna, który też osądził go, jak należało. Zdaje się, że Tarnowski podzielał w tym razie opinię Manna. Patrz w tej kwestyi St. Koźmian, *Pisma polityczne*, str. 473—4.

jak wogóle całe grono młodzieży tyczyńskiej, politykowali z prawdziwie młodzieńczym zapałem: rzucona »zasada narodowości« pozawracała nietylko młode głowy, a cóż dopiero młode! Rzucone było ziarno powtórnego napoleonizmu, w głowach się paliło, piersi zaczęła rozpierać żądza czynu. A kiedy się czytało, co z powodu wojny włoskiej pisał Klaczko w *Wiadomościach polskich*, albo artykuły Manna w *Czasie*, mimowoli nabierało się wiary, że maluczko, a wybije godzina sprawiedliwości i zmartwychstania. Wierzył w to Klaczko, gdy pisał swój świetny artykuł o *Naszych próbach i pokusach wobec wojny włoskiej* [1]), wierzył w to Mann, kiedy w artykułach wstępnych traktował stronę polityczną tej wojny, co w ówczesnych warunkach, między uczuciem polskiem z jednej strony, a rządem austryackim i cenzurą z drugiej, wcale nie było łatwem. Tarnowski, który już w polityce zaczynał smakować coraz bardziej, ze skupioną uwagą odczytywał te artykuły *Czasu*, podziwiając zręczność, z jaką Mann umiał lawirować pomiędzy tą Scyllą i Charybdą, pisząc w taki sposób, iż rozum polityczny nie był nigdy zaniedbany i poświęcony dla uczucia, a uczucie było zaspokojone w najzupełniejszej mierze. »Czy Mann miarkował już wtedy, jaki będzie dalszy obrót spraw włoskich? Z pewnością był na to dość bystry. Ale podczas wojny i bezpośrednio po wojnie, nikt podobno w całej Europie nie przypuszczał, nie domyślał się wielkiej nieostrożności Napoleona III; nikt nie sądził go zdolnym podjęcia tak wielkiej sprawy, bez obmyślenia, bez przygotowania i zapewnienia jej bezpośrednich następstw i dalszego przebiegu. O ile pamiętamy Manna w tym czasie — świadczy Tarnowski za siebie i swych przyjaciół — a w tych czasach mogliśmy już i rozumieć i nieraz nawet ze starszymi o ważnych rzeczach mówić, to Mann widział ideę, widział zasadniczą, zwodniczą niestety, stronę sprawy, i miał, jak wszyscy zresztą, jakiś zapał, jakiś przedsmak nadziei, z jakim nie widzieliśmy go drugi raz w życiu« [2]).

Po wojnie włoskiej [3]), po pokoju w Villafranca, zaczęły się wypadki, które zarówno 22-letni Tarnowski, jak i jego młodzi przyja-

[1]) *Wiadomości polskie* z d. 4 czerwca 1859. »Przecież wiek bieżący już raz nam okazał, iż sztandar wolności z ziemi włoskiej może zajść do Polski, i Bonaparte dał przykład, jak zwyciężać mamy!«

[2]) *O Czasie i jego redaktorach*, str. 52—3.

[3]) Do tego czasu odnosi się wspomnienie Tarnowskiego o Łukaszu Dobrzańskim, zapisane przezeń w feljetonie *Czasu* z d. 2. lutego 1879 r. (pod wrażeniem śmierci Dobrzańskiego, swego przyjaciela od lat najdawniejszych): »Jako młodziutki zaledwo z akademii (w Bruck) wychodzący oficer, odbył Łukasz kampanię włoską w r. 1859. Dziwnie miły i sympatyczny był widok tego chłopca, który wracając z wojny, z tylu bitew i niebezpieczeństw — a bił się doskonale —

ciele brali za »zmartwychwstania dreszcze«, a które przedewszystkiem, na skutek stopniowego zaboru państwa papieskiego, w całym świecie rozbudziły namiętne spory o władzę świecką papieża. Przyszły autor zarysu o *Leonie XIII*, choć wogóle podzielał zapatrywania *Czasu*, w tej kwestyi dzielił przekonanie ogółu, a ten ogół myślał zupełnie szczerze, że papież do swojej niezależności nie potrzebuje tego państwa, które mu tylko zawadza w rządzeniu Kościołem, a że szlachetny oswobodzony naród włoski i tak będzie najposłuszniejszym synem Kościoła. *Czas*, a przynajmniej Mann w *Czasie*, rozumiał to inaczej, to też zajął odrazu stanowisko jasne, śmiałe, wolne od namiętności, ale niezachwiane. Kiedy zaś w rodzinach, najbardziej nawet zjednoczonych i najszczerzej katolickich — a do takich właśnie należała rodzina Tarnowskich — kwestya ta wywoływała gorące dyskusye między młodszymi a starszymi [1]), cóż dziwnego, że całe społeczeństwo było podzielone na dwa obozy. Tarnowski, wraz z swymi przyjaciółmi należał do obozu liberalnego, tak dalece, że raz nawet zmartwił się i oburzył, a nie uwierzył, gdy mu ksiądz Kajsiewicz wytłómaczyć się starał, że w tej sprawie jest cała jedna strona zwrócona przeciw katolicyzmowi, ba, przeciw chrześcijaństwu. A tak samo oburzał się i nie wierzył, gdy *Czas* pisał, że niepodległość papieskiego państwa jest potrzebną, bo zamach na nią pociągnie za sobą drugi,

---

skromny i cichy, nietylko nie popisywał się swojemi przygodami (a dopieroż nie dodawał i nie przesadzał), ale zupełnie o sobie i o tem co przeszedł nie mówił. Rówiennicy i przyjaciele (młodzi Tarnowscy), którym ten oficer wracający z ogniowego chrztu oczywiście imponował, musieli gwałtem wyciągać go, żeby im coś opowiadał, a wtedy zbywał ich krótko lub rozwodził się szeroko nad tem, co robili jego towarzysze, dowódzcy lub podkomendni. Młodego wojskowego, w którymby tak nie było ani krzty chluby z siebie samego, przesady, fanfaronady, z taką miłą skromnością i szlachetną małomównością, nie łatwo podobno znaleźć«.

[2]) Z czasów tych zapisał Tarnowski jedno osobiste charakterystyczne wspomnienie (w sylwetce Edwarda Jędrzejowicza): »Z młodocianych wspomnień nasuwa się jedno, które w owym czasie zrobiło wrażenie na młodych i podniosło w ich oczach powagę Edwarda Jędrzejowicza. Było to w r. 1860: cały świat rozprawiał o władzy świeckiej Papieża, a u nas wszyscy prawie, zwłaszcza młodzi, dowodzili z zapałem, że ona jest zupełnie niepotrzebna, a nawet Kościołowi szkodliwa, bo Głowie jego przeszkadza w wyłącznem oddaniu się wyższym religijnym jego sprawom. Jędrzejowicz swoim sposobem spokojnym i cichym wdał się w tę sprawę, i tak zbijał bieżące opinie, tak doskonale umiał wyłożyć stanowisko Papieża i Kościoła w tej sprawie, że młode głowy spokornialy trochę, a choć poddać się odrazu nie chciały, musiały pytać, czy on przypadkiem nie ma racyi? Gdyby to samo był mówił człowiek stary, a dopieroż duchowny, może nie byłby zrobił wrażenia. Ale młody jeszcze, i taki, który sam niedawno bił się w rewolucyi węgierskiej, kiedy Papieża broni, to jednak coś prawdy w tem być musi«. (*Przegl. polski*, 1899, lipiec, str. 184).

na wolność, na prawa, na całą organizacyę Kościoła. Czem wytłómaczyć to antykościelne stanowisko przeważnej części młodzieży ówczesnej, łącznie z najbliższymi przyjaciółmi Tarnowskiego? Przecież wszyscy byli katolikami, a niektórzy, jak Tarnowski i całe grono tyczyńskie, otrzymali wychowanie katolickie, bardzo religijne nawet!... Niewierzący lub bezbożni, jeżeli byli, należeli do rzadkich wyjątków; owszem, prawie wszyscy mieli »dobre pod tym względem uczucia i chęci«, ale do prawdziwych przekonań na punkcie religii, z jedynym wyjątkiem Kasznicy, nie doszedł był w tym czasie żaden jeszcze z rówieśników Tarnowskiego, jego samego nie wyłączając. »W skutku może protestanckich dążności i nauk — pisze on sam w tej kwestyi — któremi przesiąkłe są wszystkie niemal książki historyczne, jakieśmy znali, może w skutku *Kursów* Mickiewicza, którym choć się zupełnie wierzyć nie mogło, przecież ulegało się choć trochę, zwłaszcza może w skutku wrodzonego popędu i nieuniknionego złudzenia młodości, która lgnie do wszystkiego, co ją nęci pozorami wolności; inni, choć sobie sami z tego nie zdawali sprawy, a często mogli i o tem nie wiedzieć, robili subtelne rozróżnienia między wiarą a Kościołem: jedna nie mogła podlegać dyskusyi, drugi podlegał nawet studenckiej krytyce«. Te subtelne rozróżnienia czynił także i Tarnowski. Stąd jego ówczesna niemożność pogodzenia się ze zdaniem księdza Kajsiewicza i *Czasu*.

W ten sposób upłynął rok 1859 i pierwsza połowa 1860. W lipcu tegoż roku, gdy się skończyło drugie półrocze, Tarnowski pożegnał mury uniwersyteckie. Uważał swe studya za skończone, przynajmniej w znaczeniu oficyalnem. Żadnych egzaminów nie zdawał, o doktoryzowaniu się nie myślał. Takie przerwanie studyów, bez żadnego prawdziwego zakończenia, w owych latach zdarzało się dość często, było prawie zwyczajem, uchodziło: wyjątkiem był ten, kto — jak Józef Wodzicki naprzykład — robił inaczej, jeżeli dla chleba nie musiał [1]).

Tarnowski zaś, jeżeli w tym razie nie myślał o zdawaniu egzaminów, to głównie z przyczyny, że już na niego, jak i na jego przyjaciół, cicho i nieznacznie, »jak złodziej i jak śmierć« zaczęła zastawiać swe kuszące sidła... polityka, która w końcu zwolna wciągnąwszy wszystkich po kolei, wyrzuciła z czasem »jednych bez życia, a drugich bez złudzeń o życiu« [2]).

[1]) W ten sposób, bez żadnego prawdziwego zakończenia, skończył swe studya uniwersyteckie w r. 1856 Ludwik Wodzicki; w ten sposób również, w r. 1859 skończył swe studya uniwersyteckie Józef Szujski.

[2]) *Przegląd polski*, 1894, wrzesień. *Ludwik Wodzicki*, Wspomnienie pośmiertne.

We wspomnieniu o Konstantym Górskim (*Przegląd polski*, 1901, maj str. 186—7), oglądając się poza siebie, wstecz, na dziesięciolecie swych lat szkolnych i uniwersyteckich, pisze Tarnowski, co następuje: »My, którzyśmy z dzieciństwa dorastali do młodości między rokiem 1850 a 1860, mieliśmy przed oczyma żywe wspomnienie napoleońskich i późniejszych czasów, najchwalebniejsze, najzasłużeńsze, najszczerzej i najgoręcej szanowane. Byli jeszcze starzy jenerałowie, byli wielcy poeci, byli politycy z czasów Królestwa Kongresowego i emigracyjnych; żyliśmy wśród historyi ubiegłej połowy wieku, a wszędzie na każdem polu, widzieliśmy przed sobą ludzi niezwykłych, stosunkowo wielu zupełnie znakomitych. Ale widzieliśmy także, że oni wszyscy starzy, niektórzy już bardzo starzy, i prędzej czy później, raczej prędzej niż później, zejdą z tego świata; i choć bardzo młodzi, już przezornie a niespokojnie zadawaliśmy sobie pytanie, kto ich zastąpi? Kto zajmie to stanowisko naczelne, jakie zajmuje w emigracyi stary książę Adam i kilku ludzi koło niego, w Warszawie Andrzej Zamoyski, we Lwowie Leon Sapieha, w Wielkopolsce Koźmianowie, Maciej Mielżyński, Potworowski, Działyński? Ci, choć nie młodzi, nie byli jeszcze starzy, a inni, Adam Potocki naprzykład, byli młodzi, w sile wieku i przeznaczeni zdawało się do długiego życia. Jednak wszyscy byli z innego pokolenia; jeżeli nie mogli się bić w r. 1831, to pamiętali ten rok doskonale. Młodsi od nich, ci, co teraz mają po lat dwadzieścia kilka, co odbywają lata przygotowania, jacy będą i którzy z nich zapowiadają niezwykłe zdolności i niezwykłe charaktery? Najmłodszych, ówczesnych studentów, ci obchodzili bardzo żywo, bo to nasi bezpośredni poprzednicy, to ogniwo między nami a starszymi, to wreszcie ci, którzy wcześniej od nas coś zrobią, czemś się zasłużą: to porucznicy, którzy nas rekrutów będą wkładali do służby, a my dostaniemy się prawdopodobnie pod ich komendę. A więc jacy oni są? Do których mieć możemy najwięcej zaufania i najwięcej pociągu? Których komendzie poddamy się najłatwiej, najchętniej, z przekonaniem, że ona zawsze będzie dobra?... Między takimi, młodymi jeszcze, ale starszymi od nas, było dwóch, na których zwracaliśmy oczy ze szczególnem zaufaniem i upodobaniem: w Wielkopolsce Tadeusz Chłapowski, w Królestwie Konstanty Górski«.

ROZDZIAŁ IV.

PIERWSZE KROKI POLITYCZNE.

(1860—1862).

Zaczątki Biura politycznego w Paryżu. Władysław Czartoryski w Krakowie. Uorganizowanie się Biura. Jego zadanie i cel. Stanisław Tarnowski jego korespondentem z Krakowa. Zmiana położenia politycznego w Galicyi. Młodzi i Starzy. Dyplom cesarski z października 1860. Adres do Cesarza. Deputacya galicyjska do Wiednia. Wyjazd Stanisława Tarnowskiego do Paryża. Pierwsze demonstracye w Warszawie (luty 1861). Ich wrażenie w Paryżu. Złudzenia. Praca w Biurze politycznem. Jego główni współpracownicy, Polacy i Francuzi. Różne opinie o położeniu. Książe Adam Czartoryski. Władysław Zamoyski i jego wpływ na Tarnowskiego. Julian Klaczko i Waleryan Kalinką, jako dwaj mistrze Stanisława Tarnowskiego. Leon Kapliński. Horacy Delaroche. Ignacy Plichta. Teodor Morawski. Salon księżnej Marcelliny Czartoryskiej. Wpływy religijne. Wpływ Paryża. Powrót do kraju. Stosunek polityczny do Wielopolskiego. We Lwowie podczas Sejmu. Montalambert w Krakowie. »Hetmański« ślub Jana Tarnowskiego z Zofią Zamoyską. Posiedzenie Rady Państwa w Wiedniu. Powtórny wyjazd Stanisława Tarnowskiego do Paryża (grudzień 1861). Władysław Czartoryski. Andrzej Edward Koźmian. Tarnowski bywa w wielkim świecie paryskim, polskim i francuskim. Rozwój duchowy. Śmierć matki. Powrót do kraju. Wyjazd do Włoch. Pobyt w Rzymie. Księżna Odeschalchi. Włodzimierz Czacki. Ks. Kajsiewicz. Kalinka. Mann. Wpływ otoczenia i osób. Ustalenie się przekonań religijnych. Overbeck. Guyski. Wyjazd do Neapolu (styczeń 1863).

W sierpniu r. 1860 odebrał Jan Tarnowski list z Paryża o jakiejś tajemniczej, niezrozumiałej na pozór treści. Oto Jan Działyński zapraszał go w serdecznych słowach, żeby przyjechał zabawić się w Paryżu, ale nie sam: powinien przywieść z sobą Ludwika Wodzickiego. Gdyby zaś udało mu się nakłonić do tej podróży dla przyjemności kogo więcej jeszcze, i to o ile możności kogoś starszego, naprzykład Franciszka Smolkę, było by bardzo dobrze. List

ten, odczytany przez grono przyjaciół tyczyńskich, i przez Stanisława Tarnowskiego w ich liczbie, odrazu pozwolił się domyślać, że oczywiście nie chodzi tu o zabawę, a wzbudzał przekonanie, że musi chodzić o coś ważnego. Działyńskiego wprawdzie mieli za umysł niezupełnie jasny, trochę mistyczny, ale zrozumieli w jednej chwili, że Działyński nie mógł tego pisać z własnego popędu. Nie może być inaczej — rozumowali — musi być coś doniosłego, trzeba jechać. O wciąganiu Smolki do tej przejażdżki nie mogło oczywiście być mowy, z pewnością bowiem nie byłby posłuchał ludzi młodych i wcale sobie nieznanych. Wodzicki jednak, który również odebrał list podobnej treści, był gotów towarzyszyć Janowi Tarnowskiemu, jeżeli by ten zdecydował się jechać. Zapadła uchwała, żeby jechać, więc ruszyli w drogę.

Ci, co wraz ze Stanisławem Tarnowskim zostali w domu, z biciem serca oczekiwali ich powrotu, albowiem byli pewni, że zanosi się na jakieś niepowszednie wypadki polityczne. Co to będzie, co to będzie? Czy już Napoleon zaraz wyda wojnę, czy też chodzi tylko o jakieś pierwsze dalekie początki wielkiej akcyi? Kto to może wiedzieć? Że jednak po wojnie włoskiej Napoleon prędzej czy później pomyśli o wojnie polskiej, tak samo wydanej Rosyi, jak tamtą wydał Austryi, to zdawało się nie ulegać wątpliwości.

Tymczasem, prędzej znacznie, niż się spodziewano, Wodzicki i Tarnowski wrócili z Paryża, to zaś, co przywozili stamtąd, równało się małemu rozczarowaniu. Jeżeli sprawa polska, oświadczyli, ma kiedyś stanąć na porządku dziennym polityki, to przedewszystkiem utrzymać się na nim musi w opinii. Świat nic nie wie o nas, ani o Rosyi: trzeba go oświecać, trzeba się przypominać przez dzienniki i broszury, donosić fakta, objaśniać stosunki, przekonywać umysły, trafiać do sumień. Wojna Krymska i pokój paryski nie przyniosły żadnej korzyści dla Polski, sposobność oczekiwana od ćwierć wieku przeszła bez skutku. Głównym powodem tego złego obrotu spraw była nieznajomość i niezrozumienie rzeczy w gabinetach i w opinii Zachodu. Gdyby rząd francuski wiedział lepiej, ile pokojowi świata zależy na tem, żeby Rosyę odgrodzić od niego czemś, coby ją trzymało na wodzy i gdyby francuski naród wiedział lepiej, jaka jest natura i jakie działanie Rosyi, a jaki ucisk tam, gdzie ona panuje; gdyby ta opinia zrozumiała, że ideału prawa i pokoju, wolności i sprawiedliwości, do którego jest przywiązana, nie osiągnie bez złamania i upokorzenia tych potęg, które się na bezprawiu i przemocy opierają; gdyby ta opinia sama należycie dawała swemu przekonaniu i żądaniu wyraz energiczny, rząd francuski nie byłby mógł,

jak teraz świeżo na paryskim kongresie, na pierwsze słowo ambasadora rosyjskiego udać, że zamyka oczy i ma za dobre to, co się dzieje, a za prawdę to, co mu mówią. Z tej nieznajomości i tego niezrozumienia wynika, że jak niegdyś za księcia Talleyranda *la question polonaise étant de toutes la plus éminemment européenne*, tak dziś za Napoleona III *l'interêt de la France étant partout où il y a une cause juste et civilisatrice*, trzeba pozwolić Rosyi robić z Polską, co jej się podoba. A kiedy nie wiedzą lub wiedzą nie dosyć, że to jest istotnie *une cause juste et civilisatrice* i *éminnement européenne*, więc trzeba ich o tem przekonać i to im przypominać: trzeba działać na tę opinię, żeby nie powtórzyło się raz jeszcze to, co się już teraz i jeszcze teraz stało. Działać na opinię Zachodu? Jak? Przez dzienniki i pisma codzień, przez parlamenty czasem. Tak robią wszyscy, Rosya jedne dzienniki sama utrzymuje, a drugim się opłaca; Włochy tak samo. Najgłośniejsze i najnieskazitelniejsze organa opinii stoją na żołdzie Cavoura, a co najmniej przyjmują od niego subwencyę; i wszyscy tym sposobem, i tylko tym, nie żadnym innym, dochodzą do pozyskania sobie opinii francuskiej, do wpływu na postanowienia francuskiego rządu. Jeżeli sprawa polska ze swojemi zażaleniami i żądaniami ma znaleść posłuch i narzucić się opinii Zachodu, to musi wszystkim większym dziennikom dostarczać najprzód częstych i ciągłych o sobie wiadomości, następnie zaś pieniędzy, a może na odwrót: najprzód pieniędzy, a później informacyi. Rozumie się samo przez się, że tyle, co Rosya lub Włochy, dawać nie może; tyle jednak, na ile ją stać, dawać musi, jeżeli chce się stać aktualną, jeżeli chce stanąć i utrzymać się na porządku dziennym.[1]) Jednem słowem, dla rozpoczęcia jakiejkolwiek akcyi w tym kierunku, przedewszystkiem należy znaleść odpowiednie fundusze. Dostarczyć ich powinny kraje polskie z pod wszystkich trzech zaborów. Zadanie to, tak trudne pozornie, może się okazać łatwiejszem, niżby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło, gdyż po dokładnem rozważeniu rzeczy okaże się, że nie potrzeba na to przedsięwzięcie ani sum bajońskich, ani zbyt wielkiej liczby ludzi; wystarczy kilkunastu, byle rozumnych, a zaufanych i pewnych. Pierwszem ich zadaniem będzie wyszukanie potrzebnych środków pieniężnych, mających utworzyć stały fundusz roczny.[2])

---

[1]) Por. *Ksiądz Waleryan Kalinka*, str. 83—84.

[2]) *Przegląd polski*, 1894, wrzesień, *Ludwik Wodzicki*, Wspomnienie pośmiertne.

Tak brzmiała relacya, przywieziona przez Jana Tarnowskiego i Ludwika Wodzickiego.

Rozpoczęły się narady, w których oczywiście Stanisław Tarnowski brał żywy udział. Uchwalono, że wyszukaniem ludzi, mających dać pieniądze, i ich pozyskaniem dla myśli, w Galicyi zajmą się Jan Tarnowski i Ludwik Wodzicki. Oni też, sami lub przez innych zaufanych, do których w pierwszym rzędzie miał należeć Stanisław Tarnowski, mieli przesyłać korespondencye do Paryża.

Myśl zdawała się doskonałą i praktyczną, więc z zapałem wzięto się do działania. Zaczęto od zbierania pieniędzy. Pierwszym potentatem, do którego Jan Tarnowski i Ludwik Wodzicki zwrócili się w tej sprawie, był najbogatszy i najszlachetniejszy z panów polskich, Adam Potocki. Idąc do niego, obaj młodzieńcy byli zupełnie pewni, że Potocki zapali się, jak oni i ich przyjaciele, i sypnie ze swoją zwykłą hojnością. Tu jednak, zaraz na samym wstępie, spotkał ich zawód: Potocki bowiem, nietylko się nie zapalił, ale ich jeszcze oblał zimną wodą, co wzięli za p a ń s k i e f u m y, wyraził swą nieufność do opinii francuskiej i do opierającej się na niej akcyi polskiej, dowodził, że na nic się nie zda budowanie na Francyi, że nie należy polegać zbytnio na Napoleonie, a rozumowanie swe, które oni wzięli za uprzedzenie, poparł najsilniejszym argumentem: nie dał ani grosza. Łatwo sobie wyobrazić oburzenie wśród tyczyńskiego grona młodzieży. Stanisław Tarnowski podzielał je w zupełności. Zwłaszcza, że ostatecznie potrzebne fundusze znalazły się jakoś: nie wszyscy bowiem, jak się okazało, byli takimi sceptykami na punkcie wpływów francuskich, jak Adam Potocki. Do znacznego posunięcia naprzód całej sprawy przyczynił się głównie ks. Władysław Czartoryski, który w tym czasie przyjechał do Krakowa. Chciał poznać kraj, zetknąć się z ludźmi. Naturalnie, że przedewszystkiem zetknął się z gronem tyczyńskim, którego kilku członków, w ich liczbie Ludwik Wodzicki, Jan Tarnowski i Stanisław Koźmian, różnemi stosunkami — a głównie dzięki dłuższemu przebywaniu w Paryżu w czasie wojny wschodniej — już było złączonych zażylszemi stosunkami z rodziną Czartoryskich, z Hotelem Lambert i grupą ludzi politycznych, skupiających się koło *Wiadomości polskich*. Władysław Czartoryski, przez cały czas pobytu swego w Krakowie, agitował w tej samej sprawie, którą już przedtem Hotel Lambert powierzył Ludwikowi Wodzickiemu i Janowi Tarnowskiemu: nie łudząc, ani zagrzewając, trzeźwo zapatrywał się na położenie, sumiennie z niego zdawał sprawę. Ale argumentował w ten sam sposób, co Wodzicki i jego towarzysz podróży do Paryża.

»Na teraz — mówił — niema widoków podniesienia sprawy polskiej, lecz mogą powstać. W kraju potrzebne są przedewszystkiem spokój i praca, a tymczasem w Paryżu musimy wyczekiwać sposobnej chwili, działając jedynie na opinię publiczną; na to zaś, żeby kraj utrzymać w pracy i spokoju, trzeba koniecznie, żeby dobrze i dokładnie był informowany o stosunkach europejskich i widokach sprawy polskiej. I na jedno i na drugie potrzeba pieniędzy, które należy zebrać«.[1]) To był główny przedmiot rozmów z Władysławem Czartoryskim, przyczem, gdy była mowa o przewidywanem odezwaniu się sprawy polskiej, już nie brakło takich, co mieli trafne i wczesne uczucie niebezpieczeństwa, jeżeli ona odezwie się w złej chwili i w sposób daremny.[2]) Temu należało przeciwdziałać.

Z tych nadziei i z tej obawy zarazem powstało w Paryżu, pod egidą Hotelu Lambert, t. zw. *Biuro polityczne* z korespondentami we wszystkich trzech zaborach, którzy to korespondenci zobowiązali się: 1. zdawać sprawę i dostarczać wiadomości o stanie kraju i o bieżących wypadkach, 2. zbierać fundusze dla popierania sprawy polskiej w dziennikarstwie europejskiem, i 3. odbierać od Biura paryskiego wskazówki o położeniu. Wszelkie działania po za gruntem legalnym, zarówno w Galicyi, jak i w innych dzielnicach, było wykluczone. Miała to być czynność informacyjna wyłącznie. W Galicyi zostali korespondentami takimi: Ludwik Wodzicki, Jan i Stanisław Tarnowscy, oraz Stanisław Koźmian, jako ich współpracownik. W poznańskiem było dwóch korespondentów: Jan Działyński i Tadeusz Chłapowski. Na Królestwo podjął się roli korespondenta Stanisław Plater.[3])

W życiu Stanisława Tarnowskiego była to, jak sam powiada, jedyna *Konspiracya*, do której kiedykolwiek należał. Tylko, że była to »konspiracya« bez myśli o zbrojnem a niepewnem powstaniu, konspiracya, nie majaca nic wspólnego z ówczesnemi organizacyami rewolucyjnemi w Królestwie, w niczem, ani pod względem celu, ani pod względem środków działania, do warszawskich organizacyi nie podobna. Oto, jak jej organizacyę opisuje Tarnowski: »Żadnych przyżeczeń, tem mniej przysiąg, żadnych rozkazów ani posłuszeństwa, żadnej propagandy ani werbowania. Stosunek paryskiego Biura do jego przyjaciół i pomocników w Polsce, stosunek tych do osób dających pieniądze, opierał i ograniczał się jedynie na znajomości,

[1]) St. Koźmian, *Pisma polityczne*, str. 475.
[2]) *Księżna Marcellia Czartoryska, Przegląd polski*, 1895, czerwiec, str. 278.
[3]) St. Koźmian, *Rzecz o roku 1863*, II, 211.

ufności i dobrej woli. Żadnego ukrywania, czy nazwisk, czy robót, żadnego nawet zobowiązania co do cyfr. Każdy przysyłał tyle pieniędzy, ile ich zebrać potrafił, mniej czy więcej, nikt go o to nie pytał. Nie było to tembardziej konspiracyą! *Wiadomości polskie* dowodzą dostatecznie, że w tem gronie ludzi nie było nigdy myśli ani zamiaru ruchawki, owszem, był stanowczy przeciw takiej polityce opór, tak silny, jak go nigdy przedtem nikt w Polsce nie widział. Jak wojna bez objektu, do którego zmierza, tak konspiracya nie może być bez jakiegoś faktu, który chce wywołać. Tutaj nie było ani tego, ani innych nieodłącznych znamion, tajemnicy, organizacyi, posłuszeństwa przynajmniej, jeżeli nie przysięgi i propagandy. Prawda, że tak pojęta i założona rzecz musiała być ograniczoną na małą stosunkowo liczbę ludzi połączonych wzajemnem zaufaniem, wspólnem przekonaniem, dobrą wolą i uczuciem obowiązku; przy małej zaś liczbie ludzi nie mogła liczyć na wielkie środki działania. To też prawda: nie były one potężne. A jednak wystarczały na to, żeby przez trzy lata opędzać bardzo znaczne wydatki, i zdołały przez trzy lata sprawy polskie narzucić opinii i uwadze świata, utrzymać je na porządku dziennym, aż do chwili, kiedy je zepchnął i w zapomnienie pogrążył nieszczęśliwy spraw tych obrót, któremu już nie ci ludzie byli winni...«

Tymczasem, w Krakowie, gdy się zabrano do dzieła, spostrzeżono niebawem, że nie wszystkim to *Biuro paryskie* i jego akcya trafiały do przekonania. Na czele opozycyi stał Adam Potocki, który, wraz z swymi przyjaciółmi, zawsze i stanowczo trzymał się zdala od wszelkich działań emigracyjnych, nie chcąc mieć żadnych z Biurem stosunków co mu szczególniej Stanisław Tarnowski bardzo miał za złe.[1]) Paweł Popiel, na którego ówczesna politykująca młodzież patrzała z uprzedzeniem i niedowierzaniem, również podzielał zapatrywanie Adama Potockiego. Ale nie brakło i młodych, którzy na tę »akcyę dyplomatyczną« Stanisława Tarnowskiego i jego towarzyszy zapatrywali się dość sceptycznie. Dość powiedzieć, że nawet jego rodzony brat, Juliusz Tarnowski, żartował sobie czasami na temat działalności politycznej Biura i jego uczestników...

Jednocześnie, na wzór Królestwa Polskiego, i galicyjskie Towarzystwa Rolnicze zaczęły potrącać o politykę. Stąd, za przykładem Ludwika Wodzickiego, i jego przyjaciele tyczyńscy, a w ich liczbie i Stanisław Tarnowski, zaczęli się garnąć do Towarzystw Rolniczych, pragnąc współdziałać, odznaczyć się, jeżeli nie pracą, to przynajmniej

[1]) *Przegląd polski* 1898, grudzień, X. K. Łubieński, Wspom. pośm.

mowami. Nastał okres mów i toastów o charakterze politycznym... Jakkolwiekbądź, były to wszystko Objawy obywatelskiego przebudzenia w Galicyi, a objawy, które nie uszły baczności czujnych w takich razach *Wiadomości polskich*. Jednym z takich objawów był świeżo założony we Lwowie *Głos*, którego jednym ze współwłaścicieli był Ludwik Wodzicki. Pismo to, według relacyi *Wiadomości polskich* miało być »organem licznego grona obywatelskiego, które sumiennie i gorliwie narodowe siły prowincyi szykować zamierza«. Stanisław Tarnowski, choćby dlatego, że zaprzyjaźniony z Wodzickim, bardzo sympatyzował z tem pismem, a choć sympatyzował i z *Czasem*, który zawsze czytywał z prawdziwem namaszczeniem, to jednak *Czas* za bardzo był pismem starych, kiedy *Głos* miał być właśnie wyrazem aspiracyi młodego pokolenia. Bo zaprzeczyć się nie da, że i Wodzicki i jego kółko, z którem Stanisław Tarnowski szedł ręka w rękę, nie we wszystkiem solidaryzowali się ze starszymi. Pragnąc działać samoistnie, ruszać się i popisywać, a nie występując przeciw ówczesnym powagom, młodzież ta, ambitna i żądna odznaczenia się, miała cały szereg drobnych zastrzeżeń względem tychże powag. Paweł Popiel — jak świadczy Stanisław Koźmian — był jej za wsteczny, Adam Potocki za wyniosły, Leon Rzewuski za ultramontański, Maurycy Mann za papieski, Jerzy Lubomirski za czeski i słowiański; jeden tylko Leon Sapieha wiele znaczył i ważył w jej oczach. Stanisław Tarnowski podzielał te zapatrywania. Tak n. p. żywił pewną niechęć do Pawła Popiela, do czego z czasem sam się przyzna, kreśląc jego sylwetkę. Oto, co o nim pisze, mając właśnie epokę z roku 1860 na myśli: »Czy on był na starość inny i więcej wart, niż w latach młodych i mężkich, gdyśmy na niego z uprzedzeniem i niedowierzaniem patrzali? Nie, to my staliśmy się z czasem roztropniejsi, sprawiedliwsi, szlachetniejsi. W twardej szkole bolesnych doświadczeń nauczyliśmy się znać i cenić — w Popielu — rozum, tam, gdzie niegdyś widzieliśmy doktrynę; zasadę, tam, gdzie niegdyś podejrzewaliśmy upór; głębokość i słuszność, tam, gdzie ganiliśmy przesadę; a nieprzebrane skarby miłości ojczyzny, tam, gdzie oskarżaliśmy chłód lub stronnicze stanowisko«. Prawie to samo trzymał i o Adamie Potockim, którego znów oskarżał o nadmierną dumę, nie mogąc mu zwłaszcza darować jego odpornego stanowiska wobec paryskiego Biura i związanej z niem akcyi politycznej...

Tymczasem w Galicyi, na skutek dyplomu cesarskiego z października r. 1860, zanosiło się na zmianę położenia. Na zmianę tę wpłynęła wojna włoska. Że już w roku 1859 coś się zmieniło w mo-

narchii austryjackiej, dowodziła skromna prośba uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego do Cesarza Franciszka Józefa o przywrócenie języka polskiego wykładowego, prośba, która, choć na razie wysłuchaną nie została, jednak była rodzajem próby, czy istotnie opadły wody policyjnego potopu w Galicyi. W kilka miesięcy później, w lecie 1860, wobec powołania zwiększonej Rady państwa, już uzasadnionem było twierdzenie *Wiadomości polskich*, że zanosi się na korzystny zwrot polityczny, mogący zmienić stanowczo politykę a nawet naturę Austryi i losy Galicyi... Że Tarnowski już się zaczynał garnąć do ówczesnej akcyi politycznej krajowej, dowodzi jego wspomnienie o Starowiejskim, gdzie między innemi zapisuje fakt następujący: »Przypominamy sobie tę chwilę, kiedy Starowiejski był w r. 1860 z Maurycym Kraińskim powołanym do t. z. wzmocnionej Rady Państwa. Przepisywaliśmy nawet odezwę do nich wydaną, ułożoną przez Henryka Wodzickiego«.[1]) Od jesieni 1860 roku, z chwilą nadania konstytucyi przez cesarza Franciszka Józefa, a więc z rozpoczęciem się ery konstytucyjnej w Austryi, i dla Galicyi nastała nowa epoka. W grudniu 1860 roku, kraj cały, sam, z własnej inicyatywy, nie wołany przez nikogo, a powodowany jedynie uczuciem patryotycznem polskiem, postanowił dać mu wyraz w adresie do cesarza, a w tym adresie postawić program swoich potrzeb i żądań, wypowiedzieć w nim śmiało, co uważa za swoje prawo w monarchii. W obradach przy układaniu tego adresu, które się odbywały przy współudziale najwybitniejszych mężów politycznych Galicyi, uczestniczył — choć w skromnej bardzo mierze — i Stanisław Tarnowski.[2]) Że to dlań było wyborną szkołą polityczną, nadmieniać zbyteczna, jeżeli się zważy, że adres ten, pisany przez Helcla, przy współudziale Adama Potockiego, był wymownem zaprzeczeniem twierdzenia, więcej rozpowszechnionego, niż uzasadnionego, jakoby w Galicyi duch polski słabł i obumierał. Tymczasem pokazało się, że skoro tylko znalazł możność po temu, umiał się i silnie i roztropnie i prawdziwie politycznie objawić. To też *Wiadomości polskie*, oceniając ten adres galicyjski, wyraziły się nie bez słuszności, że

---

[1]) *Przegląd polski*, 1895, kwiecień, str. 246.

[2]) W swem wspomnieniu o *Pawle Popielu* (*Przegląd polski*, 1892, kwiecień) zapisuje St. Tarnowski następujący szczegół: »Przy układaniu galicyjskiego adresu do Cesarza (w grudniu 1860) musiał Popiel być czynnym, skoro adres ten pisał Helcel; w rozprawach, nie pamiętamy, żeby był głos zabierał, a tok rozpraw i tłumna jazda do Wiednia nie podobały mu się z pewnością...« Słowa te pozwalają się domyślać, że i Tarnowski nie był zachwycony przebiegiem rozpraw nad adresem, a *tłumnej* jazdy do Wiednia nie pochwalał również...

»może to jest nagrodą dla prowincyi, która ze wszystkich ziem polskich najstraszniejszą w nowszych czasach zakrwawiła się raną, bo raną bratobójczą, że jej dozwolonem było wystąpić obecnie z tak poważnym aktem i tak czystym głosem, jakiemu podobnego oddawna nie wydała Polska w niewoli«, że z tej właśnie prowincyi »tak bardzo rozbitej i z tylu miar osłabionej wyszedł jednak akt, który zaszczytnym i przez całą Europę uznanym był wyrazem czerstwego ducha i męzkiej rozwagi«.[1]) Adres ten, podpisany między innemi i przez tyczyńskie grono młodzieży, zawiozła do Wiednia osobna deputacya ze Smolką na czele. W dzień wyjazdu deputacyi z Krakowa przyłączyło się do niej stukilkudziesięciu obywateli, aby powiększoną liczbą tem większe nadać jej znaczenie. Wszyscy prawie przybrali strój polski. Stanowisko *Czasu* w tej sprawie — opowiada Tarnowski — było nad wszelkie pochwały, a artykuł Manna przed wyjazdem deputacyi, był jednym z najświetniejszych, politycznie najgłębszych i najskuteczniejszych, jakimi się *Czas* może pochlubić. Był to drogowskaz, a kraj istotnie poszedł drogą, którą on wskazywał. Ludwik Wodzicki i jego młodzi przyjaciele, przyłączyli się do owej tłumnej deputacyi. Przybywszy do Wiednia, delegaci złożyli, przez ręce swych naczelnych członków, adres ministrowi stanu, Schmerlingowi, i nietylko znaleźli uprzejme przyjęcie, ale nawet usłyszeli trochę obietnic... Potem nastąpiły dwa posłuchania u cesarza, które również dodatnie zostawiły po sobie wrażenie. Tarnowski jednak, nie dając się zwieść tym złudnym pozorom, nie podzielał ogólnego optymizmu, a lękając się, by pod Schmerlingiem nie powróciły dawne czasy, czasy ucisku narodowości, krytycznie się zapatrywał i na grzeczną odpowiedź ministra stanu w kwestyi przedstawionego mu przez deputacyę wyrazu potrzeb i żądań Galicyi, odpowiedź wymijającą, ba, zbywającą. Jakoż po tej odpowiedzi nie spodziewał się niczego dobrego, a przedewszystkiem miał podstawę do wątpliwości, czy przyszła fundamentalna ustawa państwowa wypadnie po naszej myśli. Że przewidywał trafnie, że jego obawy i przeczucia nie były płonne, niedaleka przyszłość stwierdziła niebawem...[2])

Ale jakkolwiek się układały konjunktury polityczne w Austryi, była to bądź co bądź chwila przełomu w życiu politycznem w Galicyi i zaczęła się piękna walka o samorząd, nastały czasy poważnej pracy wewnętrznej: we Lwowie nastąpiło otwarcie pierwszego sejmu galicyjskiego, w Wiedniu zaś, w Radzie Państwa, zabrzmiały śmiałe

[1]) *Polska w r. 1860* (artykuł Kaliński i Klaczki) *Rocznik polskie*, IV, 494, 497.

[2]) *Przegląd polski*, 1867, kwiecień, 87, *Siedm projektów konstytucyi w Austryi.*

mowy posłów polskich. A Warszawa była w przededniu pamiętnych demonstracyi...

Właśnie w tym czasie, w drugiej połowie lutego 1861 roku, Tarnowski, na skutek swej przynależności do paryskiego Biura, które w tej chwili przygotowywało się do energiczniejszej akcyi, pojechał do Paryża. Matka nie miała nic przeciwko temu wyjazdowi, bo przedewszystkiem było to powszechnie przyjętym zwyczajem, by młodzieniec po ukończeniu studyów w kraju jechał na dopełnienie ich do Paryża, a powtóre było to poniekąd tradycyą w rodzinie Tarnowskich. Wszak i ojciec Stanisława, po ukończeniu nauk w kraju, dwa lata spędził na studyach w stolicy Francyi!... Dnia 26 lutego 1861 r. pisał Andrzej Edward Koźmian z Paryża, w swym liście do rodziny, co następuje: »Wczoraj odwiedził mnie Staś Tarnowski. Nie poznałem go z początku i domyśliłem się, kto jest, po gościńcach. Oddał mi je w całości. Krótko u mnie zabawił. Mieszka na mojej ulicy — na *rue de l'Arcade* — u Horacego Delaroche, będę więc miał łatwość częstego widywania go. Zdaje się być i pojętnym i rozsądnym. Ofiarowałem mu moje usługi, lecz nie na wiele mu się przydam, bo nie chce, na tak krótko przybywszy, zapoznać się z tutejszem towarzystwem. To, co mi mówił o kraju, pociesza mnie. Oby do umiarkowania wytrwałość w niem i we wszystkiem dobrem przyłączyła się...« [1])

Ale tej »wytrwałości w umiarkowaniu«, w Warszawie przynajmniej, miało się już pod koniec. W kilka dni po przyjeździe Tarnowskiego do Paryża zaczęły się w Warszawie pierwsze demonstracye, zakończone pogrzebem pięciu poległych. Jakie wrażenie uczyniła w Paryżu, w kołach Hotelu Lambert, wieść o tych wypadkach, z tego doskonale zdaje sprawę A. E. Koźmian, który tak dnia 2 marca 1861 r. pisał do swoich: »Od wczoraj w gorączce żyjemy. Nieprzewidziany obrót wzięły wypadki warszawskie. Mamy już listy ze szczegółami dnia 25-go... Depesza wczorajsza p. Segur [2]) nader ważna i zadziwiająca: Wojsko cofnęło się, lud sam policyę utrzymuje, dziś manifestacya 100.000 ludzi, protestacya i petycya do cesarza i t. d. Lecz wypadkiem, który sprawił największe wrażenie wczoraj, była mowa księcia Napoleona w senacie, powiedziana już po wypadkach warszawskich, w której oświadcza się za polityką rewolucyjną... Módlmy się gorąco do Boga o opiekę, o łaskę Jego,

---

[1]) *Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana* (1829 — 1864), IV, str. 240—241 (Lwów, 1896).

[2]) Konsula francuskiego w Warszawie.

a o nasz rozsądek połączony z wytrwałością. Wypadki warszawskie zasmuciły i niepokoją cesarza (Napoleona III), boi się, aby nie wywołały surowości. Rząd rosyjski zdaje się czekać, zbierać siły, aby sprężyście wystąpić. Takie jest tutejsze wrażenie«. [1]) Było to wrażenie ludzi najtrzeźwiejszych, ale wogóle chwilowa trzeźwość ustąpiła miejsca jakiemuś mistycznemu optymizmowi: zapanował trochę chorobliwy stan uniesienia, idący w parze ze złudną nadzieją, że co się tak zaczęło, to w każdym razie źle skończyć się nie może. [2]) Taki był *vox populi*... Wszystkim się też zdawało, i w kraju, i w emigracyi, że to jest *vox Dei*. Tarnowski, zaskoczony temi wypadkami, których nie przeczuwał, podzielał ten patryotyczny sentymentalizm, nie podejrzewał bowiem, że te demonstracye były przygotowane i zorganizowane, że po za niemi stali ludzie, którzy tym sposobem pragnęli narzucić się narodowi, kierować nim dowolnie. »Pamiętamy wszyscy — stwierdza Tarnowski — że pierwsze demonstracye i wypadki z lutego 1861 roku wydały nam się czemś niespodziewanem, zwłaszcza nieprzygotowanem. Widzieliśmy w nich dobrodusznie sam czysty popęd uczucia szlachetnego, a zbolałego; nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że był w nich plan i kierunek... Rozżalenie i oburzenie przeszkadzały zastanowieniu. Pod tem pierwszem wrażeniem szerzyła się i utrwalała żałoba, w myśli, że zwróci na nas uwagę świata, a że wkrótce zajdzie coś, co ją zdjąć pozwoli. Co? Nikt nie wiedział i nie pytał«. Wprawdzie z Krakowa, w listach od przyjaciół, otrzymywał wiadomości, że Adam Potocki [3]) i jego przyjaciele, z Pawłem Popielem w pierwszym rzędzie, nie podzielali ogólnego zapału: że zdaniem ich — który to pogląd wywoływał oburzenie w gronie młodzieży tyczyńskiej — wszelkie demonstracye tego rodzaju, jak warszawskie, były wielkim błędem politycznym, który tylko złe skutki sprowadzić może; on jednak, pospołu z najwybitniejszymi członkami Biura, księcia Adama Czartoryskiego nie wyłączając, rozumował inaczej i według niego, sprawa polska, dzięki manifestacyom warszawskim, postawiła się na porządku dziennym polityki, stała się kwestyą *éminemment européenne*. To też, jak mniemał nie on sam, lecz całe stronnictwo Hotelu Lambert, nastała chwila, najodpowiedniejsza dla energicznej działalności Biura. Jeżeli kiedy, to teraz jego wzmożona praca wydawała się konieczną, zbawienną. »Dwie były polityki w emigracyi, pisze Tarnowski o ówczesnym nastroju umysłów wśród kolonii polskiej w Paryżu: jedna

[1]) *Listy A. E. Kośmiana*, IV, 245—6.
[2]) *Przegląd polski*, 1894, wrzesień, *Ludwik Wodzicki*.

potępiła się sama w roku 1846 i 1848, druga zawiodła w wojnie wschodniej. Co pozostawało? Czekać i wyrabiać się. Doświadczenie nauczyło, że ten tylko znajdzie posłuch, kto ma siłę; ten pomoc znajdzie, kto ją i dać może. A więc wyrabiać się, ćwiczyć, wzmagać w sobie siłę. Tego chciał książe Adam, i ci, co go otaczali. Naraz, niespodziewanie, wypadki, które wskazywać się zdają, że przecież prawo jest także siłą, że sumienie ma swoje prawa i o nie się upomina; sam ciemiężyciel cofa się, jakby przerażony tem, co zrobił; świat patrzy, a Polska staje przed nim w całej wzniosłości swojej sprawy, wzniośle pojętej i bronionej... Tak się zdawało przez chwilę, tak łudziliśmy się wszyscy...« Złudzenia te, tak nie licujące z wyrobieniem politycznem, podzielali nawet najtrzeźwiejsi i najwytrawniejsi politycy emigracyjni, samego Władysława Zamoyskiego nie wyłączając. »Cokolwiek się stanie — pisał z Paryża w początkach marca A. E. Koźmian — może tylko na korzyść sprawy obrócić się. Rozjaśniły się nam wypadki warszawskie, stan tamtejszy rzeczy, i teraz staramy się — w staraniach tych brał gorliwy udział i Tarnowski — aby wszyscy o nich dokładnie objaśnieni byli, i wszyscy zajęci jesteśmy — w Biurze — dopomaganiem dążnościom, odwadze, poświęceniu, mądrości tych, którzy tam w Warszawie kierunek sprawy objęli. Stąd ciągłe bieganie i pisanie. Wszystko, co się tam stało, tak nadzwyczajne, że ręka Opatrzności zdaje się być widoczną i że nadzieja w duszę wstępuje. Ta jednomyślność, ta zgoda, ta uległość dla władzy, ufność wzbudzającej, są godne podziwu. Pan Andrzej Zamoyski okazał się wielkim obywatelem«.

Tarnowski, od chwili niemal, gdy stanął na paryzkim bruku, natychmiast zaczął brać udział w robotach Biura, w owem »ciągłem bieganiu i pisaniu«, o którem wspomina A. E. Koźmian, a jakie to były roboty, z tego najlepiej on sam zdał sprawę, w życiorysie Kalinki. Oto jego własna relacya:

Biuro miało bieżące codzienne czynności i ważniejsze ogólne sprawy. Te ostatnie załatwiały się na tygodniowych sesyach, we środy, pod prezydencyą samego księcia Adama, a po jego śmierci księcia Władysława. W tych uczestniczyli ludzie, którzy swoją powagą i wpływem mieli wstęp zawsze otwarty do sfer rządowych, parlamentarnych, literackich czy dziennikarskich. Oprócz księcia Czartoryskiego, jego synów i jenerała Zamojskiego, oprócz znakomitych ludzi w kraju, o ile byli w Paryżu, widziało się tam zawsze Teodora Morawskiego i Barzykowskiego, Andrzeja Koźmiana, Ludwika Wolowskiego, który, jako Francuz, deputowany, członek Instytutu, pisarz, miał stosunki bardzo rozległe we wszystkich sferach

STANISŁAW TARNOWSKI
w r. 1861 (w Paryżu).

listy świeżo nadeszłe, z których należało wyciągnąć treść, a w ważniejszych razach robić wyciągi, albo wreszcie wszystkie dzienniki polskie do przejrzenia. Wszystko, co one ciekawszego i ważniejszego przynosiły, przesyłało się w krótkiem francuskiem streszczeniu redakcyom zaprzyjaźnionych dzienników. Najczęściej trzeba było dla objaśnienia dodać mały komentarz do faktu lub stosunku, którego inaczej nie byłyby zrozumiały. Jeżeli zaś chodziło o umieszczenie dłuższego i ważniejszego artykułu, natenczas inspirowało się Francuza, który go miał pisać, obszernym, wyczerpującym wykładem kwestyi. Pisarze takiego znaczenia, jak St. Marc Girardin, Prévost-Paradol, Forcade, sławny kronikarz *Revue des deux Mondes*, albo młody podówczas ale już głośny Mazade, odbierali takie *inspiracye* jak inni, z tą różnicą, że nie przychodzili po nie do Biura, tylko chodziło się do nich (najczęściej Klaczko). Kiedy kwestya była ważna i zawiła, wtedy wykład taki podejmował Klaczko albo Kalinka; lżejsze i łatwe zdawano na młodszych (na Stanisława Tarnowskiego między innymi). Praca nie była małą. Każdego dnia przeciągała się lekko do 2-ej lub 3-ej po południu, a w czasach gorętszych, kiedy wiadomości goniły jedne za drugiemi, trwała często od rana do nocy. Przykrzyło się niekiedy; byłoby się wolało zbijać bruki i przypatrywać się Paryżowi, jak ślęczeć w dalekiej i nieświetnej części miasta nad zadanem *pensum*: ale przykrzyły się chwile tylko, a całość tego życia była dziwnie szczęśliwa, a co dziwniejsza, była powabna; tęskniło się za tem życiem, będąc daleko;[1]) będąc na miejscu, używało się na niem z przyjemnością, z radością, z obawą, żeby nie uciekło...[2]) Wiele bo rzeczy składało się na ten urok. Francya naprzód, ta Francya zwycięzka, i jak się zdawało niezwyciężona, która swoją sprawę widziała wszędzie, »gdzie jest sprawa słuszna i cywilizacyjna«. Była jakaś nad światem niebieska jasność nadziei, w której świetle wszystko wydawało się wielkiem i uroczem. Francya bohaterską i apostolską, żołnierską, świętą, czarującą; cesarz jakimś milczącym księciem Oranii, któryby w swojem milczeniu roztropnie a napewno przygotowywał republikę chrześciańską Henryka IV; każdy Francuz bratem, a francuski żołnierz najpiękniejszem boskiem stworzeniem, przeznaczonem na zwyciężenie złego na świecie. W tem świetle nadziei ukazywały się także wszystkie podejmowane prace, do których człowiek przywiązywał się gorąco, bo myślał, że się i one na coś zdadzą i że coś z nich zostanie, a sam się czuł szczę-

[1]) Przez lato roku 1861 w kraju.

[2]) »A w dalekiej przeszłości, dodaje Tarnowski, po długich latach, jeszcze się je rzewnie i wdzięcznie wspomina«.

śliwym, że choć w najmniejszej, w najostatniejszej części, przecież się do tego przyczynia; czuł się wprowadzonym między tych, »w których łonie — jak mówi Aligier Krasińskiego — przyszłość się wypracowuje.« Wreszcie doznawało się tam tego szczęścia, które Goethe nazywał najwyższem na ziemi, otoczenie szlachetnych umysłów. Wrażenie wyższości umysłowej i moralnej, jakie robiło to grono ludzi, było olśniewające, a zarazem przywiązujące i budujące. Każdego z nich z osobna widziało się nieskończenie od siebie mędrszym; rozum wrodzony niepospolity widziało się bogatym w naukę i doświadczenie, panującym zarówno nad politycznemi jak naukowemi kwestyami; znajomość Polski, historyczną i psychologiczną, znajdowało się taką, że każda prawie rozmowa otwierała nowe widoki i zostawiała coś w głowie na zawsze. Te zaś inteligencye tak wysokie, tak wykształcone, podnosiły się dopiero do wysokości imponującej przez niemniejszą godność charakterów, przez zapał i poświęcenie dla swojej sprawy, przez ubóstwo znoszone odważnie, chętnie, poprostu i wesoło. W każdym codzień odkrywało się coś nowego i zdumiewającego, nieznane świetności umysłu lub nieznane cnoty, a wszyscy razem stanowili taki zbiór światła i przykładów, wobec którego człowiek czuł się naprzód nieskończenie małym, a potem obowiązanym z takich wzorów korzystać. Jedyny kłopot, to kiedy między nimi zdarzały się różnice zdań. Który ma słuszność? a raczej, który może jej nie mieć, kiedy wszyscy tacy mądrzy? A różnice takie oczywiście zdarzać się musiały. Nie trzeba sobie wyobrażać sielanki, bynajmniej. Natury bardzo rozmaite, a wszystkie wybitne a silne, niektóre nerwowe i drażliwe z urodzenia, drugie rozdrażnione wszystkiemi kolejami życia, łączyły się w miłości swojej sprawy, w zrozumieniu jej potrzeb i w szacunku wzajemnym, ale się nieraz wzajemnie niecierpliwiły, nawet odpychały. Stosunki codzienne były z tego powodu każdemu z nich nieraz trudne; każdy musiał zadawać sobie przymus, trzymać się na wodzy; tem piękniejszy przez to był ten stosunek ufności, jedności, przyjaźni, zasadzonej na wyższych względach i potrzebach. Dziwnie też wszyscy kazali się szanować i podziwiać. Że na księcia Adama patrzało się z najgłębszą czcią, to prosta rzecz: był w nim cały wiek historyi polskiej, wiek, którego wszystkie bóle były w tej duszy i zostawiły w niej ślad, a ta suma przebytych w życiu tak długiem kolei i zdobytych zasług nadawała mu majestat, jakiemu równego w naszym wieku nie miał żaden z Polaków. A do tego z całą żywością umysłu i gorącością uczuć pomimo lat dziewięćdziesięciu, miał urok dobroci i uprzejmości wielkiej, obejście pełne życzliwości, łaskawe i ośmie-

lające każdego. Jenerał Zamoyski przez swoją inteligencyę wyjątkowo świetną, przez swoją wspaniałą postać Łazarza, wiecznie cierpiący jak na mękach, a wiecznie czynny bez wytchnienia, miał inny rodzaj uroku, ale urok niemniejszy.. Niezwykłą, a pomimo despotycznego i szorstkiego temperamentu, sympatyczną naturą był Zygmunt Jordan. Oficer świetny i tęgi, z wielką podobno wojskową zdolnością, bardzo bystry i z dyplomatycznym nawet obrotnym rozumem, pełen honoru i godności, zbyt dumny niekiedy, drażliwy często, usposobieniem swojem czasem drugich gniewał, ale wartością swoją kazał się zawsze wysoko cenić i szanować. Później także przybyli, ale znaczyli między nimi bardzo wiele Bronisław Zaleski, Henryk Wysiński, profesor uniwersytetu moskiewskiego, Leon Zbyszewski, który jednem swojem pismem kazał się uważać za pisarski i polityczny talent tej prawie siły, co Klaczko. Najbardziej idealną duszą młodzieńca i takąż inteligencyą był Horacy Delaroche. Stworzony na posła i mówcę, ale przekonaniami złączony z generacyą roku 1830, osobistemi stosunkami przywiązany do rodziny Orleańskiej, nieprzyjaciel zacięty wszelkich ceraryzmów, jak wszelkich głosowań powszechnych, za cesarstwa do żadnej służby nie byłby wstąpił, nawet gdyby zdrowie, zawsze złe, było mu na to pozwoliło... Z mnóstwem znajomości i stosunków, z doskonałą znajomością paryzkiego gruntu, ze zmysłem praktycznym większym, niżby się zdawało, Delaroche był w tych robotach nieoceniony, radą, pomocą, rozumem, i darem przyciągania drugich. On uczył młodych Francuzów, co to Polska, on ich zapalał, z jego szkoły wyszli tacy, którzy zostali wiernymi do śmierci. Taki był naprzykład młody adwokat, Armand Ravelet, przyszły redaktor pisma katolickiego *Le Monde*, podówczas najgorliwszy i najzdolniejszy z młodych autorów artykułów i broszur o sprawach polskich. Inny, obiecujący jako pisarz, dużo talentu, dużo zapału, był Henryk Lasserre; ale natura południowa, wrażliwa i namiętna, zapału była zdolniejsza niż statku, i do przesady w zapale jak w oburzeniu skłonna. Jednak i ten czasu ani trudu nie żałował, szczerze chciał pomagać i służyć, i nie jeden raz bardzo dobrze coś napisał. Ci byli katolicy gorliwi, i z kilkoma innymi związali się w bractwo pobożne, które się nazywało *Oeuvre de St. Stanislas*, a za cel miało: chwalić Pana Boga, dobrze czyniąc Polsce. Ale byli i nie katolicy wcale, jak stary Letellier, niegdyś bardzo głośny nawet dziennikarz, albo i podówczas głośny i znaczący Elias Regnault, którzy chętnie te informacye i inspiracye przyjmowali i wedle nich pisywali. Kiedy zresztą o Francuzach mowa, to byłaby niedokładność i niewdzięczność największa, gdyby się opuściło księdza Lescoeur, autora dzieł

tak znakomitych, że pisane w doraźnym praktycznym celu, zostały jako źródła i podstawy do całego okresu historyi Kościoła w Polsce. Ale ksiądz Lescoeur nie był jeden. Wpływ Montalamberta pierwszy zdaje się usposobił po polsku Oratorianów, utwierdził zaś ten wpływ Zamoyski, poczęści Delaroche i Kalinka. Ksiądz Gratry, dwóch braci Perraud, to były sprężyny tej akcyi, która nawet w literaturze francuskiej i w kaznodziejstwie zostawiła piękne pomniki, pomniki zarazem tej wspólności i łączności francuskiego i polskiego ducha, w którą wtedy wierzono, za którą kiedyś oby nie płakano, jak za dobrowolnie utraconem dobrem!... Sekretarzem Biura i utrzymującym jego papiery był Ignacy Plichta, syn sekretarza Rządu Narodowego w r. 1830, przyjaciel, a w lat parę później szwagier Horacego Delaroche.[1])

O stanowisku, jakie to paryskie Biuro polityczne — przez niektórych ironicznie »wyrocznią z Delfów« nazywane — zajęło wobec wypadków, rozgrywających się w ciągu roku 1861 i 1862 w Warszawie, tak pisze St. Koźmian: »Wskazówki i rady, jakie

[1]) Cały powyższy ustęp o Biurze politycznem paryskiem, będący osobistem wspomnieniem St. Tarnowskiego, znajduje się w jego monografii o *Księdzu Waleryanie Kalince*, str. 85—91.

Nadmienić wypada, że Biuro paryskie, choć działało pod egidą księcia Adama Czartoryskiego, który jego akcyi nadawał niemało powagi, miało i swoich przeciwników. Tak n. p. młodszy brat Tarnowskiego, Juliusz, dość sceptycznie zapatrywał się na doniosłość pracy Biura, które raz nazwał nawet »Biurem Blagi«. Stąd nie brakło takich, co je stale *Biurem Blagi* nazywali. Jeszcze w roku 1897, zdając sprawę z książki L. Dębickiego o *Trzech pokoleniach w Krakowie* wyrzuca mu z żalem Tarnowski, że mówiąc o stosunku młodych do gotujących się wypadków r. 1863, wyraża się o nich, jako »niektórzy dali się wciągnąć do akcyi dyplomatycznej, do t. z. smutnej pamięci *Biura Blagi*«. Oto w jakich słowach Tarnowski odpiera ten przykry zarzut: »Koncept w żarcie raz przez Juliusza Tarnowskiego puszczony stał się nazwą i służy do wyśmiewania lub potępiania nie zawsze sprawiedliwego rzeczy i ludzi, w których jednak i wtedy i później było coś więcej prócz blagi. Starszym, a bardzo zasłużonym nie robi autor zarzutu z tego, że ówczesnych wypadków nawet nie próbowali wstrzymać lub odwrócić; my i inni członkowie ówczesnego paryskiego *Biura* dostajemy epitet s m u t n e j p a m i ę c i. Nie odpychamy go; smutnej pamięci było w owym czasie wszystko i wszyscy. Ale dlaczego ci starsi nie wstrzymywali, nie odwracali? Dlatego, że przypuszczali oni także inny i lepszy obrót i koniec tych spraw. Jeżeli oni, jeżeli, powiedzmy szczerze, wszyscy w całej Europie, czyż dziwno, że i my młodzi? Jest w każdym razie rzecz jedna, która, jeżeli się nie mylimy, dowodzi, że w t. z. *Biurze Blagi* była i wtedy już i później rzetelność i prawda, to, że jego członkowie pierwsi, i dotąd jedyni, przyznali się szczerze, głośno, publicznie, że się mylili i sprawie szkodzili, chcąc jej służyć. Na takie wyznanie czekamy dotąd napróżno tak ze strony komitetów centralnych i rządów narodowych, jak ze strony tych, którzy w roku 1861 i 1862 nie zrobili nic, żeby opamiętać, otrzeźwić, zatrzymać«.

dochodziły z Hotelu Lambert, czyli z Biura politycznego, ani potępiły ruchu, demonstracyi i żałoby, ani stanowczo zwłaszcza wytrwale nie doradzały poparcia Wielopolskiego; przestrzegały jedynie przed przemianą ruchu w gwałtowny, lub zbrojny, rewolucyi moralnej w krwawą, zalecały umiarkowanie, miarę, ostrożność, pozostanie na gruncie, na którym dotąd poruszał się naród i odbywały się manifestacye. Było to w chwili wybuchu pożaru, zamiast wezwania do ugaszenia go, zalecenie obchodzenia się z nim ostrożnie«.[1]) To był główny błąd polityczny, główny grzech, ciążący na odpowiedzialności Biura i jego współpracowników, poczynając od najstarszego z nich, Adama Czartoryskiego, a kończąc na najmłodszym, Stanisławie Tarnowskim. Kiedy stary książe Adam, wobec wypadków w Warszawie, ze łzami radości powtarzał: *le ressort est brisé*, wierzyło się — opowiada Tarnowski — że on, co Rosyę znał tak doskonale, mógł dostrzegać trafnie, że coś się w niej złamało; a kiedy wierzył, że nadchodzi lepsza przyszłość i rozjaśniał się nadzieją, myślało się, że za wiek cały cierpień i zasług Bóg przed śmiercią może mu dał tę pociechę dobrego przeczucia. Naprawdę z tem rozrzewnieniem i rozradowaniem — które tak się pięknie odzywa w jego ostatniej mowie wygłoszonej 3 maja 1861 w Towarzystwie Historycznem — wyglądał trochę na Symeona, odchodzącego w pokoju, bo się doczekał zbawienia świata. O tem nie pomyślało się pod pierwszem wrażeniem, że nikt, a Polak może najtrudniej, długo w usposobieniu wyjątkowo wzniosłem utrzymać się nie może, a że Rosya na długo nie może być dobrą. Jakoż niebawem rzeczy zaczęły się wikłać i krzywić; jedni zbaczali z drogi jasnej i prostej, na której zdawali się stać, a drudzy pokazali, że sprężyna nie złamała się, tylko ugięła, ale się zaraz, choć zrazu ostrożnie, podniosła. Wobec takiej sytuacyi pierwszem staraniem Biura musiało być oczywiście to, żeby w sporze między Polską a Rosyą, opinia francuska, a pod jej działaniem rząd stanął po stronie Polski, nie Rosyi. Nie było to łatwem, bo Napoleon III miał i chciał koniecznie utrzymać dobre stosunki z Rosyą; przecież staranie było o tyle skutecznem, że oświadczyć się za Rosyą, a Polski się wyprzeć, rząd francuski nie mógł, gdy moralnie było to wprost niepodobieństwem. Ile to kosztowało zachodów, trudów i czasu, i jakie wtedy nastały gorące czasy dla Biura, jego usiłowań podwojonych w kierunku opinii francuskiej, którą należało urabiać, i w kierunku opinii polskiej, którą wypadło ostrzegać, upominać, oświecać, uczyć, zaklinać wreszcie, o tem tylko ci mogli mieć wy-

[1]) *Rzecz o roku 1863*, II, 217.

obrażenie, którzy, jak Tarnowski, stale bywali w domu Biblioteki polskiej przy Quai d'Orléans. Przeciwko demonstracyom, których wzniosły charakter podziwiano w emigracyi, w których dopatrywano się mistycznego wpływu poezyi polskiej, zwłaszcza poezyi Krasińskiego, Biuro nie występowało, albowiem nikt nie przypuszczał, że po za niemi stała organizacya, spisek. Natomiast przed wielkiemi organizacyami i konspiracyami, mającymi charakter rewolucyjny, Biuro przez cały czas od początku do końca przestrzegało stanowczo i najusilniej, podobnie, jak to już przed paru laty czyniły *Wiadomości polskie;* od ludzi zaś, na których wpływać mogło, żądało najenergiczniej, by nie dopuszczali do żadnej organizacyi, każdej opierali się całemi siłami. To był punkt wyjścia, wytyczna, po której szła cała polityka Biura. W stosunku do Wielopolskiego i jego polityki kompromisowej Biuro zachowywało się chwiejnie, na co składało się niezmiernie wiele przyczyn. Trzymano się zasady, żeby nie przeszkadzać Wielopolskiemu, której to zasadzie hołdowali i książe Adam Czartoryski i jenerał Władysław Zamoyski. Gdy pierwszy — wobec rady ministra Walewskiego: *Acceptez tout, car si vous n'acceptez pas préparez vous à une terrible répression* — oświadczył się za Wielopolskim, drugi wprost mienił się zwolennikiem Wielopolskiego, przecież z tyloma zastrzeżeniami, że te zastrzeżenia ukrywały całą różnicę dwóch systemów i ostatecznych celów. Nie bez wpływu też pozostawała tu również okoliczność, że Władysław Zamoyski był rodzonym bratem Andrzeja Zamoyskiego, że obaj w pewnych chwilach wzajemnie oddziaływali na siebie, czyli, że w chwilach, w których się naprężał stosunek Margrabiego i pana Andrzeja, i Władysław Zamoyski (który nieraz mawiał, że, nie znosząc się z bratem, zawsze są jednego zdania o położeniu i wypadkach) nie popierał dzieła Wielopolskiego. Te osobiste stosunki i uprzedzenia znaczyły bardzo wiele nieraz, a zwykle obracały się przeciw Wielopolskiemu. Tak n. p. przesadny w teoryach patryotycznych Zygmunt Jordan powodował się w stosunku do Margrabiego »więcej urojonym niż istotnym antagonizmem między rodem Jordanów i Wielopolskich«. Najgoręcej za Wielopolskim i jego systemem przemawiał zawsze Kalinka, który z zasady przeciwny wszelkim manifestacyom, twierdził wbrew większości członków Biura, że nie na to nauczało się przez lata całe rozsądku i umiarkowania, zalecało pracę zdrową, możliwą, odradzało zgubne przedsięwzięcia i gonienie za niebezpieczeństwami, aby, gdy nadarza się sposobność zastosowania tych zasad i przekonań, kłam im zadać. Tegoż zdania był również i Klaczko, którego »wybornemu rozumowi nie dogadzała sprzeczność między polityką zachowawczą

Hotelu Lambert i *Wiadomości polskich* a pobłażaniem spiskowi i niszczeniem dzieła Wielopolskiego, lecz był on wtedy za młodym, aby narzucić swoje zdanie, za wrażliwym, by wytrwać przy niem«.[1]) Tarnowski, który podzielał wszystkie ówczesne wątpliwości i zastrzeżenia, jakie Biuro miało w stosunku do Wielopolskiego, tak je usprawiedliwia i uzasadnia: »Kiedy zasada wolnych narodowości wydawała się fundamentem przyszłego urządzenia Europy, ideałem, w którego urzeczywistnienie wierzyli wszyscy, kongres wiedeński zaś wydawał się, jak rzeczywiście był, zdartym i nikogo nie obowiązującym: system Margrabiego mógł się zdawać wygodnym i korzystnym stanem przejściowym, ale stanem na stałe złym, którego nikt sobie życzyć nie mógł. Zaś przyjmując go, oświadczając się za nim, trzeba było zrobić to uczciwie i rzetelnie, przyjąć i dotrzymać warunków. Nie mówiąc o tem, że prędzej lub później, ale spodziewano się wyjścia lepszego, niż to, było doświadczenie, była pamięć Aleksandra I, która mówiła, że takim zgodom dowierzać nie można. We wszystkiem, co z Paryża do Warszawy pisano, powtarzało się zawsze, żeby broń Boże Margrabi nie przeszkadzać, owszem, pomagać, żeby do wszelkiej pod nim służby wstępować... Bo niechęci do Margrabiego nie było, jak on jej nie miał do tych ludzi, z którymi owszem parę razy szukał stosunków. Wiary w jego system dlatego być nie mogło, bo żywiono przekonanie, że gdy on się dla Polski dobrym okaże, to go Rosya odwoła i obali. Zupełnego zaś porozumienia z Margrabią i zapału dla niego nie było (w tej części emigracyi, jak w kraju) dlatego, że Margrabia uchodził za autora *Listu do księcia Metternicha*, na który przekonanie tych ludzi godzić się nie mogło«.[2])

Nie godziło się też nań nigdy przekonanie Tarnowskiego,[3]) który w codziennych stosunkach z tymiż ludźmi, w rozmowach z nimi, w Biurze jak i po za Biurem, mimowoli przejmował się ich sposobem myślenia i zapatrywania. Wpływ ten, dzięki niepospolitym indywidualnościom takich ludzi, jak książe Adam Czartoryski

---

[1]) St. Koźmian, *Rzecz o roku 1863*, II, 210—11.

[2]) *Ksiądz Waleryan Kalinka* str. 106—107. W sprawozdaniu z książki Henryka Lisickiego o Aleksandrze Wielopolskim pisze Stanisław Tarnowski (*Przegląd polski*, 1879, listopad, str. 175): »Była w niem (w tow. Rolniczem) pewna nieufność do autora *Listu Szlachcica*, pewne obawy i niechęci do systemu opartego jedynie na r. 1815, ale było w niem (jak i w tej części emigracyi, która się skupiała około księcia Adama), to uczucie, że nie godzi się przeszkadzać, ale należy pomagać Polakowi, który wchodzi do rządu i przynosi pożądanie zmiany«.

[3]) *Przegląd polski*, 1879, listopad, Henryka Lisickiego »Aleksander Wielopolski«.

i Władysław Zamoyski, Klaczko i Kalinka, Kapliński i Delaroche, był zupełnie wyjątkowy, poprostu decydujący o jeszcze nie skrystalizowanych przekonaniach 24-letniego Tarnowskiego, które teraz, w ciągu tej bytności w Paryżu, bodaj czy się już nie skrystalizowały prawie zupełnie: w każdym razie ewolucya, jaką tu przeszły, zarówno w kwestyach literackich, jak i politycznych — tych ostatnich głównie — równała się olbrzymiemu krokowi naprzód, który w rozwoju intelektualnym i moralnym autora *Doświadczeń i Rozmyślań* znaczył niezmiernie wiele.

W tem doborowem gronie szlachetnych umysłów i charakterów wzniosłych, wśród których Tarnowski teraz przebywał najwięcej, tyle pod każdym względem korzystając w ich towarzystwie, bezwarunkowo pierwsze miejsce zajmowała dostojna postać księcia Adama Czartoryskiego: z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należał. Wrażenie, jakie już samą osobą swoją — według zeznania Tarnowskiego — czynił ten 90-letni starzec, było nad wyraz głębokie i przejmujące. Głowa — jak o tem świadczą liczne portrety księcia — była wyjątkowej piękności i szlachetności, a ten »wielki cichy smutek« patryotyczny, który był jego duszą, jego historyą i aureolą, sprawiał, że jak on o niczem innem nie myślał, tylko o Polsce, tak i przy nim o niczem innem myśleć nie było można.[1])

Podobne wrażenie czynił Władysław Zamoyski, »ten, co — według Krasińskiego — nigdy nie zwątpił, ten, który jeden coś był wywiódł na przyszłość ze swoich zabiegów i starań męczeńskich, ten, co wznowił był tradycyę legionów i chwycił sztandar ich z ziemi i wzniósł go nazad ku niebu, ten o postaci tak rycerskiej i chrześciańskiej, o tak niespożytym żadnemi boleściami ani przeszkodami duchu, ten wart czci i podziwu za cnotę żelazną, ten najdzielniejszy!« To, co o Władysławie Zamoyskim pisze Stanisław Tarnowski w stosunku do Kalinki, na którego jenerał wywarł wpływ najdonioślejszy w życiu, to samo da się o nim powiedzieć i w stosunku do Stanisława Tarnowskiego, który przez cały czas pobytu swojego w Paryżu w ciągłem zetknięciu z Władysławem Zamoyskim również w bardzo wysokim stopniu podlegał jego wpływowi i wiele mu — zwłaszcza w swem wykształceniu politycznem — miał niewątpliwie do zawdzięczenia. »Ciągnął go Zamoyski do siebie naprzód tą siłą rozumu, tym jego stopniem, który geniuszem nie jest, ale się do geniusza przybliża. Ktoś, co nie widział nigdy żadnego z tych ludzi, których nazywamy wielkimi, a chciał ciekawie wyobrazić

[1]) *Księżna Marcellina Czartoryska, Przegląd polski*, 1895, czerwiec, str. 257.

sobie, jak może mówić, myśleć, jakie na drugiego robić wrażenie jeden z tych, co przekraczają zwykłą miarę ludzką a dochodzą miary bohaterów i geniuszów, dla takiego Zamoyski mógł być zaspokojeniem ciekawości, on dawał przybliżone wyobrażenie. Tak rozumnie, z taką znajomością człowieka, z takiem doświadczeniem spraw tego świata, mógłby mówić najtęższy mąż stanu, choćby Richelieu albo Cromwell, tylko gdyby Richelieu albo Cromwell miał przytem rycerski honor i katolicką żarliwość Godfreda, i chrześciańskie sumienie, które zawsze naprzód pyta i zawsze doskonale wie, co uczciwe, a co nie. Z tym urokiem wyższości — a uroku większego niema na świecie — łączył Zamoyski urok obejścia łatwego i miłego, ujmującego i podbijającego; nauczał nieustannie i otwarcie, widocznie, ale sposobem tak przyjaznym i tak przyjemnym, czasem nawet tak wesołym i zabawnym, że choć było się przy nim zawsze na kazaniu, to kazanie skutek tylko sprawiało, czuć się nie dawało i nie przykrzyło się nigdy. A dopieroż to, co Krasiński nazywa żelazną cnotą, ta służba bez wytchnienia, bez jednej chwili straconej, bez jednej myśli o czem innem, jak Polska; ta suma trudów i poświęceń, ta praca w strasznych i prawie nieustających cierpieniach, to oddanie się swojej sprawie tak zupełne, że można o niem powiedzieć, że ze wszystkiem, co było jego »palił się wciąż ofiarą na ołtarzu swej ojczyzny«, to go uzupełniało dopiero ostatnim najwyższym rysem i sprawiało, że z ludzi, na których nasze pokolenie patrzało, żaden nie robił takiego wrażenia wielkości. Anglicy mówili o nim żartem *spectre of Poland*, a jeżli emigracya była istotnie widmem Polski, które zjawiało się ciągle, niepokoiło sumienia i wstydem chyliło czoła szczęśliwych i zapominających; jeżeli mogła być — a była istotnie — protestacyą i utrzymaniem międzynarodowego charakteru sprawy polskiej, to w wielkiej części za Zamoyskiego sprawą i zasługą«. Jako jeden z działaczy powstania listopadowego, które na nim wycisnęło niezatarte piętno, Zamoyski, jak go scharakteryzowano trafnie, był uosobieniem przegranej sprawy, odpowiedzialności za nią i odwetu nigdy niedokonanego. Niezwykłej odwagi osobistej i cywilnej, żołnierz duszą i ciałem, bohater lub męczennik w potrzebie, twardy dla siebie i innych, katolik gorący, obdarzony tą silną wolą, którą niezawsze można odróżnić od uporu, nad wszystko ukochał sprawę narodową, jej poświęcił całe życie. Obdarzony niepospolitemi zdolnościami umysłowemi, a nawet wyjątkowym zmysłem politycznym, wyostrzonym długiem obcowaniem z mężami stanu i praktyką nieustającą acz luźną, Zamoyski wytworzył sobie z odbudowania Polski przez obcą pomoc rodzaj religii, do której przy-

wiązał się niezachwianą wiarą. W tym duchu, przez lat trzydzieści, niezmordowanie, wytrwale, pracował, przemawiał, działał, upominał się, bądź na placach publicznych, bądź w pertraktacyach z dyplomatami i ministrami; stąd, pomimo wyjątkowych zdolności i wybornej znajomości polityki, niemożność zrozumienia innego rozwiązania sprawy polskiej, jak przez obcą pomoc; stąd też sporo uprzedzenia do Wielopolskiego, którego kompromisowa polityka obywała się bez obcej pomocy. To był zasadniczy błąd w polityce Zamoyskiego, błąd, który Kożmian nazywa trafnie »grzechem listopadowym«.

Na Tarnowskiego wpłynął Zamoyski, podobnie jak w swoim czasie na Kalinkę i Klaczkę, głównie w dwóch kierunkach: politycznym i religijnym.[1]) Co się tyczy pierwszego, to można go — zdaje się — śmiało określić temi samemi słowy, jakiemi dostojny biograf Kalinki pisze o wpływie nań pod tym względem Wł. Zamoyskiego: »Z Krakowa wychodząc i polskie tylko stosunki znając, a do tego bardzo jeszcze młody, Tarnowski — jak Kalinka — może ogólnie i teoretycznie wiedział, że są jakieś na świecie zagraniczne stosunki i interesa, ale jaka ich natura, jaki sposób ich prowadzenia, jakie ich wrodzone prawa, których obrazić nie może, kto nie chce działać bez skutku, tego oczywiście znać nie mógł; miał pod tym względem wyobrażenie mniej naiwne, niż większość naszych wiejskich polityków, ale wyobrażenia bardzo niejasne i niedostateczne. Od niedawna — a głównie z pism Kalinki — zaczęliśmy miarkować, że polityka zagraniczna jest i sztuką i umiejętnością, i że my tej umiejętności, a nawet praktycznej tradycyi, nigdyśmy dosyć nie mieli. Naród, i nawet najwytrawniejsi w nim ludzie, sądzili, że nic łatwiejszego: wystarcza instynkt narodowy, który umie zawsze przeczuć, kto przyjaciel a kto wróg, i zdrowy rozsądek, który każe przyjacielowi wierzyć i pomagać, wrogowi nie ufać i nie dać się używać. Że to sprawa i sztuka trudniejsza, nauczyło nas doświadczenie emigracyjne, rozumie się tej części emigracyi, która miała polityczny zmysł i polityczny talent. Ona pierwsza z Polaków od bardzo dawna musiała praktycznie, realnie, zetknąć się ze sprawami państw obcych i z dyplomatycznem działaniem. Nie mogła już być tak naiwną, jak niegdyś agenci Konfederacyi Barskiej, ani tak nawet, jak dyplomaci Czteroletniego Sejmu, a nie mogła, jak ludzie Księstwa Warszawskiego, patrzeć na skinienie kogoś mocniejszego i jego się trzymać.

[1]) Zob. w tej mierze *Wspomnienie o Jenerale Zamoyskim*, skreślone przez Stanisława Tarnowskiego w *Przeglądzie polskim*, w lutym 1868 r.

Musieli sami myśleć, poczynać, upatrywać, starać się, okoliczności wywoływać, przeszkody zwyciężać, i tą praktyką nauczyli się, co to jest polityka zagraniczna. Znajomość jej wyniósł ze swego petersburskiego ministeryum i na tym gruncie polskim zaszczepił książe Adam; ale Zamoyski, z zawodu, wychowania i upodobania wojskowy, ale z natury głównie dyplomata, sam wyuczył się prędko i w drugich — w Kalince i Klaczce przed innymi — rozumienie tych spraw rozwijał. Kalinka przy nim kształcił ten zmysł dyplomatyczny, który praktyka i doświadczenie rozwinęły tak, że stał się prawie przymiotem najświetniejszym jego politycznego rozumu«. To samo Klaczko, so samo Tarnowski: i on bowiem, w częstych i długich rozmowach z Władysławem Zamoyskim, którego nadto w Biurze, na sesyach środowych, widywał przy robocie politycznej, bardzo się wyrabiał i dojrzewał w rzeczach polityki, a tem samem nasiąkał jego poglądami i przekonaniami, mimowoli przyjmując jego punkt widzenia. To był bezpośredni wpływ mistrza.

Pozatem był jeszcze wpływ pośredni, wpływ dwóch znakomitych uczniów Zamoyskiego, jemu zawdzięczających swe niepospolite wykształcenie polityczne, wpływ Klaczki i Kalinki, w których jenerał potrafił wpoić swe *credo* w sprawie odbudowania Polski.[1])

O Klaczce, jako współpracowniku paryskiego Biura, pisze raz Tarnowski, wspominając te czasy, w następujących słowach: »Klaczko, autor tych wszystkich pism, które się na pamięć prawie umiało, a chowało w sercu, jak katechizm rycerski i polityczny, kiedy czasem wpadł w zapał, lub w dobry humor, i zaczął mówić... ale nie mówmy o tych, co żyją, kiedy na ich

---

[1]) O tem *credo* politycznem Władysława Zamoyskiego tak między innemi pisze autor *Rzeczy o roku 1863* (t. II, str. 206): »Wyznając wiarę odbudowania Polski przez obcą pomoc, szukając jej całe życie w Paryżu, Londynie, Stambule, Władysław Zamoyski, wiedziony swoim niezwykłym zmysłem politycznym, pierwszy w swojem gronie, doskonale zdawał sobie sprawę, że z wyjątkiem nadzwyczajnych wypadków, jak wojen pierwszego cesarstwa, skuteczne usiłowanie odbudowania podjętem być mogło tylko przez Austryę. Ten jego sąd, to jego niezmienne zdanie, są dowodami jego politycznej wiedzy i trafności politycznych poglądów«. Tej wierze Wł. Zamoyskiego w Austryę dawały stale wyraz *Wiadomości polskie*, w których, jak to stwierdza St. Tarnowski, »w całych czterech tomach, obok wielu gorzkich skarg na Austryę, niema ani jednego życzenia jej upadku lub osłabienia; *Wiadomości* snać wiedziały, że ze wszystkich państw rozbiorowych Austrya pierwsza będzie musiała wystąpić ze świętego przymierza, i że Polacy w tej samej chwili przestaną widzieć w niej nieprzyjaciela. Polityka więc tego pisma (redagowanego głównie przez Kalinkę i Klaczkę, uczniów Wł. Zamoyskiego) jest względem Austryi bardzo oględną, bardzo umiarkowaną, rzeklibyśmy nieledwie życzliwą« (*Książe Waleryan Kalinka*, 75).

pochwały, dzięki Bogu, jeszcze nie czas!« Przez te pisma Klaczki, w które Tarnowski tak się wczytywał, że je umiał prawie na pamięć, należy rozumieć artykuły autora *Katechizmu nierycerskiego*, drukowane przezeń pomiędzy rokiem 1856 a 1861 w *Wiadomościach polskich*, artykuły, nad które świetniejszych nie było — i niema dotąd — w prozie polskiej. Artykuły te, literackie, jak rozbiór *Gladyatorów* Lenartowicza lub *Krewnych* Korzeniowskiego, i polityczne, jak *Konspiracya i jawne działanie* lub *Nasze próby i pokusy wobec wojny włoskiej*, zrobiły wielką sławę Klaczce, zarówno w kraju, gdzie — jak słynny artykuł o *Sztuce polskiej* lub napiętnowanie *Odstępców* — pobudzały do namiętnych dyskusyi, jak i wśród emigracyi, gdzie po ukazaniu się *Katechizmu nierycerskiego* wielbiciele Mierosławskiego grozili Klaczce ....śmiercią! Artykuły Klaczki, niepodpisane, ale łatwe do rozpoznania dzięki swej wyjątkowej świetności, były największą ozdobą *Wiadomości polskich*, ci zaś, co czytywali to pismo — a w ich liczbie i Tarnowski — przedewszystkiem szukali rozpraw autora broszury o niemieckich Hegemonach. I nic dziwnego: Klaczko swoim talentem olśniewał i porywał, czarował i wstrząsał, działał na uczucie, na fantazyę, na zmysł artystyczny, nawet na zmysł słuchu.[1]) Tarnowski, który z *Wiadomości polskich* czerpał swą wiedzę polityczną, uważając je za ideał patryotycznego pisma polskiego, zachwycał się artykułami Klaczki, uważając je w zakresie sztuki pisarskiej za »bijącą w oczy doskonałość«, podziwiając ich »mistrzowską strukturę wewnętrzną, ich język i styl, jakim nikt dziś u nas nie pisze, ich formę wreszcie, która do uwielbienia i do rozpaczy doprowadzić może każdego, kto kiedykolwiek próbował pisać po polsku«.[2]) Na krótko przed przyjazdem Tarnowskiego do Paryża ogłosił Klaczko studyum literackie o *Korespondencyi Mickiewicza*, arcydzieło krytyki i analizy psychologicznej, z którego dusza poeta wprost wyzierać się zdaje, taka prawdziwa, taka realna, że czytając to studyum, ma się wrażenie, jakby się obcowało z samym twórcą *Dziadów*. W ciągu roku 1861, za bytności Tarnowskiego w Paryżu, przygotowywał Klaczko do druku swe słynne studyum o *Poecie bezimiennym*, które napisane po francusku, w styczniu r. 1862 wyszło w *Revue des deux Mondes*. Była to, zdaniem Tarnowskiego, prawdziwa rewelacya geniuszu Krasińskiego, »wielki posąg postawiony Krasińskiemu i jego wierny wizerunek«, najpiękniejsza rzecz, jako była i jest o Krasińskim. Że obcowanie z człowiekiem i pisarzem tej miary, co Klaczko,

[1]) *Ksiądz Waleryan Kalinka*, str. 77.
[2]) *Rozprawy i sprawozdania*, t. I, str. 256. *Roczniki polskie*.

musiało być z wielką korzyścią dla przyszłego tłumacza *Wieczorów Florenckich*, nad tem rozwodzić się nie potrzeba. Wiadomo bowiem, że wpływ, jaki na autora *Królowej Opinii*, na jego styl i sposób pisania, wywarł pismami swemi Klaczko, był może najsilniejszym ze wszystkich literackich wpływów, jakim znakomity krytyk i publicysta kiedykolwiek ulegał... Rodem z Wilna, gdzie już jako cudowne dziecko wsławił się udatnemi poezyami, doktor filozofii Królewieckiego uniwersytetu, następnie uczeń słynnego Gervinusa i współpracownik do roku 1848 wydawanej przezeń w Heidelbergu liberalnej *Deutsche Zeitung*, obdarzony fenomenalną pamięcią, tak, że całą *Iliadę* w greckim oryginale umiał recytować pieśń po pieśni, czego dokazywał również z Dantem po włosku, z Szekspirem po angielsku, z Goethem po niemiecku, z Moliérem po francusku, z Mickiewiczem i Krasińskiem po polsku, posiadając niemniej fenomenalną zdolność do języków, starożytnych i nowożytnych, tak, że z równą biegłością jak po polsku, po francusku i po niemiecku, umiał wypisać się po grecku, po łacinie, po hebrajsku, Julian Klaczko, zamieszkały od roku 1849 w Paryżu, należał do najwybitniejszych osobistości wychodźtwa, a zajmując przez czas pewien »jakąś małą posadę« w ówczesnej *Bibliothèque Imperiale*, przeważnie trudnił się nauczycielstwem, bądź też zarabiał piórem, pisując do miesięczników francuskich, do *Revue contemporaine* i *Revue de Paris*. Do *Wiadomości polskich*, które redagował razem z Kalinką, pisywał bezinteresownie. Ale biedny pod względem materyalnym, mieszkający na 5-tem piętrze, zmuszony zadawalniać się obiadami za franka i 25 centimów, był bogaczem umysłowym i duchowym, jakich żaden naród nigdy nie posiadał wielu. Talent pisarski »z Bożej łaski« w całem tego słowa znaczeniu, a »umysł najświetniejszy i najrozleglejszy, jaki był w naszej literaturze drugiej połowy XIX wieku, obejmujący zarówno, a przenikający jak nikt drugi, kwestye polityki, literatury i sztuki«,[1]) jednocześnie zaś, obok genialnych zdolności, odznaczający się równą wzniosłością i szlachetnością uczuć i charakteru, Klaczko wywierał urok, któremu oprzeć się było niepodobna. Jego wielka nauka, której mu nie mógł odmówić nawet autor *Krewnych*,[2]) imponowała

[1]) *Przegląd polski*, 1902, Czerwiec, Juliana Klaczki pisma polskie.

[2]) W swej tragikomedyi p. t. *Złote kajdany*, będącej w postaci Centaurowicza odwetem za krytykę *Krewnych*, Korzeniowski »nie żartem mówi«:

Głowa to nielada,
Jakich niewiele mamy: pamięć rzadka,
Nauka wielka, bystrość i pojęcie.
Pisze wybornie...

każdemu, zwłaszcza, że ta nauka obejmowała zarówno literaturę i poezyę, jak sztukę i historyę, że Klaczko równie był biegłym w dziejach i poezyi starożytnych Greków i Rzymian, jak w poezyi średniowiecznej włoskiej i prowansalskiej, że równie dobrze znał *Historyę Florencyi* Macchiavella, jak *Dzieje Anglii* Macaulay'a, (którego był szczególnym wielbicielem), że choć wyspecyalizowany w *Historyi literatury polskiej*, którą nawet przygotowywał obliczoną na trzy tomy, choć nie ogłosił drukiem, to niemniej gruntownie znał piśmiennictwo zagraniczne. Jego młodzieńcze studyum polityczne, *Die deutschen Hegemonen*, postawiło go odrazu na czele wszystkich pisarzy politycznych polskich. Tarnowski, który już w uniwersytecie okazywał szczególne zainteresowanie dla naszej literatury politycznej, tak ocenia tę pracę Klaczki: »Takiej świetności pióra, takiego temperamentu, takiej siły namiętnej w oburzeniu i wzgardzie, takiej siły druzgocącej w inwektywie a przeszywającej jak stal w ironii, nie miał dotąd nigdy żaden Polak piszący o rzeczach politycznych. Przechodząc ich w myśli wszystkich, od Modrzewskiego i Orzechowskiego, aż do Mochnackiego, trzeba przyjść do przekonania i uznania, że takiego ognia, takiego rozpędu, nie miał żaden. Ani takiej sztuki. Dobór wyrazów najsilniejszych, zwrotów najniespodziewańszych a najwymowniejszych, antytez najśmielszych, sztychów dotkliwych jak żądło żmii, oznacza pisarza-artystę, stylistę-mistrza, jakiemu równych żaden język na świecie wielu nigdy nie miał i mieć nie może« [1]). Wobec tak wysokiego mniemania o Klaczce-pisarzu, popartego niemniej wysokiem mniemaniem o Klaczce-człowieku, nie dziw, że Tarnowski z każdym dniem coraz bardziej utwierdzał się w swym kulcie dla najświetniejszego z naszych prozaików, że jego pisma »umiał prawie na pamięć, chowając je w sercu, jak katechizm r y c e r s k i i polityczny!«

Ogromny wpływ wywierał nań również Kalinka, nietyle Kalinka-pisarz, ile Kalinka-polityk. Jako pisarz bowiem, choć był już autorem znakomitej książki o *Galicyi i Krakowie pod panowaniem*

---

[1]) *Historya literatury polskiej*, V, 480. Nadto ob. obszerną charakterystykę Klaczki w t. VI *Historyi literatury polskiej*. Część I, str. 309—327.

W swojem wspomnieniu o Konstantym Górskim pisze St. Tarnowski, z powodu jego pobytu w Paryżu przed r. 1860, między innemi, co następuje: »Paryż, w którym znaleźli się po swojej pierwszej młodości i niebawem zaczęli być znani i głośni, dwaj znakomici ludzie tego pokolenia: Julian Klaczko i Walery an Kalinka. Zrozumienie się i pociąg wzajemny między nimi i Górskim były rzeczą naturalną, konieczną. Zawiązała się wspólność przekonań i dążeń, wspólność pracy, ufność zupełna, przyjaźń dozgonna. Równocześnie ciągły wpływ Francuzów, tak znakomitych, jak Ozanam, Falloux, Montalambert, księży, jak

austryjackiem i licznych artykułów w *Wiadomościach polskich*, Kalinka ogromnie tracił na porównaniu z Klaczką, który go poprostu zaćmiewał. Gdy tamtego artykuły pochłaniano z zapałem, Kalinkę czytano tylko z zajęciem i uszanowaniem. Spokojniejszy, cichszy, nigdy nerwowy, nigdy błyskotliwy, zawsze sobie równy, zawsze doskonale poprawny, Kalinka jeszcze nie był tym wielkim stylistą, jakim się okazał później. Za to miał rzadki zmysł organizacyjny, czego już raz dowiódł jako redaktor *Wiadomości polskich*, których był duszą, a czego teraz dawał nieustanne dowody, jako jeden z głównych i najruchliwszych pracowników Biura. Tarnowski, który przez cały czas pracy swej w Biurze »terminował« głównie pod przewodem Kalinki, tak go charakteryzuje jako człowieka i działacza politycznego, a swego przełożonego poniekąd: »Na pierwszy rzut oka Kalinka najmniej ze wszystkich zwracał uwagi. Nie robił efektu — jak Klaczko naprzykład — wydawał się takim, jak wszyscy ludzie, a nawet może raczej odpychał, niż pociągał. Mały, w ruchach nie zbyt zgrabny, z wąsami i bródką, wyglądał na niezupełnego księdza. Może z powodu ruchów i układu, może przestając wiele z pobożnymi Francuzami, niechcący przejął od nich ten układ, który między nimi zdarza się nierzadko, ale dość, że gdyby nie szpiczasta bródka, można by go było wziąć za zakrystyana. Do tego, każdego świeżo przybyłego, a zwłaszcza młodego, brał zaraz na egzamin: chciał przeniknąć, jaki on jest i czy może z niego co być, a ten egzamin tem mniej się podobał, że bywał zwykle nieszczególnie zdany. Dopóki chodziło o rzeczy ogólne, ducha prowincyi lub niegodziwości rządu, odpowiedzi szły gładko, a młodociana swada znajdowała pole do popisu. Ale gdy pytania sięgały głębiej, do rzeczywistej znajomości stanu kraju, do różnych szczegółów, podatkowych, szkolnych, kościelnych i t. d., pokazywało się, że egzaminator znał przedmiot daleko lepiej, niż egzaminowany, i następowało pewne upokorzenie, nie bardzo przyjemne. Prócz tego jeszcze badał delikatnie i dyskretnie, ale dość stanowczo, religijne człowieka usposobienie i przekonania, i bardzo prędko przenikał jego słabości i wady; a tem wszystkiem obrażona osobista godność młodzieńcza, zżymała się i pytała *in petto:* co jemu

---

Lacordaire, Ravignan, Gratry. Przywiązanie najgorętsze do Montalamberta; podziwienie najwyższe dla literackiego i artystycznego usposobienia i wykształcenia Ozanama. Młody Polak miał się przy kim kształcić, otwierać sobie głowę, rozszerzać widnokrąg w ówczesnym Paryżu«. Prawie słowo w słowo to samo można powiedzieć i o Tarnowskim, który w ciągu swego pobytu nad Sekwaną ulegał tym samym wpływom, *plus* wpływ ks. Kajsiewicza i innych.

do tego? [1]). Dość, że sam Kalinka wydawał się ze wszystkich najmniej uderzającym i najmniej sympatycznym. Ale kto pobył dłużej — jak Tarnowski właśnie — i bliżej się rzeczom przypatrzył, u tego to wrażenie zmieniało się nieznacznie, z każdym dniem więcej, aż po niedługiem doświadczeniu i zastanowieniu zamieniało się w przekonanie, że właściwie wszystkie roboty Biura są na głowie Kalinki, w jego ręku się skupiają i na nim się opierają, jak na filarze trzymającym całe sklepienie. W pewnym szczególnym przymiocie czy darze każdy z towarzyszy mógł być świetniejszym od niego: ale żaden nie miał tylu przymiotów naraz, i żaden tego daru, żeby o wszystkiem wiedzieć, wszystko prowadzić, nic nigdy z oka nie spuścić. To, co miał w Biurze do prowadzenia, nie było to ministeryum, ale w mniejszym zakresie było do tego podobne; a tym *spiritus movens*, który wszystko poruszał, sprawy rozpoczęte posuwał, brał inicyatywę w tych, które podjąć się dały, a wszystkie do rychłego i porządnego wykonania doprowadzał, był Kalinka. Z ludźmi bardzo uprzejmy i delikatny, nie przełożony nad nimi i bez podwładnych, bez prawa rozkazywania, skoro wszystko było służbą ochotniczą z dobrej woli, umiał przecie wszystkich — Tarnowskiego nie wyłączając — tak krótko trzymać, że go słuchali, tak doglądać i pilnować, że zawsze musieli zrobić, i na czas, to czego się podjęli. Miał zaś ten dar szczęśliwy — czego między innymi i Tarnowski doświadczył na sobie — że zawsze odgadł, kto do czego może być właściwie i pożytecznie użytym. Do tego, umiał, jak nikt drugi, ludzi do roboty zaprzęgać. Jak on to robił? Bez kazań i morałów, ale działał na uczucie obowiązku, na patryotyzm, na wstyd, działał na każdego inaczej, stosownie do jego usposobienia, ale na każdego innemi środkami i na każdego swoim przykładem. Po krótkiej znajomości, po kilku rozmowach rozszerzał się zakres widzenia, ukazywało się wyraźniej i liczniej wszystko, co zrobionem być musi, jeżeli Polska ma się dźwigać; mierzyło się i liczyło wszystkie stopnie upadku, a im niżej się stało, tem się goręcej pragnęło i statecznej ślubowało nie spocząć, nie stanąć, póki się wszystkich sił nie wyczerpie, żeby się choć trochę wyżej wydobyć. Nikt nie umiał, jak on, wziąć człowieka za łeb (żeby się rubasznie wyrazić) i wydobyć z niego wszystko, co ten człowiek przy swoich zasobach rozumu i zdolności zrobić był zdolny. Umysł polityczny przedewszystkiem i do spraw politycznych głównie wówczas zwrócony, obejmował równie dobrze i równie żywo brał do serca wszystkie sprawy, pożytki

[1]) Mamy tu niewątpliwie do czynienia z osobistem wspomnieniem Stan. Tarnowskiego.

i postępy nauk, literatury, języka, nawet sztuki (choć w tej jednej jego zmysł nie był tak bystry i trafny, jak w innych gałęziach cywilizacyi). Stosunków szukał tylko z ludźmi, o których przypuszczał, że mogą się na coś przydać, a przyjaźnił się tylko z tymi, którzy tej nadziei nie zawiedli. Z tego wynikało, że choć całą emigracyę znał, a przynajmniej mógł znać i widział, to odwiedzał tylko takich pożytecznych, o innych nie pytał. Figury i domy emigracyjne, nieraz bardzo nawet znane i poszukiwane, dla niego były obce. Co w nim było zdumiewające dla tego, kto — jak Tarnowski naprzykład — już się znać na nim nauczył, to znajomość natury polskiej we wszystkich stopniach złego czy dobrego, i na wszystkich stanowiskach. Z wrodzonej jakiejś intuicyi, z tej władzy odgadywania i przeczuwania, jaką miewa czasem miłość (i miłość ojczyzny także), on zawsze każdy postępek zbiorowy czy osobisty, w przeszłości czy teraźniejszości, umiał psychologicznemi powodami objaśnić; w przyszłości umiał prawie zawsze trafnie odgadnąć, jaki postępek będzie skutkiem danych i widocznych psychologicznych powodów. I wreszcie jedna jeszcze własność, która się w nim odkrywała prędko, to instynkt i znajomość polskiego interesu. On przeczuwał, w czem ten interes i gdzie leży, tak, jak niektórzy ludzie czują, gdzie pod ziemią kryje się zdrój wody; on znał wszystkie jego szkopuły i niebezpieczeństwa; w każdym stosunku i położeniu wiedział, jak, którym prądem, którym przesmykiem tę biedną łódź puszczać, żeby się nie rozbiła, żeby w jakiejś przystani spoczęła, aby znalazła to, co jej do dalszej, do szczęśliwszej żeglugi potrzebne« [1]). Samo się przez się rozumie, że »terminowanie« w Biurze, pod bezpośredniem zwierzchnictwem tak wytrawnego polityka, jak Kalinka, i częste z nim już poprostu przyjacielskie stosunki po za Biurem — bo Tarnowski rychło sobie zdobył szczerą sympatyę Kalinki — były dla przyszłego autora *Studyów politycznych* z niesłychanym pożytkiem: była to dlań szkoła polityczna i patryotyczna, szkoła, w której niemało mógł się nauczyć, zwłaszcza, że uczył się bardzo pilnie. Nadto była to dlań jeszcze szkoła życiowa, bo Kalinka, który — według własnego zeznania Tarnowskiego — skoro tylko w kimś jakiś pierwiastek dobrej woli zobaczył, miał zaś na to wzrok bardzo bystry, starał się zaraz i najczęściej potrafił za ten jeden włos człowieka uchwycić, do roboty go wciągnąć, a w górę go ciągnąć. A że w Tarnowskim znalazł wyjątkowo podatny materyał po temu, więc też wpływem swoim moralnym podniósł go bardzo wysoko.

---

[1]) *Ksiądz Waleryan Kalinka*, str. 98—99.

Kontrastem Kalinki, którego bądź co bądź cechowała pewna oschłość, był Leon Kapliński. Należąc do koła ludzi, zgrupowanego koło Hotelu Lambert, w którem Tarnowski obracał się najwięcej, Kapliński zaprzyjaźnił się z nim szczerze, a lubiąc go bardzo, niemniej gorąco był lubianym, ba, poprostu kochanym przezeń. Natura artystyczna w każdym calu, malarz i literat w jednej osobie, był to człowiek wyjątkowej wartości, wyjątkowej prawości charakteru, a wszyscy, co go znali, a zatem kochali, pozostawali w stosunku do jego pięknej duszy, jak ów mickiewiczowski myśliwiec wobec »przepastnych krain« puszczy litewskiej: znali ją ledwie po wierzchu. Była to dusza brylantowej czystości, z niewyczerpanemi skarbami szlachetności i delikatności uczuć, dusza wzniosła i poetyczna, co tak wymownie zdaje się głosić mistrzowski portret Kaplińskiego, pędzla Henryka Rodakowskiego, jego serdecznego przyjaciela. »Obrazy Leona Kaplińskiego uratują wprawdzie jego imię od zapomnienia, będą świadczyły o jego talencie, i o czemś piękniejszem, lepszem przynajmniej od talentu, o tem, jak wysokie w nim było pojęcie sztuki, jaka cześć swego powołania, jakie sumienne i ustawiczne dążenie do doskonałości coraz wyższej, jak ciągły i widoczny postęp. Ale jakiem ono było, i jakie miał życie, jego obrazy nie powiedzą: nikt się z nich nie dowie, ile było skarbu uczucia w jego sercu, ile wdzięków w jego wyobraźni i w jego rozumie, a ile w jego życiu było walk i cierpień, pragnień nigdy nie zaspokojonych, miłości przebitych i konających, jak mówi poeta, a gorących, pielęgnowanych w sercu z męską wiernością, z niewieścią czułością i rzewnością«. Było to życie — powiada Tarnowski — jedno z najsmutniejszych, na jakie mu się zdarzyło patrzeć, i rzecz dziwna i rzadka, może prawie tak bolesne dla drugich, jak ciężkie dla tego, który je dźwigał. Widok tej natury, jednej z najsubtelniejszych i najwykwintniejszych, stworzonej do spokoju i szczęścia, niezmiernie wrażliwej i czułej, w nieustannem przeciwieństwie z wypadkami życia, nigdy harmonii pomiędzy życiem wewnętrznem a zewnętrznem, a potrzeba tej harmonii tak wielka, taka konieczna, jak u mało którego z ludzi, widok ten wywoływał współczucie, żal, gniew: nie cierpiąc, miało się ochotę narzekać i szemrać za tego, który nie szemrał i nie skarżył się za siebie nigdy, choć cierpiał. Wykształcony na wielkich poetach romantycznych, przepojony poezyą Mickiewicza i Krasińskiego, których poetyczne kreacye illustrował ze szczególnem upodobaniem, Kapliński był nieocenionym towarzyszem dla młodzieńca z aspiracyami literackiemi, jak Tarnowski, albowiem był to talent, w którym niezawodnie było tyle pisarza, literata, co artysty, i który, gdyby

nie był malarzem, byłby przez swoją wielką znajomość rzeczy, i przez swój smak wykwintny, został najpoważniejszym u nas sędzią w rzeczach sztuki. Kto wie nawet, czy ten zmysł literacki i krytyczny, ta wielka wybredność smaku, nie działały poniekąd źle na jego talent, czy nie do zbytku sam siebie sądził, a porównywując swoje dzieło ze swem pojęciem, obraz wymalowany z tym, który widział w swojej wyobraźni, czy nie stawał się zbyt względem siebie samego surowym i nieufnym. W latach 1861 i 1862, kiedy z nim na paryskim bruku zaprzyjaźnił się Tarnowski, szczerze do niego przywiązany i pełen uwielbienia dla tej duszy wzniosłej i poetycznej, Kapliński zdawał się być u celu swych aspiracyi artystycznych: w ciągłym postępie, w świecie artystycznym francuskim, a zatem naturalnie i w polskim, coraz więcej znany i ceniony, mógł uważać wstępne trudy za usunięte, a swój dalszy zawód malarski za jasny i piękny. Uboczne, rozrywkowe niemal jego zajęcia, pióro, pełne wdzięku, dowcipu, delikatnych spostrzeżeń, próbując się z powodzeniem w różnych pismach krajowych, głównie warszawskich, dopomagało mu także do wziętości i rozgłosu. Można było myśleć przez chwilę, że po długich latach trudu i goryczy przecież to życie ustali się do jakiejś równowagi. Tak myśleli jego najbliżsi przyjaciele z Tarnowskim włącznie, tak może myślał on sam. Niestety przyszłość nie dopisała [1]). W każdym razie Tarnowski, mając możność częstego obcowania z człowiekiem tej miary, jak Kapliński, korzystał bardzo wiele, jako przyszły estetyk i krytyk.

Niemniej dodatni wpływ wywierało nań pod tym względem towarzystwo Horacego Delaroche, dla którego po za uczuciem przyjaźni najserdeczniejszej miał prawdziwe uwielbienie, jako dla indywidualności wyjątkowej, genialnej, jako dla człowieka, w którym było coś z świętego. Syn wielkiego malarza, czystej krwi Francuz, Horacy Delaroche miał tak gorące ukochanie Polski i jej sprawy, że imieniowi jego w »narodowym pamiątek kościele«, należy się miejsce obok wielkich imion Montalamberta, Stuarta, Lescoeura, obok tych wszystkich zagranicznych przyjaciół i dobroczyńców Polski, czy oni zasłaniali ją tarczą swojej opieki i słowa, jak Lafayette, czy własnemi piersiami, jak Dumouriez za czasów Barskich, a później niejeden. Był to — powiada o nim Tarnowski — jeden z tych najrzadszych ludzi, których znajomość, a cóż dopiero przyjaźń przyjmuje się, jak jedną z wielkich łask i szczęść, jakie Bóg człowiekowi w tem życiu dać może, jeden z tych, o których się mówi z całego serca i z głębi

[1]) Por. *Przegląd polski*, 1873, Kraków. *Wspomnienie pośmiertne*, str. 137—144.

przekonania: to człowiek nie taki jak wszyscy, nie taki nawet, jak dobrzy ani jak lepsi między nami, to człowiek wyższy. Prawdziwie, zupełnie wyższy, bo serce miał wyjątkowo szlachetne, bo rozum miał wyjątkowo bystry, bo charakter miał wyjątkowo wyrobiony, a moc nad sobą i siłę woli wyjątkowo potężną. Bo w jakimkolwiek stosunku go uważać, z jakiegokolwiek punktu widzenia było na niego spojrzeć, widziało się go zawsze tak nieskończenie wysoko nad sobą, tak doskonałym, że miało się tylko dwa względem niego uczucia do wyboru: albo mu zazdrościć i nie znosić tej przygniatającej wyższości, albo ją z całej duszy uznać, kochać, wielbić, i czuć się szczęśliwym, lepszym, po każdem spotkaniu uszlachetnionym, podniesionym w górę przez każde zbliżenie, przez każde dotknięcie jego duszy. Tarnowski wybrał drugie z tych uczuć, uczucie równające się uwielbieniu, na które też 24-letni Delaroche — a więc jego rówieśnik — w zupełności zasługiwał. »W Wilnie — pisze Tarnowski w swem rzewnem wspomnieniu o Horacym Delaroche — mawiano niegdyś między młodymi przyjaciółmi Mickiewicza, że są ludzie, z których biją promienie dobrego, a to pewna, że wśród każdego pokolenia są tacy wybrani, przeznaczeni na to, aby drugich w górę za sobą ciągnęli. On był takim, był jak żeby otoczony jakąś światlejszą, czystszą atmosferą, a kto w okrąg jej wstąpił, podnosił się wyżej, sam często nie wiedział, jak i kiedy. I gdyby Delaroche był tylko Francuzem, jak każdy inny, gdyby był obcym, to i wtedy jeszcze byłby podbijał umysły i serca samą siłą i samą pięknością swojej moralnej istoty. A cóż dopiero, kiedy Francuzem będąc, tak, jak był powinien, z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich, był przytem Polakiem, jak każdy z nas, ale i lepiej, niż niejeden z nas! kiedy stronę moralną i zasadniczą sprawy czuł i pojmował tak dobrze i wzniośle, jak żaden z nas lepiej i wznioślej nie może, a jej stronę polityczną, rzeczywistą, ziemską, znał i rozumiał tak głęboko, jak między nami niewielu; kiedy porwany tym jakimś tajemniczym związkiem, jaki jest między wielkiemi Bożemi prawdami w dziejach, a ludźmi noszącymi myśli Boże w duszy, wybrał sobie i poślubił tę sprawę, której przez długie lata oddawał całego siebie, a nie opuścił aż do śmierci; kiedy ufnym i śmiałym całemi siłami prostował drogi do celu, a zwątpiałym i nieszczęśliwym dodawał ducha swojem hasłem *contra spem in spem;* kiedy do wszystkich darów, jakie Bóg zsypał na niego hojnie, łączył jeszcze tę miłość, czyż można się dziwić, że wydawał się czemś nadludzkiem prawie, prawie świętem, jakimś po świecie chodzącym, w rzeczywistości wcielonym ideałem, że człowiek sam zliczyć i zgłębić nie może tych mas wdzięczności, podziwu, mi-

łości, czci, zapału, które dla niego zbierały się w sercu i rosły ciągle«... Głęboko wierzący i religijny, w rzeczach ziemskich miał serce najgorętsze, a głowę zadziwiająco pojętną i na wszystko otwartą. We wszystkiem i zawsze znajdowało się u niego konkluzyę gotową, ostatni rezultat nauk historycznych, czy politycznych, czy filozoficznych, nie ten, którego z książek nauczyć się można, ale własną refleksyą zdobyty, i tak prosty i jasny, jak gdyby całe długie życie strawił był na wyciskaniu esencyi każdej z tych nauk. A przy tej sile i tym kierunku rozumu miał wyobraźnię żywą i bujną, która wszystkiemu dodawała skrzydeł, i to w stopniu tak wysokim, że Tarnowskiemu n. p. choć znał tylu ludzi wyjątkowej inteligencyi, nie zdarzyło się nigdy, jak sam przyznaje, spotkać umysłu, który, będąc tak poważnym, byłby zarazem tak powabnym. Usposobienie artystyczne takie, jakie się u artystów tylko widzi, a smak i wykształcenie takie, jak rzadko kiedy miewają najwięksi znawcy i najbardziej zapaleni miłośnicy. Gdyby był chciał, byłby niezawodnie okazał się talentem, bo n. p. do rzeźby miał talent niepowszedni; ale czując na sobie całe dziedzictwo chwały i tradycyi kilku pokoleń malarzy, dla dzieł ojca zwłaszcza mając cześć graniczącą z uwielbieniem, uważał, że wolno mu być wszystkiem w świecie, tylko nie artystą... Ale wzrósłszy w atmosferze sztuki, pomiędzy ojcem, dziadem, i ich przyjaciółmi, otoczony od dziecka wszystkiem, co świat artystyczny francuski miał najbardziej twórczego, wykwintnego i wykształconego, tak wyostrzył swój zmysł, tak wyrobił swój sąd, tak cały przesiąkł nawskróś sztuką, że nie było człowieka, który by ją lepiej od niego znał, pewniej sądził, i kochał z większym zapałem. Jeżeli było coś do zarzucenia tej organizacyi, to chyba tylko zbytek bogactwa, nadmiar zdolności do wszystkiego... Do wszystkiego zdolny, najlepiej usposobionym był do spraw i walk politycznych. Stąd wskazania jego, dotyczące spraw politycznych polskich, należały do najcenniejszych, najbardziej słuchanych i uwzględnianych. Ile z nim przybywało zawsze światła, energii, ile zaufania do narady odbytej w jego obecności, do postanowienia, powziętego z jego zgodą, o tem najlepiej wiedzieli ci nieliczni, co stanowili owo niewielkie a doborowe grono, obradujące podówczas w Paryżu pod przewodnictwem sędziwego księcia Czartoryskiego. Tarnowski, który miał szczęście należenia do tego grona, tak pisze o udziale w niem Horacego Delaroche: »W tej sumie inteligencyi i pracy, jaka się w owych latach kupiła koło gasnącego już, ale bardzo jeszcze żywego księcia Adama, sumie, jakiej drugi raz w życiu na jednem miejscu widzieć nam się nie zdarzyło, w tym zbiorze natur bardzo rozmaitych i odmiennych, nieraz wprost

sobie przeciwnych, ale równo imponujących świetnemi zdolnościami i wysokiemi cnotami, ten młodzieniec 24-letni może był w liczbie tych kilku, co jednemi i drugiemi świecili i zdumiewali najbardziej. Było to szczęście niemałe dostać się tam i pomiędzy takich, czuć, jak z każdym dniem głowa się otwiera i dusza rozszerza, i szczęściem także, prawdziwą rozkoszą było, żyć w małem kółku francuskich przyjaciół Horacego, których wspominając, zrozumieć trudno, jakim sposobem Francya mogła spaść tak nisko, kiedy ma takich Francuzów mądrych, i takich szlachetnych. Kiedy ich się słyszało mówiących między sobą o czemkolwiek, religii czy polityce, filozofii czy sztuce czy medycynie, kiedy prócz niego był Ravelet, albo ksiądz Perraud, czasem nawet i sam ksiądz Gratry, Funck, w późniejszych latach Sorel, tyle tam było rozumu i cywilizacyi, tyle szlachetności i wykwintności w umysłach, że człowiek mógł myśleć, jakoby był jakim młodym Polakiem, który gdzieś w XVI wieku z barbarzyńskiej północy dostał się za Alpy i zabłąkał przypadkiem w zebranie tych Włochów, którzy rozprawiają z sobą na Urbińskim dworze w sławnym dyalogu Castiglionego« [1]).

Ze szwagrem Horacego Delaroche, a sekretarzem Biura, młodym Ignacym Plichtą, zarówno jak i z jego rodzicami, łączył Tarnowskiego również serdeczny stosunek. Jak ojciec, były sekretarz Rządu Narodowego w r. 1830, a przedtem więzień cytadeli petropawłowskiej, był jedną z wielkich powag w emigracyi, matka zaś, Emilia z Pilchowskich, jedną z najświątobliwszych, a zarazem najmilszych matron polskich, tak, że każdy — a i Tarnowski między innymi — czcił ją i lgnął do niej z jakiemś synowskiem uczuciem, tak syn w swoich młodych latach i w swoim rodzaju był także doskonałością. Bardzo cichy i skromny, a bardzo rozumny i przenikliwy; zupełnie bez żółci, choć nie bez soli attyckiej w dowcipie; pewny jak skała, pracowity i pilny, jak rzadko bywa chłopiec z inteligencyą i wyobraźnią żywą: w przyjaźni — czego Tarnowski miał sposobność doświadczyć na sobie — serdeczny i wierny, w przywiązaniu oddany całą duszą; o swojej wartości nie wiedzący wcale, a o sobie tak nie myślący, jakby go wcale nie było na świecie; więcej jak szlachetny, bo w każdem uczuciu i położeniu aż nadto prawie delikatny; przytem pełen życia i młodzieńczej wrażliwości, choć na pozór bardzo spokojny; był z urodzenia i z natury cnotliwy, a przytem bardzo miły, i im lepiej poznany, tem milszy [2]).

Z pomiędzy starszych współpracowników Biura, z którymi Tar-

[1]) *Przegląd polski*, 1879, czerwiec, *Horacy Delaroche*, str. 476—484.
[2]) *Ks. Waleryan Kalinka*, str. 92.

nowski, jako ich młody pomocnik, wszedł w styczność osobistą, człowiekiem, który mu pod wieloma względami mógł służyć za wzór do naśladowania, był stary i wypróbowany przyjaciel Czartoryskich, były minister spraw zewnętrznych Rządu Narodowego w r. 1831 i autor cennych siedmiotomowych *Dziejów narodu polskiego*, Teodor Morawski. Tarnowski, który z nim spotykał się na różnych zebraniach i posiedzeniach, zarówno w lokalu Biura, jak i w Hotelu Lambert, tak go charakteryzuje, jako człowieka: »Odbywał różne przemiany, przejmował różne w następstwie czasu wyobrażenia i dążności, spiskował za młodu i podobno odkrywał pobożnie głowę przed domem Marata w Paryżu; w Warszawie w r. 1831 zajmował jedno z pierwszych miejsc w ówczesnym rządzie; na emigracyi był politycznym stronnikiem i przyjacielem wiernym ks. Adama Czartoryskiego; ale w jednym czy w drugim obozie, w młodzieńczych złudzeniach czy w doświadczeniach starości, miał zawsze to, co było najszlachetniejszą cechą jego pokolenia: nieskazitelną czystość charakteru i honoru we wszystkiem, czystość zamiaru w działaniu politycznem, poświęcenie i czynność w miłości ojczyzny. Rozumny i wykształcony, w obejściu ujmujący i świetny ogładą, a dobrem sercem przywiązujący, był jednym z doskonałych przykładów Polaka, zupełnie i na wskróś cywilizowanego. A przez całe życie tylko o Polsce myślący, pracujący dla niej umysłem i piórem, kiedy nie mógł inaczej, zdolny w późnym wieku zbogacić ją jednem z poważnych dzieł historycznych, jakie posiada, siebie w rzędzie najlepszych naszych historyków postawić, był bardzo pięknym przykładem Polaka, który wiary dochowuje do śmierci, a w czynnej służbie nigdy nie ustaje« [1]).

Oświadczywszy Andrzejowi Edwardowi Kożmianowi, że na razie, dla krótkości pobytu w Paryżu, nie chce zapoznawać się z tutejszem towarzystwem, Tarnowski miał na myśli głównie wielkoświatowe towarzystwo francuskie, bo od bywania w niektórych domach polskich, jak n. p. w Hotelu Lambert, lub u księżnej Marcelliny, wcale się nie wzbraniał. Szczególniej zebrania u księżnej Marcelliny, na których gromadził się prawdziwie goethowski *Kreis edler Gemüther*, nęciły go bardzo, nie mówiąc już o samem towarzystwie księżnej, dla której, od czasu jej pobytu w Krakowie, tyle miał czci i sympatyi. To też, przez cały czas pobytu swego w Paryżu, Tarnowski bywał — wraz z innymi członkami Biura — bardzo częstym i mile widzianym gościem księżnej Marcelliny, w jej wytwornie urządzonym apartamencie na *Avenue d'Antin*. Towarzystwo, jakie tu

[1]) *Przegląd polski*, 1879, grudzień, str. 465—6, *Teodor Morawski*

spotykał, o ile było wytworne pod każdym względem, o tyle nadto odznaczało się wyjątkową szlachetnością i zacnością moralną; księżna bowiem, o ile czuła potrzebę otaczania się gronem natur wyborowych, w całem tego słowa znaczeniu *edler Gemüther*, o tyle stanowczo i nieubłaganie, choć nader grzecznie zawsze, umiała trzymać zdaleka od siebie *vulgus* natur i wychowań grubych, umysłów ciasnych, charakterów płaskich. Lubiąc przyjmować u siebie, lubiąc widzieć, jak ludzie garną się do niej, z podziwem dla jej rozumu, rozmowy i talentu, księżna miała stałe postanowienia i umiejętność, żeby zbierać koło siebie towarzystwo »moralnie i umysłowo estetyczne«. W tem tkwił sekret uroku, jaki zawsze wywierał jej salon, jaki i teraz w r. 1861 i 1862 wywierał jej salon w Paryżu. Wchodząc do tego salonu, wstępowało się w »atmosferę estetyczności moralnej i intelektualnej«, atmosferę, o której najlepsze wyobrażenie daje Tarnowski, gdy w następujących słowach charakteryzuje towarzystwo, jakie wtedy w Paryżu spotykał w domu księżnej: »O ten świat głośny, odurzający szumem i gwarem, o ten, który opisują paryskie dzienniki, księżna nie dbała wcale. Błyszczący świat dworski nie wchodził do niej, ani ona szukać go nie chciała. Z francuskich wielkich stanowisk światowych spotykało się u niej właściwie tylko legitymistów, niekoniecznie najbogatszych, noszących największe tytuły, lub mieszkających w najpiękniejszych hotelach. Panie, które u niej bywały z zażyłością zupełną, miały często majątki i mieszkania skromne. Ale miały, jak margrabina de St. Aulaire naprzykład, za sobą całe życie godności i powagi, i zasłużoną sławę najmilszego, najwykwintniejszego rozumu; jej wnuczka, panna Marya de St. Aulaire, przez księżnę tak się przywiązała do Polski, że nauczyła się języka i później nawet ogłaszała rzeczy polskie w pismach francuskich, jak śliczne skrócenie *Mściciela* Szajnochy i przekład *Szwajcaryi* Słowackiego. Pani de Montessuy przynosiła tam tego ducha poświęcenia i miłosierdzia, który stworzył we Francyi wiele dobroczynnych zakładów, a między niemi jeden, w Juvisy, dla polskich Sióstr Miłosierdzia i starców od św. Kazimierza. O pani d'Haussonville mówiono, że ma wiele z rozumu swojej babki, pani Staël, ale bez tych pretensyi i zarozumiałości, jakie miała tamta; pretensye, pedantyzm, fałszywa poezya, znikły w tem doborowem kółku ludzi najznakomitszych, jakie w swoim czasie otaczało jej rodziców, a później przeszło na brata, księcia Broglie, na nią samą i jej męża. Księżna Chimay mogła uchodzić za typ i wzór francuskiej żywości umysłu, połączonej z obejściem bardzo dostojnem a najdoskonalej naturalnem, z charakterem tak szlachetnym, że dochodził do bohaterskiej odwagi i siły

w trudnych chwilach, i z talentem muzycznym, który nawet przy księżnie Marcellinie wyglądał świetnie. Muzycznym talentem także odznaczała się margrabina de Béthisy; a jaką była pani de Castellane — matka księżnej Antoniowej Radziwiłłowej — to wskazuje ten utarty i we Francyi do znudzenia powtarzany koncept, że Pan Bóg stworzył ją na to, by swojemi cnotami uczyniła zadosyć za wszystko, co się kiedykolwiek urodziło albo stało w domu Talleyrandów. To były z dam francuskich te, do których księżna albo była prawdziwie przywiązaną, albo przynajmniej bardzo je lubiła. Z pań polskich najserdeczniej przywiązaną była do jenerałowej Zamoyskiej, oraz do jej młodszej siostry, panny Cecylii Działyńskiej. Pani Delfina Potocka, o ile w Paryżu, a zwłaszcza jej siostra, księżna Beauvau, to nie była ścisła przyjaźń, ale zażyła i miła znajomość. Tych Polek zbyt świetnych, zbyt głośnych, które za drugiego cesarstwa brylowały w Paryżu — bo w Warszawie zostawać nie raczyły — a nietylko ukazywały się w Tuilleryach, ale czasem dostawały się do Faubourg St. Germain, z tych żadna u księżnej nie pokazała się nigdy. Za to często, zawsze, żony i córki emigrantów. Ta pani naprzykład, z profilem tak szlachetnym, a wyrazem tak pociągającym, że odgaduje się odrazu pod jej czarną suknią wielkie serce a życie niełatwe, to pani Plichcina; a obok, w sukience zawsze tej samej, czasem, kiedy niema nikogo, prócz najlepszych znajomych — do których między innemi liczył się i młody Tarnowski — nieśmiało siadająca do fortepianu: to jej córka, panna Kazimiera, kochająca księżnę do fanatyzmu prawie, późniejsza żona Horacego Delaroche. W tej grupie pań wyobrazić sobie trzeba, jako środkową postać męską, wielkiego Berryera, z tą głową wspaniałą, która z góry mówiła, jaki był człowiek i żywot. Musiał on mieć szczególne upodobanie w towarzystwie księżnej i wielką do niej sympatyę, bo zachodził często, bez zaproszeń, bez ceremonii, żeby cały wieczór porozmawiać, przerywając rozmowę słuchaniem muzyki. Przy nim druga postać czcigodna, a nam droższa, Montalambert. Wieczorem nigdy, bo ksiądz i zakonnik, ale w dzień często, ksiądz Gratry. Przepadał on za muzyką, zwłaszcza za muzyką księżnej; ona z zapałem i wiarą czytywała jego dzieła... Naprzeciw znakomitych pisarzy i mówców, niemniej znakomici artyści: Paweł Delaroche i Ary Scheffer, najczęściej, najzwyklej Eugeniusz Delacroix, pełen przyjaźni i uwielbienia dla księżnej, równie gorącego, jak jego talent i dusza. Z Polaków najczęstszym gościem księżnej bywał Klaczko, Rodakowski, Kapliński, Kalinka, Kożmian. Gałęzowski, z którego politycznemi sympatyami i zamysłami księżna nie zawsze mogła się godzić, był bardzo szczerze lubionym, bardzo wysoko cenionym

i wzajemnie wiernym przyjacielem. Z muzyków najwięcej bywał i z księżną grywał Vieuxtemps, dopoki się z Paryża nie wyniósł, a później Allard, skrzypek, profesor konserwatoryum, jego kolega a Chopina przyjaciel najserdeczniejszy, Franchomme, wiolonczelista, i Szwed — również Chopina uczeń — Tellefsen, fortepianista wielkiego talentu« [1]). W takiem to towarzystwie *edler Gemüther* spędził Tarnowski w paryskim salonie księżnej Marceliny niejeden niezapomniany wieczór, a kiedy zdarzyło się czasem, że księżna zasiadła do fortepianu, wówczas trudno było opędzić się czarownemu złudzeniu, że to Chopin jeszcze dawał się słyszeć z za grobu:

Wszystkim się zdawało,
Że to Chopin gra jeszcze, a to echo grało!

»Ale co za echo jego duszy, jego dźwięków, jego poezyi!« [2])... Ze sprawami Biura, podobnie, jak do niedawna z redakcyą *Wiadomości polskich*, księżna Marcellina łączyła się całem sercem, a zawsze na swój sposób: rada była wiedzieć, co się dzieje i robi, służyła pomocą, lub oddawała usługi, jeżeli mogła, ale nie chciała ani myślała wpływać, tembardziej kierować i rządzić. To niespokojne politykowanie — opowiada o niej Tarnowski — które często przyjemnie łudzi i odurza wyobraźnie i próżności niewieście, ta rola *de la mouche du coche*, którą niejedna odgrywa z zapałem, nie były do miary ani rozumu księżnej, ani jej zdrowego rozsądku, ani wreszcie jej moralnego i estetycznego usposobienia. Pojmowała ona rolę niewiast w sprawach politycznych nie jak zarozumiałą illuzyę owej muchy na obładowanej ciężarem furze, ale raczej żeby już w bajkach porównania szukać, jak cierpliwość i niedużość tej myszy, co nieznacznie umie rozplątać niejeden węzeł w sieci. Jak dawniej przy *Wiadomościach polskich*, tak i teraz przy robotach Biura, jej dom był przytułkiem, potrzebnem i najmilszem miejscem spotkania, wypoczynku, nieraz porozumienia; gromadził oprócz Polaków, francuskich członków Biura, jak Ravelet, zarówno jak i Francuzów z poza Biura, ale piszących o sprawach polskich, jak naprzykład Mazade. Był to bodaj czy nie ostatni okres życia księżnej, w którym sprawy polityczne jeszcze zajmowały głównie jej umysł, a uczucie patryotyczne zapełniało najbardziej czas, jeżeli nie serce. Ale od czasów krakowskich zaszła w niej już różnica dość widoczna: życie wewnętrzne, duchowe, religijne, i zewnętrzne czynne życie chrześcijańskie, postąpiły i roz-

[1]) *Księżna Marcellina Czartoryska, Przegl. polski*, 1895, czerw., str. 265—268.
[2]) Tamże, str. 261.

winęły się znacznie. W kwestyach kościelnych, w kwestyi władzy świeckiej naprzykład, na którą członkowie Biura zapatrywali się różnie, ona zawsze trzymała się jenerała Zamoyskiego i Kalinki, a więc stanowiska najodważniej i najstateczniej katolickiego [1]).

Na stanowisku tem stał również z całą rodziną swą i sędziwy książę Adam Czartoryski, który był zdania, że »katolicyzm nie powinien być z miłości ojczyzny, ale patryotyzm z miłości Boga«. W domu jego, w Hotelu Lambert, »w tym pięknym pałacu, przytułku wygnańczym, co w powadze i smutku swoim był jak namiot na pustyni rozbity, namiot, pod którym wędrowcy upatrywali drogi do powrotu i chwili powrotu czekali« [2]), w domu tym, w którego atmosferze unosiło się coś królewskiego, Tarnowski, i za życia księcia Adama, i po jego śmierci — w dniu 15 lipca 1861 roku — bywał dość często, zarówno na naradach politycznych, jak i prywatnie, w kółku domowem, jako znajomy i wiele obiecujący młodzieniec [3]).

Z kim także widywał się z pewnością, to z księdzem Kajsiewiczem, który w r. 1861 mieszkał w Paryżu, a nawet miewał kazania polskie w kościele d'Assomption. Obcowanie z nim, zarówno jak z kilkoma światłymi księżmi francuskimi, z tej miary sługami Kościoła, jak ksiądz Gratry, ksiądz Perraud, ksiądz Lescoeur, a także obcowanie z ludźmi, tak oddanymi Kościołowi, jak Montalambert, Zamoyski, Kalinka, wszystko to powoli zaczęło podkopywać liberalne zapatrywania Tarnowskiego, tak, iż jego »subtelne rozróżnienia między Wiarą a Kościołem«, coraz bardziej ulatniały się i topniały. Pod tym względem wywierała nań niewątpliwie wpływ znaczny także i księżna Marcellina Czartoryska. Stwierdza to sam Tarnowski, kiedy tak pisze o księżnej: »Nieznacznie, roztropnie, wywierała wpływ i religijny także. Kazań lub teologicznych wykładów nigdy; ale pośrednio, przez rozmowę o tej lub owej postaci lub książce, zachęcenie do czytania, do oświecenia się, do przekonania się, a zawsze z doskonałem odgadnieniem sposobu, w jaki do każdego indywiduum trafić mogła. Jeżeli usposobienie uczuciowe, wyobraźnia poetyczna, a pobożność uśpiona, zachwalać takiemu Katarzynę Emmerich; może przez czytanie wzruszy się nad Męką Pańską. Jeżeli umysł ciekawy psychologicznych zjawisk i procesów, rozciekawić go do osoby Św. Augustyna, który, przeczytany, już sam da sobie radę z młodym

[1]) *Księżna Marcellina Czartoryska*, str. 278—9.

[2]) Mowa na pogrzebie Wł. Czartoryskiego.

[3]) A. E. Koźmian pisze do rodziny d. 9 marca 1861, (*Listy*, IV, 247): »Stasia Tarnowskiego rzadko widuję; i on także czynny, (w Biurze) wczoraj spotkałem się z nim w *Hotelu Lambert*«.

czytelnikiem. A jeżeli w uprzedzeniach do katolickiego Kościoła, twardy i uparty, podsunąć mu protestanta, Guizota, *Medytacye o istocie chrześciaństwa*; tego będzie czytał z mniejszem uprzedzeniem, i przez niego może trafi na prawdziwą drogę« [1]). Sama księżna Marcellina już w tych czasach bardzo była gorliwą w rzeczach pobożności, a miłosierdzie posuwała tak daleko, że nietylko nie cofała się przed oddawaniem posług najgrubszych w szpitalu, ale nawet była zdolną, przy pielęgnowaniu chorych, przełamywać odrazę i wstręt... Do Komunii św. przystępowała codziennie, a wspomagając konferencyę polską, młodych ludzi — a pewno i Tarnowski nie stanowił w tym razie wyjątku — namawiała do Towarzystwa Św. Wincentego. Że taki przykład musiał działać na młodzieńca, jak Tarnowski, który miał kult dla księżny, graniczący z uwielbieniem, to nie ulega kwestyi. Zwłaszcza, że i inne wpływy działały w tym samym kierunku. A takim, obok bardzo silnego wpływu ks. Kajsiewicza, był niemniej zdecydowany wpływ i Wład. Zamoyskiego, i Kalinki. Zamoyski był tak wierzącym i stałym w swych przekonaniach katolickich, jak mało kto w emigracyi, jak nikt może, z wyjątkiem tego grona ludzi, z pośród których wyszedł pomysł zakonu, a następnie i zakon Zmartwychwstańców. On pierwszy z emigrantów wybrał się do Rzymu, do Papieża. Czuł potrzebę złożenia obedyencyi, ale zarazem i wypowiedzenia, co myślał; i kiedy cała emigracya bolała nad bullą Grzegorza XVI z roku 1832, a po części odstawała od Kościoła, on jeden pojechał, mówił, żalił się i otworzył oczy. Trafne rozumienie Rosyi, jakie Grzegorz XVI miał później, zaczęło się od pierwszej audyencyi Zamoyskiego; on rzucił jakieś pierwsze światło, które im dalej, tem lepiej się rozjaśniało. Sam zaś, coraz gorętszy w uczuciach, a coraz stalszy w przekonaniach katolickich, szukał ich w drugich i rozniecał je z całą siłą swego rozumu, z całym zapałem swej niezwykłej duszy. Doświadczył tego na sobie i Tarnowski; bo jak Kalinkę, katolika i księdza, w wielkiej części wychował i przygotował Zamoyski, tak i na niego, na jego n. p. przekonania w kwestyi władzy świeckiej Papieża, jenerał oddziałał bardzo stanowczo. Analogiczny, a może najsilniejszy ze wszystkich, był wpływ Kalinki. Kalinka zawsze był stalszym w swych przekonaniach religijnych, niż wielu emigrantów, tak dalece, że nawet w rozmowach często schodził na kwestye kościelne, co mu niektórzy poczytywali za zbytek nabożności, a ponieważ do Kościoła zwykle chodził z książką, co mu poczytano za oczywistą hipokryzyę i świętokradztwo, więc go nazywano

[1]) *Księżna Marcellina Czartoryska*, str. 276.

Jezuitą. On tymczasem, im dłużej bawił we Francyi, im bliżej poznawał tamtejsze życie katolickie, tem bardziej utwierdzał się w swoich przekonaniach, tem bardziej wzmacniała się jego miłość Wiary i Kościoła. Wpływ Montalamberta i ludzi go otaczających, wpływ księdza Lescoeur, a nadewszystko wpływ Horacego Delaroche, przez którego zapoznał się z francuskiemi dziełami miłosierdzia, posuwały go coraz dalej w tym kierunku. Reszty dokonał osobisty wpływ Wł. Zamoyskiego. Wszystko to sprawiło, że w latach 1861 i 1862, gdy Tarnowski zaprzyjaźnił się z Kalinką, ten ostatni był nietylko najściślej prawowierny i gorąco pobożny, ale nadto miał takie przywiązanie do Kościoła, jak to u świeckiego człowieka spotyka się rzadko, a jeszcze rzadziej u świeckiego Polaka. Przyjaciół miał i kochał wielu między świeckimi, ale zwierzał się i wywnętrzał, o sobie samym mówił tylko księżom, u nich szukał rady w wątpliwościach sumienia lub walkach zewnętrznego życia. Z księdzem Kajsiewiczem łączył go już wtedy stosunek bardzo ścisły, wzajemnej przyjaźni i ufności, ale i pewnej uległości. Znakomitych duchownych francuskich szukał, znał, nie opuszczał ich kazań i konferencyi. Do Sakramentów uczęszczał pilnie. Duszą jego prac, jak początkiem i końcem rozmów — a więc i rozmów z Tarnowskim — był Bóg i Jego służba, Kościół i jego miłość: służba ojczyzny była formą służenia Bogu, jej miłość częścią i stopniem jego miłości, częścią konieczną, która miała w sobie swój cel, ale nie była skończoną i z tym celem czemuś wyższemu służyła, i o tyle była żywotna, niezwyciężona i nieśmiertelna, o ile miłością Boga przejęta i prowadzona, z niej czerpiąca siły na wszystko, w niej miała pewną igłę magnesową, przy której zbłądzić nie mogła [1]). Całkiem tak samo zapatrywał się na patryotyzm i Horacy Delaroche, a wpływ tego genialnego młodzieńca, jak był w rzeczach wiary silnym na Kalinkę, tak i na Tarnowskiego, który, mieszkając u niego, przestawał z nim może najwięcej, niemniej był decydującym. W rzeczach bowiem religijnych — jak świadczy sam Tarnowski — była u Horacego taka i to od lat najmłodszych stałość przekonań, takie wyrozumienie zasad, takie zgłębienie i pogodzenie pytań niepokojących czasem sumienia, takie zwycięskie pokonanie wszelkich wątpliwości, jak żeby przebywszy wszystkie szczeble doświadczeń i nauk był się wzniósł w sferę zupełnej jasności. A przytem była gorącość uczucia, jakiej się u ludzi świeckich, u mężczyzn nie spotyka prawie nigdy. Najczęściej się zdarza, że wierząc, prosząc, modląc się, myśli się o czemś, co się kocha

[1]) *Ksiądz Waleryan Kalinka*, str. 95—96.

inaczej, i tu na ziemi. On miał jakąś miłość Boga taką, jak miewają święci, która wszystko obejmowała, wszystko przenikała, wszystko jednoczyła: to nie były różne rodzaje uczucia, osobny dla każdego przedmiotu, Boga, Ojczyzny, ludzi czy rodziny, to była jedna miłość w różnych tylko zastósowaniach, a tak mu wrodzona i łatwa, że nie pojmował nawet, jak może być inaczej, jak można tu robić rozróżnienia, jak można nie czuć i nie znać w sobie miłości Boga tak wyraźnie i doskonale, jak się zna i czuje miłość ojca, matki, żony albo dziecka.[1])

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że Tarnowski przez czas pobytu swego w Paryżu, żył tylko życiem politycznem i umysłowem, że po za Biurem, Hotelem Lambert i domem księżnej Marcelliny, nie udzielał się światu, nie żył życiem paryskiem. Nie należy zapominać, że była to świetna epoka drugiego cesarstwa, a bodaj czy nie zenit wpływu i uroku Napoleona III, że Paryż ówczesny, wesoły i rozbawiony, wygwizdujący *Tannhäusera* a kankanujący w takt muzyki Offenbacha, naprawdę był stolicą świata, *ville auguste* — jak go nazywa Leconte de Lisle — *cerveau du monde, astre des nations, ruche immortel des ésprits!* Tu były najwspanialsze muzea i galerye dzieł sztuki, tu najbogatsze biblioteki, tu wreszcie najświetniejsze teatry. Jak w Wiedniu w swoim czasie *Burgtheater*, świetnie wystawiający arcydzieła Szekspira, Schillera i Goethego, tak teraz paryski *Théâtre Francais* z wzorowemi przedstawieniami sztuk Kornela i Rasyna, Moliére'a i Beaumarchais'go, Musseta i Wiktora Hugo, Scribe'a i Dumasa, z takimi znakomitymi artystami, jak obie Brohan, panna Fixe, Regnier, Montrose, Worms, Lefebvre, i w. i. wpływał na wyrobienie smaku, rozwijał wrażliwość i kulturę estetyczną, budził refleksye krytyczne, słowem, cywilizował, kształcił, rozszerzał widnokręgi. A tak samo kształbąco oddziaływały muzea i galerya Louvru, z takiemi arcydziełami rzeźby starożytnej, jako Wenus Milońska, z mistrzowskiemi obrazami Rafaela i Murilla, Tycyana i Rubensa, z nowoczesnemi płótnami Ary Scheffera i Pawła Delaroche, z wielkiemi malowidłami genialnego Delacroix, z pysznemi portretami Winterhaltera i Flandrina.

Ale za pierwszym razem bawił Tarnowski niedługo nad Sekwaną, bo ledwo miesiąc. Przybywszy tu pod koniec lutego, już w dniu 23 marca jechał z powrotem do kraju.[2]) W kraju bowiem,

[1]) *Przegląd polski*, 1879, czerwiec, str. 477—8.

[2]) Dnia 21 marca 1861 pisał z Paryża do rodziny A. E. Koźmian: »Staś Tarnowski wychodzi odemnie; był z pożegnaniem«. Zaś dnia 23 marca: »Paczkę oddałem Stasiowi Tarnowskiemu, który dziś wyjeżdża. Zaniosłem sam tę paczkę

zarówno w Królestwie, jak w Galicyi, rozgrywały się wypadki pierwszorzędnej doniosłości politycznej: w Warszawie zmagał się Wielopolski z Towarzystwem Rolniczem, które uważał za rząd w rządzie, we Lwowie zaś, wkrótce po Wielkiejnocy, miał się zebrać pierwszy sejm galicyjski.

Jak całe grono tyczyńskie, tak i Tarnowski nie płonął zapałem na myśl o Wielopolskim. Cóż dopiero, gdy Margrabia rozwiązał Towarzystwo Rolnicze! Wtedy stanowczo szala przechyliła się na korzyść »pana Andrzeja«, w którego i tak już przedtem wierzono tyle przynajmniej, ile nie ufano Wielopolskiemu. Zresztą — pisze dobrze świadomy tych spraw Stanisław Koźmian — od procesów o ordynacyę i zapisu Świdzińskiego, od wstąpienia Zygmunta Wielopolskiego do wojska rosyjskiego, straszono w Polsce dzieci margrabią Wielopolskim. Cóż dziwnego tedy, że nawet dla nieco więcej wykształconej młodzieży nie miał siły przyciągającej, zwłaszcza dla młodzieży, pozostającej w stosunku z Hotelem Lambert. Wreszcie Wielopolski stawiał rzecz dobrze obmyślaną, dokładnie określoną. Było to wstrętnem pokoleniu, które pod wpływem wielu czynników, także i poezyi, zdążało do czegoś odczutego a nieobmyślanego, i roz-

---

i przy tej sposobności odwiedziłem Horacego Delaroche, który biedak słaby — zawsze znakomity«.

W sprawozdaniu swem z IV. tomu *Listów A. E. Koźmiana* Tarnowski w ten sposób pisze o odbiciu się roku 1861 w tych listach, o chwili dziejowej, którą sam na paryskim bruku, jako współpracownik Biura, przeżył z Koźmianem: »Zaledwo się zaczął rok 1861, kiedy pierwsze wypadki warszawskie wstrząsły każdą duszą polską, i trzeba powiedzieć, opinią europejską. Koźmian, jak wszyscy (a i Tarnowski między innymi) zrazu jest w uniesieniu. Nie widzi przygotowania, organizacyi; widzi tylko i podziwia wzniosłość, a mniema widzieć zadatek zmiłowania Bożego. Jest już od przeszłej jesieni owe Biuro, przeznaczone do objaśnienia, do wychowania opinii francuskiej w sprawach polskich; od tych wypadków czynność jego rozwija się bardzo. Między Paryżem a krajem kursują bezustanku listy i ludzie (Tarnowski w ich liczbie). Jak postępować, co robić w Paryżu, a co w Londynie? jak paraliżować wpływy przeciwne? jak pozyskać oparcie u cesarza? Koźmian nie może w listach posyłanych pocztą opisywać rzeczy wyraźnie i szczegółowo; ale daje poznać je bardzo wiernie, bardzo dokładnie, a kiedy może, to i zupełnie otwarcie. Naprzykład zakłopotanie cesarza, któryby chciał, a któremu ta sprawa wypada nie na rękę; stąd wahania i cofania się. W półurzędowych dziennikach (*Constitutionnel*) sztywne i zimne wyparcie się Polaków; a gdy u tych i u Francuzów dało się uczuć wrażenie przykre, wyparcie się tego wyparcia. My, zamiast chwiejności i niepewności własnej woli, widzimy w tem dobre znaki. Lękamy się trochę, żeby poczęty ruch nie zboczył ze swojej drogi, nie zmierzał do walki nierównej, ale w to naprawdę nie wierzymy. Bóg nie dopuści; a miłość ojczyzny i rozum przecież są! Tak myślimy wszyscy, tak myśli Koźmian«.

namiętniało się dla czegoś nieokreślonego.[1]) Jakoż i Tarnowskiego, jak jego przyjaciół, jak zresztą wszystkich prawie, odpychał określony i konkretny system Wielopolskiego; sposób zaś, w jaki rozwiązał Towarzystwo Rolnicze, i całe zachowanie się jego po dniu 8 kwietnia, do reszty niweczyły wszelki cień uznania dla działalności Margrabiego. Co o nim w r. 1861 myślał Tarnowski, który wogóle należał do stronników Andrzeja Zamoyskiego, o tem zupełnie dokładnie informuje jego ocena książki Lisickiego, gdzie między innemi tak charakteryzuje Wielopolskiego: »Wtedy zaś robił Margrabia wrażenie, jak żeby znając sam siebie, żądał był, żeby go wszyscy znali tak samo, jak żeby mówił: ja wiem, żem zdolny, że dobrze chcę i że wiele mogę, a wy, jeżeli tego nie wiecie lub nie wierzycie, to tem gorzej dla was. Żeby w was tę wiarę wlać, na to nie stracę ani jednego słowa; com wart, pokażą wam moje czyny. A tymczasem myślcie, co chcecie, ja i tak bez was, mimo was, spróbuję, a może zdołam was zbawić!... Jest w takich charakterach wielkość, a w tej wielkości urok, któremu oprzeć się trudno; ale tragicznie wspaniałe, politycznie charaktery takie bywają w działaniu niepraktyczne. Przepyszny i porywający jest Koryolan Szekspira, kiedy nie raczy przekonywać i wpraszać się w łaski, ale tą hardością człowieka świadomego siebie i arystokraty sprowadza klęskę Rzymowi i sobie, tryumf przeciwnikom. Hardości takie, nie raczące zniżać się do głupszych i przed nimi tłomaczyć, bywały i w Polsce, a gdyby tego mniej, gdyby więcej względu na ludzi i daru a raczej woli przeko-

[1]) St. Koźmian, *Pisma polityczne*, str. 478 (Ludwik Wodzicki). Do tych czasów, kiedy Tarnowski, wraz z braćmi swymi, z Ludwikiem Wodzickim i St. Koźmianem, stawiał swe pierwsze kroki polityczne (w Krakowie głównie), odnosi się następujące wspomnienie, zapisane przezeń w słynnym artykule o *Sumienności dzienników i dziennikarzy*, a którego głównym bohaterem jest niewątpliwie Juliusz Tarnowski: »W roku 1861 toczyła się rozmowa o ówczesnych wypadkach pomiędzy dwoma ludźmi. Jednym był młodzieniec, zaledwie dwudziestoletni, który w dwa lata później poległ od kuli moskiewskiej, drugim był zmarły dziś także naczelnik zamierzonego ruchu z roku 1846, Franciszek Wiesiołowski. Ten ostatni utrzymywał, że należy coprędzej organizować powstanie, drugi, że trzeba czekać. »Czekać?« rzekł z oburzeniem dawny konspirator. »Winszuję cierpliwości i rezygnacyi. Na cóż to czekać i jak długo, może dziesięć lat albo i dwadzieścia?« »Choćby pięćdziesiąt i sto, jeżeli wcześniej nie zdarzy się sposobność, których jest tylko dwie pewnych: powszechna wojna z Rosyą, lub jej wewnętrzny rozkład. Narażać zaś przyszłość Polski na niepewne, nie godzi się nigdy i pod żadnym warunkiem, i jeżeli kto o tem wiedzieć powinien, to naczelnik poronionego powstania z roku 1846.« Odpowiedź była sroga, ale zasłużona; a skutek pokazał, który z tych dwóch ludzi kochał ojczyznę, nie więcej, bo tego nigdy sobie mierzyć i sądzić nie pozwolimy, ale lepiej i rozumniej.« *Studya polityczne*, I, 29—30.

nywania, kto wie, czy starzy Czartoryscy, wojewoda ruski i kanclerz litewski, nie byliby zdołali polityce swojej zapewnić zwycięstwa. »Margrabia także (może najniesłuszniej) wydawał się tak hardym, nie dbającym o ludzi i sądy. On nie przekonywał nigdy, ale chciał, żeby go odgadywano; nie zniżył się do nikogo, chciał, żeby uniżano się przed nim; dyskusyi, sprzeciwiania się nie cierpiał; zawsze samotny, politycznego poparcia nie szukał, żądał tylko odgadywania i posłuszeństwa. Zdaje się, że rozum jego i system jego nie miał gorszego nieprzyjaciela nad niego samego. Czyniąc dobrze Polakom, szukał zdaje się okazyi, żeby im dać uczuć, że on jeden między nimi ma rozum, a zamiast przygarniać do siebie, uśmierzać i łagodzić, on przy lada sposobności drażnił i wyzywał. I dlatego przy rozumie ogromnym i bardzo politycznym, był to niepolityczny charakter«. Słowa te, wyjęte z rękopiśmiennych notat jednego także z naocznych świadków tych zdarzeń, a z ludzi — prosimy wierzyć — bardzo znakomitych, przytaczamy tu, jako określające doskonale to wrażenie, jakie Margrabia robił na współczesnych. A, jeżeli żaden człowiek polityczny nie mający armii na rozkazy, nie może obejść się bez »przekonania« ludzi, a nawet »zniżenia się do nich«, kiedy tego potrzeba, to cóż dopiero w Polsce! i cóż dopiero margrabia Wielopolski! On, przez lat trzydzieści utajony i nieznany; on, autor *Listu szlachcica*, którego ostatnie słowa, prawda, że zmodyfikowane bardzo jego projektem adresu, ale mimo to nie zapomniane, znaczyły zdanie się Rosyi na łaskę i niełaskę; on niepopularny wskutku procesu Świdzińskich, jakże on dopiero potrzebował i powinien był przekonywać i przygarniać!... A więc cóż miał robić? Ogłaszać patryotyczne frazesy w okólnikach, w poufnych rozmowach odgrażać się na Moskali, polować na popularność, ubiegać się o poklask gazet i gawiedzi? Nie: powinien był swoje stanowisko urzędnika szanować i strzedz go pilnie przed wszelkiem podejrzeniem, ale zarazem pamiętać, że na tem stanowisku i w Petersburgu samym byłby silniejszy nierównie, gdyby się na nim ukazał otoczony ludźmi i poparty przez ludzi, mających w kraju ten wpływ, jakiego sam nie posiadał; zrozumieć i rozróżnić dobrze, że na dnie był zapewne spisek z rewolucyą powszechną związany — w początkach słaby bardzo — ale nad nim w ogromnej większości były same czyste narodowe dążenia, i jednego z drugiem nie mieszać, nie brać jednego za drugie; powinien był przekonać i pozyskać członków Komitetu Towarzystwa, a dobry stosunek z nimi po rozwiązaniu Towarzystwa dla całego kraju widomy, byłby do niego rychło opinię całego kraju

nawrócił. Oto jest wrażenie, z jakiem podówczas patrzaliśmy na Margrabiego, ci, którzy stali od niego dalej...«[1])

Tymczasem we Lwowie, dnia 15 kwietnia 1861 roku, rozpoczęły się obrady pierwszego sejmu galicyjskiego. Tarnowski pospieszył do Lwowa, na sejmie tym bowiem, bardzo brzemiennym w następstwa, miała się rozstrzygnąć sprawa autonomii i samorządu gmin. Od tego sejmu miało się datować zniesienie stosunków poddańczych w Galicyi, a gdy w ciągu obrad wypadło »stawić czoło tradycyom roku 1846 i od chłopskiego socyalizmu i serwilizmu bronić polskiego interesu i charakteru kraju, a wśród niego i wbrew jemu zasadzić i wyhodować polską politykę sejmu«, Tarnowski nieraz okazał się pożytecznym, przyczem oczywiście zbliżył się do niektórych posłów sejmowych, w tej liczbie do Józefa Bauma, którego żartobliwie, ale z zupełną świadomością, że zaszczytnie, nazywano *Królem chłopów*. W tym stosunku bardzo trudnym, gdzie chodziło o to, by się do posłów włościańskich zbliżyć, żeby ich w każdej sprawie z osobna nauczyć, przekonać, do dobrego głosowania nakłonić, pomagał, jak mógł, i Tarnowski, wzorując się na Baumie, który w ciągłej styczności z ludnością wiejską, miał wielką jej, na doświadczeniu opartą znajomość, miał nietylko dar, ale i umiejętność mówienia, dysputowania z chłopem, trafiania do jego przekonania: budził w nim zaufanie, a zarazem podobał się, był mu sympatyczny. To też, dzięki tym zabiegom, miał ogromny wpływ na posłów włościańskich, na polskich zarówno, jak i na ruskich, co znowu stało się podstawą jego wpływu w sejmie. Z tego przykładu Bauma, przykładu pouczającego wiele, Tarnowski już wtedy wyciągnął »praktyczną może dla wszystkich i dla każdego z osobna naukę, gdzie siły szukać i skąd ją czerpać. Człowiek, który rozumie lud wiejski i ma jego ufność, musi być silnym w kraju: tak samo, przez to samo, może być silnym kraj w swoich politycznych dążeniach i działaniach«.[2]) Był to czas wogóle, gdzie paliło się nietylko w młodych głowach, sądzono bowiem, że na skutek zmian konstytucyjnych, i w Austryi, i w Galicyi, zanosi się na nową erę. Jak Adam Potocki, który wtedy stał na czele akcyi politycznej galicyjskiej, tak i każdy patryotycznie usposobiony Polak, a już z pewnością Tarnowski, musiał sobie obiecywać działanie skuteczne i różne, musiał przypuszczać, że Austrya swoje położenie rozumie lepiej, że stosunek swój do Polaków pojmuje zdrowiej, niż dawniej za Metternicha, lub nie-

[1]) Henryka Lisickiego »Aleksander Wielopolski« *Przegląd polski* 1879, listopad, 178—186.

[2]) *Przegląd polski*, 1883, styczeń, 140. *Józef Baum*. Wsp. pośm.

dawno za Bacha, że we Lwowie, jak i w Wiedniu wiele da się zrobić, przynajmniej dla jednej prowincyi. Marzono więc — a Tarnowski i jego tyczyńscy przyjaciele podzielali te marzenia — o szerokiej akcyi politycznej, swobodnej i konsekwentnej, a zaczynającej od podstaw, od stosunków społecznych, od zarównania przepaści między ludem a szlachtą, rozwartej od roku 1846. Zamiast tego zastało się w sejmie lwowskim większość niepewną, złożoną z najróżnorodniejszych i najsprzeczniejszych opinii, która tylko ostatecznym środkiem solidarności jako większość utrzymać się mogła, a mniejszość nienawistną, zdradliwą i w nienawiści ustawicznie podszczuwaną. Jednocześnie w Wiedniu za Schmerlinga, w zmienionych formach, panowały te same pojęcia rzeczy, te same intencye, co przed r. 1860: w liberalnych konstytucyjnych pozorach prowadziło się dalej to samo dzieło politycznej centralizacyi, a społecznej dezorganizacyi. Ta dążność, ta maksyma, objawiała się ciągle przy obradach nad nowemi urządzeniami; ministeryum i liberalna większość niemiecka, w zgodzie i w porozumieniu, dążyły do jednej normy ustaw gminnych dla całego państwa, od której sejmy krajowe w małym tylko zakresie zbaczać mogły. Chodziło o grunt, o tę pierwszą jedność społeczną, z której potem wszystkie wyższe zasilne organizmy i instytucye wyrastają krzywo lub prosto. W projekcie rządowym, w usiłowaniach lewicy, widział Tarnowski — wraz z *Czasem* i Adamem Potockim — niebezpieczeństwo utrzymania nadal, owszem, ubezpieczenia nowem prawem, tego rozkładu społecznego, jaki był.[1])

Były to czasy »żałoby narodowej«, czasy egzaltacyi patryotycznej, których podniosły nastrój wymownie odtworzył Montalambert w swej patetycznej broszurze: *Une Nation en deuil.* Szczerze sprzyjający sprawie polskiej Montalambert bawił w czerwcu roku 1861 z żoną i córką w Krakowie, w odwiedzinach u rodziny Skrzyneckich (gdyż jedną z córek jenerała trzymał w swoim czasie do chrztu), a także by poznać starożytną stolicę Polski, by się zbliżyć do społeczeństwa polskiego, któremu tylokrotnie dawał dowody sympatyi, i wreszcie, by odnowić przyjaźń z dawnymi znajomymi: z Pawłem Popielem, z Maurycym Mannem, z Zygmuntem Golianem, z Romanem Załuskim, z Adamem Potockim. Ta bytność w Krakowie słynnego obrońcy Kościoła i przyjaciela Polski była prawdziwym ewenementem dla miejscowych sfer arystokratycznych.[2]) Tarnowski,

[1]) *Przegląd polski*, 1872, lipiec, *Adam Potocki*. Wsp. pośm.

[2]) W życiorysie Pawła Popiela pisze St. Tarnowski: »Montalambert, który w r. 1861 odwiedził dawnego przyjaciela w Krakowie, nie Polak ani lekka głowa, wstrząśnięty był do głębi duszy i uniesiony tem, co widział, i pod tem wrażeniem napisał broszurę: »*Une Nation en deuil*...«

który go już znał z Paryża, również był pod jego urokiem, a po części i wpływem, jeżeli nie bezpośrednim, to pośrednim: przez Kalinkę i księżnę Marcellinę.

W parę tygodni po wyjeździe Montalamberta uczestniczył Tarnowski w wielkiej uroczystości rodzinnej, która poniekąd była i narodową manifestacyą patryotyczną: w ślubie swego starszego brata, Jana, z Zofią Zamoyską, na który to ślub, słusznie przezwany później »hetmańskim«, młodzież tyczyńska, z Ludwikiem Wodzickim na czele, stawiła się w stroju narodowym w pełnym rynsztunku: w kontuszach, w kołpakach i przy karabelach. Ślub ten, pobłogosławiony przez biskupa Ludwika Łętowskiego, odbył się d. 25 lipca w katedrze na Wawelu. O zaślubinach tych tak pisał nazajutrz *Czas:*

»Tarnowski zawierał związek małżeński z Zamoyską. Jakże mile głaskało ucho polskie to połączenie dwóch hetmańskich imion; w jakie czyste a świetne Rzeczypospolitej Polskiej epoki przenosiło ono myśl naszą! A nadobną parę otaczał taki wdzięk młodości, urody i pełnego życia, że jakby jakiś odblask silnej nadziei rzucał na przytomnych. Przytomni, to druchowie i druchny, to spokrewnione rodziny, skoligacone i zaprzyjaźnione domy Tarnowskich, Zamoyskich, Lubomirskich, Sapiechów, Potockich, Mycielskich, Wodzickich, to liczna publiczność, która się zbiegła, aby świadczyć tym prawdziwie polskim zaślubinom, bez kwiatów i orderów, lecz w narodowych strojach, aby się uśmiechnąć do tej dziarskiej młodzi w żupanach i kontuszach, aby się ucieszyć widokiem tych starych przy boku polskim karabel, które tylko w skarbcach gdzieś na kołkach wiszące oglądać nawykła, aby się uraczyć tym widokiem, jakby obrazkiem z przeszłości, i uczuciem przebytego szczęścia!... I nie zawiodło ją oczekiwanie. Widok tych potomków historycznych naszych rodzin, tych kontuszów, z taką godnością i smętną powagą noszonych, brzęk tych karabel polskich na marmurach drogiego nam Wawelu, o zaprawdę, to jakby żyjący obraz z dawnych naszych dziejów, to widok, który choć tylko ślubem nie weselem, bo wesela już dla nas niema, odsuwał na chwilę zawisłą nad sercami żałobę!...«[1])

[1]) Ślub ten upamiętnił X. Ludwik Łętowski, biskup i dziekan katedry Krakowskiej, przez ogłoszenie drukiem przemowy swojej do nowożeńców. (Przemowa miana w katedrze na Wawelu przy ślubie JW. Jana hr. Tarnowskiego z JW. Zofią hr. Zamoyską i t. d. Kraków, 1861). Czcigodny kapłan przemówił między innemi w te słowa: »Już to po raz trzeci, Zacna Paro, co Imiona Wasze spotykają się u Ołtarza. Dwaj hetmani, Tarnowski i Zamoyski, nie leżą na Wawelu, ale na ich wspomnienie ruszają się prochy Królów naszych po grobach swoich, bo wierniejszych ludzi nie mieli sobie, ani kraj obywateli większych. Dług to niemały, moi Państwo! ród taki wieść, bo sława i szacunek nie dzie-

Tymczasem w Wiedniu wciąż odbywała się sesya Rady Państwa, sesya przeciągła, trwająca dwadzieścia miesięcy. Tarnowski, jak i jego tyczyńscy przyjaciele, z żywem zajęciem śledził za przebiegiem tych znamiennych obrad parlamentarnych, które w znacznej części równały się walce dwóch systemów: centralistycznego i autonomicznego. Jednym z najdramatyczniejszych momentów tej sesyi, a dla polskich deputowanych przełomowym poniekąd, była słynna mowa Adama Potockiego, wypowiedziana d. 18 września, mowa na temat rozkładu społecznego, który w Galicyi był wynikiem panującego systemu rządowego, a którego smutnym rezultatem była rzeź galicyjska. Wrażenie, jakie ta pamiętna mowa uczyniła w kraju, było ogromne: ale bo też było to pierwsze słowo jawne i otwarte, jakie w Austryi przez Polaka zostało wyrzeczone o roku 1846. Tarnowski, który wogóle w tych czasach miał sporo zastrzeżeń co do Adama Potockiego, tym razem podzielał ogólny zapał dla jego odwagi cywilnej; uczucie zaś, jakie w nim wzbudziła ta mowa, równało się »wrażeniu ulgi, jak kiedy uczucie, długo tłumione, wreszcie wybuchło i spadł ciężar z serca«. »Przecie, po latach 15-tu, przecie im ktoś powiedział prawdę, całą prawdę, za nas wszystkich!« Serdeczny, gorący adres, z tysiącami podpisów, a między temi wiele włościańskich, podziękował od kraju mówcy, który się zań upomniał i choć trochę pomścił. Na adresie nie brakło pewno i podpisu Tarnowskiego.

Niestety, choć ministeryum nie znalazło odpowiedzi na argumenty Potockiego, Izba nie dała się przekonać, nie ustąpiła, a jej uchwały zapadały zawsze w duchu politycznej centralizacyi i negacyi praw narodowych. Ponieważ i w Królestwie nie działo się dobrze, bo Wielopolski, po rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego, coraz bardziej tracił grunt pod nogami, więc chwila była najsposobniejsza po temu, by swą energię zwrócić w kierunku Francyi, na którą zawsze, gdy szło o pomyślne rozwiązanie kwestyi polskiej, rachowano najbardziej. Czy ten był powód, czy inny, dość, że w końcu listopada Tarnowski znowu się znalazł w Paryżu,[1]) oczywiście w tym celu głównie, by w dalszym ciągu pracować na *Quai d'Orléans*.

Jakoż niezwłócząc zabrał się do zwykłych robót Biura, których w tym czasie był istny nawał, a że nie próżnował, o tem świadczy

---

dziczą się, tylko zdobywają. Pole zamknięto Wam do wielkich rzeczy, ale domowe i codzienne cnoty niemniej są piękne, a może trudniejsze, i na nich to kraje stoją i od nich urastają«.

[1]) A. E. Koźmian, w liście z dnia 2 grudnia 1861, z Paryża, tak pisał do swoich: »Staś Tarnowski przyjechał, lecz go jeszcze nie widziałem«. Listy, IV, 410.

A. E. Koźmian, który w dniu 4 grudnia tak pisał do rodziny: »Dziś miałem na śniadaniu trzech współpracowników (Biura), a między nimi Stasia Tarnowskiego. Jest to młodzieniec bardzo ochotny do pracy, bodaj było takich więcej. Do pierwszej ci panowie pozostali u mnie, nie na próżnowaniu«. W zwykłych warunkach schodzono się »na wyspie« t. j. na *Quai d'Orléans* w lokalu Biblioteki Polskiej. W ciągu tych kilku miesięcy, które Tarnowski spędził w kraju, w Biurze zaszły niektóre zmiany osobiste, a przedewszystkiem jedna: obradom nie przewodniczył już sędziwy książe Adam Czartoryski, zmarły niedawno w Montfermeil, a na jego prezydyalnem krześle zasiadł książe Władysław Czartoryski, który odtąd stał na czele polskiej polityki zagranicznej, jako jej główny sternik.

Stanowisko to, wobec nadzwyczaj powikłanych konjunktur politycznych, zarówno w kraju, t. j. w Królestwie, a głównie w Warszawie, jak i we Francyi, gdzie Napoleon III musiał się liczyć z Rosyą, było trudnem niezmiernie, to też książe Władysław Czartoryski, jako wolny od dumy i zarozumiałości — a zwłaszcza nie wolny od chwiejności — czując niezwykłą odpowiedzialność swego stanowiska, niemniej czuł potrzebę rady i poparcia, chętniej idąc za niemi, niż za własnem zapatrywaniem. Z najlepszą chęcią i wolą okazania się godnym spadkobiercą ojca i rodowej tradycyi, ze świadomością wielkiego zadania, stąd z pewną, zresztą wrodzoną nieśmiałością, a przedewszystkiem z wpojonem i wyrobionem poczuciem obowiązku, górującem nad wszystkiem, urodzony, wychowany i przeznaczony do uosobiania myśli odzyskania niepodległości Polski przez obcą pomoc, karmiony wszystkiemi złudzeniami w tej mierze, książe Władysław oddał się im całkowicie na usługi, nietylko z całą ufnością w rezultat takiej polityki, ale też i z niemałą dozą zdrowego sądu, który jednak objawiał się nietyle w formie stanowczości zdania, ile raczej pod postacią ostrożności i niedowierzania. W ciągłej styczności z cesarzem Napoleonem III, główny powiernik jego chęci i rad w sprawie polskiej, książe Władysław Czartoryski, jak wszyscy wtedy, nie mógł się ustrzedz jego wpływu, a zwłaszcza wiary w jego wszechmożność i zamiary względem Polski. Pełna szlachetności postawa księcia, nacechowana skromnością nie bez wdzięku, jednała mu ludzi i szeregowała ich koło niego, nie wpajając w nich przeświadczenia o jego dowództwie, a jednając mu serca wszystkich. [1]) Tarnowski, który teraz niemało miał sposobności przestawania z księciem, zarówno w Biurze, jak i w Hotelu Lambert, tak go charakte-

[1]) Por. St. Koźmian, *Rzecz o roku 1863*, II, 202—204.

ryzuje, a zarazem usprawiedliwia i tłomaczy jego sposób postępowania, gdy po ojcu objął ster spraw polskich: »Nieśmiały był, i do siebie samego nieufny z urodzenia. Przez całą młodość słyszał, przez całe życie sam sobie dawał naukę, że zarozumiałość, duma, osobista wola czy pasya, szkodziły dawnej Polsce, aż ją zgubiły, a więc zrzucić z siebie wszelką zarozumiałość, wszelką chęć własną, a więc poddawać się, słuchać, służyć. Przez całą młodość słyszał skargi, że Emigracya chce rządzić krajem i jego losami zdaleka, nie znając jego sił i stosunków; a więc nie rządzić, tylko wykonywać, nie wskazywać, tylko spełniać wedle sił, co z kraju będzie zażądanem; objaśniać go, ale za niego nic nie stanowić, nie rozstrzygać, nie narzucać mu. To książe Władysław wziął do serca szczerze i głęboko, tego się trzymał od chwili śmierci swego dostojnego ojca, który mu oddał swój kielich goryczy, polecając, by on w dalszym ciągu pełnił jego służbę wobec narodu i sprawy polskiej«. Że mu ani politycznego doświadczenia i zmysłu, ani miary, ani godności w tem trudnem położeniu nie brakło, że umiał mówić i radzić, a nie prosić, zgadywać myśl ukrytą i ostrzegać, że dostrzegał bystro, a gdy oznakę jaką dostrzegł, to ostrzegał; że widział jasno, a oceniał roztropnie, i całem ówczesnem położeniem był w błąd wprowadzony jak wszyscy, ale sam w błąd nie wprowadzał, to poświadczy, kto go w tych latach widział, kto pod jego przewodnictwem, jak Tarnowski, pracował w domu Biblioteki polskiej i w Hotelu Lambert... »Miał on zapewne dziedziczny, wrodzony instynkt polityczny i dyplomatyczny; ale go sam wykształcił i wyrobił na bardzo trafne zdanie, bardzo pewne doświadczenie. W trudnościach i zawikłaniach, on, choć sobie samemu nie dowierzał, wiedział zawsze i wskazał, co wybrać, jak postąpić, co najskuteczniejsze albo najmniej złe i niepewne. Jego polityczna rola trwała krótko, a skończyła się nieszczęśliwie; ale jego polityczna zdolność była niezaprzeczoną i bardzo wiele wartą. Nie dochodziła zapewne wielkiej miary pradziada, ale przechodziła o wiele tę, jaką miał dziad, książe Jenerał Ziem Podolskich. Z poświęceniem, z zaparciem się siebie, z roztropnością, pełnił tę służbę... nadarmo!« [1])

Z pośród przyjaciół rodziny Czartoryskich, a w tej chwili jednym z najbardziej wysłuchiwanych doradzców księcia Władysława Czartoryskiego, jedno z pierwszych miejsc niewątpliwie zajmował Andrzej Edward Koźmian, syn zasłużonego twórcy epopei o *Stefanie Czarnieckim*, a ojciec przyszłego autora *Rzeczy o roku 1863*. Tarnowski, za swej powtórnej bytności w Paryżu, przestawał z nim bardzo

[1]) *Przegląd polski*, 1894, sierpień. Mowa na pogrzebie ks. Wł. Czartoryskiego.

wiele, bo jako pilny współpracownik Biura, niemało pracował pod jego osobistym kierunkiem. Słowem, był w jego szkole, zarówno politycznej, jak życiowej; w tej ostatniej zwłaszcza. A tem samem ulegał jego wpływowi. A wpływ to był wieloraki, choć może głównie światowo-towarzyskiej natury. Zdając z czasem sprawę z wydanych w 4-ech tomach *Listów Andrzeja Edwarda Koźmiana*, Tarnowski taką z własnych wspomnień wysnuwa jego sylwetkę: »Kto z ich autorem złączony był dziedziczną przyjaźnią trzech pokoleń, kto z nim razem w jednych złudzeniach i czynnościach przebył część tych lat przedpowstańczych, nieraz przy nim pracował, ten w jego *Listach* znajduje takie przypomnienie własnego życia, jakżeby na nie patrzał z wielkiej odległości, przez jakieś szkło bardzo przybliżające... Rok za rokiem, prawie dzień za dniem staje przed oczyma, kiedy się je czyta, a wrażenie jest rzewne, jak wspomnienie młodości, ale miłe. Po za tem wszystkiem przecież przypominają jedno jeszcze: swego autora. Wśród tych zmieniających się a dobrze znanych scen widzenia zjawia się ta postać i stoi jak żywa. Widzi się twarz, ruch Koźmiana, słyszy się dźwięk jego głosu, czy kiedy damom prawi zgrabne komplementy, czy kiedy dowcipnym konceptem odcina się przeciwnikowi w rozmowie, czy młodym, niby nieznacznie ale wyraźnie, daje poważną naukę. Ma się w oczach ten wyraz dobroci i pogody, ten uśmiech przyjazny, a mimo siwizny figlarny, to spojrzenie bystre, przenikliwe a życzliwe. Ma się zwłaszcza odbicie tego dobrego serca, tego miłego rozumu, tego wykwintnego obejścia, tego wysokiego wykształcenia, tak wierne, że aż łudzące; zdaje się, jak żeby jego samego miało się jeszcze gdzieś blizko siebie...«[1]) Od roku 1858 stale mieszkając w Paryżu, w stosunkach z całym światem, francuskim i polskim, towarzyskim, politycznym, a po części i literackim, Koźmian żył w ścisłej przyjaźni z Walewskim, francuskim ministrem spraw zagranicznych, co mu szczególniej ułatwiało oryentowanie się w sytuacyi politycznej, zwłaszcza w odniesieniu do sprawy polskiej. Pisarz poprawny, wykwintny, z dużą kulturą umysłową, z równą biegłością umiejący wypisać się po francusku, jak po polsku, Koźmian w tych latach był stałym korespondentem politycznym z Paryża do krakowskiego *Czasu*, a jako jeden z najczynniejszych członków Biura, pisywał o sprawach polskich do paryskiego *Monitora*, ówczesnego organu urzędowego. Umysł trzeźwy, tak dalece, że zaprzyjaźniony z nim Thiers nazywał go zawsze

[1]) *Przegląd polski*, 1894, kwiecień, 133—4, i 1896, wrzesień 607—8. *Listy A. E. Koźmiana*, 4 tomy. Sprawozdanie.

le seul Polonais de bon sens, Kożmian od młodości bardzo lubił świat, lubił go do końca, a tak do niego przywykł, że — jak się wyraża Tarnowski — aż go lubił hurtem. Z natury życzliwy względem ludzi, z wychowania bardzo grzeczny, tak, że może aż zanadto dobrze wychowany, z przyzwyczajenia stał się tak pobłażliwym na różne słabości i wady natury ludzkiej, że umiał lubić tam, gdzie tylko przez pół mógł szanować. Wzgląd na drugich i uprzejmość tak mu przeszły w krew i naturę, że aż przybierały pozór jednostajnego i szczerego dla wszystkich szacunku i poważania. W każdym razie czynił to nieświadomie, w najlepszej wierze, bo sam miał się owszem za wymagającego i surowego pod tym względem, tak dalece, że nawet w towarzystwie młodych ludzi, jak Tarnowski, lubił moralizować. »Ten grunt do przestrzegania i moralizowania (w miłej zawsze i przyjaznej formie), to przypominanie wszystkich zasad i obowiązków, to nas młodych — opowiada Tarnowski — czasem w nim gniewało, wydawało się oklepanym a niepotrzebnym morałem. Miał sobie za obowiązek młodych czasem nauczać i moralizować delikatnie, ale z powagą. Ta powaga, która mu z wieku i urzędu przystała, uzupełniała charakterystycznym rysem jego fizyognomię. Lubił młodych, lubił z nimi rozmawiać, żartować, pozwalał im nawet bluźnić na kleryków, i słuchał cierpliwie, kiedy mu wychwalali Słowackiego! Ale jakiś obrok duchowny, jakąś zbawienną naukę dać im przytem lubił, i miał sobie za powinność«. Bardzo oczytany, doskonale znający wszystkich wielkich poetów, nie wyłączając Szekspira, którego *Makbeta* pomimo swych upodobań klasycznych »polerownym« wierszem przetłomaczył, Kożmian, po skończonej robocie politycznej, w której mu pomagali Tarnowski i jego przyjaciele, lubił rozmowy o literaturze, o poezyi i sztuce, w czem mu z zapałem sekundowali młodzi, wszyscy trochę podszyci poetami, pełni aspiracyi literackich. Ponieważ Kożmian, jako syn przywódzcy klasyków, był klasykiem z przekonania, więc oczywiście raz po raz toczyły się rozmowy na temat klasyków i romantyków, bo młodzi, utwierdzani w tem przez Klaczkę, wszyscy, jak jeden mąż, hołdowali romantyzmowi. Swoją drogą Kożmian nie szedł w swym kulcie dla klasycyzmu za daleko, i tu najwyraźniej występowała rożnica temperamentów pomiędzy nim a jego niezłomnym ojcem. Różnica ta nieraz rzucała się w oczy Tarnowskiemu, który ją też, charakteryzując A. E. Kożmiana, na podstawie częstego z nim obcowania, w ten sposób po mistrzowsku określił: »Lucyan Siemieński mówi w *Obozie Klasyków*, że nasza literatura miewa dynastye pisarzy, i przytacza Kochanowskich w wieku XVI, Morsztynów w XVII

wieku, w XIX Kożmianów. Prawda, że to cała i wcale niepospolita dynastya. Na czele, jak założyciel, jak głowa rodu, stoi stary Kasztelan; po dwóch stronach ma koło siebie dwóch synowców: Stanisława i Jana. W trzeciej generacyi berło (choć na innem polu piśmiennictwa) z rąk rodu nie wyszło; a między ojcem i synem, między stryjecznymi braćmi, ten Kożmian, autor *Pamiętników*, tłómacz *Makbeta*, wydawca *Piotrowickich zapisków*, korespondent pilny i bystry wielu czasopism, z honorem trzyma swoje miejsce i prawo. Fanatyczny prawie wielbiciel ojca, jako poety i jako człowieka, podzielający wszystkie jego przekonania, nie jest do tego ojca bynajmniej podobny, owszem we wszystkiem od niego umysłem i talentem różny. Cechą Kasztelana jest męzkość, jędrność, stanowczość; w swoich politycznych jak literackich pojęciach i zasadach jest bardzo jednolity; wszystko w nim trzyma się siebie, zgadza się z sobą, przypada do siebie doskonale; ale ta jednolitość u niego jest skutkiem stanowczości, a przyczyną wyłączności, nieraz namiętności. Syn jest także harmonijny, zgodny z sobą, jednolity, ale sposobem wprost odwrotnym. Ojciec jest poważny i niewzruszony aż do sztywności; syn umie i lubi drugiego rozumieć, drugiemu wybaczyć. Ojciec bardzo kocha niektórych,[1]) ale zawsze tylko pod warunkiem, że ich wysoko ceni i że myślą, jak on, a sam nie stosuje się nigdy do nikogo; syn jest giętszy, wejdzie łatwiej w umysł i uczucie drugiego człowieka, nie oburzy się tak ostro, nie odepchnie tak szorstko i pogardliwie. Kasztelan ma więcej siły i ma namiętność (zwłaszcza w oburzeniu i gniewie); pan Andrzej namiętności nie ma wcale, siły mniej, dobroci więcej od ojca. Ma przytem usposobienie pogodne, wesołe, i w literaturze mniej świetny od ojca, w towarzystwie musiał być od niego milszym przez dobry humor, przez dowcip, przez wyrozumiałość i życzliwość. Obaj czują i myślą jednakowo; ale ojca zlepił Pan Bóg z twardszej i spoistszej, syna z giętszej, podatniejszej gliny. Jeden z natury i z dróg swego kształcenia ma coś rzymskiego, co z Plutarcha przeszło do jego myśli, z Tacyta do jego stylu, z Wergiliusza do jego wiersza. Syn z natury i z dróg swego kształcenia ma w sobie coś francuskiego. Różnica ta jest w ich charakterach, w ich umysłach, w ich sposobie pisania, w samych przedmiotach ich myśli i pracy. Styl Kasztelana nadaje się do nagrobków i napisów; styl pana Andrzeja ma za cechę i zaletę elegancyę, okrągłość,

[1]) Naprzykład obu dziadków Stanisława Tarnowskiego: Jana Feliksa Tarnowskiego, dziadka po mieczu, i Stanisława Małachowskiego, dziadka po kądzieli.

lekkość: w marmurze ryć jego okresów nie można, bardzo ładnie za to czytać z książki lub czasopisma w salonie, tak, jak go się z przyjemnością słuchało mówiącego. Ojciec był mistrzem w lapidarnych, jędrnych, czasem nielitościwych epigramach; syn był raczej usposobiony do zgrabnych madrygałów. Ojciec lubi frazes wymowny, ale zbity i lapidarny; syn lubi go także, ale elegancki, wykończony, gładki. Jak w mowie jego frazes nam młodym wydawał się czasem zbyt ozdobnym i zaokrąglonym, tak bywa podobnie i w piśmie. Jak w rozmowie znowu jego dowcip był żywy, zabawny, a nawet, kiedy złośliwy w gruncie, to bardzo grzeczny w formie; tak samo jest i w pismach. Różnica usposobień i talentów między ojcem i synem na niczem nie daje się widzieć tak wyraźnie, jak na ich *Pamiętnikach*. Piszą je obaj i w znacznej części o tych samych czasach, zdarzeniach i ludziach, a syn pisze je bardzo dobrze i zajmująco. Ale syn pisze je piórem Francuza na pięknym papierze, ojciec swoje rzymskim stylusem na materyale twardym, ale trwalszym. Zdolności pisarskiej i stanowiska w literaturze porównywać oczywiście nie można. Kajetan Koźmian reprezentuje całą jedną szkołę, jest w niej najbardziej typowym, ale i najlepszym; ma wysokie ambicye, nie cofa się przed wielkiemi celami. Andrzej nie jest tak śmiałym; z góry zapewne czuje, że napróżno kusiłby się o poemat bohaterski albo o tragedyę. Ale ma dziedziczną żyłkę pisarską, od urodzenia słyszy o pisaniu, wciąga w siebie literaturę, jak to powietrze, którem oddycha. Ciągnie go do pisania, musi pisać, a boi się i nie dowierza swoim siłom. Więc poprzestaje na mniejszem. Mały wierszyk uda mu się dobrze; w prozie potrafi być zajmującym, przyjemnym i poprawnym. Do wysokości Tacytów i Liwiuszów nie zmierza; ale kiedy się porówna z niejednym wziętym i głośnym Francuzem, ma prawo pomyśleć, że nie jest od niego gorszym. To mu wystarcza; rad zamyka się w tym zakresie i znajduje sobie kierunek zastósowany do rodzaju swego talentu, zastósowany do potrzeb swego czasu, kiedy w pismach peryodycznych drukuje literackie rozprawy dla ogółu przystępne i powabne, a rozumne i kształcące, kiedy w dziennikach traktuje kwestye i wypadki bieżącej polityki, a zawsze rozumnie (nawet kiedy jest złudzony jak inni), zawsze ze stanowiska swoich zasad i dobrze pojętego polskiego interesu. Nie tak skupiony, jak ojciec, (i tyle mniej od niego silny), ma naodwrót szerszy, niż tamten, zakres upodobań, ciekawości, nawet znajomości. Lżejszy od niego, jest od niego i szerszy. Znać zapewne francuskie pojęcia i przyzwyczajenia na zbyt p o l e r o w n y m, zbyt c y w i l i z o w a n y m jego przekładzie *Makbeta;* ale sam fakt, że go przekłada, dowodzi,

że się nie zasklepia w dziedzicznym-ojcowskim horyzoncie. Kiedy napisze *Pamiętniki*, to nie nakreśli w nich zapewne jędrnym stylem tak znakomitych, głębokich wizerunków i życiorysów, jak ojcowski *Staszyc* albo *Książe Józef;* ale za to wspomni i włoży mnóstwo szczegółów niby drobnych, a składających i ożywiających całość obrazu. Ludzie i ważne sprawy będą wyraźniej przemawiać z *Pamiętników* ojca; społeczeństwo i życie odbije się wszechstronniej w *Pamiętnikach* syna«.[1])

Po za godzinami, spędzanemi bądź u Andrzeja Edwarda Koźmiana, w jego mieszkaniu przy *Rue de l'Arcade*, bądź w lokalu Biblioteki Polskiej »na wyspie«, Tarnowski z upodobaniem oddawał się rozkoszom życia paryskiego, co mu tem łatwiej trafiało do przekonania, że tym razem nie był sam, lecz miał towarzystwo swych najbliższych przyjaciół tyczyńskich, Ludwika Wodzickiego,[2]) Stanisława

---

[1]) *Przegląd polski*, 1894, kwiecień, 132—133. W sprawozdaniu ze *Wspomnień* A. E. Koźmiana, drukowanem w *Przeglądzie polskim* za luty r. 1868, kreśli Tarnowski taką sylwetkę swego towarzysza pracy w paryskiem Biurze: »A. E. Koźmian jeżeli miał umysł nie tak surowy i poważny (jak jego ojciec), miał za to więcej wdzięku, więcej swobody i giętkości, miał usposobienie weselsze i pogodniejsze. Dowcipem nietylko nie gardził, ale hojnie nim obdarzony zakopywać go nie myślał i słynął z niego po świecie. Był on z tych ludzi, w których szlachetność serca, łagodność temperamentu, wykwintne wykształcenie, i usposobienie jasne i pogodne, składają się w harmonię, pełną wdzięku, i stanowią całość wielkiego dla otaczających powabu. Dziś jeszcze (w r. 1868) młode pokolenie, które często spotyka się z zarzutem, że zagubiło sekret i tradycyę sztuki przyjemnego rozmawiania, zapytywanem bywa nieraz, dlaczego się od pana Koźmiana nie nauczyło rozmawiać. Temi swojemi własnościami usposobiony do błyszczenia w życiu towarzyskiem, lubił też to życie do końca i wynosił z niego, znowu w skutku tych swoich własności, zasób spostrzeżeń, uwag i doświadczeń, uderzających bystrością, trafnością i prawdą; nabrał w niem rzadkiej znajomości ludzi i rzadkiej łatwości w odgadywaniu ich i charakteryzowaniu«. (Str. 334).

[2]) W życiorysie Ludwika Wodzickiego pisze St. Tarnowski: »Wodzicki, który naprawdę zajmował się swojem gospodarstwem, i żałował, że go się nigdy nie uczył teoretycznie, pojechał w jesieni r. 1861 do Hohenheimu, z Juliuszem Tarnowskim i Romanem Michałowskim. Przyjeżdżał stamtąd do Paryża, do Biura, ale na krótko«. Na krótko przed świętami Bożego Narodzenia zrobił St. Tarnowski wycieczkę z Paryżu do Bonn dla spotkania się tamże z L. Wodzickim i z bratem swym młodszym, Juliuszem. Oto, co w tej kwestyi pisze do swoich oczekujący w Paryżu na przyjazd syna swego, A. E. Koźmian: »N i e d z i e l a, 15 g r u d n i a 1861. Wyjechał Staś, czy nie wyjechał?... Nie wiem, czy drogę na Hohenheim obróci. Podobno Ludwika Wodzickiego nie zastałby, bo miał na święta jechać w Poznańskie; w tych dniach zjedzie się w Bonn ze Stasiem Tarnowskim«. »20 g r u d n i a w p i ą t e k. Odebrałem wczoraj telegram z Bonn następujący: *Arrivé ici pour voir amis, partir France nuit dimanche, Paris lundi.* Wczoraj więc był (Staś) w Bonn, nie wiem, dlaczego tak długo z przyjaciółmi

Kożmiana i Jana Stadnickiego. Marceli Czartoryski i Józef Mycielski również należeli do tego grona, które, rozkoszując się Paryżem, razem spędzało wieczory w teatrze, razem »bywało w świecie«. Niestety, gdy nadszedł karnawał, młodzi przyjaciele, z powodu obchodzonej w kraju »żałoby narodowej«, nie mogli brać udziału w balach, a przynajmniej bywając na nich, musieli się wstrzymywać od tańca.[1]) To też wogóle, o ile chętnie bywali w teatrze, o tyle nudzili się w salonach.[2]) Nie znaczyło to jednak, by całkiem stronili od świata; unikali tylko wieczorów z tańcami. Pozatem bywali w wielu znajomych domach, polskich zarówno, jak i francuskich. Do niektórych wprowadzał ich Andrzej Edward Kożmian, który w tych razach

---

zabawi. Myślę jednak, że prędzej go ujrzę, bo Staś Tarnowski, który onegdaj wyjechał, miał tylko do piątkowego wieczora, a najdalej do sobotniego w Bonn pozostać. Razem więc z nim Staś zapewne przybędzie...« Skończyło się na tem, że Wodzicki przyjechał dopiero po 20 stycznia (zob. list A. E. Kożmiana z dnia 22 Stycznia 1862) i zabawił w Paryżu do 18 lutego.

[1]) Oto, co w tej kwestyi pisał St. Kożmian do rodziny w kraju: »Nie myślcie jednak, abym zerwał ze światem i jego uciechami, i żebym znienawidził *le beau monde*, jak utrzymuje Ojciec, ale mam przekonanie, że młody człowiek przyjeżdżający do Paryża na dwa miesiące i nie chcący a raczej nie mogący tańcować, nie ma co robić w świecie francuskim. Wiemy to doskonale z doświadczenia. Naszej żałoby nikt tu nie rozumie i dziwią się, że dopiero od roku ją nosimy, jeżeli nosić mamy. Co najgorsze, to, że jest trochę prawdy w tem rezonowaniu. Lecz jeżeli my tu nudzimy się dla ojczyzny, niechże przynajmniej ojczyzna idzie za naszym przykładem, i niech oni tam ani nogą nie ruszą«.

[2]) Wogóle mówili, że tegoroczny sezon wielkoświatowy nie był dość interesujący. St. Kożmian pisał do swoich: »Świat trochę zaniedbuję, bo też jest nudny do najwyższego stopnia«. Natomiast nie zaniedbywano teatrów, o czem nie brak licznych wzmianek w listach A. E. Kożmiana. »Niema balów — czytamy w jednym z tych listów — zebrań licznych, mało młodzieży, więc wolą nasi młodzi ludzie teatra, niż salony«. »Staś był także zaproszony na ten obiad (przez Ignacego Bnińskiego), lecz się wymówił, ułożywszy się ze Stasiem Tarnowskim, że razem i obiadować będą i wieczór na teatrze przepędzą (list z 1 stycznia 1862). »Od pani Wąsowiczowej poszedłem rok skończyć i zacząć z moją dobrą panią Kisieleff, lecz go ani skończyłem, ani zacząłem ze Stasiem. On wieczór przepędził w *Teatrze Francuskim* z swoim towarzyszem galicyjskim (St. Tarnowskim) i do domu wcześniej odemnie wrócił«. »Po obiedzie Staś frunął z towarzyszami, Tarnowskim, Marcelem Czartoryskim i Mycielskim, uleciał na teatr i na cały wieczór...« (list z d. 6 stycznia). »Stachuś wczoraj (10 stycznia) dopiero przed wieczorem wyruszył, obiadował z towarzyszami i z nimi poszedł na teatr i na kolacyę...« »Idę na mszę (12 stycznia), a mego niemszalnego młodzieńca zostawiam pogrążonego we snach o wczorajszym balu Opery, na który od pani Kisieleff uleciał z młodzieżą«. »Z Wyspy na obiad do pani Kisieleff, tam spotkałem się ze Stasiem, który po obiedzie z młodzieżą wybrał się na nowy dramat, przedstawiony *à la Gaité* p. t. *La fille du paysan*, dramat, na którym rozlega się płacz, szlochanie, szczególniej lóż. Cesarzowa także, będąc na przedstawieniu, płakała (5 lutego)«. 7 lutego. »Staś na teatr z towarzyszami pojechał...«

więcej z Tarnowskiego, aniżeli z syna swego, bywał zadowolony. Oto n. p., co raz pisał o nim dnia 26 stycznia 1862 roku: »O 10-tej zabrałem Stasia Tarnowskiego do pani de Segur i na wieczór do Walewskich. Był to pierwszy wstęp jego do świata francuskiego. Z przyjemnością go wprowadziłem, bo się nie powstydzę za niego. Dobrze się tłomaczy, nie unika rozmowy...« Mimo to *le beau monde* francuski nie zbyt wielki przedstawiał dlań urok. Pozwala się tego domyślać A. E. Kożmian, który w liście z d. 1 lutego donosił o swym młodym ulubieńcu: »Miałem Stasia Tarnowskiego zaprowadzić wczoraj do pani de Flavigny na wieczór, ale się nie stawił...« Nie stawił się, bo wolał wieczór ten spędzić z przyjaciółmi, z którymi lepiej mu czas schodził, niż w najsłynniejszych salonach francuskiej *haute volée*. Pod tym względem całkiem był podobny do Stanisława Kożmiana, o którym ojciec raz w ten sposób pisał do rodziny: »Staś nie dał się namówić na żaden z wieczorów, ani na bal do Morniego, na który miał zaproszenie. Mógł być na nim na chwilę bez pląsów, a warto było zobaczyć wspaniałe nowe urządzenie i sali balowej i galeryi obrazów, umieszczonej obok tejże sali i z wielką sztuką urządzonej i oświeconej. Lecz Staś ugrzązł w swojem ulubionem towarzystwie młokosów i nie da się z niego wyciągnąć«. I ze Stanisławem Tarnowskim miała się rzecz podobnie. Tymczasem A. E. Kożmian »forytował« go, jak mógł, we francuskich domach, uważał bowiem, że »dobrze jest, ażeby młodzi Polacy pokazywali się między Francuzami i okazywali upodobanie w tem, nie w innem towarzystwie«.[1]) Chodziło mu o to również, by tacy młodzieńcy, jak Tarnowski, Wodziccy i jego »Stachuś« zabierali znajomości, a tem samem wchodzili w bliższe stosunki z wpływowymi ludźmi francuskimi. W tym celu n. p. pragnął bardzo, by i jego syn, i St. Tarnowski, bywali w domu pani de Segur. »Młody Segur — pisał 19 stycznia — który towarzyszył hrabiemu Paryża w podróży na Wschód, jest bardzo przyjemnym młodzianem i ma pociąg do mojego młodziana. Stasia Tarnowskiego wprowadzę w przyszłą sobotę do tego domu, w którym zawsze spotkać można Koryfeuszów parlamentarnego stronnictwa«. Mimo to wszystko, i St. Kożmian, i St. Tarnowski, nie mieli wielkiej ochoty do życia salonowego, choćby dlatego tylko, że wogóle tego sezonu nie było bardzo ożywione. A. E. Kożmian, usprawiedliwiając swych młodych towarzyszy, tak pisał w tej kwestyi: »Młodzież nasza nie może tańcować, a więc bywać na balach nie wypada. Na wie-

[1]) Dnia 22 stycznia 1862 pisał A. E. Kożmian: »Mam teraz dwóch młodzieńców polskich do forytowania: Stasia Tarnowskiego i Alfreda Wodzickiego, syna pani Zofii. Chętnie to czynię...«

czorach mówiących, przebywanie w początkach nieponętne, bo się nie wiele zna osób. Dołożywszy jednak starania — co przecież nie uśmiechało się młodym przyjaciołom Tarnowskiego — łatwo można się zaznajomić i znaleść przyjemne towarzystwo«. Inaczej było w domach polskich, gdzie zawsze spotykało się sporo osób znajomych; to też, jeżeli chodziło o bywanie w nich, i Tarnowski i jego młodzi przyjaciele mniej się ociągali, nawet ze złożeniem pierwszej wizyty. Jednym z takich domów, gdzie bywali najchętniej, był salon pani Kisieleff, Potockiej z domu, córki Szczęsnego Potockiego: u niej bowiem — jak to podkreślał przeciwny zbyt sztywnej etykiecie salonowej Stan. Koźmian — »zupełny *comford* i *desinvoltura*, i gra, i cygara, i czarna chustka, i tużurek zamiast fraka, i zupełna swoboda«.[1]) Salon ten, zdaniem Koźmiana-ojca, »zbyt miły dla młodzieży, bo zbyt dogodny«, szczególniej przypadał do smaku Koźmianowi-synowi. Tarnowski bywał tam również, wprowadzony przez »Pana Andrzeja«, ale bywając w tym domu, sądził go, zarówno jak i jego gospodynię, bardzo krytycznie, z krytycyzmem, który panu Andrzejowi, jako gorącemu wielbicielowi pani Kisieleff, wcale nie przychodził na myśl. »Czytając *Listy* Koźmiana, powiada Tarnowski, możnaby myśleć o pani Kisieleff, że to była osoba cokolwiek oryginalna, jak bardzo wiele. Tymczasem była to istota dziwna w najwyższym stopniu, fenomen psychologiczny, godzien obserwacyi i pióra Balzaka; odżałować nie można, że jej Balzak nie znał i żywcem do jakiego swego romansu nie włożył. Przyjaźń sprawiała, że Koźmian nie dostrzegł, co było ekscentrycznego w tej naturze i egzystencyi, albo, że nie chciał o tem mówić. Ale tak samo nie dawał on poznać, że mu się nie podoba to zwykłe towarzystwo, ten dwór pani Kisieleff, złożony z tylu nadszarpanych reputacyi męskich i niewieścich. Miała ona dobre serce, miała szlachetne uczucia i szczere uczucia polskie, miała rozum i w tym rozumie wdzięk; ale choć lubili ją i bywali u niej wszyscy, każdy — a Tarnowski z pewnością nie mniej od innych — dbał starannie o to, żeby się nie zanadto do jej niektórych przyjaciół przybliżać«. Już to wogóle Tarnowski,

[1]) Zob. Listy A. E. Koźmiana, IV, 440. »Po wysłaniu poniedziałkowem tygodnika, pojechałem na Wyspę, skąd wróciwszy po 6-ej, spóźniłem się z moim towarzyszem, (z synem), na obiad do pani Kisieleff, lecz że raz na zawsze wyprosiłem sobie tę dogodność, żeby na mnie nigdy nie czekano, bez żadnej zgryzoty sumienia zasiadłem do stołu po zupie. Wieczorem Stasia Tarnowskiego wprowadziłem do tego najmilszego salonu i przedstawiłem najlepszej i najmniej wymagającej gospodyni; potem go zawiozłem do pani Wąsowiczowej i także przedstawiłem gospodyni... więcej wymagającej«.

obracając się w wielkim świecie paryskim, nie olśniony jego niezwykłym blaskiem, zapatrywał się nań krytycznie, nie skłonny do bezkrytycznego uwielbienia dla wszystkiego, co było świetne, co błyszczało. Tak n. p. nie miał żadnych złudzień co do osoby pani Walewskiej, którą pan Andrzej, pełen kultu dla niej, nazywał swą »lubą panią«. Tarnowski nie był ślepym na te jej zalety, które w niej widział Koźmian, ale miał także oczy otwarte i na odwrotną stronę medalu, od której ten piękny medal nie był wolny... Całkiem odmienna atmosfera panowała w domu pani Zofii Wodzickiej, matki Alfreda Wodzickiego, u której raz po raz odbywały się »wieczorki młodzieży polskiej«. Tutaj nie było miejsca na zastrzeżenia. »Te zebrania polskie — pisał o nich pan Andrzej — bardzo skromne, ograniczają się na rozmowie, a kończą na herbatce«. Mimo to bywało na nich najświetniejsze towarzystwo, a rozmowa toczyła się bądź o rzeczach politycznych, bądź o literaturze lub sztuce. Nie obchodziło się i bez muzyki, bez śpiewu. Tarnowski, który w takich skromnych wieczorkach może najwięcej znajdował upodobania, nie zaniedbywał odwiedzać i księżnej Marcelliny Czartoryskiej, z którą tak lubił przestawać, w której domu tak się czuł w swoim żywiole. Pozatem bywał także w domu pani Wąsowiczowej, i jeszcze w paru innych domach, jak n. p. u Branickich, gdzie między innemi osobami spotykał i hrabinę Lizę Krasińską, wdowę po Zygmuncie Krasińskim, już wtedy poślubioną Ludwikowi Krasińskiemu.[1])

Oczywiście, że jak za poprzedniej bytności, tak i teraz, przez cały czas pobytu swego w Paryżu, Tarnowski najwięcej przestawał ze współpracownikami Biura, począwszy od Władysława Zamoyskiego i Jordana, a skończywszy na Horacym Delaroche i Ignacym Plichcie, nie mówiąc już o starym Koźmianie, o Kalince i Klaczce.[2])

---

[1]) W *Listach A. E. Koźmiana* znajduje się mnóstwo wzmianek o życiu St. Tarnowskiego w tym czasie w Paryżu. Przytaczam je w *Annexach* pod literą *D.*

[2]) Dnia 4 grudnia 1861 pisze A. E. Koźmian, w liście do rodziny: »Dziś miałem na śniadaniu trzech współpracowników (Biura), a między nimi Stasia Tarnowskiego«. W liście z dnia 3 stycznia 1862: »Wczoraj śniadaliśmy razem; był na śniadaniu Staś Tarnowski i Kurtz. Rozeszliśmy się potem, a zeszli na obiad do Duranda«. W liście z 8 stycznia: »Dziś wcześniej, bo o 11-ej wyciągnąłem z łóżka mego sąsiada (syna), bo miałem na śniadaniu Stasia Tarnowskiego i młodego Plichtę«. 15 stycznia: »Na śniadaniu miałem wczoraj młodzież, pracującą we środy wraz ze mną...« W liście z 6 lutego: »Wczoraj miałem zwykłych gości środowych (t. j. członków Biura) na śniadaniu i nawet Stasia (Koźmiana)«.

O sprawach politycznych, które w tym czasie głównie zaprzątały umysły wszystkich współpracowników Biura, ze Stanisławem Tarnowskim włącznie, tak pisze on sam, w sprawozdaniu z IV tomu *Listów A. E. Koźmiana*, z powodu

Że chwile, które spędzał w towarzystwie Kalinki i Klaczki, na rozmowach o polityce i sztuce dyplomatycznej, bądź o literaturze i sztukach pięknych, najbardziej dlań były kształcące i zapładniające na przyszłość, nadmieniać zbyteczna. Sam Tarnowski przyznaje, że tym dwóm ludziom, »terminując« pod ich kierownictwem, najwięcej, i jako polityk, i jako pisarz, ma do zawdzięczenia. To też powiedzieć można, że te dwa jego pobyty w Paryżu, dające mu możność bezpośredniego korzystania z światłych nauk Kalinki i Klaczki, jak znakomicie dopełniły literackie wykształcenie przyszłego historyka literatury, tak ostatecznie urobiły jego przekonania, przyspieszyły a poniekąd zakończyły proces ewolucyi duchowej. W każdym razie już nie wiele brakowało, by się ustalił charakter młodzieńca, a jego umysł dojrzał zupełnie.

---

listów z późnej jesieni roku 1861: »W jesieni troski więcej, dobrej nadziei mniej, niż na wiosnę. Tych śpiewów i nabożeństw (w Warszawie) za dużo; i nieostrożne, i niepotrzebne. Powszednieją, tracą na szczerości i wartości. Przychodzi zamknięcie kościołów, pojedynek Lamberta z Gerstenzweigiem: położenie się wikła, horyzont się zachmurza. Nieprzyjaciel jest okropny; ale my, czy rozważni i rozumni? czy prowadzimy się sami, jak chcemy, lub jesteśmy prowadzeni, gdzie nie chcemy? Charakter listów nie optymistyczny, ale pogodny, zaczyna się zasępiać. Szczegóły zawsze ciekawe. W owym czasie każdy z nich zdawał się ważnym, coś oznaczającym i znaczącym; dziś wydają się inaczej, bo skutków nie miały, a znikły w ogromie nieszczęścia. Ale jako charakterystyka usposobień i ślad zamiarów i zabiegów, zachowują zawsze swoją wartość dla polskiej historyi i jej badaczy. Koźmian daje poznać doskonale, jak czuli ludzie jego stronnictwa w owym czasie, jak i kogo lubili albo nie lubili, komu ufali, a kogo podejrzewali, co mieli za zgodne z polskim honorem, a co nie. Wszyscy, którzyśmy z nim razem owe lata przeżyli, odnajdujemy w jego listach wierne odbicie siebie samych, swoich pojęć o sprawie, uczuć względem ludzi. Usposobienie piszącego nie weselsze w roku 1862. Zajęcia jego (w Biurze) takie same; listy tak samo pełne i wiadomości politycznych i charakterystycznych zdarzeń pobocznych«. (*Przegląd polski*, 1896, wrzesień, 605—606).

»Z dziwnem jakiemś wrażeniem czyta te listy człowiek, który w tych czasach żył. Spotyka w nich co chwila znajome twarze, nazwiska, zdarzenia i sprawy. Krewni, przyjaciele, znajomi, których się lubiło i nie lubiło, tysiączne drobne zdarzenia, do których się należało lub o których się słyszało, wszystko to przesuwa się przed oczyma czy przed pamięcią. Istna panorama własnego życia: stoję na miejscu, a otoczony jestem scenami... i obrazami, których byłem świadkiem, jeżeli nie aktorem. Na każdej kartce nasuwa się uwaga: Jak on to dobrze spamiętał! albo: On to lub owo zapomniał dodać. Jeżeli nie taka uwaga, to nasuwa się pytanie: A ja gdzie wtedy byłem? co mogłem robić? co słyszałem o tem, co on opowiada, a czego na własne oczy nie widziałem? Rekapitulacya kilku czy kilkunastu lat życia, wielki album z fotografiami setek osób znajomych: jedne już umarłe, drugie żyjące, a fizyognomie wszystkich przypominają się żywo i wyraźnie. Stąd dla starszych czytanie niezmiernie miłe i zajmujące« (*Przegląd polski*, 1894, kwiecień, 123—124).

Nagle, całkiem niespodziewanie, raził weń grom, grom z jasnego nieba! Oto, co o nim w liście z dnia 25 lutego pisze do rodziny A. E. Koźmian: »W poniedziałek, w czasie naszego zwykłego zebrania, nadeszła depesza o śmierci pani Tarnowskiej Gabryeli. Biedny Stanisław, który tu do 1 kwietnia zostać zamierzał i bardzo użytecznie, przykładnie, z korzyścią i swoją i rzeczy, czas pędził, nie był przygotowany do tego ciosu bolesnego. Zrazu powiedziano mu tylko, że matka zachorowała i widzieć go pragnie; na samem wsiadanem miał mu dopiero Kalinka wyjawić całą prawdę. Żal mi go niezmiernie, powziąłem bowiem dla niego prawdziwy szacunek i przychylność. Napiszę do niego z wyrazem żalu i współczucia, bom go nawet nie pożegnał. Bardzo to zacny, pracowity i zdatny młodzieniec: najlepsze między nami zostawił wspomnienie«. Tarnowski podążył wprost do Dzikowa, gdzie matka jego, po krótkich cierpieniach, zmarła w dniu 23 lutego w 62-im roku życia.[1]) Pogrzeb odbył się w Dzikowie, w dniu 4 marca. Osierocone dzieci, »córki Walerya i Karolina, synowie Jan, Stanisław i Juliusz« wystawiły niebawem »Najlepszej matce« w kościele dzikowskim obok pomnika ojca podobnyż grobowiec, przyrzekając — jak głoszą wyryte w kamieniu słowa napisu — dochować po tej stracie »w sercach żal głęboki do śmierci«.[2]) Kilka pierwszych tygodni po śmierci matki spędził Tarnowski, pospołu z siostrami i braćmi, w Dzikowie; słowa zaś, które Siemieński przy opisie tej przełomowej chwili skreślił o Juliuszu Tarnowskim, w znacznej części dają się zastosować i do jego starszego brata: »Ubyła mu najsilniejsza podpora, której winien był wszystko. Po tak ciężkiej stracie nie uniósł żaloby swojej w inne miejsca, gdzieby się mógł rozerwać; przeciwnie, kilka tygodni przepędził w tym Dzikowie, który mu przywodził na pamięć tyle błogich chwil młodości i tę najczarniejszą, co życie jego przecięła na dwie połowy. Wszystek ten czas obrócił na słodzenie smutków swoich sióstr i braci. Z niemi tylko przebywał. Każda dojrzana łza, każde

[1]) W *Czasie* z 28 lutego czytamy, co następuje: »W dniu 23 b. m. zakończyła życie w dobrach swych, w Dzikowie, Gabryela z hr. Małachowskich hr. Tarnowska, córka Anny z hr. Stadnickich i Stanisława hr. Małachowskiego, Senatora i Kasztelana Królestwa Polskiego, jenerała wojsk polskich«.

[2]) Inne napisy na pomniku na lewo: »Boże czuwaj nad sierotami powtórnie połączonych Jana i Gabryeli«. Na prawo: »Zamieniłeś płacz mój na wesele«. Pod krzyżem:

Gabryela z hr. Małachowskich
hr. TARNOWSKA.
Ur. 16 stycznia 1800 r.
† 23 lutego 1862 r.

zasępione czoło, każde westchnienie, już go przyciągało. Niemal zazdrościł rodzeństwu, jeśli ich strapień nie dzielił; tak czuł się w prawie przeniesienia na nich tych pieszczot i pociech, jakiemi przywykł był otaczać matkę. W duszy, do głębi trawionej smutkiem, miał nieprzebrany skarb czułości dla drugich...« A co się tyczy Stanisława Tarnowskiego, to łatwo odgadnąć, jakiego uczucia doznawał teraz po stracie matki, gdy się przeczyta jego własne słowa, skreślone przy innej okazyi, a z wszelką pewnością pisane z myślą i o sobie także: »Dzieci, choćby pod siwym włosem, zostają zawsze dziećmi, jak długo jest choć jedno z rodziców: dom rodzicielski jest zawsze prawdziwym domem, choć się ma swój osobny i gorąco kochany. To, co następuje ze śmiercią rodziców u ludzi, podobne jest do rozbicia stada u ptaków: a choćby kto lata najdłuższe i przejścia najcięższe przeżył, mało dozna w życiu chwil tak gorzkich, jak ta, w której uczuł po raz pierwszy, że już nie jest niczyjem dzieckiem«.[1])

Niemałą pociechą i osłodą, prawdziwem ukojeniem w tych ciężkich chwilach, musiało być teraz dla Tarnowskiego miłe towarzystwo księdza Juliusza Leszczyńskiego, który od roku 1860 był proboszczem w pobliskiej Wielowsi. Kolega Jana Bogdana Tarnowskiego z czasów sejmu Kromieryzkiego, a z sejmowego kolegi niebawem przyjaciel serdeczny, był to człowiek niepowszedniej miary; stąd obcowanie z nim — i teraz i później — oddziaływało na Tarnowskiego budująco i kształcąco, zarówno pod względem moralnym i religijnym, jak naukowym i literackim, a nawet artystycznym. Ksiądz Leszczyński bowiem, jak o nim z czasem miał napisać sam Tarnowski, była to, »znakomitość osobnego rzadkiego rodzaju, ale znakomitość istotna, a natura tak wyjątkowa i tak (jeżeli to wyrażenie właściwe) poetyczna, jak się w rzeczywistości, a dopieroż w naszym wieku nie spotyka. Gdyby powiedzieć przyszło, kto ze znanych nam ludzi, wyobrażał w sobie najlepiej miłość boską najczystszą, od wszystkiego oderwaną, zatopioną w niebie i do niego dążącą, jak słup dymu z ofiarnego ołtarza, to ten rodzaj duszy, ten stopień gorącej miłości widziało się chyba raz w życiu, u księdza Leszczyńskiego. Nieraz myśląc o wielkich postaciach katolickiego kościoła, o założycielach zakonu, krzewicielach wiary, chciałoby się odgadnąć, jakie te dusze być mogły, jakim w swoich uczuciach i w swoich pojęciach mógł być św. Franciszek albo św. Bernard, kiedy żył na ziemi? W przybliżeniu naturalnie, ale jakieś o nich

[1]) *Księżna Iza z Lubomirskich Sanguszkowa. Czas* z 12 i 13 kwietnia 1890.

wyobrażenie dawał X. Leszczyński: musieli być tego rodzaju z podobnem pojęciem ziemi i nieba, z podobną miłością obojga, a podobną do ostatniego tęsknotą. Że to był człowiek średniowieczny raczej niż dzisiejszy, to pewna«. Jeżeli, pomimo tego swego usposobienia ascetycznego nie został zakonnikiem, nie wstąpił do klasztoru, lecz został księdzem świeckim, to sprawił to głównie jego patryotyzm, jego pragnienie czynnej służby i praktycznego pożytku. »Oderwany od świata i dla siebie zupełnie za światem żyjący, zachował on zawsze i przechowywał, jak skarb najdroższy, wszystkie dobre ziemskie uczucia, a między temi w pierwszym rzędzie najgorętsze może u niego uczucie polskie. Sądził, że w tym stanie naszego świata i kraju podstawą przyszłości, korzeniem, z którego pień puścić może na nowo, jest wieś, że więc ksiądz na wsi może, jako Polak, sprawić więcej dobrego, niż zakonnik w celi zamknięty. Dlatego od dzieciństwa niezachwianem powołaniem do stanu duchownego ciągniony, został księdzem świeckim, dlatego chciał być proboszczem, ale na wsi, koniecznie na wsi«. Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że ten duchowny, zatopiony w kontemplacyi rzeczy niebieskich, zerwał z ziemią. Było przeciwnie: w tym proboszczu był jednocześnie niepospolity uczony i artysta«. Po za teologią, dwa były główne kierunki jego nauki: jeden był polski, historyczny a zwłaszcza literacki, w którym na pierwszem miejscu stała historya polskiego kościoła i jego literatura, a pod tym względem miał erudycyę prawdziwie imponującą. Można śmiało powiedzieć: że znał wszystko, od najdrobniejszych szczegółów i najbardziej zapomnianych autorów dawnych, aż do wszystkich większych i mniejszych prac dzisiejszych. Drugiem jego zajęciem i upodobaniem była sztuka, sztuka kościelna katolicka, w której miał wiadomości tak obszerne i tak gruntowne, że równych jemu znalazło by się ledwie paru w całej Koronie i Litwie. Przystępny wszystkiemu, co piękne, gotów był cenić, a nawet zachwycać się choćby nad flamandzkim obrazkiem; ale jego rozkosz i jego namiętność była gdzieindziej. Czasy odrodzenia były dla niego za świeckie; rozpływał się nad Rafaelem, ale rozrzewniał się nad tymi mistrzami, których duch czysto katolicki nie był jeszcze dotknięty żadnym innym wpływem. Malarstwo XV wieku, architektura średniowieczna gotycka, a zwłaszcza ulubiona romańska, to było podług niego najwyraźniejsze na ziemi odbicie niebiańskich piękności. Symbolika chrześciańska (w sztuce czy w obrzędach) znana mu i jasna jak słońce, w jego słowach i objaśnieniach ożywiała się rojem najgłębszych, najpiękniejszych znaczeń i pomysłów. Nie wiele podobno znalazłoby się takich ple-

banii, ciasnych, niepokaźnych, a kryjących w sobie skarby. Wszystkie kąty, szafy, stoły, podłoga nawet, zawalone książkami, stare dyplomata i pieczęcie, obok najnowszych publikacyi niemieckich i francuskich, reprodukcye starych rękopiśmiennych miniatur obok życia Dürera, przedwieczne druki polskie obok pism peryodycznych: na ścianach portrety najukochańszych polskich królów lub duchownych, a koło nich kopie z Fra Angelica lub z Masaccia: korespondencye w kwestyach artystyczno-kościelnych z całym światem od wielkich uczonych zagranicznych, aż do fabrykantów kościelnych materyi. Bo i te nie były obojętne; w kościele nic nie jest obojętnem, wszystko ma swoją myśl i znaczenie, a jak śpiew albo malarstwo, jak budowa, tak każdy szczegół od ołtarza aż do dzwonka, wszystko powinno być w tym samym duchu poczęte, wszystko nim uszlachetnione, żeby było, jak być może najmniej niegodne tej chwały bożej, do której służy. Stąd wybredność w tych rzeczach, która do rozpaczy czasem doprowadzała rzemieślników pracujących dla jego kościoła, lub panie, dostarczające mu ornatów: niech Bóg broni, żeby haft na kolumnie lub materya na bokach nie była w najczystszym stylu jakiegoś ulubionego czasu, żeby kształt stuły nie był klasyczny! Niech Bóg broni, żeby organista grał co niestosownego, lub śpiewał fałszywo; lud sam musiał się póty przełamywać i przyzwyczajać, aż się nauczył zwykłe pieśni śpiewać dobrze, a dzieci od małego już ćwiczone śpiewają rzeczy najprostsze tylko i rodzime, ale tak ładnie, że nie można się było dziwić księdzu proboszczowi, kiedy wsłuchiwał się w ich śpiewy, jak w anielskie głosy«.[1])

Tymczasem w kraju, pogrążonym w demonstracyjnej »żałobie narodowej«, atmosfera stawała się coraz duszniejszą: spisek szerzył się coraz bardziej, rosła władza i wpływ Komitetu Centralnego, temperatura podniosła się znacznie, zaczęła budzić obawy; wzrastała świadomość, że wszystko, co się dzieje, zmierza do rewolucyi. Zaczęły się czasy zamachów, na Wielkiego Księcia Konstantego, na Wielopolskiego. Wszyscy już miarkowali, że się zanosi na rzeczy ważne, a że ich skutki mogą być bardzo złe. Nietylko rozważniejsi, ale nawet wielu z zapalonych poczęło upominać i zaklinać, żeby się zatrzymać, ale było już za późno. Nawet Komitet Centralny zaczął miarkować, że źle się dzieje, ale powstrzymać ruchu nie miał już mocy. Kraj zwolna zbliżał się ku przepaści. Jakie w tym czasie było zachowanie się Tarnowskiego i jego przyjaciół, na to on sam w życiorysie Pawła Popiela odpowiada w ten sposób: »W piśmie ogło-

[1]) *Czas* z 26 sierpnia 1882.

szonem przez *Przegląd powszechny* wyrzuca Popiel nam, podówczas młodym, żeśmy organizacyi i powstaniu nie przeszkodzili. W tem nie był sprawiedliwym. Ostrzegaliśmy i przeszkadzali, ile mogli do ostatka; ale przeszkodzić nie mogliśmy, bośmy byli młodzi, bo nas nikt słuchać, nikt na nas zważać nie mógł. To oni, starsi, to oni, znani z rozumu, godnego życia i miłości ojczyzny, zrobić byli mogli i byli powinni. Dlaczego nie zrobili? Czy im cywilnej odwagi zabrakło? Czy o popularność chodziło? Nie. Mieli powód inny, od ich woli niezależny, który nie zmniejsza politycznej praktycznej szkodliwości ich postępowania, ale postępowanie to tłomaczy i zmniejsza ich winę. Świat był inny: czuł i myślał inaczej, młodziej. Starsi, jak młodzi, jak cała Polska, jak cała ówczesna Europa, żyli w atmosferze Napoleońskich idei, widzieli w nich pewne strony wzniosłe; a jeżeli nie całkiem wierzyli w ich rzeczywistość i rzetelność, to byli przecie pod ich wpływem, i zupełnie im nie wierzyć nie mogli. Nie mogli nie wierzyć, że skoro interes Francyi jest wszędzie, gdzie jest sprawa słuszna i cywilizacyjna, to musi przedewszystkiem być w Polsce; nie mogli przypuścić, widząc zwłaszcza opinię Zachodu silnie poruszoną, żeby wypadki polskie mogły się nie stać europejskiemi (choćby wojennemi). Nie mogli wziąść na siebie tej odpowiedzialności, by narodowi zaręczyć, że z tego położenia nie wyjdzie nic lepszego, jak kombinacya Wielopolskiego. Dlatego nie wystąpili tak stanowczo, jak byli powinni.« Co pewna, że młodzi, jak Tarnowski i jego towarzysze, doskonale zdawali sobie sprawę, że powstanie, gdyby przyjść miało, byłoby nieszczęściem; przeciwdziałać jego możliwemu wybuchowi, aż w tym stopniu, żeby je odwrócić, nie mogli żadną miarą. To też pomagali tylko gorliwie tym, którzy starali się nie dopuścić do nieszczęścia. A powtóre, i oni, i inni, starsi od nich, bo prawie wszyscy podówczas — w Krakowie przynajmniej — zawsze jeszcze liczyli na patryotyzm stronnictwa przeciwnego, nie wierząc do ostatniej chwili, by ono ważyło się posunąć aż do powstania: myśleli, że miłość ojczyzny od tego ich powstrzyma. Niestety, i najtrzeźwiejsi popełniali szereg błędów nie do darowania, które, podkopując stanowisko Wielopolskiego, podsycały spisek. Dość powiedzieć, że nawet *Czas* choć odrzekał się »przedwczesnego« powstania, okazał się chwiejnym wobec obrotu, jaki sprawy przybierały w Warszawie, i zamiast stanąć po stronie Wielopolskiego, jak to zresztą doradzał Mann, pobłażał i folgował demonstracyom, na co parł Leon Chrzanowski. Skończyło się na tem, że Chrzanowski swoim wpływem ostatecznie zdecydował postawę i zachowanie się *Czasu*, nacechowane brakiem przewidywania, i przemógł Manna, który też,

w drugiej połowie r. 1862, poróżniwszy się z redakcyą, na całe dwa lata wyjechał z Krakowa, udając się do Rzymu.[1])

Spotkał się tam z nim niebawem Tarnowski, który w tym czasie właśnie, razem ze swym młodszym bratem, Juliuszem, wybrał się w podróż do Włoch. Bardzo być może, że jedną z pobudek tej podróży była chęć rozerwania myśli, stroskanych po stracie matki. Pozatem była chęć poznania Włoch, jako ojczyzny sztuk pięknych. Jakoż zwiedzali wszystkie ważniejsze miasta włoskie, aż wreszcie zawitali do Rzymu, gdzie zabawili najdłużej.[2])

Jakie wrażenie na Tarnowskim zrobił Rzym, tego pozwala się domyślać jeden ustęp *Z Wakacyi*, gdzie autor, przyznając się do niejakiego zawodu i rozczarowania, i nie tając, że w wyobraźni

---

[1]) Prawdopodobnie do tego czasu, do tej epoki przedpowstańczej, odnosi się następujące wspomnienie St. Tarnowskiego, zapisane przezeń w r. 1889 w *Próbach rozstroju:* »Będzie temu mniej więcej ćwierć wieku, słyszeliśmy rozmowę dwóch młodych ludzi, którą, jako charakterystyczną, pozwalamy sobie przytoczyć. Starszy, prawie trzydziesto letni, uczył młodszego (nieukończonego studenta), że ludzkość dzieli się na dwa rodzaje ludzi: jedni są, jak prości żołnierze i wyrobnicy, przeznaczeni na to, by chodzili w jarzmie czy w kieracie wszystkich spraw, których społeczeństwo ludzkie tak potrzebuje, jak człowiek pokarmu i powietrza. Te biedne kreatury są koniecznie potrzebne, są pożyteczne, obejść się bez nich nie można. Ale ponad niemi jest dopiero drugi rodzaj ludzi, wyższych zdolnością i przeznaczeniem, którzy w społeczeństwie są tem mniej więcej, czem jenerałowie w wojsku. Tych zadaniem i obowiązkiem jest nie robić nic, tylko wszystko ganić, wszystkiemu przeczyć, wszystko obalać, co robią tamci. Z przeczenia bowiem i przeciwieństwa tryska ożywcze źródło wiedzy i postępu; negacya jest pierwiastkiem życia. Ma więc taki jenerał przeczyć i przeszkadzać wszystkiemu, co robią tamci, choćby to było najlepszem i najpożyteczniejszem: sam zaś ma czekać. I dopiero, kiedy okoliczności dostatecznie przygotują mu piedestał, ma nań wskoczyć, objawić swoją zasadę, rozpocząć swoje wstępne dodatnie działanie. Z natury, z wychowania, z przekonania, liczący się zawsze do owego pierwszego pośledniejszego gatunku ludzi, do szeregowców, uczeni przez drugich i przez własne sumienie, że gdzie się coś dobrego robi, tam pomagać a nie przeszkadzać winien człowiek, który sam chce być dobrym, uważaliśmy tę całą naukę za prosty wybryk umysłu zarozumiałego a niejasnego, dziwiąc się jedynie, że postępowy demokrata głosił taką naukę, która nam się extra-arystokratyczną zdawała. Nie sądziliśmy jednak, iż by nauka mogła być głębiej zakorzenioną i bardziej rozpowszechnioną, ani też, by mogła praktycznie iścić się w działaniu«. *Studya polityczne*, t. II, str. 15—16.

[2]) Siemieński w *Dwóch Juliuszach* opisując tę podróż dwóch młodych Tarnowskich po Włoszech tak pisze: »Po zwiedzeniu dosyć szczegółowem Włoch północnych, podróżując wciąż weturynem i posuwając się zwolna ku południowi, a zatrzymując się we wszystkich miastach ważniejszych«, (najdłużej zabawiono w Rzymie). Od nieodstępnego świadka pobytu Juliusza we Włoszech (był nim Stanisław Tarnowski) pożyczam tu parę uwag, malujących usposobienie jego pod względem artystycznym: »Dla wszystkiego, co piękne, nie brak mu było zmysłu trafnego i nieudanego zapału. Bez pretensyi do znawstwa,

nosił obraz inny, tak pisze: »Niestety, tak się najczęściej dzieje. Któż nie ma w głowie swojego Rzymu, od którego rzeczywisty różni się bardzo, Rzymu z Forum rozległem i pustem, z Coliseum na środku wielkiej trawą zarosłej przestrzeni, i ze Świętym Piotrem, który na wysokiem wzgórzu stoi sam jeden za miastem i nad miastem? Ze wszystkich miejsc, jakie widziałem, Neapol jeden znalazłem takim, jak go sobie wyobrażałem, Wenecyę jedną piękniejszą«. Rzym na razie przyprawił go o rozczarowanie: wyobrażał go sobie piękniejszym, poetyczniejszym. I niema się czemu dziwić: Tarnowski, który miał wyobraźnię zapłodnioną poezyą *Irydiona*, który od dziecka nasłuchał się tylu entuzyastycznych opowiadań o Wiecznem Mieście, który na Rzym zapatrywał się przez pryzmat historyi starożytnej i średniowiecznej, musiał tu znaleść mniej, niż się spodziewał. Nic naturalniejszego! Mimo to, powoli, w miarę, jak coraz lepiej poznawał Rzym, coraz bardziej przekonywał się do tej stolicy katolicyzmu, do tego grodu Cezarów i Papieży!

Przyczyniało się do tego głównie grono ludzi niepospolitych, z którymi Tarnowski, spotkawszy się teraz w Rzymie, zwiedzał jego pamiątki i zabytki, jego kościoły i muzea. Byli to w części Polacy, tworzący stałą kolonię polską nad Tybrem, w części ziomkowie, bawiący tu chwilowo.

O ówczesnej kolonii polskiej w Rzymie, grającej niemałą rolę w stosunkach Kościoła i Polski, tak pisze Tarnowski: »Była w Paryżu od lat kilku emigracya, świecka i polityczna, kiedy mniejsza i nieliczna zaczęła osiedlać się w Rzymie. Nie emigracya właściwie, bo obcym i wygnańcem tam Katolik nie jest i nie czuje się nigdy, i choć w innej, znajduje się zawsze w swojej także, tylko nie w wyłącznie swojej ojczyźnie. Ale z łona emigracyi wyszła ta mała polska kolonia, i miała podobne pojęcie swego zadania, jak wielka we Francyi. Tamta chciała przekonać świat, że zawadą na drodze

---

wielkie miał w obrazach upodobanie, a instynkt w ocenieniu ich rzadko go zawodził; dostrzegał odrazu tak zalet jako i stron ujemnych tego, na co patrzył. Urokom pięknych rzeczy bardzo przystępny, zachowywał jednak wobec nich całą swoją niepodległość; uniesienie sztuczne a zimne, uwielbienie konwencyonalne bez prawdziwego wzruszenia, było wstrętnem jego prostej naturze, i nie wstydził się odejść od obrazu choćby Rafaela, jeżeli ten do duszy jego nie przemawiał. To też znowu, kiedy się czemś naprawdę zachwycił, uniesienie jego wydawało się tem silniejszem i żywszem, że nie było hołdem oddanym na ślepo książkowym powagom, ale wrażeniem, pełnem dobrej wiary, wolnem od przesady i udania«. Te same słowa, przez Tarnowskiego o bracie skreślone, dadzą się powtórzyć i o nim samym w odniesieniu do wrażeń, jakich doznawał w czasie tej podróży włoskiej, w muzeach i kościołach Florencyj i Rzymu.

jego postępu i szczęścia są rozbiory i zabory, i tem przekonaniem wieść go do lepszego i wyższego bytu; ta miała pełnić służbę podobną, ale nie przy świeckich mocarstwach i społeczeństwach, ale przy Kościele [1]). Miała mu donosić, co Polska znosi i w czem źle robi, a na jedno, jak na drugie szukać opieki i rady w jego mądrości, lekarstwa i siły w jego miłości, na nowo w Polskę wszczepionej. Zadanie tutaj było niemal trudniejsze. Świat polityczny i świecki nieźle był ze sprawą polską obeznany, o ile nie urzędowy, dość jej przychylny, a ci, którzy mu ją przypominać mieli, byli ludzie wielkich stanowisk i wielkiej powagi, których nie przyjmować i nie słuchać nie było można. W Rzymie była uwaga dawno od spraw polskich odwrócona, zajęta naglejszemi; przez to była nieznajomość tych spraw i stosunków, a zanimby się cokolwiek stawiać zaczęło, należało grunt oczyścić z uprzedzeń, fałszywych sądów, mylnych wiadomości. Praca, którą możnaby nazwać Herkulesową, gdyby nie była chrześciańską i przez Boga wspomaganą, zaczęła się nie od ludzi znanych i głośnych, jak w Paryżu, ale od dwóch młodych kleryków — Kajsiewicza i Semenenki — nieco później kilku księży. Paru świeckich, starych, na dewocyi osiadłych, uzupełniało liczbę tej garstki, ale wpływem i pracą wiele pomagać nie mogło« [2]).

Wyjątek stanowiła Zofia z Branickich księżna Odeschalchi, osoba wpływowa bardzo, o której śmiało powiedzieć można, że od szeregu lat, bo prawie od chwili, gdy osiadła nad Tybrem, stała na czele całej kolonii polskiej w Rzymie, będąc duszą jej robót około nawiązania stosunków pomiędzy Polską a Kościołem. »Piękna jak grecka statua — charakteryzuje ją Tarnowski — ale zdrowia bardzo niepewnego, Zofia Branicka, zdaniem lekarzy skazaną była na śmierć nieuniknioną, gdyby żyć miała w ostrym klimacie. Dlatego rodzice

[1]) W życiorysie *Księdza Hieronima Kajsiewicza* pisze Tarnowski w tej kwestyi, co następuje: »Dla nas ludzi świeckich centrum polskich spraw i nadziei było zawsze tam, gdzie się rozstrzygały wielkie polityczne wypadki, gdzie się gotowały wojny i pisały traktaty, zatem, aż do ostatnich czasów w Paryżu. Na Londyn i na Stambuł mieliśmy oko jako tako zwrócone, na Wiedeń i Berlin już mniej. Szukaliśmy dla naszych zamiarów i działań punktu oparcia tam, gdzie się skupiały działania dyplomatyczne pięciu (podówczas) wielkich mocarstw europejskich. Było jedno miejsce, leżące jakżeby na uboczu wielkiej polityki angielskiej i francuskiej, a przeto pomijane i przez naszych polityków polskich; a przecież była i tam służba do pełnienia, niebezpieczeństwa, podstępy, fałsze do odpierania, wielkie interesy polskie do bronienia. Tem miejscem był Rzym. Dla księży oczywiście punkt najważniejszy na kuli ziemskiej, ten, z którego najpilniej było potrzeba, a najskuteczniej było można, ratować duszę narodu, ratując jego katolicką wiarę«.

[2]) *Przegląd polski*, 1888, kwiecień, 159—160. *Kardynał Czacki.*

życzyli sobie dla niej męża cudzoziemca i wydali za Włocha, niepospolitego rozumu i bardzo dobrego serca księcia Odeschalchi. Ale ten mąż, jako cudzoziemiec, choć rozumiał i szanował uczucia polskie żony, nie mógł dzielić ich w zupełności, nie mogły one dla niego być tem, czem były dla niej. Była więc pod tym względem niejako na wygnaniu, tęskniła za ludźmi, którzyby czuli zupełnie tak, jak ona; przyjąwszy szczerze ojczyznę męża, potrzebowała duszą żyć w swojej i dla niej. Pole znalazła: był niem Kościół. Trudno przypuścić, iżby odrazu była zrozumiała i uznała to swoje zamężcie rzymskie za zrządzenie boskie, które jej wskazuje obowiązek i rodzaj służby; łatwiej mniemać, że pomimo niepospolitego umysłu i charakteru, zrozumienie i dojrzałość tego powołania wymagały pewnego czasu; ale to pewna, że w czasie stosunkowo bardzo krótkim ta młoda kobieta była już — w Rzymie — osobą wiele znaczącą. Inteligencyę miała potężną (nawet na męską byłaby taką) i bardzo rozległą; wykształcenie było już czemś więcej, bo bardzo gruntowną i bardzo rozległą nauką. Siła woli i odwaga były już zdumiewające, a siła przekonań i uczuć niewzruszona jak skała, a rwąca, wylewająca się na zewnątrz. Było w niej połączenie dziwne i rzadkie żarliwości aż namiętnej w uczuciu, a niezłomnego spokoju i statku w woli. Ta natura tak bogata i potężna, przystała do Kościoła całą siłą swoich uczuć, swoich przekonań i swojej woli, i oddała się na jego służbę, która obejmowała służbę ojczyzny, tak, jak w kole większem objęte jest współśrodkowe mniejsze. Jej wpływ i znaczenie, jakie jej nadawało stanowisko męża, jej majątek wreszcie, były wielką pomocą dla księży Kajsiewicza i Semenenki, były to siły sprzymierzone, działające zawsze w tym samym duchu i zawsze razem, nigdy osobno. Z wstąpieniem na tron Piusa IX ta siła polska w Rzymie ujrzała lepsze przed sobą widoki, ale do znaczniejszego i skuteczniejszego wpływu doszła dopiero po powrocie Papieża z Gaëty. Wypadki roku 1848 i rola, jaką w nich ktokolwiek z ludzi odegrał, dawały Papieżowi miarę i pewny sposób rozpoznania, kto się przy Kościele oświadczał szczerze i bez restrykcyi, a kto dlatego, że go chciał mieć do świeckich celów narzędziem lub sprzymierzeńcem. Ufność do księży polskich i do księżnej Odeschalchi wtedy ustaliła się naprawdę i na resztę życia: Pius IX przekonał się, że może im wierzyć, że może na nich polegać zupełnie«.

Równorzędne stanowisko z księżną Odeschalchi zajmował wśród kolonii polskiej w Rzymie stale tu od roku mniej więcej 1851 zamieszkały Włodzimierz Czacki. Potężny duchem, fizycznie był to człowiek chory. Stać i chodzić mógł tylko z pomocą jakichś stalowych

sprężyn, które go ujmowały i podpierały; jedynie w ten sposób mogąc chodzić, musiał chodzić bardzo wiele, albowiem miał to zalecone przez lekarzy, ale nawet i wtedy niektórych ruchów ciała, naprzykład położyć się lub wstać, nigdy nie mógł wykonać bez pomocy drugiego człowieka. To było powodem, że zmuszony przebywać w ciepłym klimacie, bo w innym nie wróżono mu długiego życia, od chłopca osiadł w Rzymie, mieszkając, jako krewny księżnej Odeschalchi, w jej pałacu, pod jej opieką. Skoro musiał mieszkać we Włoszech — opowiada o nim Tarnowski — to nic prostszego, jak że matka oddała go pod opiekę swojej ciotecznej siostry; lepszej znaleść nie mogła. Dla księżnej, oddzielonej od rodziny i od ojczyzny, mieć w domu bliskiego krewnego i Polaka było wielkiem szczęściem; dla niego znowu ona zastępowała utracony dom rodzicielski i ojczyznę. Byli więc sobie wzajemnie słodką pociechą, a im dłużej, tembardziej drogim skarbem, dobrodziejstwem, nieocenionym darem bożym. Dwie dusze, równie wysokie, zrozumiały się rychło i umiłowały na wieki. Księżna w tem chorem ciele, które pielęgnować musiała, odkrywała zadziwiające dary rozumu i uczucia ze swojemi zgodne; młodzieniec znajdował w niej wszystkie zapały i wszystkie aspiracye swego serca, tylko już wytrawione i ustalone latami, rozwagą i doświadczeniem. Jego pobożność (od dziecka już zawsze mówił, że będzie księdzem), pod jej ręką wyrobiła się na przekonania, na zasady; zasób miłości, jaki miał w duszy, ułożył się w doskonały porządek, jak pierwotny chaos w system słoneczny, słońcem zaś był Bóg i Kościół. Przez ojca spokrewniony blisko z Zygmuntem Krasińskim, z którym w lecie spotykał się u wód niemieckich, a z jego żoną równie blisko przez matkę, miał otwartą drogę do stosunków, do których rwało się jego serce. »Kto pamięta, czem dla polskiego społeczeństwa był wtedy autor *Przedświtu* i *Psalmów*, geniuszem, wieszczem, nieledwie prorokiem, ten pomiarkuje, z jakim popędem pragnienia i uwielbienia musiała ku niemu lecieć dusza tak gorąca i namiętna, jak Czacki, i do tego jeszcze w pierwszej młodości. Krasiński stał przed nim nietylko jak wcielenie miłości ojczyzny, ale jak jej praktyczna nauka i jak zbiór politycznej i filozoficznej mądrości. Co dziwniejsza, i co wskazuje, jak niezwykły musiał być umysł Czackiego, to, że Krasiński, tak w swoich przyjaźniach wyłączny i nowych stosunków unikający, nietylko przywiązał się do niego serdecznie, ale tego młodego chłopca, tego studencika, traktował jak równego sobie, ze wszystkiem jemu się zwierzał, we wszystkiem na jego zdanie zważał. Zdawałoby się, że naturalne podziwienie z jednej strony, a z drugiej przewaga geniuszu i sławy, powinny były tego młodzieńca zro-

bić ślepym fanatykiem, Seidem Krasińskiego; było właśnie przeciwnie. Niepodległość swojego zdania i osobistość swego charakteru zachowywał Czacki wobec niego najśmielej i najzupełniej; tak, że nieraz, kiedy tacy przyjaciele Zygmunta, jak Jerzy Lubomirski lub August Cieszkowski, bądź dali się porwać, bądź sprzeciwiać się nie chcieli, ten występował śmiało i ostro przeciw Krasińskiego zdaniu i godząc się z nim najczęściej, nie poddawał mu się nigdy«. Wpływy tych dwóch przyjaźni wielkich dokonały wychowania Czackiego. Oba były siebie bliskie, bynajmniej nie sprzeczne, owszem z sobą zgodne, jednak odmienne i uzupełniające się wzajem. Gdyby zapytać, co było samą essencyą myśli i duszy Czackiego, jego przekonań i jego nadziei o ludzkości czy o Polsce, o polityce ziemskiej czy o Królestwie Bożem na ziemi, możnaby odpowiedzieć, że były tam Krasińskiego idee, ale sprostowane i poprawione przez Czackiego za wpływem i działaniem księżnej Odeschalchi... Po śmierci Krasińskiego, która dla Czackiego była strasznym ciosem, gdy wraz ze stopniowym zaborem Państwa Papieskiego, zaczęły się namiętne spory o władzę świecką, Czacki, jak księżna Odeschalchi, jak księża Zmartwychwstańcy, stali się dla opinii liberalnej kamieniem obrazy i przedmiotem nienawiści, odstępcami sprawy narodowej i t. p. Rewolucyjne sprzysiężenia, które księdza Kajsiewicza prześladowały już od roku 1848, teraz znalazły oczywiście jeszcze pilniejszą potrzebę prześladowania, a pod nie zagarnęły i Czackiego, choć nie był niczem i odzywać się ani chciał, ani miał sposobność lub powinność. Kiedy zaś nastąpiła nominacya arcybiskupa Felińskiego i otwarcie kościołów w Warszawie, czyli zawada na drodze tych, którzy chcieli wybuchu, nie pytając, czy on będzie lub nie będzie powstaniem, na księży głównie, ale i na Czackiego także — choć nie od nich ten lub inny obrót sprawy zależał — spadła i wywarła się cała wściekłość stronnictw rewolucyjnych. Pod koniec roku 1862, kiedy Tarnowski zbliżył się do starszego od siebie o dwa lata Czackiego, stanowisko jego w Rzymie było dziwne; oficyalnie żadne: był chorym 27-letnim młodzieńcem i niczem więcej. Odwiedzać ludzi nie mógł, a szukać ich nie chciał; jednak znany już był powszechnie, a pokój, w którym leżący przyjmował, pełen był zawsze takich, którzy jego szukali. Przyczyniał się do tego, oprócz wszystkich stron poważnych, wdzięk jego umysłu i rozmowy. Kiedy dowodził i przekonywał, stanowczy zawsze, a nieraz gromiący; kiedy mówił o rzeczach potocznych i lżejszych, był najdowcipniejszym i najzabawniejszym z ludzi. Za to, gdy mówił o rzeczach doniosłego znaczenia, gdy dyskutował, bywał bezwzględnym i nieugiętym, nie miał ani wyrozumiałości w sercu,

ani roztropności w postępowaniu. W uczuciach gorący i namiętny, w przekonaniach stały, a w mowie śmiały, w owych latach, jako młody, był jeszcze absolutny w zdaniach, przez to wyłączny, a czasem do uprzedzeń łatwy. Kto nie czuł i nie myślał zupełnie tak, jak on, ten dla niego nie istniał, ani był godnym jego wiary i szacunku. Miało to niewątpliwie swoje złe strony. Obserwował to nieraz Tarnowski, który nawet raz był świadkiem, jak ksiądz Kajsiewicz robił Czackiemu uwagi, że z dobrego usposobienia, gdzie ono jest, należy korzystać, choć ono nie jest doskonałem, a nie odpychać i przeczyć. Poza tem, w zwykłej towarzyskiej rozmowie, a zwłaszcza w rozmowie salonowej, świetność jego zawsze gotowych odpowiedzi, humor jego opowiadań, dosadność, z jaką charakteryzował ludzi i stosunki, sprawiały, że jako człowiek światowy mało miał sobie równych. Dowcip jego, czasem umiejący być bardzo złośliwym, nieraz lubił zabawne głupstwo. On sam przytem miał dar udawania w najwyższym stopniu, i z jego pomocą bawił się nieraz w mistyfikacye i zwodzenia. Te zalety towarzyskie ściągnęły mu wiele stosunków z ludźmi szerokich wpływów, jak n. p. z księciem Morny, w Rzymie zaś z monsignorem Franchi, z kardynałem Reisachem, a nawet z samym Papieżem. Stąd, nie będąc właściwie niczem, miał już Czacki w tych latach pewien wpływ. Pius IX nietylko znał go dobrze, ale lubił, często do siebie wzywał i długo poufnie z nim rozmawiał. Nie można oczywiście mówić o przyjaźni tam, gdzie niema równości, ale o ile w takiej odległości stanowiska, jak między skromnym nieznanym cudzoziemcem a Głową Kościoła, być to może, to w tym stosunku były niektóre pierwiastki przyjaźni. Przy całym zaś szlachetnym idealizmie uczuć, pojęć i dążeń, miał Czacki w postępowaniu praktyczną roztropność, trzeźwość, zręczność, która dochodziła do wysokiego stopnia politycznej, dyplomatycznej zdolności. Mimo to, w stosunkach do Stolicy Apostolskiej, cała jego siła, razem wzięta, niezawsze wystarczała, by zwyciężać i to co chciał przeprowadzić. Ale bądź co bądź usiłowaniom jego, jak wogóle połączonym zabiegom polskim, w których jego działalność była jedną cząstką, bardzo znaczną zawsze, a czasami i najznaczniejszą, udało się przeprowadzić tyle, że odtąd nastało w Rzymie dobre zrozumienie sprawy polskiej i niebezpieczeństw polskiego Kościoła, wielka dla nich uwaga, troskliwość i miłość [1]).

Przybywszy do Rzymu, Tarnowski odrazu wszedł w bliższe stosunki z głównymi przedstawicielami kolonii polskiej nad Tybrem,

[1]) *Przegląd polski*, 1888, kwiecień, str. 163—169. *Kardynał Czacki.*

a w pierwszym rzędzie z Czackim, z którym był spokrewnionym, i z księżną Odeschalchi, w której domu koncentrowało się miejscowe życie polskie. Tutaj miał możność spotykania się ze wszystkimi, którzy, z OO. Zmartwychwstańcami na czele, stanowili jakby nuncyaturę czy ambasadę Kościoła polskiego, a więc z księżmi Kajsiewiczem, Semenenką, Kaczanowskim; tutaj spotykał się ze swymi dobrymi znajomymi i przyjaciółmi, chwilowo bawiącymi w Rzymie, z Mannem i Kalinką; tutaj wreszcie zawiązał się jego przyjacielski stosunek z »Mirem« Czackim, z którym wogóle od pierwszej chwili, zarówno w kwestyach kościelnych, jak świeckich, mianowicie politycznych i literackich, bardzo wiele miał sobie do powiedzenia, niezawsze z nim będąc jednego zdania. Dyskutowali namiętnie, a choć Tarnowski miał wielki respekt dla niepospolitych zdolności Czackiego, to jednak, gdy chodziło o... wiersze »Mira«, (które ten, drukując je, jako rękopism, rozdawał najzaufańszym), krytykował je *sine ira*, ale z całą otwartością. Były to, jego zdaniem, liche parafrazy z Krasińskiego, naśladujące jego formę, a bez dostatecznej władzy nad stylem i wierszem [1]).

Myśli o Krasińskim nasuwały się obecnie Tarnowskiemu niejednokrotnie i w obcowaniu z księdzem Kajsiewiczem, któremu za najwyższą zasługę poczytywał to właśnie, że w tym samym czasie, gdy Krasiński zabierał się do najwyższej apoteozy Polski, mianowicie do pisania *Przedświtu*, on wzywał tę samą Polskę do pokuty i poprawy. Chronologiczne zbliżenie *Kazania o Pokucie* z *Przedświtem* nie było przypadkowem. Kazanie poprzedziło poezyę; ale choć tej poezyi jeszcze nie było, to kaznodzieja znał ten cały prąd uczuć i myśli, z którego ona wykwitła, i ze świadomym dobrze zamiarem chciał mu położyć tamę. To też, w przekonaniu Tarnowskiego, kaznodzieja miał więcej słuszności, więcej prawdy po sobie, niż poeta. W *Przedświcie* bowiem, obok prawdy ideału, niema prawdy rzeczywistości. »Polska powinna być taka, jaką on ją w przyszłości widzi; ale nie jest i nie była taką, jaką ją widzi w przeszłości i teraźniejszości. Otóż ta prawda rzeczywistości, ta Polska, jaka była za Stanisława Augusta, i dawniej, i później, i na emigracyi... ta jest w *Kazaniu o Pokucie*. Potrzebny jest i konieczny wzniosły ideał ojczyzny w sercu, w myśli, w słowie, w uczynku, we wszystkiem i wszędzie, bo bez niego rzeczywistości nie będzie nigdy; ale potrzebniejsza jego podstawa, znajomość siebie samych i tego, co jest, bo bez niej ideał na niczem nie oparty, nie zdoła nawet próbować wcielić się w życie,

[1]) Tamże, str. 165.

i zostanie w powietrzu jak fantazya, jak marzenie, jak mgła, jak tęcza, ale się tylko zawsze — jak n. p. w roku 1861 w manifestacyach warszawskich — rozchodzi, rozpływa i rozsiewa«. To też praktycznej, patryotycznej, obywatelskiej zasługi więcej, zdaniem Tarnowskiego, było w *Kazaniu o Pokucie*, niż w *Przedświcie*. Nie mówiąc o tem, że więcej trzeba odwagi na to, by zrobić rachunek sumienia narodu, niż jego apoteozę, i że ten, który kochając Polskę z całego serca, z całej duszy, i ze wszystkich sił swoich, widział ją przecież taką, jaką była, od ideału bardzo daleką i dobrowolnie do zguby idącą, że ten także cierpieć musiał niemało, i miałby był także prawo powiedzieć o sobie, że jak Dant za życia przeszedł przez piekło! Ale nie brakło punktów, na których wymowa Kajsiewicza spotykała się z poezyą Krasińskiego. Tak n. p. punkt wyjścia był w obudwóch jeden: ten sam patryotyczny ból, który wydał *Irydiona*, *Przedświt*, *Psalmy*, całą poezyę i całą historyozofię Krasińskiego, wydał także kazania polityczne, i może cały zawód duchowny Kajsiewicza. Wprawdzie chwilowo rozeszły się ich drogi — w *Przedświcie* i *Kazaniu o Pokucie* — ale gdy Polska była w niebezpieczeństwie, wtedy Krasińskiemu ideał nie zasłonił rzeczywistości i jego krzyk »hajdamackie rzućcie noże« zszedł się co do czasu i co do myśli z Kajsiewicza groźbą »pomrzecie bez chwały i korzyści, boście siebie nad wszystko kochali!« Jeden w nich był ideał ojczyzny, i jedna odwaga, jedna zasługa, jedna chwała, w tem, że oni dwaj pierwsi, każdy wedle sił i środków swoich wystąpili do walki z duchem rewolucyjnym, wykazując, że on duchem narodowym patryotycznym nie był, ale się tylko pod niego podszywał. Że to na głowę księdza Kajsiewicza ściągnęło gromy ze strony zdemaskowanych rewolucyonistów, temu nie należało się dziwić; o wiele trudniej było zrozumieć, że ludzie prawdziwie patryotycznego ducha nie umieli jednego od drugiego rozróżnić, ale w procesie tym między ideą ojczyzny a ideą rewolucyi, w wielkiej części oświadczyli się przeciw księdzu Kajsiewiczowi. Mickiewicz mówi o Skardze, że połączył on w sobie i spełnił ideał kapłana i obywatela. Nie stawiając księdza Kajsiewicza na równi ze Skargą, przyznać trzeba, że mało który z Polaków w naszym wieku tak się do niego zbliżył, jak ten. Pierwszy po Skardze w rzędzie naszych religijnych mówców, podobnym doń był ks. Kajsiewicz i przez to, że połączył w sobie doskonale miłość i służbę Boga i Ojczyzny, a obydwie u niego były tak gorące i tak wysokie, że mało miał w tym względzie sobie równych. Stąd pochodziła jego wytrwałość w obywatelskiej służbie. Pomimo wszelkich goryczy i przeciwności, to na niej wybijało tę cechę patryotyzmu, tak rzadką

do widzenia. »Nikt może w tym wieku nie sądził nas tak surowo i nie gromił tak ostro, jak on; ale nikt przytem mniej od niego nie dał się do nas zniechęcić, nikt mniej nie dał się uwieść do wstrętu, do goryczy, do wzgardy. Ksiądz i katolik przedewszystkiem, nigdy nikomu pod tym względem nie pofolgował i nie ustąpił, nigdy nie wdawał się w koncesye i kompromisa pod względem czy to wiary, czy karności kościelnej; owszem, dla jednej, czy dla drugiej narażał się przez całe życie opinii, znosił jej niesprawiedliwości, wolał dać się okrzyczeć za złego Polaka, choć nic w życiu tak bolesnem być mu nie mogło, jak poświęcić cokolwiek z zasad i przepisów Kościoła. Ale jak religii, tak i ojczyzny nigdy poświęcić nie umiał i nie poświęcił, bronił jej sprawy, bronił jej sławy, służył jej przed Kościołem, jak Kościołowi w niej i przed nią. A jak się modlił o te dwa przymioty swojej miłości *ut sint unum*, jak pracował, ile mógł, na to, aby były jednem na świecie, w historyi, w zwycięstwie, w przyszłości, tak je w duszy swojej połączył tak doskonale, iż one istotnie były tem jednem«. W tym duchu żył i działał, w tym duchu były jego kazania. Co również było znamienną cechą tych kazań, zwłaszcza kazań politycznych, to gruntowna i głęboka znajomość tak natury polskiej w ogólności, samej przez się, jak i tej natury pod warunkami czasu i położenia, charakteru narodowego ze wszystkiemi jego skłonnościami złemi czy dobremi, i z najgłębiej ukrytemi powodami tych skłonności, i obecnego, dzisiejszego stanu i usposobienia polskiej duszy. Dusza ta była dla niego na wskróś otwarta, przeźroczysta, niby szklanna. Widział on zawsze nietylko to, co Polak robi, ale i dlaczego robi, co czuje, co cierpi, co zamierza i myśli w każdej chwili; widział, dlaczego myśli tak a nie inaczej; wiedział, przez jaki proces moralny doszedł do tych lub owych myśli, przekonań, uczynków. Tarnowski, który w Kajsiewiczu widział nietylko prawdziwego »księdza niezłomnego«, nietylko wielkiego kaznodzieję, ale i Polaka niezłomnego i jednego z najlepszych synów ojczyzny, od dziecka był pod jego urokiem, zawsze pełen uznania, graniczącego z uwielbieniem, dla jego działalności patryotycznej i religijnej, podziwiając w nim »ten urok szczególny, jaki wywierała jego natura silna, poważna a prosta, tę ufność i cześć, którą wzbudzał, tę szorstkość żołnierską nieco, która mu zawsze została, i tę dobroć męską, w której nic miękkiego i pieszczotliwego nie było, a która tak pociągała i przywiązywała do niego tych, co się ku niemu zbliżyć mogli. Przez żywość uczucia i wyobraźni, przez otwartość, przez dobroć, przez śmiałość wreszcie, była to szczero polska natura, a ta typowość polska, którą się w nim czuło, dodawała mu uroku. Ale były w jego

naturze i inne przymioty, mniej nam właściwe: wytrwałość, stateczność, odwaga cywilna, jedność myśli, zasad, życia, a te sprawiały, że jako charakter był pomiędzy nami jednym z najwyższych i najbardziej skończonych«. Jako kazdnodzieja należał do najświetniejszych, nietylko w Polsce, ale i w Europie. Nie mogąc mierzyć się ze Skargą, wytrzymywał porównanie z Lacordairem, a choć nie był poetą we właściwem znaczeniu tego wyrazu (niezależnie od swych młodzieńczych *Sonetów)*, jego kazania, pełne poetycznego polotu, zawierały tyle poezyi, ile jej potrzeba, żeby wymowa mogła być piękną, chwilami porywającą. A miał on nawet i te pomniejsze podrzędne warunki, które mówcy znacznie ułatwiają zadanie. Piękniejszego organu głosu — powiada Tarnowski — bardziej rozciągłego, dźwięczniejszego i pełniejszego we wszystkich tonach, od najniższych do najwyższych, nie zdarzyło nam się słyszeć nigdy. A co się tycze postawy (rzecz mała zapewne, ale i ona ma swoją wartość), to trudno spotkać ludzką figurę, tak imponującą liniami i ruchem, ludzką twarz, tak poważną rysami i wyrazem, jak był ksiądz Kajsiewicz na ambonie. Być może, że zawdzięczał to po części swojej szramie, że to ona ciągnęła do siebie oczy, zanim jeszcze słowa pociągnęły słuch i uwagę, ale to pewna, że samo zjawienie się na ambonie, sama postać, już sprawiały wrażenie, usposabiały do słuchania, do uszanowania, poprostu imponowały.

W Rzymie, jako przełożony Zgromadzenia Zmartwychwstańców, bądź też, jako zastępca przełożonego, ks. Kajsiewicz mniej miał sposobności do wykazania swego kaznodziejskiego talentu; tam bowiem, zamiast licznego, jak w Paryżu, koła polskich słuchaczów, zamiast emigracyi, wstrząsanej wszystkiemi po kolei elektrycznemi prądami wypadków lub idei, miewał przed sobą zawsze tylko szczupłe, przypadkiem zebrane, ciche i spokojne grono polskich wędrowców. Te przelotne ptaki nie mogły być, jak emigracya we Francyi, odbiciem całego narodu na mniejszą tylko skalę; a kilka osób lub rodzin polskich stale w Rzymie osiadłych, mogły mu dostarczyć polskich słuchaczów i penitentów, ale nie dawały mu polskiego społeczeństwa. W końcu roku 1862, gdy między innemi przelotnemi ptakami polskiemi bawił w Rzymie i Stan. Tarnowski, człowiekiem, który do księdza Kajsiewicza garnął się więcej, niż inni, był Waleryan Kalinka. Poróżniony z Biurem paryskiem, od listopada znalazłszy się w stolicy papiestwa, przyszły autor *Sejmu Czteroletniego* już się nosił z myślą wstąpienia do zakonu... Głównym jego powiernikiem i pośrednikiem w tej sprawie sumienia i powołania był ksiądz Kajsiewicz, z którym bardzo wiele przestawał. Że się coś między nimi ważyło,

to było widoczne po obydwóch: nie uszło też baczności Tarnowskiego, który przestając wiele z Kalinką zarówno, jak i z księdzem Kajsiewiczem, domyślał się, że »obadwaj szukali drogi dla Kalinki, chcieli dojść, jaką mu przeznacza ta Wola Boża, której obaj chcieli być sługami i narzędziami«.

O silnie mistycznym nastroju, jaki panował w tem kole przyjaciół Kalinki, daje przybliżone wyobrażenie następujący epizod, zapisany przez Tarnowskiego, który prawdopodobnie był jego naocznym świadkiem: »Daleko za murami, na drodze Appijskiej, jest mały, ubogi i opuszczony, zawsze zamknięty kościółek *Domine quo vadis*. Podanie mówi, że św. Piotr, widząc się w niebezpieczeństwie, chciał umknąć przed prześladowaniem, i tą drogą wychodził z Rzymu. O parę staj od miasta zaszedł mu drogę Pan Jezus. Św. Piotr zdziwiony, zapytał: *Domine quo vadis?*... Idę do Rzymu, była odpowiedź, dać się ukrzyżować zamiast Ciebie, kiedy ty nie chcesz być ukrzyżowanym za mnie... Św. Piotr wrócił do miasta, a na miejscu tego spotkania stoi kościółek. Czyja była myśl, nie wiem, ale do tego kościółka wybrali się prosić o natchnienie, co mają robić, gdzie pójść albo zostać, żeby przyjąć ten los, ten krzyż, jaki każdemu Bóg przeznaczał. Ksiądz Kajsiewicz miał mszę; słuchał jej ksiądz Kaczanowski na samem wyjezdnem do bułgarskiej misyi, już z brodą zapuszczoną, już po przyjęciu wschodniego obrządku, a Kalinka, także na rozstajnych drogach, przystępował do Komunii świętej. Natchnienie było dobre, i może sprowadzone przeczuciem, że trzeba im nowego pokrzepienia i nowych sił, żeby dźwigać te krzyże, które na nich i na naród spaść miały« [1]).

W kole Polaków, w którem Tarnowski najwięcej obracał się w Rzymie, bardzo poważne stanowisko zajmował Maurycy Mann, wyrocznia w sprawach politycznych. Tarnowski, który z nim znał się z Krakowa, a teraz spotykał się niemal codziennie, taką szkicuje jego sylwetkę na tle Rzymu »w tym końcu roku 1862«: »Przestawał najwięcej z Włodzimierzem Czackim, wtedy jeszcze świeckim, i z jego ciotką, księżną Odeschalchi; wiele z księżmi Kajsiewiczem i Semenenką; mniej z Kalinką, który w nieporozumieniu z paryskiem Biurem bawił wtedy także w Rzymie, i w najściślejszej z księżmi Zmartwychwstańcami ufności i zażyłości. Ale oprócz przyjaźni z katolikami, miał Mann znajomości i stosunki w obozie przeciwnym, których wcale nie unikał, owszem, szukał i nawet je lubił. Przyjaciel Leona Rzewuskiego, miał oczywiście wstęp ułatwiony do jego szwagra,

[1]) *Ksiądz Waleryan Kalinka*, str. 108—109.

starego księcia Sermonetta, sławnego z rozumu i nauki, ale i z zawziętej do Watykanu niechęci. A u tej prawie głowy stronnictwa piemonckiego w ówczesnym Rzymie, bywał Mann często, z wielką przyjemnością, spotykał tam całą rzymską opozycyę i mawiał, że byłoby mu w tym domu nawet miło, jak mu było zabawnie, gdyby w nim było mniej Prusaków i sympatyi do Prusaków. Czy przeczuwał zdaleka już wtedy, na jakie drogi zajdą z czasem przez te sympatye pruskie nieprzyjaciele Piusa IX?« [1]). Nadmienić wypada, że Tarnowski, choć bardzo wysoko cenił Manna, choć żywił najwyższe uznanie dla jego rozumu politycznego, na niektórych punktach różnił się z nim zasadniczo. Takim punktem była polityka paryskiego Biura, którego Tarnowski, jako jego współpracownik i korespondent, był gorącym zwolennikiem. Tymczasem Mann — jak Adam Potocki — był uprzedzony do robót emigracyjnych, mając jakąś obawę, że co emigracyjne, to i konspiracyjne. Stąd i od Hotelu Lambert, którego Tarnowski był zdecydowanym stronnikiem, bardzo starannie trzymał się zdaleka, co zresztą w tych latach i o całej redakcyi *Czasu* powiedzieć było można.

W swym życiorysie księdza Kajsiewicza pisze St. Tarnowski o jego pobycie w Rzymie; »Tam może ostatecznie ukształciły się jego zasady, jego pojęcia świata i historyi, tam widocznie, do przyniesionej z sobą miłości Boga i Ojczyzny, przybyła trzecia, miłość Kościoła, od tamtych nadal nierozdzielna, tak, że mógł o sobie powiedzieć to, co po dłuższym pobycie w Rzymie mówi tak wielu, że poszło niemal w utarte przysłowie: *Sono venuto catolico, sono divenuto romano*". Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że sam Tarnowski, za tego swego pobytu w Rzymie uległ pod względem niedawnych jeszcze »subtelnych rozróżnień między Wiarą a Kościołem« podobnej metamorfozie na korzyść Kościoła i władzy świeckiej Papieża. Wpływ otoczenia, a zwłaszcza wpływy takich ludzi, jak księżna Odeschalchi, Czacki, Kajsiewicz, Kalinka i Mann, zrobiły swoje, rozwiały wszelkie wątpliwości i zastrzeżenia. Reszty mogło dokonać osobiste zetknięcie się z Piusem IX, u którego za tej bytności w Rzymie, w grudniu 1862 r., miał, wraz z swym bratem, Juliuszem, prywatną audyencyę. Wprawdzie audyencya nie była długą, a Papież mówił z nimi tylko, jak z młodymi ludźmi, wcale nie tykając polityki (co tembardziej musiało wysunąć kwestyę religii), ale że takie posłuchanie u Ojca Świętego, i to męża tej miary, co Pius IX, głęboko musiało wstrząsnąć młodocianą duszą Tarnowskiego, w tem chyba nikt zbyt śmiałej hypotezy dopatrzeć się nie zechce...

[1]) O *Czasie* i jego redaktorach, str. 54.

Na podobieństwo dziada swego, Jana Feliksa Tarnowskiego, który w Rzymie szukał stosunków z artystami, by przebywając w ich pracowniach, przypatrując się ich dziełom i rozmawiając z nimi o rzeczach sztuki, kształcić swój smak estetyczny, i Stanisław Tarnowski, przez cały czas pobytu swego w Rzymie, nie poprzestawał na podziwianiu arcydzieł dawnych mistrzów, lecz starał się wejść w bliższe osobiste stosunki z artystami, których zawsze nad Tybrem mieszka cała kolonia, zarówno Polaków, jak cudzoziemców. Że tak było, że istotnie, bawiąc nad Tybrem, niejedną chwilę spędził w pracowniach malarzy i rzeźbiarzy, dowodzą jego szkice *Z Wakacyi*, gdzie mu jeden z obrazów Overbecka, oglądany w Muzeum Rumiancowa, przypomniał rzymską pracownię tego nowoczesnego Fra Angelica. »*Sakrament pokuty* Overbecka — czytamy tam między innemi — jest jednym z tych siedmiu kartonów, które były przez mistrza zrobione, a u niego podobno zamówione do kościoła św. Szczepana w Wiedniu, i nie wzięte. Przypominam sobie przed laty cztery z nich w jego pracowni w Rzymie, kiedy z dziwną dobrocią każdemu pozwalał tam wchodzić i sam pokazywał i tłómaczył. Tej *Pokuty* wtedy tam nie było. Czy jeszcze nie była zrobiona? czy też już nabyta? Nie wiem. Ale jeżeli się nie mylę, miał wtedy Overbeck u siebie *Bierzmowanie*, *Eucharystyę*, *Kapłaństwo* i *Małżeństwo*; ostatnie, o ile pamiętam, najmniej piękne, najwięcej grzeszyło tą pięknością konwencyonalną, która była może największą wadą artysty. Żeby w tej *Pokucie* nie było jej wcale, trudno powiedzieć, ależ zawsze co za piękna rzecz, co za perfekcya rysunku, co za szlachetność linii, ruchów, postaw i głów, co za delikatna piękność ornamentów, które stanowią jakżeby ramę koło kartonu. Naśladowanie to zapewne, i pozbawione tej twórczej iskry geniuszu, która jest we wzorze — w Rafaelu — ale naśladowanie, które jest tylko przejęciem się tym wzorem i taką jego miłością, taką czcią fanatyczną i synowską, że przez nią samą Overbeck byłby sympatycznym. To pewna, że między naśladowcami on zawsze będzie jednym z najrozumniejszych i najzdolniejszych, i że kiedy o wszystkich dzisiejszych Niemcach świat już dawno zapomni, on będzie miał zawsze miejsce zaszczytne w historyi swojej sztuki« [1]). Z polskich artystów, jacy wtedy mieli swoje pracownie w Rzymie, zbliżył się Tarnowski do młodego podówczas Marcelina Guyskiego. Cichy, skromny, odludny człowiek, »Ukrainiec tęskny i rzewny, jak jego step rodzinny«, z wielkim talentem, był to człowiek wielkiego zapału dla sztuki, z niesłychanie subtelnym zmysłem artystycznym,

[1]) *Z Wakacyi*, I, 251—253. (Wyd. drugie).

z ogromem poezyi w duszy. Nie dziw więc, że chwile spędzone w jego »smutnej, gołej pracowni«, nader mile zapisały się w pamięci Tarnowskiego. Oto, w jaki je sposób opisał niedawno: »Przed trzydziestu laty, lub cokolwiek więcej, kiedy artystów polskich było na świecie mniej niż dziś, a dopieroż mniej rzeźbiarzy, on, podówczas młody, uchodził za najpoważniejszego, najgodniejszego u nas reprezentanta swojej sztuki. Był wtedy w Rzymie i uczył się, choć sam umiał już wiele i mógł był uczyć na własną rękę. Po za rzeźbę, po za *studio*, wychodził swojem uczuciem polskiem tylko: myślą prawie nie wychodził. Innemi sprawami głowy sobie nie zaprzątał, stosunków z ludźmi nie szukał, żył w swojej sztuce i dla niej. Czuł w sobie zdolność i zapał, ale wiedział, że bez kształcenia zdolności i zapał nie wystarcza, w jego sztuce może jeszcze mniej, niż w każdej innej. Uczył się też sumiennie, gorliwie, zapamiętale. Jego mistrz, Amici, przydał mu się zapewne bardzo; udzielał mu tych zalet poprawności, staranności, czystego stylu i smaku, które sam miał; ale więcej od mistrza kształciły ucznia wzory, zwłaszcza starożytne, w które Rzym bogatszy, niż cały zresztą świat razem zebrany. Z bardzo żywem uczuciem artystycznem, Guyski doskonale rozumiał i oceniał wszelki rodzaj piękności w rzeźbie, ale zakochany był naprawdę tylko w antyku. Przed laty trzydziestu, stał w jego pracowni wielki Chrystus, z marmuru, bliski wykończenia, a przeznaczony na grób matki. Był może cokolwiek chłodny, cokolwiek niby skrępowany swoją powagą (skutek zapewne nauki u Amiciego), ale był poważny i szlachetny w postawie, łaskawy, litościwy, pocieszający w wyrazie«[1]). Tarnowski bardzo wysoko cenił talent Guyskiego, a szczególniej ujęty jego »rzetelnie i głęboko poetycznem usposobieniem«, więcej w nim widział fantazyi i rozpędu, niż w zimnym i poprawnym Amicim.

W taki to sposób spędziwszy w Rzymie czas jakiś, łącznie z świętami Bożego Narodzenia, około połowy stycznia roku 1863, udał się Tarnowski, wraz z bratem swoim, Juliuszem, do Neapolu.

O ile Rzym na razie nie podobał mu się tak, jak tego spodziewał się, jadąc do Włoch, o tyle Neapol wprawił go w zachwyt: znalazł go takim, jakim sobie wyobrażał, że być musi[2]).

---

[1]) *Marcelin Guyski*, Wsp. pośm. *Przegląd polski*, 1894, czerwiec, 639—640.
[2]) *Z Wakacyi*, I, 21.

ROZDZIAŁ V.

ROK 1863.

(1863—1865).

Pierwsza wieść o powstaniu. Wyjazd z Neapolu do Rzymu, z Rzymu do Paryża. Informacye i instrukcye Hotelu Lambert. W Wiedniu. Przybycie do Krakowa. Walka wewnętrzna. Grono krakowskie. Sytuacya w Krakowie. Wodzicki i Popiel w Paryżu. Optymiści i pesymiści. Interwencya dyplomatyczna. Biuro krakowskie. Komitet zachodni czyli krakowski. Jego powstanie i organizacya. Tarnowski w komitecie. Baum i Benoš. Udział Adama Potockiego. Roboty komitetu. Oddział Jordana. Śmierć Juliusza Tarnowskiego. Gorczakow i noty mocarstw. Fatalne tygodnie. Depresya. Aresztowanie Bauma. Tarnowski go zastępuje. Edward Jędrzejowicz. Walka z żywiołami demagogicznemi. Tarnowski aresztowany. W więzieniu: w Krakowie i we Lwowie. Towarzystwo Floryana Ziemiałkowskiego. W kazamatach w Ołomuńcu. Przyjaźń z Bernardem Kalickim. Przekład szkiców historycznych Macaulaya. Lektura w więzieniu. Dzieła Modrzewskiego. Odwiedziny Stanisława Koźmiana. Świadomość popełnionej omyłki i okoliczności łagodzących. Odzyskanie wolności. Przybycie do Krakowa. Program na dalsze życie.

Było to w Neapolu. Przy śniadaniu, w jakimś małym dzienniku włoskim, wyczytał Tarnowski, że w Królestwie wybuchło powstanie. Wiadomość była podana niejasno, niepewnie, bez żadnych szczegółów; pomyślał też, że to bajka albo przesada. Mimo to, zaniepokojony bądź co bądź, nie chcąc trwać w dręczącej niepewności, zdecydował się — wraz z bratem — wrócić do Rzymu, by tam zasięgnąć dokładniejszych wiadomości. Okazało się jednak, że ani Kalinka, ani Czacki, ani księża Zmartwychwstańcy, aż do owej chwili nie byli otrzymali żadnych doniesień w tej sprawie, informacye zaś, które podawały dzienniki, kazały przypuszczać jakieś nieznaczące zajście i burdę, jakiś nierozważny fakt bez dalszych następstw. Gdy jednak wiadomości o rozruchach, notowane przez prasę,

nie ustawały, owszem, wzrastały ilościowo, mnożyły się z dniem każdym, postanowił Tarnowski, po naradzie ze swymi rzymskimi przyjaciółmi, udać się do Paryża, by tam w Hotelu Lambert zasięgnąć wiadomości i instrukcyi. Ale ponieważ nie przewidywał walki zbrojnej, powstania z jego wszystkiemi następstwami, więc, nie spiesząc się zbytnie, zatrzymywał się po drodze. Tym sposobem w Paryżu stanął dopiero około 20 lutego.

Tutaj, w Hotelu Lambert, przekonał się zaraz na wstępie, że wypadki były o wiele ważniejsze i poważniejsze, aniżeli był przypuszczał. Wzruszenie, które zauważył wśród członków Biura, było tem większe, że je zwiększała niepewność co do przyszłości. Książę Władysław Czartoryski był właśnie po rozmowie z cesarzem Napoleonem, po rozmowie, której treść o ile była niepewna, niestanowcza, o tyle jednak zdawała się zachęcającą, zważywszy, że cesarz dał do zrozumienia, iż jego działanie będzie zależnem od Anglii i Austryi, których zapytał, jak się myślą zachować. Stąd w Biurze powstało pytanie: co robić wobec tego? Czy można i należy w dalszym ciągu zachowywać odporne stanowisko w stosunku do powstania, zalecone w instrukcyach przesłanych do Krakowa, a które to instrukcye, przesłane w początkach lutego, przedstawiały powstanie, jako czyn bezrozumny, opłakany, który nietylko nie mógł liczyć na poparcie Napoleona III, ale który przeciwnie krzyżował jego plany i politykę, a na razie niweczył wszelkie dobre chęci w sprawie polskiej. Nie zapomniano jednak, że na skutek konwencyi prusko-rosyjskiej z d. 8 lutego — zaznaczającej solidarność obu mocarstw i zapewniającej pomoc Prus wobec powstania w polskich posiadłościach Rosyi — nastąpił stanowczy zwrot w zapatrywaniach Francyi, Anglii i Austryi, a zwłaszcza Napoleona III, że od tej chwili rozpoczęły się rokowania między trzema pomienionemi państwami, że Napoleon zaczynał mieć nadzieję podniesienia sprawy polskiej. To wszystko mając na względzie, po zasięgnięciu zdania Walewskiego, ministra spraw zewnętrznych Drouyn de Lhuys, oraz sekretarza cesarza Mocquarda, powzięto postanowienie przetrzymania rozpoczętej już na razie walki, przygotowania się do dalszej, ważniejszej i donioślejszej, i politycznego poparcia powstania, a to głównie w celu odjęcia mu znamion rewolucyjnych, a nadania ogólno narodowych; projektując czynne wystąpienie wówczas dopiero, gdy się rozpocznie zapowiedziane działanie trzech mocarstw. Stąd oczywista konkluzya, że należało pomyśleć o wojskowych, nie wiedziano bowiem, czy ci, co się biją po lasach, są wykształconymi wojskowo, ani kto i jak dowodzi? Gdy się zwrócono do ks. Ponińskiego, dzielny ten oficer odpowiedział, że bez

dobrych podoficerów nie podjąłby się organizacyi i rozpoczęcia wojny, i że w innych warunkach stanowczo nie pójdzie. Wobec tego zwrócono się do pułkownika Zygmunta Jordana, który w danym razie zgodził się stanąć na czele oddziału, ale pod tym warunkiem jedynie, że nieprędzej zabierze się do formacyi oddziału, dopóki mu z Paryża nie dadzą znać, że z Londynu i z Wiednia nadeszły przychylne odpowiedzi na zapytanie cesarza Napoleona. Na tem stanęło.

Co się działo w duszy Tarnowskiego, od chwili, gdy wyjechał z Neapolu, jakie nim miotały, »wstrząśnienia straszne«, tego pozwala się domyślać jego sprawozdanie z *Rzeczy o roku 1863* Kożmiana, gdzie między innemi czytamy, co następuje: »Ta niepewność, to zdziwienie i zawieszenie, które przebija z pierwszych kart książki, przypomina każdemu świadkowi i uczestnikowi tych wypadków to, co sam wtedy doznawał. To nie Kożmian jeden, to wszyscy, (z wyjątkiem oczywiście tych, co powstanie organizowali i gotowali), wszyscy, tak jak on zaskoczeni, nie wiedzieli, co to jest, kto to zrobił, w jakiej mierze i warunkach, w jakich widokach powodzenia? Dziś zrozumieć i uwierzyć trudno, nawet nam, którzyśmy to wszystko przeszli, cóż dopiero młodszym; a jednak to prawda, że wybuchu powstania nikt nie przypuszczał (zawsze z oznaczonym wyżej wyjątkiem). Wiedziało się wprawdzie, że jest agitacya systematyczna, wiedziało się, że taka zawsze niebezpieczna, bo na głupstwie, jeżeli nie na nieszczęściu, na szkodzie, jeżeli nie na klęsce, skończyć się może. Wiedziało się także, że jest Mierosławski, rewolucyjny fanfaron, który o powstaniu zawsze mówi i pisze, i że ma pewną liczbę niedowarzonych adherentów. Ale o innych, w kraju czy w emigracyi, choćby politycznych przeciwnikach, nie przypuszczało się, iżby myśleli o wojnie bez warunków zwycięstwa. Mniemało się, że ze zwyczaju, z nierozwagi, po części z próżności, sprzyjają, a nawet schlebiają demonstracyjnemu ruchowi (jak się wtedy mówiło), ale że niepewnego chwycenia za broń chcieć nie mogą; to bowiem wie każdy, jakiekolwiek ma opinie i przekonania, że wojnę podnosi się wtedy tylko, kiedy się ma nadzieje i widoki wygranej, inaczej wojna musi się skończyć klęską. To, ci ludzie w kraju, czy w emigracyi, którzy się mają za gorętszych od nas, wiedzą tak dobrze, jak my; a że z pewnością chcą dobrze, nie źle, że mają u tak zwanych gorących powagę i wziętość, jakiej my nie mamy, więc gdyby nawet Mierosławski lub ktokolwiek inny chciał rzeczy pchnąć do ostateczności i z demonstracyi przejść do walki, to oni nie pozwolą. Zdawało się, że u gorących rozumniejsi, poważniejsi kierują, rządzą, że mają posłuch, że mają może prawo i mogą kazać lub zakazać.

Wiedziało się także, że nikt wybuchu nie chciał. Nie było też tej rozpaczy, ani — powiedzmy szczerze — powodów do niej, która odwodzi od przytomności, nie daje myśleć i rozumować, i rzuca się naoślep w cobądź, choćby w śmierć, byle raz skończyć z nieznośnym stanem, w jakim się jest. Tak myśląc, do ostatka nie przypuszczano wybuchu; była oddawna obawa, że coś złego z tych ruchów wyniknąć może, ale była nadzieja, że nie wyniknie, bo zdrowy rozum i patryotyzm samych gorących nie dopuści, powstrzyma, odwróci. Nie wiedziało się, bo nie było jeszcze tego doświadczenia, że gdzie się raz poczyna tajna organizacya, tam, czy jej naczelnicy zechcą, czy nie zechcą, jakiś akt otwartej walki, mniejszy czy większy, prędzej czy później, staje się prawie nieuniknionym. Wciągnięta w organizacyę, a nie rozumując, wielka liczba, wie, że wezwano ją do czegoś i w imię czegoś, a gdy widzi, że się to nie robi, myśli, że naczelnicy niedołężni, albo zdrajcy, daje się opanować i powodować innym; następują w tajnym spisku wyścigi i licytacye gorącości, śmiałości, patryotyzmu, aż w końcu, ktokolwiek rzuca to hasło, którego, czuje, że rzucić nie powinien«. Tego doświadczenia nie było w roku 1862 i dlatego w styczniu r. 1863 wybuch wydał się Tarnowskiemu, jak większości ludzi myślących w Polsce, czemś dziwnem i niespodziewanem. Wbrew oczywistości, na tygodnie, prawie na dnie przed wybuchem powstania, nie wierzył nikt, że ono wybuchnie, a raczej wierzył, że odwróci je ta — dla której ono być ma — miłość ojczyzny [1]).

Niezwłocznie po powzięciu tej decyzyi, dnia 24 lutego, Tarnowski i Jordan wsiedli do wagonu. Zatrzymali się w Wiedniu, gdzie

---

[1]) »Jak mogło się stać to — pisze Tarnowski w szkicu o *Pawle Popielu* — czego nikt nie chciał, z wyjątkiem części młodzieży szlachetnej, ale niezdolnej wytrawnie sądzić, i z wyjątkiem uczestników spisku, związanych z rewolucyą europejską i od niej zależnych? Jakim sposobem, zwłaszcza po nauce r. 1830, kraj cały dał z sobą zrobić to, czego sam nie chciał, a czego oni chcieli?«... Że w kraju nie brakło jednostek, trzeźwo sądzących sytuacyę, to za dowód może posłużyć zdanie w tej kwestyi Narcyzy Żmichowskiej, która, uważając powstanie »za straszne dla narodu nieszczęście«, w liście z 14 grudnia 1860 r. do Bibianny Moraczewskiej tak pisała o akcyi rewolucyjnej Mierosławskiego: »Pan Ludwik Mierosławski przysłał proklamacyę do młodzieży, żeby była gotową i tylko czekała hasła, które jej ma jego sekretarz i przyjaciel, Kurzyma, przynieść niezadługo; lecz ta odezwa i obietnica nie wiele jakoś wiary obudziła, tembardziej, że o legionach zagranicznych najsprzeczniejsze obiegają wieści. Bóg widzi, że kraj jeszcze do godziny powstania nie doszedł, ależ zawsze chyba lepiej byłoby, gdyby tutaj ze swoim hufcem przyszedł zginąć ten, jak się sam tytułuje, chorąży, niż gdyby polskiemi kośćmi obce ziemie zasiewał — już dość było tego ziarna. Niech mu Bóg przebaczy, ale my przebaczyć nie możemy, że nam od nauk i przygotowawczej pracy tyle głów młodych, więc jeszcze niedojrzałych, odrywa«. *Listy do rodziny i przyjaciół*, t. III, str. 417.

Jordan miał czekać na wiadomości z Paryża. Tarnowskiemu było pilno do Krakowa. Ale nim opuścił Wiedeń, widział się i miał dłuższą rozmowę z księciem Leonem Sapiehą, który mu skarżył się na austryacką ostrożność i małomówność, ale miał wrażenie, że się zanosi na rzeczy bardzo ważne, że gabinet wiedeński wda się w tę sprawę, o czem mu nawet dość wyraźnie mówiono, między innymi szef sekcyi do spraw niemieckich w ministerstwie spraw zewnętrznych Biegleben; zdaniem księcia, skoro trzy mocarstwa raz się w sprawy polskie wdadzą, nie będą mogły na niczem poprzestać [1]).

Z takiemi wiadomościami i nadziejami przyjechał Tarnowski, wraz z bratem swym młodszym, jednego z ostatnich dni lutego, do Krakowa, gdzie już nań z upragnieniem oczekiwali jego przyjaciele tyczyńscy, Ludwik Wodzicki i Stanisław Koźmian, obaj bardzo czynni w ruchu, jaki powstanie wznieciło w Galicyi.

Kraków w tej chwili — opowiada Siemieński — niezwykły na pierwszy rzut oka przedstawiał widok. Ulice roiły się młodzieżą, wyróżniającą się samą powierzchownością ubioru. Nadstawiłeś ucha na toczące się rozmowy, o niczem nie było słychać, tylko, że oddział jakiś wychodzi, wyszedł lub wrócił; dowodził ten lub ów... stoczono bitwę... Moskwa pobita... naszych tylu a tylu legło... Austryacy transport broni zabrali... Francya idzie z pomocą etc. Każda chwila przynosiła coś nowego: jeżeli jaką złą wiadomość, to ją tłumiono, żeby nie psuć ducha, jeżeli pomyślną, choć w homeopatycznej dozie, to jej dawano tak przesadzone rozmiary, że i najtrzeźwiejszy nie wiedział, czemu wierzyć a czemu nie dać wiary. Zgoła był to prawdziwy taniec szkieletów Holbeina, do którego rwało się wszystko, pędzone siłą sztucznie utrzymywanej konieczności. Taka była fizyognomia zewnętrzna tej gry ze stawką o życie; charakter jej wewnętrzny niemniej był tragiczny. W umysłach panowało najdziwniejsze zamieszanie pojęć, zatarcie wyraźnej granicy między najsprzeczniejszemi rzeczami i uczuciem i przekonaniem; między nadzieją a zwątpieniem, radością a smutkiem, między tem, czego się najbardziej pragnie i przed czem się drży najbardziej: niemal między złem a dobrem. W jednym i tym samym dniu nie byłeś pewny, czy masz się cieszyć czy smucić, czy pragnąć końca czy trwania? a jeżeli co było pewnego, to, niestety, że mogłeś płakać i śmiać się razem. Lu-

---

[1]) Znakomitą pomocą przy pisaniu niniejszego rozdziału była dla mnie *Rzecz o roku 1863* St. Koźmiana, a mianowicie jej tom pierwszy, w którym autor opowiada własny swój i przyjaciół swych — Wodzickiego i Tarnowskiego głównie — udział w powstaniu.

dzie przywykli dotąd wspólnie czuć i wierzyć, razem kochać i jeden mieć cel życzeń i nadziei, nie mogli w tych dniach smutnej pamięci, ani zrozumieć się, ani zgodzić, i to w najprostszej rzeczy. Niejednemu zdawać się mogło, że mu Bóg dał mniej gorące uczucia, kiedy nie był w stanie przejąć się ogólnym zapałem i dzielić nadziei, o których głośno zapewniano; to znowu podejrzywał, że ten zapał był sztucznie rozdmuchany, a nadzieje oparte na wątpliwej wartości danych. Mistyfikacya na wielką skalę, czasem udana jakaś otucha, często nieudana płochość były formalną epidemią, co zawracając głowy, zamącając pojęcia, nie dozwalała trzeźwo sądzić o wypadkach i bez uprzedzenia pomyśleć o tem, jakie jutro nas czeka [1]).

Wobec rozgrywających się wypadków, każdemu, kto kochał Polskę, musiało się nasunąć dręczące pytanie: co robić? »Czy to powstanie może Rosyę zwyciężyć? Nie. A więc co? Czy dać mu pokój? żeby samo wypaliło się prędko i zgasło? Nie dopomódz do rzeczy, która się nazywa powstaniem, nie bić się, kiedy inni się biją? Co pomyślą o mnie, co ja sam pomyślę o sobie? Uczucie jedno z najboleśniejszych, walka jedna z najtrudniejszych, jakie człowiek młody może mieć do stoczenia sam z sobą. Ale czyż tu o mnie chodzi, a choćby o moją dobrą sławę? Może z tego być co dobrego dla Polski, albo nic? oto jest pytanie. Jeżeli może być, to idę, i niech się dzieje, co chce; jeżeli nie, to niech się to skończy czemprędzej i na szkodzie najmniejszej, a o mnie niech mówią, co chcą; ja nie przyłożę ręki do tego a tego, co sprawie szkodzi. Tak mówiło sumienie i rozum w tych pierwszych tygodniach; tem się tłómaczy to stanowisko wahania, wyczekiwania, jakie zajmuje wtedy Koźmian i ci jego przyjaciele, których nazywa krakowskiem gronem« [2]).

Do tego krakowskiego grona przyłączył się teraz Tarnowski. Przedewszystkiem zdano mu sprawę z dotychczasowych działań, z sytuacyi, jaką zastał w Krakowie, przyczem dowiedział się, że Wodzicki i Koźmian, gdy na wieść o powstaniu przybyli do Krakowa, zastali tu odnogę spisku warszawskiego pod nazwą *Ławy*, oraz cały zastęp ludzi rozsądnych, statecznych, patryotów, słowem, t. zw. konserwatystów, zastęp przerażony, bezradny, czujący całą grozę położenia,

---

[1]) *Dwaj Juliusze*, str. 150—152. W swem sprawozdaniu ze zjazdu krakowskiego z powodu Jubileuszu Kraszewskiego w r. 1879, tak pisze Tarnowski: »Widziano może Kraków równie ludnym, gwarniejszym, kiedy w r. 1863 roił się od młodzieży, która powracała i znów miała wychodzić, ale dziś było inaczej. Ówczesny gorączkowy stan złudzeń u jednych, obawy u drugich, tajemnic u wszystkich, ustąpił miejsca jasnemu i trzeźwemu ocenieniu położenia«.

[2]) *Przegląd polski*, 1895, czerw., str. 503—505. *Stanisław Koźmian o r. 1863.*

niebezpieczeństwo powstania, lecz — jak zawsze w Polsce — obawiający się narazić śmielszemu od niego stronnictwu ruchu i niechcący uchodzić za mniej od tamtego patryotyczny. Do tych ludzi zbliżyli się, i u nich, a także i dla nich, pragnęli szukać sposobów wyjścia i zachowania się wobec opłakanych wypadków. Opierając się na zupełnie pewnych informacyach z Paryża, że powstanie na żadną pomoc zewnętrzną, ani na wybuch wojny europejskiej, liczyć nie może, i Koźmian, i Wodzicki, byli stanowczo przeciwni popieraniu powstania i łączenia się z niem, przyczem nie kryli się ze zdaniem, ani szczędzili usiłowań, by swych przyjaciół i rozsądnych ludzi utrzymać na stanowisku wobec niego odpornem, dopóki nie nadarzy się sposobność i możność potępienia go jawnie. Nacisk jednak ze strony spisku i ruchu, a w Krakowie ze strony *Ławy*, był coraz większy, coraz bardziej naglący. Zastęp konserwatywny, złożony z ludzi rozumnych, politycznie wyrobionych, coraz bardziej nie wiedział, czego się chwycić, co począć, a im silniej instynkt mu mówił, że powstanie jest zgubnem, tem wyraźniej odzywały się w nim czułostkowość i obawa pozostania poza ruchem narodowym; odgłos zaś strzałów, dolatujący z za kordonu, obóz w Ojcowie pod Kurowskim i wiadomości o krwawych starciach, coraz bardziej rozstrajały jego system nerwowy. Pierwszym krokiem, do którego chciano ten zastęp popchnąć, było zbieranie składek dla zakupywania broni i tworzenia oddziałów. Od tego kroku zależały inne, dalsze, i udział wszystkich rozsądnych i zamożnych w powstaniu. Czując to, Wodzicki i Koźmian nie szczędzili zabiegów i starań, aby takiemu obrotowi rzeczy przeszkodzić, a po długich naradach i walkach uzyskali tyle, że składki miały być zbierane jedynie dla rannych. W ten sposób powstał komitet opieki nad rannymi, który, gdyby się tego okazała potrzeba, miał nieść pomoc powstaniu. Chwycono się tego półśrodka, gdyż powszechnem było mniemanie, że koniecznym jest czynny współudział żywiołów zachowawczych, by tym sposobem ubiedz czerwonych. Tymczasem z Paryża, w korespondencyach Andrzeja Edwarda Koźmiana do *Czasu*, zarówno jak i w jego listach prywatnych, wciąż nadchodziły wiadomości i instrukcye, będące odbiciem myśli Walewskiego, że powstanie może zgotować tylko klęskę, a na pomoc Francyi liczyć nie powinno, a zatem nie należy się z niem łączyć, ani go wspierać. Taki stan rzeczy trwał aż do dnia 16 lutego, gdy nagle depesza od Hotelu Lambert do Koźmiana, spowodowana konwencyą prusko-rosyjską, nadała sprawie całej odmienny zupełnie obrót. Listy, które nadeszły później, objaśniały, że trwanie powstania niezbędnem jest dla pomyślnego obrotu układów dyplomatycznych, że

zdaniem rządu francuskiego trzeba przedewszystkiem odjąć powstaniu wszelkie znamiona rewolucyjne, a nadać mu wyłączny charakter narodowy i wyłącznie anty-rosyjski, że zatem należy, by żywioły zachowawcze i wyższe warstwy nadały mu takowy, popierając je i gotując się do przystąpienia czynnego w razie rozpoczęcia akcyi europejskiej. Tymczasem powstanie przedłużało się o własnych siłach, bez zachęty z zewnątrz i jeszcze bez uorganizowania pomocy z Galicyi, a w dn. 17 lutego przyszło do bitwy pod Miechowem, bitwy, która żałobą okryła Kraków, wielu bowiem z młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej krakowskiej śmierć w niej znalazło. Jednocześnie Langiewicz z lepszem szczęściem i przezorniej staczał w Sandomierskiem potyczki, sławione i podnoszone przez *Czas*. Postępowanie władz austryackich w Galicyi, ułatwiające niesioną stąd pomoc powstaniu, również naprowadzało na wniosek, że gabinet wiedeński zdaje się postępować w porozumieniu z rządem francuskim. Werbunek do oddziałów powstańczych, przedsięwzięty przez spisek, począł się w Krakowie odbywać jawnie, władze zaś wojskowe od samego początku nie stawiały nigdzie dostatecznych przeszkód młodzieży, przedostającej się do Królestwa. Kary, nałożone na żołnierzy za utratę karabinów, były nieznaczne, jakby zachęcające.

Zastawszy taką sytuacyę, Tarnowski odrazu połączył się z Kożmianem i Wodzickim, by odtąd z nimi iść wspólnie ręka w rękę. Mając dokładne wiadomości i instrukcye o przygotowującem się działaniu europejskiem, wiedzieli więcej od ogółu, ale też i silniej byli pchani z zewnątrz i coraz silniej związani z ową akcyą. Przekonani jednak, że powstanie nie może rozwiązać sprawy polskiej, lecz tylko doprowadzić do wojny, usiłowali jeszcze, zgodnie z instrukcyami Hotelu Lambert, ograniczać je do *status quo* i oszczędzać przedwczesnych ofiar. Wreszcie dla lepszego i dokładniejszego przekonania się o stanie rzeczy, nie zadawalniając się korespondencyą z Paryżem, uchwalili, w myśl wyraźnego życzenia Hotelu Lambert, by Wodzicki udał się do Paryża, dla przekonania się *de visu et auditu*, jakie są widoki poparcia i pomocy zewnętrznej. Wodzicki, który w Paryżu trafił na chwilę najpomyślniejszą dla sprawy polskiej, jedyną, w której istotnie toczyły się o nią poważne układy między mocarstwami, wrócił pełen otuchy i nadziei, to zaś, co opowiadał o swych rozmowach z najbardziej wpływowymi mężami stanu, istotnie pozwalało mniemać, że nigdy jeszcze od rozbioru sprawa polska nie miała tak pomyślnych widoków europejskiego rozwiązania, jak obecnie. Było to właśnie po wyjeździe ambasadora austryjackiego, księcia Metternicha, do Wiednia, w specyalnej misyi, powierzonej mu przez Na-

poleona, a której ostatecznym celem, obok poparcia sprawy polskiej, miało być przymierze z Austryą. Do misyi tej, nie wątpiąc o jej pomyślnym rezultacie, przywiązywano ogromną wagę. Tymczasem 10 marca została ogłoszoną dyktatura Langiewicza, na skutek czego, z polecenia Hotelu Lambert, Stanisław Kożmian jeździł do niego do Goszczy, ale już 18 marca, po nieszczęśliwej potyczce pod Grochowiskami, dyktator osobiście przekroczył granicę galicyjską, internowany przez władze austryjackie. W tym samym czasie, na skutek zlecenia, otrzymanego z Hotelu Lambert przez »grono krakowskie«, by w Warszawie Rada Stanu i Rady powiatowe podały się do dymisyi — co miało się równać potępieniu systemu Wielopolskiego — udał się do Paryża, z polecenia członków Rady Stanu, Paweł Popiel, by się przekonać, czy ich dymisye istotnie będą odpowiadały życzeniu rządu francuskiego i cesarza. Jak przedtem Wodzicki, tak teraz i Paweł Popiel powrócił pod głębokiem wrażeniem tego, co w Paryżu usłyszał, a chociaż, jak każdy człowiek rozumny, potępiał powstanie, a przedtem gorliwie wstrzymywał młodzież, teraz uznał przecież, że nie pozostaje nic innego, jak dać walce poparcie i z tego wielkiego złego starać się wydobyć coś korzystnego dla sprawy [1]). Przemawiał z pewnym zapałem, przyczem wystąpił z propozycyą, by ratując honor narodowy, cała szlachta solidarnie ruszyła do powstania, na którą to propozycyę Tarnowski i jego przyjaciele zapatrywali się dość sceptycznie, uważając, że była raczej rycerską i mistyczną, niż praktyczną i polityczną. Ale nie we wszystkiem godząc się z Popielem, reprezentującym najdalej posunięty konserwatyzm, zarówno Tarnowski, jak i jego przyjaciele stanowczo i ostatecznie dali się wciągnąć w wypadki, opuścili swe dotychczasowe wyczekujące a nawet odporne stanowisko wobec powstania, przechodząc do poparcia go i przemówienia za niem. Wprawdzie Stan. Kożmian, który w tym czasie również jeździł do Paryża, powrócił pod najgorszem wrażeniem, przekonawszy się, że zapowiedziana interwencya dyplomatyczna, o ile nam nie zapewni zwycięstwa, o tyle nie pozwoli

[1]) W swem wspomnieniu o *Pawle Popielu* tak ten moment w jego życiu opisuje Stan. Tarnowski: »W marcu 1863 r. w wielkiej (jak wszyscy) rozterce i w walce z sobą samym, w doskonałej świadomości, że powstanie samo nie może sprawić nic dobrego, a więc w niepewności, jak się względem niego zachować, pojechał sam do Paryża. Trafił tam na chwilę najpomyślniejszą właśnie, kiedy zawiązywała się akcya trzech mocarstw, a książę Metternich wyjechał do Wiednia z propozycyami cesarza Napoleona. Sam kiedy pytał w Paryżu, czego Polska po tej akcyi spodziewać się może, usłyszał odpowiedź: Niepodległość Królestwa, może z dostępem do morza Bałtyckiego. Pod tem wrażeniem wrócił do Krakowa, i naturalnie nie wstrzymywał«.

zaniechać powstania, z czego oczywiście nie omieszkał dokładnie zdać sprawy przyjaciołom, Tarnowskiemu i Wodzickiemu; ale po długich dyskusyach nabrano przekonania, że w tej chwili, nawet wobec małych warunków powodzenia interwencyi, nie można występować przeciw powstaniu, co zresztą na nic by się nie przydało, a powtóre, że skoro już rzeczy tak daleko zaszły, pora, w której interwencya europejska jest urzędownie zapowiedziana, byłaby niewłaściwą i niestosowną do podobnego zamiaru. Zdanie to podzielał nawet Adam Potocki, który stale przestrzegał przed nadziejami na wierze w Napoleona III, twierdząc, że cesarz błądzi po manowcach, na których w końcu musi się spotkać z niepodobieństwem, a polskiemu narodowi przysporzy tylko klęsk. Widzieliśmy go wtedy — opowiada Tarnowski — i z uczuciem wielkiego żalu i gniewu słyszeliśmy od niego takie słowa: »Francya bałamuci, nie rozumie, że o nią samą chodzi. Cesarz nie wie, czego chce, i nie zrobi nic« [1]). Że Potocki — jak się okazało z czasem — lepiej znał ludzi i stosunki we Francyi, niż wielu, niż sam Hotel Lambert nawet, i że przewidywał mądrze, to w tej chwili Tarnowskiemu i jego przyjaciołom nie mogło pomieścić się w głowie, pomimo, że i drugi człowiek, a jeden z najrozumniejszych w Krakowie, profesor Julian Dunajewski, głośno i jawnie potępiał ruch powstańczy, a przekonany o zgubności powstania, ani chciał wierzyć w pomoc zagraniczną — na którą Tarnowski i jego przyjaciele liczyli tak bardzo — ani przypuszczał, by ona mogła wydobyć naród z toni, w którą wtrącił go spisek [2]). Również i Franciszek Smolka, który do kwietnia należał do komitetu lwowskiego, lecz na to tylko, by się sprzeciwiać, jak się wyraził, tej »szalonej wojnie«, potępiał cały ruch powstańczy, a gdy komitet urządzał wyprawy na Podole i Wołyń, on w tem widział »obłęd i zaślepienie«. Mimo te wszystkie ostrzeżenia, skończyło się na tem, że i Tarnowski i jego towarzysze ostatecznie, po długiej i dręczącej rozterce i walce z sobą, znalazłszy w zdaniach i postępowaniu Pawła Popiela potwierdzenie i wzmocnienie przekonania, że przystępując do popierania powstania, spełnią swój obowiązek, zaczęli powoli przykładać rękę do dzieła, które jeszcze niedawno potępiali.

Chodziło o poparcie powstania w Galicyi, która dlań miała się stać podstawą operacyjną. W tym celu utworzyła się tu t. zw. Organizacya Narodowa, w której skład weszli teraz — na początku kwietnia — Tarnowski i jego przyjaciele. Od tej chwili zaczęły się

---

[1]) *Przegląd polski*, 1872, lipiec. Adam Potocki.

[2]) St. Kożmian, *Rzecz o roku 1863*, I, 140.

ich stosunki z warszawskim Rządem Narodowym. »Już przedtem — opowiada Kożmian — grono Krakowskie zasilało za pośrednictwem Hotelu Lambert i na jego żądanie rząd francuski i dzienniki zagraniczne, zwłaszcza paryskie, wiadomościami telegraficznemi i listowemi o powstaniu i wypadkach.[1]) Było to potrzebnem, aby rozgrzewać opinię publiczną, a podniecać korespondencyę dyplomatyczną. Teraz urządziliśmy Biuro Krakowskie i całą regularnę służbę, posługując się nieraz cyframi. Przedstawiać powodzenia — najczęściej urojone — powstania, a oczyszczać wypadki i Rząd Narodowy z cech rewolucyjnych i demagogicznych, a zarazem wystawiać postępowanie rządu i władz rosyjskich w najgorszem świetle, stało się zadaniem tego Biura«. Ponieważ znoszenie się wprost Hotelu Lambert i rządu francuskiego z Warszawą było utrudnione, więc Biuro to stało również w bliskim związku z warszawskimi Białymi, którym komunikowało doniesienia z Paryża. Tym sposobem stało się ono jedynym związkiem między krajem, zwłaszcza Galicyą, a istotnie znaczącemi w Paryżu i za granicą czynnikami. Do Biura tego, będącego rodzajem filii Biura paryskiego, należeli prócz trzech braci Tarnowskich, Jana, Stanisława i Juliusza, August Gorayski, Władysław Jabłonowski i paru innych.

Niezależnie od pracy w Biurze, które miało swój lokal w kamienicy Wojczyńskiego przy ulicy Brackiej, Kożmian nader gorliwie pracował w redakcyi *Czasu*, któremu po aresztowaniu Leona Chrzanowskiego, niemal wyłącznie nadawał kierunek polityczny, ściśle trzymając się wskazówek Hotelu Lambert; Tarnowski zaś, który, raz dawszy się wciągnąć do robót powstańczych, pragnął zdziałać jaknajwięcej, nie gardząc żadną robotą, byle ją uważał za pożyteczną, wstąpił do t. z. Komitetu Zachodniego, którego celem było nieść pomoc powstaniu w Królestwie. Do tegoż komitetu, tylko do innego wydziału, wstąpił i Wodzicki.

Komitet rzeczony — nazywający się również Komitetem narodowym zachodniej Galicyi — miał swoje siedlisko w Krakowie, a ukształtował się, przechodząc różne zmiany i przemiany, w następujący sposób. W końcu lutego, gdy Tarnowski przybył do Krakowa, istniała tu już pod nazwą *Ławy* tajna organizacya, zawiązana

[1]) »Pamiętamy z niedawnej przeszłości, jak odmiennie od rzeczywistości wyglądały w dziennikach potyczki z roku 1863, a choć możemy sobie przyznać, że ta przesada była wówczas po części usprawiedliwioną, to przyznać musimy, że się na nas pomściła srodze, bo była w znacznej części przyczyną owej tak smutnie zakończonej i tak fatalnej w skutkach interwencyi dyplomatycznej«. (*Studya polityczne*, I. 7).

jeszcze w r. 1862, a zostająca w związku, prawdopodobnie pod rozkazami, warszawskiego Komitetu Centralnego. Z tej to pierwotnej *Ławy* powstała w Krakowie, po wybuchu powstania w Królestwie, tajna »Rada naczelna galicyjska«, która, potworzywszy oddzielne *Ławy* po różnych miastach, zorganizowała też i nową *Ławę* krakowską, tak, że nieraz ci sami ludzie byli członkami i Rady naczelnej i *Ławy* krakowskiej. Wszystkie Ławy, nie wyjmując lwowskiej, miały być *de jure* podporządkowane Radzie naczelnej galicyjskiej; *de facto* każda działała na swoją rękę, Tarnowscy i jego przyjaciele nic prawie nie wiedzieli o Radzie naczelnej galicyjskiej; znali tylko spiskową organizacyę *Ławy*, do której między innemi należał Józef Szujski, co właśnie było przyczyną, że Tarnowski trzymał się zdala od swego przyjaciela: wiedział bowiem, że go nie przekona, nie odwiedzie od spiskowania, więc choć się spotykali nawet, nie mówili ani dłużej, ani otwarciej. Dzieliła ich zbyt wielka różnica poglądów. Tarnowski bowiem, jak i wszyscy ludzie starsi i poważni, uważał *Ławę* za czynnik szkodliwy i niebezpieczny, choć jej nie przypisywał zbyt wielkiej ważności. Przypuszczał wprawdzie — w czem z nim zupełnie godzili się Wodzicki i Koźmian — że musiała mieć jakiś związek z mniejszemi miastami i prowincyą, ale jej wpływ i środki były nader słabe i ograniczone, bez szerszego zakresu i podstawy. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że jak całemu ówczesnemu spiskowi w Polsce, tak i tej *Ławie* dała choć w części przynajmniej początek demagogiczna emigracya paryska, może Mierosławski. Cokolwiekbądź, wiadomem było, że organizacya ta pozostawała już w bezpośrednim związku z Komitetem Centralnym warszawskim. W Galicyi jednak nie miała ta *Ława* ani poważniejszych stosunków, ani wpływów, ani zaufania u ludzi, nie mogła też zebrać większych funduszów. Gdy więc zajść miała potrzeba, uzasadniona zewnętrznemi stosunkami, poparcia powstania, *Ława* by temu należycie z pewnością nie podołała. Z drugiej strony budziła obawę, że mogłaby przecież Galicyę i ogólną sprawę polską, nierozsądkiem, niedojrzałością polityczną, i rewolucyjnemi hasłami, na szwank narazić. Te dwa względy sprawiły, że ludzie poważni i mający mir w kraju poczęli nie spuszczać jej z oczu, podczas gdy między sobą naradzali się nad położeniem. Do nich to zbliżyli się Wodzicki i Koźmian zaraz w początkach, i wtedy już, gdy jeszcze żadna zachęta nie przyszła była z Paryża, ani żadnych nie było widoków wmięszania się mocarstw, postanowiono zbierać jedynie składki dla rannych. Narady w tej mierze odbywały się przeważnie u Alfreda Miliewskiego. Wobec poruszenia sprawy polskiej wskutek konwencyi prusko-rosyjskiej,

a następnie misyi księcia Metternicha, owi poważni i starsi ludzie, przewidując z jednej strony, że nastanie konieczność popierania powstania, z drugiej zaś, że niepodobna zadania tego powierzyć *Zawis* bez niebezpieczeństwa poddania Galicyi pod władzę tajnego Komitetu Centralnego warszawskiego, a zarazem bez narażenia sobie Austryi, która musiała być głównym czynnikiem w interwencyi za sprawą polską, ludzie ci ściślej połączyli się ze sobą, osiedlili się w Krakowie i tu działać czynniej poczęli. Najprzód zajęli się zbieraniem znaczniejszych funduszów, następnie, gdy zalecenie t r w a n i a z coraz większym z Paryża naciskiem przesłane zostało, sprowadzaniem karabinów. Organizacyą spiskową nie związali się: zebrali się na ochotnika, z dobrej woli, na mocy zaufania, jakie mieli, i byli słuchani. Byli to na początku: Józef Baum, Jan Tarnowski, [1]) Atanazy Benoe i Cezar Haller, ludzie już znani w kraju, poważni i poważani. Przyłączył się do nich Karol Rogawski, którego, choć należał do innego odcienia, przyjęli dlatego głównie, że miał pewien wpływ na ruchliwsze żywioły. Tak zebrane koło poważnych obywateli, cieszących się powszechnem zaufaniem i poważaniem, w ten sposób rozdzieliło czynności między sobą, że Baum trudnił się sprawami wojskowemi, Benoe wziął na siebie stosunki wewnętrzne kraju i korespondencyę z powiatami, Tarnowski z Chorzelowa zajął się organizacyą oddziałów na prowincyi, a Rogawski pełnił obowiązki... ministra bez teki. Wreszcie był sekretarz. W każdym dawnym obwodzie był jeden obywatel wezwany do pomocy, czasem było ich kilku; do nich komitet pisywał, a oni mieli znów swoich zaufanych po różnych miejscach, przez których działali. Ten rodzaj organizacyi powstał sam z siebie, opierał się na zaufaniu i dobrej woli. Nie było spiskowych przysiąg, nawet przyrzeczeń, żadnej hierarchii. Jedyną przysięgą była wojskowa, którą odbierano od oficerów i szeregowców. Rota była ułożona na wzór austryackiej. Baum przy składaniu tej przysięgi bywał obecnym. Mimo to, organizacya funkcyonowała dobrze, szybko i karnie. Podobna organizacya powstała we Lwowie, a na czele tego wschodniego Komitetu stali początkowo: Adam Sapiecha, Floryan Ziemiałkowski, Aleksander Dzieduszycki, i Franciszek Smolka. Przy obu komitetach, krakowskim jak lwowskim, byli Komisarze Rządu Narodowego. Pierwszym Komisarzem przy komitecie krakowskim był Seweryn Elżanowski, przyjaciel Mierosławskiego, redaktor emigracyjno-demagogicznego *Przeglądu*

[1]) Z Chorzelowa, szwagier Stanisława Tarnowskiego, od roku 1853 ożeniony z jego siostrą, Karoliną.

rzeczy polskich, mający do pomocy dwóch innych z przybranemi — jak się to wówczas działo — nazwiskami. Głównem zadaniem obu komitetów było uzbrajanie i wyprawianie oddziałów, oraz zbieranie w tym celu funduszów, czyli ściąganie t. z. podatku narodowego. Działano zaś w przekonaniu, że trwanie powstania potrzebnem jest dla pozyskania obcej pomocy, której prologiem miała być interwencya dyplomatyczna.[1]) Z Biurem krakowskim pozostawał Komitet krakowski w ciągłej styczności.

Oddawszy się na usługi Komitetu krakowskiego, Tarnowski przydany był do pomocy Baumowi w wydziale wojskowym, a ponieważ na razie chodziło głównie o organizacyę oddziału Jordana, więc pracował najwięcej z Jordanem i z Baumem, przyczem tak się okazał zdolnym i pracowitym, tak sumiennym w wykonywaniu wszelkich powierzonych mu czynności, tak doskonale oryentującym się w każdej sytuacyi, czy to chodziło o składy karabinów, czy o proch, czy o buty, czy o ludzi wreszcie, że i Baum i Jordan nie mogli się go dosyć nachwalić. Blisko pół roku pracując wraz z Baumem, jako jego prawa ręka, Tarnowski, choć znacznie młodszy od niego, szczerze się z nim zaprzyjaźnił, a te chwile, które przebyli razem przy wspólnej pracy, nazawsze zapisały mu się w pamięci, jako miłe i krzepiące wśród tylu bolesnych i przygnębiających. Jakoż, gdy mu z czasem przyszło pisać wspomnienie o Baumie, w ten sposób nakreślił jego sylwetkę, jako głównego przewodnika i organizatora czynności Komitetu krakowskiego: »Jakim sposobem i kiedy pośród wielu powstających podówczas lub dawniej zawiązanych komitetów i t. zw. *Ław*, stanął ten komitet, który jeden naprawdę broni i ludzi dostarczał, bo jeden z łona krajowego obywatelstwa wyszedł i zaufanie jego posiadał, nie tu czas ani miejsce

---

[1]) Por. St. Koźmian, *Rzecz o roku 1863*, t. I, str. 147—163.

Komitety galicyjskie — pisze na innem miejscu Koźmian — nie będąc, jak tajny Rząd Narodowy warszawski, wynikiem spisku, miały zupełnie inny, niż on, charakter i takowy do końca zachowały, powstały nie dla ruchu lub wskutek powstania, lecz wskutek interwencyi zagranicznej. Komitety te żadnej nie przywłaszczały sobie władzy i były tylko pośrednikami w niesieniu poparcia powstaniu, na to, aby przedłużając zbrojną demonstracyę, umożebnić działanie mocarstw na rzecz sprawy polskiej. Nareszcie komitety te zasłaniały Galicyę przed praktykami demagogicznemi i strzegły ją przed szkodami szalonego ruchu, który na Królestwo Polskie i inne prowincye pod panowaniem rosyjskiem tak wielkie już ściągnął klęski. Zadanie to spełniły».

Gdy rozpoczęła się działalność komitetu krakowskiego, *Ława* krakowska rozwiązała się, a jej członkowie utworzyli cały szereg małych komitetów. Z tych komitetów wychodziły wszystkie pamflety na najbardziej szanowne osobistości i instytucye w kraju.

odpowiadać; dość wspomnieć, że Baum był główną w nim osobistością, bo główną była ta czynność, którą on prowadził. Wojskowy prawdziwy, wiedzący przeto (lepiej od niejednego ówczesnego przypadkowego dowódzcy), czem jest wojsko, jego organizacya i jego potrzeby, wziął na siebie zaopatrywanie w broń, amunicyę, konie, rynsztunek, etc. oddziałów bądź już bijących się w Królestwie, bądź z Galicyi wychodzących. A kto go — jak Tarnowski — w tych czynnościach zbliska widział i miał sposobność poznania jego niesłychanej przytomności umysłu, zabiegliwości, radności, zręczności, tej zdolności, żeby zawsze o każdym szczególe wiedzieć, a nigdy w szczegółach się nie zgubić, żeby, kiedy jedna droga okazała się zamkniętą, jeden sposób utrudnionym, wynaleść zaraz dwa inne, żeby w przeciwnościach ustawicznych nigdy nie stracić zimnej krwi i rąk nie opuścić, ten musiał podziwiać jego dzielność, jego organizacyjną zdolność i nadewszystko może jego wielką cnotę. Nie godzi się przeczyć, że on (jak wszyscy podówczas) był złudzony i że bylibyśmy wszyscy lepiej sprawie polskiej usłużyli, gdybyśmy sprawie ówczesnej nie byli nieśli pomocy; ale w tem złudzeniu, które bez wymówki także nie było,[1]) nie można było działać lepiej, rozumniej i szlachetniej, niż Baum. W ciężkich smutkach tego nieszczęsnego roku jedną z rzadkich ale wielkich pociech był widok tej duszy, tak jasnej i czystej, tak do gruntu prawdziwej, tego poświęcenia zupełnego, a prawie nie wiedzącego o sobie, tej pewności uczucia sądu i słowa, która była oparciem i pokrzepieniem dla drugich i ratowała

[1]) W rozgłośnym artykule o dziele H. Lisickiego o Al. Wielopolskim (*Przegląd polski*, 1879, listopad, 105—106) pisze Tarnowski w kwestyi tych złudzeń ówczesnych, na usprawiedliwienie siebie i swych przyjaciół politycznych, co następuje: »Jak całe obywatelstwo w Królestwie, jak wszyscy w Galicyi i Poznańskiem, tak emigracya powinna była dać spłonąć pierwszym ogniom, a nie dać im się rozszerzyć: jak wszyscy, tak i ona nie przewidziała, że te ognie wszystko spalą. Czy nie ma żadnej wymówki? Czy kiedy słyszała (i nie od ludzi błahych, ale od ministrów i panujących), zawsze tylko jedno słowo trwać, czy mogła robić inaczej, jak robiła? czy widząc trzy wielkie mocarstwa występujące w sprawie polskiej, mogła przewidzieć, że one występują na to tylko, żeby dostały policzek i schowały go do kieszeni? Nie, bo tego nie mógł wiedzieć i nie przewidywał nikt, bo tego nie było jeszcze nigdy w historyi, bo te państwa same tego nie wiedziały, jak nie wiedziała i Rosya; bo długo, aż do jesieni roku 1863 sprawa nierozegrana mogła rozstrzygnąć się dwojako, a my mieliśmy prawo mieć tę politykę za dobrą. I nie była ona nawet od skutku daleką; wszakżeż był już w drodze z Londynu kurjer wiozący do Petersburga notę rządu angielskiego z deklaracyą »utraty praw Rosyi do Polski.« Nie chcemy bronić ani uniewinniać czy emigracyi, czy tych ludzi w kraju, którzy w te *chances de salut* wierzyli, bo ich wiara przyczyniła się do wszystkich nieszczęść, jakie rychło potem na Polskę spadły«.

ich — jak Tarnowskiego niejednokrotnie — od najsmutniejszego ze zwątpień, od utraty szacunku dla ludzi. Dla młodych zaś, a jak młodzi zwykle mniej lub więcej o sobie zarozumiałych, co to była za nauka, za dowód i przykład, że nie świetnem słowem mierzy się wartość i zdolność i rozum człowieka, że nie ten najlepszy, kto na wyobraźnią działa lub za uczucie pochwyci, nie ten najpotrzebniejszy, kto najpoetyczniejszy, że nie marzenia i wrażenia, ale łamanie się z trudem i rzeczywistość dokonanego działania jest dopiero na prawdę zasługą, a może stać się historyą i Ojczyzną!... Niejeden z nas młodych podówczas pomocników Bauma i świadków najbliższych jego czynności nauczył się tych prawd na jego przykładzie, a więc jemu choć po części ma do zawdzięczenia, jeżeli sam na człowieka wyszedł. Szkoła była bolesna, bo każdy z nas rodził się i rósł w przekonaniu, że kiedy doczeka się powstania, to ono będzie najpiękniejszą, a pomimo wszelkich możliwych strat i nieszczęść, najszczęśliwszą chwilą jego życia; rzeczywistość zaś piękną była w niektórych tylko szczegółach. Ale w tej szkole ciężkiej, nauczyciela mieliśmy dobrego i budującego bardzo. I mądrego. Nie najmniejszą trudnością i przykrością owego czasu były stosunki z Komitetem Centralnym naprzód, a następnie z Rządem Narodowym w Warszawie. Rząd ten, ukryty, w ukryciu stawiany i tak samo a niejeden raz przez inne jakieś osoby czy stronnictwa spychany, zmieniał się czy w składzie swoim, czy w swoich widokach, a zmiany te odbijały się i na galicyjskich Komitetach. Rząd Narodowy chciał być samowładnym i żądał zupełnego poddania się pod swoje rozkazy; Komitety galicyjskie nie mogły swojej części kraju zdawać ślepo na łaskę, nie wiedziały nawet, czyją, i brać odpowiedzialności za to, co warszawska polityka tu przedsiebrać by mogła. Było więc nieustające tarcie pomiędzy komitetami Rządu Narodowego, żądającymi w jego imieniu dyktatorskiej dla siebie władzy, a Komitetem, który z Galicyi pomagać chciał, ale w Galicyi rządzić nie pozwalał. Że dobrze robił i miał słuszność, dowodzić zbytecznie; za miarę jednak może posłużyć szczegół, że pod jesień już, kiedy z niepowodzeń warszawskie rządy straciły głowę i znowu jakąś odbyły przemianę, urodziła się tam myśl, że powstanie wtedy dopiero rozwinie się i wzmocni, a może zwycięży, kiedy obejmie wszystkie ziemie polskie; że zatem i w Galicyi należy nie wybuchać z powstaniem wprawdzie, ale je organizować. Nie raz i nie dwa miał Komitet krakowski do walczenia z polityką tej wartości, a kto wie, bez jego obrony w jakie szkody i w jakie klęski mogła by była być wciągniętą Galicya!« [1])

[1]) *Przegląd polski*, 1883, kwiecień, *Józef Baum*, Wspomnienie pośmiertne

Choć pracował głównie pod zwierzchnictwem Bauma, to jednak i z Benoëm, przez cały czas udziału swego w czynnościach Komitetu krakowskiego, stykał się Tarnowski nieustannie; Benoë bowiem, choć kierował innym wydziałem, był jakby dopełnieniem Bauma, z którym, pomimo różnicy usposobień i temperamentów, przyjaźnił się szczerze. Oto, jak go charakteryzuje Tarnowski, w swem wspomnieniu o nim: »Bywają czasem ludzie bardzo rozumni i nawskróś porządni, którzy trzymają się zdala od spraw tego świata, bo ich razi i mierzi małość umysłów, charakterów, celów, powodów postępowania, ta małość, z którą walka, jak mawiał Alfred Potocki, jest samą treścią i... męką życia publicznego. Tacy ludzie ustrzegą siebie od wszelkiego zetknięcia ze złem, przejdą przez życie, jak gronostaj przez błoto, bez jednej skazy na sierści nieskalanie białej; ale przez tę moralną i umysłową wybredną estetyczność, pozostaną zwykle bezczynni, a ich rozum i zdolność nie przyniosą tyle pożytku, ile go w sobie mogły zawierać. Benoë był do takich podobny, z tą wszakże różnicą i nad nimi wyższością, że umiał przezwyciężać swój wstręt, zadać sobie przymus, i w potrzebie śmiało rzucić się w odmęt ludzi i wypadków najprzeciwniejszych jego naturze, a w jego gronostajowej sierści żaden włosek przez to nie zwichrzył się, ani nie dał zwalać. I wtedy miał gorliwość, czynność, energię w działaniu, wielką wytrawność i stałość w sądzie, spokój i miarę, ale i odwagę w postępowaniu z ludźmi. Przed zaufanymi tylko i wypróbowanymi — jak Tarnowski między innymi — miał to oburzenie na głupstwo lub małość, oburzenie, które nigdy nie wybuchało gwałtownie, ale objawiało się krótkiem, napozór chłodnem słowem pogardliwej ironii. Z trafnem i trzeźwem zdaniem w rzeczach politycznych, łączył tę zimną krew, miarę i spokojną odwagę, która tworzy bardzo cenny i przydatny temperament polityczny. Takim znaliśmy go w tych czasach, najboleśniejszych w życiu niejednego, kiedy okoliczności nałożyły mu ważną rolę w ważnych wypadkach. W roku 1863 był członkiem tego komitetu, który z Galicyi wspierał powstanie w Królestwie, a strzegł, żeby organizacye i rządy narodowe nie rządziły w Galicyi. Straszne to były miesiące, w których robiło się, co było można, żeby te sprawy szły jaknajlepiej, żeby z nich coś przecie wynikło i zostało, a z każdym tygodniem, z każdym dniem czuło się żywiej i widziało wyraźniej, że nic dobrego nie wyniknie i nie będzie nic, a zostanie tylko ruina i klęska. Ta rozpacz ponura, połączona z koniecznością pchania dalej poczętego dzieła, to była męka, której nie wystawi sobie, kto jej nie doznał. A głęboka, choć pod powszedniemi pozorami ukryta tragiczność, podszyta była jakąś

straszną koniecznością, tkwiącą w płytkości, płaskości, furfanckiej zarozumiałości niektórych indywiduów, w oburzającej, gorszącej nizkości innych. W takich czasach i przejściach wesprzeć się na ramieniu pewnem, wytchnąć przy sercu prostem i prawem, ścisnąć rękę, na której żaden pył nigdy nie postał, to była naprawdę jedyna pociecha, jedyne pokrzepienie, jedyne dobre chwile i wspomnienie. Tem dla nas młodszych była z niedawnej znajomości rychło we wspólnych frasunkach wyrastająca przyjaźń dwóch ludzi, bardzo do siebie niepodobnych, a ściśle z sobą złączonych, Benoëgo i Bauma. Przeciwieństwo umysłów, temperamentów, układu, było zupełne; wartość charakterów była ta sama. Baum żywszy z usposobienia, czynniejszy, więcej wylany na zewnątrz, lepiej i szerzej był znany, i więcej zapewne zostawił po sobie wspomnień i śladów w naszem krajowem życiu; ale Benoë był tylko inaczej, jak on, niemniej wart, pożyteczny, rozumny, szlachetny, a wykształceniem raczej go przewyższał. W tem swojem przeciwieństwie, a swojej serdecznej przyjaźni, byli obaj niezmiernie mili i sympatyczni; a byli prócz tego bardzo zabawni, kiedy z siebie wzajemnie żartowali i droczyli, jeden ze szczerym głośnym śmiechem, drugi z lekkim, spokojnym, a ciętym humorem. Złączyła ich przyjaźn, złączył los, i złączeni zostaną zawsze w pamięci tych, co ich znali i kochali«.[1])

W ciągu tego pamiętnego półrocza, które tak krwawemi zgłoskami zapisało się w dziejach narodu, jednym z gorliwszych pomocników Komitetu Krakowskiego, choć oficyalnie nie należał do jego składu, był Adam Potocki. Tarnowskiemu dało to możność poznać jego charakter, ocenić jego przymioty, jako człowieka i obywatela. Aż do tej chwili raczej uprzedzony od niego — bo go drażnił i gniewał jego sceptycyzm w stosunku do polityki Napoleona III — teraz dopiero, w miarę, jak mu się przypatrywał przy robocie patryotycznej, naprawdę poznał się na nim. »Była o nim opinia, że każdą sprawą, do której się przykładać chce, chce i kierować, że się czuje urodzonym i powołanym do rządzenia. Znając go wtedy mało, myśleliśmy jak wszyscy. Trzeba było widzieć go wtedy, żeby się przekonać, jak ten człowiek silny i hardy umiał się poddawać i wykonywać. Nie o tem mówimy, że do ówczesnego ruchu nie należał; naprzód nie pochwalał go, powtóre jako poseł i członek Rady Państwa do tajnych działań nie powinien był należeć: znaczyłoby to tyle, co grzeszyć przeciw konsekwencyi swego działania i przeciw swojemu przekonaniu. Że wtedy kierować nie pragnął, rzecz prosta: dla am-

[1]) *Przegląd polski*, 1894, kwiecień, 212—213, *Anatazy Benoë*. Wsp. pośm.

bicyi prawdziwej nie było miejsca w roku 1863, co najwięcej dla bardzo małych i dziecinnych próżności. Ale co było piękne i prawdziwie budujące, to widok tego człowieka, który, gdyby był chciał, byłby z pewnością objął ster tych wszystkich spraw (bo dla każdego rządu narodowego taka zdolność, taka firma, taka powaga i taki majątek byłyby najpożądańszym nabytkiem), a któż żadnego wpływu wywierać nie chce, tylko chce pomagać. Widywaliśmy go i słyszeli wtedy wiele w rozmowach z tymi, którzy rzecz prowadzili; nie pamiętamy, żeby się nam było zdarzyło słyszeć choćby to słowo: powinniście zrobić to lub owo, tak lub inaczej. On nigdy wtedy ze swoją myślą nie występował, zawsze tylko pytał, co chcecie zrobić?, i na kiedy to zrobione być ma? nie żądając ani kierunku, ani wpływu, ani nawet zwierzenia sobie planów i zamysłów, przypuszczenia siebie do ówczesnych tajemnic. Skromniej, pilniej, dokładniej i prościej nikt nie potrafiłby grać drugiej podrzędnej roli, jak ją grał ten człowiek niezaprzeczenie do pierwszych ról stworzony. Nie wyrządzimy mu oczywiście tej krzywdy, żebyśmy mieli zestawiać jego zachowanie z próżnościami, drobnostkami i pretensyami, jakich się widziało wtedy tyle, i z takiego porównania wyciągać dla niego pochwałę; tak chwalić byłoby to ubliżyć mu. Ale powiemy to jedno tylko: że jego postępowanie w roku 1863 było dla nas jednym z pierwszych i najwyraźniejszych przykładów tego, jak robią ludzie, którzy o rzeczy tylko, a nie o sobie myślą.« [1])

Tymczasem sprawy wikłały się coraz bardziej, a horyzont, pozornie rozjaśniony w chwili wyjazdu ks. Metternicha do Wiednia, zaciemniał się raczej, a przynajmniej pobudzał do niepokojących reflekcyi. Faktem było, że ks. Metternich wrócił z tem, że Austrya nie dała się wciągnąć we wspólną akcyę Francyi i Anglii przeciwko Rosyi, a choć to nie przeszkodziło interwencyi mocarstw, na której teraz pokładano największe nadzieje, to jednak w imię tych nadziei, budowanych na zawodnej grze dyplomatycznej, wypadało decydować się na postanowienia tego rodzaju, jak podanie się do dymisyi Rady Stanu, a wślad za nią i Rad powiatowych i gubernialnych. Wszystko to były ofiary, składane na ołtarzu interwencyi dyplomatycznej, którą mniemano ratować sprawę, a która tymczasem szerzyła zniszczenie w kraju, a nadto wymagała ofiary z istotnych przekonań, ze zdrowych zapatrywań. Bo i Tarnowski i jego przyjaciele, zwłaszcza Kożmian, mieli najzupełniejszą świadomość niebezpieczeństwa i zgubnych następstw polityki tego rodzaju, ale postępowali w myśl wska-

[1]) *Przegląd polski*, 1872, lipiec, 158—9. *Adam Potocki.*

zówek Hotelu Lambert, ten zaś szedł za wskazówkami rządu francuskiego. »Szliśmy zatem — powiada Koźmian — dalej drogą, na którą zostaliśmy wepchnięci, z tem przykrem uczuciem, że rozszerzamy rozmiary klęski każdego dnia, podczas gdy dzień żaden nie przynosi spodziewanej pomocy i zbawienia. Ale nie można było się cofnąć, fatum bowiem, to ponure bóstwo, zrodzone z nieprawego związku błędu szalonych z pomyłką rozsądnych, pchało wciąż dalej ludzi i wypadki. Ogłoszona w pierwszych dniach kwietnia amnestya cesarza Aleksandra II, z warunkiem złożenia przed 1 maja broni przez powstańców, okazała się tylko grą, wybiegiem gabinetu rosyjskiego, wybiegiem, który go miał uwolnić od frasunku, może od zawikłań i niebezpieczeństw, jeśli się zważy — o czem się dowiedziano w samą porę — że amnestya była obliczoną na sparaliżowanie właśnie wysłanych trzech not mocarstw. Noty te nalegały każda z osobna na rząd rosyjski, aby obmyślił środki, zdolne postawić Polskę »w warunkach trwałego pokoju«, a że ich sobie nie lekceważono w Rosyi, tego dowodził łagodny ton pierwszych odpowiedzi na nie ks. Gorczakowa. Wszystko to, razem wzięte, przedłużało ów dręczący stan oczekiwania i niepewności, fatalny stan zawieszenia, który przecież wymagał tego samego przeciągania zbrojnej walki — raczej zbrojnej demonstracyi — aż do chwili, kiedy przecież w końcu coś stanowczego nastąpi. Tymczasem wchodziły do Królestwa i wychodziły zeń uzbrojone w Galicyi oddziały; a wychodziły rozbite przez wojsko rosyjskie, lub przez własny nieunikniony nieład i rozprzężenie, aby znowu się w Galicyi formować, do czego jakby zachęcało szczególne pobłażanie władz austryackich... Wśród podobnych okoliczności, już wśród pełni interwencyi dyplomatycznej, przygotowywała się formacya oddziału Jordana. Organizacya ta, choć nią zajmowano się usilnie, szła powoli, nietyle z powodów materyalnych, bo środków dostarczył nietylko Paryż i Komitet Krakowski, ale i młodzi przyjaciele tyczyńscy, ile pod wpływem przekonania, że jeszcze nie nadeszła stosowna chwila, w której by z pożytkiem wystąpić można. Sprowadzaniem broni, ubraniem ludzi, etc. zajmował się głównie Baum, w czem mu gorliwie dopomagał Stanisław Tarnowski. Co się tyczy tego ostatniego, to Jordan i Baum uznali go za tak zdolnego, że wciąż się nim posługiwali, a gdy Jordan miał przekroczyć granicę, poczytał pozostawienie go w Krakowie za tak potrzebne, że nie chciał go wziąć z sobą, polecając mu czuwanie nad potrzebami oddziału; obiecał, że go do oddziału zawezwie, gdy się w głąb kraju zapuści. Odkładana z dnia na dzień wyprawa Jordana przyszła do skutku dopiero w czerwcu, gdy już znacznie zmalały widoki po-

mocy zewnętrznej, widoki, które Tarnowskiego i jego przyjaciół głównie skłoniły do oświadczenia się za powstaniem! Stąd nowe źródło utrapień i rozczarowań, a nadto złych przeczuć i obaw o najbliższych. W jak ponurym nastroju znajdował się w tym czasie Tarnowski, tego pozwala się domyślać następujący ustęp z jego odczytu o Grottgerze, ustęp, w którego liryzmie zdaje się drgać nuta osobista: »Oprócz że jako Polak przebywał tę całą drogę krzyżową ówczesnych zdarzeń, że widział, jak jedni po drugich szli, żeby nie wrócić lub smutno wrócić, że słyszał o wsiach z ziemią zrównanych, o domach palonych, mieszkańcach wyrżniętych do nogi, że pytał i przeczuwał, jak się to skończy? oprócz tego miał i wszystkie te dodatki osobistego cierpienia, niepokoju, strachu, płaczu, które duszę nie więcej może łamią, ale serce bardziej krwawią. I on żegnał, i on miał po lasach głowy sobie najdroższe, i on pytał, czy wrócą?... Miał tam brata!« W tem samem położeniu był i Stanisław Tarnowski: i on miał brata, który się zaciągnął do formującego się oddziału Jordana, a oprócz brata, takich przyjaciół serdecznych, jak Ludwik Wodzicki i Władysław Jabłonowski, August Gorayski. Niedługą była historya tego oddziału, złożonego z młodych ludzi najlepszych rodzin w kraju, z młodzieńców wykształconych i rokujących najpiękniejszą przyszłość. Takim właśnie był Juliusz Tarnowski. Po długich przygotowaniach, które się odbywały w Chorzelowie, Jordan wraz z swym oddziałem d. 20 czerwca przekroczył Wisłę i już w kilka godzin później, pod Komorowem, napadnięty przez przeważne siły rosyjskie, został najzupełniej rozbity. W bitwie, jaka się wywiązała, zginęli obok wielu innych, Juliusz Tarnowski i Władysław Jabłonowski,[1]) Ludwik Wodzicki, choć — według słów ra-

[1]) »Nazajutrz — opowiada Siemieński — gruchnęła po całej okolicy wieść o klęsce. Jeden z braci Juliusza (Jan Tarnowski), dręczony niespokojnością, starał się dowiedzieć coś o jego losie; ale nikt nie umiał mu dać dokładnego objaśnienia. Nie pozostawało nic innego, aby wyjść z tej zabijającej niepewności, jak dostać się na drugą stronę Wisły i tam go szukać. Przeprawiwszy się tedy, znalazł uczynnego człowieka, z którego pomocą rozpoczął smutne poszukiwania. Pytać o brata miejscowych ludzi; dowiadywać się, czy nie uprowadzony jeńcem? czy gdzie nie przechowuje się ranny? czy nareszcie nie widział kto jego konia? Wszystkie te pytania zostały bez odpowiedzi. Odpowiedź dał dopiero cmentarzyk wiejski. Tam trzeba go szukać — mówili ludzie — bo tam zwożą ciała poległych dla ich pogrzebania. I poszedł brat na ten wskazany cmentarz, i ujrzał tam na środku krzyż kamienny, około którego rzędami układano ciała. Zbliżył się do nich ...spojrzał... i zaraz w pierwszym rzędzie poznał Juliusza! Całkiem odarty z odzienia leżał trup z dużym czarnym otworem od kuli w miejscu oka, zresztą na całem ciele żadnego znaku pokaleczenia nie było widać. Inne ciała, nad któremi snać się pastwiono, wyglądały okropnie«. W odczycie Stanisława Tarnow-

portu urzędowego — »nosił rozkazy wśród gradu kul, prowadził tyralierów do ataku, raliował uciekających, a w końcu dnia ocalił życie Jordanowi«, wyszedł z bitwy tej bez szwanku. »Co się z nim potem działo — pisze o nim Tarnowski może nie bez myśli i o sobie także — to zgadnie, kto te czasy sam przeżył; ale nie widział go podobno nikt, bo się na parę tygodni zamknął w domu. Rozbiciu oddziału, śmierci przyjaciół, towarzyszyły te uczucia gorzkie, jak chyba żadne na świecie, że to wszystko nadarmo! Po pierwszej odpowiedzi rosyjskiej, akcya mocarstw, zamiast iść naprzód, wolniała, cofała się, a ustać nie było można, trzeba było ciągnąć dalej...« [1]) I tak trwała wciąż ta zbrojna demonstracya, przedłużana zawsze z tych samych powodów, z konieczności poparcia nią argumentów

skiego o Grottgerze, w opisie jednej ze scen *Polonii*, jest ustęp pewien, w którym możnaby się dopatrywać jakby refleksu tego strasznego wspomnienia. »Ta sama matka... poszła szukać syna... czy go znajdzie, daj Boże między rannymi, czy między jeńcami? czy też... Nie! Ona już musiała wiedzieć, jak go znajdzie, bo jest spokojną: to nie pierwsze wrażenie niespodziewanego nieszczęścia. Ona wiedziała, że zginął, tylko chciała go jeszcze widzieć i pochować. Chodziła więc, jak święta Jadwiga po lignickiem pobojowisku, i jak tamta, znalazła. Na brzegu lasu, odarty z odzienia, leży, jak na Termopilach trup Leonidasa, a znać i w śmierci, że w tych kształtach była piękna dusza. Matka upadła na oba kolana, ręce zwiesiła po sobie, i patrzy, nie na niego, ale tam, gdzie on jest, gdzie jest Bóg, który jej go dał i zabrał, i gdzie go kiedyś spotka, w niebo«. Zaś o Juliuszu Tarnowskim tak pisze w dalszym ciągu Siemieński: »Juliusz, znaleziony na tym cmentarzu, za cały pogrzeb, za całą cześć, zwłokom swoim oddaną, miał tę chwilę, przez którą brat klęczał nad jego ciałem. Ta chwila trwała krótko; bo zaraz znalazł się ktoś ostrożny, co bojąc się urzędowych świadków i mogących stąd wyniknąć prześladowań, nie pozwolił przeciągać tego ostatniego pożegnania. Później nikt już zwłok Juliusza nie widział; nikt z najbliższych nawet nie odprowadził do grobu. O zabraniu ich i przewiezieniu nie mogło być mowy; nie pozostało nic innego, jak udać się do miejscowego proboszcza i prosić o pochowanie w osobnej trumnie. Stało się zadość życzeniu...« Ostatecznie zwłoki Juliusza Tarnowskiego spoczęły w grobach rodzinnych w Dzikowie, w kościele przy wielkim ołtarzu, gdzie mu dwaj bracia i dwie siostry wznieśli wspaniały pomnik, w stylu renesansowym z ciosu i czerwonego marmuru na wzór wielkich nagrobków w Tarnowie. Nagrobek ten, w postaci sarkofagu, zdobny białym alabastrowym medalionem z płaskorzeźbą głowy Juliusza, nosi napis tej treści: *Juliusz Tarnowski* || *Ur. 26 grudnia 1840, zm. 20 czerwca 1863.* || »I wzmogła się bitwa aż zapadło słońce, i poległ dnia onego (Machab. Ks. I). »Młodzieńcom mężny przykład zostawię, jeżeli ochotnem sercem a mężnie za najpoważniejsze i najświętsze prawa śmierć podejmę« (Ks. II, R. 6) »Lecz ja duszę i ciało moje dawam za prawa ojczyste, wzywając Boga, aby co rychlej narodowi naszemu miłościwym był«. (K. II, R. 7) || »...a jeżeli się przybliżył nasz czas, umrzyjmy mężnie, a nie czyńmy zelżywości sławie naszej« (Mach. Ks. I, R. 10) || »...bo lepiej nam zginąć na wojnie, niżeli patrzeć na niedolę narodu naszego« (Mach. Ks. I, R. 3).

[1]) *Przegląd polski*, 1894, *Ludwik Wodzicki*.

dyplomatycznej interwencyi, a w widokach, że ta doprowadzi do wojny. Aż w końcu, po odejściu drugich not ze strony mocarstw, dnia 13 lipca — już po dymysyi Wielopolskiego i po przyjeździe Murawiewa do Wilna — przyszła zuchwała odpowiedź ks. Gorczakowa, odpowiedź, którą zniweczył sprawę polską, jako europejską, przeistoczył ją w oczach zdumionego świata w wewnętrzną rosyjską, i pierwszy zadał cios urokowi zewnętrznemu Napoleona III.[1]) »Po owej odpowiedzi rosyjskiej z d. 13 lipca, opowiada Tarnowski, nastał dopiero ten okres straszliwy, w którym cofnąć się już nie było można, nie byłoby nawet przydało się na jakieś względne małe ocalenie i waratowanie, a iść dalej, z wiarą, że się gdzieś dojdzie, nie było już sposobu. A jednak jeszcze jakieś błyski logicznych złudzeń; jeszcze zrazu ta myśl, że mocarstwa nie zniosą zniewagi i policzka nie schowają pokornie do kieszeni. Jeszcze wiadomości, i pewne, że na notę Gorczakowa jakieś repliki być mają. Ale to się tak ciągnie, tak wlecze, tak ślimaczy! A tymczasem oddziały jedne po drugich wychodzą, w połowie giną, w połowie wracają; tymczasem coraz cięższa dusi piersi zmora tego pytania: Co z tego będzie? Na czem się to skończy!... Tymczasem, jak wszystko, co w siebie ufać przestaje, powstanie i Rząd Narodowy zaczyna się rozprzęgać i pruć. Tajną władzę obejmują raz jedni, to znowu drudzy, walczą o nią w tych ciemnościach, spychają się, wracają znowu; za plecami jednych rządów narodowych formują się inne, energiczniejsze siły, dziksze tylko i głupsze naprawdę, i chcą energii swej dowodzić, a nieprzyjaciela zwyciężyć, nikczemnemi morderstwami. A któż im dowiedzie, że one nie są Rządami Narodowemi? Są tak bezimienne, tak przez siebie kreowane, jak tamten! Jeżeli jedni mieli prawo z własnej woli i powagi uznać się rządem, to czemu tego prawa nie mają drudzy? W czem, na jakiej zasadzie, ich prawo ma być gorsze, a tamtych lepsze? Zamęt, chaos, słabość rozpaczliwa; na niej tu i owdzie plamy krwi zbrodniczo i głupio przelanej, i plamy brzydkich postępków; a nadziei, choćby złudnej, dobrego końca coraz mniej, a pewności złego końca coraz więcej!... O, Boże miłosierny, i to ma być p o w s t a n i e! To słowo, jakiemu niema na ziemi równego, ono niby to ma znaczyć? Takich tygodni, takich miesięcy, i najgorszemu wrogowi nie życzyć; a kto je przebył, ten nie zapomni do śmierci, ale i nie opisze. Ten czas *a dir qual' era, è cosa dura;* ale bez przesady, z ręką na sumieniu można powiedzieć: *Tanto era crudel, che poco è più morte.* A w tej nocy, w tych oparach

[1]) St. Koźmian, *Rzecz o roku 1863*, I.

z mgły i topielisk, jeszcze jakieś błędne ogniki: prawdopodobne, niby bliskie uznanie powstania za stronę wojującą; lord Russel odsądza głośno, publicznie, Rosyę od wszelkich praw do Polski, i oświadcza jej to na piśmie, wysyła kurjera z tem pismem. Starania, żeby Austryę skłonić do zajęcia Królestwa. Skryte starania Bismarcka, żeby Rząd Narodowy jego wezwał na pomoc. Wreszcie mowa cesarza Napoleona i myśl kongresu«.[1])

W taki to sposób ciągnęły się te straszne tygodnie i miesiące, podczas których Tarnowski i jego towarzysze komitetowi myśleli w najlepszej wierze, że obowiązek każe im coś robić, a mieli zaledwo ostatnie najsłabsze resztki nadziei, że z tej roboty jeszcze coś przyjść może. Wtedy to Wodzicki, zjechawszy ze wsi do Krakowa, w przypuszczeniu, że się jeszcze do jakiego drugiego oddziału zaciągnie — choć oddziałów tych coraz już mniej wychodziło do Królestwa — prawie przypadkiem zaczął w komitecie pomagać Benoëmu w jego czynnościach, stosunkach i korespondencyach z zaufanymi w kraju.[2]) W tym samym czasie mniej więcej, mianowicie w drugiej połowie sierpnia, na skutek zmiany ogólnego położenia politycznego, z osłabieniem widoków interwencyi czynnej ze strony mocarstw, władze austryjackie w Galicyi, aż dotąd patrzące na wszystko przez szpary, jęły przybierać odmienną postawę w stosunku do ruchu powstańczego. »Rząd austryjacki — pisze Tarnowski — siedział na dwóch stołkach podówczas, a im gorzej stało powstanie, tembardziej przesiadający się na stołek rosyjski, wiedział doskonale o Komitecie, który zresztą prawie się nie ukrywał, i nie przeszkadzał mu bynajmniej, aż do chwili, kiedy mu wypadło jakoś się z podjętej dyplomatycznie sprawy wycofać. Za zmianą frontu musiały pójść rygory.«[3]) Rewizye stały się coraz częstsze, coraz skuteczniejsze, a w tej liczbie zrobiono rewizyę nocną w mieszkaniu komisarza

---

[1]) *Przegląd polski*, 1895, czerwiec, 512—513, *Stanisław Koźmian o roku 1863.* W swem wspomnieniu o Kaplińskim (*Przegląd polski*, 1873, kwiecień, 142) tak pisze między innemi St. Tarnowski: »A wtedy spadł na niego cios za ciosem. Wypadki roku 1863 naprzód. Czem te być mogły dla tej natury, i dla tej miłości ojczyzny, nie tylko gorącej, ale poetycznej i poetuzyjącej; jak straszne musiały być chwile zwątpienia nie o politycznej tylko, ale o moralnej przyszłości Polski, którą Kapliński widział zawsze w tem idealnem świetle, w jakiem wszyscy widzieć ją nauczyliśmy się od Mickiewicza i Krasińskiego, tego łatwo się domyślać, ale wyobrazić sobie trudno. Widzieliśmy zewnętrzny smutek, nie widzieliśmy tego, co się działo w głębiach jego duszy«. Przez podobny nastrój przechodził niewątpliwie i Tarnowski, który w tym razie, pisząc o Kaplińskim, z pewnością sądził po sobie...

[2]) Ludwik Wodzicki, *Przegląd polski*, 1894.

[3]) *Józef Baum*, *Przegląd polski*, 1883.

komitetu, Elżanowskiego, na którego już oddawna miano zwróconą uwagę. Jakoż znaleziono u niego między innemi papierami protokół sesyi z 25 lipca, na której komitet występował przeciw komisarzom Rządu Narodowego. »Jakim zaś ludziom, jakim starym dzieciom ten Rząd powierzał czasem swoje sprawy i swoje godności, można wziąć miarę z tego, że ten komisarz spisywał i przechowywał porządnie wszystkie akta swojego urzędowania tajnego, konspiracyjnego! Protokóły posiedzeń, raporta do Warszawy, wszystko to złożone było, jak w jakiem archiwum, a w aktach zapisane stało wszystko, co kto mówił lub robił!« [1]) Zapisane też były nazwiska wszystkich członków krakowskiego Komitetu, w skutku czego w parę dni po owej rewizyi, dnia 1 września, wszyscy poszli do więzienia, i Baum, i Benoe, i Haller, i Rogawski. Wtedy to Tarnowski i Wodzicki zajęli w Komitecie miejsce aresztowanych: Tarnowski, który wiedział lepiej, niż ktokolwiek inny, gdzie były składy karabinów, gdzie proch, gdzie ludzie, gdzie buty, zastąpił Bauma, jako najlepiej obznajmiony z jego czynnościami; Wodzicki zaś, w tych samych warunkach, siłą rzeczy, zastąpił Benoëgo. Hallera zastąpił jego dotychczasowy pomocnik, Stanisław Brandys, obejmując opróżnioną tekę finansów. Nadto weszli do komitetu: Aleksander Gorayski i Edward Jędrzejowicz. O tym ostatnim, jako swym towarzyszu pracy w Komitecie, tak pisze Tarnowski: »Jędrzejowicz miał mało praktyki wojskowej (choć bił się, jako oficer, w roku 1849 na Węgrzech), ale miał o niej wyobrażenie, i miał z książek nabytą znajomość służby i jej potrzeb. Był też bardzo pożądanym przy organizacyi oddziałów, a okazał się bardzo pożytecznym, i pomocnym. Wtedy, widząc go w tej czynności, dopiero można było nauczyć się znać go i cenić. Zmysł praktyczny, rozsądek, ciągła pamięć i dbałość o wszystkie szczegóły; a przytem spokój, zimna krew, energia w wykonaniu, i przy usposobieniu łagodnem i cichem umiejętność rozkazania i trzymania w karbach, to były przymioty organizatora oddziałów. Ale pod niem dopiero tkwił zmysł polityczny, trafne pojęcie położenia i niezwykły dar odgadywania i poznawania ludzi. Ten zmysł polityczny i ta znajomość ludzi, ile sprawiały odkryć przykrych, a ile dopiero głębszego cierpienia w tych późniejszych miesiącach roku 1863, to pamiętają niektórzy, co te czasy przebyli i tych uczuć doznali; i ci muszą przyznać, że w tych bolesnych przejściach widzieli Edwarda zawsze tak samo głębszego rozumem, a wysokiego uczuciem i charakterem«. [2])

[1]) *Przegląd polski*, 1883, Józef Baum.

[2]) *Przegląd polski*, 1899, lipiec, *Edward Jędrzejowicz*. Wsp. pośm.

Była to chwila »walki coraz trudniejszej, a coraz smutniejszej, bo bez cienia już złudzeń, walki podziemnej z jakimś teroryzmem, niemniej występnym, jak głupim«. Prowadził ją głównie Wodzicki, a jak świadczy Tarnowski, który z nim szedł ręka w rękę, prowadził ją zręcznie, z zimną krwią i ze stanowczością niezłomną. Chodziło o dwie rzeczy: 1. żeby Galicyi nie poddać pod władzę Rządu Narodowego, i nie dać jej wciągnąć w spiskową organizacyę, a 2. żeby w Warszawie bronić Rząd Narodowy od coraz nowych zamachów stanu, urządzanych przez coraz radykalniejsze głowy, marzące o przeniesieniu powstania do Galicyi (jak już zostało przeniesione na Podole i na Wołyń). W walce tej, która była prawie ciągłą teraz, miało się do czynienia z żywiołami demagogicznemi, i to najgorszego gatunku. Jakie typy — powiada Koźmian — jakich ludzi spotykało się wtedy, jakie słyszało się zdania, nie łatwo domyśleć się. Trudniej powiedzieć. Był to skutek przewrócenia do góry społeczeństwa i wydobycia się na wierzch tego, co dotąd na spodzie spoczywało. Podobny stan rzeczy musiał wytwarzać dziwolągi. Takim dziwolągiem było n. p. demagogiczne hasło: »o własnej sile«, które tem głośniej powtarzano, im bardziej słabły nadzieje pomocy zewnętrznej. Takim dziwolągiem były n. p. wzory mundurów dla narodowej służby cywilnej w Galicyi, przysłane przez Rząd Narodowy, pomysł drobiazgowy i dziecinny! A jednocześnie, im dłużej trwało powstanie, tem więcej słabł zapał i duch poświęcenia, a mnożyły się dziwactwa i ...brzydkie praktyki, jak wyroki śmierci, spełniane na ludziach niewinnych, a ferowane przez jakieś tajne trybunały. Między innemi Wodzickiemu grożono karą śmierci... Wszystko to były objawy, zwykle towarzyszące dogorywaniu każdej rewolucyi, każdego powstania, całkowite zamieszanie pojęć i czynów, nieład i rozkład, sprzeczne działania, rozpaczliwe pomysły, niewykonalne i niewykonane, niechybne zwiastuny upadku i końca. A tymczasem przepaść, w jaką powstanie ostatecznie wtrąciło sprawę polską, coraz przeraźliwiej stawała się widoczną dla ludzi dobrej wiary, miłujących ojczyznę. Wszystko to, a szczególniej okropny zawód pod względem obcej skutecznej pomocy, na której Tarnowski i jego przyjaciele oparli swój współudział w powstaniu, czyniły życie nieznośnem, ciężkiem; tem sroższem, że już mogli zmierzyć rozmiary błędu, popełnionego nie przez powstanie, ale przez dane mu poparcie.[1])

Tymczasem namiestnik Galicyi, hr. Neusdorf, otrzymał instrukcyę od rządu, ażeby z większą stanowczością starał się ukrócić

[1]) St. Koźmian, *Rzecz o roku 1863*, I, 225.

pomoc, jaką Galicya niosła powstaniu.[1]) Stąd nowa serya śledztw, rewizyi i aresztowań, bardzo ostrych tym razem.

W protokołach z posiedzeń Komitetu, znalezionych u Elżanowskiego, znajdowało się między innemi nazwiskami także i nazwisko *Tarnowski*, bez imienia. Był to Jan Tarnowski z Chorzelowa, który kilka oddziałów przeprowadził do Królestwa. Wyczytawszy nazwisko *Tarnowski*, policya zadała sobie pytanie: który? i tu znalazła się w kłopocie, ponieważ było paru Tarnowskich. Jan Tarnowski, starszy brat Stanisława, ubolewając nad wszystkiem, co się działo, nie ruszał się z domu, z Dzikowa; Jan Tarnowski z Chorzelowa, zajęty wyprawianiem oddziałów, nie często ukazywał się w Krakowie; tymczasem Stanisław Tarnowski przebywał tu od marca prawie ciągle. Po dość długim namyśle, wobec zaostrzonych instrukcyi, policya wpadła na domysł, że to on jest owym *Tarnowskim* z protokółu Elżanowskiego. Jakoż, w nocy z 30 września na 1 października odbyto u niego rewizyę. Znaleziono dużo dzienników i papierów, jakiś raport z obwodu Sandeckiego, przesłany do Ludwika Wodzickiego — który był na dzień jeden na wieś wyjechał — bez wymienienia jego nazwiska (inne bardziej kompromitujące papiery zdążył Tarnowski spalić), a choć już to było podejrzane, to jednak największe podejrzenie wzbudził mundur p r u s k i Ludwika Mycielskiego, zostawiony przezeń, gdy ten wyszedł z oddziałem. Najbardziej kompromitujące dowody, mianowicie pieczątki Komitetu, odziedziczone po Baumie, leżały na stole, w szczotkach od włosów, i tam ich nie szukano. Ale wystarczyły gazety, mundur i raport, ażeby aresztować ich posiadacza. Wystarczyły też, jako dowody w procesie.[2])

Aresztowany i zamknięty w więzieniu na Wawelu, gdzie »rezydował«[3]) aż do kwietnia 1864 roku, był Tarnowski »tak znękany obrotem, jaki przybierały wypadki, że więzienie uważał w tym razie, jako moralne wyzwolenie«. Ale bo też trudno jest — według słów jego własnych — nie zwątpić we wszystko, kiedy się widzi upadek tego, co skupia w sobie wszelkie pojęcie sprawiedliwości i dobra na

[1]) Pan Hausner przypomina sobie z goryczą, »jak łagodnie i względnie postępował rząd niemiecki, rząd hrabiego Mensdorfa, w podobnych wypadkach w roku 1863«, tylko zapomina, że wypadków podobnych rozruchów ulicznych nie było wtedy w Galicyi, a ten rząd łagodny łagodnie skazywał ludzi, co proch i karabiny do Królestwa posyłali, za mniemaną zbrodnię stanu, na kilka i kilkanaście lat więzienia. *Studya polityczne*, I, 448.

[2]) Wszystkie szczegóły o aresztowaniu St. Tarnowskiego podaje St. Koźmian w swej *Rzeczy o roku 1863*, t. I, str. 229—230.

[3]) W szkicu *O Czasie i jego redaktorach* pisze żartobliwie St. Tarnowski: »Kiedy *Czas*, zawieszony, wychodził jako *Chwila*, niżej podpisany rezydował w Krakowie, na Zamku, później we Lwowie i w Ołomuńcu«.

ziemi! Jakże bo trudno znieść taki zawód, jeżeli się miało wysokie wyobrażenie o swojej epoce i choć trochę serca dla ludzkości i dla prawdy! Jak trudno nie zniechęcić się do życia, jeżeli przepadła cała swoboda młodości, jeżeli zabrakło tych, którzy tego życia byli wdziękiem i słodyczą! Nie dziw więc, że Tarnowski, podobnie, jak niejeden z jego przyjaciół, pokrewnych mu duchem, przeszedł wówczas — za kratą więzienną — przez fazy bardzo bolesne. Polskę, która dlań reprezentowała nadzieję i warunek postępu i uszlachetnienia świata, ujrzał zagrożoną zagładą ostateczną; cywilizacyę, którą miał za rzeczywistość i prawdę, widział pozbawioną wszelkiej moralnej treści, wszelkiej rzetelności, wszelkiej odwagi, choćby tylko we własnej obronie, a swoje własne życie, aż dotąd szczęśliwe i błogie, ujrzał pozbawionem dawnego uroku przez straty nagłe i bolesne, w pierwszym rzędzie przez śmierć swego młodszego brata... Ile cierpiał, to Bogu jednemu wiadomo, bo się nie skarżył, ani roztkliwiał; ale to pewna, że od tej chwili, usposobienie jego, do niedawna pogodne i opromienione młodzieńczym zapałem, stało się smętniejszem o wiele, mniej skłonnem do złudzeń optymistycznych. Skoro w tem kółku, w którem mu było dobrze, jednych zabrakło, a inni zostali smutni i pognębieni, musiało i w jego duszy wiele znaleść się ruin i popiołów. Żal musiał tam być, jeśli nie głębszy, jak u drugich, to więcej gorzki; szacunek dla otaczającego świata każdemu trudny, jemu, przy jego usposobieniu idealistycznem, musiał być trudniejszym; a wiara w lepszą przyszłość, podkopana zwątpieniem o teraźniejszości, ciężej przychodziła takiemu, jak on, który nie mógł pojąć, a wciąż zapytywał: dlaczego teraźniejszość jest taką, jaką jest? Jeżeli jest jakaś Opatrzność, jakiś Bóg Wszechmogący, to gdyby chciał, mógłby wszystko zrobić inaczej. Więc dlaczegoż nie chce? *Numquid bonum ei videtur si opprimat opus manuum suarum et consilium malorum adjuvet?* Co było drażliwego, co było niespokojnego, co w nim było skłonnego do zwątpień, wszystko to rozwinęło się pod wpływem tych wypadków, a że miał duszę, zbyt wysoko nastrojoną i gorącą, by popaść w obojętność, więc wszystko cierpiało w niej, wszystko było targane przeciwieństwami, szarpane żalem, prześladowane wspomnieniem, dręczone tęsknotą.[1])

Przewieziony do Lwowa, został osądzony w więzieniu u Karmelitów, gdzie znalazł się w towarzystwie wielu dobrych znajomych, a w tej liczbie i swych kolegów z komitetu, z Baumem, z Benoëm,

[1]) Por. *Przegląd polski*, 1868, czerwiec, str. 440—443 w przedmowie do pracy Tadeusza Pilińskiego o *Bezkrólewiu po Zygmuncie Auguście*...

z Hallerem. »Więzienie we Lwowie u Karmelitów — pisze Tarnowski w swem wspomnieniu o Baumie — było bardzo łagodne, nawet po ogłoszeniu stanu oblężenia, a ze względu na przyjazne stosunki, wielu uwięzionym, było prawie przyjemne; jednak ono to podkopało zdrowie Bauma. Przywykły do powietrza i ruchu, zaczął chorować w zamknięciu; nieszczęście ogólne i troski własne trawiły go smutkiem i nie pomagały do zdrowia. Od pierwszych dni września, kiedy się do więzienia dostał, do połowy czerwca roku 1864, kiedy z niego dla braku dowodów wyszedł, Baum był ciągle cierpiący i do dawnego stanu sił i zdrowia już nie wrócił«. Oprócz dawnych znajomych i przyjaciół, jak Baum i Benoë, zastał Tarnowski w więzieniu także i ludzi, z którymi tutaj dopiero, za kratą więzienną, zabrał bliższą znajomość, a nawet, jak z niektórymi, zaprzyjaźnił się. Do takich należał n. p. Floryan Ziemiałkowski.

Tutaj też spotkał się z młodym Adamem Sapiehą. Dzięki księżnej Leonowej Sapieżynie, która, drżąc o jedynaka, jak mogła, tak się starała uprzyjemnić mu tę więzienną dolę, i jego towarzysze mieli niejedną pogodniejszą chwilę. »Przez cały ten czas, — opowiada o niej Tarnowski — życie jej skupiło się w karmelickiem więzieniu. Pamięć i troska jej obejmowała wszystkich towarzyszy syna: wysilała się na to, by dostarczyć im lepszej wygody, ulgi, rozrywki. Kosze z obiadami (nie wiedzieć dla jak wielu), książki, dzienniki przychodziły dzień w dzień od księżnej do kryminału: wiadomości o rodzinach albo o stanie sprawy, tak upragnione w więzieniu karteczki, znowu rozchodziły się nieraz po całym gmachu, kiedy księżna odwiedzała syna. Niewyczerpana w pomysłach a niezmordowana w czynności, urządzała zupełne koncerta dla zamkniętych. W przeciwległym domu często o pewnych godzinach dawał się słyszeć fortepian lub dwa fortepiany, śpiewy, chóry: to księżna, która między znajomymi zorganizowała ten rodzaj jałmużny dla więźniów. Uważała, że nie dla rozrywki tylko, ale dla pokrzepienia ducha, dla ratowania ich od ponurego smutku, muzyka mogła być potrzebną i dobrą. Nieraz można ją było widzieć przez okna, jak dawała takt chórowi śpiewaków lub improwizowanej orkiestrze«.[1])

[1]) *Księżna Jadwiga z Zamoyskich Sapieżyna*, Kraków, 1890, osobne odbicie z *Czasu* Nr. 87 i 88 z d. 16 i 17 kwietnia 1890 r.

Z pomiędzy młodych przyjaciół Tarnowskiego, z którymi się spotkał w więzieniu u Karmelitów, należy wymienić także i Stefana Zamoyskiego. We wspomnieniu o nim, opisując jego udział w powstaniu r. 1863, tak pisze Tarnowski: »Skończyło się to więzieniem u Karmelitów we Lwowie, które trwało z pół roku lub więcej, ale przy braku dostatecznych dowodów nie mogło skończyć się skazaniem«.

Z koncertów tych korzystał wraz z innymi i Floryan Ziemiałkowski, w którego świeżo ogłoszonych pamiętnikach, w księdze czwartej, obejmującej zapiski więzienne, kreślone u Karmelitów we Lwowie, nie brak również szczegółów i o Stanisławie Tarnowskim, szczegółów, z których okazuje się, że to więzienie chwilami wcale nie było zbyt łagodnem, że więźniowie, i Tarnowski w ich liczbie, na noc byli zakuwani w kajdany, że niezawsze z łatwością mogli się widywać ze sobą, że w tym celu należało przekupywać straże, że więźniowie byli zamknięci w osobnych celach, wcale nie odznaczających się komfortem, ale natomiast pełnych wilgoci, słowem: więzienie było nie od parady, a jeżeli co da się powiedzieć na jego pochwałę, to chyba to jedno, że więźniowie mieli możność czytywania gazet i książek, przywilej, z którego oczywiście Tarnowski musiał korzystać w całej pełni. Korzystał też z niego i Ziemiałkowski, jak to wynika z jego zapisek. Z zapisek tych godzi się przytoczyć niektóre, albowiem na ich podstawie można sobie najłatwiej urobić wyobrażenie o przyjaznym stosunku, jaki tu się zawiązał pomiędzy 27-letnim Tarnowskim a znacznie od niego starszym i dobrze już z austryackiemi więzieniami stanu obeznanym Ziemiałkowskim. Oto naprzykład pierwsza z tych zapisek: »Liczba więzionych zwiększa się codzień. Na kontyngens ten składają się wszystkie stany i wszystkie warstwy społeczeństwa. Dziad, który aresztującemu go żandarmowi stawiał opór, idzie pod sąd wojenny. Ulicznica, która policyanta przezwała pająkiem, staje się więźniem politycznym... Za obrazę majestatu, obrazę wart i sług urzędowych, siedzi mnóstwo osób, i to z najniższych warstw; z tymi robi sąd wojenny, jak mówią Niemcy, *kursen Prozess*: mężczyźni dostają po kilkanaście kijów, kobiety po kilkanaście rózg i rzecz skończona. W beczkach, stojących na ogrodzie pod rynnami, moczą się nieustannie rózgi i kije!... Przybywa wszakże i grubszej zwierzyny: siedzi znów Golejewski, osadzono Stefiego Oczosalskiego, przywieziono Stanisława Tarnowskiego, posła Drohojowskiego, Fortunata Stadnickiego, nareszcie nieocenionego Reichsrata-Rogawskiego. Kazienka nasza tak szczupła, że między łóżkiem a łóżkiem zostało tylko okno i drzwi; na tej tedy przestrzeni, na której wiatr przeciąga nieustannie, a gdy kto drzwi otworzy, zmienia się w burzę, zdmuchującą ze stolika papiery i książki, trzeba przepędzać cały czas, jeśli się nie jest na spacerze«. W takiej to szczupłej »kazience« przyszło teraz i Tarnowskiemu spędzać dni i noce. Całe szczęście, że i na jego stoliku mogły, jak i u Ziemiałkowskiego, znajdować się papiery i książki. Dnia

22 czerwca zapisał Ziemiałkowski w dzienniku swym, co następuje: »Febra wyrokowa minęła. Jestem spokojny, jak dawniej, i jak dawniej życie więzienne przepędzam. Chodzę na spacer, czytam, odwiedzam koleżków, jem i śpię. Tymczasem febra (wyrokowa) przeniosła się do innych kaźni. Tarnowski skazany na 12 lat, Stadnicki, Drohojowski i Haller po 8 lat, Demidowicz na 2 lata, Benoë, Baum i Rogawski uwolnieni dla braku dowodów, czyli podług terminologii wojskowej, *ab instantia*... Wyroki opiewają za zbrodnię zdrady głównej. Wszyscy zgłosili się do rekursu, prócz puszczonych z braku dowodów; ci, a mianowicie Baum i Rogawski, bo Benoë już dawno na wolnej stopie, podają o wypuszczenie na wolność za kaucyą, aż do powrotu aktów z Wiednia, dokąd z urzędu muszą być posłane. Najbardziej znać zmartwienie na Hallerze: twarz się zapadła i głos zmienił, prawda, że zbyt niezdrów od niejakiegoś czasu. Staś (Tarnowski) już dziś grał z nami wiseczka i wcale nie gorzej jak zwykle, to jest, bardzo źle, jak zwykle«. W sierpniu udało się Tarnowskiemu i Hallerowi uwolnić się z więzienia za kaucyą, ale już w październiku zapisuje w dzienniku swym Ziemiałkowski: »Widziałem się z Tarnowskim i Hallerem, którzy już przed dwoma tygodniami wrócili do więzienia. Zakuci obydwaj, czekają na wyznaczenie fortecy, do której ich wywieść mają. I mnie to czeka.« »Haller, Tarnowski, Romanowicz, Drohojowski, Stadnicki, Czarnecki, wszystko to kajdanami wybija takt na spacerze; aż mnie wstyd, że ja nie mam tej dekoracyi. Tarnowski może wysunąć rękę z obrączki, korzysta też z tego w kaźni; innym, którzy nie otrzymali od natury tak arystokratycznej ręki, zawadzają trochę łańcuszki, lecz nie robią sobie wiele z tego. Na noc profos wszystkim zdejmuje łańcuszki z ręki i z nogi, mogą więc przynajmniej spać wygodnie.« »Wraca tu powoli swoboda, którą powściągnięto po ucieczce Wędrychowskiego. Pana kapitana Beera niema; panem naszym nieograniczonym jest teraz pan Blaschke, profos, a to człowiek wyrozumiały... gramy więc wiseczka u Tarnowskiego i spacerujemy gromadnie, jak dawniej«. »Wywieziono Hallera, Romanowicza, Stadnickiego, Drohojewskiego, Czarneckiego, Majkowskiego, Kalickiego, do Ołomuńca. Tarnowskiego zostawiono. Coby to miało znaczyć? Brat jego podał prośbę do cesarza o ułaskawienie, lecz i Hallerowa i Drohojewska i Czarnecka podobnież się udały o łaskę. Przykro nam pozostałym. Coraz puściej robi się w Karmelitach. Ja mam być przeniesionym do Brygitek i tam odsiadywać karę. Skoro wyjdzie Lewakowski, sprowadzę się do Tarnowskiego, do tak zwanej Sapieżyńskiej kaźni, uczynię to

dla poczciwego Stasia, który się boi, by mu kogo niemiłego nie dali na towarzysza.« [1])

Jednym z miłych towarzyszy więziennych, jednym z tych, z którymi Tarnowski teraz zaprzyjaźnił się szczerze, był Bernard Kalicki, młody aspirant do historyi polskiej, który, dopóki nie dał się wciągnąć do powstania, pracował jako sekretarz i pomocnik Karola Szajnochy. Stąd jego kult dla ociemniałego już wtedy autora *Jadwigi i Jagiełły*, a także zapał do wiedzy historycznej, chęć pójścia w ślady mistrza. Tarnowski, skoro się zbliżyli do siebie — co nie odrazu nastąpiło — polubił go bardzo, albowiem pod wieloma względami mieli wiele wspólnego ze sobą, a przedewszystkiem obaj marzyli o pisaniu, czuli powołanie literackie. Że jednego więcej nęciła historya w rodzaju Szajnochy, a drugiego silniej pociągała krytyka w rodzaju Klaczki, to było obojętne, zwłaszcza, że i jeden i drugi przedewszystkiem dążyli do poznania przeszłości polskiej, ojczystej, z tą różnicą jedynie, że jeden chciał się poświęcić historyi polskiej, a drugi czuł szczególny pociąg do studyów nad literaturą polską.

W swem wspomnieniu o Bernardzie Kalickim, [2]) opisując jego lata więzienne, Tarnowski, jako naoczny świadek i towarzysz jego niedoli u Karmelitów, kreśli szereg epizodów, poprzez które świadomy czytelnik łatwo może dostrzedz — na drugim planie wprawdzie — i młodocianą postać autora. Oto naprzykład, co pisze o Kalickim, jako więźniu u Karmelitów: »Co Kalicki zrobił, żeby się dostać do więzienia? To samo, co ogromna większość uwięzionych. Sam do żadnego oddziału nie należał... ale wiedział o prochu i kulach, o karabinach i butach, odbierał je albo wyprawiał. Bezpośrednich powodów uwięzienia i głównej »istoty czynu« w jego procesie nie przypominam sobie dokładnie; ile pamiętam, chodziło zwłaszcza o jakieś znalezione ładunki. Do rozgałęzionej w Królestwie a po części i w Galicyi tak zwanej organizacyi, do wyższych i niższych

---

[1]) *Pamiętniki Floryana Ziemiałkowskiego*, Część czwarta, rok 1863, str. 64, 89, 90, 93, i 98. Swoje wspomnienie pośm. o *Floryanie Ziemiałkowskim*, druk. w *Przeglądzie polskim*, w zeszycie z kwietnia 1900 r. kończy Tarnowski następującemi słowy: »Przeciwnikowi niegdyś w życiu politycznem, ale życzliwemu zawsze, dla znacznie młodszego bardzo przyjaznemu i dobremu, dziwnie miłemu towarzyszowi celi więziennej, która stawała się prawie przyjemną przez jego rozum i obejście, to słowo rzewnego wspomnienia, szczerej za niejedną chwilę wdzięczności, i wyraz głębokiego przekonania, że gdyby ludzie jego przekonań byli tacy, jak on, byłoby nam lepiej«.

[2]) *Przegląd polski*, 1885, wrzesień, 548—555.

jej urzędów nie należał, tembardziej nie był związany żadną przysięgą ani żadnemu tajnemu stowarzyszeniu, polskiemu czy zagranicznemu, podległy. Sprawa jednak, choć małej wagi, ciągnęła się dość długo i w sposób szczególnie przykry, skoro używano na niego takich środków, jak osobne zamknięcie, czego żaden inny z więźniów — i Tarnowski w ich liczbie — nie doświadczył. Audytor, który śledztwo jego prowadził,[1]) nazwiskiem Ottenburg, zostawił po sobie złą pamięć między więźniami, jako nietylko zawzięty bardzo — czego i Tarnowski z pewnością nieraz doświadczył na sobie — ale prócz tego źle wychowany i grubiański. W śledztwie Kalickiego zaś pozwalał sobie rzeczy dla każdego nieładnych, a z honorem oficera niewiedzieć jak pogodzić się dających. Na jakieś jego pytanie indagowany nie dawał odpowiedzi, bo nie mógł jej dać bez zaszkodzenia komu innemu. Audytor uprzejmie i łagodnie wchodził w jego położenie: »Pojmuję i chwalę, że pan nie chcesz powiedzieć. Mogłeś pan dać obietnicę albo nawet słowo honoru, że nie powiesz. *Aber aufschreiben können Sie es.* Jego zamknięcie i stałość, której dał dowody, zwróciły na niego uwagę towarzyszy — Tarnowskiego między innemi — podniosły go w opinii znajomych, uprzedziły dla niego dobrze tych, którzy go nie znali; bliższe stosunki pod tem wrażeniem zawiązywało się łatwo. Ale pomimo korzystnego uprzedzenia, zrazu wydawał się raczej niemiłym. Był do najwyższego stopnia nieśmiały, tak, że trudnem mu było każde słowo, jakie do nieznanego lub mało znanego miał przemówić; z ludźmi mało oswojony, bo zawsze dotąd w małem kółku dobrych tylko znajomych zamknięty, do tego nie bez pewnej hardości, która z latami przechodzi w słuszne i konieczne poszanowanie siebie samego, ale u bardzo młodych najczęściej nie zna miary i zbyt troskliwie, podejrzliwie stoi na straży własnego honoru. Ta nieśmiałość nerwowa, ta niewprawa w stosunki towarzyskie i ta hardość trochę szorstka, sprawiały, że wydawał się sztywny i jakby najeżony, a do tego wymuszony. Trzeba było pewnego czasu i starania, żeby stopić te lody i stopniowo posuwać się w ufności i sympatyi zamkniętego w sobie chłopca. Ale też każdy krok naprzód zrobiony stawał się silnym i pewnym

[1]) Do tego czasu niezawodnie odnosi się wspomnienie Tarnowskiego, zapisane przezeń w artykule z r. 1896 p. t. *Lud wiejski między ładem a rozkładem*, a brzmiące, jak następuje: »Przed laty niżej podpisany siedział w kozie, a ze swego losu nie bardzo rad, napisał w liście jednym, że sam nie wie, za co siedzi, i nie rozumie, dlaczego trzymają go tak długo. Nazajutrz sędzia śledczy zwrócił mu ten sam list, z dopiskiem: »Upomina się oskarżonego o zachowanie należnego uszanowania względem sądu«.

gruntem dla trwałej przyjaźni, i każdy opłacał się nowem a nader miłem odkryciem szlachetnego uczucia w jego sercu, bystrego pojęcia i niezwykłego wykształcenia w jego głowie. Skazany na trzy lata więzienia za »zaburzenie spokojności publicznej« apelował do wyższej instancyi — co również uczynił i Tarnowski — a tymczasem wyczekiwał we Lwowie zmiany lub potwierdzenia wyroku. Czasami — a były to dla niego dnie wielkiej radości — widziało się Szajnochę, przychodzącego odwiedzić tego ucznia i pomocnika. Ślepy, a prócz tego chorobą znękany, pochylony, szedł z trudnością, prowadzony przez żonę, znacznie od siebie młodszą, której piękna a zwłaszcza dziwnie szlachetna postać i wyraz prawdziwie anielski, przejmowały jakiemś uszanowaniem rzewnem. Było coś heroicznego i wielkiego w tej parze: on, choć bez oręża w swoim rodzaju bohater, wydawał się szanownym, jak Belizaryusz w nieszczęściu; ona, poważna, słodka i pełna poświęcenia, jak ochrzczona jaka Antygona. A kiedy obcy — jak Tarnowski — znający ich z widzenia tylko, ze słów ludzkich, i z tego, co czytał, musiał ulegać temu wrażeniu głębokiej czci i żywego współczucia, jakże dopiero patrzeć na nich musiał ten, co przypuszczony do poufałej zażyłości, musiał znać dobrze skarby ukryte w tych duszach i umysłach, i ich dobroczynne działanie na sobie czuł nieustannie«.

Skoro Najwyższy Senat Wojskowy zatwierdził wyrok pierwszej instancyi, i Tarnowski, wślad za Kalickim, Hallerem, Stadnickim, Romanowiczem, Drohojewskim, Czarneckim i Majkowskim, został w jesieni roku 1864 wywieziony do Ołomuńca, dla odsiadywania tam trzechletniej kary... w kazamatach! Ziemiałkowski został we Lwowie, a pozbawiony miłego towarzysza Sapieżyńskiej kaźni, tak po jego wyjeździe pisał w swym dzienniku: »Przez czas wspólnego z Tarnowskim mieszkania nie miałem nawet czasu zajrzeć do moich zapisków; nic się też nie wydarzyło szczególnego. Tarnowskiemu zdjęto kajdany na mocy rozporządzenia z roku... 1849, którego nasze kochane sądy nie wykonywały. Dopiero, gdy Białoskórski, będąc w Wiedniu w interesie swojej adwokatury, wspomniał coś o kajdanach, które więźniom politycznym skazanym na ciężkie więzienie powkładano, pan minister, przypomniawszy sobie, że istnieje rozporządzenie, wedle którego więźnie polityczni nie mają nosić kajdan i mogą mieć swój ubiór, swoją pościel, a nawet rekwizyta do pisania, kazał republikować to rozporządzenie. Dowiedzieliśmy się, że i w Ołomuńcu więźniom naszym zdjęto żelaza. Zawsze im tam wszakże gorzej, niż tu nam. Poczciwy Staś omal się nie rozbeczał przy rozstaniu, a i mnie łzy w oczach stanęły. Cóż bo to za poczciwy mło-

dzieniec! Jaka delikatność, jaka skromność, przy takiem stanowisku i wykształceniu! Dał mi w depozyt swój testament, sporządzony przed zapadnięciem wyroku.«

W Ołomuńcu, w kazamach fortecy, pobyt był przykry. »Niepodobny — czytamy w życiorysie Kalickiego — do ciężkiego losu Silvio Pelico, ani dawniejszych Silvio Pellico, ani dawniejszych więźniów polskich z Kufsteinu czy Spielbergu, ale przykry przez dodatkowe, niepotrzebne, dowolne dokuczania, przez bezczynność, najbardziej przez nieodłączną od wszelkiego więzienia tęsknotę i żal nad sobą, że czas sposobny i młode lata uchodzą tak marnie. Żal oczywiście nierównie cięższy u takich, którzy na świecie byli podporą ubogiej rodziny i o jej los drżeli, a przyszłość swoją musieli sobie robić sami. Kalicki znosił więzienie z wielką stałością, z wielką nawet pogodą umysłu, z dziwną przy jego usposobieniu żywem i nerwowem, równością humoru. Nie podlegał, jak wielu innych — a w ich liczbie Tarnowski zwłaszcza — peryodycznym napadom ciężkiego melancholijnego smutku, a zajmował się, jak mógł, i nie bez pożytku. Nauczył się — z pomocą dwóch towarzyszy i bardzo kochanych przyjaciół, Cezara Hallera i Kaźmierza Bielańskiego — po angielsku, i z zapałem, dochodzącym do fanatyzmu, wziął się do czytania Macaulay'a, a po jakimś czasie tej nauki nawet do tłomaczenia niektórych jego Essayów na polskie, mianowicie rozprawy o *Historyi Rankego*, o *Miltonie*, o *Macchiavellim*. Dla młodzieńca, który się na historyka sposobił i o tym zawodzie marzył, było to doskonałem uzupełnieniem wychowania, wyszedłszy z rąk i szkoły Szajnochy, wpatrywać się i uczyć, jak Macaulay pisze, jak grupuje fakty i osoby, jak maluje kolorami, i jak sądzi«.

Tarnowski, który po angielsku umiał już dawniej, a i Macaulaya — dzięki może wpływowi Klaczki — miał sposobność poznać wcześniej, również był zapalonym wielbicielem tego największego z historyków XIX stulecia, z rozkoszą wczytując się w jego *Szkice* lub w *Historyę Anglii*. Uważał go przytem za jednego z największych prozaików, jakich wydała kultura nowożytna, za mistrza, na którym należy się wzorować, jeżli samemu aspiruje się do tytułu pisarza. Uważał nadto, że wczytywanie się w Macaulaya, nietylko dla historycznego zawodu i kunsztu, ale i dla politycznego wykształcenia, dla ustalenia przekonań, było nad wyraz przydatnem i zbawiennem. Oto jego pogląd w tej kwestyi, pogląd, który, choć wypowiedziany o Kalickim, może więcej, niż do młodego ucznia Szajnochy, dałby się zastosować do przyszłego autora *Studyów politycznych*: »Aż dotąd chłopiec bardzo młody, nie mógł jeszcze zrobić w swojej głowie

rozeznania i rozróżnienia pomiędzy wolnością naprzykład a rewolucyą, pomiędzy podnoszeniem się społeczeństwa a demokracyą mniemaną, zaczynającą od doktryny, kończącą na anarchii albo na despotyzmie. Tego rozróżnienia zaczął się uczyć — Tarnowski znacznie wcześniej od Kalickiego — od Macaulaya i na bardzo po temu przydatnej *Historyi angielskiej*. Z niej wyciągnięte nauki i wnioski stosował do polskiej przeszłości i polskiej teraźniejszości; i niezawodnie tam w Ołomuńcu, pod wpływem wielkiego historyka angielskiego, wyrobiło się i stężało jądro jego zasad, wzmocniła się miłość, a ściślej mówiąc, znajomość wolności i społeczeństwa, nieufność do rewolucyi, wstręt do krwawej czy niekrwawej demagogii i anarchii, i obrzydzenie do ludzi, co zaczynają jak mikroskopijny jaki Jan Jakób Rousseau lub Mirabeau, a kończą jak Rabagas, jeżeli, silniejszym od siebie prądem porwani, nie kończą, jak się też czasem zdarza, gorzej, bo w zbrodni przeciw Ojczyźnie, lub przeciw ludzkości. Z tego wszystkiego złożył się w jego sercu zaród przekonania, że takim ludziom otwarcie mówić należy, czem są, i odwagi, z jaką im to później mówił«.

Wcale nie jest niemożliwem, że Kalicki, jeśli nabrał teraz w więzieniu kultu dla Macaulaya, zawdzięczał to Tarnowskiemu, który właśnie w tym samym czasie, dla rozproszenia ciężkiego melancholicznego smutku, dla zaabsorbowania umysłu, dla zabicia nudy więziennej, a głównie dla zaspokojenia swej wrodzonej pracowitości, również wziął się do tłomaczenia szkiców i rozpraw Macaulaya. Jakoż przetłomaczył ich aż ośm: *Fryderyka Wielkiego*, *Bertranda Barére*, *Williama Pitta*, *hr. Chattam*, *Lorda Chatham*, *Williama Pitta*, *Sir James Mackintosha*, *Samuela Johnsona* oraz szkic o *Southeya Rozmowach o społeczeństwie*.[1]) Przekładając te mistrzowskie szkice, »jednego z największych historyków i pisarzy najświetniejszych, jakich świat wydał,« rozumiał Tarnowski, że o ile czytanie Macaulaya »uczy rozumieć sprawy i zjawiska polityczne,« o tyle przekładanie go na język ojczysty »może uczyć pisać tych, co się do pisania sposobią«. To był powód, dla którego też wziął się do tłomaczenia tych szkiców. Sposobił się do pisania, więc na tym wspaniałym wzorze pragnął zaprawiać się do pisarskiego kunsztu. Jak dziad jego, Jan Feliks Tarnowski »do ważniejszych przedmiotów zwracając

[1]) W przedmowie do przekładu tych *Szkiców i Rozpraw* (wydanych dopiero w r. 1892 w Krakowie) tak o nich pisze St. Tarnowski: »Przekład to dawny, robiony dla wprawy i dla zabicia czasu, w więzieniu; robiony piórem, które do owej chwili nic prócz szkolnych zadań nie było pisało«.

pióro, zaczął je wprawiać na wielkich i nieśmiertelnych uczonej starożytności wzorach, prowadził je po kartach Cicerona *De officiis* i z niego kilka rozdziałów, szczególniej *De Amicitia et Senectute* pod tytułem *Cato major* na ojczysty język przełożył, a tłomacząc uczył się myśli, i te myśli z ścisłością, prawdą i jasnością wyrażać«, podobnie i on, jako nieodrodny wnuk autora *Badań historycznych*, kształcił teraz styl swój na szkicach Macaulaya, skracając sobie czas ich tłomaczeniem. Jednocześnie, o ile to w więzieniu było możliwem, czytał, co mu wpadło pod rękę. Między innemi przeczytał tu po raz pierwszy Modrzewskiego, a zapoznawszy się z jego dziełami, nabrał ochoty do przeczytania i innych pisarzy politycznych polskich.[1]) W ten sposób, jak mógł, tak korzystał z »przymusowej bezczynności w więzieniu«, bo pracowity i czynny z natury, całkiem był niezdolny do zupełnego próżnowania. A zresztą starał się, o ile to było możliwem, nie tracić czasu.

Na wiosnę r. 1865 odwiedził go w jego celi więziennej Stanisław Koźmian, sam świeżo wypuszczony z więzienia. Tylko że jego więzienie, w Krakowie, w towarzystwie kolegi z redakcyi *Czasu*, Antoniego Kłobukowskiego, skończyło się po trzech miesiącach, będąc igraszką w porównaniu z »ciężkim więzieniem« w kazamatach, które odsiadywał Tarnowski.

Smutne to było spotkanie, jak każde spotkanie się po pogromie, po klęsce. Cóż dopiero, gdy jak w danym wypadku, dwaj przyjaciele spotykali się po »prawdziwem zawaleniu się polskiego świata«. A co ich bolało szczególniej, to gorzkie przeświadczenie, że w tem narodowem nieszczęściu i oni nie byli bez winy. A zawinili głównie tem, że choć trzeźwiejsi od wielu, nawet od wielu starszych, mimo to dali się opętać złudzeniu i wierzyli w obcą pomoc, budowali na akcyi trzech mocarstw, myśląc, że z niej może wyniknąć coś dobrego. Pod jednym względem tylko mieli czyste sumienie, oni i ich przyjaciele tyczyńscy: że nie przygotowywali powstania, ani go chcieli; odwrócić go nie mogli, bo byli za młodzi, nic nie znaczący; gdy wybuchło, wiedzieli dobrze, że zwyciężyć nie może, i byli gotowi od niego trzymać się zdala i wstrzymywać; przystąpili do rzeczy nie z zarozumiałości, ani miłości własnej, ale w nadziei, że ogólna sytuacya europejska da się wyzyskać na korzyść sprawy polskiej. »Zrobili zwrot wtedy — słowa są Tarnowskiego — kiedy on zrobił się w całem położeniu ówczesnem, kiedy po konwencyi pruskiej ukazała się możliwość rozwiązania sprawy przez obcą po-

[1]) Ob. Przedmowa do *Pisarzy politycznych*.

moc. Złudzenia spływały z Napoleona III na Hotel Lambert, z tego na tych jego młodych stronników. Można by zatem uniewinnić ich, bo nie można słusznie brać za złe, że gry dyplomatycznej nie odgadli bystrzej, niz starsi, bystrzej, niż rząd francuski. Mieli zaś tę zaletę, że ile mogli, strzegli sprawy od demagogicznego anarchicznego kierunku, Galicyi od organizacyi, że za rozszerzeniem powstania za granice Królestwa nie byli nigdy. A przecież i oni noszą na sobie winę i odpowiedzialność. Nie tę, że nie przeszkadzali, nie odwracali: oni nie mogli, nie mieli dość siły i wpływu, by to zrobić, czego starsi w kraju nawet nie próbowali. Ale tę winę dźwigają, że choć nie byli przyczyną, rozszerzyli jej rozmiary. Pomogli do tego, że oświeceńsze i zamożniejsze żywioły w społeczeństwie, uwiedzione nadzieją obcej pomocy, dodawały powstaniu swojej, przez to dostarczały mu podstawy operacyjnej w Galicyi, co jedno umożliwiało jego trwanie. Temsamem przyczynili się do uniemożliwienia wszelkiego zwrotu w Królestwie Polskiem, a zachęcając do dymisyi z Rady Stanu i Rad Powiatowych, niszczyli system Wielopolskiego«. Zdanie to przyjaciela swojego w zupełności podzielał i Stanisław Koźmian. »Udział nasz w winie ogólnej — czytamy w jego *Rzecsy o roku 1863* — znajduje jeżeli nie usprawiedliwienie, to wytłómaczenie w zbiegu okoliczności, w naszych stosunkach ówczesnych i w winach i błędach innych; nietylko w pomyłkach naszych rodaków, tych, z którymi byliśmy złączeni tożsamością przekonań i zapatrywań, węzłami wspólnych usiłowań, a którzy lepiej od nas sądzić mogli o położeniu; ale także w pomyłkach wielkich tego świata, mężów stanu i polityków, zwłaszcza Napoleona III. Postępowanie nasze nie było bezmyślne, ani nasza pomyłka — że się tak wyrażę — bezpodstawną, bo następstwem tylko pomyłki innych, o których sądzić mogliśmy, że pomylić się nie powinni. Podczas gdy w najmniejszej mierze nie cięży na nas wina błędu głównego, powstania, nasza ogranicza się do tego, że chcieliśmy ten błąd główny, którego doniosłość doskonale ocenialiśmy, naprawić, wyzyskując jedynie widoki powodzenia, zgodne z rozsądkiem, acz ostatecznie zawiedzione, nie pozbawione istotnych warunków bytu. Widoków tych nie wytwarzaliśmy sztucznie; gdy się same pojawiły, zamiast je odepchnąć, uchwyciliśmy się ich jak deski zbawienia. Skutek okazał, że na tem polegała omyłka. Skutek pozostał wyrokiem i powinien się był stać nauką. Pomyłką było liczyć na obcą pomoc, ale nie szaleństwem; pomoc tu zawiodła, ale do bezsilnych środków zaliczoną być nie mogła. Nie danem nam było złego naprawić, lub ze złego korzyści wyciągnąć, jak pragnęliśmy i mniemaliśmy; przeciwnie: naszym

współudziałem zwiększyliśmy rozmiary złego, lecz nie byliśmy jego sprawcami. Bezrozumu nie popełniliśmy; przypuszczając, że z niego da się coś rozumnego wydobyć, dopuściliśmy się błędu i znacznie przyczyniliśmy się do szkody ogólnej... W każdym razie postępowaliśmy pod wpływem przekonania, że naprawić zdołamy wielkie złe i wielki błąd powstania; powodowaliśmy się miłością sprawy i narodu; strzegliśmy się porywów i lekkomyślności, przecież porwani zostaliśmy i staliśmy się lekkomyślnymi w skutku błędnych rachub innych, potężniejszych od nas. Osobistych widoków w rachowaniu się naszem nie było«.

Tak się przedstawiał ostateczny bilans współudziału w powstaniu 1863 roku Stanisława Tarnowskiego i jego przyjaciół. To też niewątpliwie było głównym przedmiotem jego rozmyślań w więzieniu...

Z nadejściem jesieni roku 1865, gdy zbliżał się upadek gabinetu Schmerlinga, Tarnowski wraz kilkoma towarzyszami więziennej niedoli, nie doczekawszy się ogólnej amnestyi, za wstawiennictwem swego starszego brata, »prosił o łaskę« i odzyskał wolność.[1]) Wypuszczony z więzienia, wrócił do Dzikowa, skąd niebawem udał się do Lwowa, dla przysłuchania się obradom sejmowym.

Na wolności »pierwszym zajęciem« — w Dzikowie prawdopodobnie — była rozprawa o Modrzewskim, którego traktat *O poprawie Rzeczypospolitej*, tyle mu w więzieniu nasunął reflekcyi na temat teraźniejszości, niemniej gwałtownie, niż przeszłość, domagającej się naprawy.

We Lwowie spotkał się znowu ze swymi przyjaciółmi, uczucie zaś, w jakiem teraz spotykali się po pogromie, on sam z czasem, pisząc o Ludwiku Wodzickim, określał następującemi słowy:

»Kiedy po rozsypce r. 1863 spotkaliśmy się znowu, czuliśmy wszyscy, że za nieszczęście ojczyzny odpowiedzialni jesteśmy i my także: i czuliśmy, że przed Bogiem, przed ojczyzną, przed własnem sumieniem, i przed tymi, co wtedy zginęli, tylko w tym razie możemy być rozgrzeszeni, jeżeli każdy uczyni zadość za swoją winę,

---

[1]) *Przegląd polski* 1885, wrzesień, str. 55. *Bernard Kalicki.* W życiorysie Jana Tarnowskiego z Dzikowa drukowanym w *Czasie* z d. 16 maja 1894 (a przedrukowanym w księdze Zdzisława Tarnowskiego) czytamy: »We dwa lata później (po śmierci Juliusza Tarnowskiego) przypadło mu (Janowi Tarnowskiemu) w udziale wydobyć z więzienia politycznego w Ołomuńcu drugiego brata, Stanisława hr. Tarnowskiego«.

dobyciem z siebie wszystkich i ostatnich sił, na to, żeby choć coś się poprawiło, choć coś było lepiej. Skutek nie w ludzkiej mocy; ale trud do ostatniego tchu życia był obowiązkiem tych, co w nieszczęściu mieli swoją część winy. Co któremu począć wypadnie, nie wiedzieliśmy w pierwszej chwili; ale każdemu kazało sumienie pchać swoją taczkę, dopóki nie padnie«.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Warszawa d. 16 stycznia 1905.

ANNEKSY.

A.

RYS ŻYCIA JANA BOGDANA TARNOWSKIEGO

(Cena groszy 15).

Sprzedaje się na korzyść spalonych kościołów w Krakowie.

Kraków, 1850,

w zakładzie wydawnictwa dzieł katolickich przy ulicy Floryańskiej, L. 508.

PAMIĘCI
JANA BOGDANA
TARNOWSKIEGO
poświęcone.

Przedmowa wydawcy.

W epoce dzisiejszej ciche i domowe cnoty tak są rzadkie, i tak przez świat zapoznane i mało też należnym hołdem uczczone, iż pożądaną znajduję sposobność zwrócenia w tę stronę uwagi rodaków, podając rys życia jednego z najcnotliwszych obywateli, skreślony tkliwem piórem zacnej i szanownej Polki, która najbliższe świadectwo cnotom ś. p. Jana Tarnowskiego przynieść może, bo życia jego była nieodstępną towarzyszką i osłodą. Nie odważyłem się nadwerężyć tego opisu żadném z mej strony dodatkiem ani zmianą, albowiem zdawało mi się słusznem nie krępować świętości uczucia jakąkolwiek formą. Życie Jana Tarnowskiego przepłynęło wśród nas jako zdrój czystej wody; niechże i pamięć jego w tkliwej a miłej prostocie wyrażeń przechowa się między nami.

Coś jest jednak dziwnie uroczego a niemal nadzwyczajnego w życiu owego męża, którego podajemy żywot; a przecież cnoty, któremi on go zapełnił, należeć się zdają do rzędu zwyczajnych, domowych i sielskich. O, bo łatwiej raz w życiu zdobyć się na główne poświęcenie, jak całe życie zmierając dla siebie, poświęcać się bliźnim. Do czynów heroicznych pobudza często rozpacz, zemsta albo sztuczny zapał, kiedy cnoty, jakie posiadał Jan Bogdan hr. Tarnowski, płynąć tylko mogą z wiary, miłości i nadziei.

Nigdy może wzór takiego skromnego a płodnego w dobre uczynki żywota nie był potrzebniejszym jak dzisiaj, kiedy się namiętnie do wielkich czynów wyrywamy, a najbliższych nam obowiązków dopełniać nie umiemy. Lepiej i stokroć bezpieczniej w mniejszych sprawach być wielkim, jak w wielkich małym i niedostatecznym.

Jan Tarnowski żył w epoce, w której szerokiego zakresu działania zataczać nie było wolno: ograniczył je więc mniejszym obrębem; ale za to podniósł w nim wszystkie cnoty chrześciańskie, rodzinne i obywatelskie do niezwykłej potęgi. Był to mąż wedle Boga i czysty w duchu, sprawiedliwy w czynie Wszystko, co budował w sobie i w drugich, opierał na niezłomnej podwalinie przykazań Bożych, i dlatego budowa ta moralna była w nim trwałą, a cieszymy się nadzieją, że się przechowa i w potomkach jego. Niechże i dla nas wzór tak ważny nie będzie straconym, ale uczmy się z niego, że cnoty domowe i obywatelskie są to właśnie owe cegiełki, z których się wieże niebotyczne i gmachy świętego Syonu budują.

Kraków, d. 22 września 1850.

Walery Wielogłowski.

RYS ŻYCIA JANA BOGDANA TARNOWSKIEGO.

Nie chęć rozgłosu sławy rycerskiej, ani wielkich politycznych czynów lub wysokiej nauki, ale chęć przekonania wzrastającą młodzież, iż ciche cnoty mogą również stanowić wartość, godność, a nawet wielkość człowieka, skłoniły nas do skreślenia kilku uwag o życiu ś. p. Jana Tarnowskiego, i te poświęcamy *Przyjaciołom.*

Był człowiek żyjący wedle Boga, któremu na imię było JAN. Świat go mało znał; ale czyny, choć skromne, o nim w narodzie głosiły!

Pochodził ze znakomitego rodu, a Bóg obdarzył go duszą odpowiednią szlachetności pochodzenia. Ojcem jego był Jan Feliks Tarnowski, znany w świecie pobożnym jako jeden z najgorliwszych tej epoki chrześcian; w świecie literackim, jako jeden z najuczeńszych pod ów czas ludzi; w świecie politycznym, jako poświęcony sprawie ojczyzny senator, zasiadający w gronie mężów, którzy wspólnie z nim rzecz publiczną pomiędzy najpierwsze obowiązki kładli.

Matką mu była anielskich cnót kobieta: córka Waleryana Stroynowskiego, majętnego obywatela na Wołyniu, który wszelkiemi siłami podnosił wszystko, co wkoło niego upadało, dzielną podając rękę każdemu, co mógł się przyczynić do dobra ogółu. Długo oczekiwanemu dziecku po stracie dwojga pierwszych urodzonemu 20 sierpnia 1805 w Horochowie na Wołyniu rodzice dali na chrzcie imię rodzinne JAN; imię zaś Bogdan dla odwdzięczenia Bogu za dar przewidzianej w nim pociechy.

Matka karmiła go własnem mlekiem i kąpała we łzach macierzyńskiej troskliwości. Z mlekiem przyjmował jej cnoty: łzy zahartowały go w cnotach czystości i poświęcenia. Może to podwójne namaszczenie uczyniło go na całe życie nieskazitelnym wśród tylu pokus świata.

Stary sługa był jego piastunem, polecając ciągle Józefowi św. dziecię, które miłował i o przyszłych jego cnotach proroczo tuszył i zapewniał; taką zaś miał w opiece św. Józefa ufność, że gdy raz dziecię chorobą złożone konało prawie w objęciu stroskanej matki, stary sługa zapewniał, że żyć będzie, bo mu to św. Józef objawił. Jakoż w istocie wyzdrowiał i żył Jan życiem chrześcianina, życiem sprawiedliwego do lat czterdziestu pięciu [1]).

Późniejszemi jego krokami kierował szanowny i uczony kapłan, ksiądz Antonowicz, były Bazylian, powrócony do Łacińskiego obrządku. Ten powierzone mu dziecko kochał jak matka, a jak ojciec do wszystkiego prowadził dobra. Rzeczą jest uwagi godną, iż poświęcenie się dla młodego Jana dochodziło do egzaltacyi w tych wszystkich, którzy się z bliska przypatrywać mogli niepospolitej prawości i sile niewyrobionego jeszcze wtedy charakteru.

W 13-tym roku życia oddanym był do szkół Krzemienieckich, zawsze pod przewodnictwem ks. Antonowicza, który czuwał nad nim z troskliwą stałością anioła stróża. Tam za pilność w naukach, za wzorowe prowadzenie się, wynagrodzonym był medalami i pochwałami; ziarno bowiem zdrowe na bujnej roli i pod błogosławieństwem Bożem stokrotny plon wydaje. Nie dość jednak, że się kształcił w sławnem gimnazyum na człowieka gotowego do wstąpienia w jakikolwiek zawód, któryby okoliczności przed nim otworzyły, ale nadto dusza jego nabierała niepospolitego hartu pod wpływem z jednej strony bogobojnego i uczonego ojca, a z drugiej równie niepospolitego męża, Tadeusza Czackiego, pod ów czas kuratora akademii Krzemienieckiej, a wujecznego dziada młodego Tarnowskiego.

W 18-tym roku odbywał podróże zagranicą i bawił lat dwa w Paryżu dla dokończenia edukacyi, mając za nauczycieli najbieglejszych profesorów a za przewodnika czułość wzorowej matki, której poświęcenie odpłacał wdzięcznością i nieodstępnem z nią towarzystwem, milszem dla niego od ponęt rozkosznej stolicy.

Łagodną ręką matki prowadzony, (która mu zawsze przedstawiała niebo jako cel życia) wrócił w 20-tym roku do kraju, równie nieskazitelny na duszy jak na ciele; wrócił i uległ zdaniu rodziców w wyborze małżonki, albowiem porzucił pierwszą swoją miłość, przeciw której nie było nic do zarzucenia, tylko, że plama opinii politycznej skaziła wyniosłe w narodzie nazwisko.

Mieszkając przy matce na Wołyniu, trudnił się przez lat kilka całym ogromem interesów, w ów czas, gdy ojciec z urzędu przesiadywał w Warszawie. Taką się zaś w każdej okoliczności prawością i zdrowem zdaniem odznaczył, że w obywatelstwie w przysłowie niemal przeszło (skoro mówiono o dobrej wierze), że to lub owo jest pewnem, jak słowo Jana Bogdana Tarnowskiego.

W 24-tym roku ożenił się z córką kasztelana Małachowskiego, byłego pułkownika kirasyerów, właściciela miasta Końskie w Królestwie Polskiem. W dzień ślubu śniło mu się, że anioł w bieli stanął przy nim i polecał mu szczęście obranej towarzyszki. Jakoż poszedł on za natchnieniem niebieskiego posłańca, albowiem nie było i nie będzie szczęśliwszej na tym świecie nad żonę Jana Bogdana Tarnowskiego.

Wrócił z nią na Wołyń, aby wspólnie z żoną poświęcał się najlepszej matce, i dawał jej dowody synowskiej wdzięczności.

Najszlachetniejsza bezinteresowność znamionowała jego majątkowe sprawy. Dla ustalenia zgody w rodzeństwie, w zamian za darowane mu przez

---

[1]) Obraz wspomnianego objawienia znajduje się dotąd w zamku Dzikowskim.

dziada znaczne dobra, przyjął dług niepewny, którego większej połowy odstąpił niemogącej się uiścić matce kilkorgu dzieci.

Do końca życia ustępował słabszym i przyjmującym na siebie większe ciężary; tak interesami kierował, że najzawikłańszą pracę podejmując, sobie tylko zasługę z jej pomyślnego ukończenia a drugim korzyść zostawiał. Lecz dalej się rozciągał zakres poświęceń Jana; przyjaźń wyborowych sąsiadów, polepszenie bytu włościan, stały się celem jego usilnych starań. To też, gdy w r. 1831 pędem okoliczności przerzucony do rodzinnego zamku swego ojca w Galicyi, a później w lat kilka pobytu spokojnego w Dzikowie, oskarżonym został o udział w nowym na Wołyniu rozruchu, i gdy odmówiono mu powrotu do kraju (do majątku, do matki), to wszyscy mieszkańcy świadczyli o niewinności przyjaciela i pana. Niektórzy świadectwa swoje potwierdzali znoszeniem rozmaitych prześladowań, więzienia a nawet i kar cielesnych, nie chcąc świadczyć przeciw dobroczyńcy całej okolicy!

Zmuszony opuścić na zawsze tyle mu przychylne i poświęcone serca, zgromadził oboje rodziców i całą rodzinę pod swoje już opiekuńcze skrzydła w Dzikowie, miasteczku w rękach rodzinnych od lat 700 będącem, i tamże rozpoczął na nowo cichy zawód życia ziemiańskiego. Tam, jak na Wołyniu, stał się widzialną opatrznością nietylko swoich, ale i dalszych. Opiekę, uczynność obywatelską, miłosierdzie chrześciańskie, rozciągał, gdzie tylko one zasięgnąć mogły. Dla sierot, czy z przeczucia, czy też, że sam był od rodziców szczególniej kochanym, miał serdeczną czułość.

Raz w zimie, pod Tarnowem, w obcej karczmie zastał biednego chłopczynę, zastawionego u Żyda przez starszego brata: obudwom cholera odebrała właściwą opiekę. Tarnowski sierotę wykupił, swoim płaszczem okrył i żonie przywiózł, jako od Boga dane im jedno dziecko więcej.

Polując w lesie, na stanowisku, gdzie ogień wielki dla myśliwych rozłożono, spostrzegł zbliżającą się nagą, na pół zmarzniętą dziewczynkę, której dla szpetności czyli też nędzy nikt przyjąć do domu nie chciał. Skórą niedźwiedzią ją od zimna zasłoniwszy, odwiózł na folwark, a tam zatrudnienie i opiekę jej obmyślił, dopóki z wiekiem służby nie znalazła.

W czasie okropnej powodzi z narażeniem własnego życia wraz z bratem wyratował siedmnaścioro dzieci, wydobywając je z zatopionych chałup, a dopóty je u siebie żywił, odziewał i tulił, dopóki każda matka swego dziecięcia nie odebrała.

Skutkiem trzechletnich wylewów panował głód w r. 1841, w ciągu którego żywił w swoim zamku i folwarkach po kilkaset osób dziennie; a że z tej łatwości znalezienia gotowego kawałka chleba wynikały nadużycia, wynajdował zatrudnienia stosowne do sił każdego przychodzącego po wsparcie.

Jednego wieczora zamek nagle został oświecony pożarem odległej obcej wsi; nazajutrz w czasie mszy kaplica napełniła się pogorzelcami rachującymi na pomoc tego, który żadnego wiadomego mu nieszczęścia nie zostawił bez ratunku i bez pociechy.

Jego zaufanie w Opatrzność, której był wybranem narzędziem, było tak nieograniczone, że gdy najgorzej wkoło niego się działo, on zaspakajał wszystkich ulubionem wyrażeniem: Jakoś to będzie, Bóg z nami! Tą siłą niewidzialną wspierany, nieraz miał po gorącej modlitwie objawienia, które go w ciężkich chorobach najdroższych mu istot bezpiecznym czyniły i otuchą przeciw wszelkiej oczywistości napełniały. Zawsze jednak żonie zalecał, aby w skrytości wdzięcznego serca zachowywała nadprzyrodzone łaski, któremi bywał obdarzany. Mimo takich dowodów, gdy żona, widząc czasem niespełnione nadzieje,

pytała się zbyt śmiało o przyczynę niedocieczonych wyroków najświętszej woli, on łagodnie usta jej zamykał przypomnieniem, że kiedy tak Bóg chciał, dobrze być musi, a kiedyś lepiej będzie.

Tyle się prostoty objawiało w każdem jego postępowaniu, iż dla wszystkich zdawał się łatwym i miłym wzorem do naśladowania. Sam pierwszy do modlitwy, nikogo do niej natrętnie nie napędzał, nikomu uczuć nie dał, że go brak wiary lub obojętność oburza. Ścisłem więc pełnieniem cnót domowych i obywatelskich tak (mimo zamiłowania równości) wzniósł się nad innych w całej okolicy, że wielu od złego wstrzymała myśl: »Co na to powie Tarnowski?« Posiadał on obok tych cnót szczerą skromność i serdeczność charakteru, a żywił w duszy silną wiarę w braterstwo jednej wielkiej boskiej rodziny, które to przymioty sprawiały, że się każdy jego moralnemu poddawał zwierzchnictwu, które nikomu uciążliwem nie było.

Nieodstępny przez miesięcy jedenaście od ojca, który paraliżem tknięty mowę i przytomność utracił, przebył nieznacznie i bez wewnętrznej chluby nieporównaną szkołę cierpliwości, trawiąc godziny na odgadywaniu w ojcu przytępionych chorobą myśli. Tak więc w zaciszu domowego życia przedstawiał codziennie żonie, małoletnim dzieciom i przychylnym sługom najlepszą naukę doskonałości i usposabiał ich do wytrwałości w dobrem, bez innej do tego zachęty prócz miłości Boga i zadowolnienia własnego sumienia.

Podobnież odznaczył się niezmordowaną czułością w pielęgnowaniu przez lat kilka matki, na kalectwo wyrokami Opatrzności skazanej.

Dla słabowitej żony był on zakładem życia, był wszystkiem, co życiu nadaje powab i wartość. Ona dla niego była przedmiotem wyłącznej miłości, a nawzajem uwielbiała w nim typ doskonałości i wzór cnot domowych. Obok wrodzonej wesołości, która się w obcowaniu ze swoimi objawiała, nawet w niewinnych a niemal dziecięcych żartach, miał taką jednak powagę, iż uczucie, jakie powszechnie w innych wzbudzał, było uszanowanie i ufność, wiodąca każdego i w jakiejbądź wątpliwości do zasięgnienia rady Jana Bogdana Tarnowskiego. Publicznem zaufaniem zaszczycony, był sędzią we wszystkich sprawach polubownych, opiekunem często nieznanych sierot i dotkniętych jakąkolwiek klęską. Cokolwiek mógł oszczędzić od potrzeb gospodarskich, obracał na dobre uczynki, które czasem tylko wdzięczność na jaw kładła. Ludzie poświęcający się ojczyźnie najbliższy przystęp mieli do jego serca, a zabłąkani nawet w polu marzeń politycznych znajdowali w nim pomoc i radę: bo każdy wiedział, że w Janie Tarnowskim jest ręka, która go wesprze, serce, które go zrozumie, głowa, która mu proste wskaże drogi. Między wieloma następny tylko dowód przytoczymy, iż znając ubogiego młodzieńca, niemogącego ukończyć swych nauk, ułatwił mu sposób wydoskonalenia się i przyczynił się do uczynienia go użytecznym członkiem towarzystwa.

Nietylko zaś był gorliwym w wyszukiwaniu sposobności wspierania nędzy poza obrębem domu, ale także pamiętał o swoich oficyalistach, i jeżeli który z nich miał kilku synów, to jeden był zawsze utrzymywany w szkołach kosztem dobroczynnego pana. Jeżeli dowiedział się o jakim korzystnym handlu, przywołał oficyalistę zasługującego na względy, i przedstawiwszy mu interes, zachęcał do zrobienia korzystnego przedsięwzięcia; gdy zaś nie miał funduszu, radził wejść w spółkę z drugim i trzecim. Po obliczeniu ich zapasów, jeżeli jeszcze czego brakowało, to zwykł im z własnych funduszów dokładać. Na pytanie zaś: Któż pojedzie, bo my mamy obowiązki? odpowiadał: Jeden z was, a my sobie tu poradzimy. Jeżeli zboże swoje sprzedawał, posyłał do oficyalistów, skłaniając ich, by oni kupili i odstępując na korcu złoty od ceny ugodzonej przez obcego kupca.

Spichlerza swego pozwalał na zsypkę, w którym trzymano zboże, dopóki nie zdrożało.

Wystawił w bliskości zamku (dla lepszego dozoru) szpital dla chorych, na który sam, jako biegły w architekturze dał plan. Dwie sale na 12 łóżek bywały często zapełnione większą liczbą chorych, obsłużonych i żywionych kosztem właściciela zakładu. Dla wszystkich włościan dóbr Dzikowa rady lekarskie i apteka były opłacane jego kosztem. Niemniej troskliwy był o mieszczan: ufundował bank, odłożywszy na to własny kapitał, w którym potrzebujący do dziś dnia przychodzą czerpać pieniężny zasiłek za umiarkowanym procentem, stanowiącym fundusz żelazny i coraz się powiększającym.

W roku 1846 dom jego stał się przez tygodni kilka schronieniem dla strwożonych po chwilach smutnych w owej epoce wypadków; i słusznie szukano tam przytułku, bo mężobójcze zamiary wstrzymywała sama gotowość Tarnowskiego do mężnego odporu. Wtenczas to, jakby za patryarchalnych czasów zasiadali wszyscy nieszczęśliwi do jednego stołu, przebywali pod dobroczynnym dachem nawet ci nieznajomi, dla których jedynem prawem do gościnności był ich stan niedoli. Kiedy wszyscy o własność swoją niespokojni, szukali, gdzieby ją od grabieży zabezpieczyć, zamek Dzikowski stawał każdemu na myśli, jakby nienaruszona świątynia. I w istocie Tarnowski, zasypany narzuconemi mu pieniędzmi (na które pokwitowania nie brano), troskliwy tylko o świętość depozytu, wywiązał się z tego obywatelskiego zaufania z tą rzetelnością, która nikogo nie zawiodła.

Po wielu atoli latach sielskiego życia i kiedy skromność jego stawiała go opodal od życia publicznego, wypadki powołały go na widnią. Jan Tarnowski obrany reprezentantem jednej części narodu w obwodzie Rzeszowskim, pojechał na sejm do Wiednia: nie wstrzymały go łzy starej, schorzałej matki, ani żadne rodzinne związki nie odwiodły go od poświęcenia wszystkiego droższemu nad wszystko krajowi. Lubo niemieckiego dokładnie nie posiadał języka, przecież postępowaniem prawem, zdaniem zawsze trafnem, niezmiennem, umiał sobie zjednać szacunek i zaufanie wszystkich stronnictw, do tego stopnia, że gdy pytano chłopów ruskich: Dlaczego głosowali za niepodległością Kościoła? odpowiedzieli: Że poszli za głosem Tarnowskiego.

Ten głos, który w politycznym zawodzie podnosił się zawsze za dobrą, świętą sprawą, uciszyć się musiał, i wrócić do piersi, która go karmiła. Ale w domowem zaciszu ten głos nabywał coraz większego wdzięku, coraz silniejszego uroku; cała rodzina w nim i przez niego żyła. Jeżeli zaś kiedy uczucie zazdrości powstało, odzywając się, że on nad wszystkich kochany, uciszały się użalania zapytaniem: Komużby należeć przed nim się mogło pierwszeństwo miłości?

Jak podróżny, co przyspieszonym krokiem dochodzi do kresu, tak on dążył drogą doskonałości do otwierającego mu się nieba. Jednak upatrując w nim wzór do naśladowania dla wielu, cieszono się nadzieją, iż długo pożyje, albowiem Bóg w nim na ziemi chwałę swoją znajdował, a bliźni zbudowanie.

Ci, co go od kolebki znali, przechodząc wszystkie jego życia koleje, twierdzili, że w dziecięctwie nie był dzieckiem, w młodości był dojrzałym, w dojrzałości doskonałym. Ktokolwiek był mu bliskim, czerpał w słodkiem jego wejrzeniu spokojność, w jego sercu bezpieczeństwo, w jego pobożności i nadzieję. Przy wrodzonej pięknej powierzchowności zdobił go jeszcze blask nieskazitelnego sumienia. Wszystkie cnoty i czystość ducha odbijały się na jego szlachetnem czole: słońce prawdy zawsze przyświecało budującym jego czynom, a noc nigdy nie potrzebowała ukrywać żadnej nieprawości; nigdy uśmiech szyderczy (ta potęga zepsutego świata) nie wstrzymał go od okazania się wszędzie wy-

znawcą Boga Zbawiciela!... To też powołał go wśród niedokonanych jeszcze prac po wcześnie zasłużoną już nagrodę. Dostąpił żywota, do którego był wezwanym, jako wybrany, a uwolnił go Bóg od pasowania się między życiem a śmiercią!

Pokój mu i pokój na ziemi niepocieszonej jego wdowie, błogosławieństwo zaś i bezpieczeństwo dla duszy i ciała jego sierotom!

Gdy się wieść rozeszła o jego nagłym zgonie [1]), zanim boleść przeszyła serca, każdy z podziwieniem pytał: Czyby to być mogło, aby taki człowiek umarł? Zdawało się wszystkim, że tu już nieśmiertelność powinna być udziałem sprawiedliwego. Niebaczni! zatopieni w żalu i własnej stracie, nie słyszeli głosu wołającego z nieba: »Szczęśliwi umarli, którzy umierają w Panu!«

Gdy ciało przywieziono z Królestwa Polskiego do rodzinnego grobu w Dzikowie, tłumy obcych wybiegały naprzeciw żałobnego orszaku, wołając: Czemu umarł człowiek tak potrzebny? I wszyscy biegli, nie zważając na okropność drogi i pory roku, żałując człowieka, którego nie znali, ale o którego cnotach tyle słyszeli, i litując się nad tymi, którzy go stracili...

Pokój jego wdowie! a spadek ojcowskich cnót jego sierotom!

W Sandomierzu, gdzie on klasztory wspierał i gdzie silniejszy dochodził rozgłos powszechnych błogosławieństw, z któremi zmarłego wspominano w Galicyi, biskup na czele duchowieństwa, obywatele i mieszkańcy tameczni, zaszczytny hołd oddali zwłokom cnotliwego, odprowadzając je przez Wisłę (mimo niebezpieczeństwa przeprawy) naprzeciw czekających na powracającego męża, ojca, przyjaciela, dobroczyńcę.

Pokój jego wdowie! a miłosierdzie Boskie niech dzieciom i osieroconym mieszkańcom zastąpi opiekuńczego anioła!

B.

JAN BOGDAN TARNOWSKI [2]).

Smutna wiadomość, którą przed paru miesiącami wyczytaliśmy w jednym z dzienników krajowych, o skonie Jana Bogdana Tarnowskiego przeraziła wszystkich znajomych nieboszczyka, jak uderzenie piorunu, którego nikt przewidzieć nie może. Nie tu jest miejsce mówić o głębokiej żałobie i niepocieszonej boleści pozostałych w sercu owdowiałej małżonki, dzieci, braci, całego rodzeństwa, licznych przyjaciół i znajomych: bo nieszczęścia prywatne powinny być szanowane milczeniem. Ale czujemy obowiązek w dzienniku naszym, poświęconym interesom dobra obywatelskiego, oddać sprawiedliwy hołd pamięci zacnego człowieka, znanego z doskonałych przymiotów duszy, zgasłego w kwiecie męskiego życia, które uczciwie i honorowo przebiegał, nie uchybiając obowiązkom, przywiązanym do stanowiska, na jakiem go Opatrzność umieściła. Ś. p. Jan Bogdan Tarnowski był bowiem potomkiem imienia wielkiego i drogiego w naszych pamiątkach narodowych i należał do tej wyższej klasy dzierżącej, jeszcze przed niedawnemi czasy, w społeczeństwie polskiem pewny rodzaj zwierzchności oraz

[1]) W czasie podróży zgasł w miasteczku Sulejowie 28 stycznia 1850 r.

[2]) *Wspomnienie pośmiertne o Janie Bogdanie hrabi Tarnowskim.* Wyjęto z *Pamiętnika gospodarskiego*, Lwów, w drukarni Zakładu Narodowego Ossolińskich, 1850. Egzemplarz tej nieslychanie rzadkiej dziś broszury posiada Biblioteka ks. Czartoryskich w Krakowie. Według tradycyi w rodzinie Tarnowskich, autorem tej broszury jest prawdopodobnie Antoni Kłobukowski.

misyę moralnego przewodnictwa jego charakterowi i wielkim interesom, a przy której przewodnictwo to, pomimo zaprowadzonej u nas zmiany stosunków, z samej natury rzeczy na zawsze pozostanie. Wpływ klas wyższych zawsze nadaje zbawienny lub zgubny kierunek narodowi w każdym kraju, a u nas od kilkudziesięciu lat, szczególnie w obecnych okolicznościach, samo nieuchybianie rzeczonej misyi już jest niejako zasługą i prawem do wdzięczności.

Jan Bogdan Tarnowski urodził się w Horochowie na Wołyniu, dnia 20-go sierpnia 1805 roku, z ojca Jana Feliksa Tarnowskiego, byłego senatora kasztelana Królestwa Polskiego, i z matki hr. Waleryi Strojnowskiej, córki Waleryana hr. Strojnowskiego, a synowicy uczonego i zasłużonego krajowi biskupa wileńskiego. Rósł w patryarchalnym domu rodziców surowych i przykładnych obyczajów; otrzymawszy staranne, zacne, na prawdziwie narodowych zasadach wychowanie w sławnem niegdyś liceum Krzemienieckiem, czuł i rozumiał powinności i potrzeby narodowe, i jego też dobra i szczera natura przez całe życie nie znała próżności, ani egoizmu. Tam pilnością w naukach zasługiwał na medale, a wzorowem postępowaniem na listy pochwalne, dowodząc, że dobre ziarno rozwija się bujnie na błogosławionej od Boga roli. Nie dość, że się kształcił w uniwersytecie na człowieka gotowego do wstąpienia w zawód, jakikolwiek okoliczności przed nim otworzą; ale nadto dusza jego nabierała niepospolitego hartu pod wpływem z jednej strony bogobojnego i uczonego ojca, z drugiej równie wiekopomnego męża, Tadeusza Czackiego, podówczas kuratora liceum krzemienieckiego, a wujecznego dziada swego.

W leciech 18-stu odbywał podróże za granicą, bawił lat dwa w Paryżu dla dokończenia edukacyi, mając za nauczycieli najbieglejszych profesorów, za przewodnika czułość światłej matki, której poświęcenie odpłacał, nie opuszczając jej na chwilę, wśród ponęt rozkosznej stolicy. Tą łagodną, doświadczoną ręką prowadzony, która mu zawsze przedstawiała niebo jako cel życia, wrócił w dwudziestu leciech do kraju, równie nieskazitelnym na duszy, jak na ciele; wrócił, poświęciwszy zdaniu rodziców pierwszą miłość młodego wieku, przeciw której nie było nic do zarzucenia, tylko, że plama opinii publicznej skaziła wyniosłe w narodzie nazwisko.

Mieszkając na Wołyniu przy matce, trudnił się przez lat kilka całym ogromem interesów w latach właśnie, kiedy młodzież najwięcej oddaje się zabawom, samowolności, i tak się wszędzie prawością, zdrowym rozsądkiem odznaczał, że w obywatelstwie jak gdyby nowa wiara utworzyła się w słowa Jana Bogdana Tarnowskiego.

Żyjąc jak brat z wyborowem pod względem obyczajów sąsiedztwem, nie wahał się podzielać uczucia i entuzyazmu w tem, co było uczciwem, szlachetnem i prawnem, zgodnie, jak wówczas myślała największa część narodu, te młode dusze, które śród naszej społeczności zakwitły i uformowały się dobroczynnem światłem wychowania roznieconego w szkołach uniwersytetu wileńskiego, staraniem wielkich i zasłużonych krajowi mężów.

Ożeniony w leciech 24-rech, z hrabianką Gabryelą Małachowską, córką walecznego pułkownika od kirasyerów, a siostrą Gustawa Małachowskiego, ministra spraw zagr. i Juliusza, który pod Kazimierzem świątobliwe życie oddał dla ocalenia braci usuwających się przed przemagającą siłą, chciał osiąść z żoną na Wołyniu przy uwielbianej matce; lecz pędem okoliczności przerzucony w końcu r. 1831 do Dzikowa, miasteczka w rzeszowskim, i zamku należącego do ojca, zgromadził obojga rodziców, całą rodzinę i rozpierzchnionych przyjaciół pod swoje, już opiekuńcze skrzydła, i tamże rozpoczął cichy zawód życia ziemiańskiego. Samem tylko ścisłem pełnieniem cnót domowych i obywatelskich, tak

mimo szlachetnego umiłowania równości wzniósł się nad innych w całej okolicy, tak dzierżył opinię, że wielu ode złego wstrzymywała sama myśl: »co na to powie Tarnowski?« Miał z tem wszystkiem wielką skromność, prostotę charakteru i prawdziwą serdeczność duszy: to wszystko czyniło mu słodkiem i drogiem życie domowe.

Nieodstępny przez 11 miesięcy od ojca, który paraliżem tknięty mowę i przytomność stracił, przedstawiał codziennie żonie i małoletnim dzieciom najlepszą naukę doskonałości, w nieustającym wzorze do naśladowania. Podobnież odznaczył się niezmordowaną synowską czułością w pielęgnowaniu przez lat kilka matki na kalectwo wyrokami Opatrzności skazanej. Dla chorowitej żony był życiem, był wszystkiem, co nadaje życiu powabu i pociechy. Ona dla niego była jedyną kobietą, on dla niej odbiciem anielskiej doskonałości.

Zamek w Dzikowie, dawnej dziedzinie przodków, bogaty w liczne narodowe pamiątki i w szacowną bibliotekę, był ulubionem jego mieszkaniem, w którym miał kochającą rodzinę, przyjaciół i wszystko, czego nie można znaleźć w życiu światowem: bo tam braknie czasu nawet na przywiązanie. Życie domowe, rodzinne, ziemiańskie, dotąd przez przesąd i zepsucie u ludzi światowych fałszywie uważane tylko za skutek niedostatku funduszów lub chciwości zgromadzania fortuny, wyradza i wiele korzyści i dla rzeczy publicznej, a nadewszystko u nas w obecnem położeniu rzeczy jest jedynem polem, na którem rodziny obdarzone majątkiem i wyższą oświatą mogą służyć interesom narodowym i skutecznie leczyć choroby wylęgłe z braku religii, z nauk fałszywej filozofii, podniecającej wyobraźnię i złe namiętności ludzkie, a groźne nieszczęściami społeczeństwu. Dziwni obrońce spuścizny narodowej, rodziny, własności, ci ludzie światowego życia bez celu, co nie znają rodziny, co trwonią własność dla zbytku i próżności, których czyny noszą piętno odosobnienia, u których siła poruszająca jest egoizm i zmysłowe używanie! Jan Bogdan Tarnowski nie miał najmniejszego pociągu do zbytków, wystawy i próżnego popisywania się, owszem pogardę i wstręt do tego jałowego, w niczem nieużytecznego życia; otóż nadewszystko uważać w nim należy człowieka cnót domowych, ziemiańskich; na tem stanowisku jaśnieją one wdziękiem, słodyczą i użytkiem dla rzeczy publicznej, i stąd to pamięć jego jest drogą wszystkim, którzy go zbliska znali. Nie: lenistwo, marzenie, próżność, pycha i egoizm nie rodzą sławy, zasługi, użytku publicznego, szacunku i przywiązania rodaków oraz wdzięcznej ich pamięci, ale życie przykładne i ludzkie z każdym bliźnim, ale myśl, praca i uczucie religijne.

Jan Bogdan Tarnowski był religijny, kochał wiarę. Szczęśliwe dusze, które mocno wierzą: albowiem takie dusze gorąco kochają, a wznosząc się do cnót, mają uczucie obowiązków rodzinnych i publicznych, dla ludzi poszanowanie, miłość, pociechę, litość i łzy. Syn kochający i pełen uszanowania dla rodziców, małżonek przykładny, wzór dobrych ojców, przyjaciel szczery i wylany, dla sąsiadów uprzejmy, otwarty i serdeczny, dla podwładnych łagodny i sprawiedliwy; dla cierpiących, potrzebnych i ubogich czuły, dobry i miłosierny, doznawał w okolicy od wszystkich wszelkiego stanu mieszkańców rzetelnego szacunku i przywiązania. Kochał i był kochany; te jego cnoty domowe, tak wielka miłość swoich, co stanowią życie i siłę rodziny, nie były skutkiem żadnego egoizmu, jaki jest nieraz u ludzi, którzy są więcej kochani, niżeli sami kochają; którzy odbierają więcej, niźli sami rozdają, albo raczej lubią nadewszystko w drugich tę miłość, którą w nich wzbudzili; człowiek bowiem najczęściej odnosi wszystko do siebie i łatwiej dozwala się być czczonym, jak Bóg, niżeli kochać, jak dusze anielskie. Jan Bogdan Tarnowski miał wzniosłe przywiązanie do swoich, w nim wszelki egoizm natury ludzkiej łagodził się, miękczył, roztapiał

i oczyszczał tak, iż był całkiem wylany duszą dla rodziny. Cała też rodzina nie żyła, nie myślała tylko przez niego i dla niego, a gdy wszystko wychodziło z niego i wracało do niego używał bez najmniejszego podziwienia miłości i uwielbienia od swoich i serce jego wracało wszystko, co odbierało.

Przy wrodzonej wesołości charakteru, która w obcowaniu ze swojemi objawiała się miłym dowcipem, dziecinną prawie żartobliwością, uczucie, jakie powszechnie wzbudzał, było uszanowanie i ufność taka, że każdy w jakiejbądź wątpliwości, czy wieśniak, czy sąsiad, czy duchowny, czy izraelita, odwoływał się do zdania Jana Bogdana Tarnowskiego; publicznem zaufaniem zaszczycony, był, nie ubiegając się sam o to, sędzią we wszystkich sprawach, opiekunem często nieznanych sierot, opatrznością każdego dotkniętego jakąkolwiek klęską: czy zatopiony wodami, czy pożarem mienia pozbawiony, czy w marzeniach politycznych zabłąkany, każdy do niego trafił o pomoc, o radę; każdy wiedział, że znajdzie rękę, która go wesprze, serce, które go pojmie, głowę, która go przekona i uspokoi. Jeżeli kiedy uczucie zazdrości powstało w jego rodzinie, że on nad wszystkich kochany, zaraz uciszyło swary zapytanie: »Kogo ty wolisz?« na które jedna była odpowiedź: »Jego, zawsze jego!« Jednomyślność była w tem pierwszeństwie.

W roku 1846 dom Tarnowskich stał się przez tydodni kilka schronieniem dla zagrożonych potokiem rozhukanych namiętności. Jak za czasów patryarchalnych, zasiadali do stołu, przebywali pod dobroczynnym dachem nieznajomi, dla których potrzeba była prawem.

W roku 1848 tułactwo używało podobnej opieki; wtedy to nadzieje, hodowane w zaciszu polskich serc, zaczęły nabywać jakiegoś rodzaju rzeczywistości. Ogień młodocianych lat rozpromienił czoła zorane troskami lub wiekiem. Obrany reprezentantem jednej części narodu w cyrkule rzeszowskim, Tarnowski pojechał do Wiednia. Nie wstrzymały go łzy starej matki, żadne rodzinne związki nie odwiodły go od poświęcenia wszystkiego dla droższego nadewszystko kraju. Lubo języka niemieckiego nie posiadał, jednak postępowaniem niezachwianem, zdaniem zawsze trafnem, umiał sobie zjednać szacunek i zaufanie wszystkich stronnictw do tego stopnia, że gdy pytano chłopów ruskich: dlaczego głosują za samowolnością Kościoła? odpowiedzieli, że idą za głosem Tarnowskiego!

Ten głos, który w politycznym zawodzie podnosił się zawsze za dobrą, za świętą sprawą, uciszyć się musiał wraz z innemi, gdy znowu na milczenie skazaną została myśl polska; ale w domowem zaciszu, ten głos nabywał coraz większego wdzięku, coraz silniejszego uroku; cała rodzina, jak powiedziałem, nie żyła, nie myślała tylko przez niego i dla niego.

Razu jednego, było to w Końskich, w niedzielę 27 stycznia 1850 roku, jego pierwsze kroki, jak zwykle, były poświęcone Bogu — tego samego wieczoru przejeżdżając za interesami przez Sulejów — ostatnia jego czynność była wstawieniem się za nieszczęśliwym, ostatni podpis świadczył o dobroci serca — przebudziwszy się tamże w nocy ze snu spokojnego, oddał niespodzianie, ale zawsze przygotowany, świątobliwą duszę Bogu, który ją po wczesną powoływał nagrodę. Od tego czasu wieśniacy mówią, że niema po co chodzić do kościoła, gdzie już nikt tak się nie modli, jak ich pan kochany! Sąsiedzi obywatele głoszą, że źle się będzie działo na świecie, kiedy Bóg przerwał powołanie sprawiedliwego! Żona, dzieci [1]), w głębokości nieutulonego żalu myślą, że już nie ma życia, gdzie duszy nie ma!

---

[1]) Zostawił synów trzech: Jana, Stanisława i Juliusza, i dwie córki, Walerye i Gabryelę.

Oficyaliści, włościanie i mieszczanie, tak katolicy, jak i wyznania Mojżeszowego, z własnego popędu prosili hrabiny wdowy, aby pozwoliła im zrobić składkę na nagrobek dla zmarłego, aby mogli choć tem dowieść, jak go kochali, jak go żałują. Tę ofiarę mile przyjęła dostojna wdowa z tem jednakże zastrzeżeniem, aby to był dowód nie datek, to jest nie kazała przyjmować więcej jak po krajcarze.

Wiem, że to niejednemu z czytelników zdawać się będzie zręczną i wyszukaną pochwałą cnót domowych nieboszczyka; ale tu nie lękam się wskazać Dzikowa i całego jego stroskanego rodzeństwa, podnieść zasłony pobożnej, co odtąd stała się żałobną, tej zacnej małżonki, która na jego charakter, w jego duszę męską rozlewała wiele piękności ze swych przymiotów anielskich, ze swej duszy serdecznej i dobrej. Nigdy boleść nie była prawdziwszą, głębszą, żywiej uczutą, jak przez rodzinę ś. p. Jana Bogdana Tarnowskiego. Niech to będzie pociechą dla tej szanownej rodziny, tak srogo dotkniętej, widzieć także powszechną przyjaciół żałobę, otaczającą grób zawcześnie mu otwarty!

C.

Opis Dzikowa przez Lucyana Siemieńskiego, wyjęty z jego *Zapisek z wycieczek po kraju (Czas*, 1852, lipiec, Nr. 160—173).

...Rozkoszne pobrzeże Wisły z wybiegającemi wzgórzami, po których rozsypane wioski, pełne rozłożystych drzew, dwory pańskie okazalsze, wspanialsze kościoły, towarzyszyły mi do samego miasteczka Tarnobrzega, a raczej wsi Dzikowa; bo tu dziwnem zrządzeniem wieś głośniejsze ma imię, niż miasteczko, samo z siebie nic nie znaczące. Przejechawszy je, zaraz okazały mi się wieżyczki Dzikowskiego zamku, wyglądające z gęstwi zieleni.

Sam zamek stoi na wysokiem pobrzeżu, na którego pochyłości, ku Wiśle płynącej dołem, rozpościera się piękny ogród, mający więcej powagi starożytnością swych drzew, niż wymyślnej elegancyi. Widok z niego prawdziwie uroczy na świecące na drugiej stronie białe mury i szczyty kościołów Sandomierza, tak gęsto zapisanego w dziejach narodu.

Aczkolwiek zamek sam, oddawna należący do rodziny hrabiów Tarnowskich, składał się z części dobudowywanych różnemi czasy i pamiętających dawniejsze wieki, jednakże dzisiejsza powierzchowność jego całkiem jest przeistoczaną podług planu znanego w kraju naszym architekta, p. Lanci. Ktokolwiek widział restaurowane zamki podług jego planów, zrobi sobie wyobrażenie o zamku Dzikowskim. Jak w tamtych, tak i w tym jest niby coś gotyckiego, okna, wieżyczki; ale zarazem i coś fantastycznego: jakaś niby zbieranina stylów i ozdób, piękna może w rysunku, w krajobrazie, lecz nie zawsze dająca się zastósować do praktycznego użycia. Nowoczesne gotycyzmy mają wogóle tę wadę, że to, co dawniej służyło ku użytkowi, ku potrzebie, w nich zamieniło się w ozdobę więcej szpecącą, niż dodającą wdzięku i okazałości. Jeżeli jeszcze materyał użyty do tych ozdób nie odpowiada naturze gotyckiego budowania, niemasz nic smutniejszego, jak widok krzywych wieżyczek i odpadających tynków. W zamku Dzikowskim, mającym główny korpus i dwa skrzydła, dość wspaniałym przez się, narożne pinakle, ogromne okno gotyckie w sali idącej przez całe piętro, jeżeli nie wiele dodały ozdoby, za to pozbawiły go owej powagi starożytnego gmachu, stokroć milszej i więcej przemawiającej, niż ten modny gotycyzm *à la Lanci*, którego nikt, cokolwiek znający się, nie posądzi o jakiekolwiek powino-

wactwo z wiekami średniemi. Wielka to szkoda, że u nas nie starano się restaurować starych gmachów mniej więcej w stylu, w jakim były stawiane, albo też w stylu najbardziej używanych w pewnych epokach, a przechowującym się w niektórych zamkach i ratuszach; tym sposobem zachowałby się ów charakter odrębności, mający pewne cechy, jak w pałacyku Woli Justowskiej, jak w Krasiczynie, w Podhorcach i innych zabytkach, które nie padły jeszcze ofiarą architektury fantastyczno-gotyckiej.

Wiedząc, jakie się skarby pamiątek mieszczą wewnątrz Dzikowskiego zamku, pragnąłem, żeby i zewnętrze harmonizowało ze środkiem. Bądź jak bądź, jeszcze tu niewiele razi, zwłaszcza w niektórych częściach gmachu, gdzie architekt nie mógł już sobie poradzić z grubemi murami. Zapomniawszy o tem chwilowem wrażeniu, z gorączkową ciekawością wstępowałem w ten przybytek nauki i sztuk pięknych, gdzie dwoje ludzi, przez długi wiek życia, skrzętnie gromadziło już to rzadkie księgi i rękopisy, obchodzące literaturę ojczystą, już arcydzieła malarstwa i rzeźby, już zabytki wszelkiego rodzaju. Ś. p. Jan hr. Tarnowski, kasztelan, i małżonka jego, Walerya z hr. Stroynowskich, oboje oddani naukom, on znany osobliwie z prac swoich historycznych, autor niewydanych dotąd dziejów panowania Walezyusza, których napisanie poleciło mu Tow. Przyjac. Nauk, ona znawczyni niepospolita i miłośniczka malarstwa, mogąca miniaturami własnego pędzla sprostać najlepszym swojego czasu miniaturzystom, poświęcili pracę życia i majątek na umiejętne zebranie wszystkich tych skarbów, jakie dziś nieobojętny gość może oglądać w Dzikowie. Wprawdzie zwiedzałem wiele prywatnych zbiorów, lecz na pierwszy rzut oka mogłem zaraz osądzić, gdzie zbierała próżność, a gdzie uczoność mająca na celu rzetelny pożytek. W pokojach dzikowskiego zamku nie uderzy cię wprawdzie ani przepych sprzętów, ani obić, ani bronzów, za to co krok spotykasz szczegół budzący w tobie podziw dla dzieł mistrzowskich sztuki, lub też czujesz się wzruszonym na widok jakiej drogiej pamiątki mającej z naszą przeszłością związek. Przegląd mój rozpocząłem od licznych obrazów olejnych zdobiących pokoje niższego i wyższego piętra. Ponieważ szczególniejszy wzgląd miałem na rzeczy polskie, dlatego też przed innemi uwagę moją zwróciły portrety królów naszych malowane na blasze. Niektóre, jak Anny Jagiellonki, Katarzyny król. szwedzkiej, Zygmunta Augusta, Bony, Władysława IV, zdają się pochodzić z dawnych czasów, a przynajmniej są dobremi kopiami; inne, jak Kazimierz W., Batory, Sobieski są podobnoś pędzla Bacciarellego. Nie mogę na pewno twierdzić, lecz ile wnoszę, pochodzą one z gabinetu Stanisława Augusta. W Bibliotece znalazłem kilka bardzo ciekawych portretów, jak: Skargi, Długosza, a przedewszystkiem jedyny może sławnego naszego słownikarza Knapskiego. W liczbie wielu familijnych portretów Tarnowskich i Małachowskich robionych przez dobrych malarzy, na szczególniejszą uwagę zasługują dwa małe miniaturowe olejne wizerunki, zapewne współczesne, wyobrażające Stanisława Tarnowskiego i Zofię córkę Krzysztofa Szydłowieckiego Tarnowską. Inny wielki portret hetmana Tarnowskirgo zdaje się być kopią, i to z tego samego obrazu, z którego znamy rycinę robioną przez Tepplara, a dawniejszą przez Ligbera przy zbiorze Mostowskiego. W sali znajdują się dwa po kilkadziesiąt łokci kwadratowych mające płótna, na których artysta Włoch, Del Fratto, odmalował wjazd Wielkiego Jana do Krakowa, i zwycięstwo jego pod Obertynem. Opowiadano mi, że ś. p. kasztelan chcąc mieć uwiecznione dobrym pędzlem dzieła rycerskie swojego przodka, sprowadził był pomienionego malarza do kraju, dostarczając mu i opisów i wszystkich archeologicznych szczegółów do tej kompozycyi. Lecz Włoch, zmarnowawszy lat parę, nie mógł wymalować w Polsce, gdzie powiadał, że nie ma natchnienia dla przykrego zimna. Wrócił

więc do swojej gorącej ojczyzny, wziął się do pędzla, ale widać, że i tam nie sprzyjała mu ta córa niebios; oba bowiem obrazy, grzeszą nietylko charakterem i ubiorami figur, które równie mogłyby przedstawiać osoby z historyi Rzymian, Kartagińczyków lub Persów, ale nadto kompozycyą, na jaką zdobyłby się lada mierny malarz, gdyby sobie wziął za powinność pokryć jaskrawemi barwy ogromne sztuki płótna. Niewiele można tuszyć o talencie artysty, który spędzając w jakim kraju lat kilka, nie umiał wynieść z niego ani jednego typu, przypominającego ten kraj. Wieża nawet Panny Maryi pokazująca się w obrazie wjazdu hetmana do Krakowa, jest raczej jakąś włoską kampanillą, niż naszą oryginalną wieżą; cóż dopiero powiedzieć o tym tłumie ludu półnagim, lecz udrapowanym w różnokolorowe łachmany na sposób lazaronów. Tylko brak artystów krajowych podówczas, mógł skłonić tak światłego znawcę do szukania między obcymi kogoś, coby się podjął wylać na płótno uczucia i myśl narodową. Że się zawiódł a drogo zapłacił za zawód, to historya powtarzająca się zbyt często.

Nierównie większą roskosz uczułem, gdy w tej pięknej galeryi natrafiłem na parę obrazów polskiego pędzla. Pomijam już kilkanaście ręcznych rysunków piórem i tuszem, wyobrażających różne momenta z dziejów starożytnego Rzymu, robionych przez Smuglewicza; trącą one, jak wszystkie jego kompozycye sztywnością i zimnem akademicznem, wszakże niemniej godne poszanowania, jako należące do historyi sztuki naszej, wreszcie jako nie bez wartości pod względem dobrego rysunku i łatwości komponowania! ale z jakiemże uniesieniem powitałem przedziwny obraz olejny T. Lubienieckiego. Jak wybornie schwycony charakter i typ starego prawnika obłożonego stosem papierów! Nie myślcie, żeby to był wychudły doktor *utriusque juris* w wielkiej peruce niemieckiej, w pończochach i trzewikach, i z okularami na nosie. Lubieniecki, acz w Niemczech żyjący, widać zachował w duszy wyobrażanie jakiegoś trybunalskiego mecenasa, opasłego, czerstwego, z zawiesistym siwym wąsem, w lekkiej czapce na głowie, co to niby zatopiony w dokumencie, słucha jednem uchem, jak tam jego gospodyni od klienta przyjmuje kubana. Całe wnętrze, wszystkie drobne szczegóły oddane z ową precyzyą i mocą najlepszych malarzy flamandzkich, na których Lubieniecki widocznie musiał się kształcić. Byłoby rzeczą wielce pożądaną rozpowszechnić ten obraz dobrą litografią lub rylcem.

Czechowicza religijny niewielki obrazek nie jest bez wartości, lubo do najlepszych liczyć się nie może. Najciekawszym jednakże dla mnie był obraz malarza Szymonowicza, zapewne tego samego, który ryciny swoje podpisywał: *Szymon*. Żył on za czasów Sobieskiego; sam utwór o tem przekonywa. W allegorycznym tym obrazie widzimy Malarstwo przedstawiające królowi Janowi III i jego żonie młodego malarza, któremu geniusz bogactwa stojący u stóp tronu sypie złoto z rogu obfitości. Ma to być portret samego artysty. Malowidło to zbyt akademiczne, obrane z tych znamion, po których poznaje się samodzielny talent, i szkoła osobna przynajmniej świadczy o malarzu z wyższem usposobieniem. Nie wątpię, iż wpływ ówczesny zepsutej szkoły włoskiej nie pozwalał się rozwinąć małej liczbie artystów naszych w kierunku odpowiednim duchowi narodu.

Co się tycze innych utworów naszych malarzy, znalazłem jeszcze kopię Smuglewicza z Guido Reniego, portret jakiejś kobiety przez panią Duchene potem Wyganowską, parę robót Rottermunda, osobliwie portret jego własny nie bez zalety. Najszczególniej zajął mię niewielki ołtarzyk umieszczony w bibliotece, w którym starej szkoły niemieckiej obraz wotywny, przedstawiający N. Pannę z dzieciątkiem na złotem tle — rysunek pełen prostoty i wykończenia — być może, że jest dziełem jakiego z naszych malarzy nieznanych nam; co wnoszę stąd, że związek ma tak blizki z historyczną osobą Krzysztofa Szydłowieckiego,

który klęczy na boku i trzyma rozwiniona chorągiew. Ubiór jego owoczesny, oblicze nacechowane podobieństwem, czynią wielce drogim ten piękny zabytek, godny mieścić się w Pomnikach, które hr. Przezdziecki wydawać zamierza. U spodu jest napis łaciński, opiewający, że obraz ten poświęca N. Pannie i śś. Patronom swoim Krzysztof z Szydłowca i t. d Szkoda tylko, że lata są zatarte.

Z obcych obrazów, których liczba do kilkudziesiąt dochodzi, najcenniejszym jako dzieło sztuki, a dla nas niemalego interesu, jest *Lissowczyk* Rembrandta. Z zachwyceniem przypatrywałem się temu utworowi, którego istnienie i rzetelność niektórzy niedowiarkowie chcą podać w podejrzenie. Tymczasem kto zna pędzel Rembrandta, nie zdoła zaprzeczyć, żeby to nie było jego dzieło. Ten koń, czystej rasy polskiej, ten Lissowczyk w kożuchu, w lisiej czapce, obwieszony różnego rodzaju bronią, z łukiem i kołczanem, gdzie wyraźnie widny herb Leliwa — a toż znowu przeciwieństwo okolicy jakiejś romantycznej, nie mającej cechy naszego kraju — czyż nie naprowadza na domysł, że Rembrandt miał przed oczyma oryginalny egzemplarz, kiedy zuchwałe to Kozactwo uwijało się po Flandrach i Pikardyi. Dowiedziałem się z zapisków katalogowych, że obraz ten pochodzi z gabinetu króla Stanisława, i wtenczas już zapłaconym było 800 cz. zł. Dziś kiedy mniej nawet udatne prace Rembrandta tak wysoko bywają płacone, wartość jego nie ma prawie ceny. Wszakże galerya Dzikowska, szczupła w liczbę, lecz nie w arcydzieła, ma jeszcze tegoż samego mistrza przepyszną *Głowę Żyda*, i *Ucieczkę do Egiptu*, mały obrazek, lecz mocno nadpsuty.

Niespodziewane spotkanie się moje z tyloma rzadkościami, przeszło w podziw, gdym zaczął przyglądać się obrazom szkół włoskich, flamandzkich, niemieckich. Rzadko gdzie prywatny zbiór może się czem podobnem poszczycić, a niejedna galerya, jak brukselska lub berlińska, pozazdrościłaby tych skarbów, przechowujących się w cichym i oddalonym od świata Dzikowie. Wyliczę przynajmniej te, o których autentyczności nie wątpię, a które noszą cechę niepospolitej piękności. I tak: niewielki portret, ale zdumiewający swą oryginalnością, wyobraża staruszkę Annę Soderini, siostrę Leona X, malowaną przez Michała Anioła. *Głowa Kalwina*, roboty Tycyana, tak jest mówiącą, że choćbyś nie wiedział, kto to jest, odgadłbyś, że to jeden z tych zuchwałych umysłów, których Opatrzność od czasu do czasu zsyła ku przyniesieniu ulgi ludzkości lub do pogrążenia jej w zamęt. Inne Tycyana obrazy są jeszcze: *Chrystus pod krzyżem* i *Matka Boska pod krzyżem*. *Merkury uczący Kupidyna w obecności Wenery Uranii* należy niezawodnie do wyższych utworów sztuki, lecz czy jest dziełem Parmesana, jak napis powiada, nie ręczę.

Szkoła flamandzka wspaniale tu jest reprezentowaną obrazem Van Dycka przedstawiającym prawie w naturalnej wielkości królewnę Henryetę, córkę Henryka IV, a żonę Karola I-go Stuarta. Pochodzi on z licytacyi po Angelice Kaufmann. Van der Helsta *Portret kobiety trzymającej książkę* jest arcydziełem w swoim rodzaju; szczególniej ręce tak są robione, że czuć prawie krew krążącą w nabiegłych żyłach. Rubensa *Chrystus Pan depczący węża* lubo tylko podmalowany, należy do świetniejszych jego kompozycyi. *Anna Bolena* Holbeina, nosząca wszystkie cechy starożytności i stylu mistrza, prawdziwą jest ozdobą galeryi; równie trzy portretowe głowy, wyobrażające trzech Carraccich: Lodovica, Annibala i Augusta. Teniersa mały obrazek, *Chłop palący fajkę*, pochodzi z daru cesarza Józefa, zapisanego testamentem swemu lekarzowi.

Z widoków są widoki Wenecyi przez Canale, jest i widok Tivoli Claude Lorraina. Backhuysena przecudowna burza morska. Są i okolice naszego kraju, malowane przez Włocha, podobno Del Fratto, ale niezbyt szczęśliwe.

Nie skończyłbym, gdybym chciał wymienić różnych mistrzów, których utwory zachwycały mię; dodam tylko, że znalazłem jeszcze kilka przepysznych główek Greuza, malowanych z właściwym mu wdziękiem i kokieteryą, i pięć kawałków Albana, przedstawiających igraszki dziecinne. Potrzebaby dłuższego czasu na zbadanie, opisanie i ocenienie każdego z tych obrazów niepodejrzanej wartości, raz, że je nabywał pan zamożny, mogący dobrze zapłacić, po drugie, że był prawdziwym znawcą, który nie byłby kopii dla czczej próżności kupował; wreszcie czasy, kiedy gromadził swoje arcydzieła, sprzyjały podobnego rodzaju zbiorom, była to bowiem epoka rewolucyi i wojen, i sprzedaży galeryi po Stanisławie Auguście, z której kilka obrazów widzieć tu można w ramach mających herb i cyfrę królewską.

W prostym porządku przeszedłem do obejrzenia znacznej kolekcyi rycin: są to galerye florenckie, wersalskie i inne, rytowane przez dobrych mistrzów, niemniej loże Rafala i inne jego dzieła. Z polskich niema nic ważnego; za to zainteresował mię nadzwyczajnie zbiór nieoceniony rysunków ręcznych najpierwszych malarzy: znajdziesz tam i rysunek Michała Anioła, i Corregia, i Rafaela, i Dominikina, i wielu innych, a przedewszystkiem zachwycającą sepią Rembrandta. Poznałem z jednego kawałka noszącego napis *de la part de Mr Demon*, że ś. p. kasztelan Tarnowski musiał mieć z tym sławnym znawcą i posiadaczem najwspanialszej kolekcyi rysunków bliższą znajomość i zapewne za pośrednictwem jego przyszedł do tych rzadkości. Miło mi było spotkać się tutaj z pracami naszych rodaków: portret księcia Ant. Radziwiłła czarną kredą robił Płoński, A. Orłowski dostarczył wybornych szkiców, Norblina *Żyd* i *Turek* pełne charakteru, równie Bacciarellego portret Massalskiego.

Nadmieniłem powyżej, że ś. p. kasztelanowa Tarnowska oprócz zamiłowania sztuk pięknych miała jeszcze niepospolity talent malowania miniatur. Widać to po okazałym zbiorze najlepszych owoczesnych miniaturzystów, mogących wynosić ze 200 miniatur różnej wielkości. Za pierwszym rzutem oka uczułem się jakby przeniesionym w świetną elegancyę XVIII wieku. Ileż tam przecudnych kobiet! Dość wymienić Zofię, żonę Szczęsnego Potockiego, panią Zamoyską, i tyle innych, dotąd żyjących w pamięci. Oprócz wielu miniatur, robionych przez samą hr. Tarnowską, najwięcej jest wybornego pędzla Lesseura i Grassi, a nawet Isabeja portret Ordynata Zamoyskiego, znany z angielskiego sztychu.

Postanowiwszy, że tak powiem, tylko z wierzchu poznajomić się z osobliwościami dzikowskiemi, nie wystarczało mi bowiem czasu na dłuższe rozpatrywanie się, przeszedłem z kolei do biblioteki, zapełniającej dwie sklepione niewielkie izby, lecz dostateczne dla objęcia samych rękopisów i dzieł polskich najrzadszych i wyborowych. Gruby, dwutomowy katalog, spisany alfabetycznie, małą był mi pomocą do wyszukania dzieł w pewnych materyach; dlatego szperaniom, wymagającym długich chwil, nie poświęcałem przelotnych minut. Pokazano mi jednak kilka rzadkich biblii i pierwszych druków krakowskich. Rękopisy więcej mię obchodziły. Znalazłem też rzadkie dyplomaty książąt ruskich, grube foliały dokumentów, odnoszących się do różnych wieków i panowań, niemniej listy znakomitych osób, relacye poselstw, i t. d. Czasy konfederacyi i ostatnich lat panowania króla Stanisława Augusta obfitują tam w bogaty materyał, bardzo starannie uporządkowany szeregiem lat lub zdarzeń. Przerzucając to i owo, napadłem między innemi na wiersze bardzo dowcipne, opisujące niektóre osoby z dworu i znaczenia pod koniec zeszłego wieku; między innemi zostały mi w pamięci dwa wiersze na naszego Krasickiego, trafnie malujące i charakter jego i epoki, w której żył: